



Krzysztof  
Spadło

# Skazaniec

Tom II



ZielonaLitera  
Książki. Lektury. Inedia

Krzysztof Spadło

# Skazaniec

tom II

Z bestią w sercu



ZielonaLitera  
Książki Ludzie Media

REDAKCJA  
Małgorzata Majewska

PROJEKT OKŁADKI  
Dariusz Herbowski

ZDJĘCIA  
Dariusz Herbowski

COPYRIGHT © 2014 by Krzysztof Spadło  
i Zielona Litera

WYDAWCA  
Zielona Litera Sp. z o.o.  
ul. Konopna 14A  
04-707 Warszawa  
[www.zielonalitera.pl](http://www.zielonalitera.pl)  
info@zielonalitera.pl

[www.skazaniec.com](http://www.skazaniec.com)  
krzysztof.spadlo@skazaniec.com

WYDANIE I

ISBN 978-83-64972-03-4



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)

# Skazaniec tom 2

## Z bestią w sercu

### Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[\\*\\*\\*](#)

*Dariuszowi Herbowskiemu,  
w podziękowaniu za wszystko,  
co zrobił dla „Skazańca”*

Kiedy zamykałem za sobą drzwi stolarni, usłyszałem rdzawy jęk starych zawiasów. Ktoś mógłby je w końcu naoliwić. Sam nie wiem, dlaczego w tak makabrycznej chwili w mojej głowie pojawiła się ta zupełnie prozaiczna myśl. Przystanąłem na moment i grzbietem prawej dłoni przejechałem po plecach w okolicach krzyża. Pod połą więziennej bluzy kryła się bestia ziejąca śmiercionośnym ołowiem.

Październikowe słońce na ułamek sekundy zapłonęło w moich źrenicach.

Ruszyłem w kierunku wejścia na spaceriak.

Trzymaj się planu! – syknąłem w myślach.

Wzdłuż drucianej siatki sunęła kolumna skazańców. Wyglądali z daleka jak nurt szarej, gęstej mazi, która od czoła rozlewała się i przypominała ruchomą, rozrzedzoną plamę. Spacerniakowe bajoro napełniało się po brzegi.

Na znak powrotu kiwnąłem głową w stronę Robalskiego i dołączyłem do pozostałych. Starąłem się zachować pozory normalności, ale wewnątrz mnie szalało prawdziwe piekło. Lufa pistoletu uwierała mój lewy pośladek. Szedłem wolnym krokiem i dyskretnie omiatałem wzrokiem cały spacerniak. Byłem myśliwym wypatrującym ofiary. Po prawej stronie, na stopniach placu apelowego dostrzegłem Ojczulka.



Siedział zapatrzony przed siebie w tym samym miejscu co zawsze. Skręciłem w przeciwną stronę. Przez moment mignęła mi twarz Romana. Mijałem grupki więźniów, a do moich uszu docierały strzępy rozmów.

Zatrzymałem się.

Niby od niechcienia biegałem oczami po twarzach, które miałem w polu widzenia. Kilka metrów dalej Suchy coś opowiadał, czarując słuchaczy wyszukanymi gestami. Jego ciało poruszało się w rytmie wypowiedzanych słów. Mówił nie tylko ustami, ale całym sobą.

Sięgnąłem po papierosa.

Ręce miałem śliskie od potu.

Wciągnąłem dym w płuca.

Pod czaszką jakiś koszmarny głos wykrzykiwał okrutne komendy. Zabij gnoja! Zrób to! Kula w łeb wyrówna wszystkie rachunki! Musi ponieść karę! To ścierwo, a nie człowiek! Zemścij się! Zabij! Emocje zaczęły przechylać szalę mojego samopoczucia na mroczną stronę. Wiedziałem tylko, że muszę trzymać na wodzy wzburzenie.

Tam jesteś, skurwielu!

Stał razem z kilkoma więźniami jakieś dwadzieścia metrów przede mną. Tuż obok niego wiercił się krępy Prezes w swojej cwanej czapce, zawadiacko naciągniętej na potylicę.

Cisnąłem na ziemię niedopałek.

Mój plan zakładał, że znajdę go od tyłu. Nie będzie żadnej zbędnej gadki,

nawet nie musi wiedzieć, kto ciągnie za spust. Liczył się tylko rezultat.

Musisz być szybki. Podchodzisz, wyciągasz broń, przystawiasz mu do głowy i dokonujesz egzekucji! Załatwiasz sprawę jednym strzałem!

Zbliżałem się.

Wyobraźnia wyprzedzała bieg wydarzeń. W mojej duszy rozgrywała się scena, która dopiero miała nadejść. Dzieli nas metr. Moja prawa dłoń otula masywną rękojeść parabellum. Opuszek palca wskazującego opiera się delikatnie o jęzor spustu. Biorę głęboki oddech, ostatnie spojrzenie w błękitne niebo i błyskawicznym ruchem wyciągam splotkę.

Prostuję rękę.

Otwór lufy prawie dotyka jego głowy.

Nie zauważam innych twarzy dookoła, widzę tylko kawałek zabójczego metalu i czaszkę ofiary.

Refleks naoliwionej stali błyska wąskim, ponurym uśmiechem.

Strzał!

Głowa Hrabiego nienaturalnie odskakuje do przodu. Pocisk z morderczym impetem rozłupuje potylicę, wdziera się do środka i drąży tunel o idealnej średnicy w mięszu kremowego mózgu. Ostatnią barykadę wzniesioną z kości czołowej niszczycielski intruz roztrzaskuje na strzępy. Nie widzę tego, ale mam nadzieję, że pośrodku twarzy, tuż nad nosem, zostawia za sobą dziurę wielkości oczodołu. I teraz

najtrudniejszy moment. Nie mogę się zawahać nawet na sekundę, bo od tego zależy, czy ujdę z życiem. Kiedy rozlegnie się wystrzał, wszyscy skazani padną na ziemię. Nie może mnie wtedy zahipnotyzować żaden makabryczny widok. Muszę zachować się tak samo jak pozostali. W przeciwnym razie skończę z kulą w sercu.

Tak właśnie miał wyglądać scenariusz tego zdarzenia.

Podchodziłem do Hrabiego od tyłu.

Byłem coraz bliżej.

Dłoń na kolbie lugera.

Dylematy w głowie i w duszy.

Nagle pojawiło się wielkie zwątpienie.

Sparaliżowało mnie jakieś parszywe

uczucie. To nie był strach, ale coś zgoła innego. Nawet teraz nie potrafię tego nazwać.

Spoglądałem na plecy człowieka, którego miałem zgładzić w imię zasad, w imię zemsty i własnego odkupienia. Palce dłoni idealnie przywierały do stalowej rękojeści, ale nie byłem w stanie wydobyć broni! Każdy mięsień mojego ciała zamarł w kamiennym bezruchu. Przyspieszone bicie serca tłoczyło w żyłach gęstą krew. Skronie rozsadzało bolesne dudnienie pulsu, przypominające swym dźwiękiem złowieszcze rytmy wojennych bębnow. Zrób to, kurwa mać! Ponownie czyjś jazgotliwy głos wściekle krzyknął pod czaszką. W jednej sekundzie zamieniłem

się w żywą bombę wypełnioną ładunkiem wzburzenia, determinacji i bezwzględnej stanowczości. Pojedyncze obrazy wspomnień pojawiały się w myślach niczym błyskawice rozdzierające toń ciemnego nieba. Twarz mojej matki, uśmiech Hrabiego, fajki, złoto, pieniądze, perfidne kłamstwa i... nadzieja zarżnięta jak wieprz na uboju.

Giń, kanalio! Przełała się czara goryczy.

Świat przestał istnieć. Byłem tylko ja, posłannik śmierci, i ten, który miał wpaść w jej ramiona. Przyływ niesamowitej energii, graniczącej z euforią, detonował w każdym zakamarku mojego ciała. Ogarnął mnie niepoohamowany zwierzęcy instynkt

zabijania. Prawa dłoń zdwoiła swój zacisk i kiedy chciałem wyszarpać spluwę zza paska spodni, nagle ktoś chwycił mnie mocno za łokieć.

– Nie dziś i nie tutaj! – syknął mi prosto do ucha Ojczulek. – Jeżeli to zrobisz, zginiemy obaj! – W tym samym momencie jego druga dłoń wślizgnęła się pod moją więzienną bluzę i zdecydowanym ruchem wyszarpał mi pistolet.

Cud, że broń nie wypaliła.

Nie wiem, skąd u tego wiekowego mężczyzny było tyle zdecydowania i siły.

Jeżeli ktoś patrzył w naszą stronę, widział dwóch kolesi, których sylwetki ocierały się o siebie. Mógł pomyśleć, że



doszło do przepychanki.

Kompletnie zaskoczony spoglądałem na twarz staruszka.

– Kiedy wiosną zeszłego roku powiedziałaś, że przydałoby się parabellum z pełnym magazynkiem – nadal szeptał – zrozumiałem, że wiesz o tej broni.

Oniemiałem. Od dawna znał moją tajemnicę.

– Siemasz, ziomek! Jak leci? – Do naszych uszu dotarły słowa człowieka, który w tej chwili powinien być już trupem.

Trudno mi powiedzieć, co wówczas można było wyczytać z mojej twarzy. Wiem tylko, że przez dłuższą chwilę milczałem i spoglądałem mu prosto w

oczy. Ten cwaniak nie był idiotą i w mig pojął, że sprawa się ryła.

– Zwrócisz mi wszystko, i to z sowitą nawiązką! – cisnąłem wściekle przez zaciśnięte zęby.

Natychmiast zmienił się wyraz jego twarzy.

– Tak sądzisz? – powiedział z nonszalancją i podszedł bliżej. – Co zrobisz? Zabijesz mnie, głupolu? Poskarżysz się naczelnikowi? – drwił. Nie odpowiedziałem na jego pytania. – Tak już bywa, albo zjesz sam, albo zostaniesz zjedzony – stwierdził agresywnie głosem zwycięzcy. – I żebym cię więcej nie widział w pobliżu. – Pchnął dłońmi moje barki.

Prezes doskoczył w naszym kierunku.

– Co się dzieje? – wtrącił. – Jakiś problem? – Najpierw spojrzał na twarz swojego kompana, a później na mnie.

– Nic szczególnego. Drobnostka, z którą sam sobie poradzę. – Hrabia dźgnął wzrokiem moje źrenice. – A teraz spierdalajcie stąd. I to już! – warknął rozkazująco.

Poczułem, jak Ojczulek ciągnie mnie za ramię.

– Zapłacisz mi za wszystko – odpowiedziałem z nieukrywaną nienawiścią. – Za wszystko!

– Nie podskakuj, chłopaczk, bo jeszcze u mnie masz dług do wyrównania – wtrąciła persona o płaskim nosie. Nie ulegało wątpliwości, że brał stronę swojego kamrata. – Góral

odszedł i zostaliśmy tylko my dwaj. Pamiętaj o tym! Mamy sporo do obgadania.

Ojczulek energicznym ruchem pociągnął mnie za sobą.

– Oddaj ten cholerny pistolet! – naskoczyłem na starego księdza, kiedy byliśmy w połowie spaceru.

– Dostaniesz, ale nie dziś – odparł krótko. – Zwrócę ci broń, a ty odłożysz ją tam, skąd wzięłeś.

– Przestań chrzanić! Nic nie rozumiesz...

– To mi wyjaśnij – wtrącił. – Myślisz, że będę patrzył, jak podpisujesz na siebie wyrok? Przez tego śmiecia? Nie bądź głupi. Naprawdę chcesz zginąć

przez tę łajzę? Aż tak bardzo gardzisz swoim życiem? – Zamilkł. – Opowiesz mi, co się stało?

Siedzieliśmy na stopniach okalających plac apelowy. Spoglądałem w niebo nad więziennym murem, a z moich ust wylewał się potok słów.

Wyznałem mu wszystko.

– I co? Sądzisz, że zemsta przyniesie ci ukojenie? – Nie było to pytanie z rodzaju „no przecież wiesz, że nie masz racji”. Wydawało mi się, że on naprawdę chciał poznać moją odpowiedź. – Zastanów się dobrze, bo cokolwiek się stanie, później będziesz musiał z tym żyć. Nie będę ci niczego odradzał, czy też doradzał, zrobisz to, co uznasz za stosowne.

Powiem ci tylko jedno, gdybym mógł cofnąć czas – westchnął – gdybym tylko mógł cofnąć ten przegrany czas... nie popełniłbym tego błędu – dokończył łamiącym się głosem.

– Jakiego błędu?

– Wiesz, co bardzo dawno temu rzekł pewien chiński mędrzec? – Zawiesił głos. – Kto szuka zemsty, powinien kopać dwa groby. Rozumiesz? – Spojrzał mi w oczy. – Ja sobie wykopałem ten grób – omiótł wzrokiem więzienne budynki i mury – a potem zrozumiałem, że nie było warto. Ale było już za późno, żeby to cofnąć. I żyję z tą świadomością od bardzo wielu lat. I możesz mi wierzyć na słowo, że nie doznałem ukojenia. Życie bywa pełne

niespodzianek, trudno przewidzieć, jaka przyszłość nas czeka i co może się zdarzyć. A jeśli któregoś dnia obejmie cię amnestia i znowu będziesz wolnym człowiekiem? Chyba warto zaryzykować, zamiast popełnić czyn brzemienny w skutkach. Podzielał twoją opinię, że rachunki powinny zostać wyrównane, ale jeśli przy okazji sam miałbyś zginąć... – znowu zrobił pauzę – to przegrasz.

– Oddaj mi pistolet – upierałem się.

– Nie dziś, przyjacielu – skwitował. – Dziś dam ci coś innego – powiedział i podał mi kwadratową paczuszkę zawiniętą w szary papier. – Wszystkiego najlepszego z okazji ćwierćwiecza na ziemskim padole. – Uśmiechnął się

dobrodusznie.

Huśtawka emocji wznosiła się ku niebu, aby w następnej chwili z impetem opaść na samo dno piekła. Czuję się tak, jakby cały świat zonglował moimi uczuciami.

Powoli rozdarłem papier. Moim oczom ukazała się mosiężna papierośnica z wygrawerowaną datą i inicjałami: 17.10.1925 r. S.Ż.

Solidna rzecz.

Ową papierośnicę mam do dzisiaj i jeśli się dobrze przyjrzeć wieczku, da się jeszcze odczytać napis.

Każdemu z was zdarzyło się podjąć w życiu złą decyzję. Być może nie było wtedy obok kogoś, kto ostudziłby wasze



zamiary. Ja miałem to szczęście, że czuwał nade mną Ojczulek.

Chyba zawsze lubiłem rozmyślać o tym, co by było gdyby...? Wyszukuję w pamięci przeróżne chwile i zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym w jakimś konkretnym momencie postąpił inaczej, niż to zrobiłem w przeszłości. Wszyscy codziennie stajemy na rozdrożach naszych wyborów, każda sytuacja, z jaką mamy do czynienia, wykuwa nasz los i otwiera konkretne wrota do przyszłości. Do przyszłości zarówno naszej, jak i tych ludzi, których rzeczywistość przeplata się z naszym losem.

Kto wie co stałoby się ze mną później w celi numer sześćdziesiąt siedem,

gdyby Ojczulek oddał mi broń. Mogę jedynie przypuszczać, że użyłbym jej w nocy i skończył ze sobą.

Prawdopodobnie właśnie tak wyglądałaby alternatywna wersja mojego istnienia, a raczej jego końca.

Księżulek był mądrym człowiekiem, rozumiał ludzką naturę, był przewidujący i potrafił wybiec myślą w przód. Oddał mi lugera dopiero następnego dnia. Swoją drogą, szalenie ryzykował, wnosząc ze sobą na blok kilogram zabójczej stali.

Dużo rozmyślałem o moim desperackim zachowaniu. Kilka dni bez wychodzenia na spaceriak zdecydowanie ostudziło moje zabójcze zamiary i utwierdziło w przekonaniu, że

muszę się zemścić w inny sposób. Bardziej podły i wyrachowany. Zrozumiałem, że błyskawiczna śmierć Hrabiego byłaby dla niego niczym przysługa. A ja przecież byłem żądny czegoś zupełnie innego! Chciałem gehenny. Chciałem, żeby jego życie zamieniło się w koszmar, żeby poniósł zasłużoną karę, żebym mógł się karmić jego upadkiem i cierpieniem. Pragnąłem poczuć zwyrodniałą satysfakcję i sycić się okrutnym odwetem.

Właśnie taki cel sobie obrałem.

Począwszy od moich dwudziestych piątych urodzin, nie potrafiłem uwolnić się od tych wszystkich makabrycznych myśli. Każdej minuty, każdego dnia

knułem i szukałem sposobu, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Czas nagiął, bo Hrabia miał zakończyć odsiadkę pod koniec drugiego kwartału 1926 roku. Nie znałem dokładnej daty, ale dotarło do moich uszu, że ponownie zostanie wolnym człowiekiem na przełomie maja i czerwca. I wiecie, czego wtedy najbardziej pragnąłem? Tego, żeby te ostatnie miesiące w więzieniu we Wronkach przeistoczyły się dla niego w piekielny koszmar. Chciałem, żeby doświadczył najgorszego bólu, żeby cierpiał i żeby poznał, czym jest prawdziwa podłość. Pragnąłem tego tak bardzo, że bezustannie i gorliwie modliłem się, aby moje życzenie się ziściło. Byłem w

stanie ponieść każdą ofiarę, żeby osiągnąć cel. Jeśli mógłbym zaprzedać duszę, tak jak to zrobił doktor Faust, a potem rzec: „trwaj chwilo, jesteś piękna”, zrobiłbym to na pewno.

Każdego wieczoru spoglądałem przez kraty i miałem ochotę wrzeszczeć na całe gardło. Czasami chwyciłem dłońmi zimne pręty i siłowałem się z nimi, jakbym chciał wyszarpać stal zakotwioną w murach. Najgorzej jednak było wówczas, kiedy na dworze zapadał zmierzch. Ciemność sprawiała, że moje demony pastwiły się nade mną, zyskując nowe, okrutne oblicze.

Zacząłem miewać poważne problemy ze snem. Były takie noce, kiedy miałem wrażenie, że nie zmrużyłem oka.

Zupełnie jakbym trwał uwięziony na pograniczu jawy i snu.

W pierwszą listopadową noc byłem przekonany, że widzę w poświacie księżycy mglistą postać siedzącą w rogu celi. Natychmiast przypomniały mi się wszystkie niesamowite opowieści o więziennych zmorach. Teraz doświadczałem tego na własnej skórze. Kiedy człowiek jest przemęczony, wyobraźnia potrafi sięgnąć głęboko w duszę, zaczerpnąć z najmroczniejszych lęków i nadać im przerażający kształt. Zobaczyłem chude, kościste ciało, które miejscami wystawało spod postrzępionych szmat. Strąki długich, rzadkich włosów opadały niechlujnie na spowite cieniem nieludzkie oblicze.

Twarz była pociągła, a dolna szczęka nienaturalnie wysunięta do przodu. Mój wzrok przykuł malujący się na podrapanych ścianach cień zmory, który skojarzył mi się z końskim łbem. Końska, zdążyło mi jeszcze przebiec przez myśl i zaraz potem przerażony cofnąłem się w kąt. Zamknąłem oczy i skrzyżowałem ręce na piersiach.

Tak ją ochrzciłem. Moja zmora otrzymała imię Końska.

To nie pomoże, w myślach usłyszałem ochryply głos starej kobiety. Na dźwięk tych słów moje serce uderzyło dwa razy szybciej. To nie pomoże, rozległa się ta sama kwestia, ale brzmiała już głośniejszy. To nie pomoże, słowa przechodziły w krzyk.

Dłońmi przysłoniłem uszy z taką siłą,  
jakbym chciał je zmiażdżyć.

Zacisnąłem powieki.

W głowie zapanował jednostajny  
szum.

Aby nie oszaleć, w duchu zacząłem  
powtarzać alfabet. W ten sposób  
dotrwałem do bladego świtu.

– Wyglądasz, jak kąsek ścierwa  
przepuszczony przez magiel – skwitował  
Suchy podczas śniadania, patrząc  
na moją zmęczoną, napuchniętą twarz i  
podkrążone oczy.

– Miałem ciężką noc – odparłem.

– Czyżby nawiedziła cię zmora? –  
zapytał. – Siadała ci okrakiem na piersi  
i nie pozwoliła dychać? Fajna chociaż  
była? – Mrugnął do mnie, a ja wcale nie



byłem zaskoczony, że Suchy podłapał temat i zaczynał się rozkręcać. – Nie miałbym nic przeciwko, żeby jakaś okrągłutka i z fajnymi cycuszkami...

Nie miałem ochoty słuchać tych bzdur.

Nie chciałem patrzeć na ich twarze.

Nie potrzebowałem żadnych rad, nie oczekiwałem słów współczucia i nie miałem zamiaru odpowiadać na żadne dociekliwe pytania.

Dni wlokły się monotennie, a moje bezbarwne życie idealnie wkomponowywało się w więzienną codzienność. Na zewnątrz królowała dżdżysta jesień. Tak wyglądał mój czyściec.

Te same zajęcia i obowiązki, ten sam

rozkład dnia, te same twarze wokół mnie.

Rutyna.

W duszy natomiast nosiłem piekielną pożogę wściekłości, a w głowie bezustannie krążyły te same myśli i chorobliwa chęć odwetu.

Już jakiś czas temu przyszło mi do głowy, że jest ktoś, kto mógłby mi pomóc wyrównać rachunki. Na moich kumpli nie mogłem liczyć, bo oni tutaj nic nie znaczyli. Oczywiście każdy z nich potrafił załatwić jakąś duperekę, ale sprawa z Hrabią była poza ich możliwościami.

Wiedziałem, że ten pomysł nie jest dobry, ale sytuacja, w której się znalazłem, nie dawała mi innego

wyboru. Nie byłem też pewien, czy Czarny zechce się podjąć zadania. Z drugiej strony, jeśli to zrobi, to czego zażąda w zamian? Wiedziałem, kim był, za co siedział i co on i jego ludzie znaczyli w tym więzieniu. Każdy, kto był przy zdrowych zmysłach, nie wchodził im w paradę.

W belce pod sufitem nadal spoczywało metalowe pudełko, a w nim pięć obrączek i dostoyny sygnet. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że złoty kruszec będzie idealną kartą przetargową. Problem w tym, że nie bardzo wiedziałem, czego chcę w zamian?

W pierwszą niedzielę listopada podjąłem poważną decyzję i zagadałem do Czarnego. Opowiedziałem mu całą historię. Przemilczałem jedynie informację o znalezisku. Mówiłem o tym, jak płaciłem fajkami za listy i wieści z drugiej strony, o tym, że oprócz tytoniu dałem jeszcze Duszańskiemu dwie złote obrączki i dziewięćdziesiąt polskich złotych w gotówce. Nie potrafiłem powstrzymać drżenia głosu, kiedy wspominałem, że moja matka już nie żyła, a on nadal mnie kołował.

Czarny cierpliwie słuchał mojej spowiedzi.

Kiedy skończyłem, charakterystycznym ochryplym głosem powiedział:

– Zastanawiają mnie dwie sprawy. Po pierwsze, dlaczego byłeś takim naiwniakiem, a po drugie, skąd wzięłeś złoto i forszę w tym podłym pierdłu? Chociaż to nie moja sprawa – zarzekł się natychmiast. – Tylko się zastanawiam. Tak myślę sobie, że chyba powinniśmy nawiązać bliższą współpracę. Ma się rozumieć dla osiągnięcia wspólnych korzyści. – Uśmiechnął się w taki sposób, jakby chciał powiedzieć, że niezmiernie się cieszy z naszego spotkania i tak miłej rozmowy. – Wracając jednak do twojej sprawy – zupełnie zmienił barwę głosu – swojego czasu wyświadczyłeś mi przysługę, pamiętam o tym doskonale. Jesteśmy kwita,

bo otrzymałeś zapłatę. Czuję się jednak zobowiązany. Rozumiem, że szukasz pomsty, ale chciałbyś również odbić poniesione straty. Zgadza się?

– Strzał w dziesiątkę – odparłem.

– A co masz do zaoferowania w zamian?

Sięgnąłem do kieszeni spodni i wyjąłem duży sygnet z wyrytym w oczku herbem. Bez słowa podałem mu przedmiot.

Na twarzy Czarnego zagościł wyraz podziwu. Nałożył pierścień na serdeczny palec lewej ręki i przyjrzał się mu z nieukrywanym namaszczeniem.

– Skąd wzięłeś to cudo? – zapytał zaintrygowany, a w jego oczach pojawiły się ogniki. – Masz tego

więcej?

– Po prostu mam – odparłem. – To jak będzie? Dobijemy targu? – zmieniłem temat.

– Już go dobiliśmy. – Uśmiechnął się i schował przedmiot do kieszeni. – Pomogę ci. Odzyskasz wszystko, co straciłeś. Oczywiście złoto i pieniądze, z których wycykał cię Hrabia, przeliczymy odpowiednio na szlugi. Daj mi tydzień, muszę rozeznąć się w kilku sprawach, a potem powiem ci co i jak. Pasuje? – zapytał i natychmiast wystawił dłoń na znak przypieczętowania naszego paktu.

– Pasuje. – Wymieniliśmy uścisk.

Odniosłem wrażenie, że jak na człowieka, który parał się zbójczą

profesją, wysławiał się w dość szczególny, a zarazem dystyngowany sposób.

Nie pomyślałem wtedy, że ten uścisk dłoni tak bardzo zmieni moje dalsze życie.

Siedem dni później ponownie spotkałem się z Czarnym. Rozmawialiśmy w cztery oczy.

– Jutro przed południem zjawisz się w pralni. – Chyba dostrzegł zaskoczenie na mojej twarzy, bo zaraz szybko dodał: – Nic się nie martw, przyjdzie po ciebie dozorca, już moja w tym głowa. Spotkamy się tam we czwórkę ty, ja, Walet i oczywiście osoba, która od teraz jest naszym wspólnym problemem. Dwa



dni temu przeprowadziliśmy z nim pierwszą rozmowę. – Zamilkł na chwilę. – Jak go spotkasz na spacerunku, przekonasz się, że mieliśmy widzenie. Ale wydaje mi się, że musimy mu przedstawić kilka mocniejszych argumentów. Dlatego uważam, że powinieneś uczestniczyć w tym spotkaniu. Mam nadzieję, że nasza znajomość będzie bardzo owocna. Widzimy się jutro, przyjacielu – pożegnał się, dając mi tym samym do zrozumienia, że audiencja dobiegła końca.

Wolnym krokiem ruszyłem przed siebie. W pewnym momencie dostrzegłem Hrabiego, który stał obok ogrodzenia i rozmawiał z jakimś typem.

Jego lewe oko wyglądało jak duży, fioletowy krążek. Na ten widok uśmiechnąłem się w myślach. Dobrze. Bardzo dobrze, szepnąłem w duchu. A więc sprawy zaczynają przybierać właściwy obrót. Czułem zadowolenie, byłem poniekąd usatysfakcjonowany. Skręciłem w prawo i zmierzałem w kierunku placu apelowego, na którym dostrzegłem drepczącego w miejscu Ojczulka.

– Szukasz sprzymierzeńca? – zapytał księżulek. Odniosłem wrażenie, że w tonie jego głosu zabrzmiał wyrzut. – Chcesz sobie napytać biedy? – Nic nie odpowiedziałem. Sięgnąłem po papierosa. – Po co się kręcisz obok tego towarzystwa? – Najwyraźniej miał

na myśli Czarnego i jego ekipę. – Stefan, to nie jest dobry pomysł, to nie są ludzie, z którymi powinieneś się zadawać.

– Ja wcale się z nimi nie zadaję – odparłem. – To tylko zwykły interes.

– Taki to będzie interes, że nigdy się z niego nie wypłaczesz. – Wyciągnął przed siebie palec wskazujący, jakby mnie ostrzegał. – Dobrze ci radzę, odpuść sobie.

Możesz sobie radzić, ile wlezie, odpowiedziałem mu w myślach.

I nagle sam się zdziwiłem, jak gładko wypowiedziałem coś naprawdę uszczypliwego:

– Powiadają, że dobrymi radami są wybrukowane drogi w piekle.

Księżulek spojrział na mnie zdumionym wzrokiem.

– Zaczynasz się zachowywać tak, jakbyś dopiero wczoraj trafił do więzienia – mówił głosem, jakiego wcześniej nie miałem okazji usłyszeć. – Przeszłości nie da się zmienić. Domyślam się, którą sprawę chcesz załatwić. Powtarzam ci, to nie jest dobry pomysł. Nie brnij w to, bo będziesz żałował. Wspomnisz jeszcze moje słowa.

Ostrzeżenia Ojczulka nie miały żadnego znaczenia, sprawy nabrały biegu.

Tego właśnie chciałem.

Tak miało być.

Kiedy przed południem w drzwiach stolarni pojawił się klawisz, wszystko stało się jasne.

– Bierz narzędzia – rzucił w moją stronę. – W pralni trzeba naprawić regał. Natychmiast!

– Tak jest, panie dozorczo – odpowiedziałem w regulaminowy sposób. Zabrałem potrzebne rzeczy i ruszyłem w stronę wyjścia.

Wydawało mi się, że przemarsz do pralni nigdy się nie skończy. Moją głowę bombardowały tysiące myśli, a serce przepęłniały na zmianę podniecenie i gorzka nienawiść. Czuję się tak, jakbym niósł w sobie wojnę, a w mojej duszy toczyły się krwawe bitwy, w których ginęli wysłannicy nieba i

piekła. Sumienie? Sumienie uciekło, a ja – nie wiem dlaczego – dziękowałem teraz temu, który wysłuchał moich modłów. I nie mam pojęcia, kto miał w tym większy udział, Bóg czy szatan, ale jeden z nich wiódł mnie za rękę na spotkanie z przyszłością.

Pomieszczenia pralni znajdowały się tuż obok więziennego dziedzińca. Weszliśmy do środka. Tutaj temperatura była zdecydowanie wyższa niż na zewnątrz. Nozdrza zatykał mdły zapach rozwodnionego chloru i świeżego krochmalu. Ponad naszymi głowami swobodnie dryfowały olbrzymie języki pary wodnej, które nawet przy najmniejszym ruchu

powietrza wirowały i kłębiły się, przybierając fantazyjne formy.

Większość pracujących skazańców była rozebrana od pasa w górę. Ich ciała połyskiwały śliskim, wilgotnym blaskiem. Wrząca woda bulgotała w kadziach, a paleniska pod kotłami zionęły gorącym żywiołem. Lamperie ścian i szyby w oknach były zroszone kropelkami wody. Całe pomieszczenie odbijało się w mokrej posadzce niczym w potężnej lustrzanej tafli.

– Walet! – krzyknął dozorca.

Nie było jednak żadnej odpowiedzi.

– Walet! – powtórzył, a w jego głosie brzmiało zniecierpliwienie.

Po chwili znajoma twarz wyłoniła się zza rogu korytarza po prawej.

– Tutaj jestem – odpowiedział i kiwnął głową w naszą stronę.

– Idź za tym więźniem – zwrócił się do mnie strażnik. Następnie spojrzał na mojego przewodnika i dodał władczym tonem: – Żeby mi tam nie było żadnego cyrku! – Obrócił się na pięcie i odszedł.

Walec otworzył na oścież szerokie drzwi obite arkuszem ołowianej blachy. Wzdłuż szarych ścian stały puste, nieco zdezelowane regały sięgające sufitu. Przez nieduże okratowane okno wpadało światło dnia. Pośrodku pomieszczenia siedział na taborecie związany i panicznie przerażony Hrabia. Miałem wrażenie, że gdyby nie knebel w ustach



wrzeszczały na całe gardło ze strachu.

Czarny stał oparty o ścianę po lewej i palił papierosa. Nie odezwał się do mnie, skinął jedynie głową na powitanie. Kiedy Walet zamknął za nami drzwi, jego kompan podszedł do Hrabiego i przykucnął, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Napytałeś sobie biedy, frajerze! – Czarny cedził słowa i jednocześnie poklepywał otwartą dłońią policzek Hrabiego. W tym samym czasie Walet złożył na pół prześcieradło i skręcał je w dziwny sposób. Hrabia strzelał wzrokiem na każdego z nas. – Patrz na mnie, jak do ciebie mówię – warknął Czarny i w tej samej chwili rozległ się siarczasty plask otwartej dłoni

uderzającej o policzek.

Wzdrygnąłem się.

Raczej nie spodziewałem się takiego rozwoju sprawy.

Właściwie to nie wiem, czego oczekiwałem.

Na jednym z końców splecionego prześcieradła Walet zacisnął pokaźny węzeł i kilka razy zakręcił w powietrzu młynka. Nietrudno było się domyślić, kto i czym za chwilę zostanie wychłostany.

– Bardzo oszukałeś mojego przyjaciela. – Czarny wypowiadał słowa bez pośpiechu, jednocześnie palił papierosa i za każdym razem, kiedy wypuszczał dym, dmuchał nim prosto w twarz swojej ofiary. – Musimy coś z tym

zrobić... – Zamilkł w pół zdania, przekrzywił głowę w prawo i zrobił taki grymas, jakby od człowieka z kneblem w ustach oczekiwał odpowiedzi. – Zgodzisz się ze mną, prawda?

Hrabia pokiwał głową.

Chyba nie potrafił zapanować nad swoimi odruchami, bo łypnął wzrokiem w moją stronę. Czarny natychmiast wymierzył mu kolejny policzek.

– Jesteś jakiś głupi!?! Co ci powiedziałem!?! Kiedy mówię do ciebie, masz patrzeć na mnie! – warknął. W tym samym czasie Walet skręcał w identyczny sposób drugie prześcieradło. – Zostało ci jeszcze do odsiadki sześć długich miesięcy. Ja i ty, my, we dwójkę, razem – mówił tak, jakby wyliczał –

postaramy się, żebyś w tym czasie zwrócił dług Ropuchowi. Ma się rozumieć z odpowiednim procentem – dodał szybko. – Jeśli będziesz grzeczny i posłuszny, to nikt inny na tym nie ucierpi, rozumiesz? – Nie wiem, czy Hrabia rozumiał, ale wiem, że na pewno się bał. Walet, trzymając w dłoni dwa skręcone prześcieradła, ruszył w drugi kąt pomieszczenia, w którym stało wiadro, i zamoczył w wodzie końcówki z supłami. Rozległ się kolejny, mocny klaps w policzek. – Słuchaj teraz uważnie, co ci powiem. Wiesz, kim jestem, prawda? – Hrabia odpowiedział skinieniem. – Należysz teraz do mnie, będziesz dla mnie pracował. Zostaniesz dziwką. Kapujesz? Każdy, kto będzie

mógł za to zapłacić, będzie cię w tym pudle rznąć na wszelkie możliwe sposoby. Jeżeli zaczniesz coś kombinować, jeżeli wpadniesz na pomysł, żeby się okaleczyć i zwać na izbę chorych, jeżeli zrobisz cokolwiek, co zburzy plan spłaty twojego długu, wciągnę w twoje problemy wszystkich, z którymi cię coś łączy. Moi funfle po drugiej stronie murów zrobią z twojej kobiety tanią kurwę, odnajdą twoją rodzinę, dzieci, matkę, ojca, braci, siostry, kuzynostwo i zamienią im życie w gnój, dopóki straty Ropucha nie zostaną wyrównane. – Wskazał głową w moim kierunku. – No i nie będę ukrywał – uśmiechnął się od ucha do ucha – skoro teraz jestem

pośrednikiem, też muszę swoje zarobić.  
– W oczach Hrabiego pojawiła się  
trwoga. A ja czułem się chyba podobnie  
jak ofiara.

Byłem przerażony.

Przez chwilę słyszałem jedynie swój  
oddech i kapanie kropli ociekających z  
supłów, które uderzały o tafelę wody w  
wiadrze. W mojej głowie wszystko  
zaczęło się walić. Nie przypuszczałem,  
że sprawa będzie załatwiana w taki  
sposób.

Walet podszedł do Czarnego i podał  
mu jedno ze splecionych prześcieradeł.  
Obaj zaczęli nimi kręcić, a siła  
odśrodkowa wyrzucała na zewnątrz  
wodę, którą wcześniej nasiąknął  
materiał. W mgnieniu oka na ścianach,

podłódze i suficie pojawiły się wilgotne ścieżki, znacząc orbitę wirujących węzłów. Mężczyźni wyglądali jak złowieszcze widma. Patrząc na nich, czułem lodowate opiłki wbijające się w skórę pleców.

– Zrozumiałeś, jaki jest nasz układ? – Czarny rzucił pytanie w stronę Hrabiego, który bezustannie przytakiwał głową i jednocześnie cały drżał z przerażenia.

Ciosy zaczęły padać rytmiczne.

Bili na przemian.

Za każdym razem, kiedy mokry węzeł prześcieradła uderzał w ludzkie ciało, najpierw rozlegał się stłumiony dźwięk, a zaraz potem gardłowy jęk pełen okropnego bólu. Krtań Hrabiego prężyła

się pod skórą. Wydawało się, że napięte ścięgna szyjne i pulsujące, grube jak paluchy, tętnice balansują na pograniczu wytrzymałości. Hrabia sapał i nerwowo wciągał przez nozdrza powietrze. Byłem przekonany, że jedyne, czego pragnie, to uwolnić swój dziki krzyk, który ginął w zwojach szmacianego knebla.

Nie przestawali bić.

Stałem bez ruchu i ze wszystkich sił koncentrowałem się na tym, żeby mój wzrok był pełen obojętności. Miałem ochotę zamknąć oczy i zatkać uszy, żeby nie widzieć i nie słyszeć tego, co się tutaj działo. Nie przypuszczałem, że to będzie aż tak trudne. Chwilami wydawało mi się, że źrenice Hrabiego posyłają mi błagalne spojrzenia. Niech



cierpi! – ochryply głos Końskiej wydierał się w mojej głowie. Momentami w moim sercu rodziła się litość, ale ginęła, nim rozkwitły pąki współczucia.

Nagle podszedł do mnie Czarny.

– Trzymaj, ulżyj sobie. – Podał mi splecione prześcieradło. Chyba zobaczył w moich oczach panikę, bo trącił mnie lekko w pierś i powtórzył rozkazującym tonem: – Bierz!

To wszystko zabrnęło za daleko. Przecież nie tak miał wyglądać ten interes! Nie chciałem udzielać się w taki sposób. To nie o to chodziło. Spojrzałem Czarnemu w oczy. Było w nich coś tak porażającego, że nie śmiałem odmówić.

Poczułem ciężar supła nasiąkniętego

wodą. Przez chwilę stałem w bezruchu. Serce w piersiach rzuciło się do oszalałego galopu. Fala ciepła popłynęła od moich stóp i rozbiła się pod czaszką. Pachwiny stały się wilgotne od potu.

Czarny zbliżył swoje usta do mojego ucha i szepnął:

– Bij skurwiela, jest twój!

Trzymając w dłoni powróż, na nowo zapalałem gwałtowną żądzą zemsty. Nieśmiało zacząłem kręcić w powietrzu młynka. Coraz szybciej i coraz mocniej, a z każdym machnięciem czułem, jak się zatracam.

– Kręć! – wrzasnął Czarny. – Kręć!

Mokry węzeł szybował, wydając charakterystyczny świst. Im szybciej

krażył w powietrzu, tym bardziej przepełniała mnie bezwzględność. Posłałem Hrabiemu cios prosto w twarz i w tym samym momencie, nasadę mojego brzucha rozerwała eksplozja zwierzęcego podniecenia.

– Hej, spokojnie! – Walet złapał mnie za nadgarstek. – Nie lejemy po głębie, bo jeszcze bardziej naznaczymy go siniakami i może się zrobić niepotrzebna awantura.

– Jasne – odparłem, zupełnie nie rozpoznając własnego głosu. Jednocześnie skinąłem głową, dając mu do zrozumienia, że pojmuję, o co chodzi.

Czarny stał z boku, opierając się o drewniany regał i z diabelskim

grymasem na ustach przyglądał się moim poczynaniom, jakby chciał powiedzieć: „wiele nas teraz łączy, przyjacielu”.

Nie wiem, ile ciosów wymierzyłem Hrabiemu, ale za to wiem, że tego dnia przekroczyłem niewidzialną granicę pomiędzy człowieczeństwem a bestialstwem. Poczułem chory smak władzy i dominacji. Zanurzyłem się w dziki, brutalny i bezlitosny świat, który tylko czekał, żeby porwać mnie w swoje ramiona, utulić i cieszyć się z mojego przybycia. Mój współudział i akceptacja tego, co się tu działo, i tego, co dopiero miało się stać z Hrabią, połączyły mnie nierozzerwalnym paktem z ciemnym, brudnym i zepsutym obliczem więziennego świata. Na własne życzenie

wstąpiłem w jego szeregi. W poniedziałek, 9 listopada 1925 roku zostałem siewcą bólu i strachu.

Tego samego dnia po zachodniej stronie Odry powołano do życia Schutzstaffel. Nazistowską formację znaną całej ludzkości jako SS. Miała to być jednostka elitarna, której korpus mogli tworzyć jedynie prawdziwi Aryjczycy. Koła historii potoczyły się jednak wyboistymi traktami i – jak pewnie wiecie – wiele lat później przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze członków SS surowo osądzono, a organizację uznano za przestępczą.

Myślę, że prawdziwe zło rodzi się w różnych zakątkach świata w tym samym

czasie.

Dzisiaj już za późno, żeby rozgrzebywać wszelkie dylematy i szukać dla siebie usprawiedliwienia. Mógłbym moją historię z Duszańskim opowiedzieć na tysiące sposobów i ukazać siebie w świetle ofiary, przekonując, że Hrabia zasłużył na karę, a ja miałem prawo ją wymierzyć. Jednak w głębi duszy wiem, że dopuściłem się niegodziwości, pozwalając, żeby opętała mnie moja mroczna strona. Dlatego krzyż, który dźwigam przez całe życie, stał się jeszcze cięższy.

Czy żałowałem, że wdałem się w ten parszywy układ? Oczywiście, że tak. Każdego wieczoru powracały do mnie natrętne myśli, ale skutecznie

je wypierałem, wmawiając sobie, że nie ma winy bez kary, że taka jest sprawiedliwość.

W sumie mógłbym pominąć tę okrutną część mojej opowieści. Ta spowiedź i tak już niczego nie zmieni. Świadome milczenie zrodziłoby jednak gdzieś we mnie kolejny, bolesny świat i konałabym w nim po kres swoich dni stawiając czoła własnemu sumieniu i wspomnieniom.

To wszystko, o czym za chwilę wam opowiem, niestety wydarzyło się, a ja byłem głównym architektem tych podłych zdarzeń. Upłynęło wiele lat, zanim pojąłem, że człowiek zawsze musi brać odpowiedzialność za własne czyny. Mam tylko nadzieję, że kiedy nadejdzie

mój czas i stanę przed obliczem Boga, On w całym swym miłosierdziu okaże mi łaskę i wybaczy grzech, którego się dopuściłem.

Życie Hrabiego zmieniło się w jednej chwili jak za dotknięciem jakiejś paskudnej różdżki. Stracił ciepłą posadkę na magazynie i trafił pod skrzydła Czarnego na pralni. Niedawni kumple, z Prezesem włącznie, odwrócili się od niego i nie miał najmniejszych szans na pozyskanie nowych. Takie były twarde zasady. Wszelka znajomość z nim, zawieranie układów, czy choćby pokazywanie się w jego obecności, nikomu nie służyło i mogłoby zostać źle odebrane przez pozostałych. Został



napiętnowany. Skończyły się też dla niego wspólne posiłki z ziomalami przy jednym stole. Od tego pamiętnego dnia w pralni, Hrabia zaczął grzać miejsce na stołówce razem z innymi upodlonymi, których nazywano „schwule”. To pogardliwe w tamtych czasach w więzieniu słowo oznacza z niemieckiego człowieka o skłonnościach homoseksualnych, a w luźnej interpretacji również człowieka zmuszanego do oddawania się takim czynnościom. W naszej więziennej gwarze ten wyraz miał swój polski odpowiednik i takich ludzi określano obraźliwym słowem „cwel”.

Od tego dnia, kiedy Hrabia został samotnym cwelem, ja zacząłem samotnie

szybować w kierunku mojej przyszłości, która jawiła się w mrocznej poświacie.

Listopadowy ziąb królował na spacerunku. Siedziałem tam gdzie zwykle. Naciągnąłem czapkę na uszy i wypatrywałem Suchego. Musiałem z nim pogadać. Na własne życzenie wdepnąłem w kupę wielkiego gówna i teraz musiałem zrobić wszystko, żeby się jak najmniej ubabrać. Potrzebowałem Suchego, by realizować dalszą część tego cholernego przedsięwzięcia. On był człowiekiem interesu, a ja miałem dla niego intratną propozycję.

Zapaliłem aromatycznego parisjana. Przy każdym wydechu kłęby dymu i pary

tańczyły w listopadowym powietrzu. W pewnym momencie dostrzegłem sylwetkę Hrabiego. Szedł samotnie wolnym krokiem, dłonie trzymał w kieszeniach, a podkurczone ramiona sprawiały wrażenie, jakby wchłonęły jego szyję. Z naprzeciwka mijало go dwóch więźniów i jeden z nich trącił Hrabiego barkiem. Nie wiem, czy zrobił to specjalnie, czy był to tylko przypadek. Wywiązała się między nimi pyskówka i nagle tamci dwaj osaczyli Hrabiego. Nie prowokował ich, nadal trzymał dłonie w kieszeniach, a ramiona podkurczył jeszcze bardziej i wyglądał z daleka jak zbity, bezbronny kundel. Parszywe wieści szybko się rozchodzą, przemknęło mi przez myśl.

Każdy pokutnik osadzony w Centralnym Więzieniu we Wronkach zdawał sobie sprawę, że spaceriak nie był dobrym miejscem do wszczynania bójek lub konfliktów. Ci dwaj, którzy zaczepili Hrabiego, też o tym wiedzieli. Incydent skończył się tylko na niewinnym trąceniu po ramionach i mężczyźni się rozeszli.

Tradycyjnie kwadrans przed południem skazańcy, którzy byli chętni do uczestniczenia we mszy, na rozkaz jednego z dozorców nieporadnie formowali się w czwórkową kolumnę. Kiedy wyprowadzono ich poza ogrodzenie, na spacerniku pałętali się jedynie osadzeni z oddziału dziesiątego i jakieś niedobitki z innych bloków.

Mimowolnie zerknąłem w stronę okien gabinetu aspiranta Szumskiego. W szybach odbijała się tylko szarość listopadowego nieba. Byłem przewrażliwiony na punkcie tego człowieka i wolałem nie pojawiać się w polu jego widzenia. Wróciłem wzrokiem na spaceriak. Dostrzegłem Suchego. Podniosłem się z miejsca i ruszyłem w jego kierunku.

– Siemasz! – rzuciłem na powitanie i klepnąłem go w ramię. – Mam sprawę, pogadamy? – zapytałem.

– Pogadać możemy – skwitował i posłał mi znajomy grymas. – Co cię boli?

– Przejdźmy się – zaproponowałem i lekko pociągnąłem go za rękaw

więziennej bluzy. Wyjąłem  
papierośnicę, którą dostałem w  
prezencie od Ojczulka, i poczęstowałem  
go fajką.

– Ooo, a cóż to? Jakaś specjalna  
okazja? – zadrwił. – A może sobie  
czymś zasłużyłem na tę hojność? Hm,  
choć sam nie wiem, co musiałbym  
zrobić, żeby dostąpić tego zaszczytu. –  
Suchy zaczynał się rozkręcać.

– Nie pajacuj. – Ton mojego głosu  
wskazywał na to, że nie chcę toczyć  
jakiejsz głupkowatej rozmowy. – Mam  
coś do sprzedania i... byłaby  
to długoterminowa transakcja.

– Dalej, mów dalej – musiał dodać  
coś od siebie.

– Mogę ci dostarczać fajki, a ty

będziesz nimi handlował. Co ty na to?

Suchy spojrział na mnie dziwnym wzrokiem.

– I niby jak się dzielimy? – rzucił pytanie, chcąc wybadać grunt.

– Nijak się dzielimy. Interesuje mnie tylko forsa. Za paczkę zapłacisz mi tyle samo, ile kosztuje po drugiej stronie murów. Z jakim zyskiem sprzedaż, to już twoja sprawa i twój zarobek.

Suchy zatrzymał się w pół kroku.

– W czym jest haczyk? – Zawsze był piekielnie podejrzliwy.

– Nie ma żadnego haczyka. Interesuje cię taki układ?

Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– Słyszałem, że miałeś układ z Hrabią, a teraz powiadają, że facet

wyszedł na tym z kołkiem w dupie.

– Na twoim miejscu nie wierzyłbym zbyt w plotki. – Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że zostanę powiązany z tą historią. Poczuję się nieco zbity z tropu, nie tak miało to wszystko wyglądać. Niech to szlag!

– Jak to się mówi, w każdej plotce jest jakaś cząstka gównianej prawdy. Ja tam nie wnिकam. – Uniósł ręce tak, jakby chciał się poddać. – Nie moja sprawa, ale... – Umyślnie zawiesił głos, czekając na moją reakcję.

– Ale co? – prawie burknąłem.

– Ano to, że jestem ostrożny. Wiesz, kumple i pieniądze to czasami niezbyt udana kombinacja.

– Suchy, Suchy, błagam cię –



zajęczałem zrezygnowany. – Już zapomniałeś, jak dzięki mnie przytuliłeś szybki grosz?

– Wtedy to było co innego, a teraz widzę, co się dzieje z gościem, który miał z tobą jakieś konszachty.

Rozmowa zaczynała mnie irytować.

– Słuchaj – wpadłem mu w zdanie – nie było tematu. – Postanowiłem uciąć naszą dyskusję i wycofać się z mojej propozycji. – Zapomnij.

– Spokojnie, Ropuszku. – Uśmiechnął się i mrugnął znacząco okiem. – Wujcio Suchy jest zainteresowany takim układem i wie, jak bardzo nie lubisz być nazywany Ropuszkiem – dodał szybko i po przyjacielsku trzepnął mnie w ramię. – Wybacz, ale to takie miłe, stare

przyzwyczajenie. Dla mnie zawsze będziesz Ropuszkiem.

– Przestań! – warknąłem, jednak w moim głosie dało się słyszeć rozbawienie. Wiedziałem, że wszelkie próby przekonania Suchego o zmianę Ropuszka na Ropucha mogą jedynie nakręcić jego pomysłowość. – Krótko i na temat. Chcesz zarobić i wchodzisz w ten układ czy odbijasz? Wiesz, że moja oferta jest nie do przebicia. Nigdy w tym miejscu nie kupisz towaru za tę samą cenę co po drugiej stronie. Nie ma takiej możliwości. I dobrze wiesz, że jeśli będziesz brał ode mnie, zarobisz dwa razy więcej. Więc jak? – Oczekiwałem od niego konkretnej odpowiedzi.

Suchy błyskawicznie kalkulował

bilans zysku.

– Sztama! – syknął przez pożółkłe zęby, uśmiechnął się szyderczo i wystawił dłoń na zawarcie naszego układu.

– Mam jeden warunek – powiedziałem, nadal trzymając rękę Suchego. Spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem. – Płacisz mi tylko banknotami, żadnych monet.

Pokiwał twierdząco głową, dając mi tym samym do zrozumienia, że akceptuje.

Zanim machina przemocy i bezwzględności biznesu rozkręciła się na dobre, obudził się we mnie duch przedsiębiorczości i ustaliłem z

Czarnym dwie podstawowe sprawy. Po pierwsze, Hrabia miał odpracować na moje konto razem z należnymi odsetkami, jak to określał mój niby-wspólnik, równe dwieście pięćdziesiąt paczek papierosów. Po drugie, fajki miały bezpośrednio trafiać do Suchego. Nie obawiałem się też żadnego kantu ze strony mojego kumpla, bo to byłoby nielogiczne. Suchy wiedział, z kim wchodzi w konszachty, i prawdopodobnie nawet przez myśl mu nie przemknęło, żeby zachachmęcić coś w naszych rozliczeniach. Czarny był tutaj ostatnim gościem, z którym ktokolwiek chciałby mieć jakiś parszywy konflikt.

Pod koniec 1925 roku po drugiej

stronie murów paczka papierosów kosztowała średnio jeden złoty i trzydzieści groszy. Suchy zarabiał krocie. Miałem jeszcze pokaźny zapas fajek, które dostałem od naczelnika, ale od czasu do czasu posiłkowałem się u Suchego skrzynką na własny użytek. Chętnie kosztowałem nowych smaków. Do gustu szczególnie przypadły mi dwie marki egipskie i ergo. Egipskie były zdecydowanie lepsze i imponowały też opakowaniem. Spojrzenie przykuwała charakterystyczna postać starożytnego Egipcjanina na piaskowym tle.

Myślę, że należę do ludzi, których apetyt w pierwszej kolejności syci się wzrokiem.

Bóg mi świadkiem, ale nie przypuszczałem, że z dnia na dzień zyskam reputację kolesia, z którym nie warto zadzierać. To było idiotyczne, kiedy wszyscy dookoła tak właśnie zaczęli mnie postrzegać. Jedynie Ojczulek, który znał cierpką prawdę, zachował zdrowy rozsądek.

– Sam sobie jesteś winien – powiedział mi pewnego dnia. – Naprawdę sądziłeś, że nie poniesiesz żadnych konsekwencji, że chęć rewanżu nie odbije się także na tobie? Masz pojęcie, w jakie wpadniesz tarapaty, jeśli sprawy przybiorą niewłaściwy obrót? A jeśli któryś z więźniów szepnie słówko tam, gdzie nie powinien, albo jeśli ten lalusz o błyszczącym uśmiechu w

końcu pęknie i w akcie desperacji wypowiedziada się komu trzeba? Myślisz, że wtedy Czarny też będzie robił za twoją tarczę? Nie bądź śmieszny. – W jego głosie brzmiało politowanie. – Zapracowałeś sobie na tę opinię. I jeszcze na dokładkę zacząłeś się zadawać z bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

– Już jest za późno, rozumiesz? – warknąłem. – Wiem, że się wkopałem po uszy, ale teraz nic już nie mogę zrobić, żeby odkręcić całą sprawę. – Naprawdę od pewnego czasu szczerze wszystkiego żałowałem. – Myślisz, że chcę się bratać z Czarnym i jego ekipą? Popełniłem cholerny błąd i nie wiem, jak się z tego wywinąć. Proszę bardzo,

gadaj swoje i dobij mnie.

– Kiedy cię ostrzegałem, to nie słuchałeś. Nie wiem, co teraz powinieneś zrobić. Musisz się jakoś z tym wszystkim uporać, ot co. Prawdziwe pokusy i zobowiązania dopiero nadejdą. Ten świat będzie cię wciągał, nęcił, mamił, a jeśli dasz się opętać, to może nawet kiedyś zostaniesz jego niekwestionowanym królem. – Słowa, które wypowiadał, wydawały mi się jakąś chorą fantazją. – Ale pamiętaj o jednym, zawsze może zjawić się ktoś, kto będzie chciał obalić monarchę. – Zamilkł. Po chwili jednak dodał: – Myślisz czasami o tym, co z nim wyprawiają? – Miał na myśli Hrabiego.

Nic nie odpowiedziałem. Wlepiałem



wzrok w czubki własnych butów, a w środku targały mną skrajne emocje.

Ojczulek coś mówił, ale jego słowa nie docierały do moich uszu.

Cóż miałem o tym wszystkim myśleć?

– Fajnie jest kiwać paluszkami i tylko się mądrzyć, prawda? – fuknąłem nagle w stronę rozmówcy, a kolejne słowa, które przybrały formę ataku, wyrzucałem z siebie z niebywałą szybkością. – To takie łatwe i proste! Ale to ja zostałem oszukany! I co teraz?! Mam przełknąć tę zniewagę?! Pozwolić, żeby wszystko rozeszło się po kościach?! Machnąć ręką i odejść?! Tak sobie to wyobrażasz?! Ile razy mam cię o to pytać?!

Staruszek pokiwał z politowaniem

głową.

– Czy ja jestem ci wrogiem? – zapytał spokojnym głosem. – Słyszysz samego siebie? Słyszysz tę walkę, która jest w tobie? Żałujesz i prawie bijesz się w piersi, żeby pięć minut później pluć wściekłością? – Zrobił krótką pauzę. – Życzę ci tylko, żebyś nie uwikłał się jeszcze bardziej w sprawy, które cię przerosną. Czarny i jego ludzie nie mają żadnych zasad moralnych, kierują się swoim kodeksem. W ich świecie nie ma miejsca na litość i współczucie, a dzisiejszy kompan, jutro może zostać wrogiem. Niczego ci nie jestem w stanie doradzić.

Gadaj zdrów! – przemknęło mi przez myśl i z trudem powstrzymałem się, żeby

nie wypowiedzieć tych słów na głos.

Nigdy nikomu nie opowiedziałem o tym, czego się dopuściłem. Nawet Ojczulek nie wiedział, że stłukliśmy Duszańskiego w pralni. Miałem swoją tajemnicę, a sekrety często powodują, że człowiek czuje się samotny i opuszczony.

Wiem, jak to jest.

Wiem, co znaczy czuć wokół siebie samotność.

W więzieniu jest ona czymś zupełnie normalnym. Niektórzy taki stan osiągają na własne życzenie, inni – pod wpływem presji i zaszczucia otoczenia. Są też tacy, którzy nie potrafią się nijak dostosować do nowego życia, albo tacy jak ja, których los nagle wciągnął w

spirale niefortunnych okoliczności. Natomiast jeszcze inni, tacy jak Wilhelm Wolf, są skazani na tę alienację ze względu na mroczną przeszłość, która im towarzyszy jak ponury cień.

Powiem wam, że trudno jest przetrwać samemu w takim miejscu.

Co do Hrabiego pokrótce wyglądało to tak, iż w zamkniętym pomieszczeniu pralni człowiek o uśmiechu filmowego amanta, prawie każdego dnia doświadczał aktów gwałtu. To samo spotykało go również w małym, gospodarczym pomieszczeniu łaźni podczas cosobotnich kąpiel. I chociaż Czarny uważał go za swoją własność i traktował jak towar na sprzedaż, to nie

pozwalał na żadne bicie, okaleczanie czy też znęcanie się. Chętnych na zaspokojenie swojej zwierzęcej chuci było wielu. Nie wiem i nigdy nie dociekałem, jaka obowiązywała stawka za usługę. Krążyły różne wersje, a ludzie jak to ludzie pletli zadziwiające bzdury. Codziennie odzyskiwałem jakąś część długu, a w skrytce, tuż obok broni otulonej naoliwioną szmatą, przybywało zwiniętych w rulon banknotów. Ta forsa była zadośćuczynieniem za moje krzywdy, była świadectwem mojej zemsty. To były pieniądze odkupione grzechem, bólem i cierpieniem... zarówno moim, jak i Hrabiego.

W ostatnią niedzielę listopada wiatr chłostał zimnymi podmuchami i nie było

takiego miejsca na spacerniaku, gdzie człowiek mógłby się schronić przed jego potęgą. Podczas marszu grudy zmarzniętej ziemi chrobotąły pod podeszwami butów, a dłonie, choć ukryte w kieszeniach, kostniały od przenikliwego chłodu.

Razem z Ojczulkiem spacerowaliśmy wolnym krokiem, zataczając po placu kolejne rundy.

– Rok temu mieliśmy się całkiem dobrze, prawda? – Księżulo bardziej twierdził, niż pytał, a w jego słowach zabrzmiało nostalgiczne rozmarzenie.

– Prawda, Ojczulku, święta prawda – skwitowałem.

– Byłeś wtedy innym człowiekiem, Stefan. – Miałem wrażenie, być może

mylnie, że w tonie jego głosu czaił się smutek i rozczarowanie.

– Wiele się zmieniło od tamtej pory – rzuciłem w nadziei, że przerwiemy ten temat.

– O tak, masz rację, wiele się zmieniło. – Pokiwał głową i dodał: – Bardzo wiele.

Wiatr przybrał na sile.

Podniosłem kołnierz kufajki, żeby chronić przed zimnymi podmuchami odkryty kark. Przez kilka minut szliśmy w milczeniu.

– Nie udało mi się ochronić cię przed własną zawziętością – odezwał się nagle starszek. – Jak to powiadają, nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe. Życie nauczyło mnie, że to, jakimi jesteśmy

ludźmi i co dajemy światu, wraca do nas ze zdwojoną siłą.

– Czego ty chcesz ode mnie, Ojczulku? – fuknąłem. – Dobrze wiesz, jak się sprawy miały. Sądzisz, że samym gadaniem można naprawić krzywdy? Masz pojęcie, jak ja się czułem? Rozumiesz, co on mi zrobił? Dał mi nadzieję, kapujesz? Dał mi coś, czego nie powinienem tutaj doświadczyć. Potem przez długie miesiące mnie zwodził, że moja matka żyje, że potrzebuje pomocy, że ja jestem tym, który może ją wesprzeć. Ona wyzionęła ducha, a ten człowiek mówił mi, że ona ciężko choruje, że jest w potrzebie. Dlaczego jego nie potępiasz, tylko mnie?! – Mój głos wzbierał



na sile. – Dlaczego nawet nie postarasz się tego zrozumieć?!

– Wszystko doskonale rozumiem – delikatnie wszedł mi w zdanie. – A czy ty pojmujesz, czym mu się odpłacasz?

Zawrzało mi w duszy, bo odniosłem wrażenie, że księżulek akceptuje postępowanie Hrabiego, a mnie zaczyna potępiać.

– Nie chce mi się, kurwa mać, o tym gadać! – cisnąłem z nieukrywaną złością.

Ojczulek przeszył mnie srogim wzrokiem.

– W ogóle możemy przestać rozmawiać – rzucił po chwili i spojrzał w przeciwnym kierunku.

– Jeżeli mamy ciągle wałkować tę

samą historyjkę, to oczywiście, że możemy przestać! – warknąłem.

Wtedy dotarło do mnie, że nasze relacje stają się z każdym dniem gorsze. Więc, która nas kiedyś łączyła, z jasności wkraczała w cień. Wiedziałem, że staruszek jest zawiedziony moją postawą. Byłem tego świadom i jednocześnie miałem do niego spory żal, że nie trzyma mojej strony.

Z naprzeciwka szedł Suchy.

– Co jest, dziewczęta? – rzucił w naszym kierunku. – Zimno wam? Mróz szczypie w dupska? – Na dźwięk jego słów poczułem ulgę. Nadworny błazen niespodziewanie przybył z odsieczą i rozładował napiętą sytuację. Suchy zerknął na mnie wzrokiem pełnym

zadowolenia. – Ooo, widzę że będziemy świętować! Stawiasz coś na ten urodzinowy numerek? – Nie bardzo pojmowałem, o co mu chodzi. Zmarszczyłem czoło i przyglądałem się mu z zaskoczeniem. – No co tak wytrzeszczasz te maślane gałeczki? Mamy dwudziesty dziewiąty listopada. – Skierował źrenice na cyfry mojej więziennej bluzy. – Dwadzieścia dziewięć, jedenaście – wycedził przez zęby i posłał mi zwycięski uśmiech, jakby dokonał epokowego odkrycia.

– No tak – odparłem. – Rzeczywiście. – Wtedy jeszcze nie przykładałem wagi do magii liczb. Teraz, kiedy jestem świadom zaklęć, które czają się w cyfrach i ich wpływu na nasze życie,

czuję się tak, jakbym przetarł zaspane oczy i ujrzał wszystkie zdarzenia z przeszłości w jasnym i właściwym świetle.

– Więc jak będzie? – Klasnął w dłonie, puścił mi oko i stwierdził: – Czyli przejmujesz dziś obowiązki częstującego.

Bez sprzeciwu sięgnąłem po mosiężną papierośnicę i poczęstowałem mojego kompana parisjanem.

– Zostawię was samych, bo pewnie macie coś ważnego do obgadania – wtrącił zniecierpliwiony Ojczulek.

– Ważnego? O co ci chodzi? – Mój partner w interesach był mistrzem kamuflażu.

Staruszek machnął ręką i ruszył przed

siebie.

– Co jest grane? – zapytał mnie Suchy podejrzliwym głosem. – Wypowiadałeś mu się ze wszystkiego? – dodał z lekkim wyrzutem.

– Oszalałeś?! Myślisz, że łączę po spacerniku i kłapię dziobem dookoła? – odparłem.

– Mam nadzieję, że tego nie robisz, bo wielu ludzi wpędziłbyś w straszliwą kabałę.

– Chcę tylko odzyskać, co jest moje, i sprawę uważam za zamkniętą – określiłem swoje stanowisko. – A skoro księżulo strzela fochy i coś mu nie pasuje, to już jego problem – mówiłem bezmyślnie.

– I tak trzymaj, człowieku. –

Zaciągnął się głęboko dymem, klepnął mnie w ramię i dyskretnie zerknął na boki. – I trzymaj jeszcze to – powiedział i w tym samym momencie obiema dłońmi chwycił moją rękę, jakby mi za coś serdecznie dziękował. Pod opuszkami palców poczułem zwinięte w rulon banknoty. – To działka z dzisiejszego utargu. – Posłał mi uśmiech. Dłoń ze zwitkiem pieniędzy wsunąłem do kieszeni. – No to bywaj. Spadam, bo trzeba działać dalej. Wiesz, jak jest, w interesach nie ma czasu na słodkie pierdzenie. – Obrócił się na pięcie i odszedł w przeciwnym kierunku.

Zostałem sam.

Przez dłuższą chwilę trwałem

nieruchomo w miejscu i wszystkimi zmysłami czułem przytłaczającą szarość i pustkę. Bezbarwny, przygnębiony świat, który jawił się przed moimi oczami, otulał również duszę, serce i udręczony umysł. Plac pełen grzeszników i wszechobecna mroźna nijakość.

Zegar na wieży kościelnej wybił godzinę czternastą.

Tuż obok wyjścia ze spacerniaka dostrzegłem sylwetkę Hrabiego. Kręcił się nerwowo obok bramki, gdzie sterczało dwóch klawiszy. W pierwszej chwili pomyślałem, że tam czuje się bezpieczny, ale przypomniałem sobie, że w każdą ostatnią niedzielę miesiąca jego kobieta przyjeżdża w odwiedziny.

Czekał, aż go wezwą. W smutek, który mnie wypełniał, wdarło się z rykiem moje drugie ja i w głowie zabrzmiał szyderczy głos: Czy ona wie, że jesteś teraz więzienną dziwką?!

Z zakamarków mojego umysłu sączyła się rozżarzona wściekłość i rozlewała po całym ciele niczym gorzki jad.

Wtedy tego nie wiedziałem, ale za taki stan rzeczy mogłem winić tylko siebie. Swoje słabości i niedoskonałości, którymi jest skrzepowana ludzka natura.

Dzisiaj mogę stwierdzić, że poczułem się tak, jak bohater opowieści Roberta Louisa Stevenson.

Był we mnie doktor Jekyll i pan Hyde.



– Hej, Ropuch! – Usłyszałem czyjś głos z prawej strony i odwróciłem głowę. – Czarny chce z tobą gadać. – To był koleś z jego świty.

Ekipa Czarnego jak zwykle okupowała dwie ławki obok płotu po wschodniej stronie spacerniaka.

Wolnym krokiem ruszyłem w tamtym kierunku.

– Siadaj. – Czarny zaprosił mnie ruchem głowy, wskazując miejsce obok siebie. – Jak leci, przyjacielu? – zapytał. – Suchy rzetelnie rozlicza się z towaru?

– Wszystko w porządku. Jest tak, jak być powinno. – Skoro pytał, to chyba uważnie obserwował, co się dzieje pod jego nosem. To już któryś raz z kolei nazwał mnie swoim przyjacielem. Tylko

co to za przyjaźń, którą łączy jedynie wspólny interes? Nawet nie wiedziałem, jak brzmi jego prawdziwe imię.

– To dobrze – powiedział tym swoim pełnym dostojeństwa głosem. – Mam prośbę do ciebie – cedził każde słowo – chciałbym, żebyś załatwił mi dłuto.

– Dłuto? – powtórzyłem niczym echo, jakbym chciał się upewnić, czy dobrze zrozumiałem.

– Tak, dłuto. Zwykłe stolarskie dłuto. Możesz dostarczyć?

– Myślę, że da się zrobić – oparłem, ale w głębi duszy wiedziałem, że od strony organizacyjnej będzie to spory problem. Wszelkie narzędzia były skrupulatnie ewidencjonowane, a czasami bywało, że kiedy kończyliśmy

dzień pracy, strażnik odpowiedzialny za pracowników stolarni rewidował każdego przy wyjściu.

– Cieszy mnie to. Przyjaciele powinni sobie pomagać. – W całej mojej naiwności jego słowa wydawały się miłe.

– Do czego ci to potrzebne? – zapytałem po chwili.

Czarny spojrział mi prosto w oczy. Myślałem, że coś wyczytam z jego twarzy o policzkach pokrytych szczecina gęstego zarostu. Żaden mięsień, żadne ścięgno nawet nie drgnęły na surowym obliczu.

– Dłuto jest dobre na złodzieja – odparł, a ja natychmiast poczułem dziwny ucisk w dołku. Już wiedziałem,

że będą z tego kłopoty. – Bruździ w naszym wspólnym interesie, ale nic się nie martw – miałem wrażenie, że rozszyfrował moje obawy – zajmę się tym. Wszystko będzie dobrze. – Potarł zmarznięte dłonie, jakby chciał tym gestem pobudzić krew do szybszego krążenia.

Nie byłem pewien, czego ode mnie oczekuje. Nie wiedziałem, czy mam oddać mu przysługę czy podać konkretną cenę? Pytanie już rodziło się w moim gardle, kiedy Czarny nagle się odezwał:

– Widzę, że jesteś w porządku. Myślałem, że postawisz jakiś warunek, żądanie. Mile mnie zaskoczyłeś, przyjacielu. – W tonie jego głosu słyszałem szczerłość. – Widzę, że

doceniasz i szanujesz naszą znajomość. Dopóki tu będę, zawsze możesz liczyć na moją pomoc. Kiedy stąd wyjdę za parę lat i znajdę się na wolności, ty nadal będziesz miał moje wsparcie. Daję ci słowo, że nikt ci tu nie podskoczy. – W to wyznanie akurat mu nie uwierzyłem. Nasłuchałem się już sporo opowieści o tym, jak wygląda „przyjaźń” pomiędzy skazańcami kumplami, kiedy jeden z nich opuszcza więzienie, a drugi dalej odbywa karę. To była utopia. – Zdajesz sobie sprawę, że mam wpływy, prawda? Taki już jest ten mój świat, takie życie sobie wybrałem – westchnął. – Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że skończysz w takim miejscu jak to? –

zmienił zniecierliwiony temat i omiótł dookoła wzrokiem. – Tacy jak my muszą trzymać się razem, wtedy mamy większe szanse na przetrwanie.

Milczałem.

Nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć.

W sumie to już nic nie wiedziałem.

Czy kiedykolwiek później myślałem o tym, o co mnie zapytał? Chyba nie. Natomiast tysiące razy zastanawiałem się, dlaczego tak się stało. Dlaczego spotkał mnie taki los? Czy naprawdę w mojej księdze życia było to zapisane? Czy już w chwili moich narodzin Wszechmogący wskazał na mnie palcem i powiedział: „Oto człowiek, który doświadczy cierpienia!”?

Kiedy siedziałem obok Czarnego, widziałem wiele spojrzeń, które rejestrowały to zdarzenie. Podejrzewałem, że nie uszło to również uwadze klawiszy. Strażnicy lubili wiedzieć, co dzieje się na ich podwórku, a już szczególnie wtedy, kiedy ktoś kumał się z towarzystwem, które budziło ogólny respekt. Oczywiście wtedy wcale tego nie uważałem za błąd z mojej strony. Mało tego, czułem się tak, jakbym był na afiszu wiszącym w centrum miasta. Z dumą unosiłem głowę i prężyłem młodą pierś.

W pewnym momencie od strony bramki rozległ się donośny głos dozorczy Mroczkowskiego:

– Żabikowski do wyjścia!

Po chwili ryknął znowu:

– Żabikowski!

– Odwiedziny? – zapytał Czarny nieco zaskoczonym głosem.

– Nie sędzę – odparłem niepewnie i podniosłem się z ławki. – To tymczasem – rzuciłem przez ramię. Udałem się w kierunku, skąd mnie wzywano.

Klawisz z czarną opaską na oku dostrzegł w tłumie moją osobę. Łypnąłem wzrokiem w stronę Hrabiego. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że spoglądał na mnie nienawistnym wzrokiem. Patrz, parszywa gnido, syknąłem w myślach. Patrz i bój się!

Zbliżałem się do wyjścia. Kilka metrów dalej, po drugiej stronie



ogrodzenia dostrzegłem aspiranta Szumskiego. Stał w rozkroku i poprawiał na dłoniach brązowe skórzane rękawiczki. Spoglądał na mnie spod daszka czapki nasuniętej niemal na brwi, a z kącika ust zwisał mu tłący się papieros.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje się na wezwanie – wyrzuciłem z siebie lekko zdyszonym głosem regulaminową formułkę.

Strażnik otworzył furtkę z drucianej siatki.

– Zasuway do aspiranta Szumskiego. – Usłyszałem krótkie polecenie.

Ruszyłem w kierunku człowieka, do którego pałałem prawdziwą nienawiścią.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje swoje przybycie. – Sta nałem przed Szumskim na baczość niczym żołdak przed generałem.

– Miło cię widzieć, Żabikowski – powiedział, nie wyjmując papierosa z ust. – Przejdziemy się. – Podszedł do mnie, objął po przyjacielsku ramieniem niczym najlepszy ziomal i delikatnie pociągnął w lewą stronę. – Musimy pogadać. – Zacisnął palce na moim barku. – Fajnie jest, Żabikowski, prawda? – Już zaczynało mnie rozrywać od tej kretyńskiej gadki. – Idziemy sobie we dwójkę, wszyscy patrzą, jak aspirant Szumski obejmuje cię jak swego. Czarny i jego kolesie, z którymi zaczynasz zacieśniać kontakty,

są pewnie zaskoczeni. – Zamilkł na moment. – Tak, Żabikowski, mam nadzieję, że w ich pustych łbach pojawią się wątpliwości i podejrzenia. Wiesz, dlaczego to robię, prawda? – Zatrzymał się, zdjął dłoń z mojego ramienia i patrzył mi prosto w oczy. – Wiesz?

– Tak jest, panie aspirancie. – Chociaż był zimny listopadowy dzień, czułem, jak zaczynam się gotować, a gorące krople potu przeciskają się przez pachwiny. – Bo pan mnie nie lubi, panie aspirancie – dokończyłem tak, jak tego oczekiwał.

– Kurwa, Żabikowski, żebyś ty wiedział, jak ja to kocham, kiedy tak mówisz! – Karmił się swoją chorobliwą

perfidią. – Masz, zapal sobie. – Sięgnął do kieszeni długiego płaszcza, który miał na sobie, i wyjął paczkę papierosów. – No bierz i pal! – syknął wściekle.

Byłem kompletnie dezorientowany i zrobiłem to, czego żądał.

Szumski natychmiast wyjął peta z ust i podsunął mi końcówkę żaru, żebym mógł odpalić fajkę. Drugą dłonią poklepał mnie po policzku jak dobry pan wiernego psiaka.

– Fajnie jest, Żabikowski, no nie? – Najwyraźniej bawiła go cała ta sytuacja. – Ufam, że udało mi się wyrobić u twoich koleśi odpowiednią opinię. Gwarantuję, że zaczną mieć podejrzenia, ba – podkreślił z namaszczeniem – będą

mieć całą furę podejrzeń. Ale ty rozumiesz, jak przykre jest życie pracownika służby więziennej szczególnie w niedzielę, kiedy zamiast siedzieć sobie w domciu, musi pilnować tej całej hołoty. Zgodzisz się ze mną, że to niewdzięczne zajęcie, prawda? – Przechylił głowę nieco w lewo i spojrzał na mnie wzrokiem oczekującym odpowiedzi.

– Tak jest, panie aspirancie – odparłem, ledwo nad sobą panując.

– Wiesz co, Żabikowski, chyba się trochę pomyliłem – westchnął. – Bo miałem taki mały płomyczek nadziei, że będziesz się burzył, że pokażesz pazurki, że będziesz zgrywał bohatera i dasz mi powód. No cóż, ta wersja nie

wypaliła – powiedział z udawanym zrezygnowaniem. – Na pewno nie jesteś twardzielem, tylko cwaniakiem kutym na cztery łapska. Mam jednak nadzieję, że plan B przyniesie lepsze efekty. Narobię ci wrogów, Żabikowski. – Uśmiechnął się i dmuchnął mi dymem prosto w twarz.

Czułem się upokorzony.

Zerknąłem na drugą stronę siatki i ślizgając się wzrokiem po sylwetkach skazańców, przyszło mi do głowy, że powinienem mieć to wszystko gdzieś.

Szumski zatrzymał się nagle.

– A teraz tył na lewo, Żabikowski, i wolnym krokiem wrócimy do wejścia. Odprowadzę cię. – Najwyraźniej był usatysfakcjonowany. – Bo widzisz,

od rana siedzę w swoim gabinecie i zastanawiam się, jak zabić tę nudę, która mnie torturuje na służbie. Potem podchodzę do okna i co widzę? Widzę mojego ulubionego więźnia, jak knuje coś z Podolskim znanym w tym bałaganie jako Czarny. Zmartwiłem się, widząc cię w jego towarzystwie. Czyżbyś zaczynał, Żabikowski, obrastać w piórka? Budujesz tutaj sobie jakieś wsparcie? – zapytał i znowu lekko zacisnął palce na moim ramieniu. Odczytałem to jako sygnał, że mam udzielić odpowiedzi.

– Niczego nie knuję, panie aspirancie. Tak tylko sobie rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym.

– Tak tylko sobie rozmawialiście –

powtórzył wolno moje słowa. – No my też sobie tylko rozmawiamy, prawda? Rozumiesz teraz, jak to jest. Ja widzę ciebie z nimi i przychodzą mi do głowy podejrzliwe pomysły, oni widzą mnie z tobą i wyciągają podobne wnioski. Bardzo się cieszę, Żabikowski, że udało mi się zasiać wątpliwość w waszych stosunkach. Bardzo mnie to cieszy, lubię sobie czasami sprawić prezent. – Uśmiechnął się, pokazując dwa rzędy pożółkłych od tytoniu zębów. – A teraz spierdalaj na spaceriak! – syknął mi wprost do ucha, a w jego źrenicach błysnęło coś zimnego i ostrego.

Rozległ się znajomy sygnał  
oznajmiający, że czas pobytu



na spacerunku dobiegł końca. Kiedy skazańcy zaczęli formować kolumnę, podszedł do mnie Czarny i konspiracyjnie szepnął:

– To nie wyglądało ciekawie, ale ja nie wnikiem, co łączy cię z mundurowymi.

– Nic mnie nie łączy – odparłem naprędce. – Nie ma żadnego układu, to tylko gra, a jej celem jest zniszczyć moje dobre imię.

Czarny kiwnął głową w taki sposób, jakby nie do końca wierzył moim słowom.

– Ważne, przyjacielu, jest to, żeby nie ucierpiał na tym nasz wspólny interes. Pamiętaj o dłucie.

Urodzinowy numer. Zapamiętałem

na zawsze ten dwudziesty dziewiąty listopada, w którym data zbiegła się z liczbami na mojej więziennej bluzie. Gdyby nie sugestia Suchego i sytuacje, które tego dnia się wydarzyły, pewnie ten dzień mignąłby w moim życiorysie jak setki innych bezbarwnych dni.

Urodzinowy numerek to ja – więzień 29-11.

Niewątpliwie Szumski miał swój udział w kreowaniu mojej przyszłości. Poniekąd osiągnął to, co chciał, ale wyświadczył mi również pewną przysługę. Znienawidzony przeze mnie aspirant stworzył wokół mojej skromnej osoby aurę strachu. A strach to potężne narzędzie. Już dowódcy starożytnych

rzymskich legionów hołdowali powiedzeniu: „Nie muszą nas kochać, ważne, żeby się bali!”. I powiem wam, że to najprawdziwsza z brutalnych prawd. Nic tak nie wywołuje respektu jak strach. Dzisiaj sam już nie wiem, czy byłem wtedy na tyle odważny, czy też na tyle głupi, że pozwoliłem się uwieść tej maksymie. I muszę się też zgodzić z twierdzeniem Szumskiego, że zacząłem obrastać w piórka.

Z każdym dniem stawałem się coraz bardziej arogancki, przykry, bezpardonowo bezczelny i wulgarny. Powoli przestawałem się liczyć z innymi. Poczułem w sobie ponurą siłę. Byłem też dobrym aktorem, bo tworzyłem spektakle, w których

świadomie podsyciałem pewne emocje, dążąc do wywołania określonych zachowań. Moim poligonem doświadczalnym była stolarnia, a zwierzyną – Jaški. Czepiałem się ich o byle pierdoły, zasypywałem ich lawiną wymaginowanych wyrzutów, cierpkich uwag i wyszukanych wyzwisk. Pokora i brak żadnego sprzeciwu z ich strony potęgowały we mnie poczucie pewności siebie i chęć dominacji.

W połowie grudnia trafiła się wręcz idealna okazja, żeby zwędzić dłuto dla Czarnego, a winą obarczyć jednego z moich pracowników. Tak wtedy nazywałem i traktowałem Jašków. Mówiłem o nich „moi pracownicy”.

Chryste, ależ byłem wtedy żałosny! Wracając jednak do dłuta. Więzienny kapelan zgłosił w administracji, że trzeba naprawić kilka ław w kaplicy. W tygodniowym planie uwzględniono tę czynność i jeden z Jaśków miał się tym zająć. W wyznaczony dzień zabrał ze sobą swoją skrzynię narzędziową i w asyście strażnika opuścił stolarnię. Każdy z nas miał na stanie podstawowy zestaw narzędzi, za które był odpowiedzialny. Na wszystkich drewnianych trzonkach wypalono numery, a metalowe rzeczy były oznakowane białą olejną farbą. Każdy na stolarni miał swój ekwipunek i nie było szans, żeby go komuś podmienić lub zwędzić, bo Krympe dysponował

listą narzędzi wydanych konkretnej osobie i ewidencją numerów każdego przedmiotu. Jasiek wrócił z roboty w kaplicy i jak zawsze odstawił skrzynię na swoje miejsce. Wykorzystałem chwilę jego nieuwagi i wiedziony drapieżnym instynktem zacząłem działać. Wyjąłem, choć bardziej odpowiednim słowem będzie „ukradłem”, z jego skrzyni dłuto i ukryłem za regałem z deskami. Tym sposobem Jasiek popadł w tarapaty, o których teraz jeszcze nie wiedział, a ja od tego dnia pilnowałem moich narzędzi lepiej niż siebie samego.

Afera z dłutem wybuchła dopiero miesiąc później. Nie było zbyt dużego cyrku i pewnie sprawa poszłaby w zapomnienie... No tak, poszłaby w

zapomnienie, gdyby nie to, co stało się w łaźni w ostatnią sobotę stycznia. Zanim jednak opowiem wam o dłucie, muszę wspomnieć kilka słów o paru istotnych wydarzeniach.

Na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia zjawił się w stolarni naczelnik Wojciechowski. Pod pachą trzymał płótno zwinięte w rulon.

– Tak, Żabikowski – ledwo przekroczywszy próg drzwi, rzucił w moim kierunku – mam dla ciebie iście artystyczne zajęcie. – Prężnym krokiem podszedł do stołu po prawej i rozwinął pakunek. W środku był obraz. Malowidło przedstawiało dużą, czerwoną i pokrytą kropelkami rosy

różę, która leżała na surowych, sękatych deskach. Szkarłatne płatki miały tak intensywną barwę, że aż szczypało w oczy, cała reszta natomiast jawiła się w mdłych i stonowanych kolorach. Pierwsza myśl, jaka mi zaświtała w głowie, sprowadzała się do jednego słowa. Wybitne! – Potrafisz oprawić to w ładną rzeźbioną ramę? Wiesz, ale w taką, żeby stylem i kolorem pasowała do mebli, które zrobiłeś do mojej sypialni.

– Oczywiście, panie naczelniku – odparłem takim tonem, jakby chodziło o zwykłe pstryknięcie palcami.

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi. – Wojciechowski spojrzał mi w oczy i rzekł: – To ma być prezent



na Gwiazdkę dla mojej żony, dlatego postaraj się, Żabikowski. Zrób to najlepiej jak potrafisz.

– Tak jest, panie naczelniku.

W roku 1925 Wigilia przypadła w czwartek. Tuż przed południem zjawił się Wojciechowski po swój obraz wkomponowany w solidną sosnową ramę.

– No pięknie, Żabikowski, pięknie! – W głosie naczelnika rozbrzmiewał nieukrywany zachwyt. – Wiedziałem, że się postarasz, i dlatego mam też coś dla ciebie. – Podał mi książkę, którą trzymał w dłoni. – Najbardziej odpowiednią lekturę na święta. Ufam, że ta magiczna historia przypadnie ci do gustu i tym samym skłoni do głębokich przemyśleń.

– Pokiwał palcem w taki sposób, jak to robią wszyscy ojcowie świata, kiedy pouczają swoich synów.

Zerknąłem na okładkę.

Karol Dickens *Opowieść wigilijna*.

Niech to szlag! Co za kretyński tytuł!

– Dziękuję, panie naczelniku, na pewno przeczytam – odparłem z udawaną radością.

Nie wiem, czego oczekiwał naczelnik. On sam twierdził, że jego celem jest doksztąpić mnie literacko. Cóż, pewnie powinienem być mu wdzięczny, że to ja zostałem wybrańcem, a wszyscy inni skazańcy byli tylko motłochem, hołotą i ciemnym plebsem.

Ponadto wzbogaciłem się również o kolejne pięć paczek papierosów.

Wigilijny dzień pracy był krótszy i bardziej luźny niż zazwyczaj. Czujność dozorców na skali od zera do dziesięciu plasowała się na najniższym pułapie. To był dobry dzień, aby zaryzykować i zabrać dłuto, które ukradłem z Jaśkowej skrzyni.

I tak też uczyniłem.

Wiedziałem też, że nikt nie będzie kontrolował skazanego, który miał przy sobie coś, co należało do najważniejszej osoby w tej instytucji.

Wszyscy, zarówno strażnicy, jak i więźniowie, żyli już duchem nadchodzących świąt. No, prawie wszyscy. Dla Hrabiego ten dzień okazał się bolesnym koszmarem. Mogę sobie bez trudu wyobrazić, co działo się w

południe w pralni. W tej małej ciemnej klitce ukrytej za drzwiami obitymi arkuszami ołowianej blachy. W miejscu brutalnej, zwyrodniałej kaźni. To właśnie stamtąd tuż przed obiadem dozorca wywlekli rozebranego od pasa w dół Duszańskiego. Choć szedł o własnych siłach, ledwo przebierał nogami. Klawisze odprowadzili go na izbę chorych.

Hrabia potrzebował medycznej pomocy.

– Widziałem to, mówię wam, kurwa mać, widziałem na własne oczęta. – Suchy relacjonował nam podczas posiłku zdarzenie. – No kiedy to było? – zapytał sam siebie. – Raptem pół

godziny temu. Prowadzili go Frantz i Mroczkowski, a on z trudem stawiał kroki. Miał na sobie tylko więzienną bluzę i rozsznurowane buty. Pysk obity, ponoć stracił przednie zęby. Na białych udach widać było czerwone ślady krwi, a z dupy zwisała mu kicha. Czaicie? Normalnie najprawdziwsza kicha! Fuj! – Chrząknął z obrzydzeniem. Jego słowa w pierwszej chwili zrobiły na mnie piorunujące wrażenie. To dziwne, ale pomyślałem o tym, że facet już nigdy nie błysnie swoim zniewalającym uśmiechem. Kiedy jednak zgasła ta myśl, już nie znalazłem w sobie cienia żalu ani współczucia. Na powrót stałem się królem obojętności. Mój świat, moje jestestwo, moje człowieczeństwo,

zmieniały się w coś bezwzględnie ponurego. Nie obchodziło mnie, co inni zrobili Hrabiemu. Za paskiem spodni miałem wetknięte dłuto i jedynym moim zmartwieniem było to, żeby wnieść przedmiot do celi, a jutro przekazać go Czarnemu. – Wydaje mi się, że będzie z tego cholerna awantura. Ktoś za to beknie – zaczął snuć złe wróżby Suchy. Na moment zatrzymałem wzrok na Ojczulku. Zjadał bez pośpiechu ziemniaczaną papkę i czasami dyskretnie zerkał na moją twarz. W jego oczach malowała się smutna, bezgraniczna pustka. Suchy ciągle krakał, że taka sprawa nie przejdzie bez echa i jeśli tylko Hrabia powie, co się stało, posypią się łby.

– Możesz już skończyć?! – syknął Roman. – Daj zjeść, człowieku.

– Coś taki delikatny. – Suchy jak zawsze nie miał zamiaru pozostawać dłużny.

– O co właściwie chodzi z tą kiszka?  
– Boyko wszedł mu w zdanie i jestem pewien, że specjalnie drażył temat. Najwyraźniej dostrzegł słaby punkt u swojego osobistego mulo.

Wojna wciąż trwała.

Roman cisnął w jego kierunku ostre spojrzenie.

– Jak to się mówi, przecwelili go na wylot – powiedział Suchy, pozując na prawdziwego znawcę tematu. – Aż mu tunel wywróciło na lewą stronę i wyszarpało na rejony zewnętrzne –

sypnął więzienną gwarą.

Ojczulek nie wytrzymał i uderzył dłonią w blat stołu.

– Dość! Kurwa mać, dość! – prawie krzyknął. Pierwszy i ostatni raz w życiu widziałem wtedy naszego klechę tak zdenerwowanego. Także pierwszy i ostatni raz usłyszałem przekleństwo wydobywające się z jego ust. – Posłuchaj siebie! – rzucił do Suchego. – Powtórz, co powiedziałaś, i wsłuchaj się uważnie. Opowiadasz straszne rzeczy, używasz słów, za którymi kryje się czyjś ból. Nieważne, w jakie kłopoty popadł Hrabia, i nieważne, jakie bydlęta go teraz osaczają. Może zasłużył sobie na taki los, a może nie. Nie nam wyrokować, osądzać i potępiać. Jak nie



masz nic innego do powiedzenia, to zamilcz. Są święta, uszanuj ten czas. Lepiej zmów modlitwę za bliźniego i przestań się pastwić nad czyjś nieszczęściem.

– Co z tobą?! – Nagle Suchy dał się nam poznać z innej strony. Warknął do Ojczulka, a ja miałem wrażenie, że zaraz rzuci się mu do gardła. – Myślisz, że jesteś lepszy ode mnie? Naprawdę tak sądzisz? Chcesz mnie pouczać? Ty ośmielasz się decydować, o czym wolno mówić? To ty, księżulku, spójrz na siebie, gnijesz w więzieniu prawie pięćdziesiąt lat, więc daruj sobie. Nikt cię nie zmusza do tego, żebyś słuchał. Wcinaj obiadek, a w myślach klep pacierze. Co roku na święta ta sama

gadka – westchnął teatralnie. – To już jest nudne, rozumiesz? Nie obchodzi mnie ani twój Bóg, ani jego kolejne urodziny. Kapujesz, staruszk?

Suchy zamilkł.

Bywały takie chwile jak ta, że nagle wszystko się sypało, a atmosfera pomiędzy nami stawała się kwaśna i gęsta. Pewnie rok temu wziąłbym Ojczulka w obronę, ale wtedy byłem kimś zupełnie innym. Zerknąłem na księżulka. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na ułamek sekundy, a jego wzrok mówił: I co? Nic nie powiesz? Naprawdę?

Wtem drzwi stołówki otworzyły się na oścież, a w ich świetle ukazał się aspirant Szumski w towarzystwie

Frantza i Blaszańskiego.

– Ten, kto usłyszy swoje nazwisko – odezwał się Frantz donośnym głosem – odnosi tacę do okienka zmywaka i wychodzi przez te drzwi. – Machnął energicznie dłonią z wystawionym kciukiem, wskazując kierunek za swoimi plecami.

Szumski podał mu złożoną na pół kartkę.

Po chwili klawisz zaczął czytać nazwiska.

– Zieliński! Pawlik! Hajer...! – wywoływał kolejnych.

– Oho – syknął Suchy – czyli sprawa się ryła. Wyczytuje obsadę pralni. W końcu będzie jakiś ubaw w tym nudnym pierdłu! – Zaczął szybciej jeść.

– ...Podolski! Sucharski...!

Suchy wstał, puścił do mnie oko, po czym pochylił się nad stołem i rzucił w stronę Ojczulka:

– Masz teraz okazję zmówić wiele modlitw za wielu bliźnich. Ciekawe, czy twój Bóg ich wysłucha – zakpił szyderczo i odszedł.

Frantz wypowiadał kolejne nazwiska, a Blaszański w tym czasie przechadzał się pomiędzy stołami. Zatrzymał się przy naszym i stanął tuż obok mnie po lewej stronie. Końcówką pałki dotknął grzbietu książki, która spoczywała na blacie i warknął, kierując do mnie pytanie:

– Co to jest?!

– To jest książka, którą pożyczył

mi dzisiaj naczelnik, panie przodowniku – odpowiedziałem jak należy.

– Dla ciebie: pan naczelnik – poprawił mnie groźnym głosem.

– Tak jest, panie przodowniku. Pan naczelnik.

Błaszarski sięgnął po dzieło Dickensa. Przekartkował strony, jakby się spodziewał, że znajdzie tam coś innego niż zadrukowane kartki. Obrócił się w stronę wyjścia i pokazał Szumskiemu przedmiot. Aspirant w odpowiedzi kiwnął mu głową i wbił we mnie swoje spojrzenie. Strażnik położył książkę na swoim miejscu. Wzrok Szumskiego przeszywał mnie na wskroś. Na myśl o dłucie wciśniętym za pasek spodni poczułem na karku

zimne mrowienie.

Frantz skończył czytać nazwiska z listy i po chwili cała ekipa zniknęła za drzwiami.

– Jaki tytuł? – zapytał Ojczulek.

– *Opowieść wigilijna*.

– Opowieść wigilijną to te pacany usłyszą za chwilę od Szumskiego – skwitował Roman, najwyraźniej mając na myśli tych, którzy opuścili stołówkę.

A co jeśli Hrabia powiedział prawdę? Co wtedy?! – pytał ochryply głos Końskiej. Huśtawka emocji rozbijała się od nowa.

Kiedy znalazłem się w celi, zrobiłem niedużą dziurę w sienniku i wetknąłem tam dłuto. Wiedziałem jedno, że jeśli

zrobią mi kipisz i znajdą ten przedmiot, będę skończony. Wszystko zniknie, stracę posadę na stolarni, zostanę srogo ukarany i przypadną mi w udziale najbardziej parszywe zajęcia. Balon ochronny, który roztaczał się wokół mnie dzięki przychylności naczelnika, pęknie niczym delikatna bańka mydlana, a wtedy będę już miał przesrane na całego. A jeżeli Hrabia sypnie?! – pomyślałem. To będziesz załatwiony na cacy – odpowiedziałem sobie.

Położyłem się na wznak. W uszach słyszałem głucho, nieco przyspieszone uderzenia tętna. Jak to możliwe, że tak się wkopałem? Sytuacja zapętlila się w niewyobrażalny sposób, a ślepy los zapędził mnie w ciemny zaułek.

Momentami ogarniało mnie zwątpienie. Ojczulek chyba ma rację! Niech to szlag! Chyba ma cholerną rację! Myśli zaczynały dusić i kęsać. Wkraczałem w królestwo chaosu. Coraz bardziej, coraz mocniej i głębiej. Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw. Przecież nie tak to wszystko miało wyglądać. To, co jeszcze zostało we mnie z człowieka, jakim kiedyś byłem, oceniało sytuację z zupełnie innego pułapu. Spodziewałeś się, że wszystko ujdzie ci płazem? Naprawdę? – odezwała się we mnie moja dobra część. Zamknąłem oczy i powtarzałem w duchu alfabet, musiałem skupić się na czymś innym. Kilka godzin temu rżnąłem bohatera, a teraz drżałem z przerażenia. Nagle mój wzrok spoczął



na książce, sięgnąłem po nią i zacząłem czytać. Już po kilku stronach dostrzegłem podobieństwo pomiędzy mną a fikcyjnym bohaterem opowieści Dickensa.

Ebenezer Scrooge też był samotny.

Stałem w oknie, wpatrując się w grudniową noc. W blasku latarni płonących wzdłuż wysokiego więziennego muru widziałem swobodnie opadające drobinki śniegu. Hen w oddali czerń budynków niewyraźnie malowała się na ciemnym tle wigilijnej nocy. W oknach domów połyskiwały żółte światła, od których biło coś naprawdę magicznego. Zegar na wieży kościelnej wybił kwadrans

po osiemnastej. Gdzieś tam w oddali ludzie zasiadali całymi rodzinami do uroczystej wieczerzy, dzielili się opłatkiem, składali sobie życzenia, kolędowali... Kiedyś doświadczałem tego samego co oni. A dzisiaj? Dzisiaj było to dla mnie tylko mdłym wspomnieniem, tak odległym, jak galaktyki widoczne z drugiego końca Drogi Mlecznej.

Skoro do tej pory jeszcze po mnie nie przyszli... – pocieszałem się w myślach. Takie rozumowanie miało dla mnie sens. Gdyby Hrabia złożył prawdziwe zeznania, nie tkwiłbym tutaj, patrząc na świat z okna mojej celi. Zapaliłem papierosa i czekałem jak na zbawienie, żeby wreszcie odezwał się przy

sterowni donośny gong obwieszczający wyjście na wieczorny posiłek. Wciągnąłem głęboko dym w płuca. Pieprzyć to! Pieprzyć święta, Hrabiego i całą resztę! Na chwilę wróciła moja pewność w siebie i w bezkarność. Na krótko jednak, bo znowu w mojej głowie zakręcił się młyn wątpliwości. Z jednej strony towarzyszył mi strach, a z drugiej zupełna obojętność. Jeszcze jakiś czas temu miałem do osiągnięcia konkretny cel... A teraz? Teraz chodziło już tylko o to, żeby przetrwać. Tylko po co?

Mógłbym wbić sobie dłuto w serce i skonać tutaj, w tej małej celi, ale moja śmierć też by nic nie znaczyła. Kto uroniłby po mnie choć jedną łzę?

No właśnie. Kto? Tak sobie to wymyśliłeś? – skierowałem pytanie prosto do Boga, patrząc w ciemne niebo. Skoro stworzyłeś mnie na swój obraz i podobieństwo, wcale nie jesteś lepszy ode mnie. I wiesz co? Jeśli taki z Ciebie wielki Wszechmogący, to Ty ponosisz odpowiedzialność za to, kim jestem!

Winę zrzuciłem na barki Boga. Najłatwiej było zrzucić winę na kogokolwiek, nawet samego Boga, niż przyznać się do popełnionego błędu.

Więźniowie pracujący w pralni nie zjawili się na uroczystej wigilijnej kolacji. Widocznie przesłuchanie i wytropienie winnych lub winnego nadal było w toku.

Bożonarodzeniowa noc przeniosła mnie po raz kolejny do krainy koszmarów. Śniłem jakieś niedorzeczne historie, w których przewijała się plejada znajomych postaci. Moja matka, martwy Franek Wencel, Agnieszka z niesamowicie napęczniałym brzuchem, Trufel, mój kumpel z dzieciństwa, i Hrabia ze swoim filmowym uśmiechem. Przebudziłem się, kiedy zegar na wieży kościelnej wybił godzinę czwartą. Przetarłem dłonią spocone czoło i niemal natychmiast sięgnąłem po papierosa. A jednak po mnie nie przyszli – nie potrafiłem oderwać myśli od tego parszywego zdarzenia. Martwiło mnie tylko to, żeby nie powiązano mnie z podłą historią Hrabiego. Momentami

uciekałem do wspomnień z przeszłości, mając nadzieję, że zatracę się w tamtych chwilach i wyrwę z więziennej rzeczywistości. Wszystko jednak wracało niczym bumerang. Myśli pęczniały i rozsadzały głowę. Teraz ja miałem okazję poczuć się, jak osaczone dzikie zwierzę, które szuka drogi ucieczki. Nagle usłyszałem odgłos kroków na drewnianych podestach. Wzdrygnąłem się. To jeden ze strażników na nocnej służbie robił obchód po bloku, a ja poczułem się tak, jakby szedł do mnie w odwiedzin pierwszy duch z opowieści Dickensa. Brakowało tylko szczęku szurających łańcuchów. Wyobraźnia z bezwzględnym szyderstwem manipulowała moimi

nastrojami.

W dniu moich urodzin powiedziała, że termin narodzin jej dziecka wypada za dwa miesiące – nie wiem, dlaczego nagle nawiedziło mnie to wspomnienie, chyba przez te majaki senne. Miałem nadzieję, że ta przeszłość umarła, przepadła, że już nigdy więcej nie pojawi się w mojej głowie. Dumanie o tym do niczego nie było mi potrzebne. Pewnie już urodziła. To chłopczyk czy dziewczynka? Znienacka w moim żołądku rozpanoszył się bolesny ucisk. Poderwałem się na równe nogi, doskoczyłem do wiader i zwymiotowałem, wydobywając z gardła nienaturalne jęki. Krople zimnego potu pokryły skórę. Co się dzieje! Co się

ze mną dzieje! – krzyknąłem w myślach. W ustach czułem żrący kwas. Zaczerpnąłem łyk wody. Wilgotna ulga otuliła mój rozpalony język. Chwilę później dowlokłem się do pryczy, padłem na wznak, a wzrok utkwilem w żółtej poświacie wpadającej przez okratowane okno. Resztę nocy spędziłem, dręcząc się swoimi myślami. Świat nie miał mi już nic do zaoferowania, kompletnie nic. Poza murami więzienia nie miałem nikogo, żyłem sam dla siebie. Niczym nie różniłem się od zaszczutego zwierzęcia, które ma w sobie jedynie instynkt przetrwania. Tej nocy zrozumiałem, że jeśli chcę istnieć i funkcjonować, jeśli chcę oddychać i czuć w sobie życie,



muszę o to bezwzględnie walczyć.

– I co, zabawili się z wami? – zapytał Roman Suchego, siorbiąc poranną kawę.

– Ee tam. Szumski się trochę powściekał, pokrzyczał, pogroził pałeczką – relacjonował nasz kumpel. – Hrabia na pewno nic nie powiedział, bo gamoniom brakowało punktu zaczepienia. Potem zjawił się naczelnik, walnął umoralniającą gadkę, ale ogólnie to wiecie, najpierw były trzy małpy. – Uśmiechnął się cwaniacko. – A potem jeden z chłopaków Czarnego przyznał się do winy. Chociaż wydaje mi się, że za odpowiednią opłatę po prostu wziął cios na siebie, aby chronić innych, czyli winnych, i tym samym ukręcić łeb całej

sprawie.

– Trzy małpy? – zapytałem zdziwiony. Naprawdę jednak byłem ciekawy czegoś innego.

– No rozumiesz – westchnął – nic nie słyszę, nic nie mówię, nic nie widzę.

– Nie kapuję – zaprzeczyłem, nie pojmując jego wyjaśnień. – O co chodzi z tymi małpami?

– No tak już jest – bąknął Suchy z lekkim zniecierpliwieniem.

– Wcale tak nie jest – odezwał się nagle Ojczulek. – Mówisz o czymś, nie mając kompletnie żadnego pojęcia. – Wyczułem w jego głosie drwinę. Jakby chciał nam uświadomić, że Suchy to prostak, który tylko wesoło kłapie dziobem.

– Tak? No to może mi wyjaśnisz – warknął złośliwie jego rozmówca.

– Trzy małpy to symbol pochodzący z dalekiej Azji i mający setki lat – kontynuował. – Symbol zakorzeniony w buddyjskiej religii, który przedstawia posąg trzech siedzących małp. Pierwsza trzyma dłonie na uszach, druga na ustach, a trzecia na oczach. – Za każdym razem używał rąk i prezentował nam to w bardzo obrazowy sposób. – W interpretacji tamtej wiary: kto nie słyszy zła, nie mówi o złu i nie chce go widzieć, sam siebie chroni przed złem. Zachodnia kultura natomiast, którą my również reprezentujemy, zupełnie ignoruje to przesłanie. Ale sam wizerunek trzech małp przyjął się

doskonale na Zachodzie, a szczególnie w środowiskach przestępczych. – Ojczulek ostentacyjnie omiół wzrokiem całą stołówkę. – Tutaj oznacza to znowę milczenia. Nic nie widzę, nic nie mówię, nic nie słyszę. Słowem, jest to spisek.

– No i wszystko jasne – skwitował Suchy. – Jedni mają swoje trzy małpy, a inni czwarty gwóźdź, prawda Romuś? – Posłał mu oko.

Boyko parsknął śmiechem.

– A co z tym, który się przyznał? – zapytałem z nieukrywaną ciekawością.

Ojczulek na dźwięk moich słów posłał mi surowe spojrzenie.

– No jak to co? Wczoraj oberwał i do dalszego ukarania – stwierdził Suchy,

jakby było to coś zupełnie naturalnego i oczywistego. – Najpierw karcer, a potem izolatka. Posiedzi kwartał pod kluczem, zero pracy, zero wyjść na spaceriak, zero kontaktu z innymi, w trakcie kary od czasu do czasu jakieś lanie, żeby miał nauczkę, i tyle.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że słowa Suchego to gra pozorów w najlepszym wydaniu. Opowiadał o całym zdarzeniu tak, jakby rozegrało się w ciągu pięciu minut, a nie podczas pięciu godzin. Ale muszę przyznać, że całkiem przekonująco wypadł w roli nonszalanckiego twardziela.

Prawda miała jednak inne oblicze i była taka, że wszelkie zepsute i niemoralne akty, do jakich dochodziło

pomiędzy więźniami, były surowo karane. Zamykano delikwenta w karcerze, a potem trafiał na blok izolacyjny. Blok był odrębnym budynkiem, gdzie w pojedynczych celach przetrzymywano skazańców, którzy sprawiali uciążliwe problemy. W tamtych czasach znaczyło to, że na izolacyjny, bo tak potocznie nazywaliśmy to miejsce, trafiali więźniowie niebezpieczni, agresywni, alkoholicy, dewianci, morfoniści oraz tacy, którzy byli uznani za ludzi z problemami psychicznymi. Takie rozwiązanie dawało władzy szerokie pole manewru, bo bardzo łatwo było uznać kogoś za człowieka z zaburzeniami. Pamiętam takie przypadki,

że trafiali tam ludzie niepoprawni politycznie, choć zupełnie zdrowi na umyśle. Nieoficjalnie określano ich mianem niewygodnych. Do tej kategorii zaliczono pewnego oficera kawalerii, który uwiódł żonę znamienitego dygnitarza rządowego... Wspomnę jednak o nim nieco później, bo historia porucznika Zarzecznego zdarzyła się dopiero w roku 1936.

Na bloku izolacyjnym więźniowie przebywali długie tygodnie, najkrótsza kara bowiem trwała tutaj trzy miesiące. Codziennie wyprowadzano ich jedynie na pięciominutowy spacer w pojedynkę, a posiłki donoszono do cel. Strażnicy mieli zakaz rozmowy z osadzonymi tam więźniami. Naprawdę trzeba było być

cholernie twardym i mieć psychikę ze stali, żeby nie popaść w obłąd lub apatię.

Jestem jednak pewien, że każdy, kto zaliczył blok izolacyjny, w pewnym sensie już nigdy nie był sobą.

Przed wyjściem na spaceriak wyjąłem z siennika dłuto i ukryłem je za paskiem na plecach. Zerknąłem przez kraty. Po drugiej stronie prętów świat chował się za kurtyną śnieżnej zamieci. Wiatr porywał i targał we wszystkie strony duże, śnieżnobiałe płatki. W taką pogodę jak ta można było przekazać sobie na spacerniku nawet lokomotywę albo okręt, a klawisze i tak by tego nie dostrzegli. Fortuna mi sprzyjała.



Wolnym krokiem sunąłem w kierunku, gdzie podczas wietrzeń Czarny przesiadywał razem ze swoją kompanią. Połacie gęstego śniegu niczym atlasowe zasłony falowały z prawej na lewą, z lewej na prawą i opadały w dół. Najgorzej było, kiedy wiatr dmuchał prosto w twarz. Musiałem wtedy pochylić nieco głowę i miałem wrażenie, że przebijam się przez ścianę ciężkiego, białego puchu.

– Diabli nadali ten cholerny śnieg – syknął Czarny, poprawiając stojący kołnierz kufajki. – Co cię sprowadza, brachu? – zapytał.

– Mam dla ciebie świąteczny prezent – odparłem. – Coś na złodzieja.

Czarny gwizdnął, a potem kiwnął

głową w kierunku najbardziej rosnącego mężczyzny z jego grupy.

– Daj mu to cudo.

Dyskretnie sięgnąłem za pasek na plecach.

Człowiek Czarnego wsunął narzędzie w rękaw i odszedł bez słowa.

– Papierosa? – zapytałem, wyjmując z kieszeni spodni mosiężną papierośnicę.

– Chętnie. – Prezent od Ojczulka przykuł wzrok mojego rozmówcy. – Mogę zobaczyć? – Podałem mu przedmiot. – Ładna rzecz – powiedział po chwili – bardzo solidna. Może pohandlujemy?

– Obawiam się, że nie jest na sprzedaż. Zbyt osobista. – Palcem wskazałem na wygrawerowane litery i

cyfry w górnym rogu. – To moje inicjały i data dwudziestych piątych urodzin.

– Piękny prezent, szykowny. –  
Zwrócił mi cygarnicę.

Wiatr nieco zelżał.

Zaciągnąłem się głęboko dymem, jakbym chciał sobie dodać nieco odwagi, i zapytałem wprost:

– Co stało się Hrabiemu?

– Nic szczególnego, przyjacielu – odparł tym swoim ochrypłym głosem. – Sytuacja nieco wymknęła się spod kontroli, ale wszystko jest w jak najlepszym porządku. Sprawy zostały wyprostowane. Martwisz się, że trop może prowadzić do ciebie? – Bez trudu rozszyfrował moje obawy. Chociaż nie trzeba było nieprzeciętnej inteligencji,

żeby dojść do takiego wniosku.

– Szczerze powiedziawszy, to tak. – Nie miałem zamiaru kręcić i udawać gieroja.

– Łączy nas interes, jesteśmy partnerami, nazywam cię moim przyjacielem – cedził – mam dalekosiężne plany, w których widzę również twój udział. – Na dźwięk tych słów poczułem na plecach nieprzyjemne mrowienie. – Powinieneś mnie chyba obdarzyć większym zaufaniem. – Na jego ustach pojawił się delikatny uśmiech. Niestety nie dostrzegłem w nim cienia sympatii, lecz jedynie hardą pewność siebie. – Odbijasz swoje straty? – zapytał i spojrzał mi w oczy, zmieniając temat.

– Tak.

– Czy twoja gorzka krzywda została osłodzona?

Spojrzałem przed siebie i wcale nie byłem pewien, czy zemsta przyniosła mi ulgę. Nie chciałem jednak, żeby dostrzegł moją słabość, pokiwałem więc głową i odparłem dyplomatycznie:

– Spotkało go to, na co sobie zasłużył.

– Jesteśmy do siebie podobni, przyjacielu. – Poklepał mnie dłonią po ramieniu.

Wydawało się, że nieustająca zamięć nigdy się nie skończy. W śnieżnej zawierusze II Rzeczpospolita wkraczała w 1926 rok. Rok wyjątkowych i burzliwych zmian.

Już w sylwestrową noc na balach i rautach zawiązywano pierwsze polityczne sojusze. W kuluarach Sejmu krążyły złowieszcze plotki, a za zamkniętymi drzwiami gabinetów dostojnicy i włodarze kreślili podstępne projekty i plany. Już wtedy lufy karabinów zostały skierowane przeciwko każdemu, kto będzie miał zamiar powiedzieć veto przyszłej, nowej władzy. Wojskowe elity pod przywództwem marszałka Piłsudskiego formowały zwarte szeregi. Strategiczne plany nabierały realnych kształtów. Wtajemniczeni wiedzieli, że jeśli padnie rozkaz: Ognia! – to każde polskie więzienie oberwie solidnym rykoszetem.

Świat po drugiej stronie murów,

choć odgradzony tylko zasiekami i ścianą z czerwonej cegły, był bardzo daleko stąd. Tutaj królują inne prawa i zasady. Istnieje żelazny regulamin, służbowe dyrektywy i postanowienia. Jest też niepisany kodeks, któremu musi się podporządkować każdy, kto ma na sobie szary więzienny uniform. Jest jednak coś, pewna cecha wspólna, dla której niektórzy ludzie z obu światów są w stanie poświęcić wszystko. Tej żądz na imię – władza. Tam, gdzie toczy się o nią walka, i nieważne, czy jest to rządowa aula, biuro, wojskowy sztab czy więzienie, panuje ta sama zasada – kto nie jest z nami, ten przeciwko nam!

Nie wiem, jak ma się do tego ludzki rozsądek, ale cynizm podpowiada, żeby

trzymać się po stronie silniejszego.

Tak jak każdego roku inwentaryzacja rozpoczęła się w pierwszych dniach stycznia. Starszy referent Krympe skrupulatnie odhaczał każdą pozycję w swoim kajecie. Oczywiście, kiedy doszło do rewizji skrzynek narzędziowych, pojawiła się sprawa zaginionego dłuta.

– Jak to nie ma? – Krympe przyglądał się naszej trójce zza szkieł swoich okularów. – Nie bardzo rozumiem. Narzędzia nie rozpuszczają się w powietrzu. – Lewą dłonią pogładził zaczesane do tyłu włosy, idealnie pokryte warstwą błyszczącej brylantyny.

Dozorca Rogalski spojrział na Jaśka



groźnym wzrokiem, a ten nie bardzo wiedział, jak wytłumaczyć brak przedmiotu. Nie mieliśmy w zwyczaju codziennego przeglądania skrzynek narzędziowych i sprawdzania ich stanu. Dwa razy przetrząsnęliśmy wszystkie zakamarki stolarni. Pojawiła się najbardziej prawdopodobna sugestia, że dłuto musiało przez przypadek zawieruszyć się podczas jakiejś zewnętrznej roboty.

– Trzeba to zgłosić aspirantowi Szumskiemu – skwitował Robalski i wysłał towarzyszącego mu strażnika z wiadomością do ich przełożonego.

W tym samym czasie my prowadziliśmy dalsze liczenie. Pozostały asortyment, który był

na stanie, zgadzał się z zapiskami starszego referenta.

W papierach wszystko grało jak należy.

Wtem drzwi do stolarni rozwarły się z hukiem, a w ich świetle na tle padających śnieżnobiałych płatków ujrzeliśmy czarną sylwetkę Szumskiego.

– Żabikowski! – krzyknął. – Do mnie!

Podszedłem bliżej.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje się na wezwanie.

– Ty ponoć jesteś tutaj odpowiedzialny za cały ten bałagan. – Dłonią w skórzanej rękawiczce złapał mnie za brodę.

– Tak jest, panie aspirancie.

– Więc powiedz mi, Żabikowski, jak

to możliwe, że wykazujecie braki? Dłuto? Dłuto to niebezpieczne narzędzie – warknął. – Przeszukanie cel zapewne nic nie da, ale i tak to zrobimy. – Zamilkł na moment, spojrzął na referenta i zapytał: – Brakuje czegoś jeszcze?

– Tylko tego nieszczęsnego dłuta, poza tym reszta się zgadza – odparł Krympe.

Aspirant omiół wzrokiem pomieszczenie.

– Robalski, pędzisz tę trójkę na blok. – Kiwnął głową, wskazując na mnie i na Jaśków. – Tam sobie z wami odpowiednio pogadam – syknął w naszą stronę.

Nasze cele zostały przetrzepane,

zanim dotarliśmy na miejsce. Oczywiście tak jak wyrokował aspirant, nie znaleziono w nich nic niewłaściwego. Nie mam pojęcia, jak wyglądała jego rozmowa z Jaškami, ale przypuszczam, że oni również przyjęli kilka profilaktycznych razów drewnianą pałką. Ot tak, dla rozrywki i dla zasady.

Stałem pod ścianą obok okna w taki sposób, jak określał to regulamin. Wyprostowany niczym struna, ręce obciągnięte wzdłuż ciała i wzrok skierowany przed siebie.

Szumski oparł się pośladkami o blat drewnianego stołu, czapkę przesunął na tył głowy i kartkował strony *Opowieści wigilijnej*.

– Przeczytałeś? – zapytał w pewnym

momencie, nie odrywając wzroku od stron.

– Tak jest, panie aspirancie, przeczytałem.

– I co? Jakieś refleksje, przemyślenia? – Z grymasem pogardy na twarzy cisnął książkę na stół.

– Ciekawa opowieść, panie aspirancie. – Wiedziałem, że najlepiej będzie odpowiadać na każde pytanie.

Szumski podszedł do mnie na tyle blisko, że czułem nieświeży oddech z jego ust.

– A ciebie, Żabikowski, nawiedzają jakieś duchy?

Od razu przemknęło mi przez myśl, że on jest jednym z nich.

– Nie mam takich problemów, panie

aspirancie. – Moje dłonie robiły się wilgotne od potu.

– Na razie jeszcze nie masz problemów, ale obiecuję ci, że będziesz je miał – mówił wolno i wyraźnie. – Nadciągają poważne zmiany, Żabikowski. Bardzo poważne. – Zrobił pauzę. – Wiesz, tak się zastanawiam od jakiegoś czasu nad historią Duszańskiego. Coś mi w tym wszystkim nie pasuje. Bratałeś się z nim, nieraz widziałem, jak knujecie razem na spacerunku, a potem... ciach! – Patrzył mi prosto w źrenice. – Co się stało, Żabikowski? Hrabia coś ci obiecał, a potem wystawił cię do wiatru?

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie

aspirancie. – Moje serce nagle przyspieszyło.

– Ty już tam swoje wiesz – ciągnął. – Później skumałeś się z ekipą Czarnego i pewnego dnia Duszański trafia ze strzaskanym pyskiem i poszarpanym odbytem do lazaretu. O dziwo, winny szybko się znajduje. Naczelnik uważa sprawę za rozwiązaną i nakazuje zamknąć wewnętrzne dochodzenie. Jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem, panie aspirancie.

– Zdradzę ci wesołą wiadomość. Otóż, panie Żabikowski, twój dobroduszny naczelnik ma nadzieję, że niebawem opuści naszą placówkę. Cieszysz się? – Posłał mi uśmiech pełen złośliwego zadowolenia. – Mnie

osobiście ten fakt bardzo raduje – mówił z nieukrywaną satysfakcją. – Plotka głosi, że pan Wojciechowski będzie teraz robił karierę w samej stolicy, w samym Ministerstwie Sprawiedliwości. A taka parszywa sprawa jak gwałt na więźniu mogłaby skalać jego wizerunek, a może nawet stanąć barykadą na drodze do tak znamienitego awansu. Więc co trzeba zrobić? Wyciszyć incydent, zdławić aferę w zarodku, ukarać winnego, posprzątać cały bałagan i odłożyć akta na półkę. Ja natomiast sędzę, że sprawa Duszańskiego cuchnie i ciągle mnie dręczą jakieś niespokojne podejrzenia. Ja mam nosa Żabikowski. – Palcami prawej dłoni pogłaskał swoje nozdrza.



Obrócił się na pięcie i ponownie podszedł do stołu. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. – Dziwnym trafem ze stolarni ginie dużo, niby nic, niby drobna rzecz, a jakże zabójcza zarazem. I ty znowu jesteś w pobliżu, ciągle jesteś tam, gdzie dzieje się coś nieprzewidywalnego. – Zaciągnął się, głęboko wdychając dym w płuca. – Dziwne, prawda? – Nie czekał na moją odpowiedź, kiwnął głową w kierunku siennika, który leżał w poprzek pryczy i zapytał: – Skąd ta świeża dziura? – Otwór grubości kciuka spoglądał na nas zza postrzępionych krawędzi. Rzeczywiście wystające na obrzeżach nici mogły sugerować, że to całkiem

niedawne rozdarcie.

– Nie mam pojęcia, panie aspirancie, może stało się to podczas dzisiejszej rewizji? – zasugerowałem bezmyślnie taką możliwość.

To był błąd.

Kątem oka dostrzegłem, jak palce Szumskiego zaciskają się wokół skórzanego uchwytu czarnej pałki.

– Nie kpij, Żabikowski! – syknął wściekle i posłał mi cios w trzewia. Zgięło mnie w pół. – Jak chcesz, to mogę cię zaraz rozerwać! – Chwycił w garść moje włosy na potylicy, a kolejne ciosy rozbiły się o mój grzbiet. Kiedy zwolnił uścisk osunąłem się na posadzkę i przyjąłem jeszcze kilka kopniaków na korpus.

Szumski przestał bić. Obciągnął bluzę munduru, poprawił czapkę, przekrzywił głowę w bok i powiedział z tym swoim szczerzym grymasem:

– Ech Żabikowski, poprawiłeś mi humor – zadrwił jak zwykle. – Nawet nie masz pojęcia, jak ja cię nie lubię!

– Dobrze poszło, przyjacielu – Czarny położył dłoń na moim ramieniu. – Mamy raptem połowę stycznia, a ty już odzyskałeś, co było twoje. Zadowolony?

– Tak, odzyskałem, co moje – powiedziałem, patrząc na grudy zamarzniętego śniegu. Czy byłem zadowolony? Chyba nie myślałem o tym w taki sposób. Określenie „zadowolony” ma bardzo pozytywny

wydzwięk, trudno natomiast mówić o zadowoleniu, mając świadomość, co musiał robić drugi człowiek, żebym ja osiągnął cel. W podsufitowej belce spoczywała przecież brudna forsa. – I co teraz będzie z Hrabią?

– Nic. Dalej będzie pracował, ale już na mój rachunek. – Poklepał mnie po barku. – Teraz ja muszę odzyskać swój procent za przysługę, jaką mu wyświadczyłem.

– Przysługę? – Nie bardzo wiedziałem, jak mam rozumieć jego słowa.

– Ano przysługę. W końcu to ja pomogłem mu uregulować wasze rachunki, ja zorganizowałem mu możliwość spłaty długu, prawda?

Jestem tylko pośrednikiem, nie robię niczego w imię zasad lub z życzliwości. Taki jest mój świat i takimi rządzi się prawami – westchnął. – Złe się stało jakiś czas temu, trochę w tym mojej winy, bo pozwoliłem chłopakom na więcej niż zazwyczaj, no ale w końcu mieliśmy już prawie święta... Gwiazdka, prezenty, podarunki. – Ton jego głosu brzmiał, jakby opowiadał jakąś zabawną historyjkę. Dla mnie nie było w tym nic śmiesznego, lecz nie miałem w sobie na tyle odwagi, żeby mu to powiedzieć. A może nie miałem już w sobie na tyle człowieka, żeby wykrzesać z siebie jakiegokolwiek ludzkie odruchy? – A cóż to? Widzę, że trochę cię to ruszyło. – Patrząc na mnie,

skwitował z lekką pogardą.

– Nie, nie ruszyło – odpowiedziałem z naturalną swobodą. Chuchnąłem w dłonie, a z moich ust wydobyły się obłoki mlecznej pary.

– To było zaniedbanie z mojej strony, przyznaję się do winy. Popuściłem cugli i skończyło się tak, jak się skończyło. Mówi się trudno, nie ma sensu dzisiaj płakać nad rozlanym mlekiem. Było, minęło. – Machnął ręką niczym straganiarz opowiadający o drobnych stratach. – Duszańskiemu nie stanie się już żadna krzywda, postanowiłem oszczędzić jego dupsko i teraz będzie zarabiał tylko ssaniem.

Kiedy to usłyszałem, splunąłem z niesmakiem.

– Oj przyjacielu, widzę, że jesteś bardzo delikatny. – Czarny zaśmiał się w głos. W tej samej chwili zrozumiałem, że siedzę obok człowieka, który, tak jak to sugerował Ojczulek, był całkowicie pozbawiony jakichkolwiek skrupułów. – Coś ci powiem – rzekł całkiem poważnie. – W takim miejscu jak to – kiwnął głową w kierunku więziennych budynków – każdy, kto ma choć odrobinę oleju we łbie, nie powinien czekać, aż życie samo go zahartuje.

Wynagrodzenie w służbach mundurowych było – i nadal jest – uzależnione od rangi posiadanego stopnia. Wszyscy dozorczy, czyli funkcjonariusze z najniższego pułapu

płacowego, w porównaniu do kadry oficerskiej mieli bardzo skromne uposażenie. Odwalali najgorszą robotę, a zarabiali najmniej. Ułomność systemu sprawiała, że za odpowiednią łapówkę można było pozyskać życzliwość szeregowego klawisza. Pominięty i niedoceniony zawodowo pracownik stawał się łatwym celem. Niektórym poczucie krzywdy i zachłanność, wpisana w skomplikowaną naturę człowieka, odbierały zdrowy rozsądek i trzeźwą ocenę sytuacji. Takimi osobnikami można było swobodnie manipulować. Wystarczyło ich tylko odpowiednio połechtać, a sami dochodzili do wniosku, że za wszystko, za całą gorycz, jakiej doświadczyli,



należy im się odpowiednia rekompensata.

Myślę, że Czarny zerował właśnie na tych najniższych ludzkich słabościach. To, co zdarzyło się bowiem trzydziestego stycznia w łaźni, nie byłoby możliwe do zrealizowania bez przekupienia któregoś z dozorców. I chociaż nigdy nie usłyszałem tego wprost, myślę, że mój udział w tym ponurym zdarzeniu nie był przypadkowy. Jestem święcie przekonany, że to była precyzyjnie zaplanowana akcja, a ja miałem odegrać kluczową rolę i tym samym ostatecznie podpisać swój pakt z diabłem. Wcześniej proroctwa Ojczulka wydawały mi się tylko fantazją i czczym gadaniem, ale staruszek miał rację.

Dzisiaj, patrząc na wszystko z perspektywy minionych lat, widzę, jak bardzo pogubiłem się wtedy na ścieżkach życia, a mroczne bagno więziennego świata zaczynało mnie ciągnąć na dno.

Łaźnia znajdowała się na skrzyżowaniu wszystkich szlaków komunikacyjnych wronieckiego więzienia. Można się było tam dostać z trzech stron. Mając na uwadze względy bezpieczeństwa, stanowiło to fatalne rozwiązanie, ale w tamtych czasach węzeł kanalizacyjny był na tyle ubogi, że dostęp do bieżącej wody narzucał pewne wymagania.

Jednak prawdę powiedziawszy, nawet

dzisiaj nigdzie nie ma takiego więzienia, które można w pełni kontrolować. Każdy obiekt, nawet ten najbardziej strzeżony, ma swój słaby punkt.

W gardzieli paleniska wściekle tańczyły języki ognia zasysane cugiem z komina, wydając charakterystyczny pomruk. Beżowe kafle oddawały przyjemne ciepło, a w stolarni unosił się intensywny zapach żywicy i świeżo palonych trocin.

– Jak tak dalej pójdzie – wesołym głosem odezwał się jeden z Jaśków – to wszystkie obejścia świata będą miały takie same płoty.

– Co racja to racja – odparłem. Od kilku dni bowiem nie robiliśmy nic

innego, tylko cięliśmy sztachety. Wszystkie identyczne, zakończone w trójkąt ostrym szpicem i zapakowane w partiach po pięćdziesiąt sztuk. Każdego dnia rankiem pod wrota stolarni w eskorcie jednego dozorca podjeżdżała furgonetka z firmy budowlanej „Wawrzyniak i synowie” i przywoziła z tartaku surowe deski. Najpierw był rozładunek, a potem wszystko, co zostało zrobione dzień wcześniej, wrzucaliśmy na pakę samochodu.

Mieliśmy naprawdę dobrze na stolarni. Gdyby nie więzienne drelichy i kontrolne odwiedziny klawiszy, można się było zapomnieć. Można sobie było nawet wyobrazić, że ten stolarski warsztat znajduje się w

jakiejś cichej miejskiej uliczce. Święty Jezu, jakież to było piękne złudzenie! Albo jak robiliśmy sobie krótką przerwę, sącząc z glinianych garnuszków mocną, parzoną herbatę. Za oknem mróz, śnieg po kolana, a człowiek siadał na zydelku obok pieca i mógł spokojnie wypalić papierosa. Kiedy zachowywałem się normalnie i nie czepiałem się Jaśków, było całkiem miło. Chyba w zwyczajnym świecie moglibyśmy nawet zostać kumplami.

Jednocześnie byłem świadom tego, gdzie jestem i jaki świat mnie otacza. Zdawałem sobie sprawę, że to, co czasami czuję, jest tylko iluzją. W więzieniu nie można sobie pozwolić, żeby wyobraźnia kreowała

rzeczywistość. Trzeba być czujnym i ostrożnym.

Kiedy żyjesz w wilczym stadzie, też musisz być wilkiem.

Nie ukrywałem zaskoczenia, kiedy przed południem w drzwiach stolarni pojawił się klawisz i rzucił krótką komendę:

– Żabikowski, zabieraj graty i idziemy do pralni. Trzeba tam coś zreperować!

– Tak jest, panie dozorco. – Poderwałem się na równe nogi, złapałem skrzynkę z narzędziami i ruszyłem w kierunku drzwi.

Wyszliśmy na zewnątrz.

Ponad naszymi głowami

rozpościerało się nieskazitelnie błękitne niebo. Biel śniegu była tak ostra, że musiałem zmrużyć powieki. Kłęby mleczej pary wydobywały się z naszych ust przy każdym oddechu. Kroczyłem przed dozorcą i zupełnie nie byłem świadom tego, co mnie czeka. Mróz szczypał w uszy, śnieg skrzypiał pod butami, a narzędzia w drewnianej skrzyni szczękały w rytm moich kroków.

Dotarliśmy do pralni.

Klawisz pchnął pióro drewnianych drzwi i w tym samym momencie uderzyły w nas obuchy gorącej pary. Ogromna różnica temperatur sprawiła, że moja twarz natychmiast zaszklila się kropelkami potu. Przy kotłach uwijało się kilku skazanych. Po chwili

dotarliśmy do sortowni. Po przeciwnej stronie zobaczyłem leżącą na podłodze hałdę prania i duży stół z nienaturalnie wykrzywionymi nogami.

– Bierz się za tego smoka. – Dozorca kiwnął głową w stronę, gdzie spoglądałem.

Podszedłem bliżej, zdjąłem kufajkę, przykucnąłem i spojrzałem na wyłamane zastrzały.

Nagle usłyszałem głos za swoimi plecami.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał Walet.

Obracając głowę, kątem oka dostrzegłem, jak kiwnął znacząco w stronę strażnika. Klawisz odpowiedział mu podobnym gestem, po czym obrócił



się na pięcie i odszedł. Zauważyłem, że Walet miał coś wciśnięte za pazuchę więziennej bluzy.

– Na pewno przyda się wsparcie – odpowiedziałem. – Musimy obrócić tego kolosa kopytami do góry.

Chwyciliśmy mebel po przeciwnych końcach i z niemałym wysiłkiem położyliśmy olbrzymi stół białym na podłodze.

– Weź młotek i idziemy – powiedział.

– Co takiego? – Usłyszałem, że mam wziąć młotek, ale nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem.

– Bierz młotek i idziemy – powtórzył zdecydowanym i rozkazującym tonem.

– Jak to idziemy? Przecież nie mogę tutaj zostawić tego majdanu. –

Wskazałem ręką na narzędzia.

– Nie martw się o swoje rzeczy, tu nic nie zginie. – Gwizdnął, a z drugiego pomieszczenia wychylił się jakiś rozebrany od pasa w górę młodzian z tatuażami na piersiach. – Pilnujesz tych gratów! – powiedział w jego kierunku Walet i wskazał na skrzynkę. – No dajesz, idziemy – zwrócił się znów do mnie.

Złapałem za trzonek młotka, a w głowie krzyknąłem: Co tu jest grane?!

Ruszyłem za Waletem. Ten zrobił kilka kroków w przód, potem ostrożnie zerknął w prawo, w stronę zamkniętych drzwi, za którymi było pomieszczenie z kadziami, a następnie udał się w przeciwnym kierunku. Serce w moich

piersiach zerwało się do szalonego galopu.

– Walet, co się dzieje?! – szepnąłem spanikowanym głosem.

– Bądź cicho! – syknął. – Mamy coś do zrobienia.

Nie śmiałem się sprzeciwić. Szybkim krokiem pokonaliśmy wąski korytarz, potem schodami w dół prosto do następnych drzwi, które prowadziły na zewnątrz budynku. Walet zatrzymał się i spojrzał mi w oczy.

– Musimy wyjść. Tylko nie panikuj! Za tymi drzwiami jest martwa strefa, wartownicy nie zobaczą nas z wieżyczek. Po lewej stronie jest mur, a po prawej dziedziniec. Zaraz otworzę wrota i zerknę w tamtą stronę, jeśli teren

będzie czysty, idź za mną. Trzymaj się blisko. Musimy przejść tylko kilka metrów do następnego budynku!

Nie zdążyłem nawet rozchylić ust, żeby cokolwiek powiedzieć. Walet złapał za klamkę i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

– Za mną! – syknął przez zęby.

Poruszałem się tym samym tempem co mój przewodnik. Nie miałem odwagi spojrzeć w prawo, wzrok utkwilem w jego plecach. Dotarliśmy do jednoskrzydłowych drzwi w budynku naprzeciw. Walet delikatnie nacisnął klamkę i wślizgnęliśmy się do środka. Natychmiast obrócił się w moją stronę i przytknął swój palec do ust, pokazując mi tym gestem, że mam być cicho.

Miałem wrażenie, że łomot mojego serca słychać aż na spacerunku. Przed nami było tylko kilka stopni w górę i długi, wąski korytarz. Z lewej strony na całej długości ciągnęła się ślepa ściana, natomiast z prawej było troje drzwi. Przez szklane świetliki ulokowane ponad futrynami dostrzegłem regały sięgające sufitu. Za tymi drzwiami znajdował się magazyn pralni.

Powoli ruszyliśmy na wprost.

W moich żyłach krążyła mikstura strachu, przerażenia i... podniecenia.

Dwóch skazańców w miejscu, gdzie nie powinni przebywać, a jeden z nich z młotkiem w dłoni. Jeżeli któryś ze strażników natknąłby się na nas, to jesteśmy załatwieni na amen, a jeśli

zobaczyłby nas jeden z więźniów, też byłoby nieciekawie.

Dotarliśmy na drugi koniec korytarza. Walet bardzo delikatnie pchnął kolejne drzwi, kontrolując, żeby stalowe trzpienie zawiasów nie wydobyły z siebie żadnego jęku. Znaleźliśmy się w pomieszczeniu, które doskonale znałem. Po lewej znajdowały się duże okratowane okna, a po prawej stały szeregi drewnianych ław. To tutaj więźniowie rozbierali się przed cotygodniową kąpielą. Zawsze się zastanawiałem, dokąd prowadzą drzwi, przez które właśnie przeszliśmy. Na wprost przed nami było przejście z półkolistym sklepieniem, za którym mieściła się łaźnia. Szybkim tempem

ruszyliśmy do wyjścia po przekątnej. Ponad naszymi głowami ciągnęły się równe rzędy stalowych rur z sitkami natrysków ulokowanych z prusacką precyzją w idealnych odstępach. Nie wszystkie trzymały szczelność, ponieważ z niektórych sączyły się krople wody, znacząc na posadzce swoją obecność mokrymi kleksami. Na początku odgłos naszych kroków przypominał dudnienie, ale w połowie drogi przez łaźnię małe kałuże zamieniły nasz marsz w mlaskanie. Nagle uchyliły się drzwi od niewielkiego pomieszczenia gospodarczego po lewej i ujrzałem w nich Czarnego. W jego oczach nie dostrzegłem żadnego zaskoczenia.

Spodziewał się nas.

Wszystko działo się w tak błyskawicznym tempie, że nie byłem w stanie myśleć o czymkolwiek. Czarny kiwnął głową w naszym kierunku. Weszliśmy do środka. Chociaż na dworze był pogodny dzień, nieduże wewnątrz komórki spowijał mrok. Światło dnia wpadało przez wąski pas bloczków grubego szkła umieszczonych tuż pod sufitem. W rogu stały oparte o ścianę trzonki szerokich mioteł z krótkim włosiem, które po sobotnich kąpielach służyły funkcyjnym do zgarniania resztek wody i spychania jej w otwory kanalizacyjne. Obok nich znajdowały się stalowe wiadra zapchane kulami szarych, cuchnących szmat. W powietrzu



unosił się smród stęchłej wilgoci, ludzkiego potu i... strachu.

W drugim rogu stał w rozkroku odwrócony do nas plecami barczysty skazaniec. Rozpoznałem go dopiero wtedy, kiedy obrócił twarz w naszym kierunku. To był Duży Ziutek, człowiek z ekipy Czarnego, ten sam, któremu przekazałem na spacerniku skradzione Jaśkowi dłuto. Mężczyzna zrobił krok w bok i dopiero wtedy spostrzegłem skuloną postać osłaniającą rękami głowę.

To był płaskonosy Prezes.

– Wiesz, co frajer myślał? – Czarny swoje pogardliwe pytanie skierował do Waleta głosem, w którym wyraźnie było słychać rozbawienie. – On sądził,

że może dyktować warunki, że my będziemy pracować dla niego. – Zaśmiał się szyderczo. W tym momencie jego rechot wydał mi się jakąś złowieszczą zapowiedzią. – Ten zasrany złodziej był przekonany, że mam mu do zaproponowania jakiś służalczy układ. – Posłał mu zamaszystego kopniaka w biodro. – Wstawiał się też za swoim kumplem Hrabią. – Czarny łypnął wzrokiem w moim kierunku i pokiwał twierdząco głową, co najmniej jakby chciał rzec: Tak, tak, dobrze słyszałeś, wstawiał się za Hrabią.

Walet sięgnął za pazuchę i wyjął ręcznik.

– Masz młotek? – zapytał. Nic nie odpowiedziałem, tylko podałem

mu przedmiot. W tym momencie stało się dla mnie jasne, że byłem częścią jakiegoś planu. – No to teraz ukarzymy gnidę tak, jak sobie na to zasłużyła. Brać go! – padła krótka komenda.

Duży Ziutek złapał Prezesa za ramiona i poderwał w górę. W mdłym świetle dostrzegłem pobitą, przerażoną twarz. Strużki krwi spływały z rozkwaszonych nozdrzy. Walet nagle pojawił się za plecami Prezesa, zarzucił mu na szyję ręcznik skręcony w powróż i energicznie zawinał na karku dwa końce, jakby chciał spleść warkocz. Ślepie ofiary stały się wyłupiaste, jakby za chwilę miały wyskoczyć z oczodołów.

– Na dechy z gnojem! – warknął

Czarny.

Trzech mężczyzn z impetem wpadło na drzwi. Z Dużego Ziutka był kawał muskularnego chłopca, jak nic ważył ze sto dwadzieścia kilogramów. Trzymał przed sobą Prezesa i kiedy walnęli w zamknięte drewniane drzwi, miałem wrażenie, że zmiażdżył płaskonosego.

Prezes charczał i wydobywał z gardła suche, zdławione jęki.

– Tylko nie uduś skurwiela! – warknął Czarny. Złapał za prawą rękę ofiary i szarpnął nią w bok. – Przytrzymaj mu łapsko! – rzucił w moim kierunku. – Za nadgarstek!

Posłusznie i bezmyślnie wykonałem polecenie.

Pomiędzy piórem drzwi a mięsistym

barkiem Dużego Ziutka widziałem tył głowy Prezesa. Walet nadal zaciskał mu pętlę na szyi, a ja obiema dłońmi trzymałem jego prawy nadgarstek. Serce w piersiach łomotało mi jak oszalałe. Palce rozwartej dłoni Prezesa wyglądały jak szpony, które pragną się wbić w drewnianą deskę. We trójkę z całych sił parliśmy na zamknięte drzwi.

Czarny przeszedł na lewą stronę i spoglądając na twarz płaskonosego, powiedział:

– Daję ci pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Naznaczę cię, cholerny złodzieju, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Jeśli piśniesz choć słówko i sypniesz nas, to cię zabiję! Jeśli znowu mi wkroczysz w paradę, to też cię

zabiję. Zrozumiałeś, frajerze?! Z ust ofiary nie padała żadna odpowiedź. Pętla zaciśnięta na jego gardle pozwalała mu jedynie charczeć.

Czarny przeszedł na moją stronę i wtedy zobaczyłem w jego ręce Jaśkowe dłuto. Przedmiot nie miał drewnianej rączki i przypominał teraz przecinak. Z jednej strony – ostry szpic dłuta, a z drugiej – metalowy trzonek sklepany w krążek o średnicy jednego cala. Czarny przyłożył ostrze na środku rozwartej dłoni ofiary, zamachnął się młotkiem i posłał brutalny cios. Stal uderzyła w stal. Rozległ się chrobot przebijanych kości i charakterystyczny odgłos metalu wciskającego się w twardą strukturę drewna. Dłuto zatopiło się na połowę

swojej długości.

W tym samym momencie ciałem Prezesa szarpnął bolesny impuls.

Trysnęła krew.

Wzdrygnąłem się.

Czarny znowu się zamachnął. Kolejne uderzenie i jeszcze jedno. Trzymając rękę Prezesa, widziałem wyraźnie, jak jego palce nienaturalnie prężą się i prostują. Krew z rany spływała również po moich dłoniach. Przypuszczam, że gdyby to tylko było możliwe, ryk bólu rozsądziłby całe pomieszczenie, ale zamiast krzyku do naszych uszu docierał jedynie gardłowy jęk. Sklepana rękojeść dłuta przywarła do zewnętrznej powierzchni okaleczonej dłoni. Nie wiem, co czuli Walet i Duży Ziutek, ale

we mnie kotłowała się szczypta strachu i garniec buchającego podniecenia. Ostatni raz coś podobnego eksplodowało we mnie, kiedy węzłem z mokrego prześcieradła posyłałem ciosy Hrabiemu.

– Zagnij porządnie szpic z drugiej strony drzwi – powiedział Czarny i patrząc mi w źrenice, podał młotek. Jego oczy niemal płonęły, a twarz zyskała nagle nowe, demoniczne oblicze.

Oczekiwania Czarnego przerastały moje możliwości.

Miałem wrażenie, że każde ścięgnię i każdy mięsień w moim ciele napinają się do granic możliwości. Puściłem nadgarstek Prezesa i drżącą dłonią złapałem za trzonek młotka.



Oprawcy uchyłili drzwi na tyle, żebym mógł wymknąć się z pomieszczenia. To była makabryczna, a zarazem niesamowicie zadziwiająca chwila. Stałem po drugiej stronie i zahipnotyzowanym wzrokiem spoglądałem na ostrze dłuta wystające z drewnianej dechy.

– Kurwa mać, Ropuch, zaginaj! – Do moich uszu dotarł wściekły, rozkazujący głos.

Ogarnął mnie strach przed Czarnym, przed jego nieprzewidywalnością.

Zamachnąłem się. Moje trzy mocne i precyzyjne ciosy w dziesięciocentymetrowy pręt wystający po drugiej stronie drzwi dopełniły dzieła, nadając mu kształt litery L.

I nagle wszystko rozpierzchnęło się w powietrzu.

Uciekło.

Każde uderzenie było jak salwa rozbrzmiewająca pewnością siebie, nieokiełznaną siłą, niepohamowaną władzą i czymś przedziwnie rozkosznym. Uczucie balansowało pomiędzy euforią a ekstazą. W ciągu kilku sekund moja męskość stała się twarda i sztywna.

Wiem, te słowa mogą się wam wydawać chore, ale ja naprawdę to czułem!

Czułem też, jak wilgotne ciepło sączy się w moich pachwinach, a każdy mięsień ciała drży. Nie potrafiłem tego zrozumieć, ale to drżenie we mnie było

czymś tak cholernie przyjemnym, że zapragnąłem, aby trwało wiecznie.

Wśliznąłem się z powrotem do gospodarczego.

Chłopaki nadal trzymali Prezesa, który ociężale dyszał i świszczwał, z trudem łapiąc krótkie hausty powietrza.

– Uśpij go i zwijamy się stąd! – rozkazał Czarny.

Najbardziej postawny z naszej czwórki doskonale wiedział, o co chodzi. Odsunął się krok w tył, wziął potężny zamach i dłonią zaciśniętą w pięść uderzył w szczękę płaskonosego. To był cios, który powaliłby nawet byka. Prezes osunął się bezwiednie i nieprzytomny zamarł na wpół klęcząc, na wpół wisząc z dłonią przybitą

do drzwi.

Rękawem więziennej bluzy przetarłem krople potu z czoła.

– Niezła jatka. – Walet powiedział to takim głosem, jakby mówił o czymś ekscytującym i wartym powtórzenia.

Czarny podszedł do mnie, położył mi dłoń na ramieniu i powiedział:

– Nikomu nic nie gadaj i niczego się nie obawiaj. Teraz jesteś jednym z nas. Jesteśmy razem, na dobre i na złe.

Jego słowa dodały mi w tym momencie niesamowitej otuchy.

Nie wiem, jakie Czarny i Prezes mieli ze sobą rachunki do wyrównania. Nie wiem, dlaczego ten drugi został tak srodze ukarany.

Nie obchodziło mnie to.

I nie miało to żadnego znaczenia.

Doświadczyłem czegoś intensywnego, nienamacalnego, kolejną dawkę wrażeń, które spowodowały, że jak nigdy dotąd krew zakipiała w moich żyłach, a ja miałem ochotę krzyknąć: Jestem Bogiem!

Te doznania były lepsze niż podwójna porcja morfiny.

Cichaczem przemknęliśmy do pralni tą samą drogą.

Nie mam pojęcia, w jakim czasie dokonaliśmy tej masakry. Kwadrans? Co za różnica? Najważniejsze, że zrobiliśmy swoje i że wróciliśmy niepostrzeżeni do pralni.

Tylko to się liczyło.

Spojrzałem na dłonie. Na palcach

miałem ślady zaschniętej krwi. Podszedłem do dużej balii z wodą, która stała w rogu sortowni, i zmyłem z rąk dowody zamachu, w którym brałem udział. Wpatrywałem się w stół leżący nogami do góry i przez dłuższą chwilę nie potrafiłem pozbierać myśli. Patrzyłem na stolarski młotek, ale nie potrafiłem zajrzeć w głąb swojej duszy.

Kończyłem naprawiać zastrzały w ostatniej zepsutej nodze dużego stołu, kiedy do sortowni wpadł Szumski razem z Blaszkarskim i dwoma klawiszami. Na ich widok pomyślałem, że właśnie rozpętała się awantura z okaleczonym Prezesem.

– Co ty tu, kurwa, robisz?! – ryknął aspirant w moim kierunku.

– Naprawiam stół, panie aspirancie – odpowiedziałem, stając na baczność.

– Kto go tu przywłókł?! Kto wydał takie polecenie?! – krzyczał tym razem do towarzyszących mu dozorców.

– Ja go tutaj przyprowadziłem, panie aspirancie – odezwał się strażnik z lewej. – Sortujący dzisiaj rano przesuwali stół i wygięły się wszystkie nogi. Zareagowałem wedle zasady, że wszelkie usterki należy usuwać w trybie natychmiastowym.

– Nie mów mi o zasadach, powiedz mi, jakim prawem wygięły się te cholerne nogi?! – wydzierał się wściekle Szumski. Jak się właśnie okazało, nie tylko mnie zadawał idiotyczne pytania. Na moment stracił

nad sobą panowanie i podniósł głos na dozorców w obecności skazanych. Chyba zdał sobie sprawę, że zapytał o coś zupełnie głupiego i zaraz dodał: – Czy ten więzień cały czas przebywał w tym pomieszczeniu? – Wskazał na mnie.

– Tak jest – odparł klawisz, który mnie doprowadził do pralni.

Zerknąłem na twarz dozorca. Okłamywał przełożonego, patrząc mu prosto w oczy. Przemknęła mi przez głowę myśl, że warto zapamiętać jego oblicze, bo któż to może wiedzieć, co przyniesie przyszłość? Zawsze się przyda czyjaś przychylność, którą można kupić.

O dziwo, niczego się nie obawiałem. Aura bezkarności i pewności, którą



rozsiewał wokół siebie Czarny, z niewiadomych przyczyn udzieliła się również i mnie. Byłem pewien, że Prezes nas nie sypnie, że pomimo bólu i upokorzenia, jakiego doświadczył, będzie milczał w obawie o swoje marne życie. Wiem, że gdybym to ja był na miejscu płaskonosego, siedziałbym cicho jak trusia.

– Po obiedzie w moim gabinecie ma się zjawić Żabikowski i tych dwóch gnojków, którzy działają z nim na stolarni – skierował swoje słowa do Blachy.

– Niezłe jajo z tym Prezesem, no nie – zagadnął Suchy i tym samym utwierdził mnie w przekonaniu, że w pudle złe

wieści rozchodzą się błyskawicznym tempie.

– Co się stało? – zapytał zaciekawiony Roman.

– Dostał łomot w łaźni i ktoś mu przybił łapsko do drzwi. – Nasz kompan był na bieżąco. Spojrzałem na Ojczulka. Na jego twarzy malował się wyraz kompletnej obojętności. – Prawie ukrzyżowany – ciągnął Suchy. Zrobił pauzę i na moment uraczył nas miną człowieka, który zastanawia się nad rozwikłaniem trudnej zagadki. – Myślę, że to może być tajemnica czwartego gwoźdźcia – zarechotał.

– Głupi jesteś jak mało kto – skwitował z pogardą Roman.

Zerknąłem na Boyko i zobaczyłem

na jego ustach uśmiech triumfu.

Przez dłuższą chwilę zjadaliśmy w milczeniu rozrzedzoną kartoflankę.

– Mam nadzieję – odezwał się nagle Ojczulek – że ten, kto to zrobił, poniesie zasłużoną karę.

– A co ty na to, jeśli to Prezesunio poniósł zasłużoną karę? – skwitował Suchy.

– To, że przebywa w tym miejscu, już o tym świadczy – odparł staruszek.

– W ten sposób możemy filozofować bez końca – bronił swego nasz gwiazdor.

– Wyjaśnij mi w takim razie, jakim trzeba być człowiekiem, żeby tak okaleczyć bliźniego? Uważasz, że to jest normalne? – Ojczulek też nie

odpuszczał.

– Słuchaj, klecho, jesteście ulepieni z innej gliny – wypalił Suchy. Odniosłem wrażenie, że chce uparcie dowieść swoich racji. – Ten dobry i przyjemny świat jest po drugiej stronie murów. Tutaj nie ma miejsca na współczucie. Tutaj nic się nie dzieje bez przyczyny, kapujesz? Stało się tak, a nie inaczej, bo widocznie nie było innego wyjścia. Ktoś podjął taką decyzję. Koniec, kropka.

– Nie odpowiedziałeś mi na proste pytanie. – Staruszek uparcie powrócił do istoty sprawy. – Jakim trzeba być człowiekiem, żeby w ten sposób okaleczyć bliźniego?

– Twardym i zdecydowanym – uciął

Suchy.

Nie pierwszy raz miałem wrażenie, że między nimi toczy się jakiś konflikt.

– O tak – westchnął ironicznie księżulek. – Pewnie, że łatwiej być twardym i zdecydowanym, zwłaszcza kiedy jest się w grupie przeciwko jednemu. – Byłem pewien, że cała ta zawołowana krytyka dotyczy mojej osoby. Nic nie wiedział o całej sprawie, a mówił o rzeczach, które mnie dotyczyły. – Coś ci powiem, marny człowieczku – syknął z dziwnym błyskiem w oku w stronę Suchego. – Łatwiej się żyje z bestią w sercu i z pogardą dla innych. Łatwiej niszczyć niż budować. Większość z tych ludzi tutaj – omiótł wzrokiem stołówkę – niczym nie

różni się od zwierząt. Żyją tylko po to, żeby przetrwać!

– I widzisz coś w tym złego? – fuknął Suchy.

– Widzę tylko zło, jakie niektórzy sieją, i żniwo, jakie zbierają.

– Ale o co wam właściwie chodzi? – wtrącił się Roman.

Suchy wzruszył ramionami, opuścił wzrok i zaczął w milczeniu jeść zupę.

Zaraz po obiedzie Blaszcarski razem z dyżurnym bloku odeskortowali mnie i Jaśków do gabinetu Szumskiego.

Blacha wprowadził nas do środka.

– Wiecie, co to jest?! – ryknął Szumski w naszą stronę, pokazując nam lekko wygięte dłuto ze spłaszczoną rękojeścią. – Pytam się was, do ciężkiej

cholery, czy wiecie, co to jest?!

– To chyba dłuto, albo raczej to, co z niego zostało, panie podkomisarzu – odpowiedział nieco drżącym głosem ten z Jaśków, któremu zginęło narzędzie ze skrzynki.

– Zgadza się. To jest to pieprzone dłuto, które ty miałeś na stanie! – krzyknął i wolnym krokiem podszedł do rozmówcy. – Wiesz, co mi przychodzi na myśl? – zapytał, zbliżając swoją twarz do jego oblicza. – Wydaje mi się, że je przehandlowałeś – cedził każde słowo. – Z kim ubiłeś interes? Mów! – Spoglądał na niego z wyrazem nieukrywanej wściekłości.

Kątem oka zerknąłem na Jaśka i byłem pewien, że do tej pory jeszcze

nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji. Był przerażony, a jego skronie i czoło połyskiwało kroplami potu.

Jasiek nie znał zasad, nie wiedział, że na każde pytanie Teodora Szumskiego należy udzielić odpowiedzi.

Szumski nie wytrzymał i posłał mu bolesny cios prosto w trzewia. Mężczyzna zgiął się wpół. Zauważyłem, że dłoń Blaszańskiego nagle owinęła się wokół rękojeści drewnianej pałki.

– A może wy macie coś do powiedzenia? – zwrócił się tym razem w naszym kierunku.

Milczeliśmy z wzrokiem utkwionym na wprost.

– Co to ma być?! Jakaś zmowa?! – Szumski zaczynał wpadać w coraz



większą furię. – Obiecuję wam tu i teraz, jeśli wyjdzie na to, że jeden z was miał coś wspólnego z sytuacją, w której wykorzystano to dłuto – uniósł nieco w górę dłoń ze sfatygowanym przedmiotem – Bóg mi świadkiem, że zamienię mu życie w piekło. Zamknę go na izolacyjnym i wyjdzie dopiero tego dnia, kiedy będzie kończył odsiadkę. – Obrócił się na pięcie i powiedział do Blaszańskiego: – Odprowadzić do cel!

Prezes podobnie jak Hrabia nie pisnął ani słowa. Ponoć zeznał, że wymknął się z magazynów pralni do łaźni, bo chciało mu się cholernie palić, a tam ktoś go zaszedł od tyłu, pozbawił

przytomności, pobił i okaleczył. To było cholernie naiwne tłumaczenie, ale uszkodzony szedł w zaparte. W takiej sytuacji Szumski był całkowicie bezradny, a niektórzy z nas znowu mogli się rozkoszować smakiem słodkiej bezkarności.

Zastraszenie to potężny oręż.

Po wydarzeniach w łaźni ekipa płaskonosego najpierw spokorniała, a z czasem rozkruszyła się na dobre. Część jego ludzi chciała się wkręcić i działać za przyzwoleniem Czarnego, ale ten nie dopuszczał do swojego otoczenia osobników, którym obce było pojęcie lojalności. Mnie natomiast wydawało się, że ich płaskonosy przywódca,

najwyraźniej w obawie o swoje życie, całkowicie odsunął się w cień i chyba jedyne, czego pragnął, to bezpiecznie dotrzeć do dnia wyjścia. Przyznam się, że cieszyłem się z tego powodu, bo Prezes chyba od zawsze widział we mnie wroga. No może nie wroga, ale kogoś, komu należy wskazać jego miejsce w szeregu. Wiem, że żywił do mnie urazę, a sprawa z Góralem pewnie była mu solą w oku. Nie miałem najmniejszych wątpliwości co do tego, że płaskonosy miał instynkt przetrwania. Dostał solidną nauczkę, wyciągnął z tej lekcji właściwe wnioski i odpuścił. Chyba stwierdził, że lepiej mieć sparaliżowane dwa palce u dłoni, niż stracić życie. W jego przypadku było

tak, jak mówił Ojczulek: „Ale pamiętaj o jednym, zawsze może zjawić się ktoś, kto będzie chciał obalić monarchę”.

Moje wnioski były jednak cholernie błędne. Ludzka natura to prawdziwa zagadka. To, co nam wydaje się logiczne i właściwe, wcale nie musi dla innych oznaczać tego samego. Drapieżnik zawsze będzie drapieżnikiem. Nic go nie zmieni.

Wcześniej Prezes razem ze swoją świtą przemycali papierosy szlakiem, który prowadził przez więzienną pralnię. Nie działali z wielkim rozmachem, ale zaopatrywali w fajki sporą część wronieckich skazańców. Pewnie myśleli, że tak będzie trwać w nieskończoność, aż tu nagle zjawił się

mocniejszy i bardziej bezwzględny kozak. Błyskawicznie zmiotł konkurencję i przejął kontrolę nad ich interesem. Czarny był bystry, wiedział, jak to rozegrać, wiedział, że należy zaatakować przywódcę. A kiedy tamten zostanie pokonany, to cała struktura natychmiast się rozpadnie. I tak też się stało.

Stało się też coś jeszcze i myślę, że Czarny przewidział taką sytuację. To, że wśród więźniów działo się coś niedobrego, nie mogło być pozostawione samopas. Reakcja służb była natychmiastowa. Pralnia znalazła się pod lupą i z rozkazu naczelnika wymieniono obsadę funkcjonariuszy. Taki manewr uciął praktycznie cały

proceder przemytniczy, a ponowne przetarcie szlaku miało zająć długie tygodnie.

Interes jednak musiał się kręcić nadal i dlatego Czarny sądził, że potrzebuje kogoś takiego jak ja.

W tym czasie moja egzystencja toczyła się spokojnym torem. Szumski miał teraz sporo innych obowiązków i dzięki temu ja zniknąłem z jego horyzontu. Przyznam się szczerze, że wcale nie brakowało mi tego kontaktu.

Dryfowałem z nurtem dni i ani się obejrzałem, kiedy przyłączyłem do ekipy Czarnego. Większość czasu na spacerunku zacząłem spędzać w ich towarzystwie, a kumple, z którymi

jadałem przy jednym stole, przestali być dla mnie ważni. Przygasły moje rozmowy z Ojczulkiem, a nasze częste wspólne przesiadywanie na ławce albo na stopniach placu apelowego było już bardzo sporadyczne. Przyjaźń, która nas łączyła, słabła i odchodziła w zapomnienie. Oprócz wspólnych posiłków coraz rzadziej mieliśmy ze sobą kontakt.

W przeszłości Ojczulek mówił mi o rzeczach ważnych i wartościowych, nauczył mnie pisać i czytać, dzielił się ze mną swoją wiedzą i mądrością. A co ja zrobiłem? Zamieniłem to na coś kompletnie przeciwnego. Zacząłem się szkolić w kombinatorstwie, zastraszaniu, matactwie. Z wypiekami na policzkach

wsluchiwałem się w opowieści o przestępczym życiu i sposobach przetrwania w tym ciężkim świecie. Pamiętam, że kiedy następnego dnia po akcji w łaźni Czarny na spacerunku objął mnie ramieniem i powiedział do chłopaków:

– Od tej chwili Ropuch jest jednym z nas! – Poczujęm się taki ważny i wyróżniony.

Mówili o sobie ferajna, a ja byłem dumny, że traktują mnie jak swego. W ich towarzystwie czułem się pewny, bezpieczny i chroniony. Żaden więzień nie śmiał nawet krzywo spojrzeć w moim kierunku. Byłem częścią grupy, która trzymała to pudło w garści. To nic, że moja przynależność do ekipy została



okupiona czyimś kalectwem, to nic, że inny człowiek znosił z mojego powodu upokorzenia.

Liczyłem się tylko ja i moja pozycja w więziennej hierarchii.

Ciągle też pamiętałem o słowach Czarnego, który jakiś czas temu powiedział: „Mam dalekosiężne plany, w których widzę również twój udział”.

Byłem tak głupi, że w głębi duszy czekałem na ten dzień. Właściwie to nie wiem, co sobie wyobrażałem, ale chyba miałem nadzieję, że zostanę jego poważnym współnikiem.

Czarny i jego ludzie sprawowali kontrolę nad całą kontrabandą we wronieckim więzieniu.

Funkcjonowali jak prawdziwe przedsiębiorstwo handlowe. Dostawa i dystrybucja towarów wszelakich. Przeważnie papierosy i herbata, bo ten asortyment cieszył się największym wzięciem i na nim koncentrowali swoje działania. Jednak byli też bardzo elastyczni i z chęcią realizowali zamówienia specjalne. Chciałeś jakiś święty obrazek, żeby zawiesić go na ścianie swojej celi? Żaden problem. Może coś do żarcia? A może karty z gołymi babkami albo ciepłe skarpety na zimę? Albo kawałek słoniny ze skórą, żeby mieć jeszcze większą uciechę podczas samogwałtu? Cukierki, czekoladę, tabakę do żucia? Nie ma problemu. Były tylko dwie żelazne

zasady. Pierwsza brzmiała następująco: wypowiedz swoje życzenie i jeśli będzie cię stać, ubijemy interes. Druga zaś mówiła o tym, że jeśli nabyłeś produkt, zapłaciłeś, ale miałeś niefart i wpadłeś z towarem, to natychmiast zapomnij, kto i jak ci go dostarczył.

Złamanie drugiej zasady groziło poważnym uszczerbkiem dla zdrowia.

Rzadko się zdarza, żeby młody człowiek był śmiały, roztropny i nienaiwny. Zwłaszcza kiedy znajduje się w środowisku, które w pewien sposób mu imponuje, a na dodatek w pełni go akceptuje i ma za równego sobie. Świat się wtedy zmienia wedle starego, mądrego porzekadła, kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać tak jak

one. Taki właśnie wtedy byłem. Czy byłem również naiwny? Chyba tak. Myślę, że nawet bardzo. Podatny na wpływy i zafascynowany ludźmi, którzy wiedzieli, jak stawić czoła podłemu życiu i brutalnej rzeczywistości.

Pałętałem się przy nich i jedyne, co robiłem, to lekką ręką częstowałem każdego fajkami.

Minęły dwa tygodnie od masakry na płaskonosym Prezesie, a w potrzasku, który został zastawiony na pralnię – z tego, co twierdził Czarny – nie schwytano nawet najmniejszej zwierzyny.

– Chyba już czas, żebyśmy zawarli

poważny układ. – W pierwszej chwili słowa Czarnego wydały mi się zwiastunem dobrej wiadomości.

– Co proponujesz? – zapytałem głosem prawdziwego negocjatora. Ogarnęło mnie wrażenie, że los uśmiechnął się do mnie pełną gębą.

– Inwestujemy pół na pół, dwadzieścia procent zysku pochłoną nasze koszty. Rozumiesz, chłopaki będą dla nas pracować i jakąś działkę trzeba im odpalić, a resztą dzielimy się po połowie – przedstawiał swoją propozycję. – Ja zajmę się rozprawianiem, a ty opanujesz temat dostaw. Możemy rozbijać ten interes na dużą skalę. Popatrz tylko. – Kiwnął głową w stronę skazańców

zgrupowanych na spacerunku. – Przepuszczam, że jakoś dajesz radę, ale z moją pomocą prawie każdy z nich może zostać naszym klientem. Zarobimy prawdziwe krocie. – Uśmiechnął się i poklepał mnie dłonią po ramieniu. – Ile możesz ściągnąć w jednym transporcie? – zapytał, a ja zupełnie nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– W jakim transporcie? – byłem kompletnie zaskoczony.

– No jak to w jakim? – Czarny zatrzymał się i spojrzał na mnie surowym wzrokiem. – Robisz ze mnie durnia?

– Ależ skąd, tylko naprawdę nie wiem, co masz na myśli – odparłem.

Jego dłoń ze zdwojoną siłą zacisnęła

się na moim barku.

– Nie pogrywaj ze mną w ten sposób!  
– syknął. – Nie masz do czynienia z idiotą. Wyglądam na kogoś, kto dopiero wczoraj wyklął się z jajka? Jakiś czas temu zaoferowałem ci swoją przyjaźń, pomogłem odbić straty i zemścić się na fiucie, który cię skrzywdził. Traktowałem cię jak swego, a ty odwracasz się ode mnie?! – Na jego twarzy malował się wyraz gniewu. – Taka jest twoja wdzięczność? Proponuję, żebyśmy zostali partnerami we wspólnym interesie.

– Jakim interesie? – dopytywałem zdumiony.

Czarny wpatrywał się w moje źrenice.

– A więc taki z ciebie cwaniak – cedził słowa przez sito wściekłości.

– Czarny, jaki cwaniak, ja nie wiem, o czym ty mówisz. – Zaczynałem powątpiewać w to, co słyszę.

– Chcesz mi wmówić, że masz forszę, masz złoto, szastasz fajkami jak głupi na prawo i lewo, bo znajdujesz je codziennie pod poduszką?! Chcesz mi powiedzieć, że nie szmuglujesz towaru w porozumieniu z gościem, który prawie każdego dnia rano zajechał firmową furgonetką pod stolarnię?! Naprawdę masz mnie za takiego kretyna?! – wściekle charczał Czarny. – Naprawdę sądzisz, że ci w to uwierzę?! – Złapał mnie dłonią za kark i przyciągnął ku sobie. – Nie igraj ze mną,



chłoptasiu, bo cię zniszczę i wdepczę w ziemię jak robaka. A może chcesz zastąpić Hrabiego? Przyda się nowa dziwka, nowe ciało!

To był jakiś cholerny absurd, jakaś paranoidalna sytuacja ze mną w roli głównej. Najwyraźniej uroił sobie w głowie zmyśloną historię i wierzył w jej istnienie.

– Czarny, na Boga miłosiernego, posłuchaj mnie – chociaż prawie jęczałem, starałem się mówić w miarę szybko – ja niczego nie szmugluję. To nie jest tak, jak myślisz. – Chłód, który malował się w jego oczach, był silniejszy niż lutowy ziąb. – Ja niczym nie handluję, ja...

– Zamknij ryj – warknął i skierował

w moją stronę palec wskazujący. – Skoro tak stawiasz sprawę, to najwyraźniej nie mamy z sobą po drodze. – Szarpnął ręką, którą trzymał mnie za kark. Nasze twarze były tak blisko, że prawie dotykaliśmy się nosami. – Jeszcze się z tobą policzę, frajerze! – Obrócił się na pięcie i odszedł.

Stałem w miejscu i miałem wrażenie, że oczy wszystkich patrzą na mnie. Nigdy bym nie pomyślał, że w ciągu kilku minut mój świat zyska zupełnie inne oblicze. Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby wróciła trzeźwość umysłu. Omiotłem dookoła wzrokiem. A jednak wielu zerknęło w moją stronę. Prezes z zabandażowaną ręką stojący po drugiej

stronie spacerniaka, Hrabia z podkulonymi ramionami jak zawsze drepczący obok wyjścia, Ojczulek siedzący na stopniach placu apelowego, Suchy, chłopaki od Czarnego... Kruche fundamenty mojego życia w jednej chwili legły w gruzach.

Siedziałem na pryczy, a głowa puchła od zwariowanych myśli. To był jakiś pieprzony koszmar, który mógł zrodzić się tylko w chorej wyobraźni. Nie byłem w stanie pojąć tych niedorzeczności. Grzebałem w swoich wspomnieniach jak w kufrze pełnym starych klamotów, przypominałem sobie w myślach sytuacje i słowa, jakie wypowiadałem, szukałem jakiegokolwiek punktu

zaczepienia, żeby zrozumieć, skąd u Czarnego takie wnioski? Może naprawdę sprawiałem wrażenie kogoś, kto skutecznie prosperował na własną rękę? To prawda, że fajki miałem zawsze, a na stolarni byłem władcą i nikt oprócz Jaśków nie wiedział, jak się sprawy mają. Oni raczej nie kłapali dziobami i nie zadawali się z pospolitymi przestępcami, trzymali z politycznymi.

To było wariactwo.

Dlaczego zaangażował mnie w akcję z Prezesem? Po co? To wszystko nie miało dla mnie najmniejszego sensu.

Jedno było pewne – wpakowałem się w poważne tarapaty.

Wyjścia na spacer i samotne szwendanie się po placu doskwierały mi aż do bólu. Czuję się wtedy jak ostatni śmieć. Wstydzilem się podejść do Ojczulka i podjąć z nim rozmowę. Gardziłem samym sobą za to, do czego się przyczyniłem i jak potraktowałem kogoś, kto był mi naprawdę życzliwy. Nie unosiłem się dumą, o nie, nic z tych rzeczy. Po prostu obawiałem się tego, że jeśli przyjdę skruszony, spotkam się tylko z odrzuceniem. Jak to wszystko mogło się stać? – to pytanie bezustannie rozbrzmiewało w moim obolałym umyśle. Nie potrafiłem się zdobyć na obojętność i machnięcie ręką. Niektórych spraw człowiek nie jest w stanie zignorować. Tak się nie da.

Dotarło do mnie, jak łatwo jest wszystko zepsuć, a jak trudno dbać o to, żeby wszystko działało. Narobiłem sobie gnoju i zupełnie nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać, żeby posprzątać we własnym życiu. Zbyt wiele rzeczy było dla mnie przerażających. Myślałem nawet o tym, że jeśli przyjdzie mi doświadczyć tego samego co Hrabia, to z pewnością odbiorę sobie życie. Nie potrafiłbym tego znieść! Dopiero teraz zaczęły mi się otwierać oczy i poczułem w sercu, do czego doprowadziłem. A moja matka nieraz powtarzała: „Stefek, żyj tak, aby nikt przez ciebie nie musiał płakać”.

Sama myśl o pieniądzach ukrytych w podsufitowej belce parzyła jak

najbardziej bolesne wspomnienie. Ziściło się wszystko, o czym mówił księżulek, nie znalazłem ukojenia, nie poczułem sprawiedliwości, jakiej oczekiwałem, stworzyłem tylko piekło komuś drugiemu i sobie zarazem.

Poznałem na własnej skórze, jak to jest być zastraszone. Byle dźwięk, jakiś zupełnie niespodziewany, jak skrzypnięcie drzwi lub odgłos sztucца uderzającego o posadzkę, a człowiek już podskakuje ze strachu. Serducho wali jak opętane, oddech staje się płytki i szybki, oczy nerwowo wypatrują zagrożenia, dłonie robią się wilgotne od potu, a brzuch przeszywa parszywy ucisk. Po spacerunku chodzisz tak, żeby klawisze mieli cię w zasięgu wzroku, a

plecami niemalże ocierasz się o drucianą siatkę. Na stołówce starasz się zawsze stać w kolejce z dala od tych, którzy mogą ci nakopać. A kiedy przychodzi sobota i wiesz, że musisz iść do łaźni, masz ochotę założyć sobie pętlę na szyję. Natychmiast pojmujesz, że twoje życie przypomina czekanie na katastrofę.

Wiedziałem, że Czarny błyskawicznie podejmuje działanie. Od naszej rozmowy minęło kilka dni, więc w każdej chwili mogłem się spodziewać ataku.

– Co ty wyprawiasz?! – ryknął za moimi plecami strażnik na jakiegoś więźnia, kiedy rozebrani ustawialiśmy



się gęsiego w drodze do łaźni.

Nerwowo obróciłem głowę, czując, jak fala gorącego ciepła przepływa od moich stóp po czubek głowy.

Nic się nie działo.

Chyba ktoś zrobił jakiś głupi wygibas ku uciesze pozostałych.

Okrągłe sita natrysków pluły strumieniami gorącej wody. Spienione mydliny ociekały po roznegliżowanych męskich ciałach. Gładko spływały na terakotową posadzkę i niesione delikatnym nurtem wolno sunęły w kierunku kanalizacyjnych kratek.

Dookoła rozbrzmiewał gwar i intensywny szum wody, a kłęby pary tworzyły mglistą poświatę.

Z drugiego końca łaźni ktoś zaczął

śpiewać donośnym głosem:

*– Siedzę na pryczy tak jak król na własnym tronie i z braku szluga słomę z wyra muszę ćmić. Księżycyca misa lśni, cały świat zwisa mi, bo ja naprawdę nie potrafię kochać już!*

Prawie wszyscy z zaciekawieniem obrócili głowy w tamtym kierunku. Niektórzy zaczęli pogwizdywać znaną im melodię, a inni zaczęli śpiewać półgłosem razem z wodzirejem.

Kątem oka dostrzegłem, jak kilka metrów z lewej Czarny klepnął Dużego Ziutka w ramię, a ten, patrząc wprost na mnie, ruszył w moim kierunku. Od razu zrozumiałem, że właśnie wybiła godzina porachunków. Było dla mnie oczywiste, że śpiewak współdziałał z

moimi oprawcami. Miał odwrócić uwagę strażników, których zadaniem było dbać, żeby kąpiel przebiegała sprawnie i spokojnie. Instynktownie poczułem nadciągające zagrożenie. Nie miałem czasu, żeby właściwie ocenić sytuację. Przedostać się w pobliże któregoś z klawiszy było jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Zakręciłem się na pięcie i... wpadłem wprost na pierś Waleta. Był wyższy ode mnie o głowę.

– Nic do ciebie nie mam – powiedział półgłosem – to tylko interes. – Złapał mnie za barki.

W tym samym momencie rozległ się potworny wrzask.

Obróciłem głowę w tym samym

kierunku co wszyscy i zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak kilka metrów dalej płaskonosy Prezes, krzycząc ze wszystkich sił przeciągłe: „Aaaaaa!!!”, sunie na klęczkach po mokrej posadzce. W obandażowanej dłoni zaciśniętej w pięść trzymał jakiś wąski przedmiot, którym zaatakował Czarnego. Z rozplatanego podbrzusza chlusnęło wiadro krwi. W oczach napastnika płonęło szaleństwo, a szeroko rozchylone usta wykrzywił szatański grymas. Siła rozpędu wiodła go wprost do nóg Dużego Ziutka, który chyba chciał jednym celnym kopniakiem powstrzymać atakującego. Walet odepchnął mnie z całych sił w prawo. Straciłem równowagę. Leciłem w dół,

ale miałem wrażenie, że czas zwolnił. Zanim upadłem, ujrzałem, jak Prezes nieprawdopodobnie wygina do tyłu swój korpus, i lewą ręką podbija nogę Ziutka. To niespodziewane uderzenie poderwało nieco w górę ciało postawnego mężczyzny. Druga stopa poślizgnęła się na zamydlonej posadzce i kolos, rozkładając szeroko ręce, padał na plecy. Ostry pisk alarmowego gwizdka przedzierał się poprzez wrzask i szum tryskającej wody. Walet był zaledwie o krok. Panika. Więźniowie jak jeden odskoczyli na boki. Dłoń owinięta bandażem i ściskająca z całych sił zabójcze ostrze zamaszystym ruchem zmierzała w stronę krocza jednego z najbardziej muskularnych facetów w tym

puhle. Kiedy przyłożyłem biodrem i łokciem w podłogę, Duży Ziutek miał już zmasakrowane genitalia. Strażnicy z pałkami w dłoniach pędzili w stronę Prezesa, ale Walet był szybszy od nich. Skoczył na płaskonosego. To był istny kocioł. W tle widziałem sylwetkę Czarnego, jak klęczy i oburącz trzyma się za rozplątany brzuch. Na jego twarzy malował się wyraz niesamowitego zaskoczenia, zupełnie jakby nie mógł zrozumieć, co się właściwie stało. W szczelinach pomiędzy palcami jego dłoni, które ociekały krwią, przeciskały się, niczym popielatoszary węże, jelita. Gdyby cofnął dłonie, trzewia gładko wyślizgnęłyby się na zewnątrz. Posadzką płynęły strugi rozrzedzonej krwi. Walet i

Prezes kotłowali się zaledwie dwa metry ode mnie. Leżałem niczym sparaliżowany i nie mogłem oderwać oczu od tej makabrycznej sceny. Duży Ziutek wrzeszczał obłędnie. To chyba całkiem naturalne, że uderzony w genitalia mężczyzna odruchowo chwyta się za swoje klejnoty rodzinne. Ziutek też tak uczynił. Nie wiem, jak poważne odniósł obrażenia, bo z tej odległości jego przyrodzenie wyglądało jak krwawa miazga. Nigdy jeszcze w całym swoim życiu nie widziałem tak obfitych strumieni ludzkiej krwi. Klawisze doskoczyli do Waleta i Prezesa, którzy tarzali się po podłodze. Tłukli ich na oślep. Odgłos drewnianych pałek wkomponował się w pozostałą symfonię

dźwięków. Nagle Prezes z niebywałą wręcz siłą odepchnął od siebie Waleta. Ten niespodziewanie, niczym armatnia kula, uderzył wprost w nogi dozorczy. Ciało więźnia ścięło z nóg funkcjonariusza, który uderzył twarzą prosto w posadzkę. Czapka klawisza odbiła i poszybowała w górę. Od strony wejścia biegło w naszym kierunku kilku dozorców. Z czyiś ust padały komendy:

– Wszyscy pod ścianę! Cofnąć się!  
Wszyscy pod ścianę!

Nikt nie pomyślał o tym, żeby zakręcić dopływ wody. Sita natrysków wypluwały z siebie gorący deszcz.

Chociaż leżący Prezes na zmianę przyjmował ciosy – kopniak, pała, kopniak, pała – to jednak wił się i



wierzgał z wściekłą zawziętością. Czarnego widziałem na drugim planie. Sprawiał wrażenie, jakby ktoś rzucił na niego zaklęcie. Nie wydobywał z siebie żadnego jęku. Żadnego krzyku bólu. Jego ciało powoli chyliło się do przodu, chyba tracił świadomość. Trzymając się ciągle za rozpruty brzuch, w końcu padł przed siebie. Mój wzrok powędrował w kierunku Waleta. Leżał na prawym boku, a na wysokości nerek wystawała mu z pleców rękojeść opleciona konopnym sznurkiem. Cienka strużka krwi biegła w poprzek jego pleców. Na linii kręgosłupa skręciła nieco w lewo i potem dalej w dół. Nie ruszał się, ale żył. Oddychał.

– Wszyscy do szatni! Wychodzić! –

padały kolejne komendy.

Trzech następnych klawiszy doskoczyło do Prezesa.

Podnosiłem się z posadzki, a na płaskonosego wciąż spadały razy. Wydawało mi się, że zamaszyste kopniaki i uderzenia pałek nie robią na nim żadnego wrażenia. Wściekle wrzasnął w moim kierunku:

– Zostałeś jeszcze ty! Jeszcze tylko ty!

W pośpiechu ubierałem się razem z pozostałymi. Czuję, jak wewnątrz drzę i dygoczę z przerażenia. Nie, nie chodziło o to, że bałem się groźby płaskonosego, ale o to, że byłem świadkiem koszmarnego zajścia. Rozrzedzona krew na posadzce i bezwzględność, jaką emanował Prezes,

były jak najgorszy sen.

Tego samego dnia rozpętało się prawdziwe piekło. To nie był jakiś błahy incydent, w którym ktoś dał komuś wycisk i obił pysk, żeby wyrównać rachunki. To był brutalny zamach! Trzech ludzi najpierw trafiło na izbę chorych, a kilka godzin później zostali przewiezieni do szpitala w Poznaniu. Prezes zaś został osadzony na oddziale izolacyjnym.

Na miejscu przestępstwa zjawił się ze swoimi ludźmi prokurator. Naczelnik więzienia, szef straży więziennej i funkcjonariusze odpowiedzialni za opiekę podczas kąpieli, wszyscy brali udział w przesłuchaniu. To już nie była

sprawa wewnętrzna więzienia. Doszło tu do prawdziwej jatki, a ranni zostali hospitalizowani.

Podczas kolacji nie miałem najmniejszej ochoty poruszać tego tematu. Suchy jak zwykle krakał i złorzeczył, a ja uległem wrażeniu, że każdy skazaniec wie o tym, że ja również byłem wpłątany w tę aferę.

O dzisiejszym wydarzeniu w łaźni rozmawiano przy każdym stole.

Chryste, już po mnie! – pomyślałem.

– Takiego syfu to jeszcze tutaj nie było – powiedział Roman. – To jasne jak słońce, że Czarny razem ze swoimi przybili łapsko Prezesa do drzwi. Ciekaw jestem, jak to się wszystko

skończy.

– Płaskonosy beknie za to jak nic – stwierdził Suchy. – A swoją drogą, powiem wam, że facet jest nieprzewidywalny. Porwać się samemu przeciwko trzem typom... – W jego głosie było słycać uznanie. – Jak wyjdzie z izolacyjnego, będzie tutaj królem.

– O ile wyjdzie – skwitował Ojczulek.

– A czemu ma nie wyjść? Przecież nie będą go tam trzymali wiecznie, prawda? – Wydawało mi się, że Suchy ma rację.

– Niekoniecznie – odpowiedział takim tonem staruszek, jakby miał coś jeszcze w zanadrzu. – Nie wiem, jak teraz postępuje się w takich wypadkach,

ale kiedyś, jeśli ktoś został uznany za niebezpiecznego, był izolowany do końca swojej kary. Taki delikwent dostawał posiłki do celi, nie był kierowany do żadnych prac, na spacerki samotnie, do kąpielni samotnie. Widział tylko klawiszy, których twarze zamieniały się w zależności od tego, komu wypadła służba. Mało tego, taki człowiek pozostawał jeszcze pod ciągłą kontrolą, był pilnowany, żeby sam sobie nie zrobił krzywdy.

– Nie wyobrażam sobie czegoś takiego – wtrącił Boyko. – Po prostu sobie nie wyobrażam. Nie dałbym rady, przecież wtedy można oszaleć.

– I tak też większość z nich kończyła.

Apatia, obłąd, szaleństwo. – Staruszek ponuro wypowiadał każde słowo. – Jeśli żyjesz podle, robisz innym krzywdę, dopuszczasz się złego, siejesz wokół siebie gwałt i zniszczenie, zasługujesz na najsroższą karę. Takie jest moje zdanie i wcale nie żałuję takich ludzi.

– No patrzcie, drodzy państwo – Suchy dostrzegł światełko w tunelu, żeby uszczypnąć – a jak to się ma do zasad twojej wiary? Twój Bóg przecież jest taki dobroduszny i łaskawy. Ty jako jego namiestnik na ziemi nie masz w sobie wybaczenia?

– Kiedyś chciałem poświęcić życie w jego służbie – odparł księżulek. – Ale zwiedziony własnymi słabościami i

niedoskonałością                      zbłądziłem,  
przegrałem swoją szansę. Mam to, na co  
zasłużyłem, pogodziłem się ze swoim  
losem. Jest tak, jak powiedziałem, nie  
żałuję ludzi, którzy są niegodziwi.  
Modłę się jednak za nich, żeby  
przejrzeli na oczy i starali się naprawić  
własne życie. – Mówiąc te słowa,  
Ojczulek patrzył na mnie. Czułem, jak  
zimny dreszcz mknie po moich plecach.  
– Wstawiam się za nimi u Boga.  
Pojmujesz, o czym mówię? Czy może  
to za trudne? Czy wymagam zbyt wiele  
od kogoś, kto ma zawężony horyzont,  
bo idzie przez życie jak koń z klapami  
na oczach?

– Chcesz mnie obrazić? – warknął  
Suchy.



– Nie mam takiego zamiaru, ale kilka słów prawdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Prawda czasami bywa przykra i bolesna, nie sądzisz? Jak można określić kogoś, kto za wszelką cenę szuka zemsty? Wszyscy wiedzą, że tamci okaleczyli Prezesa, a on, jak widać, to człowiek, który nikomu nie odpuszcza, i proszę, dokąd go to zaprowadziło. Odpowie za swój czyn, dołożą mu do wyroku, a jeśli nie daj Boże któryś z nich umrze, to Prezes zgnije w więzieniu. Nigdy już nie wyjdzie. I co powiesz na to? Chcesz mi udowodnić, że warto postawić na swoim za wszelką cenę?

Byłem święcie przekonany, że Ojczulek znowu pod płaszczykiem tej

rozmowy kieruje do mnie swoje słowa. W jednej chwili poczułem się jak kompletny głupiec.

Staruszek miał rację.

Miał cholerną rację.

Mroźna, lutowa noc spoglądała do mojej celi. Kiedy tylko zamknąłem oczy, leżąc na pryczy, w głowie uruchamiał mi się projektor i miałem wrażenie, że znowu jestem w centrum wydarzeń, które rozegrały się w łaźni. Wspomnienie było tak intensywne, że czułem w powietrzu zapach krwi podsycanej oparami ciepłej pary i słyszałem, jak deszcz z natrysków uderza o terakotową posadzkę.

Czułem się jak w potrzasku.

Wszystko się wyda. Wszystko – przedarł się przez moje myśli głos Końskiej.

Zacząłem snuć najczarniejsze wizje.

Boże miłosierny, jak mogłem być tak głupi! – dręczyły mnie wyrzuty. Wystarczyły raptem cztery miesiące i zamieniłem swój spokojny świat w koszmarne chaos. Szukałem zemsty i ukojenia, a znalazłem tylko ból i utrapienie. To nie tak miało wyglądać! Ale jest już za późno, żeby to wszystko naprawić. Cokolwiek się teraz zdarzy i tak poniosę konsekwencje. Po co mi to było?! Tyle zła, tyle okropności i cierpienia.

Opatuliłem się kocem i siedziałem, opierając się plecami o ścianę. Zegar

na wieży kościelnej odmierzał kolejne kwadransy. Resztę życia spędzisz w więzieniu, a całą wieczność w piekle – Końska drwiła w najlepsze.

Nie znam słów, którymi mógłbym opisać swoje uczucia.

Trawił mnie gorzki żal. Przecież to ja doprowadziłem do upodlenia człowieka, to moja żądza zemsty i niepohamowana chęć odwetu nakręciły spiralę zdarzeń. To ja odkryłem w sobie bezwzględność i podłość i pozwoliłem, żeby zawładnęły moim życiem. To ja nęcony czczymi obietnicami wzgardziłem przyjaźnią. To wszystko była moja wina. Teraz przyjdzie mi za to zapłacić.

Czułem się bezradny, tak bardzo spętany przez niemoc, że nie potrafiłem

powstrzymać gorzkich łez.

Każdy z nas ma taki świat, na jaki zasługuje.

Wolnym krokiem zataczałem kolejną rundę wokół spacerniaka. Oczywiście tematem numer jeden był wczorajszy atak Prezesa w łaźni. Miałem wrażenie, że wszyscy rozmawiają tylko o tym, co się wydarzyło.

Mijałem grupę więźniów z lewej, kiedy do moich uszu dobiegło zdanie:

– Człowieku, widziałeś, jak trzymał swoje flaki? – Ten, który to mówił, złapał się obiema dłońmi za podbrzusze.

Szedłem dalej.

– W końcu ktoś dał nauczkę Czar...

W tym samym momencie rozległ się

donośny głos klawisza:

– Zdanowicz!

Do wejścia na spaceriak doprowadzono jednego skazańca, a kolejnego zabrano na przesłuchanie. Już podczas śniadania powiadomiono nas, że wszyscy, którzy byli wczoraj obecni w łaźni podczas krwawego incydentu, będą wzywani na rozmowę z prokuratorem.

Bałem się.

Nie pytań, które mogą mi zadać, ale tego, że już coś wiedzą.

Spojrzałem przed siebie. Ojczulek siedział tam gdzie zawsze.

Przełamałem wstyd i ruszyłem w jego kierunku.

– Jak leci, Ojczulku? – zagadnąłem i sam wyraźnie słyszałem, jak mój głos się łamie.

– Bywało lepiej – odpowiedział staruszek. – Siadaj. – Gestem dłoni wskazał miejsce obok siebie. – Wszystko się skomplikowało.

– I to bardzo. – Splotłem palce jak do modlitwy, a wzrok wbiłem w czubki butów. – Żałuję – wyznałem z naturalną szczerością w głosie.

– Co teraz zamierzasz?

Nic nie odpowiedziałem, nie miałem pomysłu na żadną odpowiedź. Lekko wzruszyłem ramionami i pokiwałem głową, jakbym chciał czemuś zaprzeczyć.

Siedzieliśmy tak w milczeniu przez

dłuższą chwilę. Zrozumiałem, że to, co było kiedyś między nami, umarło. A jeśli nie umarło, to na pewno zmieniło się na tyle, że już nigdy nie będzie tym samym.

– Starzeję się w zastraszającym tempie – księżulek zmienił temat. – Coraz gorzej widzę, litery w gazetach wydają się jakieś takie niewyraźne i rozmazane. Na szwalni też idzie mi kiepsko, ostatnio nawet usłyszałem od Mroczkowskiego, że chyba powinni mi znaleźć inne zajęcie. Nie miałbym nic przeciwko temu. – Uśmiechnął się po nosem. – Od kilku lat prawie każdego dnia słyszę stukot maszyn do szycia. Tuk-tuk, tuk-tuk, tuk-tuk – starał się naśladować odgłos maszyny.



– Byłem tam z nimi – powiedziałem zniechęcony. Po prostu musiałem komuś to wyznać. – Byłem przy tym, jak Czarny przybił dłoń Prezesa do drzwi. Miałem w tym swój udział.

Ojczulek nic nie powiedział, pokiwał tylko głową, jakby się nad czymś zastanawiał.

Zapaliłem papierosa i zacząłem snuć opowieść, jak do tego doszło.

Musiałem to z siebie wyrzucić.

Przed południem od strony wejścia na spacerownik padło moje nazwisko. Idąc w tamtym kierunku, dostrzegłem Hrabiego, który stał nieopodal i przyglądał mi się pustym wzrokiem. Teraz dopiero zauważyłem, że to już nie

był ten sam człowiek co kiedyś. Mizerna sylwetka, zmęczona twarz, podkrążone oczy i jakby więcej siwych włosów na głowie. Mężczyzna patrzył na mnie. Nagle jego usta rozchylił grymas. Już nie błyszczał rzędami idealnych filmowych ząbków. Wybite jedyńki, złamana prawa dwójka i ciemna wyrwa w dolnej szczęce czyniły z niego bardziej wiedźmina niż amanta. Przez miejsce, w którym miał ubytki, wystawił w moim kierunku koniec języka i syknął niczym wąż. A potem znowu utkwiał we mnie ten sam pusty wzrok.

– Więzień dwadzieścia dziewięć-jedenaście melduje się na wezwanie – rzuciłem w stronę Frantza.

Drugi klawisz otworzył bramkę i gestem głowy kazał mi przejść na drugą stronę.

– Ruszaj w stronę głównego budynku.

– Frantz lekko pchnął mnie przed siebie.

Dotarliśmy do drzwi, na których widniała biała tabliczka z czarnymi drukowanymi literami: SALA ODPRAW.

Strażnik zapukał w drzwi.

– Wejść! – padła z drugiej strony krótka komenda.

W pomieszczeniu, które było dwa razy większe od gabinetu Szumskiego, znajdował się długi stół i krzesła. Okna spoglądały w kierunku baraku łodygowni.

Wojciechowski stał przy jednym z

nich i palił papierosa.

Na stole okrytym zielonym suknem leżało kilka papierowych teczek oraz luźne kartki papieru. Po prawej stała karafka z wodą i kilka szklanek. Czterech nieznanymych mężczyzn wpatrywało się w moje oblicze.

– Więzień Żabikowski, numer ewidencyjny: dwadzieścia dziewięć-jedenaście, doprowadzony! – zameldował Frantz.

Aspirant Szumski siedział na drugim końcu stołu, na którym leżał jakiś skoroszyt, i obracał w palcach ołówek.

Szpakowaty mężczyzna siedzący pośrodku wskazał mi dłonią na krzesło stojące na wprost.

– Opowiedz nam, co wczoraj

widziałeś w łaźni – odezwał się do mnie spokojnym tonem.

– Podczas kąpieli usłyszałem krzyk. Obróciłem głowę w tamtym kierunku i ujrzałem, jak jeden z więźniów zaatakował innych. – Starąłem się mówić krótko i treściwie. – Nie widziałem dokładnie, co się działo, bo było spore zamieszanie.

– Dlaczego leżałeś na posadzce? – zapytał nagle. – Mam tutaj zeznanie jednego ze skazańców. – Sięgnął dłonią w kierunku stosu luźnych kartek i wziął pierwszą z góry. – Pozwolę sobie zacytować: „... w tym samym czasie Żabikowski leżał na podłodze”. Koniec cytatu. – Zamilkł na moment, spojrzał mi prosto w oczy i znowu zadał to samo

pytanie: – Dlaczego leżałeś?

– Nie leżałem. Kiedy zaczęło się zamieszanie, ktoś mnie popchnął, poślizgnąłem się i upadłem.

– Kto cię popchnął? – wpadł mi w zdanie.

– Nie wiem – odparłem natychmiast.  
– Po prostu chyba ktoś mnie trącił przez przypadek, gładka posadzka, mydliny, woda, upadłem. – Starąłem się, żeby brzmiało to wiarygodnie.

Zerknąłem w stronę Szumskiego. Aspirant nie patrzył na mnie, tylko kreślił coś w swoim kajecie. Naczelnik nadal opierał się o futrynę okna i palił, a trójka pozostałych mężczyzn przyglądała mi się badawczym wzrokiem.

– Jakie są twoje stosunki z

Jarosławem Podolskim, pseudonim Czarny, z Józefem Nowakowskim, znanym jako Duży Ziutek, i z Adamem Siemaszko, ksywa Walet? Są luźne, zażyłe, a może wrogie? – wypowiedział ostatnie słowo podejrzliwym tonem.

– Nazwałbym je luźne. – Wzruszyłem ramionami, jakbym chciał ich utwierdzić w przekonaniu, że wszyscy, których wymienił, są mi po prostu obojętni.

– Luźne – powtórzył przeciągle. – No dobrze, a co cię łączy z Władysławem Mikrutem, którego więźniowie, i chyba nie tylko... – posłał spojrzenie Szumskiemu i na moment zawiesił głos – nazywają Prezes?

– Nasze stosunki określiłbym również jako luźne. – Starłem się mówić

opanowanym głosem.

Na chwilę zapadła głucha cisza. Wszyscy obecni utkwili we mnie wzrok. Poczujęm, jak krew w moich żyłach zaczyna krążyć zdecydowanie szybciej.

– Słuchaj – ten, który zadawał pytania, spojrzał na kartkę, prawdopodobnie dlatego, żeby przeczytać, jak się nazywam – Żaabikowski – wypowiedział moje nazwisko, przeciągając samogłoskę „a”. – Nie wiem dlaczego, ale coś mi się wydaje, że kręcisz. Mam tutaj notatkę z zajścia sprzed dwóch tygodni i dotyczy ona incydentu, podczas którego, jak tutaj jest napisane, „nieznani sprawcy okaleczyli dłoń Mikruta”. Przybili mu ją do drewnianych drzwi w pomieszczeniu



gospodarczym, które bezpośrednio sąsiaduje z łaźnią. Tego dnia nie byłeś w warsztacie stolarskim, gdzie pracujesz na co dzień. – Serce w moich piersiach zaczęło dudnić. – Tylko całkiem niedaleko miejsca zdarzenia. – Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem, a jego słowa brzmiały tak, jakby rozszyfrował całą zawiłą układankę. – Może masz do opowiedzenia na ten temat coś innego niż poprzednim razem?

– Nie. Tamtego dnia zostałem doprowadzony przez dozorcę do pomieszczenia sortowni, gdzie miałem naprawić stół. – Słowa gładko wypływały z moich ust.

– Ktoś zabrał ci jakieś narzędzie lub je pożyczył? – dociekał.

– Nie, proszę pana.

– I nic nie wiesz na temat dłuta, którym ktoś przybił dłoń Mikruta?

– Wiem tylko tyle, że brak dłuta wykazał jeden z pracowników stolarni podczas styczniowego spisu z inwentarza – odparłem zgodnie z prawdą.

Szpakowaty mężczyzna kiwał potakująco głową.

– A do kogo Władysław Mikrut krzyczał podczas wczorajszego zajścia?

– Ponownie zerknął na kartkę. – Cytuję: „Zostałeś jeszcze ty! Jeszcze tylko ty”. Koniec cytatu. Do kogo on wrzeszczał?

– Spojrzał mi w oczy.

– Nie wiem, proszę pana. Nie jestem pewien, czy słyszałem takie słowa. Nie

przypominam sobie, było straszliwe zamieszanie – łągałem i mogłem mieć jedynie nadzieję, że i tym razem jestem bardzo przekonujący.

– Nie wiesz – westchnął. Jego opanowanie było w pewien sposób przerażające. Albo miał profesjonalne podejście do swoich obowiązków, albo było mu zupełnie obojętne, jaki był prawdziwy przebieg zdarzeń. – Szkoda, że nie wiesz. Ja natomiast jestem pewien, że jeśli miałeś coś z tym wspólnego, to wewnątrz tych murów grozi ci poważne niebezpieczeństwo. Słuchaj, chłopcze – podniósł się z krzesła – mamy tutaj poszlaki, które stawiają twoją osobę w dość kontrowersyjnym świetle. Ja nie wierzę

w przypadki i zbiegi okoliczności. – Okrążył stół i podszedł w stronę okien, obok których stał rząd krzeseł. Jedno z nich postawił tuż przede mną oparciem w moją stronę. Usiadł na nim okrakiem. Jego twarz była zaledwie kilkanaście centymetrów od mojej. Nie wiem dlaczego, ale w mojej pamięci błyskawicznie powróciły zdarzenia, które rozegrały się z Hrabią w małym pomieszczeniu pralni. – Jestem prokuratorem od ponad dwudziestu lat, ścigałem przestępców wszelkiej maści, znam się na ludziach, wiem, kiedy mataczą, kłamią i kluczą w zeznaniach – mówił bez pośpiechu. – Moje doświadczenie podpowiada mi, że coś przed nami ukrywasz. – Zacząłem

nabierać przekonania, że ten człowiek czyta we mnie jak w otwartej księdze. Przez dłuższą chwilę patrzył mi się w oczy. Wiedziałem, że nie mogę uciekać wzrokiem w innym kierunku. Podbierał mnie w cwany sposób, ale w sumie nic nie wiedział. Czarny, Walet i Duży Ziutek wylądowali w szpitalu, prawdopodobnie szpakowaty jegomość jeszcze nie miał okazji ich przesłuchać. Prezes siedział na izolacyjnym i dałbym sobie obciąć obie dłonie, że kto jak kto, ale płaskonosy złożył śluby milczenia. Skoro nie wydał nas za pierwszym razem, to teraz też tego nie zrobi. Należał do ludzi, którzy sami załatwiają swoje sprawy. – Myślę, że jeszcze będziemy mieli okazję porozmawiać –

powiedział i kiwnął głową w stronę Szumskiego.

– Strażnik! – krzyknął aspirant. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wkroczył Frantz. – Odprowadzić więźnia!

W drodze na spacerniak zastanawiałem się, dlaczego nikt więcej z obecnych w sali odpraw nie zabrał głosu? Instykt podpowiadał mi, że to całe śledztwo to jakaś jedna wielka pomyłka.

Kilka dni później do wronieckiego więzienia dotarła wieść, którą na pewno wielu przyjęło z radością. Nie będę ukrywał, ale ja również w pewien sposób odczułem ulgę. Jarosław

Podolski, znany wszem wobec jako Czarny, zmarł w szpitalu wskutek odniesionej rany. W tamtych czasach medycyna jeszcze nie potrafiła skutecznie walczyć z infekcjami i zakażeniami. Czarny umarł, bo dostał zapalenia otrzewnej. Cokolwiek to znaczyło i tak nie miało najmniejszego znaczenia.

Śmierć to śmierć.

Każdy z nas w jakimś momencie swojego życia stanie z nią twarzą w twarz.

Śmierć jest nieuchronna.

Walet i Duży Ziutek nadal byli w poznańskim szpitalu. Obaj dochodzili do siebie.

Każdego dnia borykałem się z

myślami, co będzie, jeśli któryś z nich postanowi powiedzieć prawdę? Ta myśl długo nie dawała mi spokoju.

Na razie jednak wszyscy milczeli.

Prezes siedział zamknięty na izolacyjnym i jak głosiła plotka, miał tam pozostać tak długo, dopóki jego sprawa trafi na wokandę. Jeden ze strażników wygadał się, że płaskonosy milczy i nie składa żadnych zeznań ani wyjaśnień. Nic nie pomogło, żeby rozwiązać mu język. Ani to, że kilka razy Blaszański pogadał z nim po swojemu, ani to, że bezustannie straszono go wyrokiem dożywocia.

Początkowo myślałem, a właściwie byłem przekonany, że Hrabia zapala



chęcią odwetu. Myliłem się. To, że nie było już Czarnego, wcale nie oznaczało, że jego koszmar się skończył. Nic z tego. Niestety tak to już jest w więzieniu, że raz upodlony człowiek pozostaje nim do samego końca. Poza tym Hrabia miał za sobą zbyt wielką traumę, żeby potrafił się z nią sam uporać. Nie było nikogo, kto mógłby roztoczyć nad nim ochronę, jego najlepszy kumpel siedział na izolacyjnym, a reszta ze starej ekipy miała go po prostu gdzieś. Duszański był jak kawałek padliny rzuconej zwierzętom na pożarcie.

– No i patrzcie, mili państwo – powiedział Suchy kilka dni później podczas śniadania. – Ależ życie potrafi

być przewrotne. Chłopaki się wytłukli i teraz królestwo pozostało bez władcy.

– Możesz być pewien, że nie na długo – odparł Ojczulek.

– To może na ten przejściowy okres powinienem zostać oficjalnym ambasadorem? – zarechotał i z namaszczeniem pogłaskał dłonią pomarszczony policzek. – Ma się te cechy przywódcy. – Obrócił głowę w bok, pokazując nam swój profil. – Charakterystyczny rzymski nos, inteligentne spojrzenie, lekko zaokrąglone czoło, uszy przylegające do głowy, soczyste usta, wyprofilowany podbródek, odpowiednio uwypuklone kości policzkowe...

– I brak mózgu – skwitował Roman,

wpadając mu w zdanie.

Zanieśliśmy się gromkim śmiechem.

Nagle poczułem się w ich towarzystwie tak samo jak kiedyś.

– Oj Romuś, Romuś – westchnął nasz as dowcipu – nie dziwi mnie twoja zazdrosna uszczypliwość. Naprawdę. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Gdyby matka natura pokarała mnie taką gębą jak twoja, to całe życie chodziłbym w masce. A powiedz nam, czy jak byłeś brzdącem to rodzice się ciebie bali?

Chichraliśmy się jak wściekli.

– Jeszcze słówko, a będzie ci potrzebny zimny okład, a nie maska. – Roman chyba nie zawsze tolerował dowcipy na swój temat.

– Oj, dobrze, dobrze, Romeczku. –

Suchy nie odpuszczał. – Nie ma się czego wstydić. Najważniejsze, że mimo wszystko mamusia i tatuś bardzo cię kochali. Ja wiem, że dzieciaki w popłochu uciekały, kiedy pojawiłeś się na podwórku, a bezdomne kundły podwijały ogony i czmychały do sąsiedniej dzielnicy. – Suchy jak zwykle tracił umiar i brnął dalej.

– Przymknij się, bo zaczynasz mnie drażnić. – Roman nie uważał jego słów za zabawne.

Suchy jednak puścił ostrzeżenie mimo uszu i nadal kpił w najlepsze.

– Domyślam się, że było ci ciężko. Czuleś się samotny, opuszczony i nikomu niepotrzebny. Wieść o urodzie dziecka innego niż wszystkie pomknęła

od miasta do miasta, jak kraj długi i szeroki. Ale nie denerwuj się, ja tylko staram się okazać swoje współczucie.

– Suchy, nie nadwyrężaj mojej cierpliwości. Ostrzegam cię po raz ostatni – powiedział poważnym głosem Roman.

– Długo nad tym myślałem, co kiedyś usłyszałem od Boyko – zmienił nagle temat. Zerknął na Cygana i posłał mu oko. – Muszę się podzielić z wami swoją ostatnią myślą i już więcej nic nie powiem na ten temat. – Spojrzał na Romana i klepnął się zaciśniętą pięścią w pierś. – Dzisiaj w końcu zrozumiałem, dlaczego wystraszone cygańskie tabory szerokim łukiem omijały twoje rodzinne miasto.

Boyko po prostu eksplodował. Połowa więźniów na stołówce skierowała oczy w naszym kierunku.

– Cisza mi tam! – wrzasnął do nas funkcjonariusz stojący obok drzwi.

Cygan starał się opanować i nawet na kilka sekund zrobił się poważny. Widząc jednak, jak ja, Suchy i Ojczulek podrygujemy z rozbawienia, nie wytrzymał napięcia i ponownie parsknął śmiechem. Tym razem nie wybuchnął z taką siłą jak poprzednio, ale chichotał tak intensywnie, że łzy rozbawienia ciekły mu z oczu. I nagle Roman, który siedział naprzeciw niego po drugiej stronie stołu, przyłożył mu z całej siły otwartą dłoń w lewy policzek.

Głową Cygana trzepnęło w moją

stronę.

– Zatłukę cię, ty czarny sukinsynu! –  
cisnął wściekle przez zaciśnięte zęby  
Roman.

Suchy energicznym ruchem  
powstrzymał jego rękę i przez krótką  
chwilę siłował się z naszym kompanem,  
który najwyraźniej miał zamiar wstać i  
dokończyć dzieła.

– Oszalałeś?! Uspokój się,  
bo wszyscy przez ciebie oberwiemy –  
warknął mu prosto do ucha. – Roman,  
przecież to tylko głupie żarty.

Jego reakcja naprawdę była  
zaskakująca. Siedziałem obok Boyko,  
ale niestety nie byłem tak czujny jak  
Suchy. Upokorzony Cygan złapał  
za swój kubek i chlusnął Romanowi

prosto w twarz całą zawartością. Przy okazji oberwało się również Suchemu i Ojczulkowi.

Roman ogarnięty wściekłością poderwał się na równe nogi. Złapał Boyko za poły więziennej bluzy i nietrudno było przewidzieć jego zamiary. Był zdecydowanie większy od przeciwnika. W tej samej chwili do naszych uszu dotarł ostry dźwięk alarmowego gwizdka, w który dmuchnął jeden z dozorców. Kątem oka dostrzegłem, jak w stronę naszego stołu biegną Mroczkowski i Robalski. Obaj strażnicy trzymali pałki w dłoniach, gotowe przywołać do porządku dwóch rozjuszonych skazańców. Oczy wszystkich więźniów śledziły



to niebywałe zajście. Nasz kumpel, który był wierny komunistycznym przekonaniom, mocno trzymał przeciwnika za materiał szarego uniformu. Siłował się z nim, wykrzykując przy tym wszelkie przekleństwa. Chyba chciał zrobić krok w prawo, ale natknął się na stopy Suchego i momentalnie stracił równowagę. Ciągnąc za sobą Cygana, obaj wylądowali na kamiennej posadzce.

Wiatraki rąk zawirowały w powietrzu.

Ciosy padały z obu stron, a po chwili w tym zamieszaniu wzięło jeszcze udział dwóch klawiszy. Świst pał i odgłosy uderzeń rozbrzmiewały tuż obok naszego

stołu. Funkcjonariusze tłukli na oślep, a Roman i Boyko tarzali się po podłodze, ciskając w siebie pięściami.

To był wybuch wściekłości.

Dopiero kiedy pojawiło się dwóch kolejnych strażników, udało się opanować sytuację. Mundurowi nie szczędzili razów niepokornym więźniom. Boyko był na tyle sprytny, że leżąc na posadzce, zwinął się w kłębek i zasłaniał rękami głowę, Roman natomiast wierzgał jak dzikie zwierzę i wydierał się na całe gardło:

– Zajebię cię, ty czarniawy skurwysynu! Zajebię!

Jego zajadłe wrzaski ustały dopiero po chwili. Roman zamilkł, kiedy jego twarz schowała się za woalem

ociekającym czerwoną krwią.

Strażnicy wywlekli ich ze stołówki.

– Kurwa mać – szepnął oniemiały z wrażenia Suchy – ale cyrk. Ludzka głupota nie zna granic. Cholerne gnojki pozbawiły mnie szyku i elegancji. – Spojrzał po sobie zniesmaczonym wzrokiem, po czym kantem dłoni przetarł mokre miejsca na bluzie. Zaczesał do tyłu włosy, a rękawem wytarł policzek, po którym spływały krople kawy, i dokończył posiłek.

– Możemy też za to beknać? – zapytałem ni stąd, ni zowąd. Naprawdę byłem zaskoczony tym, co się wydarzyło.

– Miejmy nadzieję, że nie – odparł Suchy, kiwając głową z nieukrywaniem

politowaniem.

Roman i Boyko za wszczęcie bójki w stołówce zostali ukarani pobytem w karcerze. Dwie doby w ciemnicy wystarczyły, żeby na jakiś czas ostudzić gorące temperamenty podstarzałych kogucików i wskazać im właściwe miejsce w szeregu.

W związku z tym, że Czarny zmarł w wyniku odniesionej rany, śledztwo zostało przejęte przez poznańską prokuraturę i zyskało wymiar sprawy o zabójstwo. Prezes nadal przebywał we Wronkach na oddziale izolacyjnym, pozostali zaś dwaj uczestnicy krwawych wydarzeń, decyzją Sądu Okręgowego w Poznaniu, zostali przeniesieni do dwóch

różnych placówek penitencjarnych, aby tam odbyć karę. Walet wylądował w więzieniu w Sztumie, a Duży Ziutek w Rawiczu. Tą decyzją władze wykluczyły prawdopodobieństwo kolejnych niespodziewanych następstw. Sprawa była też o tyle skomplikowana, że cała trójka postępowała wedle zasady „trzech małych”. To były inne czasy. Świat przestępczy był bardziej dumny i honorowy niż obecnie. Nie było statusu świadka koronnego. Ten, kto sypał, mógł liczyć na łagodniejszy wymiar kary, ale żadna instytucja rządowa nie roztaczała później nad takim osobnikiem żadnej ochrony. Świadoma współpraca z organami ścigania była równoznaczna z podpisaniem na siebie wyroku śmierci.

Donosiciele i szpicle zawsze byli traktowani jak najgorszy wróg. A wroga można powstrzymać tylko wtedy, kiedy się go skutecznie wyeliminuje z gry.

Całe to śledztwo to była jakaś farsa. Prokurator nic nie wskórał, przesłuchał tylko więźniów i spisał zeznania. Niemniej odniósł sukces, ponieważ był jeden winny, były ofiary i świadkowie, którzy jednogłośnie potwierdzili czynny udział Prezesa. Sprawa była aż nadto oczywista. Płaskonosemu przyznano młodego i niedoświadczzonego adwokację z urzędu. Dowody nie podlegały żadnej dyskusji. Odbyły się dwie rozprawy i Prezes został uznany winnym śmierci Jarosława Podolskiego.

Za ten czyn dostał piętnaście lat więzienia, które zostały skrupulatnie doliczone do poprzedniego wyroku. W czasach II Rzeczypospolitej piętnaście lat paki było najwyższym wymiarem kary związanej z osadzeniem i traktowanej również jako hańbiąca. Powyżej była już tylko kara śmierci, która w szczególnych wypadkach mogła zostać zamieniona na dożywocie. Ja, Ojczulek i Wilhelm Wolf byliśmy tego najlepszym dowodem. W sprawie Prezesa oskarżyciel domagał się najsurowszego wyroku, ale sędzia wziął również inne aspekty pod uwagę. Wyrok brzmiał: piętnaście lat i dodatkowo płaskonosego zakwalifikowano do kategorii więźniów niebezpiecznych. Po ogłoszeniu

prawomocnego wyroku Prezesowi zostały do odsiadki dokładnie dwadzieścia dwa lata. Sędzia zdecydował, że Władysław Mikrut vel Prezes będzie osadzony w Centralnym Więzieniu we Wronkach na oddziale izolacyjnym. Ponadto dwa razy do roku miał podlegać specjalistycznym badaniom lekarskim, po to, aby ustalić jego poczytalność, określić skalę przystosowania do życia w grupie społecznej i stopień zagrożenia, jaki mógł stwarzać zarówno dla siebie, jak i dla innych.

Przyznam się wam szczerze, że w tamtym momencie poczułem się tak, jakby cały świat zeskoczył z moich ramion i pozwolił mi odetchnąć pełną



piersią. To była prawdziwa ulga. Oczywiście w moim umyśle nie rozśpiewały się skowronki i nie zaświeciło jasne słońce. Miałem świadomość tego, że pewnego dnia wszystko może się zmienić i wrócić z miażdżącym uderzeniem. Z tego, co zdążyłem się zorientować, sprawa za zabójstwo, bo tak właśnie potraktowano czyn Prezesa, w świetle obowiązującego wówczas prawa nie podlegała przedawnieniu. Zrozumiałem, że niepokój dręczący sumienie będzie tak długo panoszył się w moim umyśle, dopóki będą żyć uczestnicy tych zdarzeń.

Dopełniłem też obowiązku, jaki sam sobie nałożyłem w przeszłości. Nazwisko Podolskiego pojawiło się

na odwrocie tablicy wiszącej w stolarni.

Nie dopuściłem się zbrodni w pełnym tego słowa znaczeniu, byłem jednak odpowiedzialny za coś innego. Uczestniczyłem w zamachu, ale za swój udział nie dostałbym wyroku śmierci. Za ten czyn mogłem natomiast zostać uznany za więźnia niebezpiecznego i resztę swego życia spędzić w izolatce.

Koszmar na wizję.

Tego się właśnie bałem.

To przerażało mnie najbardziej.

Mała cela i wieczna samotność. Jak żyć w kompletnej izolacji od świata? Jak się z nią uporać? Kiedy myślałem o sobie, widziałem dwa rozwiązania. Albo śmierć zadana własnymi rękami albo obłąd.

Zasłużyłem na utrapienie.

Zrozumiałem, że strach przed takim życiem, będzie się na mnie mścił przez długie lata.

Wiedziałem, że Walet i Duży Ziutek będą milczeć. Jeśli którykolwiek puściłby parę z gęby, to tak jakby na własne życzenie zafundował sobie dodatkowy wyrok. Jakie zaś myśli kiełkowały w głowie zatwardziałego Prezesa? To była nieprzenikniona tajemnica. Był ulepiony z innej gliny. Pewnie uroił sobie, że któregoś dnia wyjdzie z izolatki i dokończy dzieła.

Myślę, że taką miał właśnie nadzieję.

Zostałem jeszcze ja.

Jeszcze tylko ja!

Z końcem marca świat utonął w wiosennych roztopach. Pogoda była fantastyczna jak na tę porę roku. Niektórzy ze starszych skazańców wspominali podobną wiosnę, która zdarzyła się pod koniec dziewiętnastego wieku. Ponoć wtedy astrologowie przebąkiwali o tym, że klimat się zmienia, i z entuzjazmem wysuwali teorie, że w przyszłości nadejdą takie lata, kiedy rolnicy w tym zakątku Europy będą dwa razy do roku zbierać obfite plony.

Wraz z tą niesamowitą aurą pojawił się w murach wronieckiego więzienia, żeby odbyć karę ośmiu lat więzienia, Piotr Biegański. Młody, ambitny, wykształcony i nieprzeciętnie

inteligentny. Kiedy w pierwszym dniu swojego pobytu usiadł przy naszym stoliku, jego twarz natychmiast przypomniła nam, że każdy świeżak pojawia się tutaj z wymalowaną na twarzy sinofioletowo wizytówką. Biegański został jednym z nielicznych w pudle, do którego wszyscy zwracali się po imieniu. Fakt, że mówiliśmy nieco pieszczotliwie, bo od pierwszej chwili został dla nas Piotrusiem, a jakiś czas potem Piotrusiem Panem. Pewnie zwróciliście uwagę na to, że większość osadzonych miała ksywki. Chyba każde więzienie świata ma coś wspólnego z indiańskimi zwyczajami. Tutaj nadają ci imię, które wynika albo z twojej postury lub czegoś charakterystycznego

w twoim wyglądzie, albo z rangi uprawianego wcześniej zawodu, albo dotyczy przekonań, albo jest pochodną od nazwiska lub cechy charakteru. Znałem wielu ludzi i powiem wam, że czasami nie miałem pojęcia, jak się naprawdę nazywają. Może któregoś dnia jakiś pasjonat ludzkich zachowań i miłośnik narodzin subkultur, które tworzą się w zamkniętych środowiskach, napisze o tym ciekawą rozprawę?

Piotruś Pan pojawił się na kilka dni przed Wielkanocą. No właśnie, muszę się jeszcze pochwalić, że przed świętami zamówiłem u Suchego przyzwoite okulary. Wiecie, takie do czytania. Miały mieć solidne

oprawki, dobrej jakości szkła i ogólnie oczekiwałem od mojego dostawcy wyrobu z najwyższej półki.

To miał być prezent.

Wielkanocny prezent dla Ojczulka.

Naprawdę chciałem zrobić staruszkowi przyjemność, a tym samym naprawić nasze oschłe stosunki. Trochę narzekał, że wzrok mu siada, więc okazja ku temu była idealna.

Piotruś przez kilka pierwszych dni był przestraszony. To zupełnie naturalne. Każdy, kto nagle został wyrwany z normalnego świata i osadzony pośród murów i krat, natychmiast doświadczał prawdziwego strachu przed nowym życiem. W jednej chwili zjawiałeś się w

miejscu, które nie miało nic wspólnego z tym, co dotychczas znałeś. Totalna abstrakcja, inna galaktyka.

Biegański został przydzielony do pracy na łodygowni.

Norma.

Nie miał wykształcenia ani fachu w ręku, który mógłby go wydzwignąć na jakąś atrakcyjną posadkę. Piotruś Pan studiował filozofię. Był na czwartym roku, kiedy jego życie legło w gruzach. Pochodził z mieszczańskiej rodziny. Jako młody człowiek dał się ponieść ideom komunistycznym i chełpił się, że w roku 1920 poznał osobiście Feliksa Dzierżyńskiego.

Biegański był aktywnym działaczem KPP.



Komunistyczna Partia Polski to był przedziwny twór. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy działali w tej organizacji, tak bardzo chcieli, żeby Polskę pozbawić własnej państwowości i wcielić nasz kraj do Związku Radzieckiego? Absurd! Z drugiej strony, nie potępiałem go za to. W końcu każdy z nas może mieć własne przekonania.

Piotr bardzo szybko pozyskał naszą przychylność, był miły, grzeczny, ułożony.

Z Suchym znalazł humorystyczną nić porozumienia, bawiły ich te same żarty i bez końca potrafili się przekomarzać na pograniczu chamstwa i grubiańskiego dowcipu. Nareszcie Suchy trafił

na godnego siebie przeciwnika.

Roman miał podobne przekonania co nasz nowy kompan, chociaż czasami spierali się o jakieś duperele.

Ojczulek mógł z nim rozmawiać o sprawach wzniosłych, o tych wszystkich rzeczach, które były poza zasięgiem naszych intelektualnych horyzontów.

Ja widziałem w nim jakąś część siebie, część człowieka, którym kiedyś byłem. A Boyko? Boyko szanował go za to, co mówił o wolności i równości wszystkich ludzi.

Przyroda naprawdę oszalała. Pierwsze dni kwietnia nie zwiastowały wiosny, ale zapowiadały wręcz lato! Słońce rządziło na błękitnym

nieboskłonie.

Siedziałem na stopniach placu apelowego. Zdjąłem bluzę i wygrzewałem blade ramiona w słonecznych promieniach. Suchy stanął na wysokości zadania i na czas przemycił dla mnie okulary, które chciałem sprezentować Ojczulkowi. Przeplącałem, i to słono, za tę parę szkieł w okrągłych stalowych oprawkach, lecz przyznam, że wyglądały całkiem solidnie. Dostawca pozwolił sobie na nieco samowoli i skasował mnie również za skórzane etui. Ale machnąłem na to ręką.

Skoro miało być coś ekstra, to niechaj będzie.

– Mam coś dla ciebie – powiedziałem

do Ojczulka. Sięgnąłem do kieszeni spodni i podałem mu przedmiot w czarnym pokrowcu. – Wszystkiego najlepszego z okazji świąt Wielkiej Nocy. Niech ci się jak najlepiej darzy!

Staruszek był naprawdę zaskoczony.

Wziął przedmiot do ręki i otworzył etui. W środku spoczywały sztywne okulary.

Uśmiechnął się dobrodusznie i spojrzał na mnie.

– Dziękuję. – Delikatnie złapał za oprawki, przyjrzał się im dokładnie, po czym założył je na nos.

– I jak? Lepiej? – zapytałem.

– No teraz to mogę powiedzieć, że mam świat w zasięgu wzroku! – Był uradowany, a ja miałem ogromną

satysfakcję. Dawno nie zrobiłem niczego dobrego. Już zapomniałem, jakie to uczucie, kiedy drobnym gestem można sprawić drugiemu człowiekowi radość. Nie wiem właściwie, na co liczyłem. Chyba miałem nadzieję, że nasze relacje odżyją na nowo. Nadzieja to wspaniała rzecz. Niestety nie zawsze się spełnia. Pomiedzy mną a Ojczulkiem wznosił się już niewidzialny mur.

Z okazji świąt Wielkiej Nocy każdy więzień dostał na śniadanie gotowane jajko. Przyznacie sami, że miało to bardzo symboliczne znaczenie. Zajadaliśmy uroczyste śniadanie, kiedy wywiązała się dyskusja. Suchy chciał chyba nieco podkręcić sytuację i

stwierdził:

– Źle się dzieje w państwie polskim. Komuchy się panoszą, namawiają do strajków, marzy im się jakiś pieprzony, nowy porządek świata! Co za parszywe czasy nastały – westchnął. – Liczę na to, że ktoś mądry zrobi z nimi porządek, bo jak wyjdę dokładnie za cztery lata, to chciałbym za tymi murami zastać krainę mlekiem i miodem płynącą.

– Ci ludzie, których z drwiną nazywasz komuchami – wtrącił nagle Roman – działają również z pożytkiem dla ciebie. Tylko co może o tym wiedzieć ktoś taki jak ty? – warknął pogardliwie.

– No patrzcie państwo – zakpił Suchy,

wznosząc się na wyżyny aktorskiego kunsztu – znalazł się znawca tematu, proletariusz z bożej łaski. Może sobie pysk pomaluj na czerwono, żeby wszyscy widzieli, jaki jesteś fajny.

– W pysk to możesz zaraz zarobić – odparł Roman nieco podniesionym głosem.

– Aaa, czyli tak wygląda twoja walka o lepszy świat i godne jutro? – Suchy spojrzał na rozmówcę z komiczną miną, udając zaskoczenie. – Nie wiedziałem, towarzyszu, przepraszam – prowokował.

– Z takimi jak ty – Roman pokazał palcem wskazującym na Suchego – też zrobimy porządek.

– Zrobimy? A ilu was jest? – zachichotał. – Połowa siedzi tutaj w

pierdłu, a druga część jest na wolności – skwitował z politowaniem.

– Oj, zdziwiłbyś się – wtrącił nagle Biegański. – Świat się zmienia, ludzkość potrzebuje zmian, problem w tym, że nie wszystkie idą we właściwym kierunku. Masz pojęcie, co się dzieje w Europie? – niby pytał Suchego, ale chyba nie oczekiwał, że usłyszy jakąkolwiek odpowiedź, bo ciągnął dalej. – Zdajesz sobie sprawę, jakie panują nastroje społeczne? Siedzicie, a właściwie siedzimy sobie – poprawił się natychmiast – otoczeni wysokim murem i tak prawdę powiedziawszy, o nic nie musimy się martwić. Jesteśmy odizolowani z dala od tych epokowych zmian, ruchy faszystowskie zalewają



zachodnią Europę, dawne imperium carów zamienia się w robotniczy raj. To tam wyznawcy Marksa, Lenina i Engelsa...

– Że niby kogo? – wpadł mu w zdanie Suchy. – O Włodzimierzu słyszałem, a tamci dwaj to co za figuranci?

Ojczulek spojrział na niego z niedowierzaniem i zrezygnowany pokręcił głową. Piotruś Pan jakby puścił mimo uszu pytanie Suchego i stwierdził:

– Wyobraź sobie, że za tymi murami jest bomba, lont został podpalony i niebawem nastąpi eksplozja. Ogólnoświatowa rewolucja ogarnie niebawem cały glob, miną krzywdzące czasy, a klasa robotnicza będzie żyć godnie.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – Suchy był szczerze zdziwiony. W duchu podzielałem jego zdanie.

– Mówię o tym, że gdzieś tam w świecie dzieją się rzeczy, których istnienia nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić. – Odniosłem wrażenie, być może mylne, że Biegański wyraźnie dał do zrozumienia, jakim Suchy jest nieukiem i ignorantem. – Mówię o tym, że ty i ja, pod warunkiem że tego chcemy, mamy wpływ na losy ludzkości. My tworzymy historię, to nasze czyny napiszą dla potomnych historię. Słyszałeś o imperializmie, kolektywie, prywacie? Wiesz, kim są socjaldemokraci? Rozumiesz ludzi, którzy są w stanie oddać życie

za wolność waszą i naszą? Nie mówię o roznoszeniu ulotek i pisaniu wzniosłych haseł na murach, mówię o prawdziwej walce, mówię o wierze w ideały, o społecznej sile, która zniszczy kapitalizm i wyzysk. Mówię o sprawie, która niesie wolność każdemu bez względu na miejsce zamieszkania i pochodzenie. Mówię o świecie, gdzie wszyscy ludzie wspólnymi siłami będą pracować na swoje dobro. To jest ważne, tylko to może sprawić, że nasze życie będzie lepsze.

– Pierdoły, rozumiesz – Suchy położył obie dłonie na blacie stołu – pierdoły, jakich mało. Opowiadasz prawdziwe bzdury. Jak świat światem zawsze istniał podział. Jeden był biedny, a drugi

bogaty, nic tego nie zmieni. I że niby co? Że po tej waszej czerwonej rewolucji wszyscy będą równi? – rzucił pytanie.

– Tak – odparł Piotruś Pan. – Właśnie tak jak mówisz, wszyscy będą równi.

– A kto będzie rządził tymi równymi? Równi czy równiejsi? – niby dociekał, ale nie czekał na odpowiedź. – Coś ci powiem, synku. – Suchy skierował na niego swój palec wskazujący. – To jest nierealne. Nigdy nie będzie równych. Nigdy. Zawsze znajdą się tacy, którzy będą przeciw systemowi, zawsze będą istniały takie miejsca jak to. – Pokręcił głową, dając mu do zrozumienia, że ma na myśli mury więzienia. – Władza w ręce ludu?! Kurwa mać, dzieciaku, nie żartuj! –

zaśmiał się nawet całkiem szczerze. – Ktoś musi trzymać za cugle. Władza ma to do siebie, że zawsze niszczy tych, którzy jej nie słuchają. Nic się nie zmieni na lepsze. Bez urazy, chłopaki – Suchy kiwnął głową w ich stronę – ale wasze ideały brzmią jak słodkie pierdzenie.

Przysłuchiwałem się ich dyskusji z nieukrywaniem zaciekawieniem. Jednocześnie dotarło do mnie jak bardzo byłem nieświadomiony. Świat pomknął do przodu, a ja zostałem w tyle. O niczym nie miałem pojęcia.

Potem rozmawialiśmy o Bogu i jego miejscu w życiu każdego człowieka. Ojczulek miał swoje racje i poglądy, Suchy znowu był w opozycji, a Piotruś

Pan i Roman trzymali wspólny front. Ja i Boyko siedzieliśmy jak dwa tępe ciołki.

Ponoć po drugiej stronie murów sytuacja z dnia na dzień robiła się coraz bardziej dramatyczna. Niepokoje społeczne uzewnętrziły się falą strajków i protestów, gabinet pod przywództwem Wincentego Witosa nie panował nad sytuacją, koalicja rządowa zaczynała się rozpadać. Kryzys i chaos wtargnęły na scenę polityczną.

Nie rozumiałem tych wiadomości, nie miałem żadnego pojęcia, co dzieje się w naszym kraju. Byłem skazańcem numer 29-11 osadzonym na oddziale dziesiątym. Do moich obowiązków należała sumienna i rzetelna praca w stolarni, posłuszne wykonywanie poleceń i przestrzeganie zasad określonych przez regulamin.

Tego ode mnie oczekiwano.

W sercu nosiłem niepokój, dłonie miałem zbrukane ludzką krwią, z mojej winy drugi człowiek znosił upodlenie. Żałowałem wielu swoich decyzji i dławiliły mnie wyrzuty sumienia, że nic nie jestem w stanie uczynić, aby to wszystko naprawić.

Tak właśnie wyglądało moje życie.

Miałem swoje utrapienia, a wszystko, co działo się po drugiej stronie murów, było dla mnie obce i odległe.

Na więziennych korytarzach z ust do ust przekazywano sobie przeróżne plotki. U niektórych zdesperowanych skazańców pojawiały się również abstrakcyjne wnioski.

Pewnego dnia przez przypadek usłyszałem strzępy rozmowy:

– Jeśli na ulicach miast zacznie się zadyma, to my powinniśmy podnieść bunt. To będzie nasza szansa, żeby wyrwać się z tego podłego miejsca. Potrzebujemy tej cholernej rewolucji, żeby odzyskać wolność...

Moja wiedza i dostęp do środków



masowego przekazu zmieniły się dzięki pękniętej pokrywie gramofonu, który był powodem dumy dozorczy Dawida Lepkego. Pewnego dnia ów życzliwy klawisz, nie ma w tym żadnej ironii, zjawił się na stolarni i trzymał w dłoniach gramofon, okrzyknięty w tamtych czasach cudem techniki.

– Potrafisz to zreperować? – zapytał mnie.

– Wszystko umiem naprawić, panie dozorczo – odpowiedziałem z rozbajającym uśmiechem.

Lepke twierdził, że trącił niechcący gramofon, który wylądował na podłodze. Przedmiot upadł dość niefortunnie i górna pokrywa pękła przy obu zawiasach. Wyjąłem ze skrzynki

narzędziowej śrubokręt i odkręciłem mosiężne zaczepy.

– Tego nie można skleić – stwierdziłem. – Trzeba zrobić nową obudowę. Urządzenie niech pan dozorca zabierze, zostawię sobie wieko i zrobię identyczne. Potrzebuję kilku dni, żeby się z tym uporać.

– No to świetnie. – Posłał mi szczery uśmiech. Wziął przedmiot ponownie w dłoń i zapytał dość niepewnym głosem:

– Ile to będzie mnie kosztować?

Byłem pewien, że zdążył już rozeznaczyć rynek. Pewnie w zakładach stolarskich usłyszał jakieś abstrakcyjne ceny i dlatego zjawił się tutaj.

– Tyle co nic – odparłem. Wziąłem

głęboki oddech, spojrzałem mu w ciemne oczy i postanowiłem zaryzykować. – Gazety. Zrobię to za gazety – odparłem.

Lepka spojrzał na mnie kompletnie zaskoczony.

– Za jakie gazety?

– Jakiegokolwiek. Ważne, żeby były tam aktualne informacje z kraju i ze świata. – Zdumienie, które odmalowało się na jego twarzy, było rozbijające. – Nie oczekuję codziennie świeżej prasy – pozwoliłem sobie na delikatny żart. – Proponuję, żeby od czasu do czasu podrzucił mi pan coś do czytania.

Klawisz przyglądał mi się badawczym wzrokiem.

Znał przepisy i wiedział, jakim

podlegaliśmy zakazom, ale znał również wartość pieniądza i doskonale pojmował, że to, o czym mówię, to idealny układ. W głębi duszy stawiałem też na jego wrodzoną życzliwość.

– Zrób klapę – powiedział. – Jeżeli będzie taka, jak mówisz, to może uda się coś wykombinować w gazetowym temacie.

Kiedy usłyszałem te słowa, wiedziałem, że wszystko potoczy się po mojej myśli.

Kilka dni później pokrywa gramofonu była gotowa.

Wyglądała tak, jakby została zrobiona bezpośrednio u producenta oryginału.

Lepke zjawił się po swoje cacko w ostatni dzień kwietnia. Obejrzał dokładnie z każdej strony prostokątną obudowę i kiwając głową, gwizdnął z uznaniem.

– W południe znowu mam obchód, więc podejść razem z gramofonem i skręcisz mi całość – powiedział.

– Nie ma sprawy, panie dozorczo – odparłem z uśmiechem. Zerknąłem w stronę pomieszczenia, gdzie Jaśki heblowali deski, i zapytałem cichym głosem: – A jak będzie z gazetami?

– Będzie dobrze, Żabikowski – szepnął i również spojrzął w stronę, gdzie pracowało dwóch skazańców.

Dostawca mojej prasy zjawił się chwilę po tym, jak dzwon na wieży

kościelnej wybił na Anioł Pański. Przytaszczył ze sobą gramofon, a pod pachą trzymał zwiniętą gazetę. Przykręciłem nową pokrywę, wyregulowałem mosiężne zawiasy i wszystko pasowało jak ulał.

Przed wyjściem Lepke spojrział na mnie i szepnął:

– Jak przeczytasz – rzucił wzrokiem w stronę gazety leżącej na blacie stołu – to potem do pieca. – Kiwnął głową w stronę kremowego kaflaka. – I nikomu ani słowa.

Odpowiedziałem mu skinieniem głowy.

Resztę dnia spędziłem w drugim końcu stolarni z dala od Jaśkowych

oczu. Robiłem kliny do skrzynek, a jednocześnie ukradkiem czytałem wiadomości z „Dziennika Poznańskiego” z 30 kwietnia 1926 roku. Prasa była świeżutka, jeszcze ciepła, jakby powiedział Suchy. Już na pierwszej stronie nagłówki artykułów zdradzały sytuację w kraju: *Rekonstrukcja czy dymisja rządu Skrzyńskiego?; Prowokacje litewskie; Stresemann pragnie uśpić czujność polską.* Trudno mi było ogarnąć istotę spraw politycznych, nie miałem absolutnie żadnej wiedzy. Było trochę o kontrowersyjnym dokumencie, zwanym traktatem berlińskim. Niemcy i Sowieci zawarli między sobą jakiś układ, najwyraźniej coś było na rzeczy.

Przyszło mi do głowy, że schemat działań na międzynarodowej scenie politycznej zupełnie nie odbiega od tego, co działo się na więziennym spacerniaku. Nie mieliśmy tutaj gabinetów i sekretarzy, nie podpisywaliśmy dokumentów w błysku fleszy i z wielką pompą. Tu była ławka, rozmowa w cztery oczy i uścisk dłoni, który świadczył o tym, że sojusz został zawarty. Na łamach gazety było nie tylko o polityce i gospodarce, ale także przeczytałem z zaskoczeniem i zaniepokojeniem informację o zuchwałym napadzie na pociąg pod Toruniem. Ponoć dwóch zamaskowanych mężczyzn wtargnęło do wagonu, żądając od podróżnych pieniędzy. A dalej



historia była jak z powieści. Wśród podróżnych znajdował się włoski obywatel, niejaki Barto Marolo, który błyskawicznym ruchem sięgnął po broń i oddał strzały w kierunku bandytów. Tamci dwaj, zupełnie nie spodziewając się takiego obrotu sprawy, salwowali się ucieczką i wyskoczyli w biegu. Policja zorganizowała obławę.

Jeszcze tego samego dnia przeczytałem całą gazetę. Kiedy śledziłem wzrokiem drobne ogłoszenia, aż łezka zakręciła mi się w oku na wspomnienie dni, kiedy robiłem to w obecności Ojczulka. Drobne anonse od zawsze były moją ulubioną lekturą.

Wziąłem sobie do serca słowa Lepkego i zanim opuściłem stolarnię,

papier pokryty drukarską farbą spłonął w kuchni. Jedynym dowodem na to, że złamałem więzienny regulamin, był czarny popiół, którego resztki rozgniecione na pył spoczywały na rusztach w gardzieli paleniska.

Każdego dnia podczas posiłków dzięki wiedzy Biegańskiego poznawałem kulisy polityki i sytuacji, w jakiej znajdowała się teraz II Rzeczpospolita. Suchy oczywiście negował każdą informację Piotrusia Pana, starając się udowodnić, że jego zafarbowane na czerwono poglądy przeinaczają rzeczywistość. Zauważyłem też, że Ojczulek dość często popierał naszego nadwornego dowcipnisa.

Dozorca Lepke jeszcze tylko raz podrzucił mi do warsztatu gazetę. Chyba w głębi ducha liczyłem, że tych razów będzie więcej, ale sytuacja skomplikowała się tak bardzo, że wcale mu się nie dziwiłem. Nasza dobra znajomość, jeśli tak można powiedzieć, zaczęła się wiele lat później. Wspomnę jeszcze o tym, bo uważam, że warto.

Wrócimy jednak do wiosny 1926 roku...

Kolejną gazetę dostałem tydzień później. Większość informacji z kraju mówiła o trudnościach powołania nowego rządu, a wiadomości ze świata były zapowiedzią tego, o czym wspominał nasz nowy kompan. W Anglii przelała się fala strajków robotniczych,

ludzie wyszli na ulice i doszło do starć z wojskiem i policją. Miałem wrażenie, że proroctwa zagorzałych zwolenników międzynarodowej rewolucji robotniczej zaczynają przybierać realne kształty.

13 maja 1926 roku spadła na nas jak grom z jasnego nieba wiadomość o tym, co stało się dzień wcześniej w Warszawie. Kiedy my wczoraj najspokojniej w świecie zajadaliśmy wieczorny posiłek, w stolicy doszło do zbrojnej interwencji. Na jej czele stanął marszałek Piłsudski, który miał duże poparcie wśród elit wojskowych. Ulice miasta ogarnęły regularne potyczki pomiędzy wojskami rządowymi a siłami zamachowców. Tak, to był

podręcznikowy zamach stanu. Pucz. Historia potem nazwała to wydarzenie w dość delikatny sposób, określając je mianem przewrotu majowego. I od tamtego pamiętnego dnia w dziejach naszego narodu narodził się okres zwany sanacją, od łacińskiego słowa *sanatio*, czyli „uzdrowienie”, i trwał nieprzerwanie aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Dziesiątki podręczników do historii i naukowych opracowań opowiadają ze szczegółami, co się wtedy wydarzyło i jak potoczyły się dalsze losy naszego narodu. Ja, były więzień numer 29-11, nie jestem właściwą osobą, żeby rozliczać epokowe wydarzenia, które nastąpiły w przeszłości. Nawet nie

byłem naocznym świadkiem tych zmian. Opowiem wam jednak o tym, jak krwawym echem odbiły się salwy armatnich dział w murach wronieckiego więzienia.

Tego samego dnia, zaraz po obiedzie, wyprowadzono wszystkich skazańców na plac apelowy. Ustawiono nas w czwórkowych kolumnach. Naczelnik Wojciechowski zjawił się w asyście dowódcy straży więziennej. Zwróciłem uwagę, ale pewnie nie tylko ja, że strażnicy, którzy zawsze byli wyposażeni tylko w pałki, tym razem mieli jeszcze przy pasach kabury z pistoletami. Łypnąłem wzrokiem w stronę wieżyczek wartowniczych i dostrzegłem, że

posterunki zostały podwojone.

– Pewnie już wiecie – odezwał się donośnym głosem naczelnik – że sytuacja w kraju jest dramatyczna. Groźba wojny domowej wisi na włosku. Na ulicach Warszawy doszło wczoraj do regularnych walk. W związku z powyższym informuję was, że odwiedziny osób trzecich zostają wstrzymane do odwołania. – W szeregach więźniów rozległ się cichy pomruk niezadowolenia. – Również korespondencyjne utrzymywanie kontaktów ze światem zewnętrznym zostaje zawieszona do odwołania. Wszelkie czyny będące naruszeniem czy też łamaniem więziennego regulaminu będą podlegać surowym i obostrzonym

karom. Począwszy od chwili obecnej aż do odwołania, wprowadzam na terenie Centralnego Więzienia we Wronkach stan wyjątkowy!

Wojciechowski obrócił się w stronę Kalinowskiego i coś mu powiedział.

Chwilę później szef straży więziennej wydał rozkaz:

– Odprowadzić więźniów do cel!

Byliśmy kompletnie zaskoczeni przemową naczelnika.

– Niedobrze, panowie, bardzo niedobrze – powiedział Ojczulek podczas kolacji. – Naczelnik swoją mową nie zrobił niczego mądrego, a śmiem nawet twierdzić, że wręcz przeciwnie.



– Co masz na myśli? – zapytał Suchy całkiem poważnym głosem.

– Jedyne, co zrobił, to podsycił i tak niespokojne nastroje. Kogoś może ponieść fantazja – odparł księżulek.

– A niech ponosi kogo chce – wtrącił Roman. – Coś się dzieje za tymi murami. Myślę, że to jest właściwy moment, aby robotnicy wyszli na ulice.

– Aleś ty głupi. – Suchy aż westchnął. – Jacy robotnicy, walka idzie o władzę w kraju. Piłsudski sra cienkim śrutem na klasę robotniczą. Jak się dorwie do władzy, to robi porządek z komuchami. Zobaczysz – pokiwał palcem – wybije im z głowy te proletariackie bzdury.

– Myślisz, że wojsko będzie strzelać

do cywilów? – włączył się do dyskusji Piotruś Pan.

– Wojacy dostaną rozkaz i będą walić do każdego, kto jest przeciw... – Suchy chciał dodać coś jeszcze, ale Ojczulek wpadł mu w zdanie.

– W ubiegłym wieku, podczas powstań niepodległościowych w Ameryce Łacińskiej – zaczął staruszek – władzę przejmowało wojsko. Nazywano to juntą. Wszystkie najważniejsze stanowiska w państwie były obsadzone przez wojskowych dygnitarzy, ale to się nigdy nie sprawdziło. Wojacy nadają się do walki, a nie do rządzenia. Jeśli zamiast gabinetu złożonego z polityków będziemy mieli sztab, to taka droga zaprowadzi nas prosto do dyktatury. A

wtedy – zawiesił głos – a wtedy miej nas, Panie Boże, w opiece.

– Chrzanić to – palnął Suchy. – A co będzie z nami, jeśli sytuacja zacznie się rozwijać w wojenny sposób?

Spojrzeliliśmy wszyscy po sobie.

– Chyba nikt tego nie wie – odpowiedział Ojczulek również w naszym imieniu.

Stałem przy oknie i wpatrywałem się w mrok po drugiej stronie. Światła domostw mieniły się w oddali. Przestrzeń otulała świat ramionami ciszy i spokoju. Na majowym niebie połyskiwały tysiące błyszczących gwiazd. To wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że gdzieś tam,

daleko stąd, rozgrywa się zbrojny dramat.

Zapaliłem papierosa.

Cierpki smak tytoniu rozpanoszył się w moich ustach.

To wszystko, o czym mówił dzisiaj Wojciechowski, wydawało się takie odległe. Miałem wrażenie, że kompletnie nic nie łączy mnie ze światem, który tętnił burzliwymi wydarzeniami za murem z czerwonej cegły i zasiekami kolczastego drutu. Wiem, że on tam był, ale równie dobrze mógłby wcale nie istnieć. Tak bardzo już przywykłem do tego miejsca, że chyba nie wyobrażałem sobie innego życia.

Oprócz mnie, Ojczulka, no i oczywiście Rzeźnika z Danzig, każdemu

z chłopaków licznik biegł do tyłu. Na pewno skrupulatnie odliczali każdy dzień, a im bliżej mieli do wyjścia, tym więcej myśleli o swojej przyszłości. A ja? No cóż, niebawem miał mi stuknąć czwarty roczek i Bóg jeden wie ile jeszcze przede mną lat. Chyba właśnie dlatego nie utożsamiałem się z tym, co donosiły codzienne gazety. Wolałem wracać wspomnieniami do młodzińczych lat. A właściwie do jednego, któremu było na imię Agnieszka. Nie, nie czułem już rozpacz i bólu. Pomyślałem o niej, bo to majowe powietrze miało ten zapach, który zawsze, ale to zawsze będzie mi się kojarzył z jej osobą. Opuszkami palców dotknąłem szorstkiej ściany. W głębi

duszy byłem już taki sam jak te ponure mury. Zmurszały i zryty bliznami po ciężkich przeżyciach. Zgasły wszystkie światła dawnego życia, a pochodnie terażniejszości nie rozświetlały przyszłości, bo była mi ona zupełnie obojętna.

Stan wyjątkowy, który ogłosił Wojciechowski, miał swoje odzwierciedlenie w więziennej rzeczywistości. Placówka musiała funkcjonować tak jak dotychczas, ale niepokojąca sytuacja po drugiej stronie murów zmusiła kadrę do zwiększenia środków ostrożności. Grafik służb został diametralnie zmieniony i przypuszczam, że szeregowi pracownicy zacierali ręce

na samą myśl o wypłacie za nadliczbowe godziny. Na więziennych korytarzach pojawiło się więcej dozorców i na dodatek każdy pod bronią. Możecie mi wierzyć na słowo, że taka demonstracja siły to nie był dobry pomysł.

Ludzka wyobraźnia to potężne narzędzie, a strzępy zasłyszanych informacji, z których można sklecić jakiś obraz, dość często prowadzą do przekłamania. Abstrakcyjne wieści niczym pospieszny pociąg zaczęły krążyć pomiędzy skazanymi. Plotki przybierały gigantyczne rozmiary. Polityczni więźniowie jak jeden uparli się, że w Polsce zaczęła się rewolucja, dla nich to było logiczne i oczywiste.

Właściwie to oni stali się źródłem największego zamętu.

– Zaczęło się, mówię wam, że się zaczęło. – Roman podczas obiadu wypowiadał swoje słowa podekscytowanym głosem.

– Gównno się tam zaczęło – sprowadził go brutalnie na ziemię Suchy. – Gadałem dzisiaj z jednym gościem, który przywozi szpitalne szmaty do prania. Nic się nie dzieje, kompletnie nic. Jest tak, jak piszą gazety. W Warszawie doszło do przepychanek, ale nic poza tym. Dupa tam, a nie rewolucja – skwitował i zaczerpnął łyżką porcję gryczanej kaszy.

– Jesteśmy na prowincji – Biegański



też miał coś do powiedzenia – ale to tylko kwestia czasu. Zaczęło się w stolicy i tylko patrzeć, jak fala wzburzenia ogarnie cały kraj.

– Masz absolutną rację. – Oczy Romana płonęły dzikim blaskiem. Odniosłem wrażenie, że on naprawdę ślepo wierzy w każde słowo swojego kompana.

– Posłuchajcie, towarzysze – zakpił prześmiewczym tonem Suchy – napakowaliście sobie do łbów wesołych pierdół, wasze wizje są tak samo realne jak niebiański raj z chórami rozspiewanych aniołków, w który uparcie wierzy Ojczulek. – Kiwnął dłonią w kierunku staruszka. – Za parę dni cała sprawa ucichnie i sytuacja

wróci do normy. Piłsudski twardą ręką złapie wszystko za pysk – teatralnym gestem machnął dłonią i zacisnął ją w pięść – a życie potoczy się dalej.

Roman pochylił się w stronę Suchego i szepnął na tyle głośno, że my również usłyszeliśmy jego słowa.

– Pewien jesteś, że nic się nie wydarzy? Widzisz, ilu uzbrojonych dozorców kręci się wokół nas? Widziałeś ich kiedykolwiek z bronią? – Spojrzał mu prosto w oczy pytającym wzrokiem. – To dość dziwne, nie sądzisz?

Prawda, przyznałem mu w myślach rację.

– Trudno przewidzieć, jak potoczą się sprawy – do rozmowy wkroczył

Ojczulek. – Nie ma co gdybać i wyciągać pochopnych wniosków. Poczekamy...

– Nie ma na co czekać – syknął Roman, wpadając mu w zdanie. – Trzeba działać!

– O czym ty, kurwa mać, mówisz? – Suchy był tak zaskoczony jego słowami, że ręka z łyżką kaszy zawisła mu w połowie odległości pomiędzy miską a ustami.

– O tym, że czym prędzej trzeba się zorganizować i przejąć to więzienie. – Spojrzał po naszych twarzach, a jego słowa przyprawiły mnie o dreszcz.

Suchy powoli odłożył łyżkę do miski i patrząc na niego szeroko rozwartymi oczami, szepnął:

– Czy ty masz końskie łajno zamiast mózgu? – Nerwowo rozejrzał się na boki. – Nie mów takich rzeczy przy tym stole. Chcesz, to wygaduj te bzdury razem ze swoimi czerwonymi popaprańcami na spacerunku, ale tu mordą w kubek! – syknął wściekle. – Nie chcę nic o tym wiedzieć, kapujesz?

Ja, Boyko i Ojczulek byliśmy tak samo zaskoczeni jak Suchy.

Dyskretnie zerkąłem w kierunku innych skazanych. Przy każdym stole toczyła się jakaś dyskusja. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiali, ale to, co przed chwilą usłyszałem, sprawiło, że poczułem się tak, jakbym nagle znalazł się w centrum jednego wielkiego spisku.

Wyobraźnia działała.

– Mam nadzieję, że to tylko puste gadanie – rzucił książulek i najspokojniej w świecie zaczął zjadać obiad.

– Nie, Ojczulku, skończył się czas gadania, pora działać – nie odpuszczał Roman.

Staruszek spojrzał na niego i rzekł:

– Nie wiesz, o czym mówisz. Byłeś kiedyś świadkiem więziennego buntu? – zapytał i natychmiast udzielił odpowiedzi. – Nie sędzę. Za to ja w swoim życiu dwa razy widziałem takie zdarzenia. – Zamilkł na moment. – O dwa razy za dużo. Coś takiego zawsze kończy się masakrą. Nie mamy pojęcia, co tak naprawdę dzieje się za tymi

murami. Nic nie wiemy. Trochę prasowych informacji, trochę plotek i stek bzdur wyssanych z palca.

– Mylisz się – przerwał mu ponownie Roman. – Powiedz im, jak jest – zwrócił się do Piotrusia Pana.

Biegański już miał otworzyć usta, lecz uprzedził go Suchy.

– Jak powiesz chociaż słowo, to nie żartuję, ale przypierdolę ci w ryj – oznajmił zdecydowanym i poważnym głosem. – Bez urazy, kolego, lubię cię, ale nic nie mów, po prostu jedz ten cholerny obiad.

Do końca posiłku żaden z nas nie odezwał się już ani słowem.

W sobotni wieczór piętnastego maja nagle usłyszałem dziwny odgłos.

Podszedłem do okratowanego okna i spojrzałem na wprost. Hen w oddali, na tle zachodzącego słońca dało się dostrzec kolumnę wojska zmierzającą na południe. Opancerzone wozy bojowe, kawaleria, piechota, szczyk gąsienic, pomruk silników i armia ludzi sunęły sznurem przed siebie.

To był niepodważalny dowód na to, że w Wielkopolsce ogłoszono stan mobilizacji.

Zupełnie nie miałem pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

A jeśli Roman i jemu podobni mieli rację?

Może właśnie zaczął się ziszczać ich sen o lepszym świecie?

Nabrałem przekonania, że sytuacja

naprawdę jest poważna, a los wszystkich osadzonych we wronieckim więzieniu w świetle obecnych wydarzeń pozostaje pod wielkim znakiem zapytania. Pamiętam, że nawet przemknęła mi przez głowę cichutka myśl, pełna naiwnej nadziei, że otworzą cele i bramy i powiedzą: „Idźcie wolno, wasze winy są odpuszczone”. Wiem, to było głupie, ale ja naprawdę tak pomyślałem. Potem zacząłem się zastanawiać nad tym, o czym napomknął Roman...

Na spacerunku dało się odczuć atmosferę niepokoju i nerwowego wrzenia. Nikt nie wiedział, co się dzieje, a widok strażników, którzy



trzymali w rękach karabiny, nasuwał kolejne złowieszcze domysły.

Siedzieliśmy na schodach we czwórkę. Ja, Ojczulek, Boyko i Suchy.

Roman i Piotruś Pan stali razem z grupą kilkunastu innych więźniów. Miałem wrażenie, że chłopaki knują coś niedobrego.

– Ropuch, ty masz okno na zachodnią stronę – rzucił nagle Suchy. – To prawda, co mówią, że wczoraj cisnęła tamtędy cała armia?

– Nie wiem, czy armia – odparłem – ale było ich wielu. Maszerowali na południe.

– Te czerwone ćwoki – Suchy kiwnął głową w kierunku tych, którzy

utożsamiali się z komunistycznymi ideałami – nie mają o niczym pojęcia. Nie będzie żadnej chorej rewolucji.

– Oczywiście, że nie będzie – odezwał się Ojczulek. – Idzie tylko o przejęcie władzy.

– Wiesz, co mnie martwi? – zapytał Suchy księżulka.

– Wiem. – Staruszek pokiwał głową. – Doskonale wiem, co budzi twoje obawy. Czuję to samo.

– Swędzi mnie coś w tyłku, a jak mnie tam swędzi – Suchy uniósł nieco prawy pośladek i ostentacyjnie podrapał się w tym miejscu – to znaczy, że może się wydarzyć coś kretyńskiego. Patrząc tak sobie na tę bandę jełopów – wzrok utkwił w grupie mężczyzn, wśród

których byli Roman i Piotruś Pan – i najchętniej wychłostałbym ich skórzanym powrozem.

– Słuchajcie, chłopaki. Jeśli zacznie się dziać coś niedobrego – powiedział do nas nagle Ojczulek poważnym głosem – padacie plackiem na ziemię, na posadzkę albo nie wychylacie się z celi. Nie ruszacie się, nie podążacie owczym pędem za innymi, nie patrzycie bezczelnym wzrokiem w oczy klawiszy i wykonujecie posłusznie ich wszystkie polecenia.

Nie wiem, w jakim stopniu ja, Boyko i Suchy zdawaliśmy sobie sprawę z powagi sytuacji, ale kiedy Ojczulek zaczął nas instruować, wtedy

zrozumiałem, że to nie są przelewki.

Zauważyłem, że twarz Cygana wyrażała ogromne zaskoczenie. Prawdopodobnie ja miałem identyczną minę.

– To jakiś żart, prawda? – nie dowierzał Boyko.

– Nie należę do miłośników czarnego humoru – skwitował klecha. – Sam nie wiem, może ja też ulegam jakiejś paranoi, ale wiele rzeczy wskazuje na to, o czym mówi Suchy. Tutaj naprawdę w każdej chwili może zdarzyć się coś kretyńskiego.

– Wspomniałeś wcześniej o więziennych buntach – próbowałem podjąć temat.

– Przeżyłem dwie takie sytuacje,

wiem, jak to się kończy. – Ojczulek sięgnął pamięcią do wspomnień. – Jeżeli komuś się wydaje, że taką operację można zaplanować i przeprowadzić jak dobrze zorganizowaną akcję, to jest idiotą. Sprawy bardzo szybko wymykają się spod kontroli, pojawia się strach, panika i chaos. Stąd nie ma drogi ucieczki. Każdy, kto świadomie bierze udział w takim zdarzeniu, podpisuje na siebie wyrok śmierci.

– Jest maj, wychodzę w październiku, jedyne, czego pragnę – Boyko mówił opanowanym głosem – to doczekać spokojnie tego dnia. Nie chcę już trafić do karceru, nie mam zamiaru kłócić się z Romanem i mogę każdego dnia wylewać

stertę gówien. Chcę tylko dotrwać, wyjść i zapomnieć o tych trzech latach, które przyszło mi tutaj spędzić.

– Wyjdiesz, nic się nie martw – dodał mu otuchy Ojczulek. – Wszystko będzie dobrze.

– Pięć miesięcy, piękny Cyganie – westchnął Suchy – cudowny termin. Mnie zostały trzy lata i jedenaście cholernych miesięcy. Kto wie może na wolności nasze drogi się zejdą – dokończył.

– Poznasz ładną Cyganeczkę – zażartował Boyko – mamy w taborze taką jedną. Ech, mówię ci, piękna jak marzenie. Nic tylko się zakochać w jej czarnych oczach. Spodobałaby ci się – powiedział z rozbajającym uśmiechem.

– Nie chcę żadnej baby, człowieku, to tylko skaranie boskie. – Suchy miał swoje mocne poglądy na temat stosunków damsko-męskich. – Miałem kiedyś taką jedną, kurwa mać, człowieku, załatwiła mnie na cacy. – Spojrzał smutnym wzrokiem przed siebie. – Tak się sparzyłem, że jak teraz słyszę jakieś historyjki o pieprzonej miłości i uczuciach, to mnie rozwała od środka. Nie ma czegoś takiego jak miłość, to bzdura, to czyste banialuki dla naiwnych – prychnął z politowaniem.

– Skrzywdziła cię? – zaciekawiał się Boyko.

– Nie chce mi się o tym gadać, człowieku.

– No opowiedz, nie bądź taki –

rzuciłem znieńcka, bo zaintrygowała mnie jego historia. Suchy nigdy nie opowiadał o sobie.

– Eee tam – machnął ręką – szkoda klepać jęzorem.

– No dajesz, chłopie – nie odpuszczałem. – Wyplącz się w nasze więzienne bluzy.

– Ropuszku, błagam, dzieciaku, nie podbieraj mnie. – Cwaniacko kiwnął głową w moim kierunku. – Było minęło i oby nigdy nie wróciło.

– Nie daj się prosić. Nawijaj! – zachęcałem Suchego do zwierzeń.

Sięgnął po papierosa i obrócił go w palcach.

– Zakochałem się kiedyś w takiej jednej lafiryndzie. – Zawiesił głos i



zapalił papierosa. – Mówię wam, ludzie, zakochałem się w suce na zabój. Piękna była – zaczynał się przed nami otwierać. – Miała kasztanowe włosy i piwne oczy. O tak – westchnął – miała oczy jak przedni kufel ciemnego piwa. Cudne. Można się było w nich zatracić. No i, kurwa mać, zatraciłem się bez pamięci, rozum mi odebrało, nieba chciałem babokowi przychylić, kwiatuszki, czekoladki, ciasteczka. – Głęboko zaciągnął się papierosem i po chwili wypuścił z ust magiczne kółeczka z dymu. – W łóżku była boginią, ech – znowu westchnął – cycki, o takie – odsunął dłonie od swojej klaty, rozwarł szeroko palce, zupełnie jakby trzymał dwa niewidzialne, dojrzałe arbuzy. –

No mówię wam, cukiereczek. Tylko że do roboty to dwie lewe ręce. No ja miałem podobnie, pół życia kombinowałem, ale przynajmniej były jakieś efekty. „Ożeniłbyś się ze mną”, powiedziała kiedyś. W sumie to racja, pomyślałem. Gotować umie, uprać upierze, zdrowa była. – Mrugnął porozumiewawczo okiem. – Pomyślałem sobie, czemu nie? Ustatkuję się, syna zmajstruję i jakoś to będzie. Powoli zaczęliśmy ustalać datę ślubu, a ja przez kilka miesięcy odkładałem gotówkę. Oszczędzałem, bo, wiecie, weselicho miało być pierwsza klasa, z szykiem. Forse trzymałem w domu, pieniądze leżały w szufladzie komody. Kupka rosła. Wracam ci ja któregoś dzionka, a

tu ani jej, ani pieniędzy. Wszystko wzięła. Całą forszę. Całą moją krwawicę. Zabrała też swoje rzeczy i kilka cenniejszych przedmiotów, które można było bez trudu upłynnić u każdego lichwy. Tyle ją widziałem. Ot i koniec durnej historii. – Splunął. – Ograbiała mnie z uczuć, marzeń i majątku. Dwa lata wspólnego życia kopnięte w śmietnik.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– No co jest? – zagadnął Suchy. – Pewnie spodziewaliście się jakieś romantycznej historyjki, a tu taki banał – zaśmiał się nad wyraz sztucznie.

– Tak bywa – skwitował Ojczulek.

– Pieprzona suka, mam nadzieję, że

moja krzywda wyszła jej bokiem. – Pstryknął palcami niedopałek, który poszybował w powietrzu i rozbił się fontanną pomarańczowych iskierek kilka metrów przed nami. – Nauczyła mnie dwóch rzeczy, po pierwsze, zrozumiałem, że tak naprawdę w życiu liczy się tylko forsa, a po drugie, nie można ufać kobietom. I tak mi zostało do dzisiaj – podsumował swój wywód.

No tak – przez głowę przemknęła mi myśl – każdy z nas ma za sobą jakieś życie.

Słońce od czasu do czasu chowało się za białymi obłokami chmur. Po drugiej stronie więziennego muru zielone drzewa delikatnie szumiały w podmuchach wiosennego wiatru. Gdzieś

w oddali rozległo się głośnie ujadanie psa.

Zegar na wieży kościelnej wybił kwadrans na dwunastą.

– Oj, coś mi się wydaje, że dzisiaj nikt nie zaśpiewa w kaplicy *Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki* – zanucił Suchy nawet dość melodyjnym głosem.

Chyba miał rację, każdej niedzieli o tej porze chętni na mszę ustawiali się już w kolumny. Zauważyłem, że któryś ze skazańców rozmawiał ze strażnikami przy wyjściu, po czym odchodząc, wzruszył ramionami. Na krótką chwilę mój wzrok spoczął na sylwetce Hrabiego. Chodził w tę i z powrotem wzdłuż siatki. Dziesięć kroków, obrót przez lewe ramię i powrót. Znowu

dziesięć kroków, obrót przez lewe ramię i tak w kółko. Zostało mu jeszcze kilkanaście dni do wyjścia, a każda upływająca minuta przybliżała tę chwilę. Wiedziałem, że tego dnia, kiedy Duszański opuści więzienie i na powrót stanie się wolnym człowiekiem, ja poczuję prawdziwą ulgę.

– Skoro stan wyjątkowy, to wyjątkowy – odpowiedział mu Ojczulek. – Chyba wolą mieć wszystkich na oku i pod ścisłą kontrolą. – Kiwnął głową w kierunku klawiszy, którzy w uzbrojonych, dwuosobowych patrolach krążyli wokół ogrodzenia z drucianej siatki. – Lepiej było wszystkich zostawić w celach pod kluczem, a wtedy spokój byłby

gwarantowany.

– Ciekaw jestem, czy te bęcwały coś kombinują. – Suchy strzelił wzrokiem w stronę ekipy, gdzie był Roman i Biegański. Grupa więźniów, o której mówił, wolnym krokiem wędrowała po spacerniaku. – Miejmy nadzieję, że nie przyjdzie im nic głupiego do głowy.

Tuż przed piętnastą skazani z bloku A w pierwszym rzucie zostali odeskortowani na stołówkę. Kwadrans później przyszła nasza kolej.

– Co słyhać, towarzysze? – zadrwił nasz dowcipniś, kiedy zasiedliśmy do stołu.

– Oprócz twojego głupiego pytania to nic nie słyhać – fuknął Roman.

– Bardzo mnie to cieszy, nawet nie masz pojęcia jak bardzo. Bo już myślałem, że zaczęła się ta wasza nieudolna rewolucja. – Suchy znowu zaczął balansować na wąskiej granicy czyjeś cierpliwości.

Spojrzałem na twarz Piotrusia Pana i nie wiem dlaczego, ale wydała mi się dziwnie skupiona. Kilka razy łypnął wzrokiem w stronę skazańców siedzących przy sąsiednich stołach, jakby wymieniał z nimi sygnały. Przeważnie był rozgadany, miał tyle do powiedzenia, a tu nagle taki cichy i opanowany. Zaraz potem przyszło mi do głowy, że chyba zaraziłem się jakimś bakcylem chorobliwej podejrzliwości.



Ustawieni w szeregu opuszczaliśmy stołówkę. My poruszaliśmy się po prawej stronie szerokiego korytarza, po lewej gęsiego i w milczeniu sunęła grupa więźniów z bloku C, a pomiędzy naszymi rzędami co kilka metrów stał w rozkroku uzbrojony strażnik.

Wtem ciszę korytarza przerywa czyjś przeraźliwy wrzask:

– Wooolnooooość!!!

To sygnał dla konspiratorów. Sygnał do ataku.

W tej samej sekundzie spokojny korytarz wypełnia się wściekłą wrzawą i kłębówiskiem walczących ciał.

Nie mam pojęcia, co się dzieje. Robi się straszliwy kocioł i rozpoczyna się regularna bójka. Więźniowie rzucają się

na klawiszy, za naszymi plecami rozlega się przeraźliwy pisk gwizdka. Wiedziony instynktem kucam i przywieram do ściany. Widzę wiele spanikowanych twarzy, większość z nas jest kompletnie zdezorientowana. Nagle pada strzał, a zaraz potem w całym więzieniu rozlega się przeciągły ryk syreny alarmowej. Jeden z więźniów, który trzyma w dłoniach karabin, bierze potężny zamach i uderza drewnianą kolbą w twarz funkcjonariusza. Z rozkwaszonych nozdrzy chlusta krew, a nieprzytomny klawisz pada na posadzkę. Kolejny strzał. Pomiędzy poruszającymi się postaciami odzianymi w szare uniformy widzę dozorcę, który obiema dłońmi łapie się pośrodku piersi.

Na jego twarzy maluje się wyraz absolutnego zaskoczenia. Pomiędzy palcami pojawia się obfita stróżka krwi. Bezwiednie klęka na kolana, a potem pada przed siebie.

Wrzask, tupot, ktoś się potyka, upada, wstaje, ktoś inny, starając się przekrzyczeć wycie alarmu, wrzeszczy:

– Potrzebujemy ich żywych!

Gdzieś z przodu miga mi przerażona twarz Suchego. Czuję się tak, jakbym pragnął wtopić się w ścianę. Zerkam za siebie. Ojczulek czołga się po podłodze w stronę drzwi stołówki. Nagle ktoś wpada prosto na moje plecy. Traci równowagę i wyciąga się jak długi, ale natychmiast podrywa się na równe nogi i gna przed siebie. Z

prawej widzę, jak jeden z więźniów przeładowuje broń i mierzy z bliska prosto w wyjący głośnik. Wrzaskliwy przedmiot wisi w kącie tuż pod sufitem, gdzie zbiegają się dwie ściany. Strzał! Niektórzy z obecnych padają plackiem. Megafon milknie. Suchy na czworakach zmierza w moim kierunku i krzyczy:

– Do stołówki! Ropuch, wracaj do stołówki!

W korytarzu kłębi się tłum ludzi. Kiedy dostrzegam, jak jeden z więźniów, który odebrał pałę klawiszowi i leje nią bezlitośnie innego skazańca, zaczynam powątpiewać w to, co widzą moje oczy. Ktoś brutalnie wyrównuje swoje żale i rachunki. Klęcząc na czworakach, obracam się w

stronę drzwi do stołówki. W ich świetle widzę strażnika, który ze wszystkich sił dmucha w czarny gwizdek. Nagle w kierunku jego twarzy szybują czyjeś pięści. Gwizdek milknie, jakaś postać w szarym uniformie wpada z impetem na klawisza i obaj natychmiast znikają mi z oczu. W drzwiach robi się zator. Jedni chcą wyjść inni wejść, a w progu widać wierzgające nogi w butach z czarnymi cholewami. Krzyk. Jeden wielki, nieprzenikniony krzyk rozsadza cały korytarz. Czyjeś dłonie pchają mnie do przodu. Obracam głowę. To tylko Suchy. Mam wrażenie, że nie słyszę słów, które wymawia, tylko odczytuję je z ruchu warg:

– Właż do stołówki, bo nas

tu pozabijają!

Raczkuję przed siebie. Nagle widzę, jak kilka metrów przede mną stoi Boyko z lekko rozchylonymi rękami. Na wprost niego Roman z obłądnym wyrazem twarzy i lufą karabinu wymierzoną w cygańską pierś.

– Roman! Nie!!! – wrzeszczę z całych sił.

W tym samym momencie pada strzał. Ciało Boyko uderza plecami o ścianę i osuwa się na podłogę. Paraliżuje mnie strach, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznałem. Tuż obok mnie pojawia się Olek Galiński, ideologiczny kompan Romana. Były zamachowiec i bojówkarz. Staje w rozkroku, podnosi do góry dłoń z pistoletem i oddaje w

powietrze dwa strzały.

– Cisza! – wrzeszczy. – Cisza!

Te słowa są jak magiczne zaklęcie. Wszyscy zamierają w bezruchu. W głębi więzienia rozlega się wycie syreny. W korytarzu pełnym ludzi zapada milczenie. Słysząc tylko świst oddechów z ludzkich gardeł.

– Brać zakładników! – rzuca krótką komendę Galiński. – Po dwóch na jednego! – Jego kamraci błyskawicznie wykonują polecenie.

Kątem oka dostrzegam, że z piątki dozorców, którzy wcześniej stali między rzędami maszerujących skazańców, czterech nadal jest przy życiu. Piąty leży twarzą do podłogi w plamie szkarłatnej krwi. Tuż obok niego widzę więźnia

opartego plecami o ścianę, jego pierś unosi się z ciężkim oddechem. Nie rozpoznaję go, ma zmasakrowaną twarz. To nie jest ludzkie oblicze, to rzeźnicza miazga.

– Wychodzimy z tego więzienia! – Słowa Olka docierają do wszystkich uszu. – Każdy, kto chce, może iść z nami, ale ma robić to, co mu powiem, albo go osobiście zastrzelę!

Jedno jest pewne, facet nie rzuca słów na wiatr.

Wtem od strony wejścia prowadzącego na więzienne bloki rozlega się tupot biegnących stóp.

Galiński, słysząc ten odgłos, kiwa głową w stronę jednego ze swoich ludzi w tyle korytarza. Tamten podchodzi



ostrożnie do rogu i krzyczy:

– Nie zbliżajcie się, mamy zakładników!

W tym samym momencie pojmuję, że ta akcja jest zaplanowana.

Na dźwięk tych słów grupa interwencyjna zatrzymuje się w miejscu.

– Poddajcie się! Nie macie najmniejszych szans! Wypuście dozorców i odłóżcie broń, a nikomu nie stanie się krzywda! – dobiega do naszych uszu żądanie straży.

Olek szybkim krokiem rusza w tamtym kierunku. Szepcze coś do swoich kompanów. Dwaj z nich łapią ciało martwego klawisza i podnoszą je w górę.

– Macie się natychmiast wycofać –

Galiński rzuca donośnym głosem – albo rozwalimy ich wszystkich! – Pociąga za spust, a tamci dwaj ciskają martwe ciało przed siebie. Zwłoki padają w świetle korytarza, który jest w zasięgu wzroku dowódcy grupy interwencyjnej.

– Macie się wycofać i wyłączyć syrenę alarmową albo zabijemy następnego!

– Nie rób głupstw! Wycofujemy się! – pada natychmiastowa odpowiedź.

Chwilę później na terenie więzienia panuje cisza.

– Kto chce się przyłączyć i wydostać na wolność, niech zostanie w korytarzu, komu to nie pasuje, wchodzi na stołówkę! – Galiński omiata wzrokiem po naszych obliczach.

Suchy lekko trąca mnie ręką i syczy mi wprost do ucha:

– Wbijaj się na stołówkę!

Przyznam się wam, że było w tym coś, o czym mówił nam wcześniej Ojczulek. Poczułem ten, jak to określił, „owczy pęd”. Bóg mi świadkiem, że jeśli byłbym odrobinę głupszy, to całkiem możliwe, że zdecydowałbym się zaryzykować.

Znaleźliśmy się w stołówce. Tuż za drzwiami leżał nieprzytomny dozorca. Drugi stał pod ścianą. Był roztrzęsiony, nieobecny. Ślinił się, a jego spodnie na wysokości krocza straszyły ciemną plamą moczu.

Na korytarzu z ust przywódcy grupy

padały jakieś komendy. Chwilę potem do stołówki wpadło dwóch ludzi. Spanikowanemu strażnikowi kazali wyjść, a nieprzytomnego wytargali na zewnątrz. Nagle drzwi zamknęły się z hukiem i usłyszeliśmy szczęk klucza w masywnym zamku.

Po chwili po drugiej stronie zapadła głucha cisza.

– Roman zabił Boyko – wyszeptałem drżącym głosem. – Zabił go z zimną krwią, patrząc mu prosto w oczy. Rozumiecie?! Nie mogę uwierzyć, że pałał do niego aż tak wielką nienawiścią.

– Chryste – westchnął Ojczulek, a w jego oczach pojawił się smutek.

Nie mieliśmy pojęcia, ilu więźniów

było zaangażowanych w tę desperacką ucieczkę. Wszyscy jak jeden byliśmy zszokowani zajściami, które niespełna kilka minut temu rozegrały się w błyskawicznym tempie po drugiej stronie drewnianych drzwi.

Jeszcze bardziej dziwiło nas to, że nadal siedzieliśmy tutaj i nikt się nie zjawiał.

– Może o nas zapomnieli – palnął Suchy w pewnym momencie.

Przy każdym stole toczyły się ciche dyskusje i chyba każdy z obecnych zastanawiał się, jaki będzie dalszy przebieg tego szaleństwa. Na każdej twarzy malował się wyraz osłupienia. Nie sędzę, żeby ktokolwiek z nas zdawał sobie sprawę, co tak naprawdę się stało.

Siedzieliśmy beczynn timer ponad godzinę. Gdyby nie zegar na wieży kościelnej wybijający kolejne kwadransy, pewnie stracilibyśmy rachubę czasu.

W pewnym momencie na zewnątrz budynku zniecka rozległy się salwy strzelaniny. To był zmasowany ogień. Spojrzałem na Ojczulka. Staruszek przyłożył dłonie do uszu i mocno zacisnął powieki. Odciął się. Za to ja i Suchy nasłuchiwałem tych odgłosów z przerażeniem w oczach.

W powietrzu ujadała wściekła symfonia.

Ciszę korytarzy ponownie rozszarpał przeciągły ryk syreny. Chwilę potem

przez okratowane okna stołówki zobaczyliśmy klawiszy z bronią wymierzoną w naszym kierunku. Po drugiej stronie drzwi rozległ się czyjś rozkazujący głos:

– Wchodzimy do środka! Kto nie będzie leżał na podłodze z rękami na karku, ten zginie!

Wszyscy jak jeden padliśmy na posadzkę.

Coś z potężną siłą zaczęło walić w drzwi i za każdym razem towarzyszył temu okrzyk:

– I raaaaz! I raaaaz!

Za piątym uderzeniem futryny się poddały i masywne wrota wpadły do środka, a za nimi oddział uzbrojonych dozorców.

Szczęk broni zmroził mi krew w żyłach.

Nie śmiałem podnieść wzroku.

– Wstawać! Ręce na kark! Wstawać!

Zaroiło się od mundurowych, którzy z pomocą kolb karabinów ustawiali nas w szeregu.

– Cisza! Trzymać łapy na karku!

Kilka minut później znalazłem się w celi.

Poczułem się tutaj tak bezpiecznie, jak nigdzie indziej.

Dom. Mój dom.

W swoim domu każdy się czuje bezpieczny.

Kiedy wieczorem usłyszałem najpierw szurnięcie wizjera, a potem



dwa uderzenia, poderwałem się na równe nogi i stanąłem pod ścianą przy oknie z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i wzrokiem skierowanym na wprost.

– Idziemy! – Blaszański machnął głową. Jego prawa dłoń spoczywała na rękojeści pistoletu, który był wetknięty w kaburę przypiętą do pasa.

Wyszedłem z celi, a Blacha pchnął mnie delikatnie w kierunku schodów.

Zeszliśmy na najniższą kondygnację.

Obok dyżurki stało dwóch strażników i Jaśki.

– Macie dzisiaj nocną robótkę – powiedział przodownik. – Trzeba zbić piętnaście skrzyń na zwłoki. Dopiero jak skończycie, wróćcie do cel! –

Na dźwięk tych słów lodowaty dreszcz przemknął przez moje ciało.

Ruszyliśmy do stolarni pod eskortą dwóch uzbrojonych kławiszy.

Na dworze zapadał pogodny, majowy wieczór. Szliśmy gęsiego i żaden z nas nawet nie śmiał otworzyć ust. Kiedy mijaliśmy ogrodzenie spacerniaka, naszym oczom ukazał się drastyczny widok. Pośrodku placu apelowego leżeli jeden obok drugiego. Piętnastu martwych mężczyzn.

– O Boże – jęknął któryś z Jaśków.

– Nie gadać! – warknął strażnik. –

Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

Robota szła nam w miarę sprawnie. Zrobiliśmy pierwszą prowizoryczną

trumnę i wieko. Klawisz kazał nam się za to chwycić i pomaszerowaliśmy w piątkę do miejsca, gdzie leżeli zabici ludzie. Każde mrugnięcie moich powiek rejestrowało makabryczne kadry. Nigdy wcześniej nie widziałem tak potwornych ran. Wszystkie zwłoki, oprócz ciała Boyko, były poszatkowane pociskami jak sito. Rany na głowach, piersiach, brzuchu, ramionach... Chryste, ten widok był trudny do zniesienia!

Jeden z Jaśków nie dał rady i zwymiotował.

Kiedy strażnicy kazali nam włożyć do skrzyni pierwsze zwłoki, poczułem się jak pracownik kostnicy. Sześć ciał miało na sobie mundury strażników, ale nie byli to pracownicy więzienia. Tylko

więźniowie, którzy przed śmiercią wdziali na siebie ich odzież. Jednym z nich był Roman. Mogłem jedynie przypuszczać, jaki plan uroił się w głowie tego, który zaplanował ucieczkę. Pojawiło się również pytanie: co się wydarzyło, że ten szalony pomysł nie wypalił?

– Trzeba z nich ściągnąć mundury – rzucił w naszym kierunku klawisz.

– Teraz? – zapytałem nieśmiałym głosem.

– Nie, róbcie to za każdym razem, jak będziecie pakować ciało do skrzyni.

Skończyliśmy tuż przed świtem. Kiedy wkładaliśmy ostatnie zwłoki, Olka Galińskiego, na wschodzie delikatnie majaczyła poświata

wschodzącego słońca.

Do dzisiaj nie potrafię zapomnieć dotyku martwego, ludzkiego ciała. Ma taki koszmarnie nieprzyjemny chłód, jakby to zimno pochodziło gdzieś z odległych zaświatów. Nie potrafię do niczego porównać wrażenia, jakie rodzi się pod opuszkami żywych palców, kiedy dotykają ciała, z którego uszło życie.

Na samą myśl o tym, czuję jedynie przenikliwy, cmentarny ziąb.

Następnego dnia po krwawych zajściach życie w placówce zatrzymało się w miejscu. Rano rozległ się gong pobudki i na tym się skończyło. Nikt nie pociągał za zasuwy drzwi, nie padła

komenda o wyjściu na posiłek.

Co chwila zerkałem przez okno. Na zewnątrz, na terenie więzienia nic się nie działo. Od czasu do czasu podchodziłem do drzwi, przykładałem ucho i nasłuchiwałem.

Nic. Cisza.

Czas mozolnie włókł się do przodu.

Więzienna machina ruszyła dopiero wraz z porą obiadową.

Wyprowadzono nas z cel.

Od razu zauważyłem, że strażnicy nie mają przy sobie żadnej broni.

Wraz z resztą osadzonych na bloku B szliśmy gęsiego w kierunku stołówki.

Coś jednak było nie tak jak zawsze.

Sunęliśmy prawą stroną korytarza, ale nie mijaliśmy nas grupa wychodząca. Stało

się dla mnie jasne, że od dzisiaj wiele rzeczy się zmieni. Może nawet bardzo wiele, bo system funkcjonowania, w jakim trwaliśmy dotychczas, zawiódł.

Trzymając w rękach miskę zupy, zmierzałem w kierunku swojego miejsca. Ojczulek i Suchy siedzieli tam gdzie zwykle. Byłem jednym z ostatnich do okienka wydawki, ale nie widziałem tam Biegańskiego. Omiotłem wzrokiem po innych stołach, szukając Piotrusia Pana. Nigdzie go nie zauważyłem.

Kiedy tylko usiadłem przy stole, zamiast zabrać się do jedzenia, cichym głosem opowiedziałem im o moich nocnych zajęciach.

Nie wiem, jak drastycznego

spodziewali się finału, ale to, co usłyszeli z moich ust, zrobiło na nich piorunujące wrażenie.

– To nie miało prawa skończyć się inaczej – powiedział Ojczulek.

– Nigdzie nie widzę Piotrusia. – Znowu zerknąłem po twarzach siedzących przy innych stołach.

– No właśnie – zainteresował się Suchy. – Dałbym sobie ręce obciąć, że on trzymał razem z tymi czerwonymi matołami. Widziałeś go wczoraj? Był w korytarzu czy na stołówce?

Nie potrafiłem sobie przypomnieć.

– Był na korytarzu – odezwał się nagle Ojczulek. – Widziałem go. Poszedł razem z nimi.

– Ciekawe – szepnąłem.



– A strażnicy, no wiesz, ci, którzy prowadzili was do stolarni, nic nie powiedzieli? – zmienił temat Suchy. W jego głosie czaiła się ogromna ciekawość. – Nie pochwalili się, jak przebiegła akcja? Jak to się stało i gdzie ich roznieśli?

– Nie rozumiem takich jak ty. – Staruszek spojrzał Suchemu prosto w oczy. – Zginęli ludzie, z którymi przez kilka lat jadałeś przy jednym stole. Znałeś ich. Ten, który siedział obok ciebie, zabił z premedytacją tego, którego każdego dnia widziałeś naprzeciw. Naprawdę cię to nie wzrusza? Nic a nic? Jesteś żądny tylko sensacji?

– I co mam zrobić? Rozplakać się? –

oburzył się nieco Suchy. – Jestem ciekaw, jak potoczyły się sprawy, kiedy my siedzieliśmy zamknięci tutaj. – Postukał palcem w blat stołu. – Nie wiem dlaczego, ale mam dziwne wrażenie, że ciągle ci coś nie pasuje. Może już pora, abyśmy sobie to wyjaśnili, co?

– Nic do ciebie nie mam. Zdziwia mnie jedynie twój brak szacunku dla jakichkolwiek wartości.

– Wal się, klecho – cisnął Suchy. – Kim ty, kurwa mać, jesteś? I jakim prawem uważasz, że mam czuć te same wartości co ty?

– Dajcie spokój – wtrąciłem. – Nie ma się o co szarpać.

– Właśnie że jest – oponował Suchy.

– Ja rozumiem, że facet ma misję. –  
Kiwnął głową w stronę Ojczulka, ale  
mówił o nim tak, jakby go tutaj nie było.  
– I niby jeszcze co? Mam się też uzalać  
nad tym niedoszłym filozofem? Skoro  
pognał z tamtymi, to wiedział, w co się  
pakuje, prawda?

Niespodziewanie ktoś klepnął mnie w  
plecy.

Obróciłem głowę.

To był Siostrzyczka.

Wspominałem o tym, że niektórych  
więźniów znałem tylko z ksywki i nie  
miałem pojęcia, jak nazywają się w  
rzeczywistości. Tak właśnie było z  
Siostrzyczką. Dostał w pudle takie imię,  
bo z racji wyuczonego zawodu był  
sanitariuszem w lazarecie. Wiedziałem o

nim tylko tyle, że brał udział w wojnie z bolszewikami. W trakcie jakiejś potyczki na froncie doszło między nim a jego dowódcą do konfliktu. Najpierw został oskarżony o dezercję i o mały włos nie stanął przed plutonem egzekucyjnym. Potem przekwalifikowano jego czyn na niesubordynację w stosunku do przełożonego, i w związku z tym, że sprawa wydarzyła się podczas działań wojennych, otrzymał srogą karę więzienia. W sumie według jego słów wychodziło na to, że został skazańcem, bo kilka lat temu w okopach ogarnął go paraliżujący strach.

– Słyszę, że rozmawiacie o tym świeżaku, który od jakiegoś czasu

siedział razem z wami – powiedział Siostrzyczka. – Facet żyje. Miałem wczoraj dyżur na izbie chorych. W trakcie wczorajszej strzelaniny pocisk trafił go w prawy policzek i rozpruł mu ucho od środka.

Suchy i Ojczulek również przysłuchiwali się jego słowom.

– Tylko on przeżył? – zapytałem.

– On jako jedyny z tych, którzy chcieli uciec – zaspokoił moją ciekawość. – Ten drugi, któremu zmasakrowano twarz, to Tadzio Wójcik.

– Wójcik? – powtórzył nazwisko Suchy. – Ten z kwadratową czachą?

– Ten sam – potwierdził Siostrzyczka.

– Miły z niego koleś, wesołek – skwitował Suchy.

– Może i miły, ale uwierz mi na słowo, ten gość nie będzie miał już normalnej facjaty. Właściwie obaj – ciągnął dalej – jak wyjdą na wolność i będą chcieli zarobić na życie, to mogą jedynie liczyć na posadę w cyrku odmieńców. – W tonie jego głosu nie było nawet cienia żartu.

Siostrzyczka klepnął mnie w ramię i obrócił twarz w stronę towarzystwa, z którym siedział przy każdym posiłku.

Chwaliłem się wam, że mam zadziwiającą pamięć do dat, prawda? Nie wiem, skąd mi się to wzięło, pewnie urodziłem się z tym darem. Czasami zastanawiałem się, dlaczego to mam? W jakim celu? Po co? I w

sumie nigdy nie znalazłem żadnej sensownej odpowiedzi. Przywykłem do tego i zacząłem traktować to jako coś zupełnie naturalnego i oczywistego.

20 maja 1926 roku. Czwartek.

Obudziłem się na długo przed tym, jak strażnik pełniący służbę uderzył w mosiężny dzwon na sterowni. Podniosłem się z pryczy i ubrałem więzienny drelich. Podeszedłem do okna. Zapowiadał się kolejny, słoneczny dzień. Błękit nieba mieszał się z mrokiem nocy wysoko nad zachodnim horyzontem. Wschodzące słońce nie emanowało jeszcze taką siłą, która przyćmiłaby świetliki połyskujących gwiazd po tamtej stronie nieba. W zamyśleniu przyglądałem się tym

malutkim migoczącym punkcikom. Przyszło mi do głowy, jak wspaniale bym się poczuł, gdybym teraz mógł wolnym krokiem ruszyć przed siebie. Poczuc w nozdrzach zapach porannej rosy, cieszyć się podmuchami wiatru we włosach, rozejrzeć się wokół siebie i tak daleko, jak tylko ludzkie oko potrafi sięgnąć, widzieć połacie kolorowych pól. Widok pozbawiony smutku, zgryzoty i cierpkich wspomnień. Wolny od tego wszystkiego, co jest dla człowieka kotwicą i nie pozwala mu posmakować prawdziwej swobody.

Zapaliłem papierosa.

Pręty stalowych krat w tej samej chwili przypomniały mi, gdzie jestem.

Nie wiem dlaczego, ale miałem



nieodparte wrażenie, że to będzie wyjątkowy dzień. Z drugiej strony, odezwał się we mnie więzień 29-11 i zapytał w myślach z drwiną: A niby z jakiej racji to ma być wyjątkowy dzień? Bo co? Bo zobaczyłeś gwiazdki na niebie? Moje myśli natychmiast sprowadziły mnie na ziemię. Ale mimo wszystko wiedziałem, że dzisiaj coś się wydarzy.

Przeczuwałem to.

Odpowiedź przyszła w tej samej chwili, kiedy przekroczyłem drzwi do stołówki. Jak zwykle mimochodem omiotłem wzrokiem pomieszczenie pełne więźniów. Już w pierwszej chwili coś mi nie pasowało. Stałem w kolejce do okienka wydawki i znowu zacząłem

błądzić wzrokiem pomiędzy stołami. Moje spojrzenie z piskiem zatrzymało się na sylwetce Hrabiego. Siedział przy tym samym stole, który od wielu miesięcy określał jego pozycję w więziennej hierarchii i... miał na sobie cywilne ubranie!

A więc to dzisiaj!

Jego ostatni posiłek, a potem w świat, na spotkanie z nowym życiem. To może wydać się wam głupie, ale miałem wielką ochotę podejść do niego i powiedzieć: „Zapomnij o tym, co było, i niechaj ci się wiedzie po drugiej stronie!”.

Nie mogłem oderwać od niego oczu. Po prostu nie mogłem. W jego obliczu było coś hipnotyzującego. Odchodził

do innego, lepszego świata. On również utkwiał we mnie wzrok, jakby chciał zapamiętać moją twarz na całą wieczność.

Dziwnie się czułem.

– Hrabia wraca do dworu – powiedział Suchy głosem, w którym słyszeć było zazdrość.

Ojczulek obejrzał się przez ramię w kierunku Duszańskiego.

– Może i wraca – skwitował staruszek – tylko że bardzo odmieniony.

Spojrzałem na księżulka i przyszło mi na myśl, że staruszek robi się na starość nieco zgryźliwy. Nie chciałem drażnić tematu, bo i po co. Facet znika, a wraz z nim cała przeszłość i wszystko, czego tu doświadczył.

Wiem, do czego doprowadziłem, będę z tym żył aż po kres moich dni. Mimo wszystko czułem ulgę. Myśl, że Hrabia opuszcza więzienie, napełniała mnie prawdziwą swobodą.

Przyznam się szczerze, że cieszyłem się w duchu. Miałem jednego wroga mniej!

To, co wydarzyło w ciągu kolejnych trzech tygodni, było prawdziwym szaleństwem. Właściwie nie wiem, od czego zacząć...

W tym samym dniu, kiedy we wronieckim więzieniu doszło do masakry więźniów podczas ich nieudolnej ucieczki, marszałek Piłsudski przejął stery władzy i zmiotł ze sceny

politycznej polski rząd wraz z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim. A tak na marginesie, wiele razy zastanawiałem się, czy naszego naczelnika łączyły z byłą głową państwa więzy krwi, czy tylko nosili to samo nazwisko? Nasz Wojciechowski z końcem maja przestał pełnić swoją funkcję, a jego miejsce zajął, bardzo szybko znieawidzony nie tylko przez skazańców, Władysław Zalewski. Jego przybycie do placówki zbiegło się z początkiem reform w strukturach służb więziennych. W kilka miesięcy później Centralne Więzienie we Wronkach zostało oficjalnie zaliczone do kategorii więzień izolacyjnych. Jeżeli komukolwiek z was będzie się kiedyś

chciało pogrzebać w jakiś dokumentach lub podręcznikach, to na pewno natknie się na informację, że w II Rzeczypospolitej było tylko czternaście takich obiektów.

Więzienia izolacyjne z założenia były przeznaczone dla więźniów politycznych, zdrajców, szpiegów, komunistów, wrogów państwowych oraz wszystkich tych, którzy w sposób jawny i zuchwały występowali przeciwko panującej władzy. Z początkiem czerwca wielu skazanych za przestępstwa pospolite typu napady, rabunki, morderstwa, gwałty, porwania zostało przeniesionych do innych placówek, a na ich miejsce z różnych zakątków kraju przybyli więźniowie polityczni. Ten

proces był powolny, toczył się niczym potężna machina i w każdej chwili mógł zmienić swój kierunek. Pojawili się tutaj tacy, którzy niby podchodzili pod kategorię więźniów politycznych, ale tak naprawdę byli bezwzględными zamachowcami i mordercami. Powiem wam, że ten temat zawsze będzie sprawą dyskusyjną i bardzo kontrowersyjną. Jednak w świetle tych zmian, stało się coś, co sprawiło, że ostatni ciężar, jaki nosiłem w duszy, rozpadł się w drobny pył. Prezes z oddziału izolacyjnego został przetransportowany do zakładu karnego na Świętym Krzyżu. Zapamiętajcie tę nazwę, opowiem wam o tym miejscu nieco później. Napomknę jedynie, że to polskie więzienie było w

okresie międzywojennym uznane za jedno z najcięższych więzień w ówczesnej Europie. Tam odbywali swoje wyroki więźniowie uznani za szczególnie niebezpiecznych. Na bramie wejściowej był napis: „Święty Krzyż Ciężkie Więzienie”. A od strony wewnętrznej widniała sentencja będąca zarówno życzeniem, jak i przestrogą: „Idź z Bogiem i nie wracaj”.

Wraz z umacnianiem się władzy sanacji, przez cały kraj przelała się fala brutalnych i bezprawnych aresztowań. Historia świata już od zarania dziejów niejednokrotnie udowodniła, że to najszybszy i najbardziej skuteczny sposób, aby zmiażdżyć przeciwników i



przejąć kontrolę nad sytuacją. Odciąć oponentów od życia publicznego, zdławić głosy protestu, a jeśli zajdzie taka potrzeba, to uciszyć je na wieki. Wielu ludzi ucierpiało tylko dlatego, że padł na nich jedynie cień podejrzenia. Fakty mogły wskazywać na coś zupełnie innego, ale obecna władza nie miała czasu bawić się w szczegółowe dochodzenia i dociekanie prawdy. Sytuacja była zbyt napięta. Istniało prawne przyzwolenie na zatrzymanie osób podejrzanych o działalność antyrządową tylko na podstawie decyzji administracyjnej. Każdy obywatel bez względu na płeć czy przekonania, będący w świetle ówczesnego prawa osobą odpowiadającą za własne czyny,

mógł zostać aresztowany i osadzony na trzy miesiące.

Jeśli się tylko przez chwilę zastanowić nad tą sytuacją, można dojść do wniosku, że taka koncepcja to pierwszy poważny krok wiodący ku dyktaturze.

Elity polityczne chciały uczynić z Piłsudskiego prezydenta Polski i Bóg jeden wie co bardziej ich do tego skłaniało. Strach przed osobą marszałka czy dobro Polski?

Suchy natomiast miał swoją teorię...

– No ale bez jaj, panowie, przecież tylko tego można się było spodziewać – powiedział. – Piłsudski to cwaniak! – Słowa padły z jego ust dzień po tym, jak marszałek z sumiastymi wąsami odrzucił

propozycję piastowania  
najważniejszego urzędu w państwie. –  
Jeśli połakomiłby się na tytuł i stołeczek  
w Belwederze, miałby związane ręce.  
Jego interesuje władza, czaicie!? –  
bardziej twierdził, niż pytał. – Władza!  
Wyłącznie władza. A najlepiej władza  
absolutna, niepodzielna i nieograniczona  
– wypowiadał myśli z niebywałymi  
emocjami, mówił o tym tak, jakby sam  
pragnął tego doświadczyć. – Pieprzyć  
majątek i przywileje. Po co mu to?  
Trzymać bat i pociągać za wszystkie  
sznurki, być nietykalnym. Doskonale  
wiem, co mu chodzi po łbie. – Zmrużył  
oczy w taki sposób, jakby chciał  
pokazać, że rozszyfrował plany tego,  
który teraz rozstawiał figury

na rządowej szachownicy.

– Może jak wyjdiesz, to powinieneś się zająć polityką – zakpił Ojczulek.

– Mógłbym, czemu nie – stwierdził Suchy z nonszalanckim uśmiechem. – Chyba mam do tego talent. Myślisz, że oni są inni niż my? – zapytał, jakby chciał mu wyjaśnić coś istotnego. – To banda przekrętasów w białych rękawiczkach. Dbają tylko o własną prywatę i mają gdzieś całą resztę. Mogą kręcić swoje wałki i nikt im nie podskoczy. Ustawy, rozporządzenia, projekty, nowelizacje, jak zwał, tak zwał, cel zawsze jest jeden. Rozkoszować się wygodnym życiem i zgarnąć bez wysiłku jak najwięcej szmalu.

W piątek, 4 czerwca 1926 roku świat dowiedział się, że prezydentem II Rzeczypospolitej został Ignacy Mościcki. Ta wiadomość dotarła również za mury wronieckiego więzienia i przez kilka następnych tygodni wszyscy mówili jedynie o nadziei na amnestię.

Ja, Ojczulek i Suchy siedzieliśmy w niedzielę na stopniach placu apelowego, grzejąc się w promieniach czerwcowego słońca.

– Jak myślisz, plotki staną się faktem?  
– zagadnął do księżulka Suchy.

– Kto wie – odparł staruszek leniwym głosem i podrapał się po karku. – Przeważnie tak jest, że nowa władza

chce pokazać, jak bardzo potrafi być łaskawa, a elektorat lubi dobrodusznych. Niech ci, którzy tego chcą, mają taką nadzieję.

– Fajnie by było – westchnął Suchy. – Chciałbym się załapać na taką łaskawość – dodał rozmarzonym głosem i spojrzął przed siebie. – Ropuszku, kopsnij wujciowi jednego szluga – rzucił w moim kierunku. A potem znowu zapytał Ojczulka: – A ty co, nie chciałbyś amnestii?

– Ja? – Staruszek wzruszył ramionami. – Suchy, mam siedemdziesiąt sześć lat. – Obrócił swoją pomarszczoną twarz w naszym kierunku. Słońce na moment odbiło się w szklach okularów, które miał na nosie.

– Bądź realistą, człowieku. Cóż ja miałbym robić po drugiej stronie bramy? Chyba tylko pójść pod kościół, klęknąć pokornie ze zdjętą czapką i prosić ludzi o jałmużnę. I niby jak miałbym tam zadbać o siebie? Kto dałby mi jakąkolwiek pracę? Masz ty rozum? – powiedział to tak, jakby chciał mu udowodnić, że nie ma nawet za grosz wyobraźni. – Dla mnie po drugiej stronie tych murów jest tylko pustka.

Suchy zaciągnął się głęboko dymem.

– Uuuu, pyszny tytoń – rzekł zachwycony i zerknął na bibułkę papierosa, na której niebieską farbą była wydrukowana litera P i unosząca się nad nią korona. – Parisjany – rzucił z uznaniem. – Eleganckie papieroski dla

eleganckich ludzi. – Posłał mi oko.

– Ty Stefan, powinienes się modlić, żeby nowy władca miał gest. – Ojczulek wrócił do tematu wyimaginowanej amnestii. – Niechby ci jeszcze zamienili dożywocie na ćwierć wieku, a przy dobrych wiatrach bodajby odliczyli to, co odbębniłeś. – Zamilkł na chwilę. – Gdyby tak się stało, to ile miałbyś wtedy lat? – zapytał.

Szybko porachowałem w myślach.

– Czterdzieści siedem – podałem wynik. I chwilę potem dałem się ponieść własnej fantazji. O tak, to byłoby coś! – przemknęło mi przez głowę.

Przypuszczam, że wielu skazańców żyło właśnie takimi złudzeniami.

Niestety wszystkie marzenia spłonęły



w ogniach wyobraźni.

Prezydent Mościcki nie ogłosił żadnej amnestii.

Kiedy zobaczyłem twarz Biegańskiego bez opatrunku, poczułem, jak nogi uginają mi się w kolanach. Pocisk wyrwał mu pół prawego policzka i rozszarpał na strzępy całą małżowinę. Żmudny i powolny proces gojenia się rany był w toku. Matka natura współpracowała razem z medycznymi specyfikami. To był cud, że nie stracił oka. Chociaż nie wiem, czy można mówić o cudzie. Przypomniały mi się słowa Siostrzyczki i pomyślałem, że był bardzo łagodny w swojej ocenie. Piotruś Pan został oszpecony na resztę

życia. Jednak zdeformowana i okaleczona twarz nie stanowiła tak dużego problemu jak inne dolegliwości. Kula, która go dosięgła, prawdopodobnie zorała mu jakąś połąć mózgu. Mechaniczne uszkodzenie sprawiło, że stracił płynność mowy, a jego lewa ręka stała się częściowo niewładna. Chłopak, który jeszcze jakiś czas temu potrafił pięknie i barwnie wypowiadać swoje myśli, w jednej chwili został stękającym dziwadłem.

– Co się właściwie stało? – Suchy nareszcie mógł zadać pytanie, które dręczyło go prawie od miesiąca.

– Prze-prze-przedosta-aaa-sta-sta-stali-iiii-iiii-śmy się-się-się do-do... – Piotruś Pan mówił jak zepsuta,

zacinająca się maszyna.

Pomyślałem o czymś, a sekundę później Suchy oddał istotę tej myśli w swoim stylu:

– Kurwa mać, brachu, to po-po-po-trwaaa-aaa-aaa całą wieczność! – W tonie jego głosu nie było nawet szczypty złośliwości czy drwiny, jedynie kompletny brak wyrozumiałości dla nabytego upośledzenia. I nie tylko ja miałem takie zdanie na ten temat.

– Suchy! – warknął Ojczulek, jakby chciał go zganić.

– No co? Przecież nas tutaj zająka na śmierć. Może to zabrzmiał podle – skierował głowę w stronę Biegańskiego – ale sam sobie jesteś winien.

– To-to-to pra-praw-praw-prawda –

wykrztusił i tylko jego oczy zdradziły nam, że naprawdę facet żałuje. Może nawet nie tego, iż dał się uwikłać w taką parszywą sprawę, ale tego, że w konsekwencji jego życie legło w gruzach.

– No widzisz. – Suchy zrobił duże oczy i wytrzeszczył je, spoglądając na Ojczulka. – On to rozumie, a do ciebie jakoś nie dociera.

Piotruś Pan zaczął dukać swoją opowieść w środku tygodnia. Widywaliśmy się jedynie przy posiłkach i opowiedzenie zdarzenia związanego z nieszczęsną ucieczką zajęło mu trzy bite dni! W tym czasie Suchy o mało nie dostał szału.

Kiedy już wreszcie wyjąkał całą

historię, odpowiadając również na nasze dociekliwe pytania, a my posklejaliśmy każde pocięte słowo, wyłonił się taki oto obraz:

*Od pierwszego dnia, kiedy trafiłem do Wronek grupa towarzyszy przygarnęła mnie jak swego. Bezustannie opowiadałem im o tym, co dzieje się pod drugiej stronie murów, jakie są nastroje, jakie działania prowadzą ugrupowania wierne ideom komunistycznym. I o nadziei, że niebawem nastaną wielkie zmiany. Potem zaczęły do nas coraz częściej docierać wieści o niepokojach społecznych i pojawiły się pierwsze rozmowy o ucieczce. Nie wiem, kto*

*rzucił ten temat. Po prostu pomysł pojawił się któregoś dnia, a my daliśmy się ponieść wyobraźni. Roman ciągle powtarzał:*

*– Zaczęło się. Już się zaczęło. Nadszedł nasz czas i musimy coś z tym zrobić.*

*Wiecie, jak jest, polityczni trzymają się na dystans od pospolitych. Nie uważamy siebie za przestępców, tylko za wrogów władzy. Pamiętajcie, jak Roman chciał was zwerbować, prawda? Chociaż słowo „zwerbować” raczej nie jest odpowiednie. W każdym razie już wtedy chcieliśmy rozeznać, co inni sądzą o takim wyjściu, i ewentualnie kto jeszcze chciałby się do nas przyłączyć. Pozornie głupie gadanie,*

*puste słowa, ale tak naprawdę zaczynaliśmy poważnie podchodzić do sprawy. Ten dzień, kiedy naczelnik ogłosił stan wyjątkowy, a na więziennych korytarzach pojawili się uzbrojeni strażnicy, przesądził o naszej decyzji.*

*To tego dnia Olek Galiński powiedział:*

*– Wiem, jak możemy się stąd wyrwać, a to, że straż jest pod bronią, maksymalnie zwiększa szansę powodzenia.*

*Plan był zuchwały i prosty. Pięciu dozorców na korytarzu podczas przemarszu na posilki, dwóch na stołówce. Nas było piętnastu. Obezwładniamy i rozbrajamy*

*strażników. Zostają naszymi zakładnikami. Przedzieramy się do wyjścia w głównym budynku, za którym jest więzienny dziedziniec. Wysuwamy nasze żądania. Chcemy natychmiast trzech furgonetek, którymi dysponuje więzienie. Samochody mają stać na ulicy za więzienną bramą z uruchomionymi silnikami i pełnymi bakami paliwa. Przechodzimy zwartą grupą przez dziedziniec. Każdy z klawiszy ma przystawioną do skroni spluwę. Pakujemy się do samochodów razem z zakładnikami. Ostrzegamy, że jeśli ruszy za nami pościg, zabijemy dozorców. Kierujemy się w stronę Poznania, nie wiemy, co nas czeka po drodze, i dlatego dalszą część planu*



*będziemy realizować w zależności od sytuacji i potrzeby chwili. Ważne jest to, żeby dotrzeć do miasta. W takim skupisku ludzi, każdy z nas może zniknąć bez śladu. To jest najważniejsze. Pojawiły się dociekliwe pytania, ale treściwe odpowiedzi Olka i entuzjazm Romana bardzo szybko zmiotły wszelkie wątpliwości.*

*– To się uda – powiedział Olek – jeśli tylko zachowacie trzeźwość umysłu i nie dacie się ponieść emocjom. Brał ktoś z was w przeszłości udział w zbrojnej akcji? – Kilku kiwnęło głowami. – To wiecie, jak jest, trzeba się sztywno trzymać ustalonego planu. Jeżeli każdy z was będzie wykonywał moje polecenia, to gwarantuję wam, że*

wyrwiemy się z tego miejsca. Jak już się zacznie, nie patrzcie na innych więźniów, skupcie się na klawiszach. Wybuchnie panika, ale my koncentrujemy się na naszych działaniach.

Nikt z nas tego nie powiedział na głos, ale wszyscy jednomyślnie zaakceptowaliśmy, że to Olek będzie dowodził. Termin akcji pojawił się równie nagle, co jej pomysł. Kiedy w sobotę wieczorem kolumny wojska sunęły na Poznań, wiedzieliśmy, że gdzieś tam w świecie zaczęła się walka, a naszym obowiązkiem jest dotrzeć na barykady. Ostateczna decyzja zapadła na spacerunku w niedzielne przedpołudnie.

*Byliście tam i wiecie, co się stało. Więzienny korytarz to nie to samo co miejska ulica pełna cywilów. W kilka sekund szlag trafił misternie knuty plan. Już na samym początku prawie wszystko poszło nie tak, jak powinno. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Roman zastrzelił Cygana, jakiś typ z bloku A wyrównał swoje porachunki z Tadzkiem Wójcikiem, ktoś posłał kulę strażnikowi. Nawet nie chcę myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Olek nie zareagował. Kiedy dwa razy pociągnął za spust, a pociski uderzyły w sufit, na powrót opanował sytuację. Potem zamknęliśmy was razem z innymi w stołówce i zaczęła się nasza przeprawa do głównego wyjścia.*

*Mieliśmy sześciu żywych, przerażonych zakładników. Nie wiem, kogo bali się bardziej, nas czy reakcji grupy interwencyjnej, która stanęła nam na drodze do wyjścia. Galiński wiedział, jak z nimi rozmawiać i jakich argumentów używać. Zwłoki martwego klawisza okazały się bardzo przydatne.*

*Nie, nie czułem strachu, wierzyłem, że uda nam się wydostać. Wszyscy w to wierzyliśmy. Tylko z Romanem działo się coś złego. Dostał przyływu jakiejś niesamowitej energii, był gotów z jednym karabinem rzucić się na całą armię wroga. To nie był ten sam człowiek, którego wcześniej znałem. To była zdeterminowana bestia w ludzkiej postaci. Dotarliśmy do wyjścia*

*z głównego budynku. Olek podał nasze żądania i wtedy okazało się, że tylko dwie furgonetki są sprawne. Trzecia dwa dni wcześniej trafiła do warsztatu, bo miała problemy z silnikiem. Taka sytuacja wymagała zgoda innego rozwiązania, niż zakładała pierwotna wersja planu. Nie mogliśmy w dwadzieścia jeden osób zapakować się do dwóch pojazdów.*

*– Ściągać mundury – syknął Olek do zakładników i wycelował w ich kierunku lufę pistoletu. Klawisze w pośpiechu zdejmowali swoje ubrania. Potem Olek wskazał palcem na sześciu z nas i kazał im się przebrać. W taki sposób mieliśmy przechytrzyć dowódcę grupy interwencyjnej. Brama została*

*otwarta na oścież, a w jej świetle ujrzeliśmy dwa pojazdy.*

*– Co robimy z nimi? – rzucił ktoś pytanie, mając na myśli rozebranych dozorców.*

*– Załatwmy ich! – Nie mam pojęcia, z czyich ust padła ta koszmarna propozycja.*

*– Nie! – warkną Olek. – Związać i zakneblować!*

*Chwilę później sześciu strażników leżało unieruchomionych na podłodze i skrupowanych za pomocą więziennych drelichów.*

*– Nie ruszaj się, bo palnę ci w łeb! – Roman doskoczył do jednego z nich i przystawił mu lufę do czoła.*

*– Przestań! – Olek prawie wyrwał*

*mu karabin. – Opanuj się! Już prawie stąd wyszliśmy!*

*– Czemu ich nie weźmiemy ze sobą choćby do bramy? – zapytał jeden z nas. – Możemy ich użyć jako żywej tarczy.*

*– Nie bądź głupi! Zostawimy ich tutaj, żeby zyskać na czasie – odparł Galiński. – Jeszcze nie wiedzą, ilu nas jest, ale mają pojęcie, ilu było strażników. Wiedzą, że siedmiu. Jeden nie żyje, więc kiedy zobaczą sześciu umundurowanych, przyjmą za oczywiste, że to ich ludzie. Jeśli tych zabierzemy do bramy – wskazał pistoletem na skępowanych dozorców – będziemy musieli ich tam zostawić, a wtedy pościg ruszy za nami*

*natychmiast. Musimy zyskać na czasie. Teraz najważniejszy jest czas, a nie zakładnicy.*

*Chyba każdy z nas zrozumiał, że znowu się wszystko zawaliło. Skąd mieliśmy wiedzieć, że trzeci samochód stoi w warsztacie z rozgrzebanym silnikiem?*

*– W takim razie trzeba ich gdzieś ukryć – zreflektował się ktoś inny. – Bo nie zdążymy ruszyć za bramą, a zaraz ich znajdą.*

*Galiński przez moment wyglądał tak, jakby intensywnie myślał. Zrozumiałem, że Olek nie ma żadnego pomysłu. Ciskał wzrokiem w różnych kierunkach, ale nigdzie nie mógł znaleźć rozwiązania. Staliśmy w korytarzu,*



po bokach drzwi do różnych służbowych pomieszczeń. Wszystkie zamknięte i wszędzie założone lakowane na sznurku plomby. Sytuacja zaczęła się robić napięta.

– Szybko, sprawdźcie, czy któreś drzwi są otwarte!

Przy wejściowych wrotach czuwał jeden z naszych. Przez szczelinę, w którą wkradało się światło dnia, dokładnie widziałem odcinek, jaki został nam jeszcze do pokonania. Dwadzieścia pięć, no może trzydzieści metrów do bramy, a za nią nasz transport do wolności.

– Tutaj! – rozległ się głos – tutaj jest otwarte!

– Brać ich! – rzucił Galiński.

*Chwyciliśmy strażników za związane stopy i niemalże biegnąc, ciągnęliśmy ich po kamiennej posadzce. To było spore pomieszczenie z rzędami metalowych szafek, a na drzwiach znajdowała się biała tabliczka z czarnym napisem SZATNIA.*

*– Do rogu z nimi! – Galiński wskazał miejsce, wydając kolejne polecenia. – Pozbawić ich przytomności!*

*Roman rzucił się pierwszy w tamtym kierunku, ale Olek powstrzymał go i syknął:*

*– Ty nie! – Chyba wiedział, że nasz kompan może zrobić coś idiotycznego.*

*Chwilę później staliśmy przy drzwiach wyjściowych. Czuję, jak serce dudni mi w piersiach. Wolność*

*była na wyciągnięcie ręki.*

*– Zaraz wszyscy wyjdziemy, trzymamy się razem. Przebrani za strażników opuszczają głowy, żeby nie dało się dostrzec waszych twarzy! Zrozumieliście?! – Spojrzał na nas. Wszyscy kiwnęliśmy głowami na znak, że wiemy, o co chodzi. – Jak przejdziemy przez bramę, pakujemy się do wozów. To jest pierwsza grupa – oddzielił nas ręką – a to druga. Ubrani w mundury mają mieć broń przystawioną do głowy. Nie zróbcie niczego głupiego. Widzicie te samochody? Myślcie o nich jak o wehikułach, które czekają tam tylko po to, żeby zabrać nas z tego parszywego miejsca i ulokować w*

*innym, lepszym świecie. Skupcie się!*

*Olek podszedł do drzwi, uchylił je nieco bardziej i krzyknął:*

*– Mamy waszych ludzi! Nikomu się nic nie stanie, jeśli zachowacie spokój! Wychodzimy!*

*Spojrzał po naszych twarzach i powiedział:*

*– To nasze przedstawienie, więc zagrajmy je najlepiej, jak potrafimy!*

*Wyszliśmy na zewnątrz. Omiotłem wzrokiem zabudowania. Z każdego okna spoglądały na nas lufy karabinów. Ich czarne źrenice były wpatrzone w nasze ciała. Strzelcy w wieżyczkach wartowniczych także mierzyli w naszym kierunku. Przesuwaliśmy się zwartą grupą w kierunku otwartej bramy.*

*Myślałem tylko o tym, żeby nikogo z obecnych nie poniosły emocje, bo wtedy ich kule rozerwą nas na strzępy. Dookoła słyszałem nerwowe oddechy. Wolność wydawała się prawie na wyciągnięcie ręki. Wtem od strony drzwi, z których wyszliśmy, rozległ się słaby krzyk:*

*– To są więźniowie! – Zdążyłem jeszcze zobaczyć poranioną twarz dozorca, kiedy przez ułamek sekundy wychylił się w świetle drzwi. – Tam nie ma strażników! To są przebrani więźniowie!*

*Zarówno my, sunący w zbitej grupie, jak i strzelcy w oknach wszyscy byliśmy dezorientowani. Ktoś od nas, nie wiem kto, po prostu nie wytrzymał napięcia i*

*krzyknął:*

*– Chodu!*

*To jedno słowo okazało się dla nas zgubne.*

*Chyba tak jak pozostali chciałem się rzucić w kierunku otwartej bramy. Nie zdążyłem jednak zrobić nawet pół kroku, gdy w naszą stronę pomknął grad wściekłych kul. Przestrzeń zadrżała od huków, powietrze zapachniało prochem, a cały świat zniknął w kłębach sinego dymu. Byliśmy w potrzasku, strzelali do nas ze wszystkich stron. Nim oberwałem w twarz, widziałem, jak pociski rozrywają ciała, a rany plują krwawym deszczem. Nie oddaliśmy nawet jednego strzału.*

Bóg jeden raczy wiedzieć jak liczna armia aniołów uchroniła Piotrusia Pana od śmierci. On sam dość często powtarzał, że to był cud. Oczywiście w takich chwilach Suchy kpił z niego w najlepsze, mówiąc:

– Jesteś jedynym komunistą w świecie, który wierzy w cuda!

Współczułem Biegańskiemu, że tak podle obszedł się z nim los. Nie wiem, czy ja dałbym radę pogodzić się z takim kalectwem. Niestety nawet tak okropne rany nie wpłynęły na decyzję sądu. Za udział w ucieczce dostał dodatkowo siedem lat odsiadki. I tak z ośmiu zrobiło się piętnaście.

Takie życie.

Jedna głupia decyzja i cała przyszłość

rzucona do rynsztoka.

Po jakimś czasie przestał być Piotrusiem Panem, a więźniowie przechrzcili go na Piotrusia Jakałę. Ze względu na niedowład lewej ręki musiał zakończyć pracę na łodygowni. Był wykształcony, inteligentny, bystry, potrafił pisać i chyba dzięki temu został pierwszym znanym mi skazańcem, którego zatrudniono, lub raczej zaangażowano, w charakterze gryzipiórka. Oczywiście powierzona mu funkcja nie była normalnym etatem, tylko stworzonym na potrzebę chwili. W drugim półroczu 1926 roku przez wronieckie więzienie przewinęły się tabuny ludzi. Wspominałem wam o tym,



że po przewrocie majowym przez kraj przelała się fala aresztowań, a każdy, na kogo tylko padł cień podejrzenia, że jest przeciwnikiem sanacji, mógł trafić za kratki. Tak też się działo. Strażnicy mieli pełne ręce roboty, a ktoś musiał prowadzić ewidencję, wypełniać księgę wpisów, uzupełniać kartoteki.

Szumski miał w zwyczaju mawiać:

– Wszystko wszystkim, ale porządek w papierach musi być!

No i to właśnie zadanie zostało nałożone na naszego oszpeconego kumpla. Nie mógł pracować fizycznie, ale mógł robić coś innego, a naczelnik Zalewski wychodził z założenia, że więzienie to nie miejsce dla darmozjadów i każdy musi zapracować

na swoje utrzymanie!

Tym sposobem Piotruś Jąkała uzyskał swoje stanowisko.

Nie mam pojęcia, jak w świetle obowiązującego wówczas prawa wyglądała kwestia zamykania ludzi w więzieniach tylko na podstawie jakiejś jednej decyzji administracyjnej. Sami zainteresowani zresztą też nie wiedzieli. To były podłe czasy.

Nazywaliśmy ich aresztantami. To nie byli skazańcy, a ich status był zupełnie niejasny. Jeśli ktokolwiek z zewnątrz wszedłby na teren więzienia, nawet dziecko, i zobaczyłby nas wszystkich zebranych razem, też zadałby to pytanie:

– A dlaczego tamci wyglądają

inaczej?

Aresztanci nie dostawali więziennych drelichów. Chodzili w takim ubraniu, w jakim ich przywieziono. Posiłki jadali o innych porach niż my, nie mieli możliwości podjęcia pracy, a na spacerki wyprowadzano ich w sobotę. Nie mieliśmy kontaktu z tymi ludźmi.

W głównym budynku więzienia przydzielono dwa pomieszczenia przedstawicielom policji i kontrwywiadu, którzy bezustannie przesłuchiwali aresztantów. Niektórzy byli zwalniani po kilku dniach, inni po kilku tygodniach, ale byli też tacy, którym wytaczano procesy i sądzono niemalże w trybie natychmiastowym. Wyroki czasami były śmieszne i bardziej

służyły jako przestroga dla innych, bo nijak się miała ich wina do kary. Liczyło się jednak to, że za każde przewinienie wobec nowego systemu można było dostać kilka miesięcy paki. Tak właśnie wyglądał początek, kiedy władze więzienia wygospodarowały na potrzeby nowego rządu II Rzeczypospolitej kilkadziesiąt cel na bloku D.

Ta sytuacja, o której wspominałam, w roku 1926 była chaotycznym działaniem. Władzy zależało na wprowadzeniu destabilizacji w środowiskach opozycyjnych, a sam pomysł, chociaż nie był precyzyjnie opracowany, przyniósł jednak zamierzone efekty. Dopiero osiem lat później, latem 1934, na mocy

rozporządzenia, które podpisał prezydent Mościcki stworzono Miejsce Odosobnienia w Berezie Kartuskiej. W tej niewielkiej miejscowości na wschodnich rubieżach ówczesnej Polski powstała jedna z najczarniejszych plam historii naszego kraju. W budynkach dawnych carskich koszar, otoczonych zasiekami kolczastych drutów, stworzono koszmarne obóz. Jak głosił oficjalny dekret, był on przeznaczony dla osób, „których działalność lub postępowanie daje podstawę do przypuszczenia, że grozi z ich strony naruszenie bezpieczeństwa, spokoju lub porządku publicznego”. Co ważne, nie było to miejsce przeznaczone dla ludzi skazanych lub

aresztowanych za przestępstwa. Do wiadomości publicznej podano oficjalnie, że asumptem do utworzenia obozu było zabójstwo ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego, którego dokonał niejaki Hryhorij Maciejko, działacz Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. I że niby ten incydent skłonił marszałka Piłsudskiego do podjęcia decyzji o stworzeniu owego miejsca odosobnienia. Może i tak było, nie wiem. Wiem natomiast, że to zwycięzcy piszą historię i oni ustanawiają wszelkie prawa. Dlatego ci, którzy trzymali wtedy władzę, przykrócili cugle narodowi, powołując do życia wygodne dla nich rozporządzenia. Udoskonalili to, co tak

naprawdę zaczęło się w 1926. Na mocy dekretów i urzędowych papierków doprowadzili do tego, że wystarczyła jedynie sławetna decyzja administracyjna i można było na trzy miesiące zamknąć w obozie każdego bez wyjątku i bez możliwości apelacji. Ponadto bez podania żadnych wyjaśnień przedstawiciele rządu mogli ten czas przedłużyć o kolejne trzy miesiące. Ponoć znane są przypadki, że trzymano tam ludzi nawet przez rok. Do Berezy Kartuskiej trafiali podejrzani – już samo określenie „podejrzani” brzmi jak fanfary władzy absolutnej – którym przypisywano działalność wywrotową, przestępstwa gospodarcze, dywersję, szpiegostwo oraz odmienne wobec

sanacji poglądy polityczne. Przyznacie sami, że nie dało się wymyślić bardziej idealnych kategorii. Miejsce Odosobnienia w Berezie Kartuskiej miało na celu złamanie psychiczne osadzonych, żeby już nigdy, ale to przenigdy, nie stanowili dla władzy problemu.

Niektóre historyczne źródła podają, że podczas funkcjonowania obozu do roku 1939, kiedy to tamtejsze tereny zostały zajęte przez Sowieców, przewinęło się w jego murach tysiące istnień.

W swoim życiu poznałem dwóch ludzi, którzy tam byli. Opowiadali potworne historie. Z ich relacji jednoznacznie wynikało, że Bereza



Kartuska była miejscem koszmarnej kaźni.

Kiedy pewnej lipcowej niedzieli smażyliśmy się na spacerunku w promieniach letniego słońca, Suchy zdjął koszulkę, zawiązał ją sobie w turban na głowie i powiedział:

– Kurde, aresztanci to mają się tutaj jak wisienki na torcie. Żarcie zapewnione – wyciągnął przed siebie dłoń i wystawił kciuk – po drugie – wyprostował palec wskazujący – pracą się żadną nie skalają – odgiął palec środkowy – przez cały dzień leżą w celi jajami do góry – dołączył do poprzednich palec serdeczny – czują się tutaj jak na wakacjach – rozwarł

szeroko całą dłoń i zamilkł, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć.

– No a co po piąte? – zapytałem.

– Po piąte, to rozumiesz – cedził słowa, jakby szukał ostatniego argumentu – po piąte, chciałbym zostać aresztantem.

– Myślisz, że to taki luksus siedzieć cały dzień w celi? Nie dzień lub dwa, tylko miesiąc. Patrzyć na te same ściany albo zerkać na ten sam widok przez okratowane okno? – Ojczulek miał najwyraźniej inną wizję.

– Nie miałbym nic przeciwko – rzucił Suchy i położył się na wznak. – Kurort. Rozumiesz, księżulku? Prawdziwy kurort. Nic cię nie obchodzi i masz wszystko głęboko w dupie.

– Gdybyś żył normalnie na wolności, a nagle przywieźliby cię tutaj i wpakowali do celi, to inaczej byś śpiewał.

– Pewnie tak – wskoczył mu w zdanie Suchy. – Wiem, jak jest, staruszk. Tak plotę trzy po trzy, bo wy siedzicie jak te dwa smutne baranki boże – westchnął. – Można przy was umrzeć z nudów. Na szczęście zostało mi jeszcze trzy lata plus jedna ciąża i znikam stąd.

– Masz jakiś plan? Już wiesz, co będziesz robił? – spytałem.

– Planów to ja mam całą masę – prawie zaśpiewał. – Ale wiecie, co na pewno zrobię. – Dźwignął plecy nieco w górę i wsparł się na łokciach. – Kurwa mać, panowie, wakacje spędzę

nad morzem. Bałtyk, plaża, gorący piach pod stopami, taki jeden, co przyjeżdża na pralnię ze szpitala, miał raz gazetę i pokazał mi zdjęcia. Już od dwóch lat budują w Sopocie potężny hotel i kasyno, tuż nad samym morskim brzegiem Sofitel Grand Sopot, czy jakoś tak. O tak – spojrzał w błękitne niebo i zmrużył powieki – pojedę zabawić się nad morze.

Kątem oka ostrzegłem, że z prawej zbliża się w naszym kierunku Biegański. Chyba słyszał, co mówił Suchy, bo starał się powiedzieć:

– Po-po-po-je-je-je-dziesz na-na-nad...

– Kurwa mać, Piotrus – Suchy zawodzącym głosem wpadł mu w

jęczącą kwestię – skocz do drukarni po papier, gwizdnij po drodze komuś rysik i napisz, co chcesz powiedzieć. Stary, będzie szesnaście razy prędzej i oszczędzisz nam męki.

– Pie-eee-eee-rodol się, Suchy. – Ku naszemu zdziwieniu padła w miarę szybka odpowiedź.

– Ooo, dobrze ci idzie, jak przeklinasz – powiedział Suchy. Uśmiechnąłem się pod nosem rozbawiony. – Piotruś, żartowałem. Wiesz, że ja zawsze żartuję. – Posłał mu porozumiewawcze oko. – Ale sam przyznasz, że to nie jest głupi pomysł, jakbyś nosił przy sobie kartkę papieru i ołówek, prawda?

Biegański nic nie odpowiedział, ale

pokiwał głową w taki sposób, jakby chciał mu przyznać rację.

Od tamtego dnia Piotruś zawsze miał przy sobie atrybuty ucznia. W kieszeni bluzy nosił poskładaną na cztery kartkę papieru i mały rysik. Komunikowanie się z nim stało się wtedy o niebo szybsze.

W najbliższą środę mijały mi dokładnie cztery lata pobytu w więzieniu. Nic nie wspominałem na ten temat, bo Suchy mógł znowu wpaść na jakiś idiotyczny pomysł, żeby uczcić moją rocznicę. Kończyliśmy właśnie obiad, kiedy przy naszym stole pojawił się przodownik Blaszański. Spojrzał na Ojczulka i powiedział:

– Wstawaj, naczelnik cię wzywa na rozmowę!

Spojrzeliśmy po sobie zaskoczonym wzrokiem.

Kiedy funkcjonariusz oddalił się razem z księżulkiem, zaczęliśmy się zastanawiać, cóż takiego Zalewski może chcieć od staruszka?

Gong dzwonu przy sterowni obwieścił wyjście na kolację. Kiedy stanąłem w drzwiach swojej celi i spojrzałem piętro w dół, poczułem dziwną ulgę, widząc Ojczulka w tym samym miejscu co zawsze.

– Opowiadaj, co chciał od ciebie naczelnik? – zapytał Suchy z ciekawym głosem, jak zawsze

przejawiając chorobliwe  
zainteresowanie każdą nowością.

– Współczuję wam, chłopaki,  
nadciągają poważne zmiany. – Ojczulek  
odrywał kawałek skórki chleba z kromki  
i włożył ją do ust.

– O czym ty gadasz, staruszkę? –  
Suchy był tak samo zdziwiony jak my. –  
No i powiedz wreszcie, co chciał  
Zalewski?

Ojczulek spojrzał po naszych  
twarzach i po chwili odezwał się  
cichym głosem:

– W niedzielę wychodzę na wolność.  
Cała nasza trójka patrzyła na niego w  
wielkim osłupieniu.

– Jak to na wolność? Dlaczego? – nie  
odpuszczał najbardziej gadatliwy z nas.



– Nie wiem dlaczego – odparł Ojczulek. – Ponoć taka jest decyzja władz. Polskie więziennictwo szykuje się do rewolucyjnych zmian, proces już jest w toku. Rok temu skończyłem siedemdziesiąt pięć lat, nigdy nie ubiegałem się o złagodzenie kary, a tym samym o przedterminowe zwolnienie. Biorąc pod uwagę tylko względy czysto ekonomiczne, moja obecność tutaj nie przynosi żadnych korzyści, lecz podwaja koszty. Nie pracuję wydajnie, nie zarabiam na swoje utrzymanie i nie stanowię już zagrożenia dla społeczeństwa. – Na moment zawiesił głos. – Widzicie, czym jest starość? Stary człowiek nikomu nie jest potrzebny, nie chcą go nawet w

więzieniu. I nie wiem, w czym mnie wypuszczą, bo nawet nie mam ubrania. Blisko pół wieku noszę więzienne szmaty! – Trzepnął dłonią w połę szarej bluzy, a jego głos brzmiał dziwnie, kiedy zyskiwał na sile. – Tam, po drugiej stronie murów – kiwnął głową – jest świat, którego nie znam. Tam nie mam nikogo, żadnych krewnych, bliskich ani znajomych. Tam czeka na mnie tylko pustka. – Zdjął z nosa okulary, które podarowałem mu na Wielkanoc, i przetarł opuszkami palców kąciki wilgotnych oczu. – Może powinienem narozrabiać, zrobić coś głupiego, udowodnić im, że jestem niespełna rozumu, to może mnie zostawią?

– Przestań gadać pierdoły – fuknął

delikatnie Suchy. – Dasz sobie radę, przetrwałeś w pudle, to...

– Daj spokój, Suchy – uciał Ojczulek. – Ja nie mam czterdziestu paru lat jak ty. Jestem starcem, a za rok lub dwa będę niedołącznym dziadem, i ktoś, taki jak ja, ma stawić czoła temu, co jest po tamtej stronie? Nie, to nie tak miało być...

Gwizdek strażnika oznajmił nam, że czas posiłku dobiegł końca.

Siedziałem na pryczy i myślałem o tym wszystkim, co powiedział Ojczulek. To było niepojęte. Czy kiedyś spotka mnie podobny los? Przeróżne myśli toczyły się przez moją głowę. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy staruszkowi nie strzeliło coś do łba.

Kiedy następnego dnia przed wyjściem na śniadanie nie zobaczyłem Ojczulka przed jego celą, poczułem, jak moje nogi robią się wiotkie, a serce bije dwa razy szybciej. Posłałem spojrzenie w kierunku Suchego i kiwnąłem głową w stronę piętra poniżej.

– Gerswalde! – zadudnił donośny głos dozorczy w korytarzu.

W tym samym momencie w mojej duszy z krzykiem rozdarły się wspomnienia z przeszłości. Wiem, co może oznaczać brak więźnia na porannym wyjściu. Albo jest obłożnie chory, albo... martwy.

Drugi z klawiszy, stojący obok dyżurki, szybkim krokiem wspinał się po schodach.

– Gerswalde, wyłaż z dziupli, bo nas opóźniasz!

Wszyscy więźniowie z bloku B spoglądali w stronę celi Ojczulka.

Dozorca wszedł do środka.

Nie wiem, ile to trwało, bo czas albo zwolnił swój bieg, albo zatrzymał się na dobre.

Po chwili w świetle drzwi pojawił się Ojczulek. Wkładał na siebie bluzę, a ja poczułem prawdziwą ulgę.

– Aleś nas nastraszył – powiedział Suchy, kiedy siedzieliśmy już przy stole.

– Kto by pomyślał, że jesteście tacy wrażliwi – zażartował księżulek, posyłając nam swój dobroduszny uśmiech. – Całą noc nie mogłem

zmrużyć oka. Nie byłem przygotowany na wrażenia, jakie mi wczoraj zaserwował nasz nowy naczelnik. Zmogło mnie dopiero o świcie i nawet nie usłyszałem, jak wałą w dzwon. Spałem jak dziecko. – Słuchając go, miałem wrażenie, że wczoraj przy tym stole siedział ktoś zupełnie inny.

– Czyli jak jest? – zapytałem. – Wszystko dobrze?

– Trzeba brać od życia to, co ci daje. Zawsze mogło być gorzej. – Z apetytem zjadał swoje śniadanie. – Wrócę w moje rodzinne strony, pojedę do Friedberg. Może tam znajdę w kimś oparcie? – W jego głosie czaiła się nadzieja.

– No widzisz, człowieku – wtrącił się Suchy – tak trzymaj! Grunt to właściwe

nastawienie. Wrócisz na niemiecką ziemię i doczekasz tam spokojnej, sędziwej starości.

– Masz pieniądze na podróż? – zapytałem.

– Naczelnik powiedział, że dostanę trzymiesięczne uposażenie. Ufam, że to powinno wystarczyć. – Poprawił dłonią oprawkę okularów. – Nie mam pojęcia, ile będzie kosztować taka wyprawa, ale jestem dobrej myśli. Jest dokładnie, jak mówisz – spojrzał na Suchego – skoro przez pół wieku dałem radę w więzieniu, to poradzę sobie też w normalnym świecie.

Nie wiem, skąd staruszek dostał tyle pozytywnej energii, ale wiem, że na pewno na nią zasłużył. Wiedziałem

też, że chcę mu pomóc.

Wiść o zwolnieniu Ojczulka błyskawicznie dotarła do wszystkich skazanych. Każdy, nawet większość strażników, gratulowała mu wyjścia. Lubili go tutaj. Miałem wrażenie, jakby nikt nie pamiętał, czego się dopuścił w przeszłości, jakby piętno więźnia skazanego za zabójstwo w jednej chwili odeszło w niepamięć. Chłopaki wydający posiłki na stołówce przez ostatnie dni serwowali mu solidne porcje jedzenia, a dozorczy przymykali oko na ich miły gest. Księżulo wyglądał, jakby odmłodził o kilka lat. To, co na początku wydawało mu się tragiczne, zamieniło się w gejzer tryskającej



radości. Staruszek naprawdę cieszył się z niespodzianki, którą zgotował mu los.

– Dobrze, że to twoje ostatnie śniadanie – powiedział Suchy w niedzielny poranek – bo jakbyś miał tutaj jeszcze siedzieć przez miesiąc, to nieźle spasłbyś się na tym więziennym wikcie.

– Będiesz jeszcze na spacerunku? – zapytałem znienacka.

– Myślę, że tak. Przyjdę się z wami pożegnać. Mam nadzieję, że nie odmówią mi takiej drobnostki. – Grymas na jego twarzy i blask bijący z oczu świadczyły o tym, że jest gotów na spotkanie z nowym życiem i że zabiera ze sobą tylko nieliczne

wspomnienia. Spoglądał na nas tak, jakby chciał zapamiętać nasze twarze do końca swych dni.

Stałem przy oknie i paliłem papierosa. Po drugiej stronie jawił się słoneczny, lipcowy poranek. Błękit nieba miał w sobie coś magicznego. Przez chwilę obserwowałem stado gołębi, jak szybowało ponad koronami drzew, które ciągnęły się rzędem za więziennym murem. Ich zielone liście były przesiąknięte czymś najbardziej soczystym w świecie.

Piękny dzień na wyjście – powiedziałem do siebie w myślach.

Sięgnąłem dłonią do kieszeni i oplotłem palcami zwinięte w rulon

banknoty. Połowę tego, co miałem, chciałem dać Ojczulkowi. Ta skromna wypiska zaoferowana przez naczelnika za te wszystkie lata spędzone w więzieniu mogła się okazać przysłowiową kroplą w morzu potrzeb. Po drugiej stronie istniał świat, który rządził się swoimi prawami, a pieniądze były kluczem do wszystkiego.

Spacerniak tętnił życiem. Siedziałem z Suchym tam, gdzie zawsze, i bezustannie zerkałem w stronę wejścia. Zegar na wieży kościelnej wybił godzinę dziesiątą.

– Czemu go jeszcze nie ma? – W moim głosie zabrzmiała melodia zniecierpliwienia.

– Spokojnie, człowieku – Suchy wyciągnął przed siebie nogi – formalności trochę trwają. Jeszcze tu przyjdzie.

– Czuję się tak, jakbym to ja miał wyjść – powiedziałem.

– Wiem, o czym mówisz, chłopie – westchnął. – Mam to samo. Kto by pomyślał, że spotka go coś takiego – wyciągnął w moim kierunku skrzynkę – zapalmy sobie na to konto.

Nie wiem dlaczego, ale nagle w moich wspomnieniach odżył ten dzień, kiedy zjawiłem się we Wronkach. A dokładnie ta chwila, kiedy usiadłem przy stole i spojrzałem po twarzach obcych mi ludzi.

– Ciekawe, co powiedziałyby na to

reszta chłopaków, których już nie ma na tym świecie. – Wypuściłem z płuc kłęby sinego dymu. – Wiesz, że Ojczulek był pierwszym więźniem, który się do mnie odezwał?

– Gratuluję niesamowitego wspomnienia. – W jego głosie usłyszałem znajomą drwinę.

Spojrzałem na twarz Suchego i pomyślałem, że jest bezdusznym, pozbawionym wrażliwości draniem. Draniem, którego nie sposób nie lubić. I miał jeszcze coś, czego mu poniekąd zazdrościłem. Potrafił zachować chłodny dystans do wszelkich emocji.

Myślę, że to był jego sposób na to, aby przetrwać w tym miejscu.

O wpół do jedenastej zacząłem czuć

prawdziwy niepokój. Żałowałem, że nie dałem Ojczulkowi tej forsy podczas śniadania. Pieniądze były ważne, ale nie chodziło tylko o ten cholerny szmal. Przecież nie mogło być tak, że odejdzie, i nawet sobie nie uściśniemy dłoni na pożegnanie.

Suchy leżał na wznak i nagle usłyszałem, jak zaczyna pochrapywać.

No nie! – warknąłem z oburzeniem w myślach. Nie rozumiałem, jak facet może w takiej chwili zapaść w drzemkę!

– Suchy! – Szturchnąłem go pięścią.

– Czego? – burknął, nie otwierając nawet oczu.

– Będziesz teraz spał? – zapytałem oburzony.

– A co niby mam innego do roboty? –

Usiadł i spojrzał mi w oczy. – Mam tak jak ty ślęczeć z wytrzeszczonymi gałkami i wypatrywać, jak staruszek w cywilnych ciuchach będzie dreptał w stronę spacerniaka?

– Naprawdę to wszystko tak po tobie ścieka? – odpowiedziałem pytaniem.

– Nie bądź baba – jęknął i sięgnął po fajkę. – Nie ma się co mazgać, księżulek daje nogę z pudła, a my zostajemy. Takie życie, nic nie poradzisz. Chcesz mu pomachać chusteczką na pożegnanie? – zarechotał niczym złośliwy gnom.

– Ech, szkoda słów. – Machnąłem ręką zirytowany jego obojętnością i zasadniczym podejściem.

– Cieszę się, że staruszek wychodzi.

Naprawdę. – Położył dłoń na wysokości serca, jakby składał uroczystą przysięgę. – Cieszę się. Poważnie. Tylko kochaniutki, nie dajmy się, kurwa mać, zwariować! Jak nadejdzie moja pora, to też będziesz skakał cały posrany?

No tak, któregoś dnia Suchy też odejdzie. Ta myśl nieprzyjemnie zapiekła gdzieś w duszy.

Dzwon uderzył trzykrotnie, obwieszczając kwadrans na jedenastą.

Dłonie miałem śliskie od potu. Potarłem nimi o nogawki spodni na udach.

Wtem zza rogu budynku wyłonił się w towarzystwie klawisza Ojczulek ubrany w cywilne łaszki. Niemal natychmiast rozległo się kilka gwizdów i nawoływań



ze strony więźniów. Oczy wszystkich powędrowały w tamtym kierunku. Staruszek kroczył, dźwigając w ręce mały worek jutowy.

Strażnicy przy wejściu otworzyli na oścież drucianą bramkę, a jeden z nich klepnął księżulka w ramię.

– No i doczekałeś się – rzucił Suchy pogodnym głosem.

Ojczulek zmierzał w naszym kierunku, a po drodze wielu skazańców wyciągało ku niemu dłonie i życzyło mu powodzenia.

– Gwiazdorzysz na całego – skwitował Suchy, kiedy staruszek znalazł się przy nas. – Ale masz wdzianko! – zachichotał. Mnie również

udzieliło się jego rozbawienie.

– Chciałem zatrzymać drelich – zażartował – ale nie pozwolili. Nie wiem, skąd wytrzasnęli te fatałaszkę. – Spojrzał po sobie.

Czarne spłowiełe spodnie miały zdecydowanie za długie nogawki, ale za to zielonkawa koszula, nieco poplamiona na piersi, była prawie jak ulał. Pod pachą trzymał przewieszoną kremową kurtkę, a w drugiej ręce miał szary worek. Potrząsnął nim i powiedział:

– Dostałem trochę prowiantu na drogę i plik papierów. – Ojczulek rozchylił otwór worka. W środku dostrzegłem beżową teczkę. – Trochę dokumentów – pstryknął palcami w tekturową okładkę

– które są obrazem mojego całego życia.  
– Położył wór i usiadł obok mnie. –  
Piękny dzień, prawda?

– No dla ciebie to chyba cudowny. –  
Suchy trzepnął go delikatnie dłonią w  
ramię.

– Bez wątpienia najlepszy w życiu. –  
Księżulek uśmiechnął się szeroko. –  
Wychodzę za bramę, jak dzwon uderzy  
na Anioł Pański.

Posłałem spojrzenie w stronę zegara.  
Została mu ponad godzina.

– Suchy, popilnuj tego majdanu –  
kiwnąłem głową na worek i kurtkę – a ja  
przejdę się z Ojczulkiem na ostatnią  
rundkę po spacerunku.

– Idźcie, idźcie – rzucił natychmiast –  
a ja w tym czasie coś przekąszę. –

Starym zwyczajem posłał księżulkowi oko i łypnął wzrokiem na szary worek.

Ruszyliśmy wolnym krokiem.

Z każdej strony dobiegały do naszych uszu słowa skazańców, których mijaliśmy po drodze.

– Powodzenia na wolności!

– Wychył tam kielicha za naszą pomyślność!

– A kto nas teraz będzie spowiadał?!

– Powodzenia, staruszkule!

Trudno było znaleźć moment, żebym mógł cokolwiek powiedzieć.

– Może jednak powinieneś zostać? – zażartowałem.

– Wolałbym nie – odparł wesołym głosem.

Sięgnąłem do kieszeni spodni.

Złapałem rulon banknotów, pochwyciłem oburącz jego dłoń i wetknąłem mu zwitek.

– Przyda ci się jakiś grosz na tak daleką drogę – powiedziałem.

Księżulek spojrzał na mnie i rzekł zdecydowanym głosem:

– Nie mogę tego wziąć. Obaj wiemy, że to upodlone pieniądze.

– Masz rację – nawet nie starałem się zaprzeczać – ale proszę cię weź je i spraw, by uczyniły coś dobrego. Nie musisz ich wydać na siebie, daj na ofiarę, pomóż potrzebującym, zrób, co chcesz. Tylko je weź. – Wyobrażam sobie, jak wzniośle musiały brzmieć moje słowa.

Staliśmy tak przez chwilę i ktoś

obserwujący nas z daleka mógłby dojść do wniosku, że trzymając jego dłoń w swoich, składam mu jakieś życzenia lub obietnice.

Poczułem, jak jego palce oplatają się wokół papierowej rolki.

– Dobrze. Zrobię z nich właściwy użytek – obiecał Ojczulek. Doznałem ulgi. Jednak było we mnie jeszcze trochę człowieka.

Ruszyliśmy dalej.

– Dobry z ciebie dzieciak – powiedział. – Wiesz o tym, że jakiś czas temu zbłądziłeś, prawda? Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Aż nadto – odparłem.

– Pilnuj się tutaj. Nie pozwól, żeby znów ktoś zmienił twoje życie za ciebie.

Chodź, coś ci pokażę. – Skierowaliśmy się w stronę ławek, gdzie tak często spowiadał innych skazańców. – Nic się nie martw, nie chcę usłyszeć twoich grzechów. Jeśli sam sobie wybaczysz i będziesz żałował, to Bóg też ci wybaczy. – Podeszliśmy bliżej. – Widzisz te trzy litery wyryte na oparciu? – Wskazał dłonią w ich kierunku.

– F, S, C – przeczytałem.

– Wiesz, co to znaczy? – Ojczulek patrzył na mnie, a ja nie miałem pojęcia, co to za skrót. – Fides, Spes, Caritas – wypowiedział trzy dziwnie brzmiące słowa. – To po łacinie. W twoim ojczystym języku te słowa znaczą: Wiara, Nadzieja, Miłość. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? – zapytał, ale

nie czekał, aż dojdę do jakichkolwiek wniosków. – Stefan, żyj tym, co mówią te słowa, miej w sobie wiarę, nadzieję i miłość. To stanowi o naszym człowieczeństwie. Jeśli nie będziesz miał w sobie tych wartości, będziesz nikim, a twoje życie na pewno nie będzie dobre. I jeszcze jedno – odezwał się po chwili. – Jakoś wcześniej nie było okazji, żeby normalnie pogadać, trochę się nie tak poukładało jak należy, zresztą sam wiesz, jak było. – Znowu na moment zawiesił głos. – Ta broń – szepnął – ten pistolet, który, mam nadzieję, odłożyłeś na to samo miejsce, skąd go wzięłeś – spojrzałem na niego szeroko rozwartymi oczami – w takim stanie jak teraz do niczego się nie zda.



Chyba jej nie sprawdziłeś, bo ma pusty magazynek. Zamilkliśmy na moment, bo nagle jak spod ziemi pojawiło się dwóch skazańców, którzy zaczęli Ojczulkowi winszować wyjścia i radośnie poklepywali staruszka po plecach.

– Wyjąłem kule. Naprawdę – zapewnił mnie, kiedy tamci dwaj ruszyli w swoją stronę. – Zrobiłem to, bo ta zabójcza rzecz mogła przynieść tylko tragedię, nic więcej. Bez tego – sięgnął do kieszeni, po czym złapał mnie za rękę i poczułem na dłoni garść pocisków – to tylko kawałek nieprzydatnego złomu o paskudnym kształcie. Zrób, jak uważasz, albo to wyrzuć, albo załaduj. Decyzja należy do ciebie. I nie pytaj mnie o

historię tej broni – natychmiast dodał: – bo nie ma o czym mówić. Mam tu w sercu – wskazał dłonią na swoją pierś – kilka takich wspomnień, jakich wolałbym nie mieć. Wiesz, o czym mówię, prawda? Każdy z nas nosi w sobie opowieści, które ranią jak ciernie.

Nic nie odpowiedziałem. Pokiwałem tylko głową, a w duchu przyznałem mu rację. Łuski nafaszerowane prochem i ołowiem włożyłem do kieszeni spodni.

– Co, już żeście się nagadali? – powiedział do nas Suchy, kiedy zasiedliśmy obok niego. – Wyznaczyłeś mu dalszą drogę życia? – Spojrzał na Ojczulka, mrużąc oczy.

– Tak, Suchy, Ropuszka można jeszcze uratować. – Zerknął na mnie, uśmiechnął

się pełną gębą, a w oczach miał ogniki, które jakby szeptały: „tak, koleżko, wiem, że nie przepadasz za tym, jak nazywają cię Ropuszek”. – Za to ty jesteś niereformowalny, więc jakakolwiek próba ratowania twojej duszy nie ma szans na powodzenie.

– I tu się z tobą zgadzam, staruszkę – cisnął Suchy, pokazując nam w szerokim uśmiechu dwa rzędy pożółkłych zębów.

Siedzieliśmy we trójkę na stopniach placu apelowego, ja i Suchy w więziennych drelichach, obok nas Ojczulek w ubraniu, które ni jak mi nie pasowało do jego osoby. Wspominaliśmy przeżyte wspólnie wesołe chwile. Mówiliśmy o tych, którzy przemknęli przez nasze życie, i

choć nie było już ich na tym świecie, wciąż żyli w naszej pamięci.

Kiedy zegar na wieży kościelnej zaczął wybijać południe, powiedziałem:

– Już czas na ciebie, Ojczulku. Pora byś ruszył w drogę.

Staruszek podniósł się z miejsca. Podał mi ręką, a ja wzruszony objąłem go mocno swoimi ramionami i ścisnąłem serdecznie prawie z całych sił.

– Bywaj, przyjacielu, pomódl się tam czasami za moją duszę – pożegnałem się z Ojczulkiem.

– Bywaj, Stefan, trzymaj się tego, co ci mówiłem, a będziesz dumny ze swojego życia.

Ojczulek obrócił się w stronę Suchego.

– Dotrwaj bezpiecznie do końca kary, miej czasami oko na tego młodzika. – Kiwnął kciukiem, wskazując na mnie.

Nie można powiedzieć, że Suchy i Ojczulek byli serdecznymi kumplami. Lubili się, chociaż czasami różnie między nimi bywało. Spodobało mi się jednak, kiedy Suchy złapał go w ramiona, przycisnął do klaty i poklepał dłonią po plecach.

– Uważaj na siebie, Eryku von Gerswalde, i pozdrów ode mnie świat po drugiej stronie murów. I powiedz mu, żeby powoli szykował się na moje przybycie.

Księżulek posłał mu uśmiech, obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku wyjścia.

Szedł wolnym krokiem, od czasu do czasu machnął ręką do któregoś z żegnających go więźniów. Dozorcy przepuścili go przez bramkę, każdy ze strażników uścisnął mu dłoń, a jeden z nich według wytycznych regulaminu eskortował go w stronę więziennego dziedzińca. Ojczulek ani razu nie obrócił głowy w tył. Ani razu nie zerknął w stronę spacernika. Nie posłał nam ostatniego spojrzenia. Szedł razem z klawiszem wzdłuż siatki. Więźniowie krzyczeli w jego stronę słowa pożegnania, a on jedynie za każdym razem podnosił rękę i kiwał nieznacznie dłonią na znak odpowiedzi. Po chwili obaj mężczyźni zniknęli za rogiem.

Był dwudziesty piąty lipca.

Dzień świętego Krzysztofa, patrona podróżnych.

Stary pielgrzym ruszał w drogę.

Nie miałem tego luksusu jak kiedyś, żeby swobodnie dostać się do belki pod sufitem. Następnego dnia osiem morderczych pocisków zawiąłem w szmatę i ukryłem w podwójnym dnie skrzynki narzędziowej.

Przez kilka kolejnych tygodni pokłosie walki z politycznymi przeciwnikami sanacji zamieniło wroniecki zakład karny w spichlerz aresztantów. Sytuacja zaczęła przerastać możliwości więzienia. Cele, które w boku D przeznaczono na tę okoliczność,

zamieniły się z pojedynczych w podwójne. Dozorcy plotkowali, a do naszych uszu docierały informacje, że zaczyna się robić ciasno. Władze wielu więzień na terenie kraju borykały się z tym samym problemem. Najgorsze ponoć było to, że skarb państwa nie miał pieniędzy, które mogłyby pomóc w utrzymaniu placówek.

Pewnego dnia usłyszałem, jak Robalski rozmawiał z Frantzem.

– Zalewski powiedział, że tutaj nie jest sanatorium i od przyszłego tygodnia pędzimy całą hołotę do roboty. Najlepsi fachowcy do warsztatów, a reszta w pole i do chlewni.

I tak też się stało.

Dzięki kontaktom innych więźniów z



aresztantami zyskaliśmy pojęcie, co się właściwie dzieje w Polsce.

– I widzisz teraz, jak to jest, kiedy ma się bałagan w głowie – powiedział Suchy podczas obiadu i spojrzał na Piotrusia Jakałę. – Myśleliście, że po drugiej stronie czeka was jakaś wielka rewolucja, spodziewaliście się eksplozji, a to było tylko zwykłe pierdnięcie. – Miał na myśli nastawienie tych, którzy zdecydowali się w maju na ucieczkę. – Plotki, ploteczki, banialuki. Dałeś się omamić durnymi hasłami i popatrz, jak skończyłeś. – Usta wykrzywił mu kwaśny grymas. – Napakowałeś sobie bzdur do łba, mogłeś być kimś, mogłeś mieć udane

życie, a skończyłeś w pierdłu i straciłeś pół twarzy.

– Suchy, miej litość, człowieku, daj mu spokój – wziąłem w obronę mojego rówieśnika.

– Maaa-aaa-sz      raa-aaa-cję      – potwierdził jego słowa Biegański.

– Wiem, że mam – skwitował Suchy.  
– A ty masz teraz mnóstwo czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć i dojść do jakichś sensownych wniosków. Oczywiście życzę ci, żeby były one jak najbardziej właściwe. Ludzie są niesamowicie głupi i naiwni, oczywiście nie mam was na myśli – zarzekł się natychmiast, unosząc dłonie w taki sposób, jakby chciał odepchnąć od nas to stwierdzenie. – Popatrzcie, źle

się dzieje i co robi władza? – Spojrzał na nas pytającym wzrokiem. – Daje motłochowi rozrywkę. Igrzyska. Po co mówić o kolejnych porażkach upadających rządowych gabinetów i braku pomysłu na uzdrowienie chorego kraju? Po co o tym głośno gadać? Lepiej ciskać informacjami, że na stadionach padają rekordy Polski w jakichś durnych biegach, a nasza lekka atletyka jest na światowym poziomie. Tak to się właśnie robi, panowie, tak się mydli oczy ciemnym masom. Powiem wam jedno, człowiek musi sam zadbać o siebie i swoje interesy. Koniec, kropka. Ideałami to można zabić czas przy kuflu piwa. Taka jest prawda. A jeśli ktoś chce się karmić pierdołami, to na pewno

będzie chodził głodny.

Suchy miał swoje przekonania i nic nie było w stanie zmienić jego nastawienia do życia. Chcąc nie chcąc, w duchu przyznałem mu rację.

Upalne lato chyliło się ku końcowi, a cały świat tonął w strugach ulewnego deszczu. Niemal każdego dnia szalały porywiste burze, a grzmoty błyskawic pruły przestrzeń ponad naszymi głowami. Mało kto mówił o pogodowych anomaliach i zawirowaniach klimatu, wygodniej było twierdzić, że ludzie rozgniewali Boga.

Było kilka takich nocy, kiedy myślałem, że pioruny rozniosą te mury w drobny pył. Wydawało się, że bezlitosne ogniste gromy rozerwą połączenie

ciemnego nieba. Ich jasnobłękitny blask potrafił bez trudu oślepić człowieka na kilka sekund. Moc, jaka czała się w tych przerażających błyskach, zamieniała cełę w pomieszczenie o ścianach tak białych, jakby ich toń była zmieszana z trupim chłodem.

To właśnie w jeden z tych deszczowych dni przybył skazaniec, a właściwie dwóch skazańców, którym w ewidencji osadzonych przydzielono ten sam numer, 10-08. Trafili tutaj w związku z reorganizacją systemu polskiego więziennictwa. Wcześniej byli osadzeni w Więzieniu Ciężkim na Świętym Krzyżu. Kiedy dotarli do Wronek, od razu znaleźli się na oddziale izolacyjnym.

Pewnie zaraz uśmiechniecie się pod nosem... ale tak sobie myślę, że te grzmiące dni to był wyraźny znak. Znak od Boga. To było ostrzeżenie dla wszystkich, bez wyjątku, że oto w mury wronieckiego więzienia przybywa coś bardzo złego.

Pierwszy więzień z numerem 10-08 był zamknięty na izolacyjnym prawie przez trzy miesiące i opuścił samotną celę tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Od tego czasu został współbiesiadnikiem przy naszym stole. Drugi zaś dołączył do nas kilka tygodni później. Opowieść o nich jest tak pogmatwana, że nawet dzisiaj nie wiem, gdzie leży prawda. Najważniejszy jednak jest finał tej historii, której

mroczną tajemnicę skrywałem w sercu przez długie lata. Dopiero pisząc ten pamiętnik, zdecydowałem się ją wyjawić.

Chociaż może, zanim powrócę wspomnieniami do więzienia 10-08, najpierw opowiem wam o tym, jak na drodze mojego życia pojawił się profesor Albert Czarnecki. Muszę o nim wspomnieć, ponieważ był to niezwykle człowiek o nieprzeciętnym umyśle i wszechstronnej wiedzy. Człowiek, który nie popełnił nawet najmniejszego wykroczenia, a mimo to został brutalnie okaleczony przez system, który był żądny władzy.

Kiedy Zalewski błyskawicznie

wcielił w życie plan pracy dla czasowo zatrzymanych, bo tak formalnie określano aresztantów, zmieniła się również szara codzienność więźniów. Skończyły się osobne posiłki, a stołówka przypominała zorganizowany bal przebierańców. Ludzi bez szarych więziennych drelichów nazywaliśmy cywilami. Nie wszystkim z nich było w smak spędzać czas razem z prawdziwymi więźniami i czasami dało się słyszeć jakieś głosy protestu. Z drugiej strony, taka sytuacja obrażała niektórych skazanych i były przypadki, że cywil dostał po pysku za głupie gadanie.

Samo życie.

Pewnego wrześniowego dnia



wróciłem po obiedzie do celi i przeżyłem szok. Na mojej pryczy siedział starszy mężczyzna w ciemnym garniturze i kremowej koszuli. Stałem w drzwiach jak wryty.

– Na jakiś czas dostałeś współlokatora – powiedział do mnie dozorca Robalski.

– To... – chciałem zapytać o wiele istotnych spraw, ale klawisz zatrzęsął drzwi.

Byłem kompletnie zbity z tropu.

Na stole leżały dwa koce i poduszka.

Mężczyzna wpatrywał się tępym wzrokiem w ścianę. Jeszcze raz go zlustrowałem. Czarne, wypastowane buty lśniły eleganckim blaskiem, spodnie wyprasowane w kancik,

dwurzędowa marynarka, kamizelka zapięta na ostatni guzik, wykrochmalona koszula, muszka pod szyją i koronkowa chusteczka włożona do brustaszy marynarki. Twarz nie zdradzała niczego szczególnego. Spora łysina, szpakowate włosy zaczesane do tyłu. Tylko krótka szczecina zarostu na policzkach zupełnie nie pasowała do reszty jego wizerunku. Jak na moje oko, facet miał sześćdziesiąt parę lat.

Podszedłem bliżej.

— Stanisław Żabikowski — przedstawiłem się i wyciągnąłem w jego kierunku dłoń na powitanie.

Mężczyzna tylko spojrzał na mnie wystraszonym wzrokiem.

Wstał z łóżka i usiadł na taborecie

przy stole. Nie odezwał się ani słowem.

Położyłem się na łóżku i przyglądałem się mu z zaciekawieniem.

– Będziemy tak milczeć? – zapytałem.

Siedział bez ruchu i nawet nie zerknął w moją stronę.

Trwał niczym posąg do chwili, aż odezwał się gong na sterowni obwieszczający wyjście na kolację. Kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem, powiedziałem:

– Wychodzimy, obserwuj uważnie i rób to samo co inni.

Mój współlokator nadal milczał. Omiotłem dookoła wzrokiem i stwierdziłem, że nie tylko ja jeden zyskałem towarzystwo. Przy wielu celach zobaczyłem więźniów w

towarzystwie cywilów.

Kiedy znaleźliśmy się na stołówce, stał w kolejce tuż za mną. Od czasu do czasu padała jakaś uwaga na jego temat.

– O kurde, ale elegancik.

– Hej chłopie, wybierasz się na jakiś raut?

– Niezły garniturek.

Mężczyzna nie reagował na zaczepki. Wziął swój posiłek z okienka wydawki i podązał za mną. Kiedy usiadł przy krawędzi stołu, Suchy syknął w jego kierunku:

– Spierdalaj stąd!

– Przestań! – warknąłem. – On jest ze mną. Siedź! – Wskazałem mu palcem miejsce, kiedy chciał się podnieść.

– Jak to z tobą? – zapytał z niedowierzaniem.

– Przydzielili mi go do celi, ale nie wiem, o co chodzi, bo on nic nie mówi – odparłem.

– Coś za jeden? – rzucił w jego kierunku Suchy i spoglądał na niego przez dobrą minutę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Może to jakaś niemowa?

Wzruszyłem ramionami i zabrałem się do kolacji.

Nasz nowy współbiesiadnik nie odezwał się ani słowem.

Wróciliśmy do celi. Miałem nadzieję, że w końcu o czymś pogadamy, ale on usiadł na taborecie i nadal milczał jak zakłęty.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, odpiął muszkę, zdjął marynarkę i kamizelkę, rozłożył jeden koc na podłodze i ściągnął buty. Położył się na prawym boku, wsparł głowę o poduszkę i nakrył się drugim kocem.

Chyba jakiś dziwak – przemknęło mi przez myśl.

– No jak tam chcesz, możemy się nie odzywać – skwitowałem i obróciłem się do ściany.

Leżałem jakiś czas bez ruchu, błędząc myślami gdzieś daleko stąd.

W pewnym momencie usłyszałem cichy szloch.

Nadstawiłem uszu.

Płakał.

– Nic się nie martw, będzie dobrze –

szepnąłem w ciemność.

Nadal milczał.

Przez dwa kolejne dni mój współtowarzysz nie wypowiedział ani jednego słowa i wylewał łzy każdej nocy. Przyznam się, że trochę mnie to drażniło, ale wolałem trwać z nim w milczeniu, niż szukać konfliktu.

Drzwi do stolarni z hukiem otworzyły się na oścież. Do środka wpadło światło dnia, podmuchy świeżego powietrza oraz aspirant Szumski.

Zrobił dwa kroki, zatrzymał się i kiwnął palcem, przywołując mnie do siebie.

– No jak tam, Żabikowski?

Co słychać? Jak tam twój nowy towarzysz? – zapytał, patrząc mi w oczy.

– Milczy, panie aspirancie, nic się nie odzywa – odparłem zgodnie z prawdą.

– Może mu za bardzo dokuczasz? – W jego głosie czaiła się jak zawsze obsesyjna podejrzliwość, ale na szczęście nie czekał na moją odpowiedź. – Tak, Żabikowski, jedni odchodzą, inni przychodzą, a ty wciąż na posterunku. – To coś, co pojawiło się na jego ustach, przypominało karykaturę uśmiechu. – Twój dawny kumpel Gerswalde chyba się wypiął na ciebie, co? Żadnych paczek, listów, pocztówek. Kompletnie nic. – Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. Zaciągnął się głęboko dymem i dmuchnął mi prosto



w twarz. – Parszywe to twoje życie, Żabikowski, chyba nikt cię nie lubi – westchnął. – Ja zresztą też. Wiesz – położył mi dłoń na ramieniu – czasami jak myślę o przeszłości, to kilka spraw spędza mi sen z powiek. Czarny, Hrabia, Prezes... – Zatrzymał się w pół zdania, szukając odpowiednich słów. – Oni nagle pstryk – strzelił palcami – zniknęli z twojego życia, jakby ich wcale nie było. Odeszli niespodziewanie, a wraz z nimi mnóstwo spraw, które mogły przerodzić się w spore problemy. Cwaniak jesteś, Żabikowski, cwaniak jak jasna cholera! – Poczujęm, jak zacisnął palce na moim barku. – Lawirowałeś, knułeś, mataczyłeś i jakoś się wyślizgałeś z tego szamba. –

Szumski pochylił się nieco w moją stronę i szepnął: – Myślisz, że nie wiem, co działo się z Duszańskim przez ostatnie pół roku jego odsiadki? – Poruszał biodrami w sposób imitujący seksualną czynność. – Poskładałem do kupy wszystkie fakty, ale ten kretyń Mikrut zrobił coś nieprzewidywalnego i dzięki temu uszło ci na sucho. – Postukał się palcem wskazującym w skroń. – Ja myślę, Żabikowski, myślę o tym i ciągle pamiętam. Nie miałem czasu zająć się tobą, bo banda debili postanowiła opuścić gościnne mury więzienia. No i udało im się uciec. Tyle że zamiast za bramę, dotarli prosto na tamten świat – prychnął z pogardą. – Teraz mamy tutaj zamieszanie z

aresztantami, ale jeszcze trochę i sytuacja się wyklaruje, a wtedy... – Znowu zawiesił głos. – Wtedy wspólnie popracujemy nad naszymi stosunkami. – Jego słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie. Poczuję, że moje nogi robią się wiotkie w kolanach. – Na szczęście nigdzie się nie wybierasz i mamy dużo czasu.

Szumski obudził w moich wspomnieniach przeszłość, która jakiś czas temu zapadła w twardy sen.

Człowiek, który dzielił ze mną małą celę, pierwsze swoje słowa wypowiedział późnym sobotnim popołudniem.

Stałem w oknie i rozkoszowałem się

smakiem tytoniu, kiedy nagle do moich uszu dotarło:

– Bardzo dużo palisz, młody człowieku.

Obróciłem się w kierunku mojego rozmówcy.

– O, potrafisz mówić – odpowiedziałem, starając się, aby zabrzmiało to żartobliwie. – Fajki – spojrzałem na tłącego się papierosa – to moja jedyna słabość – westchnąłem. – Jak się nazywasz? – zmieniłem temat. Trochę głupio się czułem, zwracając się do niego na ty. Mógł być moim ojcem, a kto wie może nawet i dziadkiem. Poza tym patrząc na jego ubiór, na jego gładkie dłonie i sposób, w jaki się zachowywał, przypuszczałem, że nie

należał do najniższej klasy społecznej.

– Albert Czarnecki – przedstawił się i wyciągnął dłoń.

– Miło mi – odwzajemniłem uścisk. – Stanisław Żabikowski – po raz drugi powtórzyłem mu swoje imię i nazwisko – nazywają mnie też Ropuch i nie robi mi żadnej różnicy, jak się inni do mnie zwracają.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę i zapytał:

– Za co zostałeś skazany?

– Nie chcesz wiedzieć – odparłem. – Cięży na mnie wyrok dożywocia. – Dostrzegłem w jego oczach lekkie przerażenie, kiedy wypowiedziałem te słowa. – To jest więzienie i każdy, kto ma na sobie szary mundurek –

machnąłem połą mojej bluzy – trafił tu za grzechy, których się dopuścił. A ty? Dlaczego się tutaj znalazłeś?

Czarnecki odwrócił wzrok i przez moment wpatrywał się w podłogę.

– Nie wiem – odparł. – To jakiś absurd. Nie powinno mnie tutaj być – powiedział łamiącym się głosem. – W poniedziałek, pięć dni temu, zjawilo się w moim domu dwóch umundurowanych policjantów i dwóch pracowników polskiego kontrwywiadu z rozkazem, żeby mnie zatrzymać. Pokazali mi swoje legitymacje, ale nie udzielili żadnych wyjaśnień. Na początku myślałem, że to jakieś nieporozumienie. Musiałem się z nimi udać na komisariat policji. Tam w dość lakoniczny sposób powiedziano

mi, że zostałem uznany za osobę sympatyzującą z nielegalnymi organizacjami komunistycznymi. To idiotyczne, że oskarżono mnie o coś głupiego na podstawie jakiegoś prasowego artykułu, który został powielony, a później wydrukowany...

– Zaraz, zaraz – wpadłem mu w zdanie. – Jakiego artykułu?

– Jestem profesorem ekonomii i wykładam na Wydziale Prawno-Ekonomicznym w Poznaniu. Całe swoje życie zajmowałem się problemami gospodarczo-ekonomicznymi, jestem analitykiem. Napisałem na ten temat kilka naukowych opracowań, dwie książki i z setkę prasowych artykułów. Jeden z nich został przedrukowany

na łamach podziemnej prasy.

– Nie bardzo rozumiem – rzekłem. – Chcesz mi powiedzieć, że coś napisałeś, ktoś to wydrukował i dlatego się tutaj znalazłeś?

– Ja też tego nie rozumiem. – Pokiwał głową i wbił wzrok w podłogę.

– Co napisałeś, że zrobili z ciebie aresztanta? – dociekałem.

– Ekonomia, gospodarka i polityka – zaczął mówić – to trzy dziedziny życia, które są od siebie uzależnione. Tworzą całość. To mechanizm działający na trzech poziomach i jeśli porównać go do urządzenia, które jest skonstruowane z zębatych kół, to chodzi o to, żeby wszystkie tryby do siebie pasowały. – Chyba na chłopski rozum



starał mi się wyjaśnić istotę sprawy. – Politycy otaczają się ekspertami z dziedziny gospodarki, ekonomii, bankowości... Ważne jest, żeby właśnie ci ludzie byli w miarę jednomyślni w swoich poczynaniach. To do nich należy budowa odpowiedniej struktury rynku i gospodarczego rozwoju, a co za tym idzie, osiągnięcia zadowalającej sytuacji ekonomicznej. Złe decyzje powodują zapaść i kryzys. – Zerknął na mnie i chyba dostrzegł po mojej minie, że mówi o rzeczach, o których nie mam pojęcia.

Uważam, że Czarnecki na pewno był świetnym wykładowcą, ale problem w tym, że jego słuchacze musieli mieć podstawową wiedzę z dziedziny, w

której się specjalizował. Ja byłem w tym temacie kompletnie zielony. Na nic się zdały jego szczegółowe wyjaśnienia, dla mnie była to magia. Używał pojęć, które brzmiały jak zagadka egipskich hieroglifów. On mówił, a ja słuchałem. Myślę, że potrzebował się wygadać. Wiecie, taka terapia, gdzie lekarski gabinet zastępuje więzienna cela.

– To samo tyczy się strategii opracowywanej na najwyższych szczeblach władzy państwowej – ciągnął. – Kiedy w maju piłsudczycy dokonali politycznego przewrotu, sytuacja gospodarczo-ekonomiczna kraju wpadła w spiralę chaosu. Wszystko, co wcześniej stworzono, runęło niczym lichy domek z kart. Kolejne gabinety,

które powoływano w Belwederze, nawet nie miały szansy na rozpoczęcie pracy. W pierwszej połowie sierpnia napisałem artykuł o tym, jaki wpływ ma rządowa ruletka na sytuację w kraju i na życie przeciętnego Polaka. Krytycznym piórem potraktowałem gospodarność wcześniejszych elit rządowych, które przez kilka lat nie skonstruowały niczego wartościowego. Tak samo odniosłem się również do terażniejszości. Zawsze przez całe moje życie byłem apolityczny. Nigdy nie utożsamiałem się z żadną partią lub ideologią. Interesowały mnie jedynie mechanizmy z zakresu ekonomii i gospodarki. I napisałem ten nieszczęsny artykuł, podpisując go oczywiście

swoim imieniem i nazwiskiem. Nigdy nie ukrywałem się za woalem anonimowości i nie używałem pseudonimów. Zawsze brałem pełną odpowiedzialność za swoje słowa i nieważne, czy wypowiadałem się na publicznym forum podczas naukowych sympozjów czy na łamach gazet. Tekst, który został opublikowany w prasie, pojawił się również bez mojej zgody w jakiejś komunistycznej broszurze. Po prostu ktoś go powielił i wydrukował na stronach nielegalnego pisma. To okazało się dla mnie zgubne. Nic nie pomogły moje wyjaśnienia na posterunku policji. Śledczy spisali zeznania i oficer zajmujący się tą sprawą stwierdził, że zostanę

zatrzymany aż do wyjaśnienia wszelkich wątpliwości, ponieważ ciąży na mnie podejrzenie o przynależność do jakiejś komunistycznej organizacji. – Zamilkł. Wziął kilka głębokich oddechów i powiedział: – Nie spodziewałem się tak idiotycznego zarzutu. W głowie mi się nie mieści, jak to możliwe, żeby za taki banał trafić do takiego miejsca jak to. – Zrezygnowany pokręcił głową.

– Nic się nie martw – starałem się go pocieszyć. – Sprawa się szybko wyjaśni i wrócisz do domu.

– To nie chodzi tylko o to, młody człowieku, kiedy wrócę do domu. Pomyśl – obrócił się w moim kierunku, a jego głos nagle się ożywił – jakże bezkarnie może się panoszyć władza.

Wystarczy cień podejrzenia i można zniszczyć człowieka, jego dobre imię, dorobek, psychikę, karierę. – Wiem, co miał na myśli Czarnecki, ale mój umysł funkcjonował w innej przestrzeni. Jego słowa bezpośrednio odniosłem do własnego życia w tym miejscu, życia ludzi wewnątrz więziennych murów.

Do Alberta Czarneckiego przylgnęła ksywa „Profesor”. Zresztą taki miał tytuł naukowy.

– Przynajmniej dzięki temu czujesz się tak jak w domu – powiedział Suchy, kiedy rozwodził się nad istotą jego ksywki. – Ale jednego to ci zazdroszczę – stwierdził. – Wiele bym dał za to, żeby poruszać się po tym pierdłu w dobrze

skrojonym garniaku i błyszczących lakierkach. – Nieźle nas rozbawił swoim powodem do zazdrości. – Przydałby się jeszcze szykowny sygnet na paluchu – zawachlował palcami – i cygaro, a na słoneczne dni jakiś elegancki kapelusz.

– Kiedyś to był ładny garnitur – odparł Profesor. – Dzisiaj – spojrzał po sobie – dzisiaj to już tylko brudny, wyświechtany łach.

Z pewnością ubranie nie nadawało się do pracy w polu, gdzie skierowano Profesora, i po kilku dniach wiele straciło z dawnego szyku. Powiem wam, że to była trochę dziwna sprawa. Naczelnik Zalewski doskonale wiedział, z kim ma do czynienia, i wcale nie

uszanował rangi zawodu i wykształcenia Czarneckiego. Myślę, że z czystej złośliwości oraz z próżnej chęci zmanifestowania potęgi urzędu i piastowanego stanowiska chciał mu po prostu pokazać, że tutaj nie ma podziału na chamów i intelektualistów. W więzieniu wszyscy osadzeni są równi.

Czarnecki co kilka dni był przesłuchiwany przez tych samych śledczych, którzy ponoć bezustannie rozwijali nowe wątki. Z jego opowieści wynikało, że przedstawiciele władzy na siłę szukali jakiegoś motywu, który połączyłby jego osobę z niewygodnymi dla państwa organizacjami. Nie wiem dlaczego, ale przyjąłem, że sprawa miała się tak, jak twierdził Profesor.



Wierzyłem mu na słowo, bo miał w sobie coś takiego, że wzbudzał zaufanie. Poza tym widziałem, że więzienie przytłacza go jak nikogo innego. Zupełnie nie potrafił się tutaj odnaleźć. Ten świat go przerażał i niszczył.

Od tego dnia, kiedy zaczęliśmy rozmawiać, Czarnecki przyłgnął do mnie jak mucha do lepu, a ja czułem się tak, jakbym roztaczał nad nim swoją opiekę. Było kilka jakichś durnych sytuacji, że komuś się coś nie podobało w jego osobie, wiecie, ot tak, dla hecy jeden z drugim szukali zaczepki. Nie rzucałem się zaraz z pięściami i nie zasłaniałem go własną pierśią, ale reagowałem we właściwy sposób i nie pozwalałem, żeby mu dokuczano. Po prostu byłem

mu życzliwy.

W związku z tym, że spędzaliśmy ze sobą sporo czasu, dużo się o nim dowiedziałem. Był gadatliwy i potrafił bardzo interesująco opowiadać. Mówił o swojej żonie, która miała na imię Anna, i o swojej dorosłej córce Ligii, która poszła w jego ślady i zajęła się naukami społecznymi. Wspominał przeróżne historyjki z ich wspólnego życia, opowiadał o zagranicznych podróżach, o miejscach, które widzieli, o wspaniałych alpejskich kurortach i piaszczystych plażach nad Adriatykiem, o egzotycznych potrawach i trunkach, które zmysłowo łaskotały jego podniebienie. Chłonałem te magiczne opowieści jak dziecko. Poznawałem nie

tylko jego życie, ale także jego obserwacje, przeżycia i rozległą wiedzę. Nie, nie uczył mnie podstaw ekonomii, nie o to chodzi. Profesor swoimi słowami ukazał mi świat, którego nigdy nie miałem okazji zobaczyć, ale dzięki niemu czułem się tak, jakbym był w tych wszystkich wspaniałych miejscach. Za sprawą jego słów wędrowałem ulicami Paryża, zwiedzałem zabytki Luwru i spacerowałem po Polach Elizejskich. Płynąłem gondolą, kołysząc się na falach weneckich kanałów i podziwiałem kochanków stojących na Moście Westchnień. Ruiny Akropolu miałem na wyciągnięcie ręki, spoglądałem na arenę rzymskiego Koloseum, a w

moich uszach rozbrzmiewał ryk tłumu  
żądneho krwi walecznych gladiatorów.  
Widziałem oczami wyobraźni krętą  
ścieżkę wiodącą wprost pod bramę  
bajkowego zamku w Neuschwanstein.  
Chwilę potem rozkoszowałem się  
goryczką bawarskiego piwa i smakiem  
chrupiącej skórki z golonki. Każda  
podróż z nim była nie tylko geograficzną  
i kulinarną wyprawą, ale także  
poznawaniem historii, kultury i  
mentalności innych narodów.

Kochałem te opowieści.

Słuchając Profesora, zdałem sobie  
sprawę, że moje życie, że wszystko,  
czego mogłem doświadczyć, dawno  
temu wyslizgnęło mi się z rąk i

bezpowrotnie umknęło. Nie miałem żadnych złudzeń. Nawet jeśli los potraktuje mnie jak Ojczulka i wypchną mnie za bramę, to co wtedy zrobię? Ruszę na podbój świata? Z jedną koszulą na grzbiecie, z workiem jutowym w dłoni, z porcją suchego prowiantu i paroma groszami na życie? Zdziadziały i niedołączny mam się odnaleźć w nierealnej dla mnie rzeczywistości? Bzdura.

To właśnie o tym mówił Ojczulek. Zacząłem dopiero teraz rozumieć jego słowa i zazdrościć mu, że miał dokąd wrócić.

Nie wątpię w to, że pięknie jest marzyć i mieć nadzieję. Te uczucia na pewno są cudowne i chyba potrafią

wspaniale motywować. Mieć wiarę w przyszłość to jest coś! Ale skąd czerpać wiarę, skoro nie ma przyszłości?

Czymże ja mogłem się zrewanżować Profesorowi? Jedyne opowieściami o więziennym życiu, o tym, jak człowiek funkcjonuje w miejscu, które jest odizolowane od reszty świata. Mogłem mu powiedzieć, czego należy się tutaj wystrzegać i o co zadbać. To, co dla mnie od kilku lat było szarą codziennością, dla niego brzmiało jak ponure historie z krainy mroku. Miałem wrażenie, a on pewnie też, że pochodzimy z dwóch odległych zakątków wszechświata. Byłem jednak bardzo dumny z tego, że mogłem się

pochwalić, iż właśnie tutaj, w tym parszywym miejscu, nauczyłem się pisać i czytać. Powiedział wtedy jedno słowo:

– Imponujące! – I spojrzał na mnie wzrokiem, który miał w sobie bezkresny ocean uznania.

W pierwszą niedzielę października, tuż przed południem, od strony bramki wyjściowej ze spacerniaka rozległo się donośne nawoływanie klawisza:

– Czarnecki, odwiedziny! Czarnecki!

Profesor poderwał się na równe nogi i prawie krzyknął do mnie podekscytowanym głosem:

– Co mam robić? Dokąd iść? Mam odwiedziny! – Na jego skroniach pojawiły się krople potu. –

Słyszeliście?! Mam odwiedziny!

– Idź do wyjścia – odparłem opanowanym głosem i kiwnąłem głową, wskazując mu kierunek.

– Tylko spokojnie, Profesorku – rzucił Suchy. Wątpię, żeby Czarnecki usłyszał te słowa, bo prawie pognał w tamtą stronę. – Nerwowy – zachichotał Suchy.

– Patrz, jak śmiesznie przebiera kopytkami.

– Gdybyś był na jego miejscu, też byś tak zasuwał – skwitowałem.

– No dobrze, a teraz zacznij się nad nim rozczulać. – Przewrócił ostentacyjnie oczami i pokręcił głową. – Opowiedz, jaki jest fajny i jakiego ma pecha, że go zapuszkowali.

– A żebyś wiedział, że tak właśnie



jest – warknąłem. Czasami dobijała mnie ta jego cholerna nonszalancja i kpina. – Temu człowiekowi zrobiono krzywdę, nie powinno go tutaj być.

– Bo ty wiesz, kto powinien siedzieć, a kto nie – powiedział tak, jakby to on był szefem od wszelkich kompetencji.

– A żebyś wiedział, że wiem – odparłem i parsknąłem ustami. – Wszyscy, co mają szare wdzianka, znajdują się we właściwym miejscu, a każdy cywil, którego masz w zasięgu wzroku, raczej nie powinien się tutaj zjawić.

– Piotruś, a ty co o tym sądzisz? – rzucił Suchy w stronę naszego kompana. – Tylko nie dukaj, błagam cię! Skrobnij rysikiem po papierku.

Biegański spojrział na niego i machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że ma gdzieś to puste gadanie.

Przez dłuższą chwilę spoglądałem na ludzi kręcących się po spacerniaku.

– Nie macie wrażenia, że cywilów jest jakby trochę mniej? – zapytałem.

Kątem oka dostrzegłem, jak Piotruś Jąkała sięga do kieszeni bluzy po kartkę i ołówek.

– Czy ja wiem – odparł Suchy. – Kto by ich tam zliczył. – Jego słowa zabrzmiały tak, jakby chciał nas utwierdzić w przekonaniu, że generalnie ma to wszystko gdzieś. Strzelił wzrokiem w stronę Biegańskiego i też zobaczył, że nasz gryziپیórek kreśli jakąś wiadomość.

Kiedy tamten skończył, podał mi kartkę.

– Strażnicy powiadają, że najdalej do końca roku nie będzie już aresztantów – przeczytałem zapisek.

– Czyli sytuacja w kraju smoka wawelskiego została opanowana, a nastroje uspokojone. – Suchy od razu wyciągał wnioski. – Teraz sami widzicie, jak się postępuje z durnym narodem. Wystarczy pogrozić paluchem, zamachać batem, wychłostać kogo trzeba, kilku typków dla przykładu posadzić i zaraz wraca porządek. Zresztą chrzanić to – nagle zmienił temat i podniósł się z miejsca – pora zająć się interesami. To na razie, dziewczęta. – Zasalutował, uderzając palcami tuż nad

prawą brwią i oddalił się szybkim krokiem.

Przez chwilę odprowadzałem go wzrokiem. Podszedł do dwóch więźniów z bloku C i wdał się z nimi w jakąś dyskusję pełną poklepywań po ramieniu i przeszywaną krótkimi wybuchami zawodzącego śmiechu.

– A co u ciebie? – zapytałem Piotrusia, bardziej z grzeczności niż z ciekawości. Kiedy on sięgał po swoje pisadła, powstrzymałem go słowami: – Jak chcesz, to możemy pogadać, nie przeszkadza mi, że się jąkasz. Poza tym – zerknąłem w kierunku zegara na wieży kościelnej – zostało nam jeszcze sporo czasu do obiadu. – Posłałem mu szczery uśmiech.

Bardzo szybko odniosłem wrażenie, że Biegański ma coraz większe problemy z mową. On sam zresztą to potwierdził. Coś niedobrego działo się w jego organizmie. Kiedy o tym opowiadał, na jego oszpeconej twarzy malował się wyraz zwątpienia i niemocy. Wymawianie słów sprawiało mu jeszcze większą trudność, cierpiał na nieustające bóle głowy, a lewa ręka odmówiła mu posłuszeństwa i właściwie zamieniła się w bezwładny kikut. Lekarz postawił diagnozę, że powodem tego wszystkiego jest uraz, którego doświadczył, gdy pocisk otarł się o mózg. Współczesna medycyna nie znała jednak sposobu, żeby mu pomóc, albo chociaż ulżyć w cierpieniu.

Z każdym dniem było coraz mniej pracy związanej z ewidencją aresztantów, wypełnianiem tych wszystkich ksiąg i kwitów, prowadzeniem dokumentacji i kartotek. Piotruś obawiał się, że niebawem nadejdzie dzień, o którym wspominał z zasłyszanych plotek, że cywile znikną z więziennych korytarzy.

— Cooo-ooo-ooo wte-te-tedy beee-eeę-ęęę-dzie ze mno-mno-mną? — martwił się o swoją dalszą egzystencję i codzienne zajęcie.

Nigdy nie było w tym więzieniu osoby z takimi problemami jak on, na przykładzie której można by wyrokować jego dalsze losy.

Profesor nie pojawił się na obiedzie. Samotne popołudnie w celi uświadomiło mi, że towarzystwo drugiego człowieka jest czymś wyjątkowym.

Głos Końskiej z szyderczym rechotem odezwał się na dnie mojej duszy: To tylko kwestia czasu, niebawem znowu zostaniesz sam. Profesor wyjdzie albo przeniosą go do pojedynczej celi. Po co się przywiązujesz? Nie bądź głupcem!

Podczas kolacji doszliśmy do wniosku, że Czarnecki prawdopodobnie został oczyszczony z paradoksalnych zarzutów i zwolniony do domu w trybie natychmiastowym.

Byliśmy jednak w błędzie.

Uniwersytecki wykładowca pojawił się w asyście strażnika tuż przed ciszą nocną. Miał na sobie inne ubranie, był ogolony i pachnący. Kiedy klawisz zatrzaskał drzwi celi, mój współtowarzysz usiadł na taborecie i powiedział:

– Jak dobrze pójdzie, to za kilka dni opuszczę to koszmarne miejsce. – W jego głosie brzmiała nadzieja. – Moja żona i córka przyjechały tu w towarzystwie rektora uczelni i dwóch przedstawicieli władz urzędu miasta. Wszyscy mieliśmy spotkanie z naczelnikiem. To nie była zbyt przyjemna rozmowa. Oczywiście nikt nie podnosił głosu i niczego nie żądał, ale osoby towarzyszące mojej rodzinie



złożyły oficjalny protest, oczekując od naczelnika, aby należycie mnie traktowano i zapewniono warunki, które nie będą mi uwłaczać. Jak widzisz, są efekty. – Pogłaskał się po brodzie i wskazał dłonią na nowe odzienie. Zamilkł na moment. – Żona i córka bardzo przeżyły tę wizytę. Rektor uczelni zapewnił mnie, że wystosował odpowiednie pisma do instytucji rządowych, których treść poparły poznańskie środowiska naukowe i akademickie. Moją sprawę obecnie wyjaśnia z organami ścigania prezydent Poznania. Ufam, że ta absurdalna sytuacja niebawem zostanie definitywnie rozwiązana.

– Będzie dobrze – życzyłem mu z

całego serca, aby jego oczekiwania czym prędzej się spełniły.

Bardzo chciałbym wam powiedzieć, że wszystko potoczyło się po myśli Profesora, że temat jego zwolnienia z aresztu nabrał tempa, a niesłuszne oskarżenia zostały wyjaśnione. Niestety tak się nie stało. Mało tego, duma naczelnika Zalewskiego została chyba nieźle sponiewierana, bo wkrótce sprawił, że pobyt Czarneckiego w więzieniu stał się jeszcze bardziej przykry.

Profesor już następnego dnia, zamiast do prac w polu, trafił do folwarku. Folwarkiem nazywaliśmy obory i chlewnie, które należały do wronieckiego więzienia. Smród,

gnój, wywalanie obornika, karmienie zwierząt i obcowanie z ekipą, która tam pracowała, na pewno nie należały do przyjemności. Po kilku dniach pojawiły się pierwsze konflikty. Zaczęło się od słów i kuksańców, a skończyło na czynach. Czarnecki oberwał, ale nie było to dotkliwe pobicie. Nie miał nawet widocznych śladów na ciele. Klawisz pilnujący chlewiarzy niczego nie widział, a reszta towarzystwa zachowała zasadę trzech małych. Parę razy zdarzyło mu się, nie przez przypadek, wpaść do gnojówki, a nowe wdzianko zaczęło cuchnąć nie do wytrzymania. Przyznam się wam szczerze, że jak na zbawienie czekałem, aż nastanie kolejna niedziela, kiedy przyjedzie

na odwiedzinie Anna Czarnecka i przywiezie mężowi nową odzież.

Nie mam sobie niczego do zarzucenia. Tam gdzie mogłem go ochronić, roztaczałem nad nim parasol bezpieczeństwa. Pewnego dnia, kiedy miał już chyba serdecznie dość chłopaków, którzy zrobili sobie z niego oborowe popychadło, zapytał mnie:

– Możesz mi jakoś pomóc i sprawić, żeby ci ludzie przestali mnie nękać? – Był załamany. Dało się to zauważyć gołym okiem.

Usiadłem na pryczy, oparłem się o ścianę i powiedziałem:

– Widzisz, Profesorze, w takim miejscu jak to wszelkie konflikty rozwiązuje się na dwa sposoby. Albo

za pomocą siły, albo za sprawą przekupstwa. Pieniądze i fajki to dwie waluty, które obowiązują w więziennej rzeczywistości. Pozyskać klawisza, żeby roztoczył nad tobą opiekę, nie jest łatwo, trzeba wiedzieć, z kim można rozmawiać. Na twoim miejscu odpuściłbym sobie współpracę ze strażnikami. Odkąd mamy nowego naczelnika, wszystko się skomplikowało. Zalewski twardą ręką rozprawia się z każdym objawem korupcji zarówno wśród pracowników, jak i osadzonych. Wydaje mi się, że wy, cywile – wiedział, iż mam na myśli kategorię takich samych aresztantów jak on – podlegacie tym samym zasadom co skazańcy. Jeśli wpadniesz, możesz

mi wierzyć na słowo, będziesz miał poważne kłopoty. Tak więc daruj sobie to rozwiązanie. Jeżeli będziesz miał forszę, to pogadamy z Suchym, a on załatwi resztę. Tylko uważaj – kiwnąłem palcem, jakbym chciał mu uzmysłowić, żeby przemyślał sprawę – bo jeśli znajdą przy tobie pieniądze, napytasz sobie nie lada biedy.

W roku 1926 rocznica moich urodzin przypadła w niedzielę. To był ciepły, pogodny dzień. Taki dzień, o którym śmiało można powiedzieć, że godnie reprezentuje polską złotą jesień. Korony drzew spoglądające na spaceriak z drugiej strony muru mieniły się paletą magicznych barw. Promienie

październikowego słońca otulały świat przyjemnym spokojem i rozgrzaną radością. Na tle błękitnego nieba ptaki szybowały z rozpostartymi skrzydłami. Podziwiałem ich swobodę, z jaką dawały się nieść niewidzialnym podmuchom wiatru. Sylwetki tych stworzeń, które natura uczyniła podniebnymi lotnikami, zawsze kojarzyły mi się z nieograniczoną wolnością.

Dość często w swoim życiu myślałem o tym, że chciałbym być ptakiem.

Starym zwyczajem zajęliśmy nasze stanowisko na stopniach placu apelowego. Piotruś Jąkała gryzmolił grafitowym rysikiem po wymiętolonej kartce. Tuż obok siedział Profesor

ze splecionymi rękami jak do modlitwy i patrzył zamyślonym wzrokiem na wprost. Rozpiąłem guziki szarej bluzy, wyciągnąłem przed siebie nogi i zerknąłem na Suchego, który ułokował się za naszymi plecami. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami.

– To co, Suchy, po całym? – zapytałem i wyciągnąłem w jego kierunku otwartą papierośnicą.

– Ależ oczywiście. – Od razu przekręcił się na prawy bok i sięgnął po fajkę. – Darmowy to i ocet słodki – rzucił w moim kierunku. – Częstość mnie, brachu, ile wejdzie. Mam do ciebie słabość i nie potrafię ci odmówić. Choćby miało mnie zrzygać i zesrać na rzadko, to dam radę.



– Nie wątpię. – odparłem.  
Dostrzegłem, jak Czarnecki po słowach  
Suchego uśmiechnął się pod nosem.

W tym samym momencie w mojej  
głowie pojawiły się dziwne pytania.  
Gdyby Profesor usłyszał te słowa pół  
roku temu, to również czułby się nieco  
rozbawiony? Czy ktoś, taki jak on, mógł  
być entuzjastą prostackich odzywek i  
grubiańskiego humoru? Czy człowiek,  
który większość życia spędził wśród  
intelektualistów i naukowców, bywał  
na salonach i w uniwersyteckich aulach,  
ubawiłby się, słysząc takie słowa  
na jakimś wytwornym raucie z  
kawiozem w porcelanowych miseczkach  
i szampanem w kryształowych  
kieliszkach? Szczerze wątpię, żeby uznał

to za przedni dowcip, raczej oceniłby go w kategoriach skandalicznej żenady, przyznając mu najwyższą liczbę punktów. Nieco wiem już o ludzkich zachowaniach i przemianach, jakim ulegają dusza i umysł osadzonego człowieka. Nie studiowałem psychologii z mądrych podręczników i naukowych opracowań. Nie znam zbyt wielu nazwisk, które w tej dziedzinie są autorytetami. Swoją wiedzę zdobywałem na więziennych korytarzach, kontemplowałem w karcerze, obserwacje czyniłem na spacerunku, a poglądy konfrontowałem z przedstawicielami służby więziennej. Moje wszystkie teorie na ten temat są podparte życiem

skazańców i ich bolesnymi doświadczeniami.

Jedno było pewne, środowisko zmieniało naszego Profesora.

Lekkie podmuchy wiatru porywały w przestrzeń kłęby dymu, które ulatniały się z naszych płuc. W pewnym momencie Suchy ścisnął palcami nozdrza i powiedział nosowym głosem:

– Profesorku, mam nadzieję, że dzisiaj zmienisz garderobę – szukał motywu, żeby zapewnić sobie ulubioną rozrywkę.

– A co, przypomniał ci się zapach dzieciństwa? – zadrwiłem.

– Gdyby nie ten darmowy papierosek – Suchy cisnął w odpowiedzi –

to inaczej bym z tobą pogadał... Ropuszku! – Facet nigdy nie odpuszczał, nigdy nie pozwolił, żeby ostatnie słowo należało do kogoś innego.

Biegański podał Czarneckiemu kartkę papieru. Ten przez chwilę czytał zapisane słowa, a potem zaczął mu opowiadać językiem pełnym terminów, których do końca nie pojmowałem. Mówił o aspektach teorii jednego z bogów filozofii, Platonie. Suchy od czasu do czasu przerywał Profesorowi uszczypliwymi komentarzami, którym towarzyszyły nasze krótkie salwy śmiechu. Czarnecki jednak nie zrażał się prymitywnymi docinkami. Rozgadał się na dobre i z jego ust płynął niekończący się potok

słów.

Przyglądałem się postaciom krążącym po spacerniaku. Ludzi w cywilnych ciuszkach było już zdecydowanie mniej. Po prawej stronie, wzdłuż siatki dreptał spokojnym krokiem Wilhelm Wolf. Ręce trzymał w kieszeniach spodni i przechadzał się w tę i z powrotem. Jak zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który był tutaj tylko ciałem. Po przeciwnej stronie dostrzegłem Tadzia Wójcika. Siostrzyczka miał rację, zarówno on, jak i Piotruś z pewnością dostaliby od ręki robotę w cyrku osobliwości... Nieco z lewej dozorca Frantz rozmawiał przez siatkę z małomównym młodzikiem z bloku C. Po przeciwnej stronie placu apelowego,

na ławkach, które swojego czasu okupowała ekipa Czarnego, skupiła się grupa kilku aresztantów. Lustrowałem teren i doszedłem do wniosku, że bardzo, ale to bardzo, zmieniło się oblicze spacerniaka przez ostatnich kilka miesięcy. Nagle od strony wyjścia klawisz zaczął przywoływać Czarneckiego na widzenie. Profesor podniósł się z miejsca.

– Tylko pamiętaj, co ci mówiłem! – rzuciłem w jego stronę, nim zdążył odejść. Obrócił twarz w moim kierunku i pokiwał głową, dając mi do zrozumienia, że będzie miał na uwadze moje przestrogi.

– O co chodzi? – zapytał Suchy z nieukrywanym zaciekawieniem, kiedy

Czarnecki się oddalił.

– O to, żebyś mógł zarobić – odparłem.

Suchy natychmiast poderwał się z miejsca i usiadł obok mnie.

– Nawijaj! – syknął.

Zerknąłem na Piotrusia Jąkałę. Był bystry i w mig pojął, że mamy do obgadania jakiś interes, i chyba nie powinno go tutaj być.

– Tooo-ooo się przeeee-eej-deeę – wydukał i zostawił nas samych.

W kilku słowach opowiedziałem Suchemu o co chodzi.

– Profesor wróci dzisiaj ze szmałem – zakończyłem słowami, które brałem za pewnik.

– No to co, pora ruszać. Nie

ma sensu, żebym tak siedział beczynn timer i dłubał w nosie, kiedy forsa jest już w drodze – powiedział Suchy. – Przejdę się i popytam. I żeby było jasne niczego jeszcze nie ustalam – zastrzegł się. – Wybadam temat i sprawdzę, czy jest dobry grunt pod rozmowę. – Wstał, zacisnął mocniej pasek w spodniach, posłał mi oko i ruszył w tłum.

Było kilka minut po trzynastej, kiedy od strony wyjścia strażnik krzyknął donośnym głosem:

– Żabikowski, odwiedziny!

W pierwszej chwili byłem pewien, że się przesłyszałem. Błądziłem gdzieś myślami, robiąc rachunek sumienia mojego dwudziestosześcioletniego życia



i dopiero kiedy po raz drugi padło moje nazwisko, poderwałem się na równe nogi.

Prawie biegiem pognałem w stronę wyjścia. Dwa razy padło słowo „odwiedziny”, więc byłem pewien, że nie jest to wezwanie do gabinetu Szumskiego. Agnieszka?! Nikt inny nie mógł mnie już odwiedzić. To musi być ona! Serce wściekle zadudniło mi w piersiach. Szybki marsz przez spacerniak do bramki i myśl o odwiedzinach sprawiły, że tętno pulsowało mi ze zdwojoną siłą. W pachwinach rozlała się ciepła wilgoć, a krople potu zrosiły moje skronie.

Dozorca spokojnym krokiem prowadził mnie do sali widzeń.

Eksplozja przedziwnych uczuć rozrywała mi duszę.

A jednak przyszła, tak jak rok temu! Pamiętała! Boże miłosierny! Nie wiedziałem, czy chcę tam iść. No bo i po co? Znowu mam zderzyć się ze światem, który przepadł dawno temu? W jakim celu?

Szok.

Ta chwila była właśnie tą, która pozwoliła mi zrozumieć prawdziwe znaczenie tego słowa.

Szliśmy schodami w górę. Chłód panujący na korytarzu studził nadmiar emocji, które we mnie kipiały.

Klawisz uchylił masywne drzwi.

W obszernym pomieszczeniu przy

wielu stolikach siedzieli zarówno skazańcy, jak i aresztanci ze swoimi najbliższymi. Szukałem wzrokiem znajomej postaci.

Dozorca, który mnie wprowadził, powiedział donośnym głosem:

– Żabikowski!

W rogu sali dostrzegłem nieznaną kobietę z podniesioną do góry ręką.

– Tam siedzi osoba, która przyszła cię odwiedzić. – Strażnik wskazał w jej kierunku.

Stanąłem jak wryty. Nie znałem tej kobiety. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

– Tam mam iść? Ona przyszła do mnie?

– A kto trzyma rękę w górze? Ja czy

ona? – warknął. – Nie znasz jej? –  
zdziwił się.

– Nie – odparłem.

Chyba coś było nie tak, bo pchnął  
mnie lekko do przodu i razem ze mną  
ruszył w jej kierunku.

Podeszliśmy do stolika, przy którym  
siedziała kobieta.

Nigdy w życiu jej nie widziałem.  
Miała lekko zmierzwiłone włosy,  
zmęczone spojrzenie i trochę niechlujne  
ubranie. Nie było w niej niczego  
szczególnego.

– Pani przyszła w odwiedziny  
do więźnia Żabikowskiego? – zapytał  
dozorca.

– Tak. – Jej głos był nieco ochrypły,  
jakby ona i Końska miały z sobą coś

wspólnego.

Usiadłem na krześle po przeciwnej stronie i przyglądałem się jej zaskoczonym wzrokiem. Strażnik odszedł dwa metry dalej i obserwował nas.

W sali odwiedzin panował szum. Głosy mieszały się ze sobą jak na ulicznym targowisku.

Kobieta przez dłuższą chwilę wpatrywała się we mnie przenikliwym wzrokiem. W jej spojrzeniu było coś niepokojącego.

– Nie znasz mnie – odezwała się – ale ja znam ciebie. Przez ostatnie miesiące każdego dnia słyszałam twoje nazwisko. To wszystko twoja wina! – Ton jej głosu stał się mocniejszy, a oczy zaszklily się

od łez. Nie panowała nad sobą i w tej samej chwili bezbarwne grochy zaczęły spływać po jej policzkach. Byłem tak oszołomiony, że nie potrafiłem wydobyć z siebie nawet słowa. – To wszystko przez ciebie! – padło kolejne dziwne oskarżenie. Trzymając dłonie na stole, splotła palce tak mocno, że ich skóra w jednej chwili zrobiła się sinobordowa. – To wszystko przez ciebie, ty pierdolony skurwysynu! – krzyknęła. Nie zwróciłem uwagi, jak zareagowała reszta towarzystwa zgromadzona w sali odwiedzin, ale przypuszczam, że wszyscy nagle zamilkli i spoglądali w naszym kierunku. Kątem oka dostrzegłem, jak strażnik oplata dłoń na rękojeści pałki i rusza w naszą

stronę. Sparaliżowało mnie kompletne zaskoczenie. Nie zdążyłem zareagować, kiedy nieznajoma poderwała się na równe nogi, pochyliła nad stołem, wzięła potężny zamach i prawą dłonią uderzyła mnie w policzek.

Zabolało.

– Niech się pani uspokoi! – Strażnik doskoczył w jej kierunku i pchnął na ścianę.

– To on! To wszystko, kurwa, przez niego! – wydierała się niczym oszalała wiedźma, a ja nadal siedziałem na miejscu i nie rozumiałem, o co właściwie chodzi.

– Proszę się uspokoić! – krzyknął dozorca, złapał ją za ramiona i przyparł do ściany.

Zrobiło się małe zamieszanie. Usłyszałem, jak za moimi plecami rozległ się tupot nóg. Nagle z lewej strony pojawiło się dwóch kolejnych klawiszy, którzy doskoczyli do swojego kolegi i pomagali mu uspokoić rozhisteryzowaną kobietę.

– Pamiętasz Heńka Duszańskiego?! Wołali na niego Hrabia, to ty go zniszczyłeś! Ty parszywy chuju! – skrzeczała z całych sił.

Strażnicy nie byli w stanie nad nią zapanować.

Wyrywała się, kopała, odpychała.

Walczyła.

– Niech się pani uspokoi! – zabrzmiał donośny głos jednego z dozorców.

– Spierdalajcie, gnoje! To wszystko



przez niego! To on go zniszczył! On! –  
Zaczęła pluć w moją stronę. Zrobiłem  
dwa kroki w tył, jakbym chciał usunąć  
się z drogi zaszczutego zwierzęcia, i  
poczułem, jak czyjeś ręce oplatają mnie  
na wysokości piersi. Dostrzegłem  
brązowe rękawy i nie stawiałem  
żadnego oporu. – On się powiesił przez  
ciebie, to ty osierociłeś jego dzieci! – W  
sali odwiedzin zaległa cisza. Kobieta  
przestała się szarpać. Na kilka sekund  
nawet strażnicy zamarli w zaklętym  
bezruchu. – Proszę mnie natychmiast  
puścić! – powiedziała nerwowo i  
spojrzała hardo na funkcjonariuszy,  
którzy ją osaczyli. – Proszę mnie puścić!  
– Koniec odwiedzin! – syknął jej  
prosto w twarz jeden ze strażników.

– Zabieramy ją stąd! – powiedział najwyższy rangą do swoich kompanów i przystąpili do dzieła.

– Żabikowski, ty pierdolony chuju, to przez ciebie moje dzieci nie mają ojca! – wrzeszczała zachrypniętym głosem. Kiedy dozorczy starali się doprowadzić ją do drzwi, stawiała zaciekły opór. Mundurowi chyba ulegli tym samym emocjom, bo zaczęli wykrzykiwać komendy. Chyba liczyli na to, że w ten sposób zapanują nad nerwową kobietą. Do moich uszu docierał tylko jej złowieszczy głos: – Powiesił się przez ciebie! Ty jesteś winien jego śmierci! Przeklinam cię, ty jebany morderco! Obyś tu zgnił!

Czyjeś ręce chwyciły mnie pod

ramiona i brutalnie zaczęły ciągnąć w stronę wyjścia dla więźniów.

– Żabikowski! Co to było, do jasnej cholery?! – Mroczkowski spojrzał na mnie, kiedy znaleźliśmy się za drzwiami. Zdjął z głowy czapkę i przetarł spocone czoło.

– Nie mam pojęcia, panie dozorco. – W swoim głosie słyszałem przerażenie. Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– To co z nim teraz? – zapytał drugi z klawiszy.

– Do celi, a potem z meldunkiem do Szumskiego – padła odpowiedź.

Siedziałem na pryczy i próbowałem odzyskać równowagę. Czy to mogło się dziać naprawdę? Akurat dzisiaj? W dniu moich urodzin? Dlaczego właśnie tego

dnia parszywy los postanowił ze mnie zakpić? Takie życie – szept Końskiej rozległ się w moim umyśle. Myślałeś, że wszystko, co złe, odejdzie i nigdy już nie wróci?

Nagle do moich uszu dotarł odgłos prężnych kroków. Dwa uderzenia w drzwi. Poderwałem się i stanąłem pod ścianą tak, jak nakazywał regulamin. Szczęk zasuwki i pióro drzwi rozwarło się na oścież. W świetle wejścia zobaczyłem aspiranta Szumskiego.

Przez dłuższą chwilę stał w lekkim rozkroku i przyglądał się mi badawczym wzrokiem.

Podszedł bliżej i usiadł na taborecie. Plecami wsparł się o ścianę, wyciągnął przed siebie nogi, wyprostował kolana i

oparł o krawędź pryczy. Czarne, wypastowane cholewy mieniły się połyskującym blaskiem.

Szumski sięgnął do górnej kieszeni bluzy i wyjął paczkę papierosów.

Na chwilę zaniósł się paskudnym, mokrym kaszlem i splunął na podłogę.

Kiedy przestał charczeć, zapalił.

– Tak, Żabikowski, a jednak moje podejrzenia były słuszne – mówił powoli i wyraźnie. – I co? Jak się teraz czujesz? – Równie dobrze mógł powiedzieć: „Jesteś odpowiedzialny za śmierć Hrabiego”. – Wiedziałem, od samego początku wiedziałem, że maczasz w tym wszystkim swoje cholerne paluchy. Nie wiem, jaki miałeś motyw, i to mnie męczy, ale to kwestia

czasu. Obaj wiemy, że to wypłynie na wierzch. Tak to już jest, Żabikowski, że prawda zawsze wychodzi na jaw. – Zaciągnął się głęboko dymem. – Siadaj! – Wskazał mi miejsce na łóżku, tuż obok swoich stóp.

Posłusznie wykonałem polecenie.

– Pal! – Rzucił mi na kolana paczkę papierosów.

Ze wszystkich sił starałem się zapanować nad mimowolnym drżeniem palców. Krew w moich żyłach płynęła nieco szybciej.

– No to jak to w końcu było, Żabikowski? – Czubkiem buta rytmicznie stukał mnie w biodro. – Opowiesz mi tę niewątpliwie ciekawą historię? He? – Ponownie zaniósł się

okropnym kaszlem.

Czekałem z odpowiedzią, aż przestanie wydobywać z siebie chorobliwe jęki.

– Nie mam z tym nic wspólnego, panie aspirancie – postanowiłem iść w zaparte, choćby się miał zawalić cały świat. Wyznanie prawdy już niczego nie zmieni, nie cofnie czasu i nie zwróci życia Duszańskiemu. Może tylko sprawić, że moja dalsza egzystencja stanie się bardziej uciążliwa.

– Błagam cię, Żabikowski – prawie jęknął – nie obrażaj mojej inteligencji. A może chcesz mi jeszcze wmówić, że ta baba, która pół godziny temu wydzierała się na ciebie na sali widzeń, to jakaś cholerna pomyłka? – Przez cały

czas czubek jego buta delikatnie uderzał o moje biodro.

– Nie mam z tym nic wspólnego, panie aspirancie. – Nie wiem, czy przyjąłem właściwą linię obrony, ale na każde pytanie o moim udziale postanowiłem odpowiadać w taki właśnie sposób.

– Wiesz, że jeśli tylko zechcę, to mogę cię tutaj odpowiednio zmiekczyć. Wiesz o tym, prawda? – Zdjął nogi z łóżka i pochylił się w moją stronę. – Mogę cię zamknąć na izolacyjnym, mogę cię zapakować do karceru, mogę cię zdjąć z obsady stolarni i rzucić z powrotem na łodygownię – cedził każde słowo. – Moje możliwości są tutaj



nieograniczone. A może na początek zmienię ci towarzystwo? – Spojrzał na mnie tym swoim szczurzym wzrokiem i krzyknął: – Strażnik!

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków zmierzających w naszym kierunku. Kilka sekund później w drzwiach celi pojawił się dozorca pełniący służbę na sterowni.

– Bierz ten majdan. – Szumski wskazał dłonią na koce i poduszkę leżące w przeciwnym rogu. – Sprawdź, która cela jest wolna i zakwateruj w niej tego... jak mu tam? Czarneckiego? Tak? W dzienniku służby wpisz, że to z mojego polecenia.

– Tak jest, panie aspirancie! – Funkcjonariusz zasalutowował i wykonał

polecenie.

– No widzisz, Żabikowski, jak szybko poszło. – Szumski westchnął i posłał mi uśmiech zwycięzcy. – Może potrzebujesz bardziej rozrywkowego kompana? Na bloku C znajdzie się kilku prawdziwych sodomitów, co nie pogardzą żadną dziurką – rzekł z obrzydzeniem. – To co, zamienimy twoją celę w ogród rozkoszy?

– Wolałbym, żeby tak się nie stało, panie aspirancie. – Czuję, jak niewidzialne palce zaciskają się na mojej grdyce.

– A ja wolałbym usłyszeć z twoich ust, jakie miałeś motywy we wiadomej sprawie. – Przyglądał mi się z odległości około dwudziestu

centymetrów. Ciepły oddech wydobywający się z jego ust uderzał w moje nozdrza niesmacznym odorem tytoniu. – No, słucham, Żabikowski, opowiadaj.

– Nie mam z tym nic wspólnego... – nie zdążyłem dokończyć. Szumski posłał mi cios pięścią prosto w brzuch.

– Jeszcze raz, Żabikowski – warknął. – Zaczynaj od początku!

Oddychałem głęboko, a w trzewiach czułem ognistą kulę.

– Nie mam z tym... – Kolejne uderzenie, jeszcze bardziej bolesne.

– Jeśli znowu zaczniesz od słów „nie mam”, to gwarantuję, że zapamiętasz ten dzień do końca życia! – syknął mi prosto w twarz.

Przez moją głowę toczyła się lawina myśli. Nigdy bym nie przypuszczał, że moja cała podła przeszłość powróci w takim wydaniu.

– Słucham, Żabikowski, odkrywaj karty! – warknął i znowu jego pięść spotkała się z moim brzuchem.

Milczałem niczym głaz. Postanowiłem nie odzywać się ani słówkiem. Przyjąłem kilka kolejnych ciosów, ale coś było nie tak. Szumski nie tłukł mnie pałką ani nie bił w miejsca, które mogą zostawić widoczne ślady. Poza tym wydawało mi się, że każdy następny kuksaniec jest zdecydowanie słabszy od poprzedniego. Po kilku uderzeniach aspirant chyba zrozumiał, że w ten sposób nic ze mnie nie wydusi.

Odpuścił.

– Niebawem wezmę się za ciebie i zapewniam, że gorzko tego pożałujesz. – Wstał i z nieukrywaną złością trącił taboret czubkiem buta. Wychodząc z celi, zachwiał się. Na moment wsparł dłoń o futrynę drzwi, pochylił ciało lekko do przodu i wtedy dopadł go kolejny krótki atak kaszlu.

Kilka minut trwało, nim poczułem się całkiem normalnie. Nabrałem pewności, że samowola klawiszy została definitywnie ukrócona. Coś musiało się zmienić. I to bardzo. To już nie były czasy Wojciechowskiego, kiedy każdy strażnik robił, co chciał lub co uważał za słuszne. Teraz najwyraźniej

funkcjonariusze działali pod dyktando nowego naczelnika, który ograniczył im swobodę.

W więzieniu wszelkie wiadomości rozchodzą się błyskawicznie. Podczas kolacji wszyscy osadzeni plotkowali o tym, co zdarzyło się w sali widzeń, i miałem wrażenie, że jestem na ustach każdego skazańca. Gdziekolwiek spojrzałem, wpadałem na czyjś zaciekawiony wzrok. Niewątpliwie byłem gwiazdą dzisiejszego wieczoru.

– Dlaczego mnie przeniesiono do pojedynczej celi? – zapytał Profesor.

– Ano chyba dlatego – odparł Suchy – że tutaj są same pojedyncze apartamenty.

– Spojrzał w moim kierunku i posłał

mi oczko. On też już słyszał o całej akcji.

– A cóż to była za kobieta...

– Profesorze – wpadłem mu w zdanie – masz swoje problemy i najlepiej zrobisz, jak zajmiesz się właśnie nimi – powiedziałem chłodno i dałem mu do zrozumienia, że nie będziemy rozmawiać o tym, co się zdarzyło kilka godzin temu.

Ciemna, październikowa noc zakradła się do mojej celi, a ja nadal leżałem na pryczy i nie mogłem zasnąć. Wspomnienia zdarzeń sprzed kilku miesięcy wypełniały moją głowę. Myśląc o tym, czułem się tak, jakbym miał przed oczami wyobraźni życie innego człowieka. Nie, to nie mogłem być ja. Przecież ja nie zdobyłbym się

na takie okrucieństwo, ja nie byłem tak naiwnie głupi i mściwy.

Nie ja.

Przekręcałem się z boku na bok, lecz sen nie nadchodził.

Kolejny papieros.

Myśli bezustannie krążyły wokół podłej przeszłości.

Zegar na wieży odmierzał czas, wybijając kolejne kwadransy.

Około północy światło księżycy zaczęło przeciskać się przez okratowane okno mojej celi. Na obdrapanej ścianie przesuwał się cień prętów. Byłem uwięziony w dwóch światach. Ten pierwszy – rzeczywisty, namacalny i niezmienny, którego mury wzniesiono z bordowej cegły. Drugi natomiast budził



się do życia tylko w blasku luny. Zawsze pojawiał się w najbardziej parszywym momencie, zawsze wtedy, kiedy wszystko traciło sens. Złamany cień okna padał po części na stół, na podłogę i na ścianę.

I widzisz, co narobiłeś? – dręczyła Końska mój zmęczony umysł. Odebrał sobie życie, ciekawe dlaczego, prawda? Chciałbyś wiedzieć. Tak wiele pytań i żadnej odpowiedzi. Powiesił się. Wybrał sznur czy pasek?

Zacisnąłem powieki, jakbym chciał w ten sposób zamknąć Końskiej usta.

Nie pomogło.

Został tu upodlony, dobrze o tym wiesz. A to jest jak piętno, którego człowiek nigdy się nie pozbędzie. Nie

poradził sobie z tym ciężarem. Skończył ze sobą. O tak, ona miała rację. Jak jej było na imię? Krystyna? Niestety jesteś odpowiedzialny za jego śmierć, ty i tylko ty... tylko ty... tylko ty – echo niosło przez moją głowę oskarżające słowa.

Poderwałem się na równe nogi, żeby ochłonać. Już sam nie wiedziałem, czy te majaki pojawiają się, kiedy trwam zawieszony w letargu pomiędzy jawą a snem? Czy to naprawdę jest tak, jak powiadają, że kiedy rozum śpi, budzą się demony?

Stanąłem w oknie i spojrzałem w noc.

Wokół tarczy księżycy srebrzyła się lekko zamglona poświata.

Wszędzie cisza otulona mrokiem.

Pełna, absolutna cisza.

– Jestem winien – szepnąłem sam do siebie.

Tej nocy zrozumiałem, o czym kiedyś mówił Ojczulek: „Cokolwiek się stanie, później będziesz musiał z tym żyć”.

Staruszek miał rację.

Aspirant Szumski w stosunku do mnie nie zrealizował żadnej obietnicy. Nadal pracowałem w stolarni i dalej byłem zakwaterowany na bloku B, chociaż przyznam się wam, że przez wiele dni żyłem w nerwowym wyczekiwaniu.

Profesor ogarnął temat pieniędzy i dobił targu z Suchym. Nie wnikałem w tę sprawę, ale przypuszczam, że

do kieszeni Suchego trafiła pokaźna sumka. On zawsze twierdził, że w interesach nie ma kumpli i skrupułów. W gruncie rzeczy Suchy nie trafił na biednego, a liczyło się to, że każda ze stron była zadowolona.

Po raz kolejny przekonałem się, że moc, jaka drzemie w plotce, potrafi być niewyobrażalna. Kiedyś budziłem respekt u innych, bo należałem do ferajny, teraz niektórzy z więźniów zaczęli się mnie obawiać z zupełnie innego powodu. W tamtych czasach człowiek bezwzględny, morderca gotowy w każdej chwili przyjąć zlecenie za pieniądze był potocznie nazywany cynglem.

Kiedy następnej niedzieli krążyłem samotnie po spacerniaku, do moich uszu dotarł strzępek pewnej rozmowy:

– Mówię wam, ten Ropuch to cyngiel. Nawet nikt nie wie, za co on właściwie siedzi. Ten facet to cholerny cyngiel. – Skazaniec, który to powiedział, był odwrócony do mnie plecami.

Zatrzymałem się i klepnąłem go w ramię. Kiedy się obrócił i ujrzał mnie, jego twarz momentalnie zrobiła się blada.

– Wolałbym, żebyś tak o mnie nie mówił. – Posłałem mu krótkie spojrzenie i ruszyłem przed siebie.

W jednej chwili powróciły niebezpieczne znajome uczucia. Strach działa w dwie strony, jednych poraża i

obezwładnia, a drugim dodaje sił. Problem w tym, że zawsze może pojawić się ktoś, kto będzie chciał wszystkim udowodnić coś głupiego. Może to śmieszne, ale tego się właśnie obawiałem. Wystarczyło też, że spojrzałem na Rzeźnika z Danzig, a już miałem ciarki na plecach. Zawsze twierdziłem, że Wilhelm Wolf ma ponurą misję do zrealizowania. A co będzie, jeśli chłop ubzdura sobie, że ja też jestem ten zły i niegodziwy? I dlaczego czasami tak dziwnie na mnie patrzy?

W więzieniu bardzo szybko można zyskać złą sławę.

Z początkiem listopada dowiedziałem

się, że Szumski zapadł na jakąś poważną dolegliwość płuc i kroił mu się dłuższy wyjazd do górskiego sanatorium. Wiem, to zabrzmiało podle, ale miałem nadzieję, że już więcej moje oczy nie ujrzą tego bydlaka.

Pewnego dnia, grubo przed południem w drzwiach stolarni pojawił się dozorca Frantz.

– Żabikowski! – krzyknął w moim kierunku. – Zbieraj się, idziemy!

– Tak jest, panie dozorczo. – Zarzuciłem na grzbiet kufajkę. – Mam zabrać z sobą narzędzia? – zapytałem.

– Nie, jesteś wzywany na rozmowę do gabinetu Szumskiego.

Kiedy usłyszałem te słowa, w każdym

zakamarku mojego ciała eksplodowało nieprzyjemne ciepło.

Podczas drogi zachodziłem w głowę, co takiego wymyślił mój ulubiony aspirant?

Strażnik zapukał w drzwi, złapał za klamkę i puścił mnie przodem.

Za biurkiem Szumskiego siedział sam naczelnik Zalewski, po mojej lewej, nieco z przodu stał przodownik Blaszański.

Frantz strzelił obcasami, zasalutował i wypowiedział jednym tchem:

– Melduję doprowadzenie więźnia numer dwadzieścia dziewięć-jedenaście!

Mój wzrok przykuła patka kołnierza



na mundurze Zalewskiego. Pierwszy raz widziałem insygnia w postaci pętelki. Kilka razy słyszałem, jak naczelnika nazywano inspektorem, ale myślałem, że to oznaka jakiejś kpiny lub szyderstwa. Prawda jednak była taka, że Zalewski miał naprawdę rangę inspektora służby więziennej, o czym dowiedziałem się później.

Jeśli chcielibyście porównać ów stopień do wojskowej szarży, to jego odpowiednikiem byłby wtedy generał.

– Jak się nazywasz? – rzucił w moim kierunku naczelnik.

– Stanisław Żabikowski! – odparłem.

Na blacie biurka spoczywało kilka pootwieranych kopert.

Leżały równiutko poukładane w

jednym rzędzie.

Zalewski pochylił się do przodu i przeskakiwał po nich wzrokiem. Po chwili wyciągnął dwie koperty.

– Wyjaśnij mi najpierw pewną formalną rzecz – zwrócił się do mnie, machając na przemian delikatnie dłońmi, w których trzymał otwarte koperty. – W ewidencji więzienia figuruje tylko jedna osoba o nazwisku Żabikowski. Stanisław Żabikowski. A tutaj mam dwa listy, jeden adresowany do Stanisława Żabikowskiego, a drugi do Stefana Żabikowskiego. – Znowu machnął kopertami i przyjrzał mi się podejrzliwym wzrokiem. – Używasz dwóch różnych imion? Dlaczego?

– Na chrzcie rodzice dali mi Stefan –

odparłem zgodnie z prawdą. – W mojej metryce urodzenia urzędnik przez pomyłkę wpisał imię Stanisław. Rodzicie byli niepiśmienni, wzięli dokument i dopiero po latach wyszło na to, że w spisie ludności nazywam się Stanisław, a nie Stefan, chociaż tak wołano na mnie przez całe życie.

– Wystarczy – naczelnik z dziwnym grymasem, ni to politowania, ni to żenady, spojrział najpierw na Blaszańskiego, potem na Frantza, a w końcu na mnie. Jego wzrok mówił wszystko na temat krótkiej genezy moich imion. – Aspirant Szumski obecnie przebywa na długoterminowym zwolnieniu lekarskim. Na ten czas jego obowiązki przejmuje przodownik Józef

Blaszarski. – Wskazał dłonią w jego kierunku. – W szufladzie biurka pana aspiranta spoczywały listy, również adresowane do ciebie. Pierwszy z nich... – Zalewski przez chwilę oglądał służbową pieczętę, którą sygnowano wszystkie listy docierające do Centralnego Więzienia we Wronkach. W dniu otrzymania poczty oficer dyżurny pełniący służbę podbijał taki list i ręcznie wpisywał obok dokładną datę przybycia. – Pierwszy list dotarł tutaj we wrześniu, drugi w październiku – poinformował mnie naczelnik. Przez chwilę przyglądał mi się uważnie i nagle zmienił temat: – Dlaczego Aspirant Szumski nie przekazał ci tych listów?

– Nie wiem, panie naczelniku –

odparłem zgodnie z prawdą.

– Przejrzałem dokumenty, wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Może zdenerwowałaś czymś pana aspiranta? A może macie między sobą jakieś prywatne porachunki? – spytał podejrzliwie.

Kątem oka dostrzegłem, że Blacha przygląda mi się czujnym wzrokiem.

Zerknąłem w kierunku biurka i zrozumiałem, że nie tylko ja byłem gnębiony przez Szumskiego. Szkoda, że nie znałem nazwisk innych. Razem moglibyśmy pogrążyć człowieka, który uprzykrzał nam życie. Samemu w pojedynkę porywać się na coś takiego byłoby szczytem głupoty albo objawem szaleństwa, a już tym bardziej w

obecności innych klawiszy. Gdybym teraz rozmawiał z Zalewskim w cztery oczy, kto wie jakie słowa mogłyby paść z moich ust?

A może to wszystko jest tylko kolejnym elementem podstępnej gry?

Być skazańcem, dociekać swoich praw, skarżyć się na złe traktowanie i szukać wsparcia u władz instytucji, w której przebywasz, może świadczyć tylko o tym, że kompletnie straciłeś kontakt z rzeczywistością. W tym wypadku strażnicy niczym nie różnią się od więźniów. Nazwą cię donosicielem, nie zapomną, nie podarują i będą się mścić. Dlatego właśnie w takim miejscu jak to dewiza trzech małych najczęściej bywa jedynym sensownym

rozwiązaniem.

– Nie wiem, panie naczelniku, dlaczego nie otrzymałem tych listów – odparłem.

Pokiwał głową i spojrzał na Blaszańskiego.

– Jakies uwagi, pytania, zalecenia...?  
– zwrócił się do przodownika.

– Żadnych, panie naczelniku – odpowiedział klawisz, który od chwili mojego przybycia trwał w tej samej pozycji. Stał w lekkim rozkroku, a dłonie trzymał z tyłu ciała.

Zalewski przeniósł wzrok z Blaszańskiego na mnie i przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

– Proszę – i wyciągnął w moim

kierunku dłoń, w której spoczywały dwie koperty o poszarpanych krawędziach – adresowane do ciebie.

Gdy Frantz odprowadzał mnie do stolarni, stało się coś dziwnego. Czas zwolnił, a przestrzeń zaczęła się rozciągać. Jestem tego pewien. Odległość pomiędzy gabinetem Szumskiego a warsztatem nagle wydała się niewyobrażalnie długa.

Listy włożyłem do wewnętrznej kieszeni kufajki. Nie wiem, kto był nadawcą, po prostu wziąłem je i wcisnąłem do kieszeni.

Byłem podekscytowany. Miałem wrażenie, że jeszcze chwila, a serce wyskoczy mi z piersi. Dudniło i waliło,



jakby wiedziało, że od papierowych kopert dzieli je tylko kilka centymetrów. Już chciałem je czytać, ale byliśmy na korytarzach bloku B. Nim doszliśmy do głównego wyjścia, czułem się tak, jakbym biegiem pokonał w rekordowym czasie jakąś morderczą odległość. Listopadowy chłód ostudził nieco moje rozpalone skronie.

Miałem ochotę pokazać Frantzowi, co znaczy maszerować prężnym krokiem.

Szliśmy wzdłuż ogrodzenia spacerniaka. W oddali widziałem brązowe drzwi wejściowe do stolarni i miałem wrażenie, że nigdy tam nie dotrzemy.

Usiadłem na taborecie nieopodal stojaka z deskami. Tu byłem w miarę ukryty. Z dala od Jaśkowych oczu i wejścia do warsztatu. Nie chciałem, żeby ktokolwiek mi przeszkodził.

Zapaliłem papierosa i wyjąłem listy.

Obie koperty były rozdarte w ordynarny sposób. I zrobił to ktoś, kto w świetle prawa mógł brutalnie gwałcić tajemnicę korespondencji.

Było tak, jak mówił naczelnik. Dwa listy, dwa różne imiona i jedno nazwisko.

Któż napisał do Stefana Żabikowskiego? – pomyślałem. Obróciłem kopertę. Z tyłu widniał nadawca. Kiedy ujrzałem precyzję, z jaką skreślono każdą literę,

uśmiechnąłem się pod nosem. Eryk von Gerswalde nie zapomniał o swoim kumplu. Jego list dotarł tutaj w pierwszych dniach września, tak przynajmniej wynikało z daty, która znajdowała się tuż obok czerwonego stempla.

Zerknąłem na drugą kopertę. Była zaadresowana do Stanisława Żabikowskiego. Data dostarczenia do więzienia – jedenasty października. Rzut oka na nadawcę wyjaśniał wszystko.

– Agnieszka Stokłosa – wyszeptałem bezwiednie jej imię i nazwisko.

Gdzieś w środku mnie coś puchło i rosło, i było pełne gorzkiego żalu.

Obróciłem kopertę i nie potrafiłem dostrzec ani liter ani wizerunku na znaczku. Poczułem tylko, jak z moich oczu zaczynają się wylewać łzy. Przestań się mazgaić! – wrzasnąłem w myślach i natychmiast przetarłem rękawem wilgotne oczy. Kantem bluzy zawadziłem o usta i na czubku języka poczułem słony smak łez.

Takie właśnie było moje życie.

Słone.

W pośpiechu przeczytałem oba listy, chociaż stolarnia zupełnie nie była odpowiednim miejscem na ich lekturę. Miałem dziwne obawy, że jeśli któryś z klawiszy zastanie mnie z oczami wlepionymi w kartki, to jeszcze narobi mi kłopotów.

Siedziałem na pryczy i po raz kolejny czytałem słowa zapisane na papierze. Ten sam list, ta sama treść, a we mnie za każdym razem budziły się inne uczucia. Litery skreślone granatowym atramentem sprawiły, że wspomnienia z przeszłości eksplodowały, rozszarpując mi duszę i umysł. Nie potrafiłem nad tym zapanować, a z drugiej strony nawet nie miałem zamiaru tego powstrzymać. Dałem się ponieść. Pozwoliłem, żeby te wszystkie magiczne, kolorowe chwile wracały i rozkwitały na nowo. Kolejne czytanie, a wraz z nim nowe emocje i wrażenia. Silne i intensywne. Świat, który mnie otaczał, rozpływał się. Cela, jej obdrapane ściany i kraty w oknie, jakby przestała istnieć...

4 września 1926

*Witaj!*

*Na początku pragnę Cię serdecznie pozdrowić i uściskać. Mam nadzieję, że zastaję Cię w dobrym zdrowiu i ufam, że mój list dojdzie na czas.*

*To trochę trudne zacząć pisać, kiedy ma się tak wiele rzeczy do opowiedzenia.*

*Może zacznę od siebie. Jeśli czytasz te słowa, to już wiesz, że jestem po drugiej stronie świata. Od pierwszych dni maja mieszkamy razem z mężem i naszą córeczką Małgosią w Chicago. Gosia urodziła się dwunastego grudnia.*

*Jest tutaj bardzo dużo Polaków. W*

*naszej dzielnicy, która nazywa się Polish Village, a i tak wszyscy mówią na nią Jackowo, rozmawia się tylko po polsku. Dlatego Jackowo, że jest tutaj parafia pod wezwaniem Świętego Jacka. Z sąsiadami żyjemy w przyjaźni. Czasami sobie pomagamy w jakiś drobnych sprawach i niekiedy wspólnie spędzamy czas. Chicago to olbrzymie miasto. Wiedzie nam się całkiem dobrze. Andrzej pracuje w fabryce, a ja zajmuję się córeczką i domem. W zeszłym miesiącu kupiłam używaną maszynę do szycia i dorabiam jako krawcowa. Pamiętasz, jak kiedyś mówiłam, że chciałabym mieć swoją prywatę? Może pewnego dnia spełni się moje marzenie? Ciągle tylko słyszę, że*

*Ameryka to kraj wielkich możliwości.*

*Dzisiaj jest sobota czwarty września.*

*Pamiętasz ten dzień? Pamiętasz nasz czwarty września? Pamiętasz tę niedzielę?*

*Nie potrafię zapomnieć, wybacz mi, ale ja po prostu nie potrafię. Cierpiałam trzy długie lata, zanim udało mi się Ciebie odnaleźć. Potem to nasze spotkanie w tym koszmarnym miejscu. Kiedy wracałam do domu, obiecałam sobie, że lepiej będzie, jeśli nigdy więcej się z Tobą nie skontaktuję.*

*Trzymałam się dzielnie, aż do dzisiaj. Wiem, że nigdy nie pozbędę się wspomnień. Próbowалам wiele razy, ale nie umiem.*

*W przyszłym miesiącu wypadają*



*Twoje dwudzieste szóste urodziny. Wiesz, że zawsze życzyłam Ci jak najlepiej. Zawsze i na zawsze. Tak było, jest i będzie. Obyś trwał w dobrym zdrowiu, a miłosierny Bóg niech ma Ciebie w opiece.*

*Będę wypatrywać wieści od Ciebie. Mam nadzieję, że napiszesz.*

*Nie zostawiaj mnie w niepewności.*

*Pięć lat temu przyrzekłeś mi to. Pamiętasz? Ufam, że dotrzymasz danego słowa.*

*Mój adres jest na kopercie, ale na wszelki wypadek podaję go też tutaj.*

*Agnieszka Stokłosa*

*West Belmont Avenue 1855*

*Chicago Illinois*

*USA*

*Chcę żebyś o tym wiedział, że  
każdego dnia modłę się za Ciebie.*

*Agnieszka*

Sunąłem wzrokiem po zapisanych linijkach, kończyłem i zaczynałem od nowa. Pięć, osiem, trzynaście... nie wiem, ile razy. Po prostu czytałem. Zupełnie jakbym chciał, żeby treść tego krótkiego listu wyryła się w mej pamięci na całą wieczność.

Czułem, jak głowa puchnie mi od wrażeń.

Podszedłem do okna i spojrzałem w szare, listopadowe niebo. Kilka haustów chłodnego powietrza sprawiło, że na krótką chwilę powróciłem

do terażniejszości. Jeszcze trochę i zapadnie zmierzch – przemknęło mi przez myśl.

Sięgnąłem po mosiężną papierośnicę.

Wyjąłem szluga, delikatnie zrolowałem go w palcach i zapaliłem.

Tytoniowa mgławica podryfowała w stronę okna, swobodnie przecisnęła się pomiędzy kratami, a po drugiej stronie jej siwe bałwany niemal od razu rozpierzchły się w jesiennym powietrzu. Zniknęły.

Tępy wzrokiem spoglądałem przed siebie.

Nie potrafiłem, a nawet nie chciałem powstrzymać myśli. Ja, więzień 29-11, w tym momencie z czystą premedytacją zadałem sobie słodko-gorzka pokutę.

Pozwoliłem, aby wspomnienia z innego życia wzbiły się na rozpostartych skrzydłach emocji. Wspomnienia tak mocne, żywe i intensywne, jakby zdarzyły się wczoraj. Jakby ostatnich kilka lat nigdy nie istniało. Dobrze wiedziałem, jakie będą konsekwencje tych rozmyślań. Przerabiałem to już w więziennej celi. Mimo wszystko z pełną świadomością rzuciłem się myślami w przeszłość. Moje zmysły oszalały. Słyszałem głos Agnieszki, dotykałem jej aksamitnej skóry, delikatny i subtelny zapach kobiecy otulał mnie z każdej strony. Miękkie, długie włosy muskały moje policzki i czułem jej oddech pełen namiętności. Chryste – jęknąłem w duchu. W tej samej chwili, jakby w

odpowiedzi, usłyszałem cichy, ochrypyły głos Końskiej, który zabrzmiał jak echo ponurego śpiewaka: Nigdy, nigdy, nigdy. Te słowa i ich grobowy dźwięk sprawiły, że mój kark przeszedł przenikliwy, zimny dreszcz. To już nigdy nie wróci. Nigdy, nigdy, nigdy – Końska nuciła swą pieśń.

Usiadłem w rozkroku na pryczy, łokcie wsparłem o kolana, a dłońmi złapałem się za głowę. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w posadzkę pomiędzy czubkami moich butów. Z jednym musiałem się zgodzić – to już nigdy nie wróci.

Podczas kolacji pochyliłem się nieco nad stołem i odezwałem się ściszym

głosem:

– Coś wam powiem, normalnie nie uwierzycie. – Suchy, Profesor i Piotruś Jąkała nadstawili uszu. Opowiedziałem im o dzisiejszym spotkaniu z naczelnikiem w gabinecie Szumskiego. Pomiąłem jedynie mały szczegół i nie pisałem słówkiem o liście z Ameryki.

– No to czytaj, co Ojczulek napisał! – Suchy był podekscytowany. – Ależ mnie zaskoczył stary pierdoła – klasnął w dłonie – ale numer! To miłe, powiem wam, dziewczęta, że to, kurwa mać, cholernie miłe!

– Zobaczymy, jaki ty będziesz miły, kiedy się stąd zawiniesz – skwitowałem i sięgnąłem do kieszeni, żeby wyjąć kopertę złożoną wpół.

– Ja? – Suchy dźgnął się palcem wskazującym prawej ręki prosto w mostek. – Mnie, Ropuszku, będzie stać na to, żeby przysłać ci wspaniałą pocztówkę z pozdrowieniami z nadmorskich wczasów i wychylić kielicha za twą pomyślność. – Posłał mi oko.

Wyłuskałem z rozdartej koperty list, rozpostarłem go na blacie stołu i zacząłem czytać:

*Bawaria, Friedberg, 29 sierpnia  
1926*

*Mój Drogi Stefanie!*

*Mam nadzieję, że ten list trafi w Twoje ręce i mimo wszelkich trudności uda nam się pozostać w kontakcie. Pewnie pamiętasz, że wyszedłem z Wroniek dwudziestego piątego lipca. Kilka dni spędziłem w Poznaniu, bo musiałem tam załatwić urzędowe formalności związane z uzyskaniem przez mnie dokumentów stwierdzających, iż ja, Eryk von*



*Gerswalde, jestem obywatelem niemieckim. Wydawałoby się to łatwe, ale zapewniam Cię, mój młody Przyjacielu, że dla byłego więźnia załatwienie niektórych spraw jest jak odnalezienie wyjścia w labiryncie Minotaura.*

*Granicę państwa mogłem przekroczyć tylko z ważnym paszportem. Inaczej się nie da, chyba że w jakiś nielegalny sposób, ale za stary jestem, żeby porywać się na taką eskapadę.*

*Uczyniłem tak, jak planowałem, i udałem się w strony, gdzie kiedyś moja rodzina miała majątek ziemski. Po wielu perypetiach na początku sierpnia dotarłem do malowniczego*

Friedberg. Nazwisko rodziny von Gerswalde jest wpisane w historię tej ziemi. Okazało się, że majątek nadal spoczywa w rękach dziedziców, z którymi łączą mnie więzy krwi. Na początku byli trochę nieufni. Młodszy ode mnie o trzy lata senior rodu, a będący najstarszym synem mego wuja, pamiętał skandaliczną historię sprzed blisko pół wieku. Nie wiem, czy mnie poznał. Wątpię. Dla mnie jego twarz jest zupełnie obca. Wydaje mi się, że chyba zwołali naradę rodzinną i wynajęli prywatnego detektywa, który ma potwierdzić moją tożsamość. W sumie to wcale im się nie dziwię. Zjawia się pewnego dnia jakiś umorusany, nieco zarośnięty starzec,

ubrany prawie jak włóczęga i na dodatek twierdzi, że jest ich krewnym.

Kiedy opowiadałem im swoją historię, widziałem w niektórych oczach przerażenie. Kilku z nich naprawdę się mnie boi. Wyczuwam ich strach. No cóż, tak to jest, kiedy człowiek dźwiga piętno więźnia. Wiem, że są teraz w kłopotliwej sytuacji i nie bardzo wiedzą, co ze mną począć. Na razie ulokowali mnie w jednym z gościnnych pokoi. Staram się nie przeszkadzać i nie wchodzić im w drogę. To głupie, ale często łapię się na tym, że kiedy wychodzę na posilek, to stoję na moment przed drzwiami, jakbym czekał, aż padnie komenda do marszu... Chyba niektóre

*przywyczajenia trudno mi będzie w sobie zmienić. Czas spędzam jak prawdziwy kuracjusz. Spaceruję po okolicy, odwiedzam miejsca, które zapadły mi w pamięci, i godzinami przesiaduję w dębowym lesie.*

*Pamiętasz? Kiedyś opowiadałem Ci o tym miejscu...*

*Najpiękniejsze jest to, że nic się tutaj nie zmieniło. Warto było przeżyć te wszystkie lata chociażby po to, żeby tu wrócić. Wrócić, by doznać tego samego, co czułem w czasach mojej młodości. Doświadczyć obecności Boga, jego siły i majestatu.*

*Ufam, że u Ciebie wszystko w porządku, że w Twoim życiu jest wiara, nadzieja i miłość. Pamiętasz nasze*

*wspólne rozmowy, prawda? Uważaj tam na siebie i nie pozwól, żeby inni decydowali za Ciebie. Dasz radę. Myśl o tym, że warto czekać.*

*Koniecznienie pozdrów Suchego i powiedz mu, że świat po drugiej stronie murów jest już gotowy na jego przybycie.*

*A jak tam Piotruś Pan? Pożycz mu ode mnie dużo zdrowia i wytrwałości.*

*Mieście się dobrze, chłopaki.*

*Każdego dnia modłę się w Waszej intencji.*

*Ojczulek*

*PS Panie aspirancie Szumski, będę*

*niezmiernie wdzięczny, jeśli przekaże Pan ten list Stefanowi Żabikowskiemu. Z góry dziękuję i przesyłam wyrazy szacunku.*

*Eryk von Gerswalde*

Kiedy przeczytałem dwa ostatnie zdania, Suchy niemal parsknął śmiechem na całe gardło.

– Chrzaniisz?! Naprawdę tak napisał?! – zapytał z niedowierzaniem. – Ale jaja! I kto by pomyślał, że księżulek potrafi tak dowalić. Szumski na pewno się zgotował. Wiele bym dał, żeby zobaczyć, jak zdziwienie wykrzywiło mu tę szczurzą gębę – zachichotał i zaraz potem pogroził mi palcem. – Pewnie

dlatego nie dał ci tego listu. Nie widzę inaczej. – Suchy był przekonany o własnej racji.

Nie było sensu wyprowadzać go z błędu.

Piotruś Jąkała miał minę, która mówiła nam wszystko. Okaleczony chłopina był uradowany, że ktoś o nim pamiętał.

Profesor zadawał nam pytania na temat Ojczulka, a my z Suchym bardzo chętnie zaspokoiliśmy jego ciekawość. Był zaskoczony. Przypuszczam, że nasze odpowiedzi były tym, co zburzyło w wyobraźni Alberta Czarneckiego komunał więzienia i więźniów. On zresztą już jakiś czas temu przekonał się na własnej skórze i

doświadczył tak wiele, że mógł skonfrontować rzeczywistość z fikcją.

Dwa dni później skreśliłem długą odpowiedź do Ojczulka. Napisałem mu, jak się sprawy mają, i że chłopaki dziękują za pozdrowienia, i że wszyscy się cieszymy, iż szczęśliwie dotarł do celu podróży. Pożyczyłem mu od nas wszelkiej pomyślności, a że święta i Nowy Rok były już za pasem, skrobnałem też jakieś banalne życzenia. Wiedziałem, że nie mogę tego listu wysłać oficjalną drogą, i dlatego pogadałem z Suchym, żeby użył swoich kontaktów i zorganizował wysyłkę.

Suchy, jak twierdził, zachował się godnie, bo nie wziął za przysługę ani



grosza. Nie policzył swojej zwyczajowej prowizji. Jako najlepszy kumpel Ojczulka musiałem pokryć koszty za znaczki i odpalić na piwo dla człowieka, który miał nadać list na poczcie.

Potem miałem już tylko nadzieję, że temat został załatwiony.

Co do Agnieszki... na razie nie byłem pewien, czy pisanie do niej ma jakikolwiek sens.

Pod koniec listopada aresztantów przebywających we wronieckim więzieniu można było policzyć na palcach dwóch rąk.

Żał mi było Profesora.

Naprawdę.

Nie powinien się tutaj znaleźć. Nawet niektórzy strażnicy uważali, że oskarżono go o śmieszłą bzdurę. Domysły były przeróżne. Może ze strony władzy miała to być demonstracja siły? Proszę, spójrzcie – oto znana persona należąca do elity intelektualnej i naukowej jest przeciw nam, przeciw naszym wartościom i ideałom. My nie możemy na to pozwolić, nas nie wolno krytykować. Zamknąć go! Spreparować dowody, wyolbrzymić szkodliwość czynów, oskarżyć i aresztować. Zatrzymać w celi na jakiś czas, zaszczyć, oderwać od wygod i przywilejów. Pozbawić godności. Niechaj jego przykład będzie przestrogą dla innych.

A może po drugiej stronie murów miał wroga?

Życzyłem mu jak najlepiej, ale nie zaprzątałem sobie głowy życiem Profesora.

Po prostu, tak zwyczajnie po ludzku, było mi go żal.

Każdego dnia czekał na swoje zwolnienie.

Widziałem to w jego oczach.

Albert Czarnecki opuścił wroniecką celę dokładnie po trzech miesiącach aresztu. Te dziewięćdziesiąt dni postarzało jego fizjonomię o kilka ciężkich lat, a psychikę okaleczyło na wieczność. Tak już jest, że więzienie niszczy. Mury i kraty odbierają

niektórym ludziom witalność, kradną im to, czego nie można kupić za żadne pieniądze świata. Nie miałem okazji, żeby się z nim pożegnać. Po prostu pewnego dnia nie zjawił się na obiedzie, a chłopaki z folwarku potwierdzili, że w południe został wypuszczony za bramę.

Wiele lat później usłyszałem jeszcze o profesorze Albercie Czarneckim. Informacje o nim miałem od Dawida Lepkego, a tak na marginesie, ja i Lepke byliśmy wtedy prawdziwymi kumplami.

Strażnik i więzień.

Bardzo niebezpieczna kombinacja.

Aż trudno uwierzyć, że to mogło się wydarzyć.

Dawid zajrzał do mojej celi podczas popołudniowego obchodu. Pod pachą

trzymał zwiniętą gazetę.

– Pamiętasz tego profesora Czarneckiego? Był aresztantem, kiedy piłsudczycy dorwali się do władzy.

– No jasne, że pamiętam – odparłem i uśmiechnąłem się pod nosem. – Jak mógłbym nie pamiętać! W końcu to on, jak do tej pory, był moim jedynym współlokatorem – zaśmiałem się półgłosem. Porachowałem w głowie liczby. – Siedział tu ze mną, na tej pryczy dokładnie... dziesięć lat temu.

– No i kto by pomyślał, że ten czas tak szybko leci – skwitował Lepke. – Człowiek się ani obejrzy, a tu już mija kolejna dekada. Spójrz. – Podszedł do stołu i położył na blacie „Dziennik Poznański”. Wskazał palcem na artykuł

w lewej kolumnie.

Lepke wyszedł z celi i zaryglował za sobą masywne drzwi.

Usiadłem na taborecie, sięgnąłem po papierosa i zacząłem czytać wiadomość z nagłówkiem *Polak doktorem honoris causa*. Artykuł był dość obszerny i napisany niemal jak hymn pochwalny. Okazało się, że Czarnecki wraz z rodziną wyjechał z Polski w roku 1927 i osiadł w Szwajcarii. Jako że był naprawdę znanym i cenionym ekonomistą w międzynarodowym środowisku akademickim, kolegium Uniwersytetu w Zurychu z radością przyjęło go do swego grona. Czarnecki zaczął tam wykładać na katedrze wydziału

ekonomii. Potem autor artykułu przytoczył kilka faktów z życia profesora. Niestety nie znalazła się tam informacja o jego pobycie we wronieckim więzieniu. Zapewne temat był zbyt wstydlivy i zbyt kompromitujący dla naszych władz. Jak teraz wytłumaczyć ludziom, że wybitny Polak, który kształcił finansowe elity szwajcarskiej gospodarki, kiedyś w swoim ojczystym kraju został uznany za wroga suwerenności i państwowości? „Pochwalić się” narodowi, że stało się to za sprawą jakiejś wyświechtanej ulotki? Kompletna bzdura!

Ciekaw jestem tylko, czy przez te dziesięć lat, które upłynęły od jego

wyjścia z więzienia, Profesor chociaż w myślach wspomniął czasami o nas?

Ostatni aresztanci przetrzymywani w Centralnym Więzieniu we Wronkach opuścili swoje cele w pierwszej połowie grudnia 1926 roku. Nie oznaczało to jednak, że skończył się czas politycznych prześladowań.

Każdą kryzysową sytuację można bez trudu opanować, kiedy kontroluje się media. Miesiąc wcześniej rząd wprowadził ograniczenie wolności prasy. Skoro nie można było zbyt wiele pisać o obecnej sytuacji gospodarczo-politycznej, to należało znaleźć jakiś gorący temat zastępczy. W naszym kraju kwestia żydostwa zawsze była na czasie



i uważam, że to się nigdy nie zmieni.

Słyszeliście o człowieku, który nazywał się Werner Sombart? Otóż dwadzieścia lat wcześniej, ja wtedy byłem małym chłopcem, napisał on obszerne dzieło. Wydano je aż w sześciu tomach, które traktowały o historii gospodarki na przestrzeni wieków. Według niektórych dziennikarzy prasowych autor w swojej publikacji udowodniał, że żydostwo ma wpływ na rozwój i dobrobyt państwa, w którym się osiedliło i prowadzi tam swoje interesy. Nie wiem, czego ów Sombart konkretnie dowodził, bo nie czytałem jego teorii. Wiem zaś, że było coś dziwnego w tym, iż pod koniec 1926 roku nagle pismaki z wielu gazet, jak

jeden mąż, zaczęli pisać na temat opracowania Sombarta oraz polskich Żydów.

Tydzień przed świętami Bożego Narodzenia opinia publiczna została zaabsorbowana właśnie takim tematem zastępczym.

Tak było. Poważnie.

Nawet każdy dozorca we Wronkach miał coś od siebie do dodania w tej kwestii. Wszystkim było źle, każdy za mało zarabiał, każdy ledwo wiązał koniec z końcem, a wszystkiemu byli winni Żydzi i komuniści.

Brzmi znajomo?

Maszerowaliśmy gęsiego w stronę stolarni, a właściwie próbowaliśmy

ostrożnie stawiać kroki i utrzymać równowagę na oblodzonym bruku.

Tradycyjnie Jaśki przodem, potem ja, a za nami strażnik.

Nagle usłyszałem charakterystyczny świst poślizgu, klapnięcie i wściekły syk:

– Niech to szlag! – Tyłek klawisza za moimi plecami zaliczył spotkanie z ziemią. Drewniana pałka wysunęła się ze skórzanego uchwytu, odbiła od lodu przymarzniętego do kocich łbów i zgrabnie podskakując, pomknęła w bok.

– Ostrożnie, panie dozorczo – rzuciłem przez ramię, a w duchu zachichotałem z rozbawienia. Mnóstwo ludzi, widząc czyjś niekontrolowany upadek, reaguje podobnie jak ja. Zawsze miałem z tego

ubaw.

– Parszywa pogoda – warknął strażnik. – Deszcz i mróz, deszcz, znowu deszcz i mróz. I tak w kółko.

Jasiek idący przede mną miał lekko rozchylone ręce, co pomagało mu utrzymać balans.

– Pan się nie martwi, panie dozorco, jesień już poszła precz – odezwał się do dozorca. – Dzisiaj pierwszy dzień kalendarzowej zimy, zamiast deszczu spadnie śnieg.

Ostrożnie szurałem stopami po śliskiej powierzchni i pomyślałem, że Jaśkowe słowa mogłyby się spełnić. Świat od jakiegoś czasu naprawdę wyglądał paskudnie. Wszystko było szare, nudne, monotonne i nijakie, nawet

słońce chowało się za gęstą warstwą ciemnopopielatych chmur. Po drugiej stronie murów czarne gałęzie drzew pozwalały skrzeczącym wronom przysiąść na swoich zdeformowanych ramionach. Nieco dalej z kominów domostw unosiły się w górę słupy ciemnego dymu.

Obraz świata był pomalowany czarno-białą melancholią.

Kwadrans później zamiast wziąć się do pracy, ładowałem w gardziel kuchni zamiecione z podłogi trociny i wszelkie niepotrzebne drewniane ścinki. Przysiadłem obok na taborecie i wsparłem krzyż o kremowe kafle, które powoli robiły się ciepłe. Sięgnąłem po papierosa. Zaciągnąłem się głęboko

dymem i spojrzałem w kierunku podsufitowej belki, gdzie spoczywał mój finansowy depozyt, pięć złotych obrączek i zakonserwowane parabellum z pustym magazynkiem.

Wstałem i zerknąłem, co porabiają Jaśki. W tym tygodniu mieliśmy jeszcze wykonać kilka solidnych skrzyń do archiwum. Chłopaki działali, a ja... nadal nie mogłem się zebrać. Podszedłem do okna i spojrzałem na pusty spaceriak. W oddali po lewej widziałem fragment budynku, w którym mieścił się oddział izolacyjny. W jednym z okien dostrzegłem postać więźnia. Dłonie trzymał na kratkach i chyba coś krzyczał. Pewnie facet zaczyna wariować od nadmiaru

samotności – pomyślałem. W sumie byłem ciekaw, co on tam wrzeszczy? Uchyliłem drzwi, zerknąłem, czy teren jest czysty, i wymknąłem się na zewnątrz. Stałem i przywarłem plecami do wrót. Odległość do izolacyjnego była całkiem spora. Skoro ja widziałem człowieka w oknie, to on widział człowieka przy drzwiach, jeśli oczywiście patrzył w tym kierunku. Miał bardzo nietypową fryzurę. Nawet z oddali było widać, że ciut przydługie jak na skazańca włosy sterczą mu we wszystkich kierunkach. Przypominał karykaturę Iwa z bujną grzywą. Facet coś krzyczał, powtarzał jakieś jedno słowo, ale trudno było zrozumieć. Do moich uszu docierała tylko:

– ooodzę... ooodzę... ooodzę.

W pewnym momencie zamilkł. Miałem wrażenie, że spoglądał w moją stronę. Puścił kraty, wystawił obie dłonie, rozwarł palce i wykonał taki gest, jakby machał do kogoś na powitanie lub na pożegnanie. Brrr, zimno – powiedziałem w myślach, nacisnąłem kłamkę i wszedłem do środka. Wystarczyła raptem chwila na zewnątrz, a człowiek naprawdę mógł zmarznąć. Podeszedłem do drzwiczek paleniska i przykucnąłem, żeby ogrzać skostniałe dłonie.

Kolejka do okienka wydawki posuwała się w wolnym tempie. W stołówce panował gwar, który mieścił



się w granicach tolerancji strażników. Od czasu do czasu ktoś na końcu ogonka rzucił jakimś zabawnym epitetem i rozlegały się krótkie salwy śmiechu.

Trzymałem w dłoniach micheę z łyżką wetkniętą w porcję gryczanej kaszy i wolnym krokiem zmierzałem do stołu. Piotruś Jąkała siedział tuż obok Suchego, a naprzeciwko nich, na moim miejscu... jakiś rozczochrany koleś! Podszedłem do niego z prawej strony.

– To moje miejsce – zwróciłem się do kudłatego. Spojrzał na mnie. Chodziło mi tylko o zasadę. Nowy na początku musi się dostosować do istniejącego układu. – Mógłbyś się przesunąć? – Byłem uprzejmy i mówiłem spokojnym tonem.

Jego twarz miała w sobie coś dziwnego, coś mi w niej nie pasowało i malowała się na niej jakaś sprzeczność. Byłem pewien, że to ten sam człowiek, którego dzisiaj widziałem w oknie na izolacyjnym. Ta sama bujna grzywa, kompletny nieład na głowie, jakby facet nigdy nie widział grzebienia czy też szczotki do włosów. Na nosie miał śmieszne okulary. Chociaż może te okulary były zwyczajne, ale w połączeniu z jego urodą, sprawiały wrażenie śmiesznych. Okrągłe szkiełka w delikatnych drucianych oprawkach wyglądały, jakby dużo przeszły od chwili, kiedy je zrobiono. Szkła były zniszczone i porysowane, lewe pęknięte w poprzek na całej długości, choć

dzielnie się jeszcze trzymało w stalowej obejmie. Rączki okularów miały kształt, który można uzyskać tylko wtedy, kiedy człowiek niezdarnie profiluje je kilkaset razy z rzędu.

– A co zrobisz, jeśli się nie przesunę?  
– odparł z uśmiechem na twarzy świeży.  
– Kątem oka dostrzegłem, że Suchy był gotów do odpowiedniej reakcji. – Żartowałem, przecież to twoje miejsce.  
– Nie dał mi szansy na odpowiedź, a jego słowa zabrzmiały jak puenta dowcipu. Przesunął się w lewo. – Zjawi się tu jeszcze ktoś, kto mnie przegoni? – Spojrzał po nas. – Strażnik mi kazał usiąść przy tym stole, ale durny klawisz nie powiedział, na którym miejscu – zaśmiał się.

Zerknąłem na jego bluzę, tuż nad kieszenią widniał numer 10-08.

Suchy i Piotruś wydawali się nieco rozbawieni dowcipem naszego nowego kompana.

– Raczej nikt więcej nie przyjdzie –  
udzielił mu odpowiedzi Suchy. –  
No chyba że jakiś nieproszony świeżak.

– Mówcie do mnie Dziuba –  
przedstawił się i wyciągnął dłoń w  
kierunku Biegańskiego.

– Piooo... ooo... piooo... – Nasz  
kumpel nie mógł sobie poradzić z  
wypowiedzią. Z każdym dniem było  
coraz gorzej.

– To Piotruś Jąkała, a ja jestem Suchy.  
– Wymienił z Dziubą uścisk.

– Mów mi Ropuch – przedstawiłem

się.

Rozczochrany spojrział na mnie spode łba, a jednocześnie znad okularów.

– Miło mi – powiedział i lekko potrząsnął moją ręką.

– Bardzo dobrze was tutaj karmią – stwierdził nasz nowy współbiesiadnik i zaczął łapczywie zajadać.

Suchy spoglądał na niego jak na jakieś dziwadło i odparł:

– Żartujesz sobie, prawda? To ma być dobre jedzenie? – Wbił łyżkę w gryczany kopiec i podsunął miskę w jego kierunku. – Jak masz ochotę na więcej, to proszę, nie krępuj się, bo ja tego świństwa jeść nie będę.

– Dziękuję – odparł z pełnymi ustami obdarowany i jakby w obawie, że ktoś

mu zabierze dodatkową porcję, przełożył rację Suchego do swojej miski.

Dziuba był chyba wygłodzony, bo wcinał tak energicznie, że aż mu się trzęsły wszystkie sterczące kudły. Usta miał cały czas zapchane kaszą i podczas obiadu nie było okazji, żeby choć przez chwilę tak zwyczajnie z nim pogadać.

Kiedy każdy posiłek spędzasz w czyimś towarzystwie, trudno żebyś takiej osoby nie poznał. Nasz nowy kompan wyglądał na koleśia grubo po trzydziestce i wydawał się całkiem sympatyczny.

– Za co siedzisz? – Suchy jak zawsze walił bez ogródek.

– Za karę – westchnął. – Zrobiłem coś źle. Popełniłem błąd, a jak wiadomo za błędy trzeba płacić.

– Jakieś szczegóły? – dociekał uparcie najbardziej ciekawski z nas.

– Szczegóły? – powtórzył. – Szczegóły są takie, że jak na razie odsiedziałem dopiero trzy lata z dziesięciu i spędziłem je w najbardziej parszywym miejscu pod słońcem. Byłem w więzieniu na Świętym Krzyżu. – Miałem wrażenie, że jego głos miejscami zaczyna brzmieć trochę inaczej. – Przywieźli mnie tutaj we wrześniu i trzymali w izolatce. Kiedy wczoraj dowiedziałem się, że czas obserwacji minął i zostanę przeniesiony do celi na bloku B, to z

radości obwieściłem to światu, krzycząc kilka razy przez okno: „nadchoodzę” – zademonstrowałem cichym głosem. – Może wrzasnąłem raptem pięć razy. Nie więcej. Do izolatki wpadł strażnik i powiedział, że jak jeszcze raz wydrę ryja, to zostanę w samotni na kolejne trzy miesiące. Wolałem nie ryzykować, bo stęskniłem się już za towarzystwem. A wy za co tutaj jesteście? – zmienił nagle temat i spojrzał na mnie.

– My też zrobiliśmy coś źle – odpowiedziałem, patrząc mu w oczy, które chowały się za okrągłymi szkiełkami.

Dziuba spoglądał na mnie, a grymas na jego twarzy świadczył, że oczekuje ode mnie pociągnięcia rozpoczętego



wątku. Kątem oka dostrzegłem, że Suchy z trudem powstrzymuje się, aby nie parsknąć śmiechem.

Kudłaty, otwierając usta, żeby coś powiedzieć, zerknął na Suchego i w tym samym momencie zrozumiał, na czym polegał dowcip.

– A niech was! – Z rozbawieniem uderzył delikatnie dłonią w blat stołu i cała nasza czwórka na kilka chwil zanosła się śmiechem.

– Czym zajmowałeś się w życiu, zanim zostałeś skazańcem? – Chciałem wiedzieć o nim coś zwykłego.

– Kiedy wam powiem, to i tak nie uwierzcie – stwierdził. – Będziecie sądzić, że jestem kłamcą.

– No dawaj, zastrzel nas. – Suchy

najwyraźniej też był zainteresowany.

Dziuba po kolei spojrział każdemu w oczy i powiedział:

– Jestem prawnikiem.

Cała nasza trójka popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Masz rację – powiedział Suchy. – Nie wierzę ci.

– Trudno. – Mój sąsiad rozłożył ręce w geście bezradności.

Piotruś Jąkała kreślił ołówkiem jakieś słowa na wymiętolonej kartce papieru. Kiedy skończył, podał ją Suchemu i jednocześnie położył na ustach palec, dając mu do zrozumienia, żeby milczał. Suchy przez moment przyglądał się zapisanym słowom, a z jego twarzy można było wywnioskować, że nic nie

rozumie. Kartka dotarła do mnie. Było tam tylko pięć wyrazów: „Fiat iustitia, et pereat mundus”. Suchy i ja zareagowaliśmy identycznie. Biegański ruchem dłoni wskazał mi, żebym podał kartkę rozczochranemu.

Dziuba zerknął na litery i uśmiechnął się.

– Jesteś wykształcony, prawda? – zwrócił się do Piotrusia Jąkały. – Fiat iustitia, et pereat mundus – przeczytał płynnie. – To znana sentencja prawnicza. „Sprawiedliwości musi się stać zadość, choćby świat miał zginąć”. Zgadza się? – ponownie skierował swoje słowa do Biegańskiego. Na zdeformowanej twarzy pojawił się uśmiech uznania. Piotruś Jąkała pokiwał twierdząco

głową.

Suchy zrobił minę, jakby naprawdę ten argument był solidnym dowodem świadczącym o profesji Dziuby. Mnie na pewno przekonał.

– A dlaczego Dziuba? – padło kolejne pytanie z ust Suchego. – Od nazwiska?

Kudłaty pochylił się nieco do przodu i powiedział pół tonu ciszej:

– Dżordż mnie tak nazwał i niech tak zostanie.

Spojrzeliśmy po sobie zaskoczonym wzrokiem.

– Jaki Dżordż? – zapytałem.

– Przyjechał tu razem ze mną – mówił konspiracyjnym tonem. – Sam jestem zdziwiony, że jeszcze się nie zjawił.

– Może zakwaterowali go na innym

bloku – stwierdził Suchy. – Widzisz, ile jest tutaj miejsca. – Omiótł wzrokiem pomieszczenie stołówki. – Mamy cztery bloki więzienne i do koryta prowadzi się cztery tury skazanych. Kapujesz?

Dziuba pokiwał głową ze zrozumieniem i zupełnie zmienił temat:

– A dlaczego Suchy?

– Suchy bom Sucharski – przedstawił i wyciągnął w jego kierunku dłoń ponad stołem. Zupełnie jakby chciał tej chwili nadać jakiejś dostojności.

– Dziubandowski – Mój sąsiad uścisnął jego dłoń.

– Adam Sucharski, wychodzę za trzy lata i pięć miesięcy. Łącznie będę miał odsiedziane dziewięć – prezentacja

zaczynała się rozkręcać. Znowu potrząsnął ręką.

– Grzegorz Dziubandowski. – Rozczochrany prawnik posłał mu szeroki uśmiech.

– Grzegorz Dziubandowski. – Tym razem wyciągnął dłoń w kierunku Biegańskiego.

– Piooo... ooo... ooo – zaczęło się.

– Piotruś – Suchy klepnął go w plecy – pozwól, że ja przedstawię cię w twoim imieniu. Dziuba, to jest Piotr Biegański, student filozofii, zwany tutaj Piotrusiem Jakałą. Kiedy trafił do więzienia, wyglądał zupełnie normalnie, nawet był przystojny. Kilka miesięcy temu przyłączył się do grupy szaleńców, którzy chcieli stąd nawiać.

Piotruś oberwał pociskiem w twarz. Dlatego teraz wygląda tak, jak wygląda, i zapadł na pewne nieszczęsne dolegliwości. Pozostali towarzysze, którzy chcieli się wyrwać z tego pierdła, trafili w zaświaty. – Suchy zamilkł na moment i zwrócił się do Biegańskiego. – Ile ci jeszcze zostało do odpierdzenia? – Zapytany starał się odpowiedzieć, ale nasz kompan nie dał mu szansy. – Kartka! – Kiwnął do Dziuby, a ten podał mu świstek papieru, który leżał tuż przed nim. – No to zostało mu jeszcze czternaście i pół roku – oznajmił Suchy zaraz po tym, kiedy Piotruś Jąkała skreślił ołówkiem swoje cyfry.

– Grzegorz Dziubandowski – zwrócił

się do mnie.

– Stanisław lub Stefan Żabikowski –  
odpowiedziałem. – Ropuch,  
od nazwiska. Stolarz. Dożywocie.

– Zaraz, zaraz – wyskoczył Suchy –  
co znaczy Stanisław lub Stefan? Czemu  
ja nic nie wiem na ten temat?

– Nie ma o czym gadać. W papierach  
Stanisław dla przyjaciół Stefan. –  
Posłałem im uśmiech.

Wtem Siostrzyczka, siedzący tuż  
za moimi plecami, szturchnął mnie  
łokciem w ramię i powiedział:

– Panowie, siedzimy sobie tutaj  
spokojnie z chłopakami – kiwnął głową  
w stronę swoich współbiesiadników –  
zajadamy pyszną kolację i chcąc nie  
chcąc, słyszymy, o czym mówicie. Czy



możecie już, kurwa mać, skończyć z tymi uprzejmościami, bo tak mdli, że aż chce się rzygać.

– Ty łajzo. – Suchy chciał podjąć wyzwanie, ale towarzystwo z drugiego stolika pozostawiło go bez szans. Ryknęli śmiechem tak głośno, że aż dozorczy musieli zareagować.

Kiedy ucichła kanonada rozbawienia, Siostrzyczka zwrócił się do Dziuby:

– Dobrze wiedzieć, że mamy wśród nas prawnika. A z tym rzyganiem to taki żarcik. – Klepnął go w ramię. – Może komuś z nas przyda się twoja wiedza – skwitował.

– Może – odparł Grzegorz Dziubandowski.

Przez całe święta Bożego Narodzenia nie spadł ani jeden płatek śniegu, ale za to było cholernie zimno. Pośrodku spacerniaka chłopaki wyślizgali kilku metrowy pas lodu. Frajdy było co niemiara, a zwłaszcza gdy ktoś tracił równowagę, kręcił niezdarnego pirueta i padał pyskiem na lód.

Ja, Suchy i Dziuba staliśmy z dłońmi wciśniętymi w kieszenie kufajek i dreptaliśmy w miejscu.

– No i gdzie ten twój cały Drożdż? – zagadnął Suchy.

– Dżordż – poprawił go Dziuba.

– Drożdż, Dżordż, Żerdż – wymieniał lekceważąco Suchy. – Co za różnica? – W tym samym momencie wskazał palcem w kierunku ślizgawki i parsknął

śmiechem. – Widzieliście, jak wyrznął? Piękne to było! Cudowne! – Gwizdnął na palcach, a potem zaklaskał w dłonie.

Wyjąłem z kieszeni mosiężną papierośnicę. Dziuba łypnął wzrokiem w jej kierunku.

– Będiesz tak miły i poczęstujesz? – zapytał.

– Ale wiesz, jak jest. – Spojrzałem mu w oczy. – Jak dostaniesz swój ekwiwalent, to rewanżujesz się dwoma szlugami.

– Oczywiście, zasady to zasady – skwitował. – Z prawdziwym namaszczeniem zaciągnął się dymem. – Wiesz, to, co się tutaj dzieje, jest niesamowite. To wręcz niewyobrażalne. – Omiótł wzrokiem teren spacerniaka.

– To znaczy, co jest niesamowicie niewyobrażalne? – odezwał się Suchy. Jego podzielność uwagi już nie pierwszy raz wprawiała mnie w zdumienie. Facet spoglądał na beztrosko ślizgających się na lodzie więźniów, myślał o jakiś duperelach, a jednocześnie słuchał, o czym się mówi tuż obok.

– To wszystko, co się tutaj dzieje. Pojedyncze cele, wygodna prycza, dobre jedzenie, ciepła woda podczas kąpieli, spaceriak... po prostu wszystko.

– O czym ty bredzisz, człowieku?! I co jeszcze jest tutaj niesamowitego? Mury, kraty, strażnicy, zasieki z kolczastego drutu, siatka dookoła spacerniaka? Co jeszcze cię zachwyca? Strzelcy pod bronią w wieżyczkach? –

drwił, ale nie w swoim typowym, komicznym stylu. Teraz szydził z lekką pogardą.

Dziuba prychnął z politowaniem.

– To jest przedszkole, a nie więzienie.

– Spojrzał mu w oczy. – Słyszałeś kiedyś o więzieniu na Świętym Krzyżu?

– zapytał. – Ja tam byłem, trzy lata. Trzy cholernie długie lata! – Głos wzbierał mu na sile. – Przekłęte miejsce. Słyszałeś kiedyś o nim?

Suchy spojrzał na niego wymownie.

– Dziubus, każdy z nas w swoim życiu był w jakimś parszywym i gównianym miejscu. Jeśli chcesz, to katuj sobie łepetynę wspomnieniami, ja nie mam ochoty tego słuchać, pojąłeś? Nie musisz mi niczego udowadniać. – Omiótł nas

wzrokiem. – Spadam stąd, bo zaczyna trącić beznadzieją. Na razie, ćwoki. – Machnął dłonią i odszedł.

Dziuba poprawił czapkę, spod której wystawały jego kudły, i przez dłuższą chwilę odprowadzał wzrokiem oddalającą się postać. Mruknął coś pod nosem, a ja zrozumiałem tylko: „...iii ... eeeściuch”.

– Co to za miejsce ten Święty Krzyż?

– W przeciwieństwie do Suchego byłem zaintrygowany. Słyszałem, właściwie wszyscy o nim słyszeliśmy, bo tam został przeniesiony Prezes.

– Łysiec, Łysa Góra, mówią ci coś te nazwy? – zapytał, ale sądząc po mojej minie, doszedł do wniosku, że chyba nic nie wiem na ten temat. – To takie

miejsca w Górach Świętokrzyskich. Według starych pogańskich podań na Łysej Górze odbywały się zloty czarownic.

– Teraz kojarzę – powiedziałem to takim tonem, jakbym przypomniał sobie coś naprawdę istotnego, a były to jedynie opowiadki, które słyszałem w dzieciństwie. Mój dziadek straszył mnie takimi historyjkami przed snem. A na koniec zawsze mówił, że tylko grzecznym chłopcom nic nie grozi.

– W czasach, kiedy Światowid był bogiem, Łysiec był miejscem pogańskiego kultu – ciągnął Dziuba. – Potem Mieszko Pierwszy przyjął chrzest i nowa wiara, krzewiona ogniem oraz mieczem, wtargnęła na te ziemie i

wszystko zaczęło się zmieniać. Tuż obok skalnego rumowiska na Łysej Górze zbudowano klasztor. Według niektórych podań klasztor może mieć nawet ponad tysiąc lat...

– Chcesz mi opowiedzieć historię jakiegoś kościółka czy więzienia? – wpadłem mu w zdanie.

Dziuba zaśmiał się ponuro.

– Jedno bez drugiego nie istnieje. Przejdźmy się – potarł dłonie – bo jakoś tak zimno, kiedy człowiek stoi w miejscu.

Ruszyliśmy wolnym krokiem.

– Na szczycie, pośrodku lasów zbudowano ów klasztor. Jak myślisz, dlaczego to miejsce nazywa się Święty Krzyż? I nawet górskie pasmo, które



rozciąga się w tamtej okolicy, nazwano Górami Świętokrzyskimi. Wiedziałeś o tym? – Nie czekał na moją odpowiedź. – W tym klasztorze znajduje się relikwia krzyża. Tak, tak jak myślisz. – Spojrzał mi w oczy. – Chodzi o krzyż. O ten najbardziej znany krzyż w historii całej ludzkości. Od setek lat spoczywają tam jego fragmenty. Krzyż Święty, na którym zamęczono Chrystusa. Stąd też nazwa dla tamtego miejsca, tamtejszych gór i dla całego regionu.

– Naprawdę? – Byłem bardzo zaskoczony jego słowami. – Nigdy o tym nie słyszałem.

– No to teraz wzbogaciłeś się o kolejną dawkę wiedzy – westchnął. – Skrawki drzewa symbolizujące mękę

Pańską są przechowywane w złotym krzyżu patriarchalnym.

– W czym? – Miałem wrażenie, że Dziuba, wypowiadając niektóre słowa, zaczyna mówić szyfrem.

– Tak wygląda krzyż patriarchalny. – Nakreślił stopą na zamrożonej ziemi jego kształt. – Pewnie widziałeś ten symbol niejedną raz, prawda?

Potaknąłem głową.

– Niespełna pół wieku temu, kiedy byliśmy pod zaborami, dekretem cara większą część zabudowań przeznaczono na więzienie. Blisko dwa lata trwała przebudowa i adaptacja budynków. Prawosławny car poniżył tym rozkazem wiarę rzymskokatolicką i zbezczęścił to miejsce. Po latach Polska odzyskała

wolność i wiesz, co się stało? – Spojrzał na mnie. – Nic, kompletnie nic się nie zmieniło. Zdjęto tylko napisy wykonane cyrylicą. Teraz na bramie wejściowej widnieje napis: „Święty Krzyż Więzienie Ciężkie”. Pojmujesz tę ironię? – Zamilkł.

Dostrzegłem, że nerwowo porusza zuchwą.

– W miejscu, gdzie ściągają tysiące pielgrzymów, gdzie znajduje się jeden z największych symboli naszej wiary, która mówi, żeby kochać bliźniego swego jak siebie samego – głos zaczynał mu niepokojąco drżeć – znajduje się też miejsce okrutnej karni. Ponure siedlisko dla tych, którzy dopuścili się w życiu bardzo złych rzeczy. Myślę, że jeśli

piekło istnieje, to jedna z dróg wiedzie do niego przez Święty Krzyż.

Zataczaliśmy kolejne okrążenia, a mój kompan opowiadał mi o tym, jak przez ostatnie trzy lata wyglądało jego życie.

– Spacerownik? – Dziuba zaśmiał się kpiąco. – Popatrz na nich – machnął wyciągniętą przed siebie ręką – i wyobraź sobie, że ten cały plac jest wybrukowany kamienną kostką. Pośrodku tego placu jest mały zielony skwerek z równiutko przystrzyżoną trawą, na którym rosną trzy drzewa. Drzewa są jeszcze młode, stoją w linii prostej i dzieli ich od siebie jakieś trzy metry. Trawnik ma rozmiary sześć metrów na dwanaście. Wyprowadzają cię na spacer razem z innymi siedmioma

więźniami, pilnuje was czterech strażników, a wy idziecie gęsiego dookoła tej zielonej enklawy. Drepczecie tak raz w tygodniu. Maszerujecie jeden za drugim tylko przez kwadrans. Potem powrót do celi. Za tydzień kolejne wyjście. Na Świętym Krzyżu nie wracasz do pojedynczej celi, żeby walnąć się na pryczę i leżeć przez resztę dnia. Tam są wieloosobowe, ciasne cele. Nie ma łóżek. Śpisz na posadzce, masz tylko liche koc, marną poduszkę i towarzystwo w sile dwudziestu chłopca. Smród, zaduch i brak miejsca. Tam nawet nie dało się rozprostować kości. Jeśli chcieliśmy trochę położyć, musieliśmy ustawić się jeden za drugim i kroczyć wężykiem,

zataczając esy od ściany do ściany. Wyobraź sobie, że nawet podczas snu trudno się było przekręcić na drugi bok. Okropny ścisk. Posiłki! – prawie krzyknął. – Podają wam tutaj wszystko na tacy. Nikt ci nie zabierze twojej kolacji albo śniadania, nikt cię nie pobije, żeby zjeść twój obiad. Tutaj przychodzisz na stołówkę i jesz jak człowiek, a tam? He! Tam klawisz otwiera drzwi do celi, a funkcyjny nakłada ci strawę do michy, którą mu podsuniesz. Jeśli masz na pieńku ze strażnikami, to będziesz chodził głodny. Kiedy dozorca powie: „koryto od Ropucha”, wszyscy w celi wiedzą, że masz problem. Twój posiłek zabiera ten, który stoi najbliżej drzwi. A najbliżej

drzwi zawsze stoi ten, który rządzi w celi. Na takiego człowieka mówi się „sołtys”. Każdy sołtys jest w zasadzie nietykalny. Niby pilnuje porządku i spokoju w celi, ale w praktyce polega to na tym, że... – zawiesił głos na chwilę – że taki ktoś jest gorszy od wszystkiego, co znasz. Tam zaciera się granica pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Jak jesteś zbyt słaby, niezdecydowany, zastraszone, to cię zniszczą i upodlą. Wszelkie dewiacje czy seksualny terror, do jakich dochodzi między osadzonymi, są surowo karane. A zdajesz sobie sprawę, jak silna jest w takiej grupie zmowa milczenia? Tam nikt ze skazańców o tych sprawach nie rozmawia. Strażnicy mają za zadanie

pilnować porządku. Światła w celach palą się od wieczora aż po świt. Presja, panie kolego, presja środowiska jest tak wielka, że nawet jeśli leżysz obok kogoś, a jego akurat gwałcą, a ty po prostu leżysz obok i spoglądasz mu w oczy pełne bólu, to i tak niczego nie zrobisz. Nie pomożesz mu.

Kiedy Dziuba mówił o brudnych, cielesnych sprawach, moje myśli natychmiast wygrzebały wspomnienia o tym, co stało się z Hrabią.

– Praca? Tam nie ma pracy, tam jest katorga. Większość więźniów pracuje przy wyrębie lasów lub w kamieniołomach, tylko nieliczni mają zajęcia w warsztatach. Trzeba być fachowcem, żeby zdobyć dobre zajęcie.



Na cóż może liczyć ktoś z moją profesją? Co może robić więzień, który ma prawnicze wykształcenie? Tak samo jak tutaj, dostajesz robotę, do której potrzeba jedynie dwóch sprawnych rąk. Tu przydzielili mnie na łodygownię, pewnie wiesz, co tam się robi, prawda?

– Wiem, sam tam zaczynałem – odparłem, jakbym chciał go pocieszyć.

– Panie kolego – w jego westchnięciu zabrzmiało szczere zadowolenie – na łodygowni jest pięknie. Kiedy na Świętym Krzyżu była przerwa w wycince lasów, a ja pracowałem przy wyrębie, to wtedy zabierali nas na piaski. Tak nazywają tam południowy fragment zbocza. Wiesz, jak jest, skazańcy nie mogą się nudzić. Każdy

dostaje łopatę i schodzimy w dół góry, jakieś sto, może sto dwadzieścia metrów. Ziemia tam jest dość specyficzna, sypka. Kazał ci nabrać piachu na łopatę, a potem biec w górę te sto metrów. Kolejny więzień startuje jakieś pięć sekund po tobie. Docierasz na miejsce i wysypujesz to, co przyniosłeś na łopacie. Zbiegasz w dół, a tam masz tylko chwilę na odpoczynek, bo przesuwa się kolejka i co pięć sekund kolejny nieszczęśnik gna tam, skąd ty wróciłeś. Po kilku razach masz już serdecznie dość, zaczyna brakować sił, ale klawisze nie dają ci wytchnąć. I tak biegasz bez sensu parę godzin. Potem pada nowa komenda i cykl zostaje odwrócony, zaczynamy

ziemię znosić w dół. Po takim dniu jesteś wykończony, mięśnie nóg odmawiają posłuszeństwa, marzysz tylko o tym, żeby się położyć i zasnąć. Wracasz do celi, a tam sołtys co jakiś czas ogłasza dreptanie wężem. Na obiad dostajesz na wpół surowego ziemniaka w letniej wodzie i zjadasz go tak, jakby to była najsmaczniejsza potrawa na świecie. Stamtąd nie ma szans na ucieczkę, no chyba że wyrosną ci skrzydła. Kiedy pędzą cię do pracy przy kamieniach albo przy drzewie, to zanim wyjdiesz poza bramę, zakładają ci cholewki.

– A cóż to takiego? – zapytałem z zaciekawieniem.

– To taka zmyślna konstrukcja, która

przechodzi o tutaj. – Zatrzymał się i wskazał dokładnie miejsce od nasady łydki aż po jej zakończenie. – Najpierw zakładasz nogawkę ze skóry cielęcej, która ma długość cholewy oficerskiego buta, stąd ta nazwa. Wciągasz ją po prostu na gacie. Potem zapinają ci okrągłe, stalowe obejmy grubości kciuka, tu – złapał się tuż ponad kostką – i tu – chwycił się pod kolaniem. – Metalowe pierścienie nie będą ranić ciała, bo wspierają się na skórzanej cholewie. Obie nogi zostają połączone łańcuchem takiej długości, żebyś mógł wykonać trochę więcej niż pół kroku. Jeżeli sobie nagrabisz, to będziesz to nosił dzień i noc przez okrągły tydzień. Jak jesteś niepokorny, trafiasz

do karceru. Pewnie macie tutaj ciemnice, co?

– Tak, mamy – odparłem, ale nie chwaliłem się Dziubie, że miałem okazję tam przebywać.

– W każdym więzieniu są takie parszywe pomieszczenia. – Zamilkł na moment, jakby wrócił myślami do miejsca, o którym mówił. – W karcerach Świętego Krzyża wiszą na ścianach kajdany. Przykuwają cię nimi na takiej wysokości, że nie możesz się wygodnie położyć. Możesz siedzieć, stać, kucać. Jak się uprzesz, oczywiście możesz się położyć, ale to średnia przyjemność leżeć z rękami wyciągniętymi nieco w górę. Jedna ciemnica jest tam szczególna. Mówią

na nią „staw”. Dlaczego? – zapytał sam siebie. – Ano dlatego, że na posadzce jest woda. Nie, nie jakaś tam kałuża, po prostu stoisz po kostki w wodzie. Nietrudno sobie wyobrazić, jaka to wymyślna tortura.

– Byłeś zamknięty w stawie? – zapytałem z czystej ciekawości.

– Ja na szczęście nie miałem okazji, ale znałem takich, którzy już po jednym pobycie zostali skruszeni. Byli jednak też tacy jak Dżordż – uśmiechnął się lekko – a takich jak on nie dało się złamać.

Dziuba przez jakiś czas każdego dnia porównywał Wronki do Świętego Krzyża, a z jego opowieści wynikało, że my nie wiemy, czym jest prawdziwe

więzienie. Suchy był bardziej sceptyczny ode mnie, nie wierzył we wszystko, co słyszał. Pewnego dnia powiedział do mnie:

– Wiesz co, tak sobie myślę, że z tym Dziubą to chyba jest coś nie teges...

Nowy Rok powitał nas w mroźnej aurze. Temperatura na zewnątrz, jeśli wierzyć dozorcóm, utrzymała się poniżej minus dwudziestu stopni, a prognozy nie wróżyły szybkiej poprawy. Nawet krótki przemarsz od głównego wyjścia do drzwi stolarni powodował, że skóra twarzy momentalnie robiła się czerwona z zimna, palce kostniały, a w uda wbijały się bolesne, lodowate szpilki. Zaczynałeś się obawiać, że jeśli ktoś

pośle ci pstryczka w ucho, to jak nie stracisz fragment małżowiny.

Matka natura zachwyciła wtedy świat, pokrywając go mieniącą się szklistą powłoką. Chociaż nie wiem, być może świat się tym nie zachwycił, ale ja byłem pod niesamowitym wrażeniem.

Szadź. Bajeczna, śnieżnobiała szadź, która zakuła w swoich okowach gałęzie drzew wystające nad więziennym murem. Kiedy spoglądałem na nie, miałem wrażenie, że są to delikatne kryształowe formy, że wystarczy lekkie puknięcie, a rozpadną się w szklany pył. Dla mnie ten widok był fascynujący, zima bez śniegu, a świat dookoła nas białusieńki jak welon panny młodej.



Styczeń 1927 roku obfitował w przeróżne zdarzenia.

Centralne Więzienie we Wronkach.

Piotruś Jąkała został przeniesiony do zakładu dla słabych fizycznie i niepełnowartościowych psychicznie w Grudziądzu. Ponoć wniosek o przeniesienie Biegańskiego wystosował i napisał przodownik Blaszański, który uznał Piotrusia za osobę nienadającą się do odbywania kary we wronieckim więzieniu. Uzasadnił to tym, że więzień z takimi problemami powinien przebywać w specjalistycznej placówce. Faktem jest, że dolegliwości Biegańskiego pogarszały się z każdym dniem, a brak aresztantów we Wronkach spowodował, że etat gryzipiórka był

zbędny. Blaszański zachował się jak szuja i wcale nie martwił się o Biegańskiego, po prostu na poważnie zaatakował stanowisko aspiranta Szumskiego. Myślę, że chciał wykorzystać wszystkie możliwości, aby dostać awans pod nieobecność Teodora, który w tym czasie przebywał gdzieś w dalekim świecie i kurował swoje nadszarpnięte zdrowie. W walce o stołek nie ma litości, nie ma kumpli i sentymentów. Blacha miał jeden cel – chciał zrobić wrażenie na naczelniku. Udało mu się. Biegański trafił do Grudziądza, a my nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak dalej potoczyły się jego losy.

II Rzeczpospolita.

W pierwszej połowie stycznia polskie służby wywiadowcze, współpracując z policją, przeprowadziły szeroko zakrojoną akcję i zrobiły porządek z białoruską Hromadą. Aresztowano niemalże wszystkich jej członków, kilkaset osób, w tym również kilku posłów na sejm. Interwencja naszych służb była wyjątkowo skuteczna. Chłopcy Piłsudskiego uznali, że białoruskie ugrupowanie na terenie Polski najwyraźniej zaczęło przesadzać ze swoimi żądaniem do samostanowienia. W świetle prawa zdelegalizowano Hromadę, a jej członków uznano za wrogów narodu polskiego. Kilku z nich trafiło do Wroniek i przez jakiś czas

przetrzymywano ich w celach na ostatnim piętrze. Był wśród nich jeden z asów Hromady, niejaki Iwan Hiełda. W więzieniu takiej informacji nie da się utrzymać w tajemnicy. Już kilka dni po ich przybyciu zaczęła krążyć plotka, że jeśli zostaną wypuszczeni z cel, to któryś z nich może umrzeć. I żeby było śmieszniej, te szalone deklaracje wypowiadali niektórzy ze skazanych.

– Widzisz, jakim jesteśmy durnym narodem – powiedział Suchy z nieukrywaną pogardą, kiedy wieści o samosądzie i wymierzaniu sprawiedliwości zaczęły się nieść po więziennych korytarzach. – Nie ma chyba w świecie głupszej nacji niż

Polak. Patrioci z bożej łaski – prychnął. – Pomachać szabelką, pokrzyzczeć kilka wzniosłych haseł, pokazać, jak to się bardzo kocha własny kraj, chociaż kraj wpakował cię za kratki i nie chce z tobą mieć nic wspólnego. Nam wolno walczyć za wolność i niepodległość, ale takim Białorusinom albo Ukraińcom to już nie? Tylko my możemy innych kopać po jajach. Co za syf! Jestem otoczony bandą kretynów w szarych wdziankach.

Świat.

Flota brytyjska wysłała do Chin statki pełne wojska. Konflikt zbrojny w dalekiej Azji odbija się echem wojennych bębnow w Europie. Wiadomości są różne i tak na dobrą

sprawę, nie wiadomo do końca, co się tam dzieje. Jak zawsze prawda leży pośrodku. Wiadomo jednak, że tego roku za murem chińskim pod przewodnictwem Mao Zedonga wybuchło „powstanie jesiennych zbiorów”.

– Panowie, mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko, że przysiadę się do was – powiedział Siostrzyczka, trzymając w dłoniach tacę ze śniadaniem i usiadł obok Suchego. – Przy naszym stole tłok, pełna obsada, a u was trzy miejsca wolne...

– Siadaj, chłopie – rzucił w jego kierunku Suchy i posłał mi oko. – Teraz będziemy mieli wejście na izbie

chorych.

– Jasne, tylko powiedz, co potrzebujesz? Pięć dni wolnego z pracy, a może dawkę opiatów na najbliższy miesiąc? – zażartował łapiduch. – Mogę ci obiecać, co tylko zechcesz, ale wątpię, żeby udało mi się cokolwiek załatwić.

– Nie chrzań – syknął wesoło jego rozmówca.

– Na Świętym Krzyżu w lazarecie...  
– zaczął Dziuba.

– Dziuba, daj sobie już spokój, człowieku, z tymi opowieściami z krainy Świętego Krzyża – warknął Suchy. – Ja naprawdę nie mogę już tego słuchać. Tak, tutaj mamy się jak tłuściutkie pączki w maśle, a tam wszyscy mają przesrane

– skwitował.

Dziuba spojrział na niego spode łba i syknął:

– Wiesz co, przestaję cię lubić.

– Mam to w dupie – padła natychmiastowa odpowiedź. – Katują mnie te opowiadki, rozumiesz? Zostało mi jeszcze trzy lata i trzy miesiące, potem stąd spadam i chciałbym ten czas spędzić w miarę przyjemnie.

Już wiecie, że moja pamięć do dat to czasami prawdziwe przekleństwo. Dwudziesty pierwszy stycznia. Mój Boże, ileż bym dał, żeby zapomnieć! Cóż zrobić, żeby nie wracać wspomnieniami do chwil, które są świadectwem mojego dawnego życia?



Najlepiej zapaść na amnezję.

Ten dzień zawsze będzie należał do niej.

Gdziekolwiek będę i cokolwiek się wydarzy w moim życiu, nigdy nie ucieknę przed tym styczniowym dniem. Zawsze będę musiał przeżyć datę jej imienin. Nawet zastanawiałem się, czy jej mąż ma dla niej jakiś skromny prezent? Czy pamięta? Czy czci ten dzień tak, jak powinien to robić kochający mężczyzna?

Usiadłem przy kuchni, zapaliłem papierosa i zacząłem się zastanawiać, czy to jest ta chwila, kiedy powinienem skreślić do niej list? Napisać w kilku słowach, jak się mają u mnie sprawy, przypomnieć jej o tym, że noszę w sercu

pamięć naszej miłości? Czy warto? Czy mam tak zrobić?

Od samego rana takie właśnie myśli krążyły mi w głowie.

Wyrwałem delikatnie kilka kartek ze skoroszytu, złożyłem je na cztery i schowałem do kieszeni na piersi.

Po południu napiszę!

Siedziałem przy stole, bawiąc się w palcach ołówkiem i patrząc na błękitne niebo po drugiej stronie krat. Przez moje myśli przewijały się wspomnienia...

To nie ma najmniejszego sensu! Cisnąłem ołówkiem o ścianę i położyłem się na pryczy.

Nie napisałem ani słowa.

Z początkiem lutego, po blisko dwóch miesiącach nieobecności, do pracy wrócił aspirant Szumski. Wyglądał tak, jakby pobyt w żywieckim sanatorium postawił go na nogi. Jego cera już nie miała ziemistego koloru, nabrał odrobinę ciała i ogólnie sprawiał wrażenie, jakby wstąpiły w niego nowe siły witalne.

Trzy dni później zostałem wezwany do pokoju zwierzeń.

– Jak leci, Żabikowski? – powitał mnie, kiedy przekroczyłem próg znanego mi gabinetu.

– Wszystko w porządku, panie aspirancie – odparłem.

– Domyślam się, Żabikowski, domyślam – westchnął ze swoją

znajomą złośliwością. – Słyszałem, że naczelnik dał ci listy. – Wyciągnął szufladę biurka ku sobie. – I jak widzę nie tylko tobie.

– Tak jest, panie aspirancie.

– I co, poskarżyłeś się Zalewskiemu, jak to się na ciebie uwziąłem? – zapytał podejrzliwie.

– Nie mam w zwyczaju się skarżyć, panie aspirancie – odparłem.

– To dobrze Żabikowski – fuknął. – Bardzo dobrze, bo ja nie lubię donosicieli, ale jak było naprawdę, to dopiero sprawdzę. Ja mam czas, mam sporo czasu... podobnie jak ty – dodał.

– Jak przebiegają prace na stolarni? – zmienił temat.

– Wszystko idzie zgodnie z planem i

wytycznymi – zameldowałem.

Szumski wstał, podszedł do okna, spojrział na świat po drugiej stronie szyby, po czym obrócił się na pięcie i ruszył w stronę szafy. Uchylił drzwi i wyjął brązową butelczynę. Wrócił do biurka, odkorkował szyjkę i wlał małe co nieco do metalowego kubka.

– Za nas, Żabikowski – powiedział, uniósł nieznacznie kubek w górę i jednym haustem wychylił jego zawartość. Chuchnął, uwalniając w oddechu moc płynu. – Tak, Żabikowski, pan Teodor Szumski powrócił na stare śmieci i zajmie się wami tak, jak powinien zająć się surowy ojciec niesfornymi bachorami. – Okrążył biurko i ponownie usiadł na krześle.

Odchylił się w tył, zarzucił dłonie na kark i przez dłuższą chwilę przyglądał się mi badawczym wzrokiem. – No to jak jest, Żabikowski? Cieszysz się, że już jestem z powrotem?

– Cieszę się, panie aspirancie, że powrócił pan do dobrego zdrowia – kłamałem jak z nut, bo w duchu życzyłem mu, żeby trafił go szlag.

– Potrafisz łągać, Żabikowski, jak mało kto! Nawet ci nie drgnie powieka, ale możesz być pewien, że ja niezmiernie się cieszę, że cię widzę. Miałem nawet pewne obawy, że stało ci się coś niedobrego. – Spojrzał na mnie tym samym znajomym szczerzym wzrokiem. – Byłbym niepokieszony, gdyby to zdarzyło się podczas mojej

nieobecności. Dotarły do ciebie pozdrowienia od Prezesa? – zmienił temat.

Spojrzałem zaskoczonym wzrokiem na twarz funkcjonariusza.

– No nie mów mi, że nie wiesz?! – zdziwił się. – Czyżby nowy więzień, który już ponoć od dłuższego czasu krąży pośród was, nic ci nie powiedział?

– Nie, panie aspirancie – odparłem i poczułem w okolicach podbrzusza nieprzyjemne mrowienie.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się w głos, bardzo szczerze. – No to niezły z niego numer, już go lubię – skwitował. – A ja słyszałem, że on i Prezes bardzo szybko skumpłowali się na Świętym Krzyżu. Wiesz, jak jest, ponoć swój ciągnie do

swego.

– Dziuba, co ci mówi nazwisko Mikrut, Władysław Mikrut? – zacząłem całkiem niewinnie podczas obiadu.

Na twarzy Suchego odmalowało się zdziwienie.

– Nic – odparł kudłaty i dalej zajadał swój obiad.

– Jesteś pewien?

– Nie znam człowieka – odpowiedział i spokojnie wiosłował kartoflankę. – A dlaczego pytasz?

– Bo z tego, co słyszałem, to wiesz, kim on jest.

– Kto? Ja? – zapytał zaskoczony.

– A Prezes? Słyszałeś kiedyś tę ksywkę?



Dziuba jakby przez moment się zastanawiał.

– Nie, nigdy nie słyszałem. Ale może – odezwał się po chwili – może Dżordż go zna?

Miałem w głowie chaos.

– Dziuba! – prawie krzyknąłem. – Jaki, kurwa mać, Dżordż?!

– No ten, który ze Świętego Krzyża przyjechał tutaj razem ze mną. – Patrzył na mnie dziwnym wzrokiem, zupełnie nie pojmując mojego zdenerwowania.

– Co jakiś czas mówisz o niejakim Dżordżu, którego nigdy nikt tutaj nie widział!

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Może ciągle jest na izolacyjnym –

zasugerował.

– Nikt nie siedzi w izolatce dłużej niż trzy miesiące – odezwał się Siostrzyczka.

– Ale czego wy ode mnie chcecie? – zapytał Dziuba. – Nie znam żadnego Prezesa, znam tylko Dżordża.

Kiedy wychodziliśmy ze stołówki zagadnąłem do Siostrzyczki:

– Możesz coś dla mnie zrobić?

– Jasne, co tylko sobie życzysz – odparł.

– Masz spore kontakty – chciałem połechtąć jego próżność. – Dowiedz się, za co siedzi Dziuba i w ogóle co to za facet.

– Mogę popytać, ale nic nie obiecuję.

Czternastego lutego, dzień jak każdy inny, a jednak bardzo szczególny. Dzień świętego Walentego. Pobudka, uderzenie w gong, komenda wyjścia na śniadanie. Stoimy w kolejce do okienka wydawki. Suchy tuż za mną. Odbieramy swoje racje żywnościowe i wolnym krokiem zmierzamy w kierunku naszego stołu. Siostrzyczka siedzi obok Dziuby. Dziuba ma inną fryzurę niż zazwyczaj. Strąki dłuższych włosów gładko zaczesane do tyłu, jakby je zmoczył wodą. Na nosie nie ma znajomych, zdeformowanych oprawek i okrągłych szkieł.

– A ten co?! – zapytał mnie Suchy zaskoczonym głosem. – No, patrz. – Kiwnął głową w tamtym kierunku. –

Usiadł na moim miejscu! – powiedział to takim tonem, jakby stało się coś bardzo, ale to bardzo nietaktownego.

Podeszliśmy bliżej.

– Dziuba, a ty co?! – rzucił w jego kierunku Suchy. – Nie pomyliłeś się, człowiecze?

– Do mnie mówisz? – zapytał Dziuba, podnosząc wzrok.

– A niby do kogo, ćwoku? – Suchy położył swoje śniadanie na stole.

Niespodziewanie Dziuba podniósł się i posłał mu szybki i mocny cios prosto w splot słoneczny. W jednej chwili złapał Suchego za ramiona, przytrzymał go i posadził na moim miejscu. Stałem oniemiały i obserwowałem zajście. Wszystko działo się w mgnieniu oka i

chyba nikt nie zauważył całej akcji. Suchy z trudem łapał powietrze.

– Nie zrób niczego głupiego, bo obaj oberwiemy po nosie! – syknął przez zaciśnięte zęby Dziuba i usiadł. Spojrzał po naszych twarzach. – Dzień dobry, panowie, jestem Dżordż. – Przeciągnął dłonią po swojej fryzurze, jakby chciał poprawić idealnie zaczesane włosy. – Czego się gapisz?! – warknął w stronę więźnia przy stoliku z lewej. Momentalnie wrócił wzrokiem na twarz Suchego i nie spuszczając z niego oczu, sięgnął po kubek z kawą.

Suchy z trudem łapał powietrze.

Spojrzałem na twarz Dziuby i wydał mi się... jakiś taki inny.

– Nikt z was nie chce kłopotów,

prawda? – odezwał się i nawet jego głos brzmiał zupełnie obco. – Więc niech każdy zajmie się swoim posiłkiem. A ty nie bądź głupi i nie kombinuj – rzucił krótko, spoglądając Suchemu w oczy.

Stałem zaskoczony. Strzeliłem wzrokiem na Siostrzyczkę, który z rozdziawioną gębą wpatrywał się w swojego sąsiada po lewej.

– Spróbujmy jeszcze raz – odezwał się Dziuba – bo chyba źle zaczęliśmy. Jestem Dżordż. – Wyciągnął dłoń w kierunku Suchego.

– Pierdol się, frajerze – warknął w odpowiedzi.

– Starąłem się być grzeczny... – Zacisnął dłoń w pięć i posłał

mu miażdżącą torpedę prosto w twarz. Suchy nie miał najmniejszych szans, poleciał w tył i uderzył w więźnia, który siedział za jego plecami. Zrobiło się zamieszanie, ktoś krzyknął. Dżordż vel Dziuba poderwał się na równe nogi, wyskoczył zza stołu i ruszył w stronę Suchego, który zamroczony padał na podłogę. Atakujący, najwyraźniej bez względu na konsekwencje, chciał dokończyć dzieła. Nie czekałem na dalszy bieg wypadków, puściłem z dłoni tacę i zanim uderzyła o posadzkę, wzięłem zamach, żeby trzepnąć niejakiego Dżordża w pysk. Ten zrobił błyskawiczny unik i poczułem tylko, jak jego twarda pięść rozbija się na moim podbródku, a potem... zapadłem się w

ciemność.

Czyjeś dłonie uderzały w moje policzki. Odzyskiwałem świadomość. Leżałem na podłodze i widziałem kilka twarzy pochylających się nade mną. Ktoś mnie podniósł, chwyciwszy pod pachy. Na ławce obok siedział Suchy z rozkwaszonym nosem i przewracał oczami, jakby nie wiedział, co się właściwie dookoła dzieje. Z tyłu docierał do moich uszu krzyk strażnika. Powoli obróciłem głowę i zobaczyłem, jak dwóch klawiszy trzyma za ręce klęczącego Dziubę, a trzeci posyła mu kopniaki na korpus. Za każdym uderzeniem jego ciało podskakiwało w górę i tylko idealnie zaczesane do tyłu włosy trzymały się głowy, jakby były



wykonane z jakiejś tajemniczej, jednolitej masy.

– Co to ma być, do ciężkiej cholery! – rzucił do nas wściekłym tonem Zalewski.

Ja, Suchy i Dziuba, albo raczej Dżordż, staliśmy na baczność. W gabinecie oprócz nas byli jeszcze aspirant Szumski i dwóch strażników.

– Co wy sobie myślicie?! Wydaje się wam, że będę tolerował takie zachowania?! Jak się nazywasz? – Spojrzał na Dżordża.

– Grzegorz Dziubandowski, panie naczelniku.

– Dziubandowski – powtórzył jego nazwisko. – I co masz do powiedzenia, panie Dziubandowski? – zwrócił się

do autora zajścia.

– Panie naczelniku, to było drobne nieporozumienie, przepraszam za swoje zachowanie, to już się więcej nie powtórzy. – Dżordż brał winę na siebie i odpowiadał skruszonym tonem.

Nie wiem, co myślał Suchy, ale kiedy słyszałem ten skamlący głos, rozsadzało mnie od środka.

– To ja cię zapewniam, Dziubandowski, że to już się nie powtórzy. – Naczelnik przeniósł wzrok na Szumskiego i powiedział: – Panie aspirancie, oczekuję, że wyciągniesz pan odpowiednie konsekwencje w stosunku do wszystkich uczestników zdarzenia.

Szumski tylko kiwnął potwierdzająco głową.

Zalewski podszedł do mnie i zapytał:

– Nazwisko?

– Stanisław Żabikowski –

przedstawiłem się.

– A ty? – rzucił w kierunku Suchego.

– Sucharski. Adam Sucharski.

– Żabikowski i Sucharski. – Otworzył kajet w skórzanej oprawie, który trzymał w dłoni, i chyba notował w nim nasze nazwiska, bo mruczał pod nosem:

– Dziuuubandooowski,  
Żaaabiiikooowski, Suuuchaaarski...

Przez dłuższą chwilę przyglądał się naszym twarzom.

– Z tego, co wiem, to ów Dziubandowski całkiem niedawno przybył do naszej jednostki. Jest nowy. Może chcieliście go utemperować? –

Staął w rozkroku naprzeciwko nas i wsparł dłonie o biodra. – A może stwierdziliście, że trzeba mu pokazać, kto tu rządzi? – Kiwnął głową w jego stronę. Zauważyłem, że Dżordż lekko uśmiecha się pod nosem.

– Nic z tych rzeczy, panie naczelniku – odpowiedział Suchy.

Zalewski spojrzał na Szumskiego, a potem ponownie omiół po naszych trzech twarzach.

– Powiem to tylko raz, niech was ręka boska broni przed szukaniem odwetu. W tym więzieniu nie będzie dochodziło do żadnej samowoli. Zrozumiano?!

Na twarzy Dżordża malował się wyraz zwycięstwa.

– Tak jest, panie naczelniku. – Suchy i

ja odpowiedzieliśmy niemal równocześnie.

Poczułem się tak, jakbyśmy to my dwaj byli winni temu, co stało się dzisiaj podczas śniadania.

Aspirant Szumski nie zrobił kompletnie nic, po prostu odesłał nas do swoich obowiązków.

Kiedy staliśmy w kolejce do okienka wydawki, Suchy szepnął mi do ucha:

– Musimy coś zrobić z tym gadem.

– Chcesz sobie napytać biedy? – zapytałem. – Po co ci to? – Wiedziałem, że moje słowa i tak nie dotrą do jego łepetyny. Zawziętość jest wpisana w więzienną rzeczywistość. To Dżordż wykopał topór wojenny i teraz mogło

być już tylko gorzej.

– Nie podaruję skurwielowi, możesz być tego pewien – syknął.

– Suchy, nie chcę się w to angażować. Dostałem w mordę, trudno, czasami tak bywa...

– Przestań! – wpadł mi w zdanie. – Tutaj nie ma miejsca na pobłażliwość, dobrze o tym wiesz! – O tak, miał rację. Zbyt dobrze wiedziałem, ale miałem również świadomość, do czego to może doprowadzić.

Nagle dołączył do nas Siostrzyczka.

Myślę, że nie zdążył usłyszeć, o czym szeptaliśmy.

– Zasięgnąłem języka o naszym prawniku – odezwał się nagle cichym głosem.

– I czego się dowiedziałeś? – ożywił się Suchy.

– Niczego szczególnego. Razem ze swoim kumplem ze studiów otworzyli w Toruniu kancelarię prawną. Działali przez kilka lat i chyba któremuś znudziła się ta spółka, pojawił się konflikt. Ponoć to Dziuba chciał się pozbyć wspólnika i, ma się rozumieć, chciał go odsunąć od interesu raz na zawsze. Spieprzył sprawę i został oskarżony o próbę zabójstwa. Wspólnik przeżył i wpakował go za kratki. obrońca starał się dowieść, że Dziuba cierpi na jakąś chorobę psychiczną, ale sąd nie dał temu wiary. Dostał dziesiątkę i dożywotni zakaz uprawiania zawodu prawnika.

– Pieprzony śmieć! – warknął Suchy.

– Z nim i tak jest coś nie tak. Słyszeliście te jego durne opowieści o nieistniejącym Dżordżu. Cholerny palant! Mówię wam, chłopaki, on ma coś z garem. To pojeb!

Wolnym krokiem przesuwaliliśmy się do punktu, w którym serwowano posiłek.

Dżordż zjawił się ponownie przy naszym stole podczas środowego obiadu. Tym razem nie zajął Suchemu miejsca, lecz usiadł obok mnie.

– Witam, panowie – powiedział – jestem Dżordż.

Kiedy usłyszeliśmy jego słowa, szeroko otworzyliśmy oczy ze zdumienia.



Podobnie jak jakiś czas temu wystawił swoją dłoń na powitanie, ale nikt z nas jej nie uścisnął.

– Jak tam chcecie – rzekł spokojnym tonem. – I żeby nie było później jakiegoś jęczenia, bo właśnie próbowałem ponownie nawiązać z wami dobry i życzliwy kontakt. Nie to nie – skwitował. Znajomym gestem pogładził swoje idealnie zaczesane do tyłu włosy i zabrał się do jedzenia.

Suchy przyglądał się mu z nieukrywaną wściekłością, ja zaś miałem nieodparte wrażenie, że przeszłość zaczyna powracać w nieco innym wydaniu.

Dzordż zniknął kilka dni później, a na

jego miejsce powrócił Dziuba, ten sam śmieszny koleś z rozgardiaszem na głowie.

Mam nadzieję, że jesteście sobie w stanie wyobrazić, jaki mieliśmy w głowach zamęt.

– Dziuba – odezwał się Suchy – czy możesz nam opowiedzieć coś o Dżordżu?

– A co, był już tutaj? – Wydawało mi się, że w jego głosie usłyszałem cień zaskoczenia.

– No był, był – odparł Suchy – ale chyba nie za bardzo nam przypadł do gustu.

– Nie żartuj, naprawdę? – powiedział szczerze zdziwiony.

– Kurwa mać, Dziuba! – warknął

Suchy. – Daruj sobie! Rozgryzłem cię. Głupa to możesz udawać przed naczelnikiem, ale nie przed nami. Co, może jutro zaczeszesz włoski do tyłu i będziesz mówił, że jesteś Dżordż?

Jego rozmówca przyglądał mu się zdumionym wzrokiem. Sam nie wiem, czy był aż tak dobrym aktorem, czy może naprawdę nie miał o niczym pojęcia.

W niedzielne przedpołudnie snułem się razem z Suchym po spacerunku. Nagle podszedł do nas Siostrzyczka.

– Wiecie co – powiedział podekscytowanym głosem – rozmawiałem z naszym lekarzem. Tak od słowa do słowa zacząłem z nim dyskutować o różnych ciekawych

przypadkach. No i zapytałem w końcu, czy jest to możliwe, żeby człowiek zachowywał się tak, jakby były w nim dwie osoby.

– Że niby co? – zapytał Suchy.

– No i kurde ponoć jest coś takiego!

– Przestań, to jakieś pierdoły. – Suchy nie przyjmował takiej teorii do wiadomości.

– Poważnie – ciągnął Siostrzyczka – są ludzie, którzy cierpią na coś takiego, co się nazywa rozdwojeniem jaźni. Może Dziuba ma taką dolegliwość. Mało tego, tacy ludzie nawet nie mają o tym pojęcia, że coś takiego się z nimi dzieje. Trzeba się uważnie przyjrzeć Dziubie i Dżordżowi, może być nawet tak, że mogą mieć inne kolory oczu.

– Błagam cię, Siostrzyczka – prawie jęknął Suchy. – Zdurniałaś?!

– Skoro jesteś taki mądry, to jak wytłumaczysz jego zachowania? – zapytał.

– Tutaj nie ma nic do tłumaczenia. Facet rżnie idiotę, bo tak mu wygodnie, kapujesz? Pewnie zaczął już kombinować w ten sam sposób, jak w sprawie, za którą siedzi. Chciał się pozbyć współnika, spieprzył robotę... no właśnie, jak on to powiedział pierwszego dnia? – Suchy grzebał w swojej pamięci. – Pamiętacie? Kurwa mać, jak on to powiedział?!

– Powiedział, że popełnił błąd – przypomniałem sobie.

– No właśnie, gość jest świadom

tego, że schrzanił temat. Nie lubię gnojka i nie chodzi o to, że mi przyłożył...

– Nie? To w takim razie, o co ci chodzi? – dociekał Siostrzyczka.

– Wal się! – warknął Suchy. – Chodzi o to, że facet chce wszystkich owinać sobie wokół palucha. I pewnie myśli, że raz na jakiś czas może odstawić jakiś porąbany numer. Potem każdy będzie go unikał i w ten sposób przeżyje spokojnie w pudle aż do końca wyroku.

Nie miałem swojego zdania na ten temat, ale wydawało mi się dziwne, żeby jeden człowiek mógł mieć dwie osobowości.

– Co chcesz właściwie zrobić? – zapytałem Suchego, kiedy Siostrzyczka

oddalił się do swoich kumpli.

– Jak to co? Chcę załatwić śmiecia raz a dobrze! – odparł głosem pełnym zawziętości.

– Przestań opowiadać bzdury.

– To nie bzdury, człowieku, nie podaruję mu tego – warknął.

To było śmieszne, po prostu żałośnie śmieszne.

– Bo co? Bo zajął ci twoje miejsce przy stole? – Staralem się, żeby mój głos brzmiał nieco szyderczo.

– Wiesz, co mówią po kątach? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – Że facet zadarł z Ropuchem. – Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem. – No i co się tak gapisz? Tak właśnie mówią, taką się tutaj cieszysz

opinią, Ropuszku. A jeśli się wydarzy coś nieprzyjemnego i Dziuba oberwie po czapie, to i tak wszyscy będą uważali, że to twoja sprawka.

– Suchy! Nie przesadzaj, dobrze wiesz, że tak nie jest. Tylko popatrz na niego. – Kiwnąłem głową w stronę Dziuby, który samotnie dreptał po spacerniku. – Sądzisz, że...

– Nieważne, co sędzę – wpadł mi w zdanie. – Pytanie brzmi, czy mi pomożesz?

Spojrzałem na niego i zrozumiałem, że zaczyna mnie osaczać i przerażać.

– Suchy, zostały ci jeszcze trzy lata z małym haczykiem, czemu chcesz to spieprzyć? Naprawdę uważasz, że warto? – zapytałem, starając się



odwieść go od złych zamiarów. – Pomyśl o tym, że możesz tutaj zostać na dłużej, tego chcesz?

– Pomożesz mi czy nie? – szedł dalej w zaparte. – Będę twoim dłużnikiem.

– W czym mam ci pomóc? Co chcesz zrobić? – dopytywałem. Bałem się jednak usłyszeć konkretną odpowiedź.

Suchy spojrzał na mnie.

– Jeszcze nie wiem – odparł.

Mogłem mieć tylko nadzieję, że mój kumpel ochłonie i że opuszczą go złe emocje.

Suchy zaczął traktować Dziubę na dystans. Siostrzyczka uczynił sobie z niego obiekt obserwacji lekarskiej, a ja wzięłem od każdego po trochu.

Od pamiętnego zajścia na stołówce aż do Świąt Wielkiej Nocy Dżordż pojawił się tylko raz. Posiedział z nami kilka dni, stworzył parę nerwowych sytuacji i znowu odszedł. Nie byłem pewien, chociaż Siostrzyczka szedł w zaparte, że dopatrzył się małej różnicy w kolorze oczu między Dziubą a Dżordżem.

Dziuba miał ponoć tęczęwki niebieskoszare, a Dżordż tylko szare.

– Gadasz bzdury – powiedział Suchy.  
– Przyjrzałem mu się dokładnie, ma ten sam kolor oczu co zawsze. Nie wmawiaj sobie żadnych głupot.

Niechby mu nawet te oczęta zmieniały się z szarych czy niebieskich w pomarańczowe, to nie miało znaczenia. Chciałem tylko, żeby Suchy odpuścił

temat, a tym samym nie wciągał mnie w sprawy, od których wolałem się trzymać z daleka.

W Niedzielę Wielkanocną ja, Suchy i Siostrzyczka siedzieliśmy na stopniach placu apelowego.

– Zapowiada się piękny dzień – powiedziałem i spojrzałem w błękitne niebo.

Wilgoć, która zrosiła dachówki wieży kościelnej, mieniła się blaskiem w promieniach porannego słońca. W ciepłym, kwietniowym powietrzu unosił się zapach wiosennej radości. Wiecie, co mam na myśli? To taki dzień, kiedy wystarczy jedno krótkie spojrzenie, jeden głęboki oddech albo delikatny

podmuch wiatru i czujesz całe piękno świata.

Rozmawialiśmy o jakiś duperelach, kiedy nagle Suchy powiedział:

– Patrzcie na tego kretyna. – Ruchem głowy wskazał w kierunku, skąd zmierzał w naszą stronę więzień z perfekcyjnie zaczesanymi do tyłu włosami.

Podszedł bliżej. Z kieszeni, nad którą widniał numer 10-08, wyciągnął paczkę fajek i zapytał:

– Komuś papieroska z okazji zmartwychwstania?

Ja i Siostrzyczka skorzystaliśmy z darmowego poczęstunku.

– Na śniadaniu miałeś trochę inną fryzurkę – zakpił Suchy i splunął przed

siebie.

– Nie jadłem dzisiaj śniadania – padła krótka odpowiedź.

– Kurwa mać, człowieku, przestań strugać idiotę – warknął nerwowo Suchy i spojrzał mu prosto w twarz.

To było niepotrzebne. Drobną uwagą i już zaczęła się nakręcać spirala złości.

– Mamy miły dzień, a ja nie mam ochoty wdawać się z tobą w prostackie utarczki – skwitował Dżordż. – Czy ja przychodzę i zaczynam ci ubliżać? Zjawiam się tutaj, staram się być miły, częstuję papierosami, a ty co? Naprawdę na siłę szukasz zwady? Ze mną? – powiedział i zaśmiał się ponuro.

– Dobra, panowie, nie ma sensu się handryczyć... – starałem się zdusić spór w zarodku.

– Ale przecież nikt się nie handryczy, prawda, Dżordż. – Ostatnie słowo Suchy wypowiedział, przesadnie modelując usta.

Dżordż kompletnie zignorował pytanie, usiadł tuż obok mnie i powiedział:

– Słyszałem, że jesteś gościem, z którym nie warto zadzierać.

– Ludzie plotą różne bzdury – odparłem, ale zaczynałem się czuć nieswojo.

– Ponoć nie czujesz strachu, czy to prawda? – drażył temat. – Jest ktoś albo coś, czego się boisz?

- Boję się Boga – odpowiedziałem.
- A diabła? Boisz się szatana?
- O co ci chodzi? – wtrącił się Suchy.
- Co to za durna gadka!
  - Nie rozmawiam z tobą, to po pierwsze. – Dżordż wyciągnął nieco głowę do przodu i spojrzał na Suchego.
  - A po drugie, już ci mówiłem, nie szukaj ze mną zwady na siłę. Mamy święta – oparł się łokciami o kamienny stopień i wyciągnął do przodu nogi – padło słowo „Bóg”, więc jesteśmy jakby w temacie, dlatego właśnie napomknąłem o diable, proste.
  - Dżordż, czego ty właściwie chcesz?
- zapytałem.
  - Chcę wiedzieć, czy boisz się diabła.
- Posłał mi dziwny uśmiech.

– Nie, nie boję się. Czuję tylko strach przed Bogiem. Zadowolony? – Spojrzałem mu w oczy i w tym samym momencie stwierdziłem, że Siostrzyczka miał rację. Ślepie Dziuby miały trochę inny kolor.

– A gdybyś spotkał diabła, to co byś zrobił?

– Nic – odparłem i pstryknąłem niedopałek na wprost. – A ty, Dżordż, kogo ty się boisz? – zapytałem przekornie, bo ta rozmowa w jakiś dziwny sposób zaczynała mnie bawić.

– Tylko diabła – powiedział.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Dżordż – nagle odezwał się Siostrzyczka – a co tam słyszeć u



Dziuby?

Kiedy usłyszałem pytanie, natychmiast strzeliłem oczami w kierunku Suchego.

– U Dziuby? – powtórzył. – Trochę narzeka na swoich nowych kompanów, a tak poza tym to wszystko w porządku.

– Na kogo narzeka? – zapytałem.

– No jak to na kogo? Na was. – Ton jego głosu mówił nam, że to przecież takie oczywiste.

– Długo się już znacie? – atakował Siostrzyczka.

– Poznaliśmy się w więzieniu na Świętym Krzyżu jakieś niecałe trzy lata temu, ale czasami mam wrażenie, że znamy się od wieków – mówił tak, jakby opowiadał o innej osobie. – Nie miał tam lekkiego życia, więc musiałem

mu trochę pomóc.

– Źle mu tam było? – ciągnął go sprytnie za język nasz łapiduch.

– A tobie byłoby dobrze, gdyby na przykład jednej nocy zgwałciło cię czterech koleś? – Zaciągnął się głęboko dymem. – Wątpię.

Kątem oka dostrzegłem zaskoczoną minę Suchego.

– Dżordż, a jak właściwie nazywa się Dziuba? – pytał dalej Siostrzyczka.

Zagadnięty sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, i po chwili odparł:

– Ty wiesz, że nie wiem. – W jego głosie było słychać szczerłość. – Wszyscy na niego wołali Dziuba. Zawsze tak było. Po prostu Dziuba. – Przejechał dłonią po włosach.

– Dlaczego to robisz? – syknął Suchy.  
– Czemu ma służyć to pitolenie?  
Co chcesz udowodnić? – powiedział  
to tak, jakby za chwilę miał  
mu przyłożyć.

Dzordź cisnął w jego kierunku  
spojrzenie, w którym czaiła się  
nienawiść.

W jednej sekundzie atmosfera stała  
się napięta, a cały wiosenny czar umknął  
gdzieś daleko.

– Starasz się we mnie obudzić zło? –  
Twarz Dzordźa przybrała nagle  
demoniczny wyraz. – Chcesz tego  
doświadczyć?! Jesteś pewien?!

Suchy parsknął śmiechem, ale wcale  
nie brzmiał radośnie.

– Coś ci pokażę, cwaniaczku –

powiedział Dżordż i podniósł się z miejsca. Stał przed nami, odchylił połę więziennej bluzy, kucnął, złapał za koszulkę i podciągnął ją w dół, ukazując lewą pierś. – Patrzcie wszyscy! – Dłonią zaczął intensywnie pocierać skórę tuż nad sercem. Kiedy po chwili ją cofnął, naszym oczom ukazał się przedziwny widok. Na zaczerwienionej skórze pojawił się biały napis. – Czytajcie, bo tu stoi o mnie! – Jego głos zabrzmiał jak ponure objawienie.

Przeczytałem w duchu wytatuowane zdania: „Tu jest potrzebna mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: 666”.

Wpatrywałem się jak

zahipnotyzowany w te przedziwne zdania, które zaczęły znikać, kiedy skóra odzyskiwała swoją naturalną barwę.

– I niby co? Myślisz, że masz taką fajną dziarę, że nigdy wcześniej nie widziałem ukrytych tatuaży? – Suchy w przeciwieństwie do mnie wcale nie był zaskoczony. No może trochę. – Tani chwyt dla postrachu, odrobina mieszanki z kozim mlekiem i chcesz być taki niesamowicie inny. – Uniósł lekko dłonie i potrząsnął nimi, jakby mówił o duchach.

Dzordż spojrział na niego z politowaniem.

– Nic nie rozumiesz, marny człowieczku. – Opuścił koszulkę i wskazał na swój numer na bluzie. –

Potrafisz liczyć? Dziesięć-zero osiem. Widzisz? Ile to daje razem, jak dodasz te dwie liczby? No? Porachowałeś? Osiemnaście. A osiemnaście to suma trzech szóstek. To liczba Bestii, więc nie zadzieraj z Bestią, bo ona cię zniszczy. – Zamilkł na chwilę. Spojrzał kolejno po naszych twarzach i rzekł: – Zniszczy każdego moimi rękami!

– Dżordż, sam wpadłeś na ten pomysł z tatuażem, czy Lucyfer cię namówił? – rzucił Suchy i parsknął śmiechem. Śmiechem tak obłądnym, że ja i Siostrzyczka dołączyliśmy się do niego.

– To cytat z Biblii. – Dżordż położył dłoń tuż nad lewą piersią. – O tym mówi Apokalipsa świętego Jana. Czytałeś kiedyś Biblię? A tak w ogóle

to potrafisz czytać, ciemniaku?

– Wiesz co, Dżordżu – zadrwił z jego przydomka – widzę, że na siłę szukasz kumpli. Tutaj ich nie znajdziesz. – Spojrzał na mnie i Siostrzyczkę. – Mam też dla ciebie propozycję. Traktujmy siebie nawzajem jak powietrze. Ja odsunę się tobie z drogi, ty znikniesz z mojej i dzięki temu świat dalej będzie się kręcił po swojemu. Co ty na to, pacanie?

Suchy nadal siedział, ale tak się usadowił, że w każdej chwili mógł się rzucić do ataku. W duchu modliłem się, żeby do tego nie doszło. Jeśli zacznie się bójka, muszę pomóc mojemu kumplowi, a kiedy tak się stanie, bekniemy za ten czyn i zaczną się cholerne problemy.

Spoglądałem na Dżordża, który ciągle trwał w przykucniętej pozycji.

Po chwili dźwignął się w górę, nie spuszczając oczu z Suchego.

– Kto wie może uda ci się wytrwać i nie rozgniewasz Bestii – powiedział. Wziął głębszy oddech i wysunął swoje żądanie: – Jeśli się dowiem, że będziesz nękał Dziubę, to propozycja przestanie być aktualna. – Obrócił się na pięcie i odszedł.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na jego oddalającą się postać.

– Pieprzony frajer! – syknął Suchy i sięgnął po papierosa.

W tym samym momencie coś mnie tknęło i spojrzałem w kierunku ostatniej



kondygnacji budynku po lewej. Aspirant Szumski stał w otwartym oknie swojego gabinetu i spoglądał z góry na spaceriak.

Zgodzicie się ze mną, że każdy człowiek miewa przeczucia, prawda? Ja też je miałem, jeśli idzie o Dziubę vel Dżordża. Nie wiem, może było tak, jak sądził Suchy, że z jego strony to tylko gra i zwykła kombinacja? A może Siostrzyczka miał rację, bo wierzył, że zetknęliśmy się z człowiekiem o podwójnej osobowości? Ja wiem, że na razie miałem w głowie zamęt i czasami dopadało mnie przeczucie, że zdarzy się coś złego. Coś bardzo, ale to bardzo złego.

Kiedy Dżordż odszedł kilka dni po świętach wielkanocnych, Suchy zaczął wymuszać na Dziubie, żeby w naszej obecności potarł swoją lewą pierś tak mocno, aż skóra na torsie się zarumieni. Nasz kompan, który wiecznie chodził z burzą rozczochranych włosów, bardzo szybko – i chyba tylko dlatego, żeby Suchy dał mu już spokój – uległ tym namowom. Pewnego dnia przy śniadaniu tarł ręką tak mocno, jakby chciał zedrzeć płat skóry nad sercem.

– Już nie mogę – jęknął – już mnie piecze. Po co mam to robić?

– Dziuba, ty już wiesz po co! – warknął Suchy.

Na zaczerwienionym fragmencie ciała nie pojawił się jednak żaden podskórny

napis...

Dzordż zniknął z naszej egzystencji na długie tygodnie. Suchy jednak ciągle podejrzewał podstęp i dlatego traktował Dziubę jak intruza. W ich stosunkach nie było jakiegoś niezdrowego napięcia, chociaż obaj żywili do siebie niechęć. Nie będę bronił Suchego, bo prawda była taka, że to on podsyczał ogień, on narzucał warunki. Żałuję tylko, że brakowało mu odrobiny wyobraźni, bo wtedy wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Wszystko byłoby inne, gdyby choć trochę odpuścił!

Pod koniec wiosny Dziuba zakończył swoją karierę na łodygowni i trafił

do pracy w pralni. Dziwię się sobie, że niczego nie podejrzewałem, że stało się to za sprawą aspiranta Szumskiego. Wspólne przebywanie Dziuby i Suchego w tym samym miejscu sprawiło, że ich konflikt bardzo szybko zyskał zupełnie nowe oblicze.

Jeśli chodzi o mnie, to dręczyło mnie kilka pytań i chyba czekałem, aż w końcu pojawi się Dżordż.

– Jak leci, panowie? – Usłyszeliśmy, kiedy na wieczornym posiłku zjawił się przy naszym stole facet z gładko zaczesanymi włosami.

Było to w przeddzień letniego przesilenia.

Siostrzyczka już jakiś czas temu

zważył w swoją teorię i dlatego spojrzał na niego tym samym wzrokiem co Suchy.

– Dżordż – postanowiłem od razu przejść do sedna – podobno poznałeś na Świętym Krzyżu gościa, na którego wołają Prezes – zacząłem całkiem niewinnie. – To prawda?

– Prezes...? – Sprawiał wrażenie, jakby starał się odszukać w pamięci osobę pasującą do tej ksywki. – Ach, Prezes! – rzekł zawodzącym głosem, który wyjaśnił wszystkie moje wątpliwości. – Chłopina z płaskim nosem. Tego gościa masz na myśli?

– Tak – potwierdziłem i spojrzałem na Suchego. Na jego twarzy malowała się pogardliwa mina.

– No tak – westchnął Dżordż. – A wiesz, że wspominał mi o tobie – powiedział to w taki sposób, jakby zapomniał wcześniej poinformować mnie o tym fakcie.

– Fajnie. – Chwyciłem za kubek i pociągnąłem łyk cierpkiej kawy.

– Mielicie ze sobą na pieńsku, co? – Uśmiechnął się z tym swoim dzikim błyskiem w oku i szturchnął mnie w ramię. – A tobie powiedziałem już wcześniej – nagle zwrócił się do Suchego – żebyś zostawił Dziubę w spokoju, prawda?

– Pierdol się! – fuknął Suchy.

– Ojoj – odpowiedział Dżordż kpiącym tonem – coś mi się wydaje, że rozgniewałeś Bestię. – Puknął palcem w

numer na swojej bluzie.

Pierwszego dnia lata Dziuba vel Dżordż kompletnie zaskoczył nas swoim wyglądem. Suchy na jego widok nie wytrzymał, ryknął szczerym, zaraźliwym śmiechem i nazwał go Dżordżodiubem.

Ale mieliśmy ubaw. No bo powiedzcie sami, jaka byłaby wasza reakcja, jeśli zobaczylibyście faceta, którego włosy po lewej stronie głowy sterczały na wszystkie strony, a z prawej były perfekcyjnie przylizane i zaczesane do tyłu? Nie wiem, dlaczego żaden ze strażników nie zwrócił uwagi na jego wygląd, kiedy wyprowadzano nas na śniadanie. W stołówce Dżordżodiub budził ogólne zainteresowanie.

Co niektórzy z więźniów na jego widok pukali się w głowę.

Wyglądał komicznie.

Nagle przy naszym stole zjawił się przodownik Blaszański.

– Co to ma być?! – warknął i trzepnął go dłonią w potylicę. – Uciekłeś z cyrku? Wstawaj! – rzucił krótką komendę.

– Panie przodowniku, to jest Dżordżodziub. – Suchy nie umiał odmówić sobie złośliwości.

Funkcjonariusz na dźwięk tych słów zatrzęsł się z rozbawienia.

Po chwili jednak opanował się i rzucił władcym tonem:

– Skoro sam nie potrafisz, to ja ci pomogę zrobić porządek na tej durnej



łepetynie. Idziemy! – Odciągnął go nieco w lewo i pchnął przed siebie.

Strażnik i więzień z idiotyczną fryzurą wyszli ze stołówki.

– No dzisiaj to już przesadził – stwierdził Siostrzyczka.

– Nie tylko dzisiaj – podjął natychmiast dialog Suchy. – Frajer cały czas przesadza, od samego początku. Zgrywa się, tworzy wokół siebie kretyńską historię tylko po to, żeby wszyscy mieli go za czubka. Nikt nie ma ochoty zadawać się z wariatem i dzięki temu będzie miał spokój i będzie robił to, na co mu przyjdzie ochota. Wiem, o czym mówię, mam go na co dzień w pralni. Pieprzony ćwok!

– Suchy – zacząłem – ale prawda jest

taka, że ty go nie lubisz. Jest z niego dziwadło, to nie ulega wątpliwości, chociaż na początku wydawał się całkiem do rzeczy.

– Do jakiej rzeczy? – wskoczył mi w zdanie. – Od pierwszego dnia wyglądał jak idiota i mówił jak idiota. A potem ta zagrywka z Dżordżem. Heh – prychnął – śmiechu warte. Udaje, cały czas udaje i pogrywa z nami jak z gówniarzami. Osobiście mam ochotę udusić go gołymi rękami. – Wysunął dłonie nad stołem i wykonał nimi taki gest, jakby ścisnął coś w rękach. – Przyczepił się do mnie w pralni i nie odstępował nawet na krok. Nic nie mogę zrobić, bo łajza krąży wokół mnie jak mucha przy gównie.

Ledwo wkroczyliśmy do stolarni, kiedy nagle zjawił się dozorca Robalski. Podszedł do mnie i powiedział:

– Bierz narzędzia, idziemy do depozytów, trzeba tam coś zreperować!

– Się robi, panie dozorczo. – Złapałem za skrzynkę z narzędziami.

Przeszliśmy obok ogrodzenia spacerniaka i bocznymi drzwiami wkroczyliśmy na puste, więzienne korytarze. Depozyty, czyli pomieszczenia, gdzie wisiały setki worków jutowych z prywatną odzieżą skazańców, mieściły się na parterze głównego budynku. Skręciliśmy w prawo. Przed nami, na drugim końcu korytarza obok okna stał Szumski i

klarował coś więźniowi, który siedział swobodnie na parapecie. To nie był zwykły widok. Skazaniec nie prężył się jak struna przed aspirantem, siedział jak panisko i delikatnie kołysał stopami, które luźno zwisały w powietrzu. Sprawiali wrażenie, jakby łączyły ich niemal koleżeńskie stosunki.

Na dźwięk naszych kroków aspirant obrócił twarz w kierunku, skąd nadchodziliśmy. Kiwnął palcem i powiedział donośnym głosem:

– Chodźcie no tu!

Podeszliśmy bliżej.

Włosy, lub ich brak, potrafią jednak bardzo zmienić ludzki wizerunek.

Ostrzyżonym do skóry okazał się Dziuba. Spoglądając mu prosto w oczy,

odniosłem wrażenie, że zaskoczył go mój widok.

– Dokąd go prowadzisz? – zwrócił się Szumski do Robalskiego.

– Do depozytów, panie aspirancie – zameldował klawisz.

– Jak już tam skończy – wskazał na mnie wzrokiem – to przyprowadź go do mnie.

– Tak jest! – Strażnik oddał honor i ruszyliśmy w swoją stronę.

– Tak, Żabikowski – Szumski zaczął w swoim stylu – wezwałem cię tutaj, bo mam dla ciebie pewną informację. – Otworzył szufladę i wyjął z niej białą, rozdartą kopertę. – Przyszedł list do ciebie. – Pomachał świstkiem w

powietrzu i położył go na biurku. Kołysał się na krześle i patrzył na mnie jak na kogoś, kto był mu cierniem w oku. – Ojczulkowi dobrze się wiedzie – odezwał się po chwili, spojrzał na kopertę i kiwnął głową. – Niestety, Żabikowski, nie mogę ci jeszcze dać tego listu. – Sięgnął w kierunku tekturowej teczki i wyjął z niej jakieś papiery. – Czternastego lutego wdałeś się w bójkę razem z Sucharskim i Dziubandowskim. Naczelnik Zalewski, jak wiesz, zażądał w stosunku do was wyciągnięcia konsekwencji. Ty otrzymałeś pół roku zakazu korespondencji.

– Ale pan nic o tym nie wspominał, panie aspirancie! – W moim głosie było

lekkie wzburzenie.

– Ja nic nie muszę wspominać, Żabikowski! – warknął. – Teraz cię o tym informuję. Ponoć potrafisz rachować, tak? – Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

– Tak jest, panie aspirancie. – Miałem ochotę rzucić się na niego i roztrzaskać mu ten parszywy pysk.

– No to sobie policz, kiedy minie sześć miesięcy od czternastego lutego.

– Wychodzi na to, że czternastego sierpnia, panie aspirancie – odpowiedziałem.

– Zgadza się, Żabikowski. To jeszcze poczekaś sobie dwa miesiące z hakiem i być może dostaniesz ten list. – Puknął palcem w kopertę. – No chyba, że

znowu coś przeskrobiesz – westchnął.

Stałem i wpatrywałem się w list leżący na biurku.

– Dlaczego pan mi to robi, panie aspirancie? – zapytałem zrezygnowanym tonem.

Szumski odchylił się bardziej w tył i przez moment bujał się na krześle.

– Nie udawaj, że nie wiesz – powiedział i przymknął oczy w taki sposób, jakby o czymś marzył. – Doceniasz przynajmniej ten miły gest z mojej strony, że cię informuję, że pan Gerswalde napisał do ciebie? – Przyglądał mi się uważnie, jakby chciał coś wyczytać z mojej twarzy. Nie wiem, co w niej dostrzegł, ale ja miałem ochotę go zgładzić.



Sięgnął po rozdartą kopertę i schował ją do szuflady.

– I co jeszcze powiesz, Żabikowski? Z tego, co słyszę, to w końcu zacząłeś wypytywać o Prezesa? – zmienił nagle temat. Uśmiechnął się ponuro i mlasnął kilka razy ustami, jakby mu coś weszło pomiędzy zęby.

Zrozumiałem, że Dziubandowki – kimkolwiek był, czy to Dziubą, czy też Dżordżem – zawarł z Szumskim jakiś nieformalny układ.

Opowiedziałem wszystko Suchemu z najdrobniejszymi detalami. Kiedy mnie słuchał, miałem wrażenie, że skruszy swoje zęby, bo tak wściekle zaciskał szczęki.

– A to kurwa, a to kurwa – powtarzał z zawiścią w kółko jak nakręcony.

– Daj spokój, Suchy, musimy się trzymać od niego z daleka – stwierdziłem. – Nie ma sensu popadać w jakąś kołomyję, bo tylko sobie narobimy kłopotu.

– Narobimy?! – warknął. – Mówiłem ci, że łązi za mną jak menda. Pieprzony szpicel! Ciągłe jest przy mnie, wciąż obserwuje i słucha – mówił, gestykulując całym ciałem i przybierając przedziwne pozycje – przez gnoja zaczynam wypadać z interesu – syczał. – Już mi narobił problemów!

– A jeśli naprawdę jest tak, jak mówi Siostrzyczka? – zapytałem. – Może facet...

– Nie bądź głupi! – wpadł mi w zdanie. – Nie ma czegoś takiego, to niemożliwe. A nawet jeśli, to co z tego? On jest utrapieniem dla nas obu. – Spojrzał na mnie i rzekł półgłosem: – Musimy się pozbyć kłopotu!

– Oszalałeś?! – Miałem wrażenie, że mój kumpel zaczyna popadać w obłąd. Ta sytuacja zmierzała do jakiejś absurdalnej katastrofy. – On trzyma z Szumskim, zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? – zapytałem całkiem poważnie.

– A to kurwa! A to ci podła kurwa! – Chyba nie słuchał, co do niego mówię. Reagował tak, jakby uroił sobie w głowie jakąś wizję i ślepo jej się trzymał.

– Suchy, ile ci jeszcze zostało? –

Miałem nadzieję, że tymi słowami obudzę w nim resztki zdrowego rozsądku.

Spojrzał na mnie, pogładził się dłonią po brodzie i odparł:

– Dwa lata i dziesięć miesięcy.

– Nie odebrało ci rozumu, prawda?

Nie chcesz tego spaprać – powiedziałem.

Zaczęło się upalne lato. Ja i Suchy już wówczas bardzo oschle traktowaliśmy Dziubę, który był źródłem naszych problemów. Trudno siedzieć wspólnie przy jednym stole i trzymać gębę na kłódkę, ale jeszcze trudniej dzielić to miejsce z kimś, kogo uważasz za wroga, i toczyć miłe dyskusje. Nasze

rozmowy przy posiłkach dotyczyły tylko jedzenia i pogody.

W międzyczasie rozpuściliśmy wieści wśród skazanych, że nasz nowy kompan się skurwił. Tego byłem pewien, nie miałem żadnych wątpliwości.

Chyba myśleliśmy, że jeśli Dziubandowski zostanie odizolowany od więziennej społeczności, to przestanie być szkodliwy. Niestety, byliśmy w błędzie. Znalazł sposób, dzięki któremu stał się cholernie nieprzewidywalny, a zarazem niebezpieczny. To my go stworzyliśmy, to dzięki nam człowiek z ogoloną głową pożegnał Dziubę i na co dzień przywdział maskę szalonego Dżordża.

Lipcowe słońce paliło niemiłosiernym żarem. To nie był upał, to było tropikalne piekło. Tak samo jak Suchy zdjąłem swoją przepoconą koszulkę i owinąłem ją wokół głowy niczym turban. Bluzę wetknąłem pod głowę i położyłem się na wznak.

– Ale parówa – Suchy westchnął ciężkim głosem – zaraz się ugotuję.

– Damy radę, za pół godziny popędzą ich na mszę – spojrzałem w stronę budynku, u którego podnóża siedzieli więźniowie, oparci plecami o ścianę rzucającą zbawienny cień – i wtedy wbijemy się na pierwszorzędne miejsca.

– Mówię ci, Ropuszku, za trzy lata o tej porze będę wylegiwał się na piaszczystej bałtyckiej plaży –

rozmarzył się w najlepsze. – Będzie bosko. Byłeś kiedyś nad morzem? – zapytał.

– Niestety nie – odparłem – nie miałem okazji.

– Ja byłem... dawno temu, za łepka – wspomniał. – Podobało mi się.

– Fajnie. – Nie bardzo wiedziałem, co mam odpowiedzieć, i pomyślałem o tym, że jest tak wiele wspaniałych miejsc, a ja ich nigdy nie zobaczę.

Leżeliśmy w milczeniu. Miałem zamknięte oczy, kiedy nagle tafla cienia przesłoniła mi słońce. Otworzyłem ślepią i ujrzałem czyjąś sylwetkę, ale słońce bijące z tyłu postaci pozwoliło mi dostrzec tylko jej ciemne kontury.

– Hej, chłopaki – to był głos

Siostrzyczki – widzieliście, co robi ten czub?

– Kto? – zapytał Suchy.

– No jak to kto, Dżordżu, twój ulubieniec – padła odpowiedź.

Na dźwięk tej ksywki natychmiast usiedliśmy.

– Tylko popatrzcie! – Siostrzyczka wskazał ręką na środek spacerniaka.

Potrzebowaliśmy chwili, żeby nasze oczy oślepienie nadmiarem światła zaczęły normalnie postrzegać rzeczywistość.

Dżordż poruszał się pośrodku spacerniaka tanecznym krokiem. Więzienną bluzę przewiązał sobie w pasie i podrygiwał. Ręce trzymał nieco rozpostarte i przeskakiwał rytmicznie z



nogi na nogę, jakby odstawiał jakiś zwariowany taniec. Co niektórzy skazani spoglądali w jego stronę z politowaniem.

– Rżnie głupa na całego – skwitował Suchy. – Siostrzyczka pogadałbyś z naszym więziennym konowalem, niech go zbada, przecież widać, że to świr! Faceta trzeba wcisnąć w kaftan i zamknąć w jakiejś pieprzonej izolatce. Najlepiej na zawsze. Albo skołuj trochę cyjanku – dodał po chwili i mrugnął porozumiewawczo okiem. – Ja z chęcią poczęstuję go takim proszkiem i pomogę mu wyprowadzić się na tamten świat.

Niby głupie żarty, niby dowcip ocierający się o makabrę, ale miałem wrażenie, że Suchy byłby w stanie

to zrobić.

Siostrzyczka przysiadł obok nas.

– Naprawdę aż tak bardzo zalaż ci za skórę? – powiedział, uśmiechając się pod nosem. Doskonale wiedział, że Suchy najchętniej posłałby Dżordża do wszystkich diabłów.

– Możemy pogadać o czymś innym? – zasugerowałem i wróciłem do horyzontalnej pozycji.

– Co za pajac! – Suchy nie zwrócił uwagi na moje słowa. Położył się na boku, wsparł głowę na ręce zgiętej w łokciu i spoglądał na człowieka, który w centrum spacerniaka prezentował swoje wygibasy. – Może słońce zagotuje mu resztki mózgu w tej łysej pale. Cóż ja takiego uczyniłem, że taka menda

pojawiła się w moim życiu? – westchnął. – To co, chłopaki, po całym? – zaproponował palenie ni stąd, ni zowąd.

– A kto częstuje? – zapytałem.

– No jak to kto? – zaświergotał Suchy.

– Ty!

Kolumna więźniów chętnych na niedzielną liturgię ospale ruszyła pod eskortą strażników w stronę kaplicy kościelnej.

Dzordż nadal podrygiwał w tym samym miejscu.

– Chodźcie pod ścianę – rzucił Suchy

– dopóki reszta trzody się tam nie ulokuje.

Szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę

budynku, którego część była schowana w cieniu.

Oparłem się plecami o szorstkie cegły i poczułem, jak na skórze rozlał się przyjemny chłód.

– Och, jak dobrze – westchnąłem.

– Patrzcie na kretyna! – Suchy chyba ani na chwilę nie oderwał wzroku od Dżordża, który teraz podskakiwał tuż obok Wolfa, krążąc wokół niego niczym nawiedzony szaman przy totemie. – Może powinienem pogadać z Rzeźnikiem z Danzig, żeby pozbawił głupola możliwości oddychania. Szkoda, żeby taka łajza marnowała powietrze, prawda? – Suchemu udawało się czasami rozbawić nas do łez. Miał niezwykły dar używania określeń, które

nawet najbardziej podłe sytuacje potrafiły zamienić w coś wesołego. – Stawiam skrzynkę egipskich, że Dżordżu zaraz przyrobi od Wolfa w dziób. Który z was przyjmuje zakład?

– Ja wchodzę – rzuciłem od razu.

– Ja też. – Najwyraźniej Siostrzyczka również miał ochotę na szybki zarobek.

Przez kilka kolejnych minut obserwowaliśmy, jak łysy tancerz skacze obok człowieka, który przerastał go prawie o dwie głowy.

– No dalej Wolfik – szepnął Suchy – pošlij mu plombę, a odpalę ci jedną z dwóch wygranych skrzynek.

– He, he – przekomarzał się Siostrzyczka – chciałbyś. Możesz sobie tylko pomarzyć, jak nic jesteś dwie

paczki w plecy.

– Też tak myślę – dodałem. W duchu już czułem smak zwycięstwa.

Jeden ze strażników krzyknął w kierunku Dżordża, żeby się uspokoił. Nasz fordanser jednak kompletnie zignorował jego słowa i dalej skakał jak małopolud z szeroko rozpostartymi ramionami wokół leniwie idącego Wilhelma Wolfa.

To trwało zaledwie ułamek sekundy.

Kiedy Dżordż ponownie okrążył Rzeźnika z Danzig i pojawił się na wprost niego, rosły mężczyzna błyskawicznie wy dobył prawą dłoń z kieszeni, poderwał rękę w górę i z całej siły walnął pięścią w czubek łysej czaszki. Dżordż jakby zastygł na moment

w bezruchu. Potem zafalował w nienaturalny sposób i niczym wiotka bibuła zaczął się zwijać, aż upadł przed nogami Wolfa.

– Ha! – Suchy z wrażenia aż klasnął w dłonie. – Widzieliście to! Mistrzostwo! Co za styl! – Ja i Siostrzyczka spoglądaliśmy w niemałym osłupieniu na całe zajście. – Tak, dziewczęta, wisicie wujkowi po skrzyńeczce. – Zatarł ręce, co najmniej jakby trafiła mu się gwiazdka z nieba. – Ma się tego nosa, no nie!

Chwilę później Wolf stał przodem do siatki okalającej teren spacerniaka, z szeroko rozstawionymi nogami i rękami uniesionymi ku górze. Tuż obok niego

było dwóch klawiszy, a kolejnych dwóch cucilo Dżordża, wymierzając mu policzki. Kiedy w końcu leżący na ziemi odzyskał przytomność, dozorczy złapali go pod ramiona i cała trójka ruszyła w naszym kierunku.

– Co z tobą? – Usłyszeliśmy słowa funkcjonariusza, który zwracał się do Dżordża. – Przegrzało ci tę durną łepetynę? Siadasz tu pod murem – kiwnął głową w kierunku budynku – i nie ruszasz się do końca spaceru. Jasne?!

Zapytany szedł jeszcze na niezbyt pewnych nogach i potakiwał jedynie głową na znak, że dociera do niego to, co mówi strażnik.



W oddali jeden z klawiszy klarował coś Wolfowi, bezustannie pukając go palcem wskazującym w klatę.

Po chwili wszyscy dozorczy wrócili w stronę wyjścia.

Dzordż zastygł w pozycji na wpół leżąc, na wpół siedząc, a Wolf wolnym krokiem rozpoczął swój marsz.

Cały świat kręcił się dalej.

– Jeszcze powinni Wolfika pocałować w dupę, za to, że wie, jak należy reagować w takich sytuacjach – skomentował Suchy. Wychylił się nieco w przód i zerknął w prawo w kierunku zamrozonego Dziubandowskiego. – Hej ty, głupol! – rzucił w jego stronę. – Masz jeszcze ochotę na wygibasy? – Zatrząśł ciałem, parodiując wcześniejsze ruchy

Dżordża.

Kolejne tygodnie pogłębiały konflikt przy naszym stole. Po jednej stronie barykady był niezrównoważony więzień numer 10-08, a po drugiej ja, Suchy i Siostrzyczka. Dżordż mówił i zachowywał się tak, jakby na siłę starał się nas sprowokować. Kilka razy o mało nie doszło do zdecydowanej reakcji Suchego i sam nie wiem, jakim cudem udało się nam razem z Siostrzyczką powstrzymać go od tej głupoty.

– Nic mi nie zrobicie – powiedział Dziubandowski ni stąd, ni zowąd któregoś dnia. – Jestem za mocny dla was. – Przygładził dłonią włosy, które

zdażyły mu już całkiem przyzwoicie odrosnąć.

– To samo mówiłeś swojemu wspólnikowi? – Siostrzyczka rzucił krótkie pytanie, patrząc mu prosto w oczy.

Twarz Dżordża wyrażała niemałe zdziwienie.

– A jednak on okazał się sprytniejszy i załatwił cię na cacy – dokończył Suchy. – Co, myślałeś, że nic nie wiemy? Żałosny bystrzaku – dodał z nieukrywaną pogardą.

Dżordż strzelał wzrokiem po naszych twarzach.

– Chciałeś być taki cwany i wydymać kumpla, a skończyło się tak, że to on wyruchał ciebie. On pewnie teraz ma się

całkiem dobrze, czesze kasę, a ty gniesz w pierdłu. – Suchy kiwnął głową, podkreślając tym gestem, że mówi coś bardzo oczywistego. – Spieprzyłeś sprawę, Dźordżu – zarechotał szyderczo. – Przyjechałeś tutaj, skurwiłeś się z Szumskim i nie masz żadnych kumpli. Wiesz, co ci powiem – skierował palec wskazujący w jego stronę – któregoś dnia klawisze przestaną cię niańczyć, aspirant odstawi cię na boczny tor, bo będziesz zbędny, i wtedy się policzymy. Ty i ja! Kapujesz, jełopie? – zapytał zaczepnie.

Jego rozmówca spojrział z dzikim błyskiem w oku i syknął:

– Po co czekać na dzień sądu? Załatwmy to szybciej. – Zerknął na nas i

dodał: – Żeby było jasne, wam też nie odpuszczę! A tobie już od dzisiaj zacznę uprzykrzać życie – powiedział do Siostrzyczki.

Od tego dnia Dżordż systematycznie odwiedzał izbę chorych. Zabierał czas lekarzowi, narzekając na coraz to nowe dolegliwości, ale tak naprawdę szukał haka na Siostrzyczkę.

Sierpień 1927 roku przyniósł dwa wydarzenia, które odbiły się głośnym echem na łamach krajowej prasy. W Polsce doszło do zagadkowego zaginięcia generała Włodzimierza Zagórskiego. Ponoć facet był znaną postacią na arenie politycznej II Rzeczypospolitej i zdeklarowanym

przeciwnikiem żadnego władzy obozu sanacji. Pewnego dnia po prostu zniknął bez śladu. Na światło dzienne przebijały się dwie wersje zdarzeń. Środowisko piłsudczyków propagowało teorię, że Zagórski jako oficer wywiadu sam zaaranżował swoje zniknięcie, natomiast opozycja uważała, że został zamordowany na rozkaz samego marszałka. Tej drugiej tezy nigdy nie udowodniono, a los Zagórskiego do dzisiaj jest owiany tajemnicą. Ta informacja napędzała wyobraźnię niektórych skazańców, szczególnie tych, którzy sami siebie uważali za politycznych. Spisek rządu II Rzeczypospolitej przeciwko narodowi polskiemu był dla nich czymś

oczywistym.

W murach wronieckiego więzienia prawdziwa bomba wybuchła jednak dopiero wtedy, kiedy po drugiej stronie oceanu na krześle elektrycznym zostali straceni Bartolomeo Vanzetti i Nicola Sacco. Ten dzień na zawsze zapisał się w historii robotniczego świata. Tych dwóch emigrantów włoskiego pochodzenia, którzy brali udział w demonstracjach walczących o lepsze płace i godne warunki pracy, podczas jednego z wieców zostało zatrzymanych pod zarzutem działalności przeciwko dobru publicznemu. Jak widać, nie tylko w Polsce władza szła na łatwiznę. Jednocześnie oskarżono tych mężczyzn o napad rabunkowy i morderstwa. Nie

pomogło, że mieli niezbite alibi, a dowody wydawały się bardzo wątpliwe. Wyrok wykonano.

Pewnie dziwicie się, dlaczego o tym wspominał. Już wyjaśniam. Jak nic zapomniałbym o zgładzeniu tych mężczyzn, bo w końcu wielu ludzi kończy swój żywot w majestacie prawa. Więźniów pozbawia się istnienia za pomocą szubienicy, kul, gilotyny, trucizny, prądu elektrycznego lub śmiertelnościanego gazu. Ktoś popełnia paskudną zbrodnię, zostaje skazany, a na końcu pozbawiony życia. I słusznie. To ma sens, jak najbardziej zgadzam się, że tak powinno być, ale tylko wtedy, kiedy ten ktoś naprawdę jest winien. Paradoks jednak tkwi zupełnie w innym



miejscu. Wiele w swoim życiu przeżyłem, również zmiany ustroju państwa. Tutaj właśnie rodzi się najczęściej absurdów. Sprawa Vanzettiego i Sacca wróciła do mojego życia ponad pół wieku później. Wszystko się zmieniło, świat zwariował, a za murami więzienia kwitła Polska Rzeczpospolita Ludowa. W niedzielę, 28 sierpnia 1977 roku w więzieniu we Wronkach odbyły się cztery projekcje tego samego filmu. W placówce nie było, a właściwie do dzisiaj nie ma tak dużego pomieszczenia, które byłoby w stanie zgromadzić wszystkich osadzonych. Prowadzono nas na prezentację blokami, chociaż w 1977 nazwa „bloki” już nie

funkcjonowała, bo określano je mianem „pawilony”. W ten sposób co dwie godziny, bo tyle trwał ów film, zmieniała się obsada widowni. Byłem w pierwszej turze. Projekcję poprzedziła krótka mowa jakiegoś partyjnego kacyka, który przyjechał z poznańskiej siedziby Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Gość miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i czerwony krawat. Używał słów, które budziły wśród skazanych delikatne uśmieшки politowania. Opowiadał coś o walce ze światowym imperializmem i o sukcesach przemian społecznych, które od lat budują naszą wspaniałą ojczyznę, a na koniec dodał:

– Pięć dni temu, dwudziestego

trzeciego sierpnia, dokładnie w pięćdziesiątą rocznicę haniebną śmierci dwóch znamienitych działaczy robotniczych, którzy nazywali się Bartolomeo Vanzetti i Nicola Sacco, gubernator stanu Massachusetts – zerknął na kartkę, którą trzymał w dłoni – Michael Dukakis zrehabilitował naszych włoskich towarzyszy. Jako przedstawiciel Partii chcę podkreślić i zwrócić waszą uwagę, że amerykańscy politycy zaczynają w końcu rozumieć, że struktura państwa budowana na wyzysku jest godna potępienia. Za chwilę zobaczycie film znamienitego włoskiego reżysera – znowu zerknął na kartkę i z trudem przeczytał – Giuliana Montalda, który w roku tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątym pierwszym z niebywale wierną faktom precyzją stworzył film pod tytułem *Sacco i Vanzetti*, opowiadający ich dramatyczną historię. Zapraszam.

Chwilę później w oknach zaciągnięto atlasowe zasłony i rozległ się charakterystyczny szum projektora.

Film zrobiono genialnie, ale prawda jest taka, że każdą historię można przedstawić z dwóch skrajnych punktów widzenia. Partyjny przedstawiciel był pełen entuzjazmu, a ja, tak samo jak większość skazańców, potraktowałem to dzieło z dystansem.

Pomiędzy zniknięciem Zagórskiego a śmiercią Włochów zostałem wezwany

przed oblicze Szumskiego, żeby otrzymać zalegający przez pół roku w szufladzie list od Ojczulka. O dziwo, obeszło się bez żadnych idiotycznych sytuacji.

U staruszka wszystko kręciło się w najlepszym porządku, rodzina go przygarnęła i chociaż nie byli zbyt dumni z przeszłości, którą miał za sobą, został przez nich w pełni zaakceptowany. Większość jego znajomych z młodości spoczywała już na cmentarzu, inni wyjechali gdzieś w daleki świat, ale na miejscu było jeszcze kilku żywych, z którymi odnowił kontakty. Chwalił sobie niemieckie piwo i kozie sery. Czas spędzał, jak na prawdziwego emeryta przystało,

trochę spacerując, trochę czytając i jeśli pogoda dopisywała, wygrzewając stare kosteczki na ławce w parku. Upodobał sobie przesiadywanie tuż obok marmurowej fontanny w kształcie kwiatu lilii i godzinami potrafił obserwować, jak w słoneczne dni w kropelkach deszczu rodzi się poświata barwnej tęczy. Oczywiście kazał pozdrowić chłopaków i napisał, że tęskni za nami. Księżulek nawet słówkiem nie wspomniał o moim liście, co było zupełnie zrozumiałe. Miałem jednak nadzieję, że go otrzymał. Tym razem również w postscriptum zwrócił się do aspiranta identycznymi słowami co ostatnio: „Panie aspirancie Szumski, będę niezmiernie wdzięczny, jeśli

przekáže Pan ten list Stefanowi Żabikowskiemu. Z góry dziękuję, przesyłam wyrazy szacunku”.

Dopiero w niedzielę na spacerunku opowiedziałem Suchemu historię listu od Ojczulka. Kiedy skończyłem czytać, chciałem się wytłumaczyć:

– Nie było sensu mówić o tym na stołówce, bo pewnie Dżordż pobiegłby zaraz z meldunkiem do Szumskiego... – Nie zdążyłem dokończyć zdania, kiedy nagle Suchy zaczął kląć na czym świat stoi, a ja pomiędzy stekiem wyzwisk i wyszukanych epitetów po raz kolejny dowiedziałem się, że jego interesy trafia szlag.

– Wszystko przez tego frajera – syczał

jak wąż. – Siedzi mi ciągle na garbie w tej cholerniej pralni, nic, kurwa mać, nie mogę zrobić! Jak tak dalej pójdzie, to ktoś mnie wysiuda z interesu! Ja chyba naprawdę powinienem pogadać z Wolfem, żeby załatwił tego pajaca!

– Suchy, proszę cię – szepnąłem – mógłbyś tak głośno nie ogłaszać swoich zamiarów? – Omiotłem nerwowo wzrokiem, czy nikt z więźniów przypadkiem nam się nie przysłuchuje.

I chociaż było to tylko puste gadanie, to chyba się zreflektował, bo zamilkł, pokiwał głową i splunął na wprost.

– Masz rację – odparł. – Morda w kubek i robić swoje. Daj fajkę.

– Dobry pomysł z tą mordą i kubkiem –



stwierdziłem z poczuciem lekkiej ulgi. Wyjąłem swoją mosiężną papierośnicę i poczęstowałem mojego kompana papierosem.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu.

Spojrzałem na Suchego i kiedy doszedłem do wniosku, że nieco ochłonał, zapytałem:

– Załatwisz wysłanie listu do Ojczulka?

Widać było, że się zastanawia. W końcu pokiwał przecząco głową.

– Raczej nie dam rady – odparł. – Jak będę próbował coś kombinować, to spalę swój kontakt na dobre. Ten jebany Dżordżu pilnuje mnie lepiej niż matka swoje dziecię.

Nie wiem, co Dżordż raportował Szumskiemu, ale raportował na pewno, i mogę jedynie przypuszczać, że plół bzdury, jakie mu tylko ślina przyniosła na język. Wszelkie pomówienia, które wypływały z jego ust, miały później swój oddźwięk w rzeczywistości. Tak się dziwnie składało, że po jakimś czasie aspirant uparcie serwował naloty na nasze cele i średnio raz w tygodniu mieliśmy trzepanie gniazda.

Kipisz przeważnie odbywał się w ciągu dnia pracy pod naszą nieobecność. Jednak pewnego razu Szumski zrobił u mnie mały kocioł w piątkowy wieczór, bo właśnie wtedy przypadła jego służba. Chyba nie miał żadnego mądrzejszego zajęcia i sprawił sobie wątpliwą

rozrywkę.

Drzwi do celi otworzyły się z trzaskiem. Staiałem na baczność tuż obok okna. Na podłogę poleciały siennik, koc i poduszka oraz wszystkie drobne rzeczy, które leżały na półce zawieszanej nad stołem. Stół i taboret również znalazły swoją nową lokalizację w przeciwnym rogu celi. Oczywiście nie miałem niczego, co mogłoby stać się przyczyną moich problemów.

– Czysto – stwierdził aspirant z lekkim zawodem. – Widzę, Żabikowski, że bardzo się pilnujesz. – Pokiwał głową, zdjął czapkę i przetarł nieco spocone czoło. – A jak tam twoje stosunki z panem Dziubandowskim? –

zapytał.

– Całkiem zwyczajne, panie aspirancie – odparłem.

– Zwyczajne powiadasz... hmm – Sięgnął po papierosa i zapalił. – A ja mam wrażenie, że z niego taki nadzwyczajny człowiek. Nie sądzisz?

– Nie zauważyłem w nim nic nadzwyczajnego, panie aspirancie.

– Ty od jakiegoś czasu nie zauważasz bardzo wielu rzeczy – westchnął – jesteś stonowany, spokojny, nie szukasz zwady. – Szumski mówił, a ja czułem się tak, jakbym słuchał zeznań Dżordża. – To dobrze, że starasz się unikać problemów, chociaż myślę, że pewnego dnia problemy znajdą ciebie. Wszystko, Żabikowski, wszystko zawsze jest tylko

kwestią czasu. – Pokiwał palcem, jakby mi groził. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a potem omiół wzrokiem celę. – Weź się do roboty i ogarnij ten chlew. – Wykonał zwrot na pięcie i zrobił krok w stronę wyjścia.

– Panie aspirancie, mam pytanie – postanowiłem zaryzykować.

Szumski powoli obrócił się przez ramię. Na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia.

– Pytanie? – powiedział. – Słucham, Żabikowski, o cóż chcesz mnie zapytać?

– Chciałbym wysłać list do Eryka von Gerswalde i...

– Coś ci powiem, Żabikowski! – wpadł mi w zdanie, a ton jego głosu świadczył, że nic z tego nie będzie. –

Stary Gerswalde mieszka w Niemczech, a my jesteśmy w Polsce. Państwo nie będzie płacić za twoje zagraniczne listy. Regulamin mówi wyraźnie, że korespondencja jest wysyłana tylko na terytorium Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej! Co, masz zamiar zaliczyć się byłemu skazańcowi na swój los? A może skreśliłbyś kilka słów do wdowy po Duszańskim albo wysłał kartkę z pozdrowieniami do Świętego Krzyża! – Podszedł do mnie, błyskawicznym ruchem chwycił mnie wściekle za krtań i zacisnął palce. – Nic z tego, śmieciu! Tak długo jak tutaj będę, nie wyślesz żadnego listu. Zrozumiałeś?! – Przez krótką chwilę nie mogłem złapać oddechu. Nawet nie zdążyłem zauważyć,

jak Szumski sięgnął po pałkę. Zobaczyłem tylko, jak robi zamach, i poczułem potworne uderzenie w mostek. Ból był tak powalający, że moje nogi ugięły się w kolanach.

Szumski zwolnił ucisk, a ja klęknąłem na posadzce, z trudem łapiąc powietrze. Na odchodne kopnął jeszcze wściekle wiadro z fekaliami. Cała zawartość chlusnęła na moje uda i rozlała się na podłogę. Smród odchodów uderzył mi w nozdrza.

Funkcjonariusz zniknął za drzwiami, a ja przez dłuższą chwilę trwałem w tej pozycji i przysięgałem w duchu, że jutro załaduję pociski do parabellum i zabiję skurwiela o urodzie szczura.

Parszywy zapach łajna jeszcze długo

unosił się w pomieszczeniu. Śmierdziałem, jakbym sam wykąpał się w szambie, a możliwości były takie, że dopiero jutro podczas kąpieli mogłem uprać spodnie.

Mój stosunek do aspiranta Szumskiego był taki sam jak Suchego do Dżordża, chociaż miał zupełnie inne przełożenie. Wiem, co czuł mój kumpel. Wiem, jak to jest pałać chęcią pozbycia się kogoś, bez kogo świat mógłby stać się lepszy, a życie prostsze. Szumski był dla mnie ostatnim ogniwem krępującego łańcucha, którego z chęcią pozbyłbym się i przetopił na śrut. Nie mam pojęcia, co mnie skusiło, żeby zapytać go o ten cholerny list! Tego popołudnia wbiłem sobie do łba, że nigdy, ale to przenigdy,



nie mogę mieć złudzeń co do klawisza, który żywi do mnie jedynie nienawiść. W ludzkich kontaktach bywają czasami takie relacje, że w żaden sposób nie da się ich naprawić, czy choćby polepszyć. To jest utopia.

Podczas kolacji chłopaki kręcili nosem, a smród sprawił, że Dżordż w trakcie posiłku o mało nie zwymiotował. Kiedy udało mu się opanować sytuację, przesiadł się na kraniec stołu.

– Dobrze wiedzieć, co cię rusza – rzucił w jego stronę Suchy z nieukrywaną satysfakcją. – To miła wiadomość – dodał i zaczął rozmawiać z Siostrzyczką o tym, jak zabawnie byłoby wrzucić kogoś do silosu i zamknąć go tam jak w karcerze na dwie

doby.

Facet z przylizanymi włosami spojrział na nich z wściekłością i zaczął coś mamrotać pod nosem. Gadał do siebie półgłosem jak najęty, a my nie byliśmy w stanie zrozumieć jego słów.

Pewnego wrześniowego dnia jak zwykle rankiem wyszliśmy z naszych cel i ustawiliśmy się przed drzwiami, kiedy nagle rozległ się głos dyżurnego klawisza:

– Dziubandowski, wyłaź z nory! Nie opóźniaj!

Zerknąłem w kierunku jego celi, która znajdowała się na niższej kondygnacji.

– Dziubandowski, do ciężkiej cholery, ruszaj się!

Po chwili w drzwiach ukazała się znajoma sylwetka z rozwichrzoną fryzurą. Kiedy go ujrzałem, przemknęła mi niedorzeczna myśl, że Dziuba wrócił.

– I kogo chcesz teraz nabrać? – warknął Suchy, kiedy usiedliśmy przy stole.

Dziuba spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– Dziwnie się czuję... zupełnie jakbym wrócił z długiej podróży.

– Zaraz mnie trafi! – Suchy prawie szczerknął. – Masz nas za idiotów?!

Dziuba spuścił głowę i sprawiał wrażenie, jakby wpatrywał się w swoje uda. Siedział tuż obok mnie i wyraźnie słyszałem, jak cicho warczy i szepcze

coś niezrozumiałego. Na śniadanie była kawa, dwie kromki chleba i łyżka smalcu ze skwarkami. Dziuba spojrział spode łba na swój talerz, położył palce prawej dłoni na smalcu na tyle mocno, że tłuszcz przecisnął się pomiędzy ich szczelinami. Chwilę później cofnął rękę i potarł obiema dłońmi o siebie. Spoglądaliśmy na niego jak na człowieka niespełna rozumu. Nagle uniósł wyżej ręce i umorusanymi dłońmi zaczął zaczesywać do tyłu włosy.

– Pieprzone sierściuchy – rzucił przez zaciśnięte zęby, patrząc na Suchego. – Jeśli chodzi o ścisłość, to zaiste mam was za idiotów. – Nienaturalny śmiech zabrzmiał jak skrzeczący rechot. Spojrzął po naszych twarzach. – I co się

tak gapiecie?! Jeden niańczy schorowanych, drugi dłubie w drewnie, a trzeci pierze więzienne brudy – prychnął z pogardą. – Z kim chcecie się mierzyć!? Ze mną!?

Spojrzałem na Suchego. Jego twarz przybrała kolor purpury, a pośrodku czoła było widać nabrzmiąłą żyłę.

– Daj spokój – rzuciłem w stronę mojego kumpla i szturchnąłem go nogą. – Nie warto.

Suchy nic nie odpowiedział. Kilka razy przygryzł dolną wargę, na chwilę wbił we mnie wzrok, po czym zabrał się za swój posiłek.

Kto jak kto, ale ja doskonale zdawałem sobie sprawę, do czego może

doprowadzić ślepa zawziętość. Miałem za sobą takie przeżycia, doświadczyłem ich i chyba wyciągnąłem odpowiednie wnioski. Nie poniosłem odpowiedzialności za swoje czyny, miałem fart i bardzo szybko zrozumiałem, że wyczerpałem już swój limit szczęścia. Potem dotarło do mnie, że w więzieniu to całkiem naturalne, kiedy czasami zmieniasz się w zimnego egoistę lub ostrożnego asekuranta. Oczywiście najlepiej byłoby być neutralnym wobec ludzi i zdarzeń, ale niestety tak się nie da.

Każdego dnia widziałem, co dzieje się z Suchym, jak karmi się złością i chęcią odwetu, jak razem z Dżordżem nakręcają wspólną spiralę nienawiści.

To było tak intensywne, że dało się słyszeć, jak ich ponure uczucia sapią i trzeszczą.

Nasze wspólne posiłki zmieniły się w koszmar. Dżordż zaczynał tracić umiar i bezczelnie terroryzował nas swoim zachowaniem.

Jakiś głos znowu szeptał mi w głowie, że pewnego dnia to wszystko źle się skończy.

– Suchy ma rację – zakomunikował nasz pielęgniarz, kiedy kolejnej niedzieli snuliśmy się po spacerunku. – Coś trzeba z tym zrobić. Nie możemy sobie pozwolić, żeby ten frajer nas rozstawiał po kątach. – W jego głosie czaiła się nerwowość. – Mam z nim taki cyrk w

lazarecie, że szkoda gadać!

– Co się dzieje? – chciał znać szczegóły Suchy.

Siostrzyczka w kilku zdaniach opowiedział nam o tym, jak Dżordż ze swoją umiejętnością prowokacji daje mu się we znaki.

Niedobrze – pomyślałem. Teraz będzie ich dwóch i pewnego dnia posuną się o krok za daleko.

– Trzeba gnidę utemperować! – Suchy powiedział to tak, jakby cała sprawa była już przesądzona.

– Wiecie co, chłopaki, wybaczcie, ale po pierwsze, to nie chcę, a po drugie, to nie dam się wciągnąć w ten syf – wyznałem szczerze, przeczuwając z ich strony nedorzeczne propozycje



rewanżu. – Zrozumcie, wy któregoś dnia wyjdziecie, a ja będę tutaj do końca życia. Nie chcę skończyć na izolacyjnym albo zostać przeniesiony tam, skąd przybył Dziubandowski. – Na samą myśl o tym czułem na karku nieprzyjemne mrowienie. – Jesteśmy kumplami, prawda? – zapytałem i spojrzałem po ich twarzach.

– Rozumiemy, Ropuszku. – Suchy posłał mi oko. – Nie ma problemu, zapomnij. Sami się uporamy z tym ćwokiem. – Klepnął Siostrzyczkę w ramię. – Prawda? – zapytał, ale zabrzmiało to jak krótkie potwierdzenie, że wspólnymi siłami zajmą się na poważnie problemem.

Jesienią 1927 roku naczelnik Zalewski zaczął wcielać w życie projekt, który zrodził się na biurkach w dostojnych gabinetach Ministerstwa Sprawiedliwości. Rządowa dyrektywa mówiła o tym, że należy walczyć z analfabetyzmem i podjąć wszelkie możliwe działania, aby dźwignąć z ciemnoty poziom społecznej edukacji. W tamtych latach polskie szkolnictwo leżało na łopatkach, a my jako naród żyjący w sercu Europy plasowaliśmy się pod tym względem gdzieś na szarym końcu. Nie wiem, jakie działania podjęto po drugiej stronie murów, ale za to wiem, że naczelnicy wszystkich więzień w Polsce otrzymali konkretne polecenia i wytyczne. Więźniowie mieli

uzyskać dostęp do literatury i prasy. Oczywiście opublikowano listę autorów książek oraz tytuły gazet, które mogły być czytane przez skazanych. Ponadto każdy niepiśmienny osadzony mógł dobrowolnie skorzystać z podstawowego programu nauki czytania i pisania. W tym celu wygospodarowano jedno z pomieszczeń w głównym budynku wronieckiego więzienia i przeznaczono je na salę biblioteczną.

Prace adaptacyjne ruszyły z początkiem października. Kilka dni później zostałem wezwany do naczelnika Zalewskiego.

— Panie naczelniku, melduję doprowadzenie więźnia dwadzieścia

dziewięć-jedenaście – zaanonsował strażnik, który wprowadził mnie do gabinetu.

Omiotłem wzrokiem po znajomych meblach i spojrzałem na najważniejszą osobę w tym więzieniu. Zalewski jak zwykle ubrany w mundur siedział za biurkiem i przyglądał się mi świdrującym wzrokiem. Miał w swoim spojrzeniu coś bardzo niepokojącego, co chciało wdrzeć się w głąb mojej duszy.

– To ty jesteś tym stolarzem, który urządził to pomieszczenie? – Machnął dłonią jak wachlarzem.

– Tak jest, panie naczelniku.

– Solidna robota. – Puknął pięścią w blat biurka. – Bardzo solidna.

– Dziękuję, panie naczelniku. –  
Nauczony doświadczeniem  
odpowiadałem na każdą kwestię.

– Będziesz miał okazję wykazać się  
ponownie, trzeba zbudować kilka  
regałów na książki, ale nie w takim  
bogatym stylu jak te meble. – Wykonał  
dłonią ten sam ruch co poprzednio. –  
Muszą być proste, wytrzymałe i  
funkcjonalne.

– Oczywiście, panie naczelniku,  
żaden problem. Potrzebuję tylko  
wymiary i kilka konkretnych informacji.

– No to w takim razie chodźmy do tej  
naszej przyszłej biblioteki. – Naczelnik  
podniósł się z miejsca i ruszył w stronę  
drzwi. Otworzył je na oścież i puścił  
mnie przodem. Dozorca na korytarzu

natychmiast wypiął do przodu pierś i stanął na baczność.

Zmiany – pomyślałem. Ciągłe zmiany. I przyszło mi również do głowy, że kiedy Wojciechowski był naczelnikiem więzienia, nie panowała tutaj taka sztywna, wojskowa dyscyplina jak teraz.

– Oto nasza przyszła skarbnica wiedzy – powiedział Zalewski, stojąc w rozkroku pośrodku pomieszczenia z wybielonymi ścianami. – Potrzebujemy regały, stoły, krzesła i tablicę. – Gestykulował rękami i wskazywał konkretne miejsca.

Według jego wizji biblioteka miała przypominać szkolną salę.

Dokonałem niezbędnych pomiarów i wszystkie dane zapisałem w moim

kajecie.

Pomyślałem, że fajnie byłoby pracować poza wszelką kontrolą. Tak samo jak kiedyś spędzać w stolarni nudne popołudnia lub długie niedziele. W sumie nie miałem nic do stracenia, więc opowiedziałem naczelnikowi, w jakim systemie odbywała się moja praca w przeszłości. Zalewski wysłuchał mnie uważnie, przez dłuższą chwilę zastanawiał się, po czym rzekł:

– Dobrze, niech będzie. – Spojrzał na dozorcę stojącego pod ścianą obok drzwi i zapytał: – Szumski ma dzisiaj służbę?

– Tak jest, panie naczelniku!

– Niech się tutaj zgłosi. Natychmiast!

– Tak jest! – Strażnik oddał honor,

strzelił obcasami, obrócił się na pięcie i zniknął w korytarzu.

Kiedy aspirant ujrzał mnie w towarzystwie naczelnika, na jego twarzy pojawił się, niczym niespodziewany gość, wyraz kompletnego zaskoczenia. W jego spojrzeniu było coś wściekłego, a ja w głębi serca znowu poczułem stary, znajomy triumf. Na usta cisnęły mi się słowa pełne chorobliwej satysfakcji – I co ty na to?

Zalewski najwyraźniej nie miał w zwyczaju tłumaczyć podwładnym powodów swoich decyzji ani zagłębiać się w szczegóły.

– Panie Szumski – zwrócił się do niego władczy tonem – pan



powiadomisz obsadę na bloku, że ten więzień może pracować również poza godzinami, które są określone w regulaminie.

– Tak jest, panie naczelniku. – Aspirant skinął głową.

– Ile ci to zajmie czasu? – zwrócił się do mnie naczelnik.

– Jeżeli nie będzie problemu z materiałami, to wyrobię się do końca grudnia. – Wiedziałem, że uporam się z tym wcześniej, ale wolałem podać bezpieczny termin.

– Słyszałeś pan, prawda? – Patrzył na funkcjonariusza, a ten odpowiedział mu skinieniem głowy. – Począwszy od dziś aż do końca roku, więzień Żabikowski – spojrzał na mnie, potem

wrócił wzrokiem na twarz Szumskiego – ma pozwolenie na pracę popołudniami. – Zamilkł na moment, wyprostował palec wskazujący i rzekł: – W niedzielę, w myśl trzeciego przykazania bożego, nie pracujesz. – Łypnął oczami po naszych twarzach i dodał, jakby pouczał mnie i Szumskiego: – Pamiętajcie, aby dzień święty święcić.

Wróciłem na stolarnię i przez resztę dnia pracy karmiłem się miazdzącym zwycięstwem nad dumą aspiranta.

Znacie smak takiego sukcesu, prawda? Nie trzeba dyplomów, mądrych szkół i cenzurek z zaliczonych fakultetów, żeby mieć świadomość, iż ludzka natura jest pełna niedoskonałości.

To, że wszyscy zostaliśmy stworzeni na wzór i podobieństwo Boga, wcale nie oznacza, że jesteśmy pozbawieni ułomności. I niechaj skonam, jeśli w kimś z was nie ma choćby szczypty próżności.

Kiedy po obiedzie opuszczaliśmy stołówkę, dozorca Frantz klepnął mnie w ramię i powiedział:

– Aspirat Szumski chce z tobą rozmawiać. Idziemy! – Delikatnie pchnął mnie do przodu i ruszyliśmy do gabinetu, który znajdował się na górnej kondygnacji głównego budynku.

W pomieszczeniu unosiły się kłęby sinego dymu i intensywny zapach

tytoniu. Szumski siedział za biurkiem, palił papierosa i przez dłuższą chwilę przypatrywał mi się w milczeniu.

Nagle westchnął, pokiwał głową i zapytał:

– Powiedz mi, Żabikowski, jak to jest, że na twoje wrodzone cwaniactwo nabiorą się nawet, mogłoby się wydawać, całkiem rozsądni ludzie? He? Co takiego nagadałeś naczelnikowi, że znowu zostałeś wybrańcem? – Spojrzał na mnie wzrokiem, który utwierdził mnie w przekonaniu, że muszę na te pytania udzielić odpowiedzi.

– Panie aspirancie – zacząłem regulaminowo – naczelnik żąda...

– Dość! – Szumski walnął otwartą

dłonią w blat biurka. – Wiem, czego żąda Zalewski. Nie musisz mi tego mówić! – rzucił podniesionym tonem. – Żąda – podniósł się zza biurka – żebyś niańczył takich jak ty! Zamienia to więzienie w jakiś zasrane pensjonat, a ze strażników robi... – Nagle zamilkł, zupełnie jakby się zorientował, że powiedział o kilka słów za dużo.

Zaciągnął się jeszcze parę razy nerwowo dymem i zgasił niedopałek, wściekle wgniatając go w popielniczkę z grubego szkła.

– Obaj wiemy, Żabikowski – zaczął po chwili – kim jesteś i czego się dopuściłeś. I możesz być pewien, że nie mam zamiaru ci pobłażać ani traktować cię jak świętej krowy. Rozumiesz? –

Podszedł w moją stronę. Pomyślałem o tym, że zaraz oberwę. – Pamiętaj, Żabikowski, o jednym, naczelnicy przychodzą i odchodzą. Zalewski już kwalifikuje się na emeryturę. Wiesz, co wiąże się z twoją nową fuchą? – zmienił nagle temat. – Będiesz niedzielnym kalifaktorem, tak jak za starych czasów. Przyda ci się poranne bieganie z bombami, żebyś nie wypadł z tego pracowniczego rytmu – zakpił. – Zaczynasz od najbliższej niedzieli aż do końca roku. – Obrócił się i ruszył w stronę biurka. Otworzył szufladę, wyjął pocztówkę i spojrzał na jej zapisaną stronę. – Kiedy masz urodziny? – zapytał.

– Za cztery dni, panie aspirancie,

siedemnastego października. – Moje serce nagle przyspieszyło.

– Twój kumpel przysłał ci kartkę z życzeniami. – Cisnął ją na blat, ale sztywny papier odbił się od drewnianej tafli i poszybował na podłogę. Szumski przez chwilę przyglądał się mojej twarzy. – No podnieś! – warknął. – Co tak stoisz jak kołek, myślisz, że ja będę się po to schylał?

Posłusznie wykonałem polecenie.

Siedziałem na pryczy i wpatrywałem się w koloryzowaną fotografię. Na zdjęciu widniał smakowicie wyglądający tort z płonącymi świeczkami, przed którym stała butelka szampana i dwa kieliszki do połowy

napełnione płynem. U góry pocztówki był skreślony w półkole napis „Alles Gute zum Geburtstag”, a niektóre jego litery wyglądały tak, jakby na ich krawędziach eksplodowały petardy sztucznych ogni.

Czułem radość, prawdziwą, miłą radość. Jednak był jeszcze ktoś w świecie, kto o mnie pamiętał. Z tyłu staruszek napisał krótkie życzenia:

*Drogi Przyjacielu!*

*Z okazji Twoich 27 urodzin życzę Ci dużo wytrwałości, mądrości, spokoju ducha i zdrowia. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku, i liczę, że któregoś dnia napiszesz do mnie. Pozdrów tych, których należy*



*pozdrowić.*

*Ojczulek*

Oparłem się plecami o ścianę, a w głowie czyniłem rachunek sumienia. Bilans rocznych poczynań i przeżyć nie wyglądał imponująco. Właściwie to nic nie wyglądało tak jak powinno. W myślach galopowały smutne refleksje. Za cztery dni minie dwadzieścia siedem lat mojego życia, które potoczyło się parszywymi kolejami losu. Przecież nie tak wszystko miało wyglądać. Odsiadywałem piąty rok z dożywocia, ta sama cela, te same mury i tylko czasami zmieniały się ludzkie twarze. A co by było gdyby – nagle pod czaszką zabrzmiał ochrypy głos Końskiej.

Położyłem pocztówkę na półce i podszedłem do okna. Październikowe słońce unosiło się na zachodzie ponad linią ciemnego horyzontu. Pejzaż nieba tonął w palecie barw, mieniając się odcieniami czerwieni, różu i fioletu. Grudy brązowej ziemi pokrywały połacie pól, hen w oddali płonęło chyba ognisko, bo w bezwietrznym powietrzu unosił się słup dymu. Pole i ognisko zawsze kojarzyło mi się ze smakiem pieczonych ziemniaków. Oddałbym ostatni rok mojego życia za jeden dobrze wypieczony kartofel. Poczuc w dłoniach gorącą bulwę, otrzeć usta o spieczoną skórę, przekąsić gryz i upoić się jedynym w swoim rodzaju smakiem. To byłoby coś! – westchnąłem w duszy.

Nie byłem w stanie zapanować nad własnymi wspomnieniami. Pojawiły się nagle i znikąd niczym porywisty wiatr. Barwa nieba, w którą się wpatrywałem, i myśl o ognisku cofnęły mnie w czasie do moich dwudziestych pierwszych urodzin. Zwinąłem wtedy z domowej spiżarni okazały słoik kiszonych ogórków i pół worka ziemniaków, a w sklepie kupiłem litr wódki. Razem z Wiktorem, Pesteczką i Truflem poszliśmy świętować ten dzień. Wybraliśmy pole starego Klemensa tuż pod lasem, żeby mieć pod ręką zapas drewna. Pesteczka jak zawsze był przezorny i zabrał ze sobą siekierkę. Zrobiliśmy ognisko jak się patrzy. Ogień trząskał, skry leciały w powietrze, a

ziemniaki rzucone w żar...

– Kurwa mać! – syknąłem wściekle przez zęby, a dłonie zacisnąłem na kratkach. – Wiktor! Niech cię szlag! Niech cię, kurwa mać, jebany szlag! – Przez chwilę szarpałem się z prętami, jakbym chciał wyrwać ich zakotwione w murach zęby. – Niech cię szlag... – wyszeptałem z oczami pełnymi łez i osunąłem się na kolana. Nie wiem, jak długo trwałem w tej pozycji, ale podniosłem się dopiero wtedy, kiedy na korytarzu rozległ się gong obwieszczający wyjście na kolację.

W niedzielny poranek bardzo szybko przypomniałem sobie, co znaczy być funkcyjnym na latrynie. Kiedy ekipa z

bloku B wyruszała na śniadanie, stałem uzbrojony w dwa wiadra obok wejścia na dyżurkę i przyjmowałem od większości drwiące gratulacje z okazji ponownego awansu na kalifaktora. W szeregu więźniów kroczących schodami w dół dostrzegłem twarz Dżordża. Na jego obliczu malował się wyraz triumfu i satysfakcji. W tym więzieniu każdy skazaniec wiedział, że niedzielne zajęcia są nagrodą dla wyróżniających się inaczej.

– Pięć skrzynek, Ropuszku, jakem Suchy. Dam ci pięć skrzynek i dorzucę jeszcze całusa w podzięce. – Złapał mnie za ramiona, jakby chciał mną potrząsnąć.

– Chyba zwariowałaś! – Jego propozycja, żebym następnej niedzieli rozlał wiadro gównien na pryczy Dżordża, była kompletnie niedorzeczna.

– Pięć od Suchego i pięć ode mnie. – Siostrzyczka też oferował sowitą zapłatę. – Nad czym się tutaj zastanawiać? Proponujemy ci fortunę za kilka sekund roboty.

– Taaa, kilka sekund roboty – burknąłem – i dwie doby w karczerze albo trzy miesiące na izolacyjnym. Nic z tego, nie ma takiej możliwości. – Wiedziałem, że nigdy się nie zgodzę.

– Widziałeś, jak Dżordż kręcił nosem i uciekał od ciebie, kiedy Szumski cię ufajdał – nie odpuszczał Suchy. – Facet ma słaby punkt. – Zaciśniętą pięścią

uderzył w otwartą dłoń. – To jest to! Z twoją pomocą zamkniemy go w celi cuchnącej gównem!

– Niech wam się marzy, co chce, a ja mówię, że nic z tego, kapujecie? Czytajcie z ruchu moich warg. – Wskazałem na usta i cedząc każde słowo, powtórzyłem: – Nic z tego!

– Chodźmy na faję, usiądziemy, pogadamy. – Suchy położył mi po ojcowsku dłoń na ramieniu i ruszyliśmy w stronę placu apelowego.

Minęliśmy Wolfa, który jak zwykle spacerował wzdłuż siatki po lewej stronie spacerniaka, gdy nagle pomiędzy skazańcami pojawiła się sylwetka idącego z naprzeciwka Dżordża.

– Lezie pieprzona menda! – warknął

Suchy.

Człowiek z idealnie zaczesanymi do tyłu włosami wpatrywał się w moje oczy. Kiedy dzieliło nas raptem dwa metry, Dżordż rzucił do mnie:

– Sprzątnąłeś dzisiaj moją szlachetną kupę i powinieneś być z tego dumny!

– Spierdalaj! – warknął Suchy.

Dżordż zatrzymał się i stanął w rozkroku. To była jego kolejna kretyńska zagrywka.

– No, dalej, chamy! Dawać tutaj! – Wyjął ręce z kieszeni i trzymając je na wysokości bioder, poruszał palcami niczym rewolwerowiec na kilka sekund przed pojedynkiem.

Kątem oka dostrzegłem postać Wolfa, który zatrzymał się tuż obok nas. Patrzył



na Dziubandowskiego beznamiętnym wzrokiem. Kiedy zderzyły się ich spojrzenia, z twarzy Dżordża natychmiast umknęła cała ta zawadiacka arogancja.

– Zabieraj się stąd! – rzucił Rzeźnik z Danzig krótką komendę w jego kierunku. – I to już! – Wolf tupnął nogą i wykonał taki ruch, jakby zamierzał skoczyć w jego stronę. Ten manewr spłoszył Dżordża, który asekuracyjnie odbił kilka kroków w bok.

W tym samym momencie Suchy parsknął rozbawiony.

– Daj spokój. – Szarpnąłem mojego kompana za rękaw szarej bluzy. – Nie prowokuj!

– No co, przecież nic nie robię –

powiedział tonem niewiniątka.

Zauważyłem, że ignorowanie Dżordża działało na niego zniechęcająco. Nieraz powtarzałem to Suchemu i Siostrzyczce, ale oni byli zupełnie odporni na dobre rady. Pod tym względem chłopaki mieli trudne charaktery, zachowywali się tak, jakby postawili sobie za punkt honoru sprawdzić granice własnej cierpliwości.

W listopadzie Suchy i Dżordż wdali się w ostrą bójkę. Nie wiem, o co konkretnie poszło. Do starcia doszło w pralni, ale z tego, co opowiadali świadkowie zdarzenia, wyglądało to tak, jakby Dziubandowski umyślnie podłożył się Suchemu i pozwolił się dotkliwie obić. W sumie wyszło na to, że Dżordż z

połamanymi żebrami trafił na izbę chorych, a Suchy zaliczył bolesną rozmowę z Blachą i dwie doby w karczerze. Zwyczajowo było przyjęte, że tam, gdzie istniał między skazańcami jakiś konflikt, należało zwaśnione strony odizolować od siebie, żeby w przyszłości nie dochodziło do odwetu. Tym sposobem Suchy stracił pracę w pralni i został oddelegowany do zajęć na folwarku.

– I po jaką cholere ci to było? – zapytałem, patrząc na posiniaczoną twarz Suchego. – Nadal do ciebie nie dociera, że przegrywasz w tej durnej zabawie?

– To się jeszcze okaże – odparł.

Wprawdzie wzruszył ramionami, jakby nie obchodziło go to, co się stało, ale dostrzegłem, że wściekle zaciska szczęki. – Dam sobie radę, spokojna głowa. Na gospodarstwie też są ciekawe możliwości. – Nie wiem, o jakich możliwościach mówił, ale chyba tylko pocieszał samego siebie.

– Co ja się z tym człowiekiem mam w lazarecie – westchnął Siostrzyczka. – Istne utrapienie. Zrobił sobie ze mnie lokaja. To podaj mu wody do picia, to zaprowadź do kibelka, to przynieś zimny okład, to przewiń opatrunek. Chryste – jęknął. – Dwa razy połykał lekarstwa, żeby zaraz potem zrzygać się na posadzkę. I co wtedy? Łapałem za ścierę i sprzątałem te wymiociny, a

ten siedzi na łóżku jak panisko i spogląda na mnie z tym swoim cwaniackim uśmiechem, i posyła jakieś głupie docinki.

– Nic się nie martw, Siostrzyczka, jeszcze nadarzy się okazja i załatwimy gnoja na cacy – skwitował Suchy.

Bóg mi świadkiem, że daleki byłem od tego, aby iść moim kompanom z pomocą. Nie musiałem im niczego udowadniać. Wiedziałem tylko, że muszę się tak ustawić, aby nie działać na własną szkodę. W niedzielne poranki robiłem swoje, a w dni powszednie popołudniami przesiadywałem w stolarni i dopieszczałem meble do sali bibliotecznej.

Wykorzystałem sprzyjające okoliczności, załadowałem magazynek parabellum, a cienki rulon banknotów położyłem w podwójnym dnie skrzynki z narzędziami.

To była naprawdę szalona różnica, kiedy zamiast przebywać w małej celi i katować swój umysł myślami, znajdowałem się w pomieszczeniu pełnym desek i stolarskich narzędzi. Kremowe kafle rozsiewały dookoła przyjemne ciepło, niekiedy sporo czasu przesiedziałem na zydelku, piłem ciepłą herbatę i odprężony paliłem fajki. Bywało też tak, że stałem w oknie i wpatrywałem się w zmierzch, który otulał pusty spaceriak. Pracowałem i odpoczywałem. Ta praca była dla mnie

ucieczką od rutyny, a nawet czymś więcej... Ten warsztat był moją enklawą, był miejscem, gdzie zacierała się granica pomiędzy więzienną rzeczywistością a namacalną częścią świata, który znałem z przeszłości. Gdzieś głęboko w mej duszy wyryły się słowa świętej pamięci Dziadunia, który kiedyś powiedział: „Nie zmarnuj tego, chłopcze, pamiętaj, że nie ma ludzi niezastąpionych”. Tego postanowiłem się trzymać, choćbym nawet miał zerwać brutalnie więź, która łączyła mnie z moimi kumplami.

Oni pewnego dnia wyjdą, a ja zostanę.

Ta myśl wytyczała kierunek mojego życia.

Znacie to powiedzenie, że nieszczęścia chadzą parami, prawda? Chyba każdy słyszał to stare ludowe porzekadło. Cóż mogę dodać... ciąg zdarzeń, który nastąpił pod koniec 1927 roku, potwierdził jedynie regułę.

Z początkiem grudnia zamontowałem wszystkie osiem okazałych regałów w przyszłej bibliotece. Były dokładnie takie, jakich oczekiwał Zalewski. Solidne, mocne, bez zbędnych dodatków i ulepszeń. Na tydzień przed Wigilią dopełniłem dzieła stołami, krzesłami i tablicą. Wywiązałem się z zadania jak należy. Naczelnik był pod wrażeniem. Korciło mnie, żeby powiedzieć coś na temat papierosów, ale kiedy patrzyłem na twarz Zalewskiego, jakiś



głos podpowiadał mi, żebym w moich skromnych oczekiwaniach nie posunął się przypadkiem o jeden krok za daleko.

– Świetna robota, Żabikowski – rzekł z podziwem i klepnął mnie w plecy. – Masz talent w rękach – skwitował. – Nic tylko cię chwalić! Pewnie oczekujesz, żeby cię jakoś wynagrodzić? – W jego spojrzeniu było coś dobrodusznego. Naczelnik wydał mi się taki... życiowy, szczery. Pewnie z mojej strony byłoby rozsądniej, gdybym zagał o fajki, a nie o listy.

– Panie naczelniku, mam pytanie – zacząłem.

Mój rozmówca spojrzał na mnie z zaciekawieniem i powiedział:

– Słucham.

– Chodzi mi o korespondencję. Mam przyjaciela w Niemczech. To były skazaniec, który odsiadywał swój wyrok w tym więzieniu. Czy ja mogę wysłać do niego list?

– Naturalnie – odparł, a zaraz potem spojrzał na mnie, marszcząc czoło. Zastanawiał się nad czymś przez chwilę i zapytał: – Coś mi się kojarzy, że była jakaś sprawa listów adresowanych do ciebie, które spoczywały w szufladzie aspiranta Szumskiego, tak?

– Zgadza się, panie naczelniku.

Zalewski wolnym krokiem przechadzał się wzdłuż regałów i nagle zapytał łagodnym tonem, zupełnie zmieniając temat:

– Czy jest coś niewłaściwego w

kontaktach pomiędzy tobą a aspirantem Szumskim?

Miałem krótką chwilę wahania i być może gdybym w przeszłości nie słyszał tych wszystkich opowieści o tym, że strażnicy również potrafią działać w zмовie, to szepnąłbym kilka ciekawych słów na temat Szumskiego.

– Nie, panie naczelniku – odparłem. – Tylko pan aspirant powiadomił mnie, że jako więzień nie mogę wysyłać listów poza granice Polski.

– Możesz, Żabikowski, masz takie prawo – skwitował.

Prawdę powiedziawszy, chciałem tylko załatwić sobie możliwość utrzymania kontaktu z Ojczulkiem i być może... z Agnieszką.

Nie sądziłem jednak, że moje pytanie przypadkowo zbiegnie się w czasie z mającymi niedługo nastąpić rewolucyjnymi zmianami dotyczącymi korespondencji więźniów. I nawet nie przypuszczałem, jak bardzo podsyci to nienawiść Szumskiego.

Tegoroczne święta zapowiadały się w prawdziwie zimowej scenerii. Grudniowy mróz trzymał świat w garści i wszystko dookoła chowało się pod brzuchami puszystych, śnieżnych pierzyn. Jak okiem sięgnąć, wszędzie biało. Każdego dnia grupa funkcyjnych więźniów odśnieżała dziedziniec przed wejściem do głównego budynku, a potem w asyście strażników szuflowali

teren przed bramą więzienia. Kiedy rankiem dreptaliśmy w stronę stolarni, widziałem po drugiej stronie muru korony drzew dźwigające białe czapy i śnieżne koce zalegające na dachach domów. Na zewnątrz była tylko biel i ceglaste, czerwone ściany. Z okna celi rozciągał się widok na śnieżną pustynię i jedynie ciemne pasmo konarów drzew niczym czarna kreska malowało kres horyzontu. Klarowny, nieskazitelny błękit nieba dodawał tej kompozycji bajkowego klimatu.

Ostatnie przedświąteczne dni były pełne słodkiego lenistwa. Mieliśmy do zrobienia kilka drobnych rzeczy, ale przeważnie większość czasu spędzaliśmy, siedząc obok ciepłych kafli

kuchni i tocząc wesołe dyskusje. Właśnie podczas takiej sielanki, dokładnie w sobotę dwudziestego czwartego grudnia, tuż przed południem, znieuacka wpadł do stolarni aspirant Szumski. Kiedy zobaczył nas, jak sobie gaworzymy w najlepsze, zatrzymał się jak wryty, spojrzał zaskoczonym wzrokiem i ryknął:

– Co tu się dzieje, do kurwy nędzy! – Poderwaliśmy tyłki w górę, stając na baczność. – Co to ma być?! Całkiem się wam poprzewracało w tych durnych łepetynach?! Nie macie nic do roboty?! To ja wam znajdę zajęcie!

Kazał nam naprędce zrobić trzy odśnieżacze. Do trzonków łopat przybiliśmy w poprzek szerokie deski.

– W związku z tym, że przed nami dwa dni wolnego – zakomunikował Szumski – zgarniecie ze spacerniaka nadmiar śniegu, żeby wszystkim wygodnie się dreptało. Nie mieliście co robić? To teraz będziecie mieć zajęcie do wieczora.

Żaden z naszej trójki nie odezwał się ani słowem. Wyszliśmy na zewnątrz i ruszyliśmy gęsiego w kierunku wejścia na spacerniak. Aspirant przechadzał się wzdłuż siatki i obserwował nasze poczynania. Oj, powiem wam, że było co robić, chociaż mieliśmy szczęście, że śnieg był sypki niczym puch. Do obiadu uporaliśmy się z połową roboty i chociaż na dworze było mroźno, pot spływał po naszych plecach.

– A ty coś taki zmachany? – zapytał mnie Suchy, kiedy z apetytem zjadałem miche kartoflanki.

– Ech, szkoda gadać – westchnąłem. Zerknąłem na mojego rozmówcę, potem na Siostrzyczkę i łypnąłem też w stronę Dżordża, który przyglądał mi się, jakby wyczekiwał dalszej relacji. – Odśnieżam spacerniak – powiedziałem.

– Tylko dobrze się staraj, żebym mógł jutro wygodnie spacerować – rzucił w moim kierunku Dziubandowski.

Nie zareagowałem na jego słowa, ale Suchy, jak to Suchy, nie miał zamiaru milczeć i warknął:

– Co się, kurwo, odzywasz?! Ktoś cię pytał o zdanie?!

– Kogo mam niby pytać? Ciebie?



Króla świniopasów? – zarechotał. – Panoszyć to się możesz, chamie, wśród warchlaków na folwarku, tam gdzie twoje miejsce, a nie tu i przy mnie.

Dłoń Suchego, w której trzymał łyżkę, błyskawicznie zacisnęła się w pięść.

– Daj na wstrzymanie, Suchy – rzuciłem. – Nie pozwól się sprowokować.

– A ty co, rycerzyku? – warknął Dźordż, obracając twarz w moją stronę. – Masz coś do mnie? Coś ci się nie podoba?

– Ty mi się nie podobasz – odburknąłem. – I milcz, bo chcę w spokoju zjeść posiłek.

– Do kogo ta mowa? – powiedział zaczepnie. Dźordż najwyraźniej nie miał

zamiaru przestać.

– Zamknij się, człowieku – z pomocą przyszedł mi Siostrzyczka.

Facet z zaczesanymi do tyłu włosami spojrzał kolejno po naszych twarzach.

– Co jest? Macie się za jakąś pierdoloną trójcę? Znaleźli się – chrząknął z udawanym rozbawieniem – potomkowie kurew i bęcwałów.

– Zdziel go w pysk! – rzucił wściekle Suchy.

Właściwie, to nie wiem, czemu tak zareagowałem. Dżordż siedział po mojej lewej stronie i obie dłonie trzymał na stole. Przekręciłem się nieco w bok i kątem oka dostrzegłem szczelinę pomiędzy jego zgiętym łokciem a biodrem. To było instynktowne

działanie, nie zastanawiałem się. Lewą dłonią podbiłem jego rękę, a prawą posłałem mu ostry cios prosto w uszkodzone żebra i płynnym ruchem powróciłem do swojej poprzedniej pozycji. Dżordż w tej samej sekundzie zaczął wciągać krótkie, bolesne hausty powietrza, a Suchy i Siostrzyczka spoglądali na mnie jak na jakieś zjawisko.

– Nie powinieneś obrażać moich religijnych uczuć, a tym bardziej moich rodziców – powiedziałem półgłosem i ponownie zabrałem się do jedzenia zupy. Takie zajście nie mogło być niezauważone, zbyt wiele osób było dookoła. Dostrzegłem, że Wilhelm Wolf siedzący po przekątnej zajadał bez

pośpiechu zupę i spoglądał w naszą stronę. Leniwie zatoczyłem wzrokiem po twarzach innych więźniów. Z prawej strony wpatrywały się we mnie błyszczące źrenice Niebieskiego Rysia. Na jego obliczu malował się grymas, który mówił: „widziałem, jak mu przyłożyłeś”. Niebieski Rysio był najbardziej wytatuowanym więźniem pośród wszystkich skazańców. Jego ciało pokryte granatowymi malunkami widzieliśmy podczas sobotnich kąpeli. On był chyba dumny z tego, że oszpecił się w tak oryginalny sposób. My raczej nie rozumieliśmy tej formy wyrażania siebie, bo większość z nas pod natryskami zawsze obserwowała jego nagą postać z politowaniem. Niebieski

Rysio i Wolf widzieli, co wydarzyło się przy naszym stole, lecz nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Jednak zaniepokoiło mnie, że świadkiem zdarzenia był chyba również Cichy, który w tej chwili przyglądał się mi ukradkiem. Musiał widzieć całe zajście, bo kiedy ślizgałem się wzrokiem po twarzach skazańców, nasze spojrzenia zderzyły się na ułamek sekundy. Nie miałem zdania o tym człowieku, to był po prostu Cichy, który zawsze stał z boku i rzadko kiedy się odzywał. Niepozorny, spokojny, „o gładkiej urodzie”, jak to mawiał Suchy, nikomu nie szkodził i z nikim nie miał na pieńku. Chociaż do moich uszu dobiegła kiedyś plotka krążąca

pomiędzy więźniami, że dozorca Rudolf Frantz rozacza nad nim swoją specjalną opiekę. Poza tą trójką nie było już chyba nikogo, kto zyskałby powód do kłapania dziobem.

Przypuszczam, że ból po niespodziewanym uderzeniu sparaliżował w moim przeciwniku chęć odwetu.

Przez kilka następnych minut Dżordż sapał i obiema dłońmi trzymał się za obolałe miejsce.

Siostrzyczka podniósł do góry rękę i zwrócił się donośnym głosem w kierunku klawisza, który stał obok drzwi:

– Panie dozorczo!

Dziesiątki oczu zaskoczonych

skazańców spojrzały w naszym kierunku.

– Co ty, kurwa mać, tworzysz?! – syknął Suchy.

– Spokojnie, wiem, co robię – odparł. Strażnik podszedł do naszego stołu.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nasz towarzysz chyba powinien się udać na izbę chorych. – Siostrzyczka kiwnął głową w stronę Dżordża. – Prawdopodobnie odezwały się jego połamane żebra.

Klawisz przyglądał się Dziubandowskiemu, po czym rzekł:

– Musisz na izbę?

– Chyba tak – wycedził z trudem Dżordż i podniósł się z miejsca. Na moment wsparł się o stół i zerknął na mnie spode łba. Chwilę później

więzień i strażnik zniknęli za masywnymi drzwiami.

– No, Ropuszku, szacuneczek – powiedział z prawdziwym uznaniem Suchy. – Jestem z ciebie dumny. Stałaś na wysokości zadania.

Cóż miałem rzec? Nigdy nie byłem skory do bójki. Poniosło mnie. A swoją drogą, Dżordż naprawdę od jakiegoś czasu działał mi na nerwy.

Kiedy wyszliśmy ze stołówki, w korytarzu ujrzałem aspiranta Szumskiego. Stał w rozkroku i kiwnął na mnie palcem. Podszedłem bliżej i usłyszałem z jego ust:

– Ty w samotności idziesz dokończyć dzieła! – Kiwnął głową w prawo na znak, że mam ruszać przodem.



Nie spodziewałem się, że odpuści Jańkom. Poczucie sprawiedliwości według Szumskiego rządziło się swoimi prawami. Razem uwinęlibyśmy się w try miga, ale w pojedynkę czekało mnie sporo szuflowania.

– Zapamiętaj sobie, Żabikowski – za plecami usłyszałem głos Szumskiego, kiedy byliśmy jeszcze w korytarzu budynku – i potraktuj moje słowa jak wyrocznie. Jeżeli coś przytrafi się Dziubandowskiemu, to ciebie spotka to samo. – Aspirant zatrzymał się i nagle z całej siły uderzył mnie w prawy bok tuż pod żebrami. – Zabolało? – zapytał i obrócił głowę przez ramię, jakby chciał się upewnić, że nikt nas nie widzi.

Zgięło mnie nieco, a Szumski posłał mi w to samo miejsce kolejny cios. – Ruszaj! – Pchnął mnie przed siebie.

Bez słowa dotarliśmy do wejścia na spaceriak.

Już miałem przekroczyć bramkę, kiedy nagle Szumski zagroził mi drogę.

– I jeszcze jedno, śmieciu! Wiem, że poskarżyłeś się Zalewskiemu – warknął przez zaciśnięte zęby. – Myślisz, że przez to staniesz się nietykalny? Sądzisz, że narobisz mi kłopotów? – zaśmiał się ponuro. – Możesz być pewny, że uprzykrzę ci twój byt. Zaczniemy już od dzisiaj i zobaczymy komu będzie lepiej. Zabieraj się do odśnieżania spacerniaka, będziesz to robił tak długo, dopóki nie skończysz. W związku z tym,

że jest Wigilia, a ja mam dzisiaj służbę, to zabawimy się na całego. Do roboty! – Pchnął przed siebie drucianą siatkę i ustąpił mi drogi.

Złapałem za odśnieżacz, spojrzałem na połacie zalegającego śniegu i zabrałem się do pracy.

Powoli zapadał grudniowy zmierzch i robiło się coraz zimniej. Palce owinięte wokół trzonka były całe skostniałe i przybrały sinoczerwony odcień. Mróz szczypał w uszy, a krople potu spływały po czole. Pracowałem zajadle, lecz czułem, jak z każdym kwadransiem opadam z sił. Kiedy zegar na wieży kościelnej uderzył siedemnaście razy, zapłonęły rzędy latarni, oświetlając swym blaskiem teren spacerniaka. Jak

nic zejdzie mi tu kilka godzin – przemknęło mi przez myśl. Zrobiłem sobie krótką przerwę i zapaliłem papierosa. Spojrzałem w stronę budynku. Okna gabinetu aspiranta Szumskiego niczym oczy potwora zionęły pośród mroku jaskrawym, żółtym blaskiem.

Dwie godziny później czułem się cały obolały, ramiona zaczęły odmawiać posłuszeństwa, uciążliwy ból rozsadzał plecy i miałem wrażenie, że odmroziłem sobie stopy. Nagle w poświacie latarni ujrzałem ciemną sylwetkę funkcjonariusza, a do moich uszu dotarł głos Szumskiego:

– Żabikowski! Przerwa na uroczystą kolację!

Walnąłem szufłę i ruszyłem w kierunku wyjścia ze spacerniaka. Zerknąłem na niebo pełne gwiazd, a potem obróciłem się przez ramię i stwierdziłem, że jeszcze cholernie dużo śniegu zostało do odgarnięcia.

Usiadłem przy stole. Zerknąłem na Dżordża, który usadowił się z dala ode mnie i na tyle bezpiecznie, żebym nie mógł go sięgnąć. Pomyślałem, że chyba wyciągnął odpowiednie wnioski z obiadowej lekcji.

Zmęczonym wzrokiem spojrzałem na Suchego.

– Co, dalej ćwiczysz na spacerniaku?  
– zapytał.

Pokiwałem twierdząco głową. Byłem

tak zmęczony, że nie chciało mi się nawet rozmawiać. W butach nie czułem własnych stóp, tylko bryły lodu.

Jak co roku z okazji Wigilii na każdym talerzu spoczywał kawałek smażonego karpia, dwie kromki chleba, a zamiast kawy w kubkach, rozcieńczony barszcz.

Nie mieliśmy opłatków, którymi ludzie łamią się podczas tej uroczystej wieczerzy. Dzieliliśmy się kromkami chleba, każdy brał swoją i wysuwał ku temu, komu chciał złożyć bożonarodzeniowe życzenia. Ja, Suchy i Siostrzyczka postąpiliśmy według tego zwyczaju.

Żaden z nas nie przełamał się z Dżordżem.

– Ciesz się tą chwilą – powiedział do mnie Dziubandowski. – To twoje ostatnie święta – syknął z nienawiścią.

– Dżordż – odparłem całkiem spokojnie – w tej chwili to nawet nie chce mi się z tobą gadać. Pozdrów Dziubę, jak się z nim zobaczysz.

Wigilijny posiłek trwał zawsze nieco dłużej niż normalna kolacja. W tym czasie zdążyłem trochę odtajać. Zjedliśmy ze smakiem to, co nam podano, pogadaliśmy trochę o duperelach, powspominaliśmy stare czasy i tych, których już między nami nie było.

Potem rozległy się dwa ostre gwizdki obwieszczające koniec świątecznej uczyty.

Aspirant Szumski, podobnie jak kilka godzin wcześniej, czekał na mnie w korytarzu.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, miałem wrażenie, że jest zdecydowanie zimniej. Kroczyliśmy ramię w ramię. Ja w kufajce na grzbiecie, bez czapki i bez rękawic, a tuż obok mnie Szumski opatulony w ciepłe umundurowanie.

– Jedziesz z tym światem, Żabikowski. – Kiwnął głową na śnieg zalegający na spacerniku. – Zajrzę do ciebie za dwie godziny, a ty zasuway i przy okazji przemyśl sobie te wszystkie sprawy, które powinieneś przemyśleć.

Wsparłem się o odśnieżacz, zapaliłem i przez dłuższą chwilę spoglądałem



na połacie śniegu, które miałem usunąć. Wysoko ponad horyzontem wznosiła się srebrna tarcza księżyca, wokół której malowała się tęczowa poświata. Jaskrawe punkciki gwiazd błyszcząły na tle czarnego nieba niczym miniaturowe diamenty. *Bóg się rodzi!* – przemknęło mi przez myśl i zabrałem się do roboty.

Zakończyłem odśnieżanie dokładnie w chwili, kiedy zegar na wieży kościelnej wybił wpół do dziesiątej. Przenikliwy ziąb panoszył się w każdym zakamarku mojego ciała. Bałem się wyprostować palce, bo wydawało mi się, że dłonie przymarzły mi do sosnowego trzonka. Koszulka na plecach

była wilgotna od lepkiego potu i przy każdym ruchu, czułem, jak lodowate oddechy mroźnego powietrza chłostają mnie po krzyżu. Zdrętwiałe z zimna stopy zamieniły się w dwa twarde klocki. Mróz grudniowej nocy niczym wściekły pies wbijał ostre kły w moje policzki.

Nie wiedziałem, co robić.

Zerknąłem w stronę świateł płonących w gabinecie aspiranta i miałem nadzieję, że Szumski widział, że uporałem się z zadaniem.

Oparłem narzędzie o ogrodzenie spacerniaka. Drut, z którego spleciono siatkę, otulała cieniutka warstwa srebrzystego szronu mieniącego się w poświacie księżyca i świetle latarni

ciągnących się wzdłuż więziennego muru. Skostniałymi rękami sięgnąłem po mosiężną papierośnicę i nieporadnie wyjąłem papierosa. Przez dłuższą chwilę trudziłem się z zapalnikami. Zgrabiałe opuszki palców były pozbawione czucia. Nie potrafiłem zapanować nad drżeniem własnych dłoni. Kilka razy potarłem siarką o draskę. Iskrzyło, ale ogień błysnął dopiero za kolejnym szurnięciem. Żółty płomień zatańczył. Zwinąłem dłonie w kołyski, żeby ochronić skierkę trawiącą delikatny patyczek. Zaciągnąłem się głęboko tytoniowym dymem, a w oskrzelach poczułem tłok mroźnego powietrza.

Ulga.

Przestępując z nogi na nogę i uderzając stopę o stopę, starałem się pobudzić krążenie. Dygotałem z zimna. Mój organizm był wychłodzony, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Zacząłem czuć się senny i pomyślałem o tym, że jeśli za chwilę usiądę lub się położę, to po prostu zamknę powieki i już nigdy się nie obudzę.

Kiedy dzisiaj wracam myślami do tej wigilijnej nocy, wyraźnie czuję ten parszywy chłód. Nigdy w swoim życiu ani wcześniej, ani później nie zmarłem tak bardzo jak 24 grudnia 1927 roku. Odśnieżanie cholernego spacerniaka i przenikliwie zimno głęboko zapadło mi w pamięci. Jest takie skandynawskie powiedzenie „zimno jak w piekle”.

Wydaje się śmieszne, prawda? Na naszej szerokości geograficznej mówi się: „gorąco jak w piekle”. Jeśli się jednak przez chwilę zastanowić, to dochodzi się do wniosku, że potomkowie walecznych Normanów mają kurewską rację. Od dawna uważam, że jeżeli rzeczywiście istnieje piekło, panuje tam zabójczy, lodowaty ziąb.

To porzekadło, któremu hołdują ludzie północy, zdradził mi pewien Norweg. Nazywał się Sven Halvorsen.

Sven walczył w czasie drugiej wojny światowej pod sztandarami III Rzeszy. Był jeszcze młodym mężczyzną, kiedy zwiódła go nazistowska propaganda. Dał się przekonać, że będzie przelewał

krew za słuszną sprawę i walczył przeciwko czerwonej zarazie, jak wtedy określano bolszewików. Pewnie wiecie o tym, że podczas ostatniej wojny światowej po stronie faszystów opowiadali się również obywatele innych państw. W szeregach Waffen-SS walczyli przedstawiciele prawie wszystkich europejskich narodów. Jednostka złożona z Norwegów nazywała się Norweski Legion Ochotniczy, po niemiecku Freiwilligen-Legion Norwegen, a w oryginale Den Norske Legion. Nosili mundury Waffen-SS, ale uzupełnione własnymi odznakami. Nad lewym mankietem mieli opaskę z napisem „Frw. Legion Norwegen” oraz naszywkę z symbolem

krzyża słonecznego i dwoma mieczami, a na prawej patce był srebrny lew trzymający w przednich łapach topór. To wszystko opowiedział mi Sven i dzięki niemu zrozumiałem, że są takie nacje, które przywiązują wielką wagę do symboli, bo one określają ich tożsamość.

Musicie mi wybaczyć, że nagle porzucam moją świąteczną opowieść z 1927 roku i pędzę daleko w przód, ale zimno, którego wtedy doświadczyłem, od razu skojarzyło mi się z normańskim powiedzeniem o piekle. Skoro już wspomniałem o Halvorsenie, muszę skreślić o nim kilka słów, bo pamięć o tym człowieku zasługuje na skromny hołd z mojej strony.

Sven trafił do Wroniek latem 1945 roku i miał wtedy raptem dwadzieścia pięć lat. Wysoki, postawny, barczysty, a na głowie burza gęstych blond włosów. Patrząc na niego, można było dostrzec potomka legendarnych wikingów. Kiedy się tu znalazł, potrafił rozmawiać po norwesku i po niemiecku. Nie był kryminalistą, przestępcą, złoczyńcą, czy jak tam jeszcze zwał. Sven był jeńcem wojennym i jeśli sądzicie, że z tego powodu był traktowany inaczej, jesteście w błędzie. Wycierpiał więcej niż niejeden zwykły skazaniec. To były dzikie czasy.

Muszę przyznać, że Halvorsen miał wielki dar do języków. Ten rosły chłopak z małej norweskiej miejsciny o



nazwie Risør nauczył się mówić po polsku w niespełna cztery miesiące, a po sześciu władał naszą mową tak dobrze, jakby w jego żyłach płynęła polska krew. Zapomniałem wspomnieć, że zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej we wronieckim więzieniu coś takiego jak pojedyncza cela po prostu nie istniało. Dwie, trzy, a czasami nawet i cztery osoby siedziały razem w jednej klitce.

Tak wtedy było.

Ja, Sven i Jóźko przez wiele miesięcy byliśmy zmuszeni dzielić wspólne gniazdo i codziennie oglądać swoje gęby. Zamknięci w małej celi, skazani na własne towarzystwo zajęliśmy się więc czymś pożytecznym i w

błyskawicznym tempie nauczyliśmy Svena polskiego.

Młody Norweg oprócz polskiej mowy poznał we Wronkach prawdziwe znaczenie słowa „ból”. Jednego razu ubecy tak podle go skatowali, iż myślałem, że nie przeżyje. Ale Sven był twardy i nie miał zamiaru się poddać. Miał jedno marzenie – chciał tylko wrócić do swojej ojczyzny, do rodzinnego domu w Risør. Uczepił się tej myśli i czerpał z niej siłę. To była nadzieja, dla której postanowił przetrwać za wszelką cenę. Lubiłem słuchać, kiedy opowiadał o położonym na łagodnym, południowym zboczu Viddefjell domu, którego okna spoglądały na błękitne wody Skagerrak.

Albo o tym, jak czasami z kumplami wskakiwali na rozklekotany kuter, należący do ojca jednego z nich, i pływali po okolicznych fiordach. Wlewali w siebie akvavitę, kminkową wódkę, o której mówią, że jest napojem ludów północy. Bardzo żałuję, ale niestety nigdy nie miałem okazji skosztować tego trunku. Chłopaki z opowieści Svena sączyli akvavitę, przekąszali jej piekielną moc suszonym dorszem, a potem wydzierali się z całych sił, żeby posłuchać, jak echo niesie ich wrzask po fiordzie. Opowiadał również o srogich i mroźnych zimach, o tym, jak w ciągu jednej nocy potrafiło spaść śniegu po pas, albo o tym, że kiedy lód skuł

okoliczne fiordy, można było zaprząć konia do sań i galopować po zamarzniętych taflach całymi kilometrami...

Niestety marzenie Svena o powrocie do domu się nie spełniło. Ponad rok czasu przeżyliśmy w jednej celi. O świcie, 29 sierpnia 1946 roku, mój norweski przyjaciel został brutalnie wywleczony z celi przez dwóch ubeków. Chłopaki, których okratowane okna spoglądały z prawej strony na więzienny dziedziniec, mówili, że tego poranka dwóch magilszyków, kilkunastu więźniów, kilku sowieckich żołnierzy i dwóch naszych aparatczyków bezpieczeństwa zapakowało się na dwie ciężarówki. Pojazdy wyjechały przez

bramę i wróciły kilka godzin później, ale już bez więźniów. Oficjalna wersja brzmiała, że zostali przewiezieni do obozu jenieckiego w Mrowinie, który znajdował się raptem trzydzieści kilometrów od Wroniek. Jednak kilka tygodni później jeden z urzędujących w więzieniu ubeków tak bardzo spił się na służbie, że ledwo stał na własnych nogach. Wyjął broń z kabury, odbezpieczył i wymachując pistoletem, bełkotał donośnym głosem:

– Wszystkich was, wrogie kurwy ludowe, każę wywieźć do lasu! Wszystkich! Kula w łeb, do dołu, zasypać i będzie spokój!

Jeden z magliszyków – tym określeniem Sowieci nazywali

funkcyjnych więźniów, a dosłownie w języku rosyjskim znaczy to „grabarz” – powiedział nam, jaka była prawda. Większość transportów z więźniami kończyła swoją podróż w leśnych ostępach. Więźniom wręczano łopaty i sami kopali głęboki dół. Potem każdemu z nich krępowano dłonie z tyłu pleców za pomocą drutu i kazano klęknąć na krawędzi dołu. Pozbawiano ich życia strzałem w potylicę. Ciało wpadały do niszy. Później magilszyki układali martwych ludzi w rzędzie i zasypywali mogiłę.

Sven zginął właśnie w taki sposób, a jego ciało spoczęło w zbiorowym grobie gdzieś pośród gęstwiny lasu na północ od Wronek.

Mam nadzieję, że jego dusza trafiła do Walhalli i że oprócz Bragi sam legendarny Ragnar Lothbrok również powitał go u jej bram.

Rozkaz każdej egzekucji osobiście podpisywał major Kozłow.

Major Kozłow, szara eminencja wronieckiego więzienia.

Major Kozłow, człowiek surowy i bezwzględny, przed którym drżeli wszyscy, każdy więzień, strażnik, żołnierz, ubek, każdy pracownik kadry administracyjnej, a nawet naczelnik placówki. Wszyscy się go obawiali, bez wyjątku.

Szumski przetrzymał mnie na spacerniku dokładnie do dwudziestej drugiej. Kiedy

maszerowaliśmy na blok, czułem się jak Kaj z bajki Andersena o *Królowej Śniegu*. Byłem zmarznięty i wycieńczony, co nie umknęło uwadze aspiranta.

– Praca uszlachetnia, Żabikowski – powiedział szyderczym tonem. – Hartuje nie tylko ducha, ale także ciało. Trochę mrozu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. – Klasnął w dłonie.

Usiadłem na pryczy, zdjąłem buty i zsiniałymi dłońmi próbowałem masować sztywne stopy. Po chwili opatuliłem się kocem i czułem, jak moje policzki zaczynają płonąć.

Cholerna gnida! – syknąłem w myślach. Zorganizował mi Wigilię jakich mało! Nie byłem w stanie myśleć



o niczym innym. I chociaż to było nierealne, oddałbym wszystko, żeby odwdzięczyć się mu w ten sam sposób.

Powoli temperatura ciała wracała do normy. Dłonie i stopy zdążyły się już rozgrzać, za to moja głowa niemal płonęła rozpalona niegodziwymi myślami przepełnionymi zemstą.

Nagle po drugiej stronie drzwi rozległ się szczęk zasuw. Szumski stanął w progu i spojrzał na moją twarz, którą oświetlał ostry snop żółtego światła.

– Koniec przerwy, Żabikowski! Dzisiaj masz nocną zmianę, trzeba wpierw zamieść podesty, schody i korytarz na dolnej kondygnacji, a potem wszystko przejechać mokrą ścierą. Do dzieła! Jak święta to święta!

– Tak jest, panie aspirancie – odparłem.

A jednak to prawda, że w wigilijną noc zwierzęta mówią ludzkim głosem – przemknęło mi przez myśl, no bo przecież wyraźnie słyszałem, jak z ust tego bydłęcia płynął potok słów...

Zasznurowałem buty i zmęczonym krokiem wyszedłem z celi.

Sprzątanie bloku B zajęło mi ponad cztery godziny. Kiedy ja uwijałem się z miotłą, w całym więzieniu panowała absolutna cisza, oczywiście nie licząc odgłosu kroków klawiszy, którzy robili obchód na każdym z czterech bloków. Tej nocy służbę, oprócz Szumskiego, pełniło jeszcze pięciu funkcjonariuszy. Czterech bezustannie krążyło, a piąty

czuwał na sterowni. Ten miał najlepiej. Siedział wygodnie rozwalony na krześle, dłubał w nosie, czytał gazetę, a chwilami, kiedy go zmogło, pochrapywał. Aspirant natomiast zamknął się w dyżurce i tam drzemał w najlepsze.

Robiłem swoje i chociaż czułem się sponiewierany przez zmęczenie, w głowie bezustannie panoszyła się wściekłość. Miałem żal do każdego, bez wyjątku, nawet do Boga, że pozwala na moją krzywdę. Czym sobie na to zasłużyłem? Co takiego zrobiłem? Czy naprawdę urodziłem się pod jakąś parszywą gwiazdą? Jak mam kochać te cholerne święta, ten czas, który każdemu kojarzy się z czymś miłym i

pięknym? Czym tak bardzo Cię rozgniewałem?! Moje myśli były przepełnione wyrzutami i pretensją. Gdybym w tej chwili mógł pójść do stolarni i sięgnąć do skrytki w podsufitowej belce, to jak świat światem, zrobiłbym użytek z tej broni. Najpierw załatwiłbym Szumskiego, a potem palnąłbym sobie prosto w skroń. Skończyłaby się moja mordęga, utrapienie i zniknąłby ten cały parszywy świat.

Kiedy jednak skończyłem sprzątać, nie miałem już takich planów, pragnąłem jedynie położyć się na pryczy, zamknąć oczy i zapaść w sen.

Leżałem na wznak z zamkniętymi oczami. Sen nie nadchodził. Byłem tak

zmęczony, że nie miałem siły zasnąć!  
Podłe uczucie. Człowiek przewraca się  
z boku na bok, serce dudni, głowa  
pęcznieje od trudnych myśli, a do uszu  
dociera tylko bicie zegara.

Kwadrans na trzecią.

Kolejny papieros.

Drzwi do celi otworzyły się z hukiem.  
Miałem wrażenie, że dopiero niespełna  
minutę temu zamknąłem oczy.

– Zrywasz się, Żabikowski! – prawie  
krzyknął Frantz. – Bomby nie będą  
czekały całą wieczność!

Usiadłem na pryczy i zmęczonym,  
zaspanym głosem powiedziałem:

– Tak jest, panie dozorczo.

Gdyby w tej chwili ktoś mnie

umiejętnie podpuścił, to przysięgam, że byłbym w stanie powiedzieć: „Spieprzaj, Frantz! Sam się złap za te zasrane bomby!”.

Kiedy wszyscy z bloku B udali się na śniadanie, ja przystąpiłem do czynności kalifaktora. Wydawało mi się, że uwijam się w miarę sprawnie, chociaż kilka razy dozorca krzyknął, żebym ruszał się nieco zwawiej. Wszystko szło dobrze, aż do chwili, kiedy znalazłem się w celi Dżordża. Bóg mi świadkiem, że nie uczyniłem tego specjalnie, właściwie to nawet nie wiem, jak to się stało. Po prostu gdy wszedłem do jego gniazda, bomba wymusnęła mi się z dłoni i cała

śmierdząca zawartość, rozlała się po posadzce.

– Niech to szlag! – warknąłem z wściekłością. Cuchnący odór żółto-brunatnego bajora podciągnął mi jelita pod same migdałki.

Zbiegłem po schodach, stanąłem w drzwiach dyżurki i zameldowałem o problemie. Na dźwięk moich słów klawisz poczerwieniał ze złości.

– Wiadro, woda, ściera i rób mi z tym porządek! I to już! – wrzasnął.

Myłem ubabraną podłogę, a jednocześnie starałem się nie oddychać, bo z każdym haustem powietrza czułem, jak mój żołądek kurczy się do rozmiarów jabłka. Zbierało mi się na wymioty, ale puste jelita wyciskały z

siebie tylko gorzką żółć. Przypomniało mi się, jak w przeszłości wywaliłem się z bombami na korytarzu... Posprzątałem dokładnie celę, w której napaskudziłem, posadzka była czysta, ale parszywy zapach pozostał.

Więźniowie wrócili z posiłku w tym momencie, kiedy robiłem ostatni kurs z bombami do silosów.

Dozorca był na tyle miły, że pozwolił mi w łaźni umyć dłonie i odeskortował mnie na stołówkę. Jadłem śniadanie i nawet przez myśl mi nie przeszło, że na bloku B dzieje się teraz prawdziwy cyrk.

– Pięknie załatwiłeś tego gnoja. – Suchy klepał mnie po ramieniu i



uśmiechał się pełną gębą. – To był majstersztyk! Żałuj, że nie słyszałeś, jak ten pierdoła wydzierał się wniebogłosy. To było cudowne! Potem Blacha wparował do jego celi i pogadał z nim po swojemu.

– Miał dobry rytm – wtórował mu Siostrzyczka.

– Ooo tak! To było piękne – powiedział Suchy z wielkim uniesieniem. – Wytrzepał mu futro jak należy. Bum! Bum! Bum! – Uderzał szybko pięścią w otwartą dłoń. – Ha, toś mi sprawił prezent na Gwiazdkę! Masz u mnie pięć skrzynek w ramach wdzięczności.

– No to masz razem dziesięć, bo u mnie też. – Siostrzyczka również

pamiętał o tym, że swojego czasu złożył mi z Suchym identyczną ofertę.

– Chłopaki, to był przypadek – prawie jęknąłem.

– Przypadek nie przypadek, dobrze się stało. – Suchy znowu klepnął mnie w plecy.

Nie miało sensu, żebym im tłumaczył, jak do tego doszło. Byli przekonani, że postanowiłem ukarać Dżordża.

Człowiek, którego cela dzisiejszego poranka zamieniła się w śmierdzącą norę, solidnie oberwał od Blachy i resztę dnia spędził w karcerze.

Chodziło jednak jeszcze o coś innego. Aspirant Szumski i starszy przodownik Blaszański nie darzyli się sympatią i dość często robili sobie na przekór.

Blacha wiedział, że Dżordż jest faworyzowany przez jego przełożonego, i za każdym razem, kiedy w myśl regulaminu mógł zadziałać tak, że ukąsi Szumskiego, czynił to z nieukrywaną przyjemnością.

Od tamtego dnia nasze stosunki z Dziubandowskim zamieniły się w wojenny front, a wspólnym złościwościom nie było końca. Jakby tego było mało, ja, Suchy i Siostrzyczka byliśmy jedynymi skazańcami we Wronkach, którzy co najmniej raz w tygodniu słyszeli z ust Dżordża kwestię:

– Któregoś dnia was zajebię!  
Każdego z osobna!

Kiedy dzisiaj spoglądam na to

wszystko z perspektywy lat, dwóch rzeczy nie potrafię zrozumieć. Po pierwsze, dlaczego Dżordż był tak zawzięty, że postanowił w pojedynkę stawić czoła trzem kolesiom? Był bezpieczny, bo Szumski roztoczył nad nim swoją opiekę. Na dodatek aspirant osobiście przekonał naczelnika, że więzień Dziubandowski, były prawnik, z tytułu swojego wykształcenia jest najbardziej odpowiednią osobą, której można powierzyć prowadzenie nowo powstałej biblioteki. Był ustawiony i mógł spokojnie egzystować w murach wronieckiego więzienia. Nie skorzystał jednak z tej szansy, tylko z uporem maniaka wikłał się z nami w paranoidalne sytuacje. Bezustannie

miałem wrażenie, że mamy do czynienia z człowiekiem kompletnie pozbawionym rozsądku, który stracił kontakt z otaczającą rzeczywistością. To było tak głupie, że aż bolało. Gdyby Dżordż przesiadł się do innego stolika, gdyby darował sobie zaczepki na spacerunku i nie panoszył się w bibliotece, wszystko potoczyłoby się inaczej i Suchy też by odpuścił.

Bohaterem drugiej sprawy, której nie rozumiem... jestem ja sam. Przebrnąłem przez sytuacje z Hrabią, z Prezesem, przetrwałem układ z Czarnym i jego kolesiami i popełniłem czyny, których do dzisiaj się wstydzę. Nie mogłem cofnąć czasu, żeby naprawić to wszystko, żeby być bardziej

rozsądnym i ostrożnym, żeby zmienić postępowanie, uniknąć problemów i wyrzutów sumienia. Mogłem jednak po tych wszystkich doświadczeniach pochwycić los w swoje ręce i odpowiednio nim pokierować. Wystarczyło, żebym był tylko konsekwentny we własnym postępowaniu. W pewnym momencie wydawało mi się, że odnalazłem właściwą drogę, że obrałem kurs, dzięki któremu mogę spokojnie dryfować w przyszłość. Potem jednak pojawił się Dżordż i bańka mydlana prysła. Nie potrafię oszacować, ile w tym mojej winy, że pozwoliłem na te zmiany, a ile w tym zasługi przypadku lub przeznaczenia? Chciałbym wierzyć, że

każdy z nas ma taki świat, jaki sam sobie tworzy. To byłoby piękne rozwiązanie. Idealne. Szkoda tylko, że niemożliwe.

Wspominałem wam wcześniej, że sporo mówiło się o reorganizacji służby więziennej w II Rzeczypospolitej. Państwo polskie nie miało do tej pory swoich własnych ustaw czy rozporządzeń, które w stu procentach określałyby płaszczyzny działań takich obiektów jak Centralne Więzienie we Wronkach. Po odzyskaniu niepodległości we wszystkich placówkach penitencjarnych funkcjonowały sprawdzone przepisy ustanowione przez zaborców. Tylko niektóre kwestie były doraźnie

zmieniane. Niektórzy ze strażników twierdzili, że w Ministerstwie Sprawiedliwości powołano specjalny sztab pełen mądrych głów, które miały opracować rzetelne rozwiązania.

Biblioteka więzienia we Wronkach rozpoczęła swoją działalność z początkiem stycznia 1928 roku. W każdą niedzielę skazańcy mogli korzystać z jej skromnych zasobów, a Dżordż jako nadworny bibliotekarz był zobowiązany założyć każdemu chętnemu kartę biblioteczną. Nie było zbyt wielu ciekawych książek, ale w więzieniu przeczytasz wszystko, nawet poradnik o szydełkowaniu. Było też sporo prasy, więc wiadomości z kraju i ze świata



docierały już do nas na bieżąco.

Jeżeli idzie o modernizację polskiego więziennictwa, ale w skali kraju, a nie pojedynczego obiektu, to prawdziwa eksplozja nastąpiła dokładnie 7 marca 1928 roku. Tego dnia rozporządzeniem prezydenta II Rzeczypospolitej zniesiono podział na przestępców pospolitych i politycznych. Teoretycznie miało to zakończyć czasy represji i ujednolicić sytuację skazańców w świetle prawa i więziennych regulaminów. Fakt, że dostęp do prasy i literatury Zalewski wcielił w życie już wcześniej, ale na przykład dzięki dekretowi każdy więzień miał teraz prawo do uczestniczenia w nabożeństwach, mszach lub skorzystania z innych posług

kapłańskich. Wszystko wskazywało na to, że w najbliższe święta my, byli polityczni, będziemy również mogli zasiać w kaplicy. Zdawałoby się, że tym samym oddział dziesiąty przestanie istnieć, jednak w praktyce było trochę inaczej.

Msze, nabożeństwa czy też istota funkcjonowania oddziału dziesiątego były po prostu niczym. Najważniejszą rzeczą, jaka się ziściła w związku z tym burzliwym dekretem, było zniesienie cenzury. Został wdrożony nowy system korespondencji dla więźniów.

W bibliotece stała duża metalowa skrzynia zamknięta na solidną kłódkę, a w wieku wycięto podłużny otwór. Każdy, kto miał ochotę napisać list,

dostawał od Dżordża kartki papieru, kopertę i rysik. Siadał przy stole, kreślił swoje słowa do najbliższych, adresował kopertę, wkładał do niej list, zaklejał swoją przesyłkę i wrzucał ją do owej skrzyni. Potem w księdze pocztowej wpisywał swoje imię, nazwisko, adresata, datę i składał swój podpis, którym potwierdzał nadanie listu. Klucz do metalowego pudła posiadał pracownik administracyjny odpowiedzialny za komunikację więźniów ze światem zewnętrznym. W każdy poniedziałek ów pracownik wyciągał listy i sprawdzał, czy jest zgodność z księgą pocztową. Następnie były one wysyłane. Natomiast listy przychodzące wręczano adresatom w

dniu ich przybyciu. Poczta dostarczała je do wronieckiego więzienia na dyżurkę oficera, którą potocznie nazywaliśmy „bramą”. Tam w dzienniku służby w rubryce „korespondencja” ewidencjonowano przesyłkę. Każdego dnia o godzinie osiemnastej jeden z funkcjonariuszy pełniących służbę na bramie brał listy i dziennik służby, po czym krążył po wszystkich blokach niczym prawdziwy listonosz, osobiście dostarczając przesyłkę do celi skazańca. Więzień składał w odpowiednim miejscu podpis i chwilę później mógł się cieszyć wiadomościami od swoich bliskich.

Od 7 marca 1928 roku regulamin służby więziennej nie pozwalał

na karanie skazanych czasowym ograniczeniem lub stałym zakazem korespondencji. Przestała obowiązywać również zasada jednego listu na miesiąc.

Myślę, że prezydent Ignacy Mościcki zaskarbił sobie tym dekretem wdzięczność wszystkich polskich więźniów.

Kiedy ów przepis wszedł w życie, od razu skreśliłem list do Ojczulka. Napisałem mu, jak wiele się zmieniło, że są książki i prasa, że teraz można utrzymywać swobodny kontakt korespondencyjny. Złożyłem mu także serdeczne życzenia świąteczne i pozdrowilem w imieniu chłopaków. Zaadresowałem swój pierwszy list, który miał dla mnie namiastkę

prawdziwej wolności, zakleiałem kopertę i z radosnym uczuciem wrzuciłem do metalowej skrzyni.

Na tydzień przed świętami wielkanocnymi doszło w bibliotece do bardzo zabawnej sytuacji. Był to jeden z tych dni, w którym śmiejesz się szczerze aż do rozpuku, a potem nosisz w pamięci tę chwilę przez całe lata i z chęcią wspominasz to wydarzenie, jeśli chcesz rozbawić kogoś wesołą opowieścią. Oczywiście, jak wiecie, poczucie humoru to sprawa dyskusyjna. Ja sam zbyt długo przebywałem w towarzystwie Suchego, ale od pierwszej chwili wiedziałem, że on jest nie do podrobienia. Teksty, które

serwował, bawiły mnie do łez. Suchy dość często opowiadał kawały w taki sposób, jakby był naocznym świadkiem ich zdarzeń. Pewnego razu mówi tak:

– Poszedłem jednej soboty do sklepu rzeźnika, na rogu mojej ulicy. Stoję w kolejce, przede mną wypacykowana lalunia, kapelusik, torebeczka, wiecie, taka prawdziwa paniusia. Za ladą rosły chłop, fartuch ufajdany krwią, tasak w łapie, na blacie sterta mięsiwa, na hakach wiszą wędliny i obskubane kurczaki. Przychodzi kolej tej damulki i ona, spoglądając na kuraki, pyta: „Czy jutro kurczaki będą większe?”. Rzeźnik patrzy na nią i mówi: „Nie kurwa, nie będą, przecież są martwe!”.

Takie wulgarne historie potrafiły mnie

powalić na łopatki.

Wróćmy jednak do tej kwietniowej niedzieli...

Pogoda nie zachęcała do snucia się po spacerniaku. Było ciepło jak na pierwszy dzień kwietnia, ale z nieba siąpiła drobna mżawka. Zamiast moknąć, postanowiliśmy z Suchym napsuć trochę krwi Dżordżowi i zjawiliśmy się w bibliotece. Głupie docinki, obraźliwe komentarze urozmaicały naszą szarą i nudną egzystencję. Trzymaliśmy jednak fason i nie zachowywaliśmy się w sposób obsceniczny czy agresywny. Poza tym obecność strażnika, który zawsze przesiadywał w bibliotece, żeby pilnować porządku, wykluczała takie



zachowania.

Sala biblioteczna przypominała szkolną klasę. Dwa rzędy stołów, tablica na ścianie oraz regały z książkami i stertami gazet. W prawym kącie, za biurkiem siedział Dżordż na swoim stanowisku dowodzenia. Wystarczyło spojrzeć na jego gębę, żeby zrozumieć, jak bardzo czuje się ważny. Zwłaszcza kiedy udzielał szczegółowej instrukcji, wydając komuś niezbędne rzeczy do napisania listu, albo kiedy zakładał kartę biblioteczną i pouczał niczym prawdziwy urzędnik, co trzeba zrobić.

Zanim usiedliśmy z Suchym przy pierwszym stole, dokładnie na wprost Dziubandowskiego, wziąłem z regału obok plik starych gazet i rzuciłem je na

blat.

Kiedy usadowiliśmy się wygodnie w krzesłach, Suchy powiedział:

– No to zobaczmy, panie kolego, co tam w prasie pisują. – Rozłożył ostentacyjnie zadrukowane arkusze.

Ja poszedłem w jego ślady.

Śmiem przypuszczać, że wyglądaliśmy jak dwaj intelektualiści siedzący obok siebie w klubie dla dżentelmenów. Brakowało nam tylko cygar, popielniczki i dwóch koniakówek z cienkiego szkła wypełnionych w połowie mocnym płynem w kolorze pszczelego miodu.

– Spójrz tylko – odezwał się Suchy z zachwytem – jaki wspaniały motocykl. – Kiwnął głową w stronę dużego

ogłoszenia z obrazkiem, a potem delikatnie trzepnął palcami płachtę papieru. – Kurwa mać, taki sobie sprawię, jak wyjdę!

– Szykowny – odparłem. – Z takim rumakiem to bez wątpienia zostaniesz królem polskich szos.

– A jak! Człowieku, gaz do dechy i rura! Aż będzie świstało! – powiedział tak, jakby prawdziwie marzył o takiej przygodzie.

– Będziesz jeszcze potrzebował gogli i kasku – dodałem.

Suchy złożył swoją gazetę na pół, obrócił twarz w moją stronę i powiedział:

– Wiesz, gogle to się przydadzą na pewno, ale kask raczej nie będzie

mi potrzebny. Wyobraź sobie, jak mknę przed siebie, a pęd powietrza gładzi czuprynę moich włosów i układa je idealnie w tył. – Przejechał dłonią po głowie.

Wypowiadał swoje słowa na tyle głośno, żeby dotarły do uszu Dzordża. Kątem oka dostrzegłem, że wielce szanowny pan bibliotekarz patrzy w naszą stronę.

– Zaoszczędzę na brylantynie – stwierdził Suchy i posłał mi oko.

– Zawsze mógłbyś się zdecydować na odrobinę smalcu, lekki połysk doda ci blasku i elegancji. – Byłem pewien, że Dziubandowskiego już zaczyna rozsadzać od środka.

– Smalcu? – jęknął

ze zrezygnowaniem Suchy. – Smalec, olej, łój, słonina, masło – zaczął wyliczać – przecież to produkty spożywcze. Chociaż niektórym mogą służyć jako zestaw podstawowych kosmetyków. – Kiwnął głową niczym prawdziwy znawca tematu.

– No i też służą, spójrz tylko na naszego bibliotekarza – powiedziałem. – Zobacz, jak ładnie ulizany.

Zwróciliśmy oczy w kierunku Dzordża i dostrześliśmy wściekłość na jego twarzy.

– Nie, no Dzordżu jest poza konkursem – zachichotał Suchy. – Z jego łepetyny można smalec ściągać kielnią. On ma styl. – Obaj wpatrywaliśmy się w

obiekt naszej rozmowy. – A jesteś sobie w stanie wyobrazić, jak musi wyglądać poszewka jego poduszki? – Nie dał mi szansy na udzielenie odpowiedzi. – Myślę, że jest gładka i śliska niczym najlepszy aksamit. – Zamilkł na moment i zaraz stwierdził: – Tylko że chyba trochę cuchnie skwarkami.

Nie dałem rady i parsknąłem śmiechem, z trudem powstrzymując się, żebym nie brzmiał zbyt głośno. Zauważyłem, że dozorca siedzący obok okna słyszał naszą gadkę i uśmiechał się pod nosem. Nie zwrócił nam uwagi, więc przyjąłem, że możemy dalej swobodnie jeździć po nerwach Dziubandowskiego.

– Skwarki skwarkami – Suchy uniósł dłoń i mówił, jakby mnie pouczał – ale pachną poetycko. No i chyba zgodzisz się ze mną, że chleb ze smalcem i skwarkami plus kiszony ogórek to świetny zestaw zakąskowy. Dżordzu to jednak zmyślny chłopek, on zawsze smalec nosi na sobie, chyba jest jego miłośnikiem. Jak sądzisz? – zapytał.

– Powiedziałbym nawet, że on diabelsko przepada za smalcem. Te trzy szóstki w szatański sposób zakamuflowane w numerze na jego więziennej bluzie mówią same za siebie – sztydziłem w najlepsze.

No i jak już podłapaliśmy temat, to w każdym zdaniu było coś piekielnego.

Ścigaliśmy się w wymyślaniu

wyszukanych diabolicznych określeń, rozmawiając o zwykłych sprawach, a w podtekście pijąc oczywiście do Dżordża. Wydawało się, że obiekt naszych szykan chwilami płonął z wściekłości.

– Prawdziwa z ciebie Bestia – zakomunikowałem Suchemu rozbawionym głosem.

Człowiek, który dostał swoje stanowisko dzięki aspirantowi Szumskiemu, był prawdopodobnie u kresu wytrzymałości. Trzymał się jednak dzielnie, nie wdał się z nami w żadną dyskusję i dlatego po jakimś czasie nam też się odechciało.

Zerknąłem w stronę okna. Po drugiej stronie szyby świat ślinił się



od kropelek drobnego deszczu. Zacząłem przeglądać artykuły w styczniowej gazecie i natknąłem się na krótką notkę.

– Ty, słuchaj tego. – Trzepnąłem Suchego w ramię. – *Fakir Ben-Kuro na boisku Cracovii* – przeczytałem tytuł niczym profesjonalny lektor. – *Czternastego stycznia na boisku Cracovii odbył się pokaz indyjskiego fakira Ben-Kuro. Śmiały wyczyn miał udowodnić, że Ben-Kuro spędzi dwadzieścia cztery godziny w trumnie, która zostanie zakopana wraz z nim na głębokości dwóch metrów. Na ceremonię tego niezwykłego widowiska organizatorzy zaprosili przedstawicieli lokalnej, krakowskiej*

*prasy oraz środowisk artystycznych. Nad prawidłowym przebiegiem wydarzenia czuwała specjalna komisja. Po kilku godzinach usłyszano niepokojące odgłosy i wykopano trumnę wraz z fakirem. Lekarz po oględzinach stwierdził, że bohater spektaklu o mało się nie udusił. Okazało się również, że indyjski fakir Ben-Kuro jest Polakiem pochodzącym z Pomorza.*

– Co za kretyn! – Suchy wydawał się rozbawiony. – Ludzie jednak mają zdrowo nasrane w łbach. Mogli go zostawić pod ziemią, odkopując go, zrobili krzywdę całej ludzkości. Któregoś dnia ten idiota spłodzi dzieciaka i tym sposobem dynastia

debili będzie trwać. Hej, Dżordż – rzucił Suchy w jego kierunku. – Czy ty przypadkiem nie jesteś spokrewniony z tym fakirem?

Tym razem nawet milczący klawisz parsknął gromkim śmiechem.

– Zniszczę was, chamy! – warknął nasz nadworny bibliotekarz i nerwowo zaczął przekładać jakieś kartki papieru.

– Czekamy z niecierpliwością, brakuje nam rozrywek w tym smutnym pudle – odpyskował Suchy.

– Dobra, starczy już tego! – odezwał się nagle strażnik i wstał z krzesła. – Fajnie było – podszedł do nas – ale koniec zabawy, zabierajcie się stąd! – Kiwnął głową w stronę drzwi.

– Nie ma problemu, panie dozorco,

już żeśmy się naczytali, a smalcowy chłopaczek coś dzisiaj mało rozmowny, oj, mało – westchnął Suchy. Podnosząc się z miejsca, pstryknął palcami i powiedział: – No to tymczasem, Dżordżu, widzimy się na obiedzie. – Na odchodne posłał mu oczko.

Więzienie to nie podwórko, gdzie można do kieszeni schować urażoną dumę, zabrać swoje zabawki, splunąć przez ramię, kopnąć zardzewiałą puszkę i przenieść się na inny plac zabaw. Tutaj nie ma takiej możliwości. Wdajesz się z kimś w jakiś bezsensowny konflikt i obie strony zaczynają brnąć w absurd. Głupia zaczepka lub docinek może przeobrazić się w walkę o przetrwanie.

To śmieszne, zdaję sobie z tego sprawę. Niestety takie miejsca jak to żądzą się swoimi prawami. Tutaj nie przejmujesz się, że jutro nastanie nowy dzień i trzeba zarobić na swoje utrzymanie, opłacić rachunki, kupić odzież, oszczędzać forszę na opał, bo zima nadejdzie za kilka miesięcy. Tu jesteś pozbawiony walki o to, o co zabiegają ludzie po drugiej stronie murów. Masz gdzie spać, dostaniesz jeść, raz w tygodniu zażyjesz kąpieli w ciepłej wodzie, nie stracisz dachu nad głową i nie będziesz chodził głodny. W obrębie murów masz zapewnione podstawowe wygody. No, chociaż słowo „wygody” brzmi w tym kontekście niedorzecznie, ale nie wiem, jak lepiej określić takie istnienie. W

każdym razie tu żyjesz bez obaw. Nie wywalą cię z pracy i nikt ci nie powie, że od przyszłego miesiąca wzrasta czynsz za twoje cztery kąty. W zamian jednak za te słodkie luksusy doświadczasz innych zmartwień.

Śniadanie wielkanocne tradycyjnie było wzbogacone o prawdziwy rarytas, czyli o symboliczne świąteczne jajko. Było kilku takich, którzy przehandlowali te delicje za paczkę fajek, i myślę, że to ich uratowało. Te cholerne jajka były jakieś trefne i kilka godzin później zaczął się prawdziwy koszmar. Jesteście chyba sobie w stanie wyobrazić, co może się dziać, kiedy kilkudziesięciu facetów w tym samym czasie zaczyna się

podle czuć. Nękają ich skurcze żołądka, biegunka i wymioty. A jakby tego było mało, wszyscy są na spacerniku! Tego dnia w wronieckim więzieniu pośród skazańców osadzonych na bloku B wybuchła prawdziwa epidemia.

Siedzieliśmy z Suchym na stopniach placu apelowego i czułem, jak w żołądku i jelitach coś mi się przelewa i bulgocze. Zupełnie jakbym miał w brzuchu stado rechoczących żab. Co chwila któryś ze skazańców podchodził do wyjścia ze spacernika i coś klarował klawiszom. W końcu chyba dotarło do tych umundurowanych łbów, że dzieje się coś niedobrego. Suchy klął na czym świat stoi i w pewnym momencie obficie zwymiotował. To było

okropne. Na sam widok zrobiło mi się niedobrze. Teraz to może wydawać się zabawne, ale gwarantuję wam, że nie było nam do śmiechu. Siedzisz i z całych sił zaciskasz zwieracze, bo wiesz, że jak pozwolisz sobie na chwilę luzu, to będziesz miał bagno w gaciach. Obrzydliwość.

Nim wybiło południe wszystkich z bloku B odeskortowano do cel.

Siedziałem na wiadrze ze spodniami opuszczonymi do kostek i czułem, jak ze mnie po prostu cieknie. Smród był okropny. No i jeszcze te bezustanne odruchy wymiotne. Co chwila masz w ustach chochlę śliny i odbija ci się jakimś cholernym, kwaśnym świństwem.

Nie wiem, jakie były procedury



postępowania w sytuacji, kiedy większość więźniów zapadła na jakąś parszywą dolegliwość. Zapewne, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się zarazy, trzeba było szybkiej i zdecydowanej reakcji.

Po drugiej stronie drzwi coś się działo. Padały jakieś komendy i co chwila dało się słyszeć szcęk otwieranych rygli. Kroki maszerujących ludzi dudniły na drewnianych podestach. Kwadrans później znowu wynikło zamieszanie. W pewnym momencie otworzyły się drzwi mojej celi.

– Zbieraj się! – rzucił w moją stronę Robalski, a na jego twarzy malował się naturalny niesmak. – Idziemy na izbę chorych!

Wyszedłem z celi.

– Schodzić na dół i ustawić się w korytarzu dwójkami! – Do moich uszu dotarła donośna komenda.

Ruszyłem w kierunku schodów. Było dokładnie dwudziestu więźniów i sześciu strażników w eskorcie. Spojrzałem po twarzach skazańców, a każde oblicze miało ten sam blady odcień. W grupie był również Suchy i Dziuba. Tego drugiego rozpoznałem po czuprynie zmierzwionych włosów. Kiedy my ustawialiśmy się w dwójkową kolumnę, w tym samym czasie przy naszych celach uwijało się dwóch funkcyjnych. Biegali z bombami i uzupełniali zapas wody.

Pomimo że w izbie chorych kolejka więźniów ciągnęła się wężykiem, to i tak było spore zamieszanie.

Wrzało jak w ulu.

Za dużo ludzi, za małe pomieszczenie.

Siostrzyczka i jeszcze jeden sanitariusz podawali każdemu jakieś tabletki i miarkę tajemniczego płynu, który rozlewali z dużej, brązowej butli. Następnie każdy z więźniów podchodził do lekarza i przez chwilę z nim rozmawiał. Dozorcy ponaglali tych, którzy nieco się ociągali.

Nagle jeden z klawiszy rzucił donośnym głosem:

– Z toalety korzystać pojedynczo i nie zostawiać po sobie bałaganu!

Wolno przesuwaliliśmy się w przód.

Co jakiś czas ktoś porzucił swoje miejsce w kolejce i ruszał w stronę drzwi z napisem WC. W lazarecie była normalna, porządna ubikacja. Właśnie taka, jaka powinna znajdować się w miejscu, które pełniło tutaj rolę szpitala. Najprawdziwsza ceramiczna muszla klozetowa, bieżąca woda, umywalka i natrysk. Pełen komfort i hotelowy szyk. No może trochę przesadzam z tym hotelowym szykiem, bo w oknie od wewnątrz pomieszczenia znajdowała się masywna krata.

– Kurwa mać – szepnął mi wprost do ucha Suchy. – W życiu mnie tak nie przeczyściło jak dzisiaj! Przed nami dwa dni wolnego, a tu taki syf!

Stałem w miejscu i pocierałem udo o

udo. Napięte mięśnie pomagały szczególnie zacisnąć pośladki. W moim żołądku kotłowało się coś niedobrego. Krople zimnego potu zrosiły mi czoło i obawiałem się, że w pewnym momencie mogę po prostu rzygnąć na czyjeś plecy przede mną. Nagle po prawej stronie mignęła mi czupryna Dziuby.

– Muszę do klopa – prawie jęknął Suchy i odbił w prawo.

Kiedy usłyszałem te słowa, też mi się zachciało.

Ocierając się o innych skazańców, przecisnąłem się za Suchym w kierunku toalety.

Sunęliśmy w ogonku wzdłuż ściany.

Dziuba nacisnął klamkę i wszedł do środka. Ktoś całkiem z tyłu kolejki

nie dał rady i zwymiotował, wydobywając z gardła szpetny odgłos. Machinalnie odwróciłem głowę. Tuż za mną stał Cichy, a za nim inni chętni do skorzystania z wychodka. Z tłumu w izbie posypały się gromy przekleństw. Sanitariusz, trzymając w dłoniach miskę z wodą i szmatą, przeciskał się w kierunku tego, który zapaskudził podłogę. Klawisze zaczęli się wydzierać na więźniów, żeby zachowali spokój, a lekarz podniósł głos na funkcjonariuszy, żeby coś zrobili i zapanowali nad zebrany tłumem. Chaos. Obróciłem głowę. Suchy zamykał za sobą drzwi. Ścisnąłem mocniej zwieracze i pomyślałem, że przez minutę jeszcze wytrzymam.

– Co tak długo?! – rzucił ktoś z tyłu pytanie, zniecierpliwionym głosem.

Zrobiłem krok w przód. Musiałem już wejść do sraczyka, bo granice mojej wytrzymałości chyba zaczynały przeciekać. Złapałem za klamkę. Uchyliłem drzwi i wsunąłem głowę do środka.

– Suchy, kończysz? – zapytałem z wysiłkiem i spojrzałem w prawo.

To, co ujrzałem, zmroziło mi krew w żyłach. W świetle okna dostrzegłem Dziubę, który wisiał na skórzanym pasku przywiązanym do ostatniej poprzeczki kraty. Suchy obejmował go oburącz w pasie i ciągnął z całej siły w dół. Oczy Dziubandowskiego były nienaturalnie wytrzeszczone, siny język wystawał z

otwartych ust, a skóra twarzy stała się fioletowa. Spanikowany cofnąłem głowę, zamknąłem drzwi, ale nadal trzymałem w dłoni mosiężny wałek. Bulgot w moich wnętrznościach zniknął, a w skroniach zadudniło ponure tętno.

Po chwili poczułem, jak Suchy z drugiej strony drzwi łapie za klamkę. Zwolniłem uścisk. Kiedy mój kompan wychodził z toalety, chwycił mnie za rękaw bluzy i lekko pchnął przed siebie. Krok przed nami kotłowała się grupa więźniów. Wcisnęliśmy się pomiędzy zebranych.

– Nic nie mów! – syknął mi do ucha Suchy.

Kątem oka zerknąłem w stronę drzwi do toalety. Cichego już tam nie było.



Każdy następny, kto wchodził do środka, najpierw robił krok w przód, zamierał na ułamek sekundy i natychmiast się wycofywał. Nikt nie chciał mieć z tym niczego wspólnego.

Niech to szlag! W mojej głowie rozległ się krzyk, a zaraz potem zacząłem w myślach ciskać wszelkie możliwe bluzgi. Nigdy, ale to przenigdy, nie spodziewałbym się, że przyjdzie mi ujrzeć coś takiego. Stałem obok Suchego i czułem, jak gdzieś głęboko we mnie, gdzieś pomiędzy sercem a duszą, drży coś mrocznego. Suchy natomiast sprawiał wrażenie człowieka, który po prostu czeka w kolejce na swoje lekarstwa i myśli tylko o tym, żeby łyknąć medykamenty, po których

poczuje się lepiej. Ponownie odwróciłem wzrok w kierunku drzwi do toalety. Każdy, kto miał ochotę przekroczyć ich próg natychmiast zawracał. Byliśmy z Suchym coraz bliżej sanitariuszy. Do naszych uszu docierały ich słowa:

– To płyn przeciwwymiotny – mówił Siostrzyczka i podawał delikwentowi szklaną miarkę z mętnym napojem – a to tabletki na zatwardzenie, jedna teraz, a druga wieczorem. Pij dużo wody, żebyś się nie odwodnił – powtarzał każdemu tę samą regułkę.

Wtem czyjś głos przebił się przez gwar:

– Szubienicznik!

Po kilku sekundach w lazarecie

zaległa grobowa cisza.

– Szubienicznik w wychodku! – wrzasnął ponownie więzień stojący w drzwiach toalety.

Na dźwięk tych słów dwóch dozorców rzuciło się w tamtym kierunku. Wpadli do środka. Lekarz przeciskał się pomiędzy skazańcami. Oczy wszystkich zebranych spoglądały w tamtą stronę. W tłumie głów dostrzegłem, że Cichy zerka na nas ukradkiem. Dookoła było słychać tylko nieśmiałe, pojedyncze szepty.

Znowu zerknąłem na Suchego i byłem zdumiony tym, co malowało się na jego pomarszczonej twarzy. Tak jak pozostali wyciągał z zaciekawieniem szyję i patrzył w stronę drzwi toalety.

Pozostała czwórka dozorców ponagłała nas, żebyśmy się zwawiej ruszali.

Łyknąłem to świństwo z brązowej butli, a Siostrzyczka podał mi dwie tabletki, wypowiedział tę samą regułkę co każdemu, a potem zapytał szeptem:

– Co się stało?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami i odszedłem.

Kilka minut później wyprowadzono nas z izby chorych. Staliśmy w korytarzu tuż przy schodach, a jeden z klawiszy pognał na blok po Blaszańskiego, który miał dzisiaj służbę. Strażnicy nie mieli najmniejszego pojęcia, co należy robić. Najwyraźniej żaden punkt regulaminu nie wspominał, jakie są procedury w

takiej sytuacji. Na rany Chrystusa! Któż mógł przewidzieć tak złożoną i skomplikowaną sytuację?!

Blacha minął nas szybkim krokiem i wkroczył do lazaretu. Zniknął za drzwiami na kilkanaście dobrych minut. Kiedy pojawił się z powrotem, rzucił:

– Odprowadzić na blok i sporządzić listę nazwisk. – Kiwnął głową w naszym kierunku.

Siedziałem na pryczy i zmagalem się z bólem żołądka. Pewnie nieraz mieliście w swoim życiu biegunkę, więc wiecie, jak to jest, kiedy tyłek piecze i parzy, a na samą myśl o jedzeniu człowiek traci chęć do życia. I jeszcze to nieznośne

bekanie i posmak kwaśnej żółci w ustach...

Czym jednak było moje złe samopoczucie w porównaniu z tym, że mimowolnie zostałem świadkiem mordy?! To wykraczało poza granice mojego rozumowania. Nie było mnie w środku i dlatego z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że nie wiem, co wydarzyło się w małej toalecie, kiedy był tam Suchy i Dziuba. Nigdy nie zapytałem Suchego, co się tam stało. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Historia z paskiem była jednak dla mnie zbyt oczywista...

Do końca swoich dni będę nosił w duszy ten makabryczny kadr. Skórzany powróż zawiązany w supeł na ostatniej

poprzeczce kraty i Dziuba, który wisi i dynda niczym przerażający manekin. Rozczochrane włosy, wybałuszone ślepia, fioletowa twarz i siny język wystający z lekko rozwartych, niemal przezroczystych ust. Ręce opuszczone wzdłuż ciała i stopy unoszące się kilka centymetrów nad kamienną posadzką. Suchy obejmuje go mocno w pasie i wisi w powietrzu razem z nim. Wyobrażam sobie, jak potworny to musi być ciężar dla delikatnej krtani. Skórzana taśma, która oplata szyję, miażdży chrząstki grdyki, ściska tętnice i ścięgna, odcina dopływ tlenu i krwi. Kręgi szyjne nie są w stanie wytrzymać, rdzeń pęka, a ciało w jednej chwili zamienia się w sparaliżowany odwłok.

Na końcu przestaje funkcjonować mózg.

Na Boga! Suchy! Czemu to zrobiłeś?! Przysięgam i klnę się na wszystkie świętości, że nie pojmowałem, jak mogło do tego dojść. Nie byłem w stanie zrozumieć dlaczego? Przecież wcale nie byliśmy lepsi. No cóż, pewnie kilka miesięcy temu przemknęło mi przez myśl, że ten konflikt może zakończyć się w jakiś idiotyczny sposób. Potem nabrałem przekonania, że Suchy jak to Suchy pogada, ponarzeka, zagalopuje się w swoich fantazjach, ale na tym się skończy. No, ewentualnie dojdzie do jakiegoś starcia, sińce pod oczami, uszkodzone żebra, kopniak w brzuch i temat będzie zamknięty.

A ja? Kim jestem? Na ile



współwinnym tej zbrodni? Tak, to była zbrodnia. Inaczej nie sposób tego nazwać. Zimny, wyrachowany mord. Pytam się tylko w imię czego? Zabić za głupie docinki i kretyńskie dyskusje?! Gdzie znaleźć motyw? A z drugiej strony, czy warto sobie zadawać pytania i szukać odpowiedzi, skoro i tak niczego nie można już zmienić?

Czasami zdarzają się samobójstwa w więzieniu, bo ludzie mają różne powody, dla których chcą zakończyć swe marne życie. Przeważnie dzieje się to pośród mroków nocy i z dala od ludzkich oczu. Jeden się powiesi, a drugi otworzy sobie żyły. Akty samouniwersowania zdarzają się także w innych miejscach i o innym czasie. Znam

takie przypadki. Dziuba był jednak pierwszym samobójcą, który targnął się na życie w biały dzień i na dodatek w miejscu niemal publicznym. A tam, gdzie są ludzie, zawsze czyjeś oczy mogą coś dostrzec lub niechcący otrzeć się o tajemnicę.

Więzień, na którego wołaliśmy Cichy, był właśnie kimś takim.

On wiedział.

Tego dnia, kiedy dostaliśmy po kielichu z przeciwwymiotnym lekarstwem i przegryźliśmy go tabletką na zatwardzenie, ominął nas świąteczny obiad. Lekarz sprawujący pieczę nad zdrowiem skazańców wronieckiego więzienia zalecił na naszym bloku ścisły post i wielkanocną kwarantannę.

Widocznie według naszego nadwornego medyka był to najlepszy sposób na zdławienie pandemii w zarodku.

Wieczorem kuchcik w asyście strażnika dostarczył do każdej celi dwie kromki suchego chleba.

W poniedziałek rano kalifaktor zlewał odchody do bomb, potem uzupełnił wodę pitną, a funkcyjny z kuchni ponownie rozniósł chleb.

Przed południem miałem się już całkiem znośnie. Żołądek funkcjonował tak, jak powinien, a bulgot w jelitach był tylko niemiłym wspomnieniem. Jedynie od czasu do czasu pęcherz kwaśnej bańki przeciskał się przez przełyk i rozbijał o migdałki.

Około południa usłyszałem na korytarzu odgłosy zamieszania.

Dwa uderzenia w drzwi. Poderwałem się na równe nogi i stanąłem przy ścianie obok okna. Szczęk rygła i w świetle drzwi ujrzałem dozorcę Frantza.

– Wyłaź! – powiedział i kiwnął znacząco głową.

Stałem przed wejściem do celi.

Aspirant Szumski opierał się o metalową barierkę tuż przy sterowni i spoglądał na podesty kondygnacyjne naszego bloku.

– To wszyscy! – rozległ się donośny głos Frantza.

Szumski pokiwał głową, poprawił czapkę i ryknął:

– Złazić przed dyżurkę i ustawić się

w szeregu!

Omiotłem dookoła wzrokiem, tylko gdzieś gdzie przed drzwiami cel stali inni więźniowie. Tak jak reszta ruszyłem w kierunku schodów.

Ustawiliśmy się w szeregu wzdłuż ściany obok dyżurki.

Szumski szedł wolnym krokiem i spoglądał na nasze twarze.

– Jak wiecie w dniu wczorajszym – funkcjonariusz powoli wypowiadał każde słowo – więzień Dziubandowski, którego znaliście – znowu przejechał wzrokiem po naszych obliczach – ponoć powiesił się w toalecie, kiedy tak samo jak wy udał się do izby chorych po lekarstwa. Dziwi mnie fakt, że w tak niedużym pomieszczeniu, gdzie mieści

się nasz znamienity lazaret, jest tylko jedna mała toaleta – zrobił krótką pauzę i dokończył myśl całkiem ostro – dochodzi do tak tragicznego zdarzenia! – Szumski zamilkł i zrobił kilka kroków. – Chyba trzeba będzie o tym napisać w pamiątkowej księdze tego więzienia – zmienił zupełnie ton głosu.

Dozorca Frantz stał po naszej lewej stronie i dostrzegłem, jak na dźwięk słów aspiranta delikatnie i z lekką drwiną uśmiechnął się pod nosem.

Szumski stanął w rozkroku dokładnie pośrodku naszego szeregu.

– Wyciągać paski z gaci! I to już! – ryknął.

Strzeliłem wzrokiem na pozostałych i zrobiłem to samo co oni.

Aspirant zaczął od lewej.

Podchodził do każdego, brał jego pas do rąk, łapał za sprzączkę i obracał na lewą stronę. Z nieukrywaniem zdziwieniem przyglądaliśmy się temu, co robi. Podszedł do mnie, na moment wbił wzrok w moje źrenice, potem zerknął na pas i ruszył dalej. Spojrzałem na sąsiada po lewej, zrobił dziwną minę i wzruszył ramionami, jakby chciał zapytać: „O co mu chodzi?”.

Znienacka rozległ się groźny ryk:

– Skąd masz ten jebany pas?!

Każdy z nas z ciekawości wychylił nieco głowę i zerknął w prawo.

Szumski stał naprzeciw Suchego. W lewej ręce trzymał przedmiot, o który pytał, a drugą dłonią złapał Suchego

za poły więziennej bluzy i przyciągnął ku sobie.

– Widzisz, co tutaj jest?! – Przystawił mu pasek prawie do oczu. – Widzisz?! Tylko jeden skazaniec w tym więzieniu miał taki pas. I to nie byłeś ty!

– Jakiś czas temu zamieniłem się z Dziubandowskim – powiedział Suchy nieco drżącym głosem. – Chciał zahandlować, więc dałem mu swój stary pasek i paczkę fajek z własnego ekwiwalentu.

– Zamieniłeś się?! – krzyknął z niedowierzaniem. – No to zaraz mi wszystko opowiesz! – Szarpnął Suchego, a potem pchnął go przed siebie. – Na dyżurkę!

– Co z nimi? – zapytał Frantz.



– Do cel! – Aspirant machnął dłonią.

Razem z pozostałymi wspinałem się schodami w górę, a w mojej wyobraźni przewijał się najbardziej prawdopodobny scenariusz wczorajszych wydarzeń. Nie ma bata! Suchy pomógł Dziubie w podróży na tamten świat! Jak go obezwładnił? Jakoś musiał tego dokonać, a potem powiesił go na swoim własnym pasku. Kiedy Dziuba swobodnie dyndał, Suchy odpiął mu sprzączkę i przełożył skórzanego węża w swoje szlufki. Zadbał o ten istotny szczegół, żeby upozorować samobójstwo ofiary.

Suchy nigdy nie zrobił z Dziubą żadnego interesu.

Nie było żadnej zamiany.

Jedyną rzecz, jaką mu kiedykolwiek dał, to była micha podłej kaszy, której nie znosił.

Nasza przyjaźń, moja i Suchego, ofiarowała mi parszywe brzemię.

Czegoś takiego nie da się wyrzucić z pamięci. Nie sposób pogrzebać takich wspomnień.

Nosiłem to w sobie przez cały czas. Nigdy nikomu nie opowiedziałem tej historii, aż do teraz. Nadeszła pora rozliczenia się z własnym życiem, ale nie gonię za usprawiedliwieniem. Oczyszczam tylko duszę, żebym mógł godnie stanąć przed Bogiem, bo wiem, że niebawem wybije moja ostatnia godzina.

A wy? Jak jest z wami? Czy kiedykolwiek ktoś z was zastanawiał się, co jest w stanie uczynić w imię przyjaźni? Przyjaźni prawdziwej, szczerzej i braterskiej? Czy są granice, których nie da się przekroczyć?

W czasie świąt Wielkiej Nocy 1928 roku zrozumiałem, że w przyszłości nikogo nie powinienem tutaj darzyć uczuciem przyjaźni.

Podbite oko Suchego świadczyło o tym, że oberwał kilka klapsów od aspiranta Szumskiego.

– O co chodziło z tym paskiem? – zapytałem popychany ciekawością.

Suchy spojrzał na mnie i powiedział:

– Wewnątrz za sprzączką są wypalone

literę „CW Wronki”. Wszystkie służbowe pasy mają takie oznaczenie.

– Ciekawe, skąd Dżordż go miał? – zapytałem.

– Szumski mu sprezentował. Najwyraźniej kupił śmiecia kawałkiem końskiej skóry – warknął. – Zanim dostałem po pysku, nie omieszkał powiedzieć, że osobiście wręczył go Dziubandowskiemu. – Pociągnął łyk kawy. – Potem stwierdził, że nie mogę mieć tego cholernego paska, zabrał mi go i teraz gacie lecą mi z dupy. Ktoś z was chce prehandlować swój? Dam dwie skrzynki – złożył mi i Siostrzyczce swoją ofertę.

– O czym wy gadacie? – zapytał nagle sanitariusz.

– O zupełnie nieistotnych bzdurach. – Suchy machnął ręką. – Była ostra zadyma z Dżordżem szubienicznikiem? – zmienił temat, kierując pytanie do Siostrzyczki.

– I to jeszcze jak! Lekarz przeprowadził szczegółowe oględziny i stwierdził zgon bez udziału osób trzecich. Typowe samobójstwo. Jakieś dwie godziny później pojawił się naczelnik i Szumski. Obaj wściekli jak diabli, że ktoś im spaprał świąteczny wypoczynek – relacjonował nasz kompan. – Na początku mieli spore wątpliwości, że sam się powiesił, ale lekarz szybko ich wyprowadził z błędu. Uważał, że Dziuba był nieco niezrównoważony psychicznie.

Doskonale pamiętał, jak swojego czasu meldował się co drugi dzień na izbie chorych. A poza tym nic nie wskazywało na to, że ktoś mógł mu pomóc. No bo niby kto, prawda? – Spojrzał po naszych twarzach.

– I dobrze, że się powiesił. Pieprzony czub – warknął Suchy. – Oby gnił w piekle, jak na samobójcę przystało. – Uniósł kubek z kawą, jakby wznosił toast i pociągnął solidny łyk. – Ta gnida nawet po śmierci narobiła mi kłopotów, przez ćwoka straciłem cholerny pasek – skwitował.

Kiedy usłyszałem jego ostatnie słowa, o mało mnie szlag nie trafił. Miałem nieodpartą chęć poderwać się z miejsca i zdzielić go w twarz. Czuję się podle.

W przeszłości było jak było, nieważne. Dwa dni temu facet zabił kołesia, a teraz wypowiadał swoje słowa tak, jakby nic złego się nie wydarzyło. To wszystko nagle zaczęło się we mnie kłócić, a resztki mojego człowieczeństwa podpowiadały mi, że sięgnąłem dna.

– Ale opowiem wam lepszy numer – powiedział Siostrzyczka w taki sposób, jakby przypomniało się mu coś istotnego. – Pamiętacie ten jego tatuaż o Bestii i szóstkach, prawda? – Nie czekał, aż potwierdzimy pytanie. – Zanim lekarz zaczął oględziny – zniżył ton głosu, strzelił wzrokiem na boki, żeby się przekonać, czy nikt nas nie słucha – kazał nam go rozebrać do naga. Ściągnęliśmy ubranie. Pewnie

widzieliście kiedyś martwe ciało, wiecie, jaką ma paskudną, bladą barwę. Nad jego lewą pierśią była wyraźna, nieregularna plama i wydawała się nieco jaśniejsza niż reszta skóry. Medyk stwierdził, że to jakaś skaza białkowa, kilka razy potarł to miejsce dłonią, ale nic się nie pojawiło. Dziwne, prawda?

Nie wiem, czy Siostrzyczka mówił, żeby mówić, czy szukał tematu do dyskusji. A co to ma teraz, kurwa mać, za znaczenie?! – miałem ochotę krzyknąć mu w twarz.

Nagle przypomniały mi się uczucia, które ogarnęły mnie, gdy tłukłem Hrabiego ciężkim węzłem prześcieradła nasączonym wodą. Albo jak zaginałem ostrze dłuta na dłoni Prezesa. Kiedy tego



doświadczałem, było to czymś tak ekscytującym, że aż trudno znaleźć odpowiednie słowa, aby te emocje opisać. Patrzyłem na Suchego i zastanawiałem się, co czuł, kiedy razem z Dziubą wisiał w powietrzu? Czego doznał? Czy to coś również było tak podniecające i niesamowite? Był wtedy Bogiem czy Bestią?

Siostrzyczka i Suchy poruszali ustami. Rozmawiali, ale ja nie słyszałem słów.

Nic nie słyszałem oprócz bicia własnego serca.

Kiedy po posiłku wychodziliśmy ze stołówki, szepnąłem Suchemu prosto do ucha:

– Na twoim miejscu martwiłbym się o Cichego. On wie.

Obejrzał się przez ramię i spojrzał mi prosto w oczy.

– Dzięki za cynk. – Posłał mi nieznaczny ukłon głową.

W więzieniu tak banalna sprawa jak zwykły pasek do spodni może urosnąć do rozmiarów gigantycznego problemu. Po kilku dniach Suchy oferował już pięć skrzynek, ale nie znalazł chętnego. Na folwarku ktoś pomógł mu zdobyć zwykły sznurek, z którego Suchy splótł solidny warkocz. Takie cudo wcisnął w szlufki drelichowych spodni i przewiązał się w pasie. Mieliśmy niezły ubaw, bo prezentował się jak prawdziwy pacholek z osady Piasta Kołodzieja.

A tak na marginesie dodam, skoro już wspominał ten śmieszny pasek, że Suchy nosił go aż do końca wyroku.

Sprawa śmierci Dziubandowskiego sprawiła, że Szumski przerzucił swoje frustracje na Suchego. Dręczył go i gnębił przy każdej okazji. Ja natomiast pomimo uprzedzeń do człowieka, który prawdopodobnie miał w sobie dwie osobowości i który nosił dwie różne fryzury, wygrawerowałem jego imię i nazwisko na odwrocie tablicy wiszącej w stolarni.

Obserwując z boku życie na spacerunku, kilka razy widziałem, że Suchy rozmawiał z Cichym. O nic go nie pytałem i niczego nie chciałem wiedzieć, ten problem dla mnie nie

istniał.

Tygodnie jak szalone mknęły do przodu. Ani się obejrzałem, jak buchająca zielenią wiosna zamieniła się w dżdżystą, ponurą jesień. Przez tych kilka miesięcy udało mi się prześlizgnąć bez popadania w żadne konflikty. Co więcej, zrobiłem jedną sensowną rzecz – w dniu świętego Krzysztofa, dokładnie dwa lata po tym, jak wypuścili Ojczulka, napisałem do niego kolejny list. Nawet pewnego dnia zastanawialiśmy się z Suchym, jak się wiedzie staruszkowi? Czy zdrowie mu dopisuje? I dlaczego do cholery o nas zapomniał?!

W połowie grudnia do naszego stołu dołączyło dwóch świeżaków. To były jeszcze nieokrzesane dzieciaki, bracia bliźniacy Karol i Wojtek Jankowscy. Chłopaki mieli raptem po dwadzieścia lat i trafili do Wronek za udział we wrześniowym strajku włókniarzy. Z tego, co opowiadali, kiedy zaczęła się w Łodzi robotnicza zadyma, wzięło w niej udział około dziesięciu tysięcy pracowników, a po miesiącu było ich dziesięć razy więcej. Dziesięć razy! Sto tysięcy chłopów!

– To dziwne – powiedział Suchy. – Rzesza nierobów strajkuje, a tylko wy dwaj zostajecie zapuszkowani? Coście narobili?

Na początku pojękiwali, stękali,

kręcili, zwodzili i chyba nie bardzo mieli ochotę się przyznać. Suchy jednak nie odpuszczał.

Bliźniacy w końcu opowiedzieli nam, jakiego dopuścili się idiotyzmu. Obaj pracowali w fabryce braci Stolarow. To było prawdziwe imperium włókiennicze i kiedy latem 1928 roku firma popadła w poważne kłopoty, a dług względem skarbu państwa osiągnął astronomiczne kwoty, zaczęły się poważne problemy. Wyrokiem sądu zostały odroczone wypłaty dla pracowników, a urzędnicy państwowi przejęli nadzór nad przedsiębiorstwem. Ta decyzja polskiej administracji zdetonowała bombę niepokojów tysięcy niezadowolonych robotników, którzy

postanowili walczyć o swoje i odebrać to, co im się słusznie należy. Bracia Jankowscy wykombinowali, że nie będą czekać, aż zakończą się rządowe pertraktacje z właścicielami fabryki, i porwali dla okupu małego Ludwika Stolarow. Liczyli na to, że wyszarpią od rodziny kasę z jej prywatnych zasobów. Skąd im ten pomysł strzelił do łbów i który z nich był jego autorem, tego już nam nie powiedzieli. W każdym razie wpadli po kilku dniach. Nie zrobili chłopcu żadnej krzywdy, nie znęcali się nad niewinnym dzieciakiem, ale na pewno okaleczyli go psychicznie do końca życia. Oskarżyciel domagał się dla porywaczy piętnastu lat, jednak sąd

wziął pod uwagę inne okoliczności i fakt, że wcześniej bliźniacy nie mieli problemów z wymiarem sprawiedliwości. Dzięki temu dostali po osiem lat paki. Nie chcieli opowiadać o swoim wyczynie, bo ponoć już w areszcie ktoś życzliwy ich poinformował, że w więzieniu skazańcy niszczą takich gości, którzy dopuścili się przestępstwa na dzieciach. Poniekąd to była prawda, ale dotyczyło się to zboczeńców, gwałcicieli i innych dewiantów wszelkiej maści. Kidnaperzy również byli postrzegani przez więźniów w złym świetle, ale tylko wtedy, kiedy zrobili swoim ofiarom niepotrzebną krzywdę.



Salka biblioteczna była otwierana każdej niedzieli. Od chwili śmierci Dziuby stanowiskiem bibliotekarza losowo obarczano jednego z funkcjonariuszy, który w tym dniu pełnił służbę. Dużo wtedy czytałem. Połykałem jedną książkę tygodniowo, co stanowiło dla mnie prawdziwą ucieczkę od więziennej codzienności. Przy *Potopie* Sienkiewicza zapominałem o bożym świecie, a przygody Kmicica rozpałały moją wyobraźnię do żywego. Uważam, że to najlepsza część trylogii. W całym swoim życiu sięgnąłem po nią kilkanaście razy. Po pierwsze, dlatego że to jedna z moich ulubionych powieści a po drugie, zasoby więziennej biblioteki nigdy nie były oszałamiające.

Większość więźniów w niedzielne południe opuszczała spacerniak i udawała się do kaplicy na mszę. Kilka razy spróbowałem im towarzyszyć, ale już nie czułem tej duchowej potrzeby uczestniczenia w zbiorowych religijnych obrzędach.

Odwykłem.

Nie straciłem wiary, nie o to chodzi. Myślę, że po prostu umarła we mnie potrzeba wspólnej modlitwy. Ponad sześć lat nie miałem do czynienia z kościelnymi ceremoniami, a to sporo czasu, żeby pomiędzy mną a świątynią powstał ogromny dystans. Przypuszczam też, że wielu skazanych wolało grzać kościelne ławki, niż dreptać po spacerniaku, a zwłaszcza wtedy,

kiedy pogoda nie zachęcała do przebywania na świeżym powietrzu. Ja wybrałem salkę biblioteczną. Chcę przez to powiedzieć, że w więzieniu każdy organizuje sobie czas w taki sposób, żeby choć na chwilę wyrwać się z tej cholernej, szarej rutyny. Sztanca chętnie zagości w życiu każdego; jeśli człowiek podda się jej i na to pozwoli, to zmieni go w bezbarwną, wegetującą istotę. Wcale nie trzeba siedzieć w pudle, żeby tego doświadczyć. Spójrzcie na siebie i odpowiedzcie na pytanie, jak wiele w waszym życiu jest rutyny, schematu i przewidywalności? Jaki to ma wpływ na wasze istnienie, uczucia, doznania? Ilu z was szczerze przyzna, że ma pracę, którą traktuje jako

zło konieczne? Ilu z was przyzna się do tego, że płomienne uczucie, którym kiedyś darzyliście swojego partnera, zgasło przez rutynę? Zdobyć się na szczerłość nawet w stosunku do siebie to wcale nie taka łatwa sprawa. Dla niektórych z was gdzieś w głębi duszy ta prawda okaże się bardzo gorzka i bardzo bolesna.

Po raz pierwszy na poważnie zacząłem się zastanawiać nad tymi nieco filozoficznymi dylematami, kiedy bliżej poznałem Zygmunta Toporskiego, na którego wołaliśmy po prostu Zyga.

Jako świeżak dołączył do naszego stołu, kiedy świat tonął w pierwszych marcowych roztopach. Tyle że taki był z niego świeżak jak ze mnie akrobata.

Zyga był recydywistą.

Oczywiście po dotarciu do Wroniek, tak jak każdy nowo przybyły skazaniec, dostał zwyczajowy łomot i swoje wyklęczał na więziennym dziedzińcu.

– Siedziałem w wielu więzieniach. – Kiedy o tym opowiadał, miałem wrażenie, że jest z tego dumny. – Od piętnastego roku życia mam do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Niebawem minie okrągłe trzydzieści lat, od kiedy rozpocząłem swoją złodziejską działalność. – Mrugnął okiem i zaśmiał się. – Chyba trzeba będzie jakoś uczcić tę okrągłą rocznicę. – Facet naprawdę był dumny z tego, że mógł się nazywać

złodziejem.

Zyga i Suchy od pierwszej chwili bardzo przypadli sobie do gustu. Trafił swój na swego.

– Kocham cię, stary – powiedział Suchy. – Kocham cię za to, że masz zdrowe podejście do swojego życia. Wiesz, co liczy się tak naprawdę, i wiesz, że tylko to, co sam wyrwiesz od świata, będzie twoje.

Trudno mi jakoś było się zgodzić z tą teorią, zważywszy, iż Zyga lwią część swojego dorosłego życia spędził za kratkami. Jednak było w nim coś, co sprawiało, że w każdym z nas rozpalał nieukrywaną sympatię. Natura obdarzyła go brawurą i bezczelną odwagą. Jego sposobem na życie nie

były jakieś spektakularne napady i rabunki. Zyga okradał jedynie bogate firmy handlowe. Śmiem nawet twierdzić, że miał w sobie coś z mentalności Robin Hooda. Zabierał tym, którzy mieli wszystkiego pod dostatkiem, ale niestety nie dzielił się łupami z biednymi.

– Powiem wam jedno. – Toporski uśmiechnął się pełną gębą. – Myślę, że miałem to w sobie od zawsze, musiałem się z tym urodzić. Kiedy razem z kumplem zrobiliśmy swój pierwszy włam do sklepu z drogimi futrami i nieźle żeśmy się wtedy obłowili, zrozumiałem, co chcę w życiu robić. To było jak objawienie, czaicie, o czym mówię? To było coś, co sprawiło, że

poczułem, jak w moich żyłach tętni krew, to, co ogarnia cię podczas skoku, jest... jest... – szukał w głowie odpowiednich słów – jest po prostu cudowne. Rozwala ci każdy zakamarek ciała, czujesz wszędzie rozpiętość, wspaniały dreszcz, przy którym nawet przyjemność z babą – poruszał znacząco biodrami – wydaje się czymś powszednim. Ten, kto posmakował owocu kradzieży, albo po pierwszym razie zrezygnuje, albo się w tym zatraci. Ja przepadłem z kretelem, to była moja miłość od pierwszego wejrzenia. – Zyga zaśmiał się wesołym głosem.

– No to chyba źle ulokowałaś uczucia – stwierdziłem – bo z tego, co mówisz, to twoja kochanka nieraz wpakowała cię



do celi.

Zyga zrobił niewyraźną minę.

– W sumie masz rację, chłopie, ale wiesz, jak jest, coś za coś. Trzaskałem grube roboty – posłał nam swój uśmiech pełen miłych wspomnień – wiecie, składy odzieży, magazyny... Potem upłynniałem towar u pasera i żyłem tygodniami jak księżę. Szastało się forszą na prawo i lewo, wóda, kobiety, imprezki, dorożki, szykowne wdzianka, wystawne restauracje i hotele. Smakowało się życia w luksusie, ech – westchnął z rozmarzeniem – było bosko. Ooo, coś wam opowiem, bo to jest dobre – zachichotał. – Jesteśmy we Wronkach, no to wyobraźcie sobie, że w Poznaniu jest ulica Wroniecka, a

przy niej była kiedyś Fabryka Wódek i Likierów Hartwiga Kantorowicza. Słyszeliście o tej firmie? – Spojrzał po naszych twarzach. – Nie słyszeliście, no dobra. A znacie wyborową? – Tym razem wiedzieliśmy, o czym mówi. – To powiem wam – zniżył nieco głos – kilka lat temu razem z dwoma kumplami rąbnęliśmy im z magazynu trzy ciężarówki załadowane po sam dach butelkami z ognistym płynem. Temat był wcześniej ustawiony i dopracowany w najdrobniejszych detalach, mieliśmy zapewniony zbytek i za dwie godziny pracy zarobiliśmy tyle, co inni w kilka miesięcy. To jest biznes, no nie – powiedział to takim tonem, jakby naprawdę zrealizował genialny pomysł,

a pracą własnych rąk stworzył dochodowy interes. – Gdybym miał beknać za każdy swój skok, to chyba przesiedziałybym w pierdłu tysiąc lat. Może i jestem nieco szalony, ale nie na tyle głupi, żeby nie zdawać sobie sprawy z tego, jaki sposób na życie wybrałem. W tej profesji trzeba się liczyć z ryzykiem. Na robocie możesz zostać złapany albo zarobić kulkę, błąd twoich wspólników może być katastrofą. Wiele spraw może się skomplikować, a cały bałagan zawsze odbije się na tobie. Powiem wam, że niełatwo być złodziejem.

– To czemu się tym zająłeś? – zapytał jeden z bliźniaków.

– Bo kiedy kradłem, to czułem, że

żyję. Rozumiesz? – Spojrzał mu w oczy.

– No nie bardzo... – westchnął jego rozmówca.

– Czym się zajmowałeś na wolności?

– zapytał Zyga bliźniaka.

– Pracowałem na krośnie – odparł młodzian.

– Lubiełeś to zajęcie?

– Nie wiem, czy lubiełem, robota jak robota...

– No i właśnie nic nie kapujesz – wpadł mu w zdanie Zyga. – Robisz coś, bo robisz. Nawet tego nie lubisz. Twoje życie staje się jednolite, mija kilkanaście lat, a ty dalej jesteś w tym samym miejscu i nawet nie zauważasz, jak czas przeciekł ci przez palce. Wiem, o czym mówię, bo żyłem obok takich

ludzi. Moi rodzice i nasi sąsiedzi. Wszyscy tak żyli, widziałem ich każdego dnia. Żadnych zmian, bezustannie to samo, praca, dom, dzieci, problemy, duże zmartwienia i małe radości. Monotonny schemat przetrwania. Życie toczące się według cyklu, w którym są tylko obowiązki i wyrzeczenia. Nie chciałem tego dla siebie. W ich życiu nie było ognia, rozumiesz? Oni się wszyscy tylko tlili. Ja natomiast potrzebowałem gorącego żaru.

– Dobry sposób, żeby się od czasu do czasu poparzyć – wtrąciłem.

– Niby tak – kiwnął głową – ale wiesz, co ci powiem, dzięki temu wiem, jak smakuje życie. Niekiedy musi zboleć. Tylko że ja jestem

charakterniak, i to mi leży.

„Charakterniak”. To było ciekawe słowo. Dosadnie określało ludzi takiego pokroju jak Zyga. Na mnie cudowne opowieści już nie robiły wrażenia, ale zauważyłem, że bliźniacy byli zachwyceni. Po drugiej stronie murów ludzie mający jakieś osiągnięcia i sukcesy są wzorem dla innych. Potrafią zainspirować, zmusić do działania, poszerzyć czyjeś horyzonty lub stać się kierunkowskazem do obrania właściwej drogi. W więzieniu jest podobnie, tylko autorytety są zupełnie inne. Tutaj tacy kolesie jak Zyga błyszczą niczym gwiazdy na firmamencie. Imponują. Na takiej uczelni jak Centralne Więzienie we Wronkach zajęcia

prowadzą doświadczeni przestępcy, a ich wiedza pozwala wolnym słuchaczom z łatwością zdobyć w przyszłości tytuł recydywisty.

Charakterniak żyje w świecie własnego mitu i blefuje niczym wytrawny pokerzysta. Jego istnienie to tylko gra pozorów, za którą kryją się ludzkie lęki, gorzkie porażki i obawy. To legenda budowana na niepewności i słodkim kłamstwie. Nie wszyscy o tym wiedzą i nie każdy to dostrzega. Zawsze są dwie strony medalu. Jedna wystawiona na pokaz, a druga spowita mrokiem. Co ważne, mianem charakterniaka określano tylko tych, którym udało się w przeszłości przynajmniej raz zaliczyć odsiadkę, a im

więcej wyroków na koncie, tym większy szacunek i poważanie wśród więźniów.

Mam nadzieję, że dostrzegacie tę absurdalną różnicę, która buduje świat wewnątrz murów i poza nimi. To, co tutaj jest powodem do dumy, po drugiej stronie krat dźwiga na sobie piętno hańby.

Nie wiem, dlaczego Suchy był tak zafascynowany Zygą. Dlaczego Ignął do niego jak prosię do maciory? Po prostu trudno mi cokolwiek na ten temat powiedzieć. Wtedy przekonałem się również, jak to jest, kiedy kumpel, z którym łączy cię silna więź, z którym dzielisz ponury sekret i z którym spędzasz większość swojego wolnego



czasu, nagle zachowuje się tak, jakby odstawił twoją przyjaźń na boczny tor i pomknął w innym kierunku. Oczywiście to nie był dla mnie powód do rozpacz i chyba wyszło mi to na dobre, bo w końcu zrozumiałem, że towarzystwa powinienem szukać wśród skazanych z takim samym wyrokiem jak ja. Ale na razie jedynym więźniem z dożywociem oprócz mnie był Wilhelm Wolf. Samotnik, którego ponura ksywa Rzeźnik z Danzig mroziła niektórym skórę na karku.

W pogodną, lipcową niedzielę 1929 roku przypadła moja siódma rocznica pobytu we Wronkach. Od pewnego czasu przesiadywałem na spacerunku w

samotności i w zasadzie to mi nie przeszkadzało, chociaż czasami miałem ochotę otworzyć do kogoś gębę i pogadać o bzdurach.

Suchy i Zyga krążyli pomiędzy więźniami i załatwiali jakieś szemrane interesy, bliźniacy razem z innymi udali się na mszę, Siostrzyczka miał dyżur w lazarecie, a ja gniłem w najlepsze na stopniach placu apelowego.

Wzięło mnie jakoś na wspomnienia, zerknąłem na ścianę budynku po lewej i przypomniałem sobie, jak chłopaki kiedyś przetrzepali mi tam dupsko w pierwszą rocznicę... i jak Franek Wencel dostał wtedy od Blachy miążdżącego kopa w jaja... Chryste, wydaje się, jakby to było wczoraj! Mój

dziadek często powtarzał, że kiedy człowiek się starzeje, to czas pędzi do przodu, a wspomnienia z odległej przeszłości wydają się tak bliskie, jakby zdarzyły się w zeszłym tygodniu.

Daleki byłem od robienia durnego rachunku sumienia czy też katowania umysłu wnioskami, które i tak niczego już nie zmieniają. Po prostu mimowolnie przez moje myśli przewijały się kadry wspomnień. Wtem skrzeczący odgłos jakiegoś ptaszyska rozległ się od strony wieżyczki wartowniczej i wyrwał mnie z zadumy. Obróciłem głowę w tamtym kierunku i dostrzegłem srokę siedzącą na skraju płaskiego zadaszenia. Wykonywała dziwne ruchy, przekrzywiła głowę i skubała dziobem

swoje pióra, unosząc lekko skrzydła. Po drugiej stronie muru lipcowy wiatr delikatnie kołysał koronami rozłożystych drzew i baraszkował pośród dojrzałych, zielonych liści. Zwróciłem wzrok ku niebu, źrenice rażone intensywnym błękitem zmusiły mnie do zmrużenia powiek. Na policzkach czułem promienie rozpalonego słońca, wciągnąłem przez nozdrza powietrze i pomyślałem – lato!

Artykuły w prasie i wieści spoza murów coraz częściej straszyły informacjami o zapaści gospodarczej. Ze słów dozorców wynikało, że ceny towarów mkną w górę, natomiast płace uparcie stoją w miejscu. Wszędobylskie słowo „kryzys” dominowało

we wszystkich dyskusjach na temat sytuacji ekonomicznej. Nie bardzo pojmowałem, o co chodzi. Aż pewnego dnia dowiedziałem się, że paczka egipskich kosztuje prawie siedem złotych. Przeżyłem prawdziwe zaskoczenie. Wydawało się to wręcz niemożliwe, a zarazem uświadomiło mi, w jakiej beztroskiej niewiedzy żyłem przez ostatnie trzy lata. Jakiś czas temu forszę, którą miałem, mogłem zamienić na kilkadziesiąt paczek papierosów, a obecnie raptem na kilkanaście. Na moim skromnym przykładzie możecie więc sobie wyobrazić, jakie to miało przełożenie w normalnej rzeczywistości.

Prawdziwa bomba wybuchła jednak daleko stąd, po drugiej stronie oceanu.

Dwudziesty czwarty października 1929 roku, znany jako czarny czwartek, przypadł dokładnie w tydzień po moich dwudziestych dziewiątych urodzinach. Tego dnia nowojorska giełda pogrążyła się w chaosie i nastąpił potężny krach. Eksplozja była tak silna, że pole rażenia rozniosło na strzępy gospodarkę prawie całej Europy. Wielki kryzys w Stanach Zjednoczonych pociągnął za sobą na dno państwa starego kontynentu oprócz... no właśnie, polegli wszyscy oprócz Związku Radzieckiego.

Czarny czwartek okazał się dniem pogromu dla świata finansjery i wielkich pieniędzy. Ludzie, których istnienie było uzależnione od liczb na kontach bankowych, w mgnieniu oka

stracili swój cały dorobek i w akcie rozpaczycy odbierali sobie życie. Poniekąd jestem sobie w stanie wyobrazić, co czuli ci nieszczęśnicy, i chociaż nie miałem milionów i sztykownych posiadłości, wiedziałem, jak to jest, kiedy nagle twój majątek ciułany przez długie lata w jednej chwili nie jest wart śmierdzącego funta kłaków. Dziwi mnie jednak, że nagle człowiek może skończyć ze sobą, bo jego pulchny portfel wypchany banknotami zaczyna świecić pustką. Możecie mi wierzyć na słowo, że nie mam w sobie współczucia dla ludzi, którzy w swoim życiu kierują się chciwością i chęcią drapieżnego zysku. Od czasu, kiedy Fenicjanie wymyślili pieniądze, żyjemy

w systemie monetarnym i nic nie jest w stanie tego zburzyć. W dzisiejszym świecie zarabianie stało się religią, bank świątynią, a pieniądź bogiem.

– Szkoda, że nie ma z nami Profesora – zwróciłem się do Suchego – pewnie wyjaśniłby nam na chłopski rozum, o co chodzi z tym całym kryzysem.

– A co tu wyjaśniać? – zakpił mój rozmówca. – Wszystko się zesrało i zdechło. Pomyśl lepiej, co by się działo, gdyby siedział tutaj teraz między nami świętej pamięci Roman Cztery Gwoździe. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Ten miałby niezłe ujeżdżanie, ten by teraz piał, jak dobrze jest komuszkom. Wszyscy się



poskładali, a bolszewicy kwitną. Teraz dopiero się zacznie, wszystkim proletariuszom ze spacerniaka odbije i co drugi będzie marzył o tym, że zaraz po wyjściu da nogę za wschodnią granicę.

Bliźniacy i Zyga nie mieli pojęcia, o kim rozmawiamy, i zaczęli nas wypytywać. Suchy oczywiście niby od niechcienia wziął na siebie przyjemność snucia opowieści o koleśiach, którzy przemknęli kiedyś przez nasze życie. Trochę koloryzował, bo chyba inaczej nie potrafił, ale przyznam szczerze, że i tak twardo trzymał się faktów.

We wronieckim więzieniu jesień 1929 roku zapisała się jako jesień

sznurowców. Do tej pory znałem tylko jednego człowieka, który został skazany przez sąd na karę śmierci. Był nim Góral. Człowiek, którego podróż w zaświaty zbiegła się z całkowitym zaćmieniem Słońca...

Na przełomie października i listopada w murach Centralnego Więzienia we Wronkach pojawiło się pięciu skazańców, którzy swoimi czynami zasłużyli sobie na najwyższy wymiar kary. Powiem wam, że postępowali bezceremonialnie, budząc ogólne przerażenie. Z drugiej strony, pewnie gdyby któryś z nas też dostał sznurek, zachowywałby się podobnie. W takiej sytuacji nie ma się już nic do stracenia, nie trzeba przestrzegać zasad i

obowiązków. Przypuszczam, że w takim osobniku budzi się zwierz, który ma zamiar jeszcze zaryczeć przed śmiercią i pozostawić po sobie niezapomniany, mroczny ślad.

Elita sznurowców siedziała na stołówce w swoim gronie. Niejednokrotnie pozwalali sobie na wiele, jakby mieli kompletnie gdzieś strażników, więzienie i cały boży świat. Jeden z nich, ten najbardziej agresywny, na którego wołali Dziki, już po kilku tygodniach trafił na oddział zamknięty. Ulokowali go w specjalnej celi dla więźniów niebezpiecznych. Pomieszczenie miało dodatkowe kraty od strony drzwi i okna, a osadzony w niej więzień podlegał całkowitej

izolacji od innych. W asyście czterech strażników był raz w tygodniu wyprowadzany na krótki spacer, jedzenie dostarczano mu do celi, a kiedy prowadzono go do kąpieli, całą łaźnię miał tylko dla siebie. Na więźniów niebezpiecznych mówiono „enka”, taki formalny skrót od litery N jak niebezpieczny. Pewnego razu, zupełnie przypadkowo, miałem okazję zobaczyć, jak wygląda taki przemarsz. Dwóch strażników z przodu, dwóch z tyłu, a w środku skazaniec spętany łańcuchami. Stalowe obejmy na przegubach dłoni, identyczne tuż nad kostkami stóp i wszystkie spięte razem, żeby uniemożliwić więźniowi zamaszyste ruchy. Kiedy taki orszak kroczył

dzieńcem albo korytarzami głównego budynku, jeden ze strażników co chwila krzyczał donośnym głosem:

– Enka idzie! Enka idzie!

Ta komenda oznaczała tyle, że każdy – bez względu na to, czy był pracownikiem administracyjnym, klawiszem lub więźniem – miał natychmiast zniknąć z pola widzenia, schować się w najbliższym pomieszczeniu, za rogiem budynku lub za zakrętem korytarza. To był jeden z elementów kary dla takiego skazańca. Na tym również polegała jego izolacja.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Dziki był solą w oku naczelnika, który – tak na marginesie – stworzył wiele obostrzeń w przepisach dla

więźniów niebezpiecznych. Zalewski również użył swoich wpływów i doprowadził do tego, że wyrok na Dzikim wykonano niemalże w błyskawicznym tempie i pożegnał się z tym padołem pod koniec 1929 roku. Ten fakt bardzo szybko podziałał na wyobraźnię pozostałych sznurowców. Po śmierci ich kamrata pozostała czwórka nagle spokorniała, utemperowała swoją bezczelność i skończyła z przesadnym dokazywaniem.

Większość z nas unikała bliższego kontaktu z tymi ludźmi. To nie byli odpowiedni kompani na zażyłe znajomości lub towarzyskie pogaduchy. Zauważyłem jednak, że Wolf upatrzył sobie jednego ze sznurowców, który

został skazany za brutalne morderstwo na dwóch nieletnich chłopcach. Z tego, co mówili klawisze, to była przerażająco głupia, bezsensowna i brutalna zbrodnia. Myślę, że wyrok śmierci oszczędził mu podłego życia, jakiego mógł tutaj zaznać. Tak jak wspominałem wcześniej, sznurowiec nie miał nic do stracenia i dlatego mógł sobie pozwolić na wiele. Skoro i tak miał zakończyć życie z pętlą na szyi, mógł zachowywać się bezkarnie i korzystać z tego przywileju...

Mieliśmy tutaj wielu zatwardziałych zbirów, podłych koleśi, którzy za paczkę fajek byli w stanie zapewnić komuś opiekę ortopedy przez długie miesiące. Ale nawet oni wiedzieli, że sznurowców

trzeba traktować inaczej. Skazanych na śmierć nie obowiązywał kodeks, który rządził światem pozostałych więźniów. Jednak pośród wszystkich osadzonych we Wronkach był człowiek, który mógł łamać wszelkie nieformalne zasady i ustanawiać nowe. Mówili na niego Rzeźnik z Danzig.

W pierwszą niedzielę stycznia 1930 roku Suchy podszedł do mnie na spacerunku, wyjął paczkę fajek i powiedział:

– Pal, Ropuszku, pal, bo dzisiaj szczególny dzień. – Spojrzałem na niego pytającym wzrokiem. – Mało tego, powiem, że bardzo szczególny – dodał z uśmiechem. – Pan Sucharski wychodzi z



tego parszywego pierdła dokładnie za sto dni! – W jego głosie było słychać dumę i radość.

– Gratuluję – odparłem i sięgnąłem po fajkę. – Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa i przyślesz kartkę z nadmorskim krajobrazem.

– No ba! Wiesz, że u mnie słowo droższe niż pieniądze. – Potarł zmarznięte dłonie.

Sto dni – przemknęło mi przez myśl i jakoś tak dziwnie zrobiło mi się na duszy. Smutno. Chyba mu zazdrościłem, że już niebawem ubrany w cywilne ciuchy przekroczy bramę więzienia i jako wolny człowiek ruszy przed siebie na spotkanie z nieznanym.

– Mam nadzieję, że zaczniesz nowe, lepsze życie – powiedziałem i rękawem kufajki przetarłem wilgoć pod nosem.

– Będzie bosko, użyję życia pełną gębą – odparł rozmarzonym głosem. Omiótł wzrokiem spacerniak i po chwili dodał: – Szkoda, że Franek nie doczekał.

Pokiwałem głową, bo nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

– A co tam u Ojczulka? Odezwał się chociaż? – zapytał, zmieniając temat.

– Dostałem od niego kartkę na dwudzieste siódme urodziny, a potem już nic...

– A ile ty masz właściwie lat? – wpadł mi w zdanie.

– W tym roku wypadnie mi okrągłe trzydzieści.

– Eee, to młody siusiak z ciebie – zarechotał w znajomy sposób.

– Może i młody – odparłem – ale czuję się staro. Czasami nawet bardzo staro. Mam wrażenie, jakbym był tutaj przez całe swoje życie – westchnąłem.

Suchy spojrzał na mnie, zaciągnął się głęboko dymem i zapytał:

– Za co właściwie siedzisz?

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś mnie o to zagadnął. Nagle zrobiło mi się cholernie źle. Przeszłość wróciła z gromkim hukiem, tocząc w pamięci lawinę ponurych wspomnień. Obróciłem głowę w prawo i splunąłem.

– Kiedyś – zacząłem mówić – miałem...

– Hej Suchy! – Do naszych uszu dotarł

głos Zygi. – Suchy! – wrzasnął ponownie. Szedł w naszym kierunku z rękoma wciśniętymi w kieszenie spodni. Nos i uszy miał zaczerwienione od styczniowego mrozu. – Dajesz tutaj! – Kiwnął na Suchego głową. – Musimy pogadać!

Suchy klepnął mnie w ramię.

– Wybacz, stary, interesy wzywają. – Wzruszył ramionami, jakby chciał mi powiedzieć, że jest kompletnie bezsilny i musi już iść, gdyż pora zająć się swoimi sprawami. – A ty nie stój w miejscu jak ten kołek, ruszaj się, ćwoku, bo zamienisz się w sopel – rzucił do mnie przez ramię i odszedł.

Zięb naprawdę był okrutny. W końcu mieliśmy już zimę.

Przez dłuższą chwilę stałem i tępym wzrokiem wpatrywałem się przed siebie.

Sto dni – ponownie westchnąłem w myślach z zazdrością. Zostało mu ostatnie sto dni i tylko to było dla niego najważniejsze. Mój wyrok? Za co? Dlaczego? Co zrobiłem? To dla Suchego nie miało żadnego znaczenia.

Pod koniec stycznia we wszystkich polskich gazetach i prawdopodobnie w całym przestępczym półświatku pojawiła się sensacyjna informacja. Tytuły artykułów trąbiły nagłówkami: *Wykrycie zamachu na skarbiec Banku Polskiego w Częstochowie* albo *Wykrycie zamachu w przededniu*

włamania, albo bardziej konkretnie: W skarbcu BP w Częstochowie znajdowała się fortuna! Gang Stanisława Cichockiego, znanego bardziej jako Szpicbródka, planował napad na siedzibę Banku Polskiego w Częstochowie. W sejfie ponoć znajdowała się bająńska jak na tamte czasy suma. Mówiono o dwudziestu, a nawet trzydziestu milionach złotych. Brutalne pieniądze, prawda? Jednak ktoś z szajki popełnił błąd lub puścił parę i sprawa się rypła. Wszyscy rabusie zostali aresztowani, a Szpicbródka trafił do częstochowskiego aresztu. Pamiętam te dyskusje przy naszym stole, kiedy Suchy i Zyga żałowali, że sąd nie wpakował Cichockiego

do wronieckiego więzienia.

– Kurde, Szpicbródka jest moim bogiem! – deklamował swoje uczucia Toporski. – Mógłby mnie wiele nauczyć.

To prawda, Szpicbródka był prawdziwym asem. Cieszył się sławą największego kasiarza II Rzeczypospolitej. O jego spektakularnych napadach krążyły legendy i przypuszczam, że zainspirował niejednego włamywacza. Kiedy wpadł w Częstochowie i trafił do tamtejszego aresztu, załatwił sobie fuchę fryzjera. Facet był nieprzeciętnie zaradny, potem przekupił strażników i pewnego dnia wyszedł w cywilnych ciuchach za bramę, po czym zapadł się pod ziemię. Nie ulega wątpliwości, że

Cichocki był w pewnym sensie osobą medialną, bo za każdym razem, kiedy dokonywał skoku, prasa rozpisywała się na jego temat. W 1937 dokonał ostatniego napadu w swojej karierze na Bank Kredytowy w Warszawie. Został aresztowany i skazany na cztery lata pozbawienia wolności. Karę odbywał w Sieradzu, jednak w dniu wybuchu drugiej wojny światowej tak jak wszyscy przestępcy w kraju został puszczony na wolność i przedarł się do korpusu Armii Andersa za wschodnią granicą. Razem z wojskiem ruszył do Iranu, a potem do Afryki i tam... ślad po nim zaginął. Jego dalsze losy do dzisiaj są owiane nieprzeniknioną tajemnicą.



– Po jaką cholereę to zrobiłeś?! – prawie krzyknął bliźniak na swego brata i wymierzył mu siarczysty policzek.

– Hej, co jest z wami?! – zareagował natychmiast Suchy. – Po swoich durnych mordach możecie się walić na spacerniku, a nie przy tym stole. Chcecie nam wszystkim narobić kłopotu? – warknął na nich. – To nie jest miejsce, gdzie możecie załatwiać swoje porachunki. Zostało mi jeszcze kilka tygodni i nie mam zamiaru na koniec oberwać przez takich matołów jak wy.

– Co się dzieje? – zapytał tego, który zdzielił swojego brata.

– Ten idiota zrobił sobie tatuaż.

– Wydziergałeś się?! – zapytał z niedowierzaniem Zyga. – Zdurniałeś?

Bliźniak tylko wzruszył ramionami i zabrał się za swój obiad.

– Nie wierzę – skwitował Suchy. – Naprawdę naznaczyłeś się do końca życia? Gdzie go sobie zrobiłeś? Pokaż?

– Głupek – syknął przez zaciśnięte zęby jego brat.

Młodzian podwinął rękaw prawej bluzy, ukazując przedramię, na którym widniało koślawe koło sternika.

Zyga i Suchy niemalże w tym samym momencie parsknęli śmiechem.

Tatuaż był świeży, a okaleczona ręka straszyla lekką opuchlizną i skrzepami krwi, które zastygły w miejscach nacięć i klucia. Na całym obrysie wzoru dało się dostrzec pod skórą ciemny ślad barwnika.

– Kto ci tak spieprzył to cudo? – Suchy jak zawsze był bezwzględnie bezpośredni.

– Oj Wojtuś, Wojtuś – westchnął Siostrzyczka i marszcząc czoło, zrobił kwaśną minę. – Jeśli tam nie wda się zakażenie, to będziesz miał szczęście. Powiedz mi, człowieku, gdzie podział się twój rozum? – Z politowaniem pokręcił głową.

– Popelina, jakich mało – zadrwił Zyga. – Zdajesz sobie sprawę, że w twoich aktach pojawi się zapis o tym tatuażu? I na dodatek zrobiłeś sobie stempel w najbardziej widocznym miejscu. Nie wiem, co będziesz robił w przyszłości, ale powiem ci, koleżko, że jeśli ktoś nabroi i świadkowie zeznają,

że gagatek miał tatuaż na prawej ręce, to możesz być pewien, że w try miga psiarnia pojawi się pod twoimi drzwiami. Ty będziesz Bogu ducha winien, a oni i tak przyjdą do ciebie i będziesz się tłumaczył, zeznawał i przedstawiał swoje alibi. Wiem coś o tym, bo połowa moich kumpli miała takie problemy. Teraz siedzisz w pace, kiedyś wyjdiesz, ale dla społeczeństwa zawsze będziesz byłym kryminalistą. Każdy z tutaj obecnych – machnął w powietrzu ręką – ma swoją kartotekę. A w każdej kartotece jest rubryka zatytułowana „znaki szczególne”. Tam się wpisuje wszystko, co pomaga zidentyfikować przestępcę. Blizny, rany, brak członków i oczywiście tatuaże.

No i co tak patrzysz? – posłał mu pytanie. – Tutaj są sami przestępcy, ty też się do nich zaliczasz. A teraz postarałeś się o to, żeby łatwo cię było namierzyć. – Zyga wzruszył ramionami.

– Krótko mówiąc – włączył się Suchy – dałeś dupy na całym froncie. A tak z czystej ciekawości, o co właściwie chodzi z tym kołem – i zaraz potem dodał z rozbawieniem – albo raczej jajem sternika?

Po minie bliźniaka poznałem, że musiał się czuć, jak storpedowany okręt. Delikatnie naciągnął kant bluzy na przedramię i wlepił wzrok w talerz.

– Widzisz, kretynie, co narobiłeś? – warknął jego brat.

– Dajcie chłopakowi spokój –

wtrąciłem – stało się.

Młodziak chyba pojął, jakiej dopuścił się głupoty, i kilka dni później trafił na izbę chorych z poważną raną. Próbował usunąć ten nieszczęsny malunek za pomocą drewnianego klocka i zdarł sobie połać skóry. Musiało boleć. Ten, kto w swoim życiu próbował domowym sposobem pozbyć się tatuażu, wie, jakie są tego konsekwencje. W takim miejscu zostaje potworna blizna z niebieskimi cieniami.

Pozwolę sobie jeszcze rzec kilka słów o bliźniakach. Bardziej roztropnym i rozsądnym był Karol, bo na początku trzymał się z dala od więźniów, którzy już z natury nosili w sobie zło. Wojtek natomiast był podatny na wpływy,

naiwny i... chyba zagubiony. Kiedy zranił się, próbując usunąć niebieskie znamię, od razu popadł w kłopoty. W każdym więzieniu próby samookaleczenia podlegają regulaminowej karze i nigdy nie kończy się to jedynie na rozmowie z przełożonym. Taki delikwent przeważnie zalicza jeszcze karcer, a jeśli zajdzie taka potrzeba, może nawet trafić na izolacyjny. Z założenia normalny człowiek nie robi sobie umyślnie krzywdy, prawda? Problem w tym, że czasami trudno zrozumieć czyjeś motywy. W latach trzydziestych popularnością cieszyły się, jeśli można tak powiedzieć, rany cięte, wyłamywanie stawów oraz

umieszczanie w ciele ostrych przedmiotów. Był taki jeden skazaniec z rangi pospolitych, który wbił sobie gwóźdź w kolano... Zrobił to tylko dlatego, bo chciał na jakiś czas wyrwać się z więzienia i trafić do garnizonowego szpitala w Poznaniu. Nieraz słyszałem opowieści tych, którzy mieli fart tam zawitać. Mówili, jakie to wspaniałe miejsce, że dbają o ciebie jak o księcia, serwują dobre żarcie, całymi dniami leżysz na wygodnym kojo, czysta pościel, piżamka, kłapeczki, okna bez krat i młode siostrzyczki kręcące bioderkami. Kiedy przez lata oglądasz tylko więzienne korytarze, łatwo ulec złudzeniu, że warto sobie zadać cierpienie i ból, aby doświadczyć



czegoś tak słodkiego. Dopiero później pojawia się pytanie, czy warto było? Ten, który wpakował sobie gwóźdź i ponad miesiąc relaksował się w poznańskim kurorcie szpitalnym, załatwił się na cacy. Wyrządził sobie straszną krzywdę i na tyle poważnie uszkodził staw kolanowy, że nawet zespół znamienitych chirurgów nie był mu w stanie pomóc. Facet do końca życia kuśtykał, szlag trafił jego kolano, a on zaczął chodzić tak, jakby zamiast nogi miał sztywną, drewnianą kłodę.

Wracając jednak do bliźniaków, byli dla mnie żywym dowodem na to, jak różnymi ścieżkami może potoczyć się życie ludzi, choć mają te same geny. Ten kontrast był przerażający. Karol

Jankowski odnalazł w więzieniu Jezusa. Po jakimś czasie stał się człowiekiem tak uduchowionym, tak bardzo religijnym, że granoczyło to niemal z fanatyzmem. Bezustannie powtarzał oklepane zdania typu: „Jezus cię kocha”, „Jezus ci wybacza”, „Proś Jezusa o ukojenie”, i takie tam podobne. Miałem wrażenie, że ciągle się modlił, łaził po spacerniaku z wiecznie splecionymi palcami i mamrotał coś pod nosem. Jeśli do kogoś zagadał, to zaraz zaczynał pleść o Jezusie. Chłopaki najpierw to tolerowali, ale z czasem jego zachowanie stało się męczące i każdy go przepędzał. Wojtek natomiast przez dłuższy czas był zahukany, przestraszony i nie potrafił się odnaleźć. I nagle niemal

z dnia na dzień stał się agresywny i napastliwy, co rusz pakował się w jakieś podłe sytuacje, a wszystkie konflikty rozwiązywał pięścią. Stał się bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Więzienne życie pochwyliło go mocno w swoje szpony, wyciskając wszystko, co najgorsze. Przemoc, bezwzględność, manifestacja siły to były filary, na których budował swoją egzystencję. Kiedy miał już za sobą odbębnięte ponad połowę wyroku, uwikłał się w kolejny konflikt. Zadarł z grupą skazanych, którzy też nie przebierali w środkach, kiedy chcieli dopiąć swego. Wojtek chyba do końca nie rozumiał, że więzienie to pole bitwy, gdzie wygrywa ten, kto potrafi rozszarpać przeciwnika

na strzepy. Bardzo źli ludzie dotkliwie go pobili i zrobili z niego kalekę. Złamali mu kręgosłup w dwóch miejscach. I co z tego, że każdy wiedział, kto za tym stoi, skoro nikomu nie udowodniono winy? A jakże! Było śledztwo, i to nawet dość skrupulatne, ale nikt nie został oskarżony o napaść i okrutne pobicie. Chłopak został sparaliżowany od pasa w dół, a swoje i tak musiał odsiedzieć. Prawo jest bezlitosne. Wojtek trafił do tego samego miejsca co Piotruś Jąkała, resztę wyroku spędził w specjalnej jednostce penitencjarnej w Grudziądzu. Pewnie ciekawi was też, co stało się z jego bratem. Otóż po tym incydencie facet jeszcze bardziej zbzikował na punkcie

religii. Kompletnie stracił kontakt z rzeczywistością. I w taki oto sposób jeden nieroztropny, młodzieńczy wybryk i chęć łatwego zysku zniszczyło życie dwóch ludzi.

Od pierwszych dni kwietnia Suchy bezustannie mówił tylko o swoim wyjściu. Na okrągło słuchaliśmy, co będzie robił, gdzie pojedzie, jak będzie żył, ile to wódki wypije i ileż wspaniałych kobiet zaciągnie do łóżka. Oczywiście nic nie wspominał, że chwyci się jakiejś sensownej roboty.

– No dobrze, ale jak będziesz zarabiał na chleb? – zapytałem go jednego razu, kiedy ponownie puszczał wodze fantazji.

– Handel, człowieku, tylko handel –

skwitował. – Jak to mawiają Żydzi, lepsze pięć deko handlu niż kilogram roboty. Towar i forsa. Z rączki do rączki. Tanio kupić, drogo sprzedać i kręcić interesem. Kapujesz?

– Najtaniej zawsze będzie u złodzieja – odezwał się Zyga.

– Nic z tych rzeczy. – Suchy niemal się obruszył. – Podstawa to trzymać się z daleka od ludzi, przez których można trafić za kratki. Ja swoje odsiedziałem i dziękuję. Nigdy więcej. Żadnych durnych znajomości i żadnych podejrzanych typów. Zacznę skromnie, najpierw targowisko, może jakiś stragan, a jak dobrze pójdzie, to potem nieduży sklepik.

– Taaa, a może dom towarowy,

przedstawicielstwa w każdym większym mieście i globalna sieć sprzedaży pod szyldem Domy Handlowe Adam Sucharski – zakpił Zyga.

– Zostaniesz prezesem wielkiej firmy – podłapałem temat – będziesz chodził w dobrze skrojonym garniturze, jadał w drogich restauracjach, siedząc w skórzanym fotelu, zajmiesz się jedynie przeglądaniem raportów na temat zysków, a cyncata sekretarka każdego ranka będzie ci parzyć filiżankę aromatycznej kawy na miłe dzień dobry.

Chłopaki zanieśli się śmiechem.

– Walcie się, frajerzy – fuknął z rozbawieniem Suchy – żal wam dupska ściska. Wiem, jak to jest, bo przeżyłem kilka wyjść w swoim życiu. Jeszcze o

mnie usłyszycie. – Pokiwał palcem. – A tak właściwie, to czemu nie. – Zamilkł na chwilę i spojrzał rozmarzonym wzrokiem w kierunku okien. – Dlaczego nie miałbym zostać kimś ważnym? Ma się tę smykałkę do interesów...

– Może i ma – wskoczył mu w zdanie Zyga. – Tylko że handlowanie fajkami w więzieniu ma się nijak do świata po drugiej stronie murów.

– Eee, jak zwykle marudzisz. – Machnął ręką. – Mówię wam, ten facet – kiwnął głową w stronę Toporskiego – zawsze widzi problemy tam, gdzie ja dostrzegam możliwości. Grunt to mieć plan i takie jaja. – Rozłożył dłonie, jakby trzymał niewidzialną główkę kapusty. – Nie ma rzeczy niemożliwych.



Bynajmniej nie dla mnie.

– No to życzę ci, żebyś zrealizował swoje pomysły – powiedziałem i posłałem mu uśmiech.

Termin wyjścia Suchego przypadał na trzy dni przed świętami Wielkiej Nocy. Pamiętam jak dzisiaj, kiedy zjawił się na śniadaniu i powiedział:

– To mój ostatni posiłek w tym parszywym miejscu. Fajnie było was poznać, panowie, ale na mnie już czas. Myślę, że nigdy więcej się już nie zobaczymy, więc życzę wam powodzenia i dbajcie o siebie. Ja niebawem udam się do depozytów, przywdzieję moje szare, prążkowane spodnie, białą koszulę, marynarkę w

popielatą kratę, wskoczę w czarne lakierki i założę filcowy kapelusz. Potem pewnie coś będę musiał podpisać, uścisknę dłoń naczelnika, kopnę Szumskiego w dupę i kiedy dzwony uderzą na Anioł Pański, wyjdę przez tę pieprzoną bramę i ani się obejrzę.

Pokiwałem głową i pomyślałem, że będzie właśnie tak, jak mówi, z wyjątkiem oczywiście kopniaka.

Kiedy rozległ się dźwięk gwizdka obwieszczający wyjście ze stołówki, spojrzałem Suchemu w oczy, uściskałem mu dłoń na pożegnania i powiedziałem:

– Miej się dobrze, brachu, udanego życia po drugiej stronie!

– Trzymaj się, Ropuszku – odparł.

Przyciągnął mnie ku sobie i uściskał, obejmując drugą ręką. Zbliżył swoje usta do mojego ucha i szepnął: – Kiedy o tym usłyszysz, będziesz wiedział, że to ja.

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem. Suchy uśmiechnął się półgębkiem, posłał mi oko i obrócił się na pięcie w stronę Zygi. Nawet nie zdążyłem zapytać, co ma na myśli.

– Żwawiej mi tam! – wrzasnął klawisz lekko zniecierpliwionym głosem.

Razem z pozostałymi skazańcami wyszedłem ze stołówki. Obejrzałem się przez ramię i dostrzegłem, jak Suchy w asyście Mroczkowskiego maszeruje korytarzem w przeciwnym kierunku.

Szedł swobodnym krokiem, jak człowiek, który nie ma żadnych zmartwień.

Trudno mi mówić o swoich odczuciach. Z jednej strony, była we mnie odrobina radości, a z drugiej, rozciągała się kompletna pustka. Nastął koniec historii, która przez pewien czas toczyła się w moim życiu. Rozdział został zamknięty.

Heblowałem deski, kiedy dzwonek na wieży kościelnej zaczął wybijać południe. Przerwałem pracę i podszedłem do okna. Zapaliłem papierosa i spojrzałem w niebieskie, kwietniowe niebo. Oczami wyobraźni widziałem, jak Suchy wychodzi

za bramę i swobodnym krokiem idzie przed siebie ulicą wiodącą na wprost. Sunie spokojnie i bez pośpiechu pomiędzy budynkami z czerwonej cegły. Pod podszwami jego lakierków chroboczą ziarenka piasku, zelówki w obcasach uderzają o brukową kostkę, a wiosenne powietrze ma zapach upragnionej wolności. Kapelusz lekko na bakier, jedna dłoń wciśnięta w kieszeń spodni, druga trzyma w palcach papieros, a na ustach szelmowski uśmiezek. Idzie przed siebie pozbawiony trosk i utrapień, kroczy z głową pełną kolorowych marzeń, a nieznanym ludziom posyła radosne spojrzenia...

W ostatnią niedzielę maja rozłożyłem się na stopniach placu apelowego i obserwowałem życie toczące się na spacerniku. Ojczulek miał rację – przemknęło mi przez myśl, to było idealne miejsce, żeby mieć wszystko i wszystkich w zasięgu wzroku. Wystarczyło jedynie bacznie obserwować, co się dzieje, żeby mieć doskonały podgląd na to, jak się rozkłada podział sił, gdzie przebiegają strefy wpływów i kto z kim zawiera kolejne sojusze. Niektórych spraw nie da się tutaj ukryć lub utrzymać w tajemnicy. Zerknąłem w stronę okien gabinetu aspiranta Szumskiego i zrozumiałem, że on też w ten sposób zdobywał swoją wiedzę.

Więzienne życie ewoluowało. Na przestrzeni lat wszystko się zmieniło, już nie było wśród więźniów wyraźnego podziału na politycznych i pospolitych. Ekonomia skutecznie wyparła ideologię, a światopogląd i przekonania zeszły na drugi plan. Teraz rządził pieniądź. No cóż, mogłem jedynie żałować, że nigdy nie miałem smykałki do interesów, a moja dusza nie dostała w prezencie nawet krzty kupieckiej fantazji. Nagle w moich myślach zagościł Suchy i uśmiechnąłem się pod nosem, przypominając sobie, jak podczas niedzielnych wybiegów zawsze krążył po spacerniaku. Tu podszedł, tam pogadał, tu kogoś klepnął w ramię, tam komuś szepnął coś do ucha, a potem

szybka wymiana z rączki do rączki, i po sprawie. Mimowolnie zerknąłem na lewą dłoń i przez chwilę wpatrywałem się w zabliznione bruzdy. Te ślady już zawsze będą mi przypominały o tym, w jak bardzo głupi sposób zabrałem się kiedyś za robienie geszeftu.

Przed południem powietrze znieńacka zrobiło się duszne i gęste. Sięgnąłem po papierosa i nim skończyłem palić, zerwał się porywisty wiatr. Podmuchy targały wściekle koronami drzew, zielone liście trzepotały, a pośród rozkołysanych gałęzi wzrastał się zawodzący szum. Jaskółki jak szalone niebezpiecznie szybowały tuż ponad ziemią, w powietrzu unosiły się drobinki



traw i tumany suchego kurzu. Błękitnym niebem pędziły puszyste bałwany groźnych chmur.

– Chyba będzie padać. – Nagle z lewej strony usłyszałem czyjś głos. Obróciłem głowę i mój wzrok spoczął na twarzy Wilhelma Wolfa. – Mogę? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, usiadł tuż obok mnie. Wsparł łokcie o kamienny podest i wyciągnął przed siebie nogi.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Cały świat jak na dłoni. – Kiwnął głową w kierunku spacerniaka.

– Tak – odparłem. Po chwili ciężko westchnąłem i dodałem: – Tak jak mówisz, cały świat.

Przyznam się wam, że czułem się dość nieswojo w jego towarzystwie. Nic do niego nie miałem, pomijając oczywiście ponurą historię sprzed kilku lat, kiedy to w łaźni znaleziono zwłoki Edmunda Napierskiego z dębowym krzyżem wbitym w pierś. Po tym zdarzeniu do Rzeźnika z Danzig przyłgnęła po prostu paskudna opinia i wszyscy trzymali się od niego z daleka.

– Jak to jest, kiedy dobrzy kumple odchodzą? – zadał mi pytanie, którego w życiu bym się nie spodziewał.

– Kiepsko – odparłem. – Nagle zdajesz sobie sprawę, że przegrałeś wszystko, że jesteś sam, że przed tobą nie ma żadnej przyszłości.

Kątem oka dostrzegłem, jak

nieznacznie przytakuje głową, słuchając moich słów.

– Masz jakąś rodzinę albo jakąś bliską osobę, która żyje za tymi murami i pamięta o tobie?

– Zadajesz mi trudne pytania – chciałem uciec od tematu. Spojrzałem w zachmurzone niebo i pomyślałem o dziewczynie z lat mojej młodości. – Ale skoro jesteś ciekaw, to ci odpowiem. Nie, nie mam nikogo takiego.

– No to oprócz wyroku jest jeszcze coś, co nas łączy – powiedział i uśmiechnął się.

Wzruszyłem ramionami.

Siedzieliśmy w milczeniu przez kilka kolejnych minut, aż w końcu nie wytrzymałem i zapytałem go wprost:

– Chcesz czegoś ode mnie?

– Nie – odparł niemal natychmiast. – Pomyślałem, że my dwaj możemy pogadać.

– O czym?

– O wszystkim i o niczym – skwitował. – Doszedłem do wniosku, że skoro ty i ja spędzimy prawdopodobnie w tym miejscu resztę swojego życia, to chyba warto się bliżej poznać.

Spojrzałem na Wolfa i w tej samej chwili zrozumiałem jego intencje. Dostrzegłem w nim człowieka, istotę posiadającą umysł, serce i duszę, kogoś, kto miał za sobą jakieś normalne życie, pracę, rodzinę, dom, marzenia, plany na przyszłość... Co do jednego musiałem mu przyznać rację – każdy z

nas spędzi za kartkami resztę swojego żywota.

Tego dnia, kiedy Suchy opuszczał wronieckie więzienie, pojąłem, że każda zażyłość z terminowym skazańcem będzie miała gorzki finał i że do takich znajomości powinienem mieć raczej dystans. Teoretycznie było to możliwe.

No ba! W teorii wszystko jest możliwe.

Życie jednak obfituje w niespodzianki i czasami niektórych emocji nie sposób kontrolować. Nieoczekiwanie pojawia się ktoś na twojej drodze, widzisz człowieka i nagle budzi się niewidzialna nić sympatii. Innym razem po prostu czujesz, że musisz być w stosunku do kogoś życzliwy. Sumienie każe

ci komuś pomóc, ochronić go przed ludzką niegodziwością lub otoczyć opieką. W więzieniu niektóre wartości zyskują całkiem inne oblicze.

– Wiesz, czego się tutaj nauczyłem? – zapytałem, mając na myśli osaczające nas mury i kraty. Wolf spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. – W takim miejscu jak to nie warto ufać ludziom. Niewiele brakowało, a swojego czasu wpędziłbyś mnie w nie lada kłopoty.

– Rozumiem – odparł. – Będąc na twoim miejscu, chyba wyciągnąłbym podobne wnioski. Żywisz jeszcze do mnie urazę? – zapytał.

Po raz kolejny zerknąłem na jego twarz i spojrzałem mu prosto w oczy. Już nie widziałem w nich tej pustki

co kiedyś.

– Jeśli możesz, to zapomnij o tym. Zapewniam cię, że nie chciałem być powodem twoich zmartwień – powiedział i wyciągnął do mnie dłoń.

Nie usłyszałem z jego ust „przepraszam”, ale całą tę sytuację tak właśnie odbierałem.

Miał mocny i zdecydowany uścisk.

– Przejdę się, zanim zacznie padać. – Podniósł się z miejsca. Odniosłem wrażenie, że na ułamek sekundy utopił swoje spojrzenie w moich oczach, po czym obrócił się na pięcie i odszedł wolnym krokiem w kierunku spacerniaka.

Przez dłuższą chwilę odprowadzałem wzrokiem jego oddalającą się postać.

Szedł bez pośpiechu, splecione dłonie trzymał z tyłu na wysokości pośladków i kroczył w taki sposób, jakby był na przechadzce w parku.

Skłębione stalowe chmury spowiły błękit nieba i zawisły złowieszczo nad wronieckim więzieniem. Wiatr ustał i znieńska uderzyły w nas kaskady ciepłego, majowego deszczu. Ulewa rozpętała się w mgnieniu oka. Mieliśmy szczęście, że większość skazańców była właśnie w kaplicy kościelnej, bo każdy z nas znalazł schronienie pod ścianą budynku. Staliśmy w szeregu, przylegając plecami do bordowych cegieł, i nawet kilku strażników poszło za naszym przykładem. Kurtyna deszczu w ciągu kilku minut zalała spaceriak,



zamieniając go w tafłę jeziora. Podniosłem głowę i poczułem, jak gigantyczne krople rozbijają się o moją twarz. Zamknąłem powieki, nie sposób było patrzeć w ten żywioł. Bluzę trzymałem w dłoni i czułem, jak koszulka i spodnie momentalnie nasiąkają wilgocią. Łzy nieba obmywały odkryte części mojego ciała. Przez szum zacinającego deszczu coraz wyraźniej zaczęła się przebijać czarodziejska kanonada. Obfite krople z niebywałą siłą stepowały po połączeniach ceramicznych dachówek, zadrżały werble stalowych rynien, dźwięczały szyby w oknach, a plusk bombardowanych kałuż przechodził w gromkie owacje.

Majowy deszcz. Ach, jakże wydawał się znajomy!

Pod zamkniętymi powiekami zobaczyłem jej twarz i te cudowne, długie blond włosy, lśniące i mokre, zupełnie jakby przed chwilą wyszła z kąpieli. To było tamtej wiosny, najszcześniejszej wiosny w moim życiu...

Był upalny, pogodny dzień. Od jakiegoś czasu planowałem, że jeśli tylko aura dopisze, zrobię Agnieszce miłą niespodziankę i zaproszę ją na uroczą majówkę. Specjalnie na tę okazję zaoszczędziłem trochę grosza, bo chciałem, żeby wszystko było idealne. Kilka dni wcześniej kupiłem w sklepie u starego Schaumanna butelkę

przedniego wina malinowego. Tak jak każdej niedzieli spotkaliśmy się za kwadrans dziewiąta przy skwerku, tuż obok głównego wejścia do bazyliki. Msza święta rozpoczynała się dokładnie o dziewiątej, więc zawsze mieliśmy jeszcze chwilę dla siebie. Oczywiście jej rodzice tradycyjnie stali po drugiej stronie ulicy i bacznie nas obserwowali. Skinąłem głową w ich stronę, oddając im tym samym wyrazy uszanowania. Dziewczyna, która skradła mi serce, zmierzała w moim kierunku.

– Dzień dobry, Agnieszko. –  
Dygnąłem głową i posłałem jej lekki ukłon.

– Dzień dobry, Stefan –  
odpowiedziała, a na jej ustach zagościł

zniewalający uśmiech.

– Ślicznie wyglądasz w tej sukience – rzuciłem prawie szeptem, ale na tyle głośno, żeby wyraźnie usłyszała każde moje słowo. Jej twarz oblał delikatny rumieniec. – Zapowiada się ładny dzień, może wybierzemy się dzisiaj na majówkę?

– A dokąd? – zapytała zalotnie.

– Niespodzianka – starałem się być tajemniczy.

Uniosła lekko brwi, a tęczówki jej szmaragdowych oczu powędrowały w prawą stronę. Tym gestem dała mi do zrozumienia, że o zgodę muszę zapytać jej ojca. Myślę, że ktoś taki jak ja nie był jego faworytem. Pewnie marzył o lepszej partii dla swojej jedynej córki.

Tolerował mnie, i to była prawda, nie mogę zaprzeczyć. Często natomiast miałem wrażenie, że czeka na mój błąd, na coś takiego, co da mu doskonały powód, żeby nas poróżnić.

– No to chodźmy – powiedziałem i delikatnie musnąłem jej łokieć.

Podeszliśmy do jej rodziców.

– Pani Janino – zwróciłem się do matki Agnieszki i skinąłem głową. Kobieta odwzajemniła się uśmiechem. – Panie Mieczysławie – posłałem mu identyczny gest powitania – chciałbym po mszy zaprosić Agnieszkę na majówkę za miasto. Czy mogę liczyć na pańskie pozwolenie?

Mężczyzna chrząknął dwa razy i spojrzał po naszych twarzach.

– Hmm – mruknął pod nosem. Zerknął w bezchmurne niebo i powiedział głosem kompletnie pozbawionym entuzjazmu: – No tak, pogoda jest zachęcająca.

– Bawcie się dobrze, dzieci – dodała jej matka i trzymając męża pod rękę, pogłaskała mu dłoń. Cieszyła się szczęściem córki.

Kiedy przez rozwarte wrota tłum wiernych wchodził do kościoła, kroczyłem tuż za Agnieszką. Panował ścisk i nikt nie zauważył, jak położyłem dłoń na jej biodrze. Na palcach poczułem jej delikatne opuszki. Pogłaskała mnie, a chwilę później zdecydowanym ruchem odtrąciła moją dłoń. Uśmiechnąłem się pod nosem.

Ksiądz zakończył swą posługę, pobłogosławił zgromadzonych i po chwili wyszliśmy na zewnątrz.

– Pojedziemy dorożką – zaproponowałem i wskazałem na najbliższy powóz.

Ruszyliśmy w tamtym kierunku, oboje zachowując zasady etykiety i dobrego wychowania.

– Na Przemysławą czternaście – rzuciłem w stronę woźnicy.

Po chwili końskie kopyta uderzyły miarowo o bruk.

Wiem, że ją zaskoczyłem. Nie spodziewała się tego. Nie przypuszczała, że w niedzielne przedpołudnie, kiedy rzesza ludzi będzie wracać z bazyliki do swoich domów,

my dwoje, niczym osoby z wyższych sfer, będziemy siedzieć w wygodnej dorożce z wpółotwartym dachem. Widziałem w jej oczach, jak bardzo jej zaimponowałem. Wspaniale się czułem, siedząc obok Agnieszki i dyskretnie trzymając jej dłoń.

Dotarliśmy na Przemysławą.

– Nie ruszaj się stąd, kochanie. Zaraz wracam, muszę tylko coś zabrać. – W stronę woźnicy rzuciłem: – Proszę czekać!

Pchnąłem drzwi na klatkę schodową i wbiegłem na drugie piętro. W sieni czekał na mnie wiklinowy kosz, do którego przed wyjściem do kościoła zapakowałem butelkę wina malinowego, dwa kieliszki, kilka plastrów żółtego



sera, dwa pęta suchej kiełbasy, pieczywo i owoce. Z wierzchu przykryłem go pledem w czerwono-czarną kratę.

– Stefek, to ty? – dobiegł głos matki z kuchni.

– Tak, mamó, to ja, ale już uciekam. Jadę z Agnieszką na majówkę za miasto!

– A co z obiadem? – zapytała.

– Zjem później! Wrócę wieczorem, pa! – Wybiegłem z mieszkania, nie usłyszawszy jej pożegnania.

Koła dorożki toczyły się ulicami wiodącymi przez peryferie Kalisza. Siedzieliśmy wygodnie na pufach obciągniętych bordowym ałtarem. Naszym rozmowom i śmiechom nie było końca. Po drodze minęliśmy kilka

znajomych osób, a kiedy sięgnąłem po papierosa, usłyszałem jak zwykle reprimendę.

W takich chwilach zawsze mówiłem:

– Ja też ciebie kocham, Agnieszko. –

A potem i tak robiłem swoje.

– A ja cię przestanę kochać, jak będziesz palił – padała zawsze ta sama kwestia.

– Proszę nas wysadzić na trakcie obok kapliczki – powiedziałem do furmana siedzącego na koźle.

Ten w odpowiedzi kiwnął tylko głową, machnął batem i ponaglając konia, krzyknął:

– Wiśta wio!

Ceglana kapliczka stała na rozdrożu, niespełna kilometr za ostatnimi

zabudowaniami, a na niej widniał napis „Na znak wdzięczności Bogu za uwolnienie od pańszczyzny w roku Pańskim 1873”. Dalej były już tylko pola i łąki.

Wysiedliśmy, zapłaciłem woźnicy, w jedną rękę złapałem kosz, drugą podałem Agnieszce i ruszyliśmy polnym traktem, wspinając się po łagodnym wzniesieniu.

Rozłożyliśmy koc na zielonej łące, a przed naszymi oczami rozciągała się wspaniała panorama na cały Kalisz. Słońce grzało, czas mknął do przodu, a my cieszyliśmy się swoim towarzystwem. Plan był taki, że drogę powrotną pokonamy piechotą. Kiedy od strony miasta zaczęły dobiegać

dźwięki dzwonów oznajmiających godzinę szesnastą, zaczęliśmy się zbierać. Schodziliśmy w dół zbocza, kiedy wiatr zaczął wzbierać na sile, a od wschodniej strony nieba mknęły skłębione kołtuny chmur. Kłosa zbóż kołysały się niczym kipiela morskich fal, wierzchołki strzelistych topól, które ciągnęły się rzędem wzdłuż drogi, jak jedna kłaniały się w tym samym kierunku. Majowy wiatr wdarł się w rozpuszczone włosy Agnieszki. Naprędce pochwyciła je razem i spięła w koński ogon. Przyspieszyliśmy kroku. Minęliśmy kapliczkę. W oddali przed nami malowały się już pierwsze zabudowania, kiedy nagle z nieba lunęły strugi deszczu. Ścisnąłem mocniej jej

dłoń i biegiem pognaliśmy na wprost.

– Stefan, już nie mam siły! – prawie krzyknęła. – Zatrzymaj się i tak jesteście już cali mokrzy – zawołała i zaśmiała się rozbawiona.

Zwolniłem nieco kroku.

– Stefan! – Pociągnęła mnie mocno za rękę.

Zatrzymałem się i z trudem łapiąc oddech, spojrzałem w jej radosne oczy.

– Nie umiem tak szybko biec w tych pantofelkach. – Zdjęła je ze stóp, pochwyciła w dłoń, posłała mi uśmiech, cmoknęła w policzek i powiedziała: – Kocham cię.

Za każdym razem, kiedy słyszałem to wyznanie z jej ust, cały mój świat zaczynał tańczyć. Przez chwilę

trwaliśmy nieruchomo pośrodku drogi, tonąc w strugach majowego deszczu.

– Chodźmy tam – wskazałem ręką na dużą szopę stojącą na skraju drogi po lewej – tam przeczekamy ten deszcz.

Szybkim krokiem ruszyliśmy we wskazanym kierunku.

Wrota stodoły były spięte łańcuchem zamkniętym na kłódkę, lecz w jednym skrzydle brakowało dwóch desek i swobodnie można było przecisnąć się do środka.

– A jak ktoś tu przyjdzie? – W jej głosie czaiła się wątpliwość.

– Nikt nie przyjdzie, chodź. – Kiwnąłem głową. – Tam nie ma nic oprócz siana, poza tym poczekamy, aż przestanie padać i pójdziemy sobie.

No chodź – powtórzyłem, bo widziałem jej niezdecydowanie.

Wewnątrz było tylko kilka drewnianych kłód i duża sterta pachnącego siana.

Zdjąłem marynarkę, która wyglądała, jakbym przed chwilą wyjął ją z balii. Moja koszula i spodnie wcale nie miały się lepiej. Spojrzałem na Agnieszkę.

– Zimno ci? – zapytałem, bo odniosłem wrażenie, że jej usta nieco zmieniły barwę.

– Trochę. – Objęła się rękoma i potarła dla rozgrzewki odkryte ramiona.

– Chodź tu do mnie. – Poczulem, jak lekko drży. – Zdejmijmy ubrania, rozwiesimy je, niech trochę przeschną i ogrzejemy się kocem –

zapropnowałem.

Chwilę później otuleni pledem leżeliśmy na sianie, którego świeży zapach intensywnie łaskotał nozdrza. Nasze młode ciała, głodne dotyku i czułości, splecione w jedność szukającą przeznaczenia... Czy można doświadczyć czegoś piękniejszego? Bliskość i obcowanie z ukochaną osobą jest jak niekończąca się podróż do gwiazd. To wyprawa pełna szczęścia i niecierpliwości, wiodąca przez magiczne galaktyki doznań spowite mgławicami najcudowniejszych uniesień. Tylko kiedy jesteś z kimś tak naprawdę, tak do końca, kiedy ufasz, kiedy nie czujesz żadnej obawy i strachu, kiedy jesteś w stanie poświęcić



wszystko, wtedy wiesz, że w twoim życiu liczy się tylko ta miłość.

Leżeliśmy w objęciach, na szyi czułem jej ciepły, miarowy oddech. Krople deszczu uderzające o strzechę stodoły nuciły szeleszczącą melodię. W szczelinach pomiędzy deskami przeciskały się ostre promienie popołudniowego słońca. Powieki opadły mi niczym ciężkie, stalowe przyłbice...

Szum deszczu był coraz delikatniejszy, aż w końcu ustał.

Cisza.

– Wracać na wybieg! – rozległ się nagle z prawej strony donośny głos klawisza.

Ta ponura komenda niczym kowalski

młot roztrzaskała delikatne zwierciadło wspomnień. To może wydawać się śmieszne, bo jeszcze minutę temu miałem nadzieję, że kiedy otworzę oczy, zobaczę drewniane krokwie stodoły, drobinki kurzu wirującego w wąskich smugach słonecznego światła, że obok siebie poczuję jej ciało... Chociaż to nawet nie była nadzieja, to było coś więcej. Zamiast nierealnych marzeń, ujrzałem skazańców, którzy w przemoczonych uniformach przypominali szwadron ponurych topielców.

Rozpacz.

Przez te wszystkie lata, które przyszło mi przeżyć, poznałem w swoim życiu mnóstwo pochodnych określeń dla tego

smutnego słowa. Mógłbym je mnożyć i dzielić, mógłbym o tym uczuciu pisać poematy, mógłbym pastwić się nad moimi wspomnieniami i opowiedzieć wam o tym, jaki bliski byłem obłądu. Wiem coś o tym, bo doświadczyłem tej zgryzoty na tysiące sposobów. Dzisiaj jednak nie widzę już żadnego powodu, żeby wracać myślami do tych wszystkich mrocznych uczuć, które potrafią człowieka zniszczyć i pogrążyć.

Ufam, że jesteście w stanie to sobie wyobrazić.

Kiedy całe życie toczy się w obrębie murów i krat, kiedy jedyną rozrywką jest spacerunek i posiłki na stołówce, kiedy większość swojego czasu spędzasz na wykonywaniu tych samych czynności

i kiedy każdy dzień jest identyczny, to nawet nie dostrzegasz tego momentu, w którym zaczynasz tracić rachubę. Nagle wszystkie zdarzenia z przeszłości, gdy byłeś wolnym człowiekiem, stają się czymś odrealnionym. Przychodzi taka chwila, że łapiesz się na tym, iż zaczynasz się zastanawiać, czy te wspomnienia są prawdziwe, czy tylko je sobie wyśniłeś? Bo jeśli prawdą jest to drugie, to chcesz tylko zasnąć. I nosisz w sercu nadzieję, że kiedy otworzysz oczy, to ten ponury świat zniknie, rozplynie się w powietrzu, jakby go nigdy nie było.

Kiedy nastąpiło pochmurne lato 1930 roku moja znajomość z Wolfem zaczęła

wkraczać w zupełnie inny wymiar. Od jakiegoś czasu każdej niedzieli przesiadywaliśmy razem na spacerniku i miałem wrażenie, że to on dąży do tego, aby zacieśnić nasze relacje. Chyba chciał przełamać moją nieufność, a w sobie obudzić otwartość. Po jakimś czasie zrozumiałem, że Rzeźnik z Danzig odczuwa potrzebę rozmowy z drugim człowiekiem. Siedział już we Wronkach blisko siedem lat, a przez ten czas nigdy nie widziałem, żeby z kimś rozmawiał. Zupełnie jakby poprzysiągł sobie śluby milczenia. Na początku mówił o rzeczach zwykłych, powszednich, wspominał jakieś sytuacje z przeszłości, opowiadał mi o swojej żonie i ukochanym synku, mówił o swojej

pracy, która była dla niego prawdziwą pasją. Potrafił ładnie opowiadać, używał ciekawych określeń, a ja nagle stwierdziłem, że lubię go słuchać. Mój głęboki szacunek zyskał tym, że nigdy nie zadał mi pytania: „Za co dostałeś dożywocie?”. Potem zrozumiałem, że on wcale tego nie oczekuje, że nie potrzebuje, aby pomiędzy nami pojawiły się jakiś spowiednicze zobowiązania.

Kiedy zacząłem się do niego zwracać Wili i kiedy za każdym razem na dźwięk tego słowa jego usta układały się w radosny rogal, doszedłem do wniosku, że spodobało mu się to zdrobnienie. Któregoś dnia przyznał się:

– Trafiłeś w dziesiątkę z tym Wilim. Tak mnie nazywano, gdy byłem małym

chłopcem.

– Wili Wolf to dobre imię dla jakiejś literackiej postaci, która byłaby nieustraszonym bohaterem opowieści dla dzieci – skwitowałem z dumą, że wpadłem na tak genialny pomysł.

– Wili Wolf – wolno wypowiedział swoje imię i westchnął. – Niestety Wili Wolf na zawsze już pozostanie okrutnym Rzeźnikiem z Danzig.

Dni mknęły do przodu i ani się spostrzegłem, jak nastał dzień moich trzydziestych urodzin. Po wieczornym posiłku odprowadzono nas do cel, usiadłem na pryczy, zapaliłem szluga i sam sobie złożyłem życzenia.

Trzecia okrągła dziesiątka.

Pozwoliłem mojej wyobraźni zapuścić się do niebezpiecznych krain, podumać o tym, jak mogłoby wyglądać moje życie, gdyby nie wyrok dożywocia. Jak wiele dróg mogłem obrać w swym życiu i spraw, którym się mogłem poświęcić. Przesiedziałem prawie pół nocy, wertując niespełnione marzenia, roztaczałem wizje kolorowych zdarzeń i barwnych przeżyć, których mogłem doświadczyć. I dopiero widok krat na tle gwiazdzistej, październikowej nocy przywiódł mnie do rzeczywistości.

Samotność i cela to dobre połączenie, żeby człowiek popadał w skrajności. Cała sztuka w tym, aby znaleźć balans pomiędzy smutkiem a euforią, ulokować się gdzieś pośrodku i utrzymać



psychiczną równowagę. Ważne, żeby huśtawka emocji w twojej duszy w miarę szybko przestała się bujać. Kiedy łapiesz już ten stabilny stan, wtedy na spokojnie oglądasz się wstecz i zaczynasz robić podsumowanie. Nie było tak źle – pomyślałem. Wyplątałem się ze wszystkich parszywych sytuacji, nie wdawałem się w układy i konflikty, odciąłem się od tematów, które mogły mnie pogrążyć. Żyłem monotonie i z dala od jakichkolwiek problemów. Co prawda miałem kilka incydentów z Szumskim w roli głównej, ale przecież już dawno temu zdążyłem przywyknąć. Nie drażniłem człowieka, unikałem, zawsze okazywałem skruchę i chyba takim nastawieniem udało mi się

go zniechęcić. Zbudowałem sobie schemat, w którym czułem się w miarę spokojnie i bezpiecznie. Ludzi, z którymi jadałem posiłki, traktowałem jak znajomych, jakbym ich tylko mijał, idąc ulicą. Niby się znamy, mogę przystanąć na chwilę, zamienić kilka słów, a potem każdy z nas podąży w swoją stronę. Żadnych zobowiązań i przesadnej sympatii. Wiedziałem, jakie to ważne, wyciągnąłem odpowiednie lekcje z przeszłości i sam wyznaczałem granice. Kiedy jednak w moich myślach przewijał się Wolf, czułem lekki niepokój, jakbym przewidywał, że nasze stosunki zaczynają wkraczać na grunt, który może poplątać ścieżki naszego życia.

Trzydzieści lat.

Nie wiem, ile w tym było bożej interwencji, a ile przypadku, ale kiedy Wolf w swoich opowieściach przechodził do drastycznych wydarzeń, których doświadczył, miałem wrażenie, że listopadowe dni stają się wtedy bardziej posępne. Na początku te mroczne historie traktowałem z dystansem. Oczywiście współczułem mu, że spotkały go tragedie, ale jednocześnie wcale nie uważałem, że powinien wziąć na swoje barki obowiązek kata. Zupełnie jakbym chciał powiedzieć:

– Hej przyjacielu! Nie tędy wiedzie ta droga.

Potem chyba zacząłem go rozumieć. Tu nie chodziło o konkretną zemstę, ale o to, że niegodziwi ludzie zawsze będą dopuszczać się złych czynów, a skoro prawo jest bezsilne, a jego stróże nieudolni, ktoś musi ich wyręczyć.

Pewnego dnia moja ciekawość została na tyle rozpalona, że zdobyłem się na odwagę i zadałem pytanie:

– Wili, ilu ludzi zostało ukaranych z twojej ręki?

Spojrzał na mnie tymi swoimi szarymi oczami i odparł:

– Za mało, żeby świat stał się lepszy – powiedział, wymownie spoglądając na spaceriak.

Myślę, że patrzył na tego sznurowca, który dostał karę śmierci za morderstwo

dwóch młodziutkich chłopców.

Tak jak każdego roku wigilijna kolacja była bardziej obfita niż zazwyczaj. Odebrałem swój posiłek z okienka wydawki i kiedy podchodziłem do stołu, nagle zmieniłem zdanie. Spojrzałem w prawo na Wolfa, który jak zwykle siedział samotnie, i stwierdziłem, że od dzisiaj tam jest moje miejsce.

Usiadłem naprzeciw niego. Spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem.

– Pomyślałem, że święta trzeba spędzić z kimś bliskim.

Wili uśmiechnął się, wyciągnął rękę w moim kierunku i powiedział:

– Wesołych świąt.

– Wesołych – odpowiedziałem i uścisnąłem jego dłoń.

Zajadaliśmy wieczerzę i jak kiedyś z moimi kumplami tak teraz z Wolfem rozmawialiśmy o świątecznych potrawach, wspominając ich niepowtarzalny smak.

W powietrzu unosił się przyjazny duch świąt Bożego Narodzenia. Przy kilku stołach skazańcy nucili kolędy, przy innych toczyli dyskusje i składali sobie życzenia. Na jakiś czas więzienna stołówka zamieniła się w ciepłe, radosne miejsce.

Mój kompan opowiadał mi właśnie, jak w dzieciństwie niechcący podpalił ustrojoną w salonie choinkę, kiedy kątem oka dostrzegłem postać

funkcjonariusza zbliżającego się do naszego stołu. To był Szumski.

Podszedł bliżej, oparł się o drewniany blat, pochylił nieco do przodu i powiedział:

– A cóż to? – Zerknął na mnie, a potem na Wolfa. – Rodzinna sielanka czy jakaś nowa tradycja? A może zawiązujecie stowarzyszenie? Znudzili ci się dotychczasowi kamraci? – skierował do mnie ostatnie pytanie. – Widzę, że nastąpiła tutaj jakaś dziwna moda. Zaczynacie się zbijać w jakieś nieformalne grupy? Tam sznurowcy – kiwnął głową w kierunku stołu, gdzie siedzieli skazani na śmierć – tutaj bezterminowi, tam złodzieje, obok polityczni. Swój ciągnie do swego –

zakpił. Wyprostował się i przez chwilę przyglądał się nam badawczym wzrokiem, po czym obciągnął górę munduru i rzekł: – Chyba pomyślę o jakiś świątecznych atrakcjach dla waszej dwójki. – Pokiwał głową, obrócił się na pięcie i odszedł.

– Cholerny gnojek! – syknąłem przez zęby. – Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak ja tego człowieka nie znoszę – przyznałem się Wiliemu.

– No to jest nas dwóch – odparł i uniósł swój kubek tak, jakby wznosił toast.

– Ma coś do ciebie? – byłem ciekawy.

– I to bezustannie – skwitował. – Odkąd się tu zjawilem, mam wrażenie,



jakby postawił sobie za punkt honoru, żeby uprzykrzyć mi życie. No i te jego idiotyczne wywody...

– Wiem coś o tym – wpadłem mu w zdanie. – A ja sądziłem, że tylko mnie się obrywa.

I tak od słowa do słowa, zamiast o świętach, zaczęliśmy sobie z Wolfem opowiadać nasze przejścia z Szumskim. Jednomyślnie doszliśmy do wniosku, że są też inni, którzy ścierają się z naszym panem aspirantem.

Gong na sterowni uderzył trzy razy, obwieszczając ciszę wigilijnej nocy. Zdjąłem ubranie i układałem się do snu, kiedy nagle usłyszałem szurnięcie wizjera u drzwi, a zaraz potem dwa

głośne uderzenia. Poderwałem się na równe nogi i stanąłem na baczność pod ścianą. Rozległ się szcęk zasuwki i drzwi otworzyły się na oścież. Do wnętrza wpadł snop żółtego światła.

– Zbieraj się! – warknął klawisz. – Jesteś wzywany na sterownię.

Pospiesznie wskoczyłem w szary uniform i włożyłem buty.

Dozorca pchnął mnie przed siebie i ruszyliśmy drewnianym podestem, który ciągnął się wzdłuż wejść do cel. Odgłos naszych kroków dudnił pośród ciszy panującej na bloku B.

Szumski siedział w sterowni rozpostarty wygodnie na krześle i palił papierosa.

– Jest i Żabikowski, nasz pierwszy

as atutowy – zarechotał szyderczo na mój widok. – Zaraz dołączy do nas kolejna figura.

Zerknąłem w prawo i zobaczyłem Wolfa w asyście innego strażnika, jak zmierzają w naszym kierunku.

– I tak oto doczekaliśmy się kolejnych papużek nierozłączek. – Aspirant zdobył się na kolejny dowcip. – Zapytam tak tylko z ciekawości, łączy was tylko koleżeństwo czy może to coś więcej? – Posłał w naszym kierunku porozumiewawcze oko, a dwaj funkcjonariusze stojący obok zachichotali rozbawieni. – Nie ma się co śmiać, chłopaki – rzucił w ich kierunku – każdy potrzebuje odrobiny miłości. Kasia Rączkowska nie zaspokoi

wszystkich potrzeb. – Prawą dłonią wykonał kilka obscenicznych ruchów na wysokości swojego krocza. Z gardeł dozorców tym razem rozległa się mocniejsza salwa śmiechu.

Stałem i patrząc na aspiranta, zadawałem sobie w duchu pytanie: Jak taki gbur, może pełnić tak poważną funkcję?

– Widzę, że nie trafiłem w wasze poczucie humoru – powiedział Szumski. – No dobrze, żarty na bok. Chodzi o to – klasnął w dłonie – że chciałbym bardziej zacieśnić waszą przyjacielską więź i umożliwić wam, żebyście spędzali razem więcej czasu. Żabikowski – wskazał na mnie dłonią – ty całymi dniami przesiadujesz

na stolarni. Wolf – wykonał identyczny gest w kierunku mojego kompana – ty z chirurgiczną precyzją pleciesz wiklinowe cuda – zakpił w prostacki sposób z jego zawodu. – Widujecie się tylko podczas posiłków, na spacerunku i w trakcie sobotnich kąpeli. Myślę, że to za mało i że wasze oczekiwania są większe. Mam nadzieję, że zaskarbię sobie waszą wdzięczność tym, iż ofiarowuję wam możliwość wspólnej pracy. Oczywiście są to zajęcia poza harmonogramem, ale to chyba nie ma dla was znaczenia, prawda? – Spojrzał na nas pytającym wzrokiem. – Prawda? – powtórzył z naciskiem, dając do zrozumienia, że oczekuje naszego potwierdzenia.

– Tak jest, panie aspirancie – odparłem, za to Wolf stał obok mnie jak kamienny posąg i milczał.

– Wolf... Prawda?! – zabrzmiał nieco mocniej głos Szumskiego.

Ten jednak nadal milczał i tępym wzrokiem wpatrywał się w oblicze aspiranta.

Sytuacja zaczynała się robić nieciekawa.

Staliśmy ramię w ramię. Kiedy Szumski ze zdziwieniem uniósł do góry brwi, po raz kolejny powtórzył: „Prawda?!” i zaczął się podnosić z krzesła, łokciem lekko trąciłem ramię Wiliego.

– Tak jest, panie aspirancie – wypowiedział swoje słowa półgłosem i

takim tonem, jakby chciał uzmysłwić Szumskiemu, że jest znudzony.

– Znowu zaczynasz strugać gieroja? – W głosie funkcjonariusza czaiło się coś złowieszczego. – Ja mogę wszystko i nic nie muszę, natomiast ty, skazańcze – podszedł do Wolfa – nic nie możesz, a musisz wszystko! – warknął mu prosto w twarz.

Stałem tuż obok i czułem, jak zimny dreszcz mrozi mi skórę na karku. Nie chcesz tego! – wrzasnąłem w myślach. Wolf, do kurwy nędzy, tylko nie powiedz nic głupiego!

Czy czułem strach? Tak! Przepełniał mnie, był tu, na wprost mnie. Strach był odziany w brązowy mundur i zionął nieświeżym oddechem.

– Zejdziecie teraz na dolną kondygnację. Obok drzwi do dyżurki leżą dwa worki z trocinami, wiadra z wodą i szczoty. Ten korytarz – wskazał palcem w dół – ma lśnić i być czysty jak cipka dziewicy. Naprzód!

Jeśli idzie o mnie, to wystarczyło powiedzieć tylko raz. Bałem się jednak reakcji człowieka, który stał obok mnie. Złapałem kant jego bluzy i robiąc w tył zwrot, pociągnąłem go delikatnie za sobą. Poczulem ulgę, kiedy podążył za mną.

Nie wiem, czy wiecie, ale trociny, woda i kostka szarego mydła są idealną kombinacją, żeby wyszorować każdą posadzkę świata. Kruszysz mydło i mieszasz z wodą, potem wylewasz



kwartę takiej mikstury na podłogę, a następnie sypiesz obficie trociny. Potem szurając po nich podeszwami butów, wycierasz drewnianymi wiórami, które nasiąkną wodą, każde świństwo, jakie zabrudziło powierzchnię. Trochę mozolna robota, ale efekt powalający.

Taką metodą zabraliśmy się do pucowania posadzki na naszym bloku.

– Wili, oszalałeś? Po co prowokujesz tego bęcwała?! – syknąłem na tyle głośno, żeby mnie usłyszał, ale na tyle cicho, żeby mój głos nie poniosło po bloku nocne echo.

– Traktuję go tak, jak na to zasługuje – odparł.

– To znaczy jak? – Nie bardzo

rozumiałem, co ma na myśli.

– To prostak i cham z dziada pradziada. To śmieć odziany w mundur władzy, ale w sumie jest tutaj nikim. Jedyne, co może nam zrobić, to zagonić do pracy albo wpakować do karceru...

– Albo na izolacyjny – wpadłem mu w zdanie.

– Izolacyjnym to już mnie starszy od dawna, i co? – zapytał, ale nie czekał na moją odpowiedź. – I nic! Nie dam się złamać komuś takiemu jak Szumski. Nie ja.

– Chcesz coś udowodnić?

– Nie, ja nie muszę niczego udowadniać. Tak samo jak ty.

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem.

– No tak – zakpiłem – Rzeźnik z Danzig nic nie musi.

– I wszystko może – dodał z uśmiechem, chociaż przez moment miałem wrażenie, że powiedziałem kilka słów za dużo.

Szuraliśmy podszwami wilgotne wióry, a Wolf opowiadał mi o swoich co ciekawszych przejściach z Szumskim. O tym, jak go sobie upatrzył i uprzykrzał mu życie, że odkąd zjawił się we Wronkach, to miesiąc w miesiąc na jedną dobę aspirant pakuje go do karceru.

– Kilka pierwszych razy w ciemnicy było ciężkich, ale potem przywykłem. Miałem tutaj zajęcia, o jakich ci się nie śniło. Jeśli Szumski miał służbę,

wiedziałem, że czekają mnie nocne zajęcia. Szorowanie kotłów w pralni, szorowanie kotłów w kuchni, wycieranie do sucha posadzki w łaźni, gdzie sita natrysków są nieszczelne i bezustannie kapie z nich woda – wyliczał swoje czynności. – Kiedyś po kolacji zabrał mnie na stołówkę, kazał ustawić stoły i krzesła pod ścianą, potem wylał dwa wiadra wody, kazał mi wyciągnąć sznurowadła z butów i za ich pomocą miałem wszystko zebrać do sucha. O pucowaniu poręczy i schodów na bloku to nawet nie wspominał. Innym razem zabrał mnie na folwark do chlewni i kazał przerzucić solidną furę gnoju dwa metry dalej. Kilka dni później znowu tam poszliśmy

po to, żeby gnój powrócił na swoje poprzednie miejsce. Zeszłej zimy dostałem dwa wiadra popiołu i łyżkę. Ziab wtedy był niemiłosierny, a ja za pomocą tej łyżki miałem rozrzucić popiół na oblodzonych ścieżkach i schodach. – Zamilkł na moment, a potem zapytał: – Miałeś kiedyś nocne czuwanie?

– Jakie czuwanie?

– Jest capstrzyk, światła gasną, zapada błoga cisza, wszyscy układają się do snu, a ty klęczysz na podeście przed swoją celą, jakbyś miał adorację przy grobie Pańskim. Klęczysz tak długo, dopóki aspirant nie uda się do dyżurki na spoczynek. Kolana odpadają, to fakt, ale jeśli dasz radę

to wygrałeś. Poza tym kuksańce, trzepanie celi, wylewanie bomby, zabieranie koca zimową porą, czyszczenie silosów. – Wolf nagle stanął bez ruchu, jakby się nad czymś zastanawiał i po chwili powiedział: – Dawno nie miałem do czynienia z silosami.

To, co mi teraz opowiadał, było wręcz nie do uwierzenia. Pomyślałem, że moje przeżycia są niczym w porównaniu do tych, których on doświadczył.

– Czemu on to robi? – zapytałem.

– No jak to czemu. – Na twarzy Wiliego zagościł dziwny uśmiezek. – Żeby mnie złamać. Tylko że Szumski nie wie jednego. – Spojrzał na mnie i

szepnął: – Któregoś dnia to wszystko już mi się znudzi, przestanie mi zależeć na czymkolwiek i wtedy go zabiję.

Na dźwięk tych słów zamarłem w bezruchu i przyglądałem się Wolfowi. Jak gdyby nigdy nic, dalej szurał butami po podłodze.

Przez ponad pół nocy pracowałem ramię w ramię z człowiekiem, który po śmierci dziecka zatracił się w mrocznym i bezwzględny świat. Dobro i zło, wina i kara, grzech i miłosierdzie pojmował w kategoriach, których nie potrafiłem ogarnąć swoim rozumem. Nigdy nie byłem ojcem, więc trudno mi stwierdzić, gdzie ja szukałbym ukojenia po tak potwornych przejściach.

Drugiego stycznia 1931 roku przerażająca wieść obiegła całe więzienie. W sylwestrową noc większość klawiszowskiej braci bawiła się na balu noworocznym w okazałej restauracji obok wronieckiego ratusza. Orkiestra grała skoczne kawałki, alkohol lał się strumieniami, a pieczone mięsiwa zalegały na ceramicznych półmiskach. Zabawa była huczna, a towarzystwo wesołe. O północy petardy i korki szampanów wystrzeliły w górę, kieliszki zapełniły się musującym płynem, rozbłysły sztuczne ognie, a wszyscy składali sobie serdeczne życzenia na ten nowy, nadchodzący rok. Kiedy mroźny, zimowy świt zaczął zakradać się do okien, ostatni goście



udali się do swoich domów. Kilka godzin później dwie uliczki dalej, w ciemnym zaułku znaleziono zwłoki przodownika Tadeusza Blaszańskiego. Zamarznięte, zsiniałe ciało pokryte szronem spoczywało bez ducha pośród kubłów na śmieci. Skostniały trup niczym sztywny manekin leżał oparty głową o ceglana ścianę, w ustach miał knebel, był rozebrany od pasa w dół, a jego portki leżały tuż obok. Nogi miał rozszerzone, pomiędzy udami spoczywały dwie masywne kostki brukowe z krwią zastygłą na chropowatych ściankach, którymi oprawca, czy też oprawcy zmiażdżyli mu genitalia.

Kiedy się o tym dowiedziałem,

od razu pomyślałem, że to Suchy, i przypomniałem sobie jego tajemnicze słowa, które mi szepnął do ucha w tym dniu, gdy opuszczał mury Centralnego Więzienia we Wronkach: „Kiedy o tym usłyszysz, będziesz wiedział, że to ja”.

Nie wiem, o czym między sobą rozprawiali strażnicy, nie mam pojęcia. Naczelnik Zalewski ponoć wydał im zakaz dyskusowania o tym tragicznym zajściu w obecności skazanych. Na nic jednak zdało się to rozporządzenie, skoro wśród mundurowych byli tacy, którzy mieli z Blaszkarskim na pieńku, oraz tacy jak funkcjonariusz Frantz, którzy na tym morderstwie mogli ugrać swój awans.

Miałem jednak wrażenie, że nikt nie

powiązał tego zabójstwa ze sprawą Franka Wencla. Na pewno nikt z więźniów. Większość tych, którzy mogli to pamiętać, była już dawno na wolności, ale nawet i spośród nich niewielu wiedziało o tym, że to Blacha zrobił mu krzywdę.

Byłem pewien, że to Suchy wyrównał swoje dawne rachunki. Nie widziałem innej możliwości, taki przypadek po prostu nie mógłby się zdarzyć. Jak dla mnie, nawet najbardziej zawiły rachunek prawdopodobieństwa wykluczał każdy inny scenariusz. Myślę, że byłem jedynym człowiekiem we wronieckim więzieniu, który poskładał tę całą historię do kupy i znał prawdę. Nigdy nie potrafiłem znaleźć

odpowiedzi, dlaczego niektóre mroczne tajemnice przyłgnęły do mnie? Dlaczego to właśnie ja musiałem je gromadzić w lochach mojego sumienia i nosić w sobie niczym brzemienna matka niechciane dziecko? Nigdy nie pojąłem, czemu Wszechmogący upatrzył sobie właśnie mnie na powiernika. Historię Franka Wencla, Suchego i śmierć Blachy wyrzuciłem z siebie dopiero po długich latach, kiedy byłem pewien, że nawet najbystrzejszy śledczy świata nigdy nie znajdzie dowodów na potwierdzenie moich słów. Na początku drugiej wojny światowej zbłąkany pocisk artyleryjski uderzył w dach budynku administracyjnego i całe zgromadzone tam archiwum poszło z dymem. Akta w

szarych teczkach spłonęły, a ogień strawił pamięć o setkach więźniów i ich grzechach. Potem minęło ponad dwadzieścia lat i dopiero kiedy nić mojego życia splotła się z losami skazańca, którego nazywaliśmy Johnny Alcatraz, pozbyłem się swego ciężaru.

Johnny Alcatraz, o tak, na pewno wam o nim opowiem. Sam siebie nazywał szalonym rockandrollowcem...

Przez kilka kolejnych dni plotkom i mitom nie było końca. Ponoć jeden z pospolitych z bloku C miał powiedzieć do strażnika, który mu założył za skórę:

– Uważaj, żebyś w przyszłości nie podzielił losu Blaszańskiego!

Nie sądzę, żeby którykolwiek

ze skazańców zdobył się na tak odważne oświadczenie, bo taka deklaracja mogłaby drogo kosztować autora tych słów. Nawet utratę życia.

Z tego, co wiem, sprawa zabójstwa przodownika służby więziennej Tadeusza Blasarskiego nigdy nie znalazła swojego rozwiązania. Za to pod koniec lutego wszyscy osadzeni na bloku B zobaczyli jak Rudolf Frantz dumnie obnosi się z nowymi insygniami na swoim mundurze. Tak jak przypuszczałem dostał awans. Nie wiem, czy zasłużony, ale na pewno poparty dobrą opinią, jaką mu wystawił aspirant Szumski.

Pamiętam, jak tego dnia podczas kolacji powiedziałem do Wolfa,

złorzeczając:

– No to teraz się zacznij. Frantzowi sodówka uderzy do łba i razem z Szumskim dadzą nam popalić!

Chyba wypowiedziałem swoje słowa w złą godzinę, bo miałem cholerną rację.

Rzadko kiedy były sytuacje, aby na którymkolwiek z bloków działo się coś niepokojącego przed wieczornym posiłkiem. Strażnicy przekazywali sobie służbę każdego dnia o godzinie dwudziestej i kiedy nowa obsada na dobre obejmowała pieczę, niektórzy z nich szukali wtedy rozrywki.

W dzień po swoim awansie przodownik Rudolf Frantz miał

pierwszą służbę z nowymi pagonami i wraz z Szumskim chyba postanowili uczcić ten fakt w dość nietypowy sposób. Spałem już w najlepsze, kiedy obudziło mnie walenie w drzwi.

– Co jest, Żabikowski? Obudziliśmy cię? – zapytał Frantz, stojąc na wprost mnie. Poczulem z jego ust odór alkoholu.

Szumski, który miał na sobie cywilne ubranie, wsparł się o futrynę drzwi i z drwiącym uśmiechem spoglądał w moim kierunku.

– Jedno im w głowie – powiedział – spać, żreć i przerabiać jedzenie na gówno. A paciorek już zmówiłeś? – zapytał, po czym lekko chwiejnym krokiem podszedł do szafki wiszącej nad stołem. – Zobaczmy. – Otworzył



drewniane drzwiczki i zajrzał do środka.

– Wiedziałem – odezwał się rozbawionym głosem – wiedziałem, że u Żabikowskiego dostaniemy coś do palenia. – Sięgnął dłonią po jedyną paczkę papierosów, która spoczywała na dolnej półce. – No to co, po całym? – zapytał.

– Siadaj! – Frantz klepnął mnie w ramię i wskazał kciukiem na pryczę.

Obaj byli nieco podchmieleni.

Aspirant spoczął na taborecie, otworzył skrzynkę egipskich i skierował do mnie swoje pytanie:

– No dobra, Żabikowski, powiedz mi, czy słyszałeś już o objawieniu niejakiej Faustyny Kowalskiej?

– Nie miałem okazji, panie aspirancie

– odparłem.

– Nie miałem okazji, panie aspirancie  
– powtórzył drwiącym tonem, modelując  
głos, jakby naśladował wypowiedź  
upośledzonego człowieka i trzepnął  
Frantza w udo. – Słyszałeś to? – Obaj  
zanieśli się śmiechem.

– No to ci powiem. Otóż pewna  
siostrzyczka z domu zakonnego w Płocku  
twierdzi, że widziała Chrystusa.  
Wszystkie gazety w kraju rozpisują się o  
tym zdarzeniu, a ty nic nie słyszałeś?!  
Każdej niedzieli biegasz do biblioteki  
jak ze sraczką i nic o tym nie wiesz...  
dziwne. – Spojrzał niewyraźnym  
wzrokiem. – Masz, pal! – Wystawił w  
moim kierunku rozdartą paczkę  
papierosów. – A wiesz, jaka jest różnica

pomiędzy zakonem a więzieniem? – Przyglądał mi się spode łba. – Nie ma żadnej, Żabikowski, tam też są cele. – Znowu obaj parsknęli śmiechem. – No i tak zastanawialiśmy się z panem przodownikiem – wskazał ręką na Frantza – czy aby przypadkiem wśród was nie ma kogoś nawiedzonego, kogoś szczególnego, jakiegoś wybrańca. Dlatego postanowiliśmy dzisiejszej nocy dać szansę wszystkim śmieciom z bloku B i przekonamy się, czy Bóg kocha któregoś z was. Wyłaź przed celę – warknął.

Podniosłem się z pryczy i tak jak stałem, tylko w podkoszulku na ramiączkach i lichych szortach, wykonałem polecenie. Stałem przed

barierką i dostrzegłem, że wielu skazańców klęczy przed celami z twarzą zwróconą do drzwi.

Aspirant objął mnie swoim ramieniem i syknął mi do ucha:

– Widzisz, jaką masz zachować pozycję? A może mam wytłumaczyć?

– Widzę, panie aspirancie – odparłem i klęknąłem.

Zegar na wieży kościelnej uderzył trzykrotnie, a ja zastanawiałem się, którą godzinę ogłosi za kwadrans.

Szumski i Frantz wyciągnęli z celi każdego więźnia, a sami wrócili na sterownię i usadowili się tak, żeby mieć wszystkich na oku.

Kiedy skazańcy z bloku B klęczeli przed swoimi celami, mechanizm zegara

dokonał obrotu bębnow i kowadełko uderzyło w dzwon dwanaście razy.

Wystarczyło raptem kilkanaście minut, żeby lutowy ziąb niczym duch bezszelestnie sunący przez więzienne kondygnacje przeniknął przez nasze ciała. Chłód jest zdradliwy. Najpierw delikatnie głaszcze, a potem przytula się niczym słodka kochanka. A gdy zagości już na dobre, zaczyna kąsać i nie zna litości. Wbija zęby w twoje ciało, zaczyna szczypać i parzyć, i cieszy się, kiedy z każdym oddechem uwalniasz kłęby ciepłej pary, jakbyś oddawał mu to, co masz najcenniejszego. Czas zwalnia swój bieg, a ty czujesz, jak na twoich kościach osiada szron. Skostniałe palce dłoni i stóp zaczynają

tracić czucie, ogarnia cię lodowy dreszcz i nawet najcieplejsze myśli nie są w stanie przepędzić tych doznań. Wciąż klęczysz, a kolana puchną i masz wrażenie, że od pasa w dół twoje ciało zamienia się w skałę. Czy można wtedy doznać boskiego objawienia? A może myśli krążą, zadając bezustannie jedno okrutne pytanie: Co zrobić człowiekowi, który mnie do tego zmusił? Jak się zemścić, żeby sprawiedliwości stało się zadość? Przez głowę przemykają ci różne pomysły, szarpiesz się z emocjami, a gniew przeplata się z lękiem.

Tej nocy, zanim padła komenda: „Do cel!”, klęczeliśmy przez trzy pełne godziny.

Z trudem dowlokłem się do pryczy, stawiając kroki na obolałych nogach. Wsunąłem się pod koc, naciągnąłem go na głowę i starałem się własnymi oddechami i pocieraniem dłońmi, rozgrzać zmarznięte, zmęczone ciało. Na zdrętwiałych kolanach czułem opuchnięte balony. Po pewnym czasie przestałem szczekać zębami i czym prędzej włożyłem na siebie wszystkie ubrania, jakie tylko miałem. Szary uniform, onuce, buty, kufajkę, czapkę naciągnąłem na czoło i uszy, opatuliłem się kocem, przytuliłem głowę do poduszki i zapadłem w lekki sen.

Muszę przyznać Szumskiemu rację, że byłem jednym z nielicznych więźniów,

którzy wertowali zasoby naszej biblioteki. Oczywiście gazety niosły ze sobą wiadomości z kraju i ze świata, artykuły prasowe krzyczały różnymi nagłówkami, ale pisma zalegające w więziennej bibliotece cieszyły się poparciem obecnej władzy i kreowały jej medialny wizerunek. Moim zdaniem te gazety nie były wiarygodnym źródłem informacji. Pod koniec marca ukazał się obszerny artykuł, prawie na całą stronę, że marszałek Piłsudski powrócił ze swojego trzymiesięcznego wypoczynku na Maderze. Pięknie się ma nasz wódz naczelny – przemknęło mi przez myśl, chociaż nie miałem pojęcia, gdzie znajdowało się to miejsce o tak ciekawej nazwie. Dopiero Wili



mnie uświadomił, że to wyspa otoczona wodami Oceanu Atlantyckiego i należy do Portugalii. A co to miało wspólnego z gazetami zalegającymi we wronieckiej bibliotece? Ano wiele! Wyobraźcie sobie, że jakieś dwa tygodnie później rząd portugalski ogłosił tam stan wojenny ze względu na próbę militarnego przewrotu. Ciekawe, prawda? Czy ci, którzy chcieli tego dokonać, zostali przez kogoś zainspirowani? A może pouczeni, poinstruowani i przeszkoleni? Może tamtejsi wojskowi poznali cenne tajniki, jak przeprowadzić taką operację? Informacja prasowa o próbie puczu znalazła się na piątej stronie w dolnym rogu i została skreślona raptem w dwóch

zdaniach.

Polityka.

Świat może się zmieniać, gospodarka ewoluować, a polityka zawsze będzie polityką.

Wszędzie. Tam, gdzie są dwie grupy, zawsze toczy się walka o dominację i władzę. A jak wiadomo władza potrafi zdeprawować nawet najbardziej szlachetnego człowieka i zniszczyć każdego, kto będzie się jej sprzeciwiał. To wszystko, co działo się gdzieś daleko stąd i rozgrywało się w rządowych gabinetach czy wojskowych sztabach, miało swoje przełożenie w takich obiektach jak więzienia. Tu też były dwie grupy. Większość, czyli osadzeni, pozostawała w opozycji

do sprawujących władzę, a ci, którzy tutaj rządzili w świetle prawa, potrafili je umiejętnie naginać do swoich własnych potrzeb.

Tacy ludzie jak Szumski i Frantz byli opętani przez zew władzy. Natomiast tacy jak ja, Wolf i rzesza innych noszących szare uniformy z numerem na piersi pokornie ugięła się pod jej pręgierzem.

W kwietniową niedzielę siedzieliśmy z Wolfem na stopniach placu apelowego, kiedy nagle zauważyłem, że w naszym kierunku prężnym krokiem zmierza Siostrzyczka.

– Siemacie! – rzucił z uśmiechem na ustach.

– Siemamy dobrze, a ty? – zapytałem przekornie.

– No ja chyba lepiej od was. – Usiadł obok mnie. – Przyszedłem się pożegnać, bo jutro wychodzę – zakomunikował bez żadnych zbędnych ozdobników.

– Jutro? – zdziwiłem się. – Gratuluję i niech ci się wiedzie po drugiej stronie tych parszywych murów. – Ze szczerą radością uściśnąłem mu dłoń.

Zerknąłem na Wilego, który delikatnie uśmiechał się półgębkiem.

– A tak właściwie, to mam sprawę do ciebie – powiedział do Wolfa. Ten spojrział na niego pytającym wzrokiem. – Od jakiegoś czasu nasz doktor rozgląda się za kimś, kto mógłby po mnie objąć etat sanitariusza w lazarecie. Kilka razy

padło również twoje nazwisko. Ktoś przyniósł twoje akta, a tam stoi, że ponoć byłeś chirurgiem. To prawda?

– Kiedyś byłem – odparł Rzeźnik z Danzig.

– No to chyba masz poważną szansę na ciekawą posadkę. Jeśli chcesz, to mógłbym jutro pogadać z doktorem...  
– specjalnie zakończył zdanie z lekkim niedomówieniem.

– Dlaczego chcesz to zrobić? – zwrócił się do niego Wolf, a ja zrobiłem chyba najbardziej zaskoczoną minę świata, słysząc tak idiotyczne pytanie.

– Chyba dlatego, że kumple moich kumpli – kiwnął na mnie głową – są moimi kumplami.

– Nie sądzę. Nie jesteśmy kumplami,

nawet nie wiem, jak masz na imię – skwitował Wili.

– Szczepan. Szczepan Raszko – przedstawił się Siostrzyczka.

Wolf uścisnął mu dłoń i powiedział:

– Dziękuję za propozycję, Szczepanie Raszko, ale obawiam się, że moja kandydatura na tak znamienite stanowisko nie ma żadnych szans.

– Dlaczego? – wpadłem im w rozmowę. – Masz wiedzę, praktykę, doświadczenie. Moim zdaniem nadajesz się idealnie do tej fuchy.

– Panowie, wy chyba czegoś nie rozumiecie. Obaj wiecie, za co zostałem skazany i jaką ciągnę za sobą legendę. Tu, na tym spacerniaku – wskazał dłonią przed siebie – są tacy więźniowie,

którzy drżą na myśl o spotkaniu ze mną. Gdybym dostał posadę w lazarecie, to mało kto chciałby skorzystać z medycznej pomocy.

– No i dzięki temu mielibyśmy mniej symulantów – zażartowałem.

– Coś wam powiem – Wolf cedził każde słowo – gdybym dostał się do lazaretu, to dla wielu ludzi wizyta w izbie chorych byłaby ostatnią. Chyba nie chcesz mieć na sumieniu innych, co? – zwrócił się do Siostrzyczki.

Ten spojrział na niego spode łba i rzekł:

– Wiesz co, chciałem na koniec zrobić coś dobrego...

– Doceniam – Wili wpadł mu w zdanie – nie chowaj urazy, Szczepanie

Raszko, tylko weź to za wyraz mojej szczerości.

Siostrzyczka podniósł się z miejsca, spojrzał po naszych twarzach, kiwnął głową tak, jakby niczego nie pojmował, i na odchodne powiedział:

– Mieście się dobrze.

Przez chwilę spoglądałem na jego plecy, po czym obróciłem twarz w stronę Wolfa i zapytałem z wyrzutem:

– Co z tobą?!

– Nic nie rozumiesz – westchnął. – Gdybym dzisiaj wyszedł za te mury, gdybym został zwolniony z odbywania kary, to wiesz czym bym się zajął?

– Nie mam pojęcia. – Byłem totalnie zniesmaczony jego postawą.

– Robiłbym to samo, za co mnie



skazano. W środku mnie nie ma już człowieka, on umarł wraz z moim synkiem. Tu, w środku – położył dłoń na swojej piersi – mieszka już tylko bestia.

Siostrzyczka zostawił za sobą wronieckie mury, a tego samego dnia na wieczornym posiłku pojawił się świeżak. Miał drobną budowę ciała, trochę się garbił, a sińce na obitej twarzy uniemożliwiały określenie jego wieku. Spojrzałem na niego i przyszła mi do głowy myśl, że więzienie nie lubi pustki. Ktoś kończy swój wyrok, opuszcza celę, zamienia szary uniform na cywilne ciuchy, łapie za mosiężną klamkę przypominającą wygięty w półkole dębowy liść i przekracza bramę

do wolności. Wychodzi. Na jego miejsce pojawia się inny pokutnik, który wypełnia sobą i swoimi grzechami przestrzeń tego ponurego świata.

Ten świeżak miał coś w sobie, co sprawiało, że za każdym razem, kiedy go widziałem, przykuwał mój wzrok. Nie, nie było we mnie poczucia miłosiernej misji czy chęci niesienia pomocy. Po prostu byłem ciekaw, jak się tutaj odnajdzie.

Wystarczyło kilka dni, a stało się tak, jak przypuszczałem. Jeśli jesteś przerażony, samotny i zagubiony, stajesz się łatwą zwierzyną dla wilków. Świeżaka upodobał sobie sznurowiec, który od dawna drażnił Wolfa. Zabójca dwóch nieletnich chłopców był

nazywany przez swoich kamratów Długaśny, co muszę przyznać, miało swoje potwierdzenie w jego fizjonomii. Kiedy razem z innymi stoisz nago pod prysznicem i widzisz każdego takim, jakim go Pan Bóg stworzył, to sprawa staje się jasna. Przyrodzenie tego faceta dyndało mu pomiędzy udami jak wąż i w jego wypadku ksywka Długaśny była jak najbardziej uzasadniona. Obracał się wśród ludzi, którzy dźwigali na barkach brzemię ciężkich wyroków, a on sam również wydawał się groźny i niebezpieczny. To szemrane towarzystwo nie miało nic wspólnego z klubem dyskusyjnym. Aspirant Szumski określił ich kiedyś „bandą zasranych popaprańców” i chociaż, jak wiecie,

żywiłem do niego wszystko, co najgorsze, to muszę przyznać, że trafnie ich określił.

Długaśny osaczył świeżaka i zrobił sobie z niego osobistego kamerdynera. Był jednak na tyle cwany, że nie działał w sposób, który mógłby mu napytać biedy u klawiszy. To, że ktoś sprzątał po kimś talerze po posiłku, że oddawał mu swoją kawę albo porcję jedzenia, albo podawał ręcznik po kąpieli, nie godziło w przepisy regulaminu. Kto mógł mieć pretensje o to, że jeden więzień służy drugiemu ogniem lub częstuje go fajkami? A jeśli ktoś wyprał innemu onuce albo szorty, co w tym złego? Czasami trzeba sobie pomagać. Jednak człowiek rozochocony dominacją

nad kimś słabszym i usłużnym w pewnym momencie przekracza niewidzialną granicę. Żądania stają się coraz większe i większe, zaczynają się głupawe żarty i zabawy cudzym kosztem. Oprawca zaczyna traktować ofiarę jak swoją własność i dla uciechy wymyśla bzdurne zadania. Wymusza na takim osobniku, aby zrobił jakąś rzecz i tym samym udowodnił swoją lojalność, chociaż trafniejszym określeniem jest „poddaństwo”. Ktoś nękanym ma dwie możliwości: albo uczyni to, czego żąda prześladowca, albo się mu postawi. Problem w tym, że ta druga opcja zawsze bywa bardzo bolesna.

Niedzielne, majowe słońce wspinało

się po błękitnym niebie, a w powietrzu unosił się zapach prawdziwej wiosny. Siedzieliśmy z Wilim w tym samym miejscu co zawsze, obserwując życie na spacerunku.

– Kumpłowałaś się kiedyś z niejakim Ojczulkiem – powiedział Wolf ni z tego, ni z owego. – Wiesz, co się z nim teraz dzieje?

– Czemu o to pytasz? – byłem zaskoczony.

Mój rozmówca wzruszył ramionami i rzekł:

– No bo tak patrzę na tego gościa na ławce – kiwnął głową, wskazując mi kierunek – i nie wiem dlaczego, ale skojarzył mi się z tamtym staruszkim.

– Wiesz, że Ojczulek był księdzem? –

posłałem mu pytanie, ale moje słowa zabrzmiały, jakbym chciał mu zdradzić coś ciekawego.

– Tak, słyszałem o tym. Ksiądz w więzieniu i na dodatek w roli skazańca, to dopiero zadziwiająca historia. – Uśmiechnął się. – Za co siedział?

– Za morderstwo – odparłem i sięgnąłem do kieszeni bluzy po mosiężną papierośnicę.

– Żyje jeszcze? – drążył temat Wolf.

– Nie mam pojęcia. Nasz kontakt się urwał. – Nagle przyszła mi ochota na to, żeby opowiedzieć mu co nieco o sobie i Ojczulku. – Wiesz, ten stary klecha nauczył mnie czytać i pisać... – zacząłem snuć swoją opowieść o tym, jak do tego doszło.

To było miłe uczucie, kiedy sięgnąłem do tych wspomnień, które tak wiele dla mnie znaczyły i stanowiły w pewnym sensie świadectwo mojego życia. Więziennego życia. Wili był dobrym słuchaczem, czasami tylko przerwał, dopytał o jakieś szczegóły, a ja miałem wrażenie, że to, co mówię, naprawdę go interesuje.

Wtem jak spod ziemi wyrósł przed nami świeżak.

– Ty jesteś Wolf? – zapytał mojego kompana.

Ten spojrział na niego nieco zaskoczonym wzrokiem i kiwając głową, potwierdził.

– Mam dla ciebie wiadomość od twojego syna – powiedział młodzik



niecو drżącym głosem.

– Co powiedziałaś?! – Wili poderwał się na równe nogi, stanął tuż przed nim, prawą ręką złapał go za kark i przyciągnął jego twarz ku swojej.

– Mam ci tylko przekazać, że niebawem spotkasz się ze swoim synem – wyrzucił z siebie bardzo szybko niedorzeczną wiadomość.

Odniosłem wrażenie, że ciało Wolfa puchnie i staje się nieco większe, że jego barki rosną i prężą się pod szarą, więzienną bluzą.

– Wili, daj spokój. – Klepnałem go w łydkę. – On nie ma z tym nic wspólnego. – Podniosłem się z miejsca i stanąłem tuż obok nich. – Wili, spójrz na niego, przecież to tylko zaszczuty dzieciak. –

Na twarzy świeżaka malowało się przerażenie.

Wolf przez moment przyglądał się mu badawczym wzrokiem i po chwili nieco zwolnił uścisk.

– Kto ci to kazał powiedzieć? – syknął młodemu prosto w twarz.

– Człowiek, na którego wołają Długaśny – padła odpowiedź.

Rzeźnik z Danzig zdjął dłoń z jego karku i klepnął go w ramię.

– Siadaj – powiedział nieco rozkazującym tonem.

Przestraszony młodzian posłusznie wykonał polecenie, a my usadowiliśmy się po jego bokach.

Wolf spoglądał na ekipę skazańców, która opanowała ostatnią ławkę w

lewym rogu spacerniaka. Wśród nich był również prześladowca świeżaka.

– Coś ty za jeden? – zapytałem.

– Nazywam się Wacław Kurski i trafiłem tutaj niecałe dwa tygodnie temu...

– Wiem kiedy się zjawileś w więzieniu – wpadłem mu w zdanie. – Świeży jesteś, a sińce pod oczami zaczynają się dopiero goić. – Zamilkłem na moment. – Za co tu jesteś? – zapytałem po chwili.

Młodzian spuścił wzrok.

– Zabiłem mojego ojczyma – zaczął trajkotać, jakby miał trzydzieści sekund na wytłumaczenie się ze swojego czynu – ale ja tego nie chciałem, to był wypadek. Ja się tylko broniłem, to był

bardzo zły człowiek, gdybym się nie postawił, pewnie ukatrupiłby moją matkę, siostrę i mnie. Ja tego nie chciałem. – Chyba puściły mu nerwy, bo jego głos zaczął się łamać. – To był nieszczęśliwy wypadek. Ja go tylko pchnąłem, a on spadł z tych schodów i skręcił sobie kark. Ja tego nie zrobiłem specjalnie. Ja nie chciałem... – prawie szlochał.

– Przestań się mazać – skarcił go Wili. – Co się stało, to się nie odstanie. Jaki dostałeś wyrok?

– Osiem lat. – Pociągnął nosem. – To był nieszczęśliwy wypadek, nawet sędzia tak powiedział. Przysięgam! – starał się przekonać nas o swojej niewinności.

– Szybko zleci – powiedział Wili, a ja miałem wrażenie, że ton jego głosu zabrzmiał pocieszająco. – Powiadasz, że Długaśny kazał ci przekazać wiadomość? – zmienił nagle temat i zadał pytanie, jakby po raz wtóry szukał pewności i potwierdzenia.

– Tak. Powiedział, że jeśli tego nie zrobię, to się ze mną odpowiednio porachuje.

– Taki z niego chojrak – szepnął do siebie Wili. – No dobrze, niech będzie. – Wstał z miejsca i zaczerpnął do płuc solidny haust powietrza. – Skoro chce się rachować, to się porachujemy. – Zgiął ostro szyję najpierw w prawo, potem w lewo i nie unosząc rąk, zakręcił dwa razy barkami.

– Wolf, odpuść, nie warto – syknąłem, ale on już tego nie usłyszał. Pochylił głowę niczym byk szykujący się do ataku, zacisnął pięści i ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie. W tym samym momencie zegar na wieży kościelnej wybił kwadrans na dwunastą, a wszyscy, którzy wybierali się na mszę, zaczęli nieporadnie ustawiać się w czwórkową kolumnę. Coś mnie tknęło i łypnąłem wzrokiem w kierunku znajomych okien. W jednym z nich dostrzegłem postać aspiranta Szumskiego. Palił papierosa i spoglądał na plac pełen skazańców. Będą kłopoty! – krzyknęła złowieszcza myśl. Rzeźnik z Danzig niczym żywy taran sunął przed siebie, a niektórzy z więźniów na jego

widok ustępowali mu z drogi. W pewnym momencie Wolf trącił barkiem jakiegoś skazańca, bo w takim tłumie łatwo było wpaść na drugiego człowieka. Mężczyzna coś krzyknął. Wili przystanął i obrócił twarz w jego kierunku. Kiedy tamten spostrzegł na kogo podnosi głos, natychmiast uniósł dłonie w górę na znak przeprosin i odwrócił wzrok. Przy ostatniej ławce w lewym rogu spacerniaka nastąpiło lekkie poruszenie. Jeden z cwaniaków ruszył naprzeciw Wolfa. Dwie rosłe postacie zbliżały się do siebie. Z tego miejsca, gdzie siedziałem razem ze świeżakiem, trudno mi było określić dystans, jaki ich dzielił, jednak w pewnym momencie Wolf, stawiając krok w prawo,

przechylił się nieco w tę samą stronę i wyprowadził błyskawiczny cios. Dłoń zaciśnięta w pięść z niebywałą szybkością i potworną siłą zderzyła się z żuchwą przeciwnika. Jednocześnie sylwetka Wolfa od bioder w górę przeniosła swój ciężar na lewą stronę. Stopy jego przeciwnika oderwały się od ziemi i sekundę później trafiony w szczękę padł na ziemię. Zaatakowany mężczyzna wylądował na plecach, ale zaraz zaczął się nieporadnie podnosić. Kiedy wstał, chwiał się na nogach, jakby był pijany. Wili postawił kolejny krok i zupełnie nie tracąc tempa, kroczył przed siebie. I wtedy stało się coś niebywałego. Spodziewałem się wszystkiego, nawet najbardziej



absurdalnej rzeczy, jaka mogła się wydarzyć, ale nie sądziłem, że Długaśny po prostu rzuci się do ucieczki. Sznurowiec poderwał się z ławki, pchnął jednego ze swoich kompanów, który akurat stał mu na drodze, i pognął w stronę wyjścia ze spacerniaka. Wolf nie puścił się za nim biegiem. Kiedy zobaczył, jaki tamten wykonał manewr, po prostu skręcił w lewo i tym samym zdecydowanym, marszowym krokiem co dotychczas podążył tropem uciekiniera.

Mężczyzna zatrzymał się tuż przy wyjściu i wdał się w dyskusję ze strażnikiem. Obiema dłońmi uczeplił się stalowych oczek drucianej siatki i tłumaczył coś klawiszowi, co chwila

kiwając głową w kierunku zbliżającego się Wolfa. Nagle postać Wiliego zniknęła mi w tłumie skazańców zbierających się do wyjścia na mszę. Dozorca otworzył bramkę, zrobił krok do przodu, złapał Długaśnego za kołnierz więziennej bluzy i wyciągnął go poza ogrodzenie. Podniosłem wzrok w górę, w kierunku okien na najwyższej kondygnacji i nie dostrzegłem w nich sylwetki aspiranta. Wolf dotarł do bramki wyjściowej, stanął w rozkroku i z dłońmi w kieszeniach spoglądał na Długaśnego, który czał się za plecami dozorca po drugiej stronie ogrodzenia. Widziałem, jak poruszają się usta funkcjonariusza, który najwyraźniej mówił do Wiliego. Wtem

zza rogu budynku wyłonił się aspirant Szumski i czterech dozorców.

Padło kilka komend, a chwilę później Wolf i Długaśny z rękoma skutymi na plecach, zmuszeni do pochylonej pozycji odmaszerowali wraz z klawiszami.

Świeżak, który wraz ze mną obserwował całe zajście, zapytał lekko przerażonym głosem:

– I co teraz z nimi będzie?

– Nie wiem – odparłem. – Raczej nic szczególnego, Szumski z nimi pogada, pewnie oberwą parę klapsów albo trafią na nockę do karceru.

– A ja? Będę miał kłopoty?

Spojrzałem na jego młodą twarz i dostrzegłem tam strach i niepewność.

Ten młody człowiek wydał mi się taki bezradny, przerażony i zdruzgotany. I nagle przypomniałem sobie, kiedy to ja, więzień 29-11 zjawiłem się w murach tego więzienia.

– Ile masz lat? – zapytałem.

– Dziewiętnaście.

– Przed tobą osiem długich lat i jak je tutaj przeżyjesz zależy tylko od ciebie. Musisz być roztropny, nie możesz sobie pozwolić na to, żeby ktoś cię dręczył i tobą pomiatał. Jak chcesz, to możesz na stołówce dołączyć do mnie i do Wolfa. Nie będziemy ci zjadać twoich racji żywnościowych tak jak tamci, wiesz, o czym mówię – a zaraz potem dodałem: – ale musisz wiedzieć, że my jesteśmy bezterminowcami...

– Kim? – wpadł mi w zdanie.

– Ciężą na nas wyroki dożywocia. – Na dźwięk moich słów jego oczy stały się nieco większe i chyba w mig pojął, że dopuściliśmy się czegoś okropnego. – Stołówka, spacerniak i łaźnia będą dla ciebie w miarę bezpieczne, nikt ci nie zrobi krzywdy. Musisz jednak wiedzieć, że pokazywanie się w naszym towarzystwie nie zawsze jest mile widziane, a już szczególnie w oczach strażników. Gdzie dostałeś przydział? Na łodygownię? – spytałem, chociaż byłem tego pewien.

– Tak – potwierdził moje przypuszczenia.

– Wszyscy zaczynają na łodygowni – chyba chciałem go pocieszyć. – A jaki

masz fach w rękach?

– Szkoliłem się na rusznikarza.

– Na rusznikarza?! – zaskoczył mnie.

– Ciekawy zawód – pokiwałem głową – ale w tym miejscu raczej nie podniesiesz swoich umiejętności. Może jak pewnego dnia dopisze ci szczęście, to trafisz do warsztatu, gdzie robią w metalu – wyrokowałem. – W każdym razie tam, gdzie pracujesz teraz, będziesz zdany sam na siebie. Rozumiesz? Nikt ci tutaj nie pomoże, nikt nie będzie się dla ciebie narażał i nikt bezinteresownie nie roztoczy nad tobą ochrony. Radzę ci również nie wchodzić w układy z klawiszami. Oczywiście zrobisz, jak zechcesz. – Sięgnąłem po fajkę. – Palisz? – zapytałem.

– Nie, nie palę. – Pokiwał przecząco głową.

Siedziałem obok niego i czułem, jak budzą się we mnie przedziwne uczucia. Jakbym zaczynał rozumieć, że jestem jedynym człowiekiem na ziemi, który może mu pomóc, a może nawet i ochronić w tym brutalnym miejscu. Ten jego wzrok pełen smutku i beznadziei, ta mizerna sylwetka i te jego zaciśnięte palce splecione jak do modlitwy. Wszystko, każdy szczegół, który widziałem, był jak krzyk rozpacz. No kto? Kto, jeśli nie ja?! Różnica wieku pomiędzy nami nie była aż tak duża, że mógłbym się poczuwać do ojcowskiej opieki. Mogłem jednak być starszym bratem, który nie pozwoli

nikomu skrzywdzić tego młodszego.

Oparłem się łokciami o kamienny podest i przez dłuższą chwilę przyglądałem się temu dzieciakowi.

Szumski bardzo szybko załatwił sprawę z Wolfem i Długaśnym i obaj zostali odeskortowani na spaceriak, nim skończyła się msza. Oberwało się nieco jednemu i drugiemu, klawisze pogłaskali ich pałami po plecach, a aspirant udzielił im ostrzeżenia, że jeśli dojdzie do jakiegoś incydentu sprzecznego z regulaminem, wtedy obaj zesrają się z bólu.

– Zaproponowałem młodemu – powiedziałem do Wiliego i kiwnąłem głową na świeżaka, który siedział obok



mnie – żeby dołączył do nas na stołówce.

Wolf tylko przytaknął, dając tym samym wyraz swojej aprobaty.

Kiedy podczas obiadu we trójkę siedzieliśmy przy jednym stole, wszyscy skazańcy dostali wyraźny sygnał, że Ropuch i Rzeźnik z Danzig mają teraz nowego kumpla. Nie zwracaliśmy się do niego po imieniu, mówiliśmy po prostu Młody i taką ksywką został przez nas ochrzczony. Z naszych ust nie padły żadne wzniosłe deklaracje i obietnice, nie powiedzieliśmy Młodemu: „teraz będziesz bezpieczny”, jednak miałem wrażenie, że Wolf podziela moje myśli. Czasami tak bywa,

że ludzie rozumieją się bez słów.

Już podczas tego pierwszego posiłku zauważyłem ulgę na twarzy naszego nowego kompana, jakbyśmy zdjęli z jego pleców jakiś niewidzialny ciężar. Aż miło było patrzeć, jak ze smakiem zjada tę parszywą pakę jarzyn i ziemniaków.

– Głodowałeś? – zapytał Wolf, widząc, jak szufluje łyżką swoją porcję.

– Trochę – odparł z pełnymi ustami. – Długaśny zabierał mi codziennie połowę moich racji.

W tym samym momencie spojrzałem na sznurowca, który siedział dwa stoliki dalej i wściekłym wzrokiem wpatrywał się w naszą trójkę.

Kończyliśmy posiłek, kiedy nagle przy naszym stole pojawił się Szumski.

– A cóż to, robicie teraz za siostry miłosierdzia? – zapytał i omiół surowym wzrokiem po naszych twarzach. – Widzę, że narodziła się nam święta trójca – mówił powoli i z pogardą w głosie. – Dobrze, bardzo dobrze, trzy pary rąk działają więcej niż dwie. Niebawem będziesz miał okazję podziękować swoim współbiesiadnikom. – Wlepił ślepią w Młodego, westchnął i dokończył: – Za wszystko, czego dzięki nim doświadczysz.

Począwszy od tej pamiętnej niedzieli, menda-szujawesz Teodor Szumski, wielki pan funkcjonariusz, zasraniecaspirant służby więziennej z uporem

człeka opętanego wrodzoną nienawiścią zaczął zamieniać nasze życie w upierdliwe pasmo kretyńskich prac porządkowych. Szczególnie upodobał sobie jedyny dzień wolny od pracy, bezpardonowo łamiąc trzecie boskie przykazanie. W sumie to chyba należało go nawet podziwiać, bo facet miał w sobie bezkresny ocean samozaparčia i złośliwej charyzmy. Pomijam dni, kiedy pełnił swoje obowiązki wynikające z grafiku służby. Wyobraźcie sobie, jak wiele musiał mieć w sobie jadu i złośliwości, skoro pojawiał się nawet wtedy, kiedy miał wolne! Żywiłem nadzieję, że po miesiącu mu przejdzie i zrobi sobie odbój. Niestety matka głupców zadrwiła ze mnie w najlepsze.

– To się nigdy nie skończy – rzekłem pewnego razu ze zrezygnowaniem, kiedy Wszawy Mendziarz, bo tak nazywaliśmy go między sobą, zagonił nas ponownie do czyszczenia silosu, co stało się już niepisaną tradycją.

To była najgorsza robota, jaką można sobie wyobrazić. Dostawaliśmy jedną szufłę i trzy puste beczki. Praca polegała na tym, że jeden z naszej trójki wskakiwał do wnętrza stalowego sarkofagu i wybierał resztkę odchodów, która nie była w stanie spłynąć przez żeliwną rurę w ścianie. Zawór spustowy był zamknięty, więc pozostałości należało wrzucić do beczek i wytargać je na zewnątrz. Następnego dnia przyjeżdżał zaprzyjaźniony z Szumskim

rolnik z pobliskiej wioski i zabierał trzy pojemniki pełne łajna. Pracowaliśmy sprawiedliwie, każdy z nas wybierał jedną bekę i zmiana. Smród w silosie był tak potworny, że rozsadzał nozdrza i wywracał żołądek na lewą stronę. Kiedy byliśmy w środku, rzygaliśmy jak koty. Ohyda!

Po skończonej pracy zjawiał się aspirant Wszawy Mendziarz Szumski i zawsze mówił tę samą kwestię:

– Tak, moje drogie gównojady, dzięki wam nasz blok ma wzorcowy silos!

Najwyraźniej gnojenie innych sprawiało mu radość. Miał jakąś misję, jakiś cholerny, święty cel, który mu przyświecał.

Jedno było pocieszające, że ja, Wolf i

Młody plus pomysły Szumskiego stanowiliśmy kombinację siły i idei, które razem sprawiały, że blok B po prostu lśnił czystością. Oczywiście aspirant dbał również o naszą duchowość i jak tylko miał możliwość, załatwiał nam nocne czuwania.

Miałem wrażenie, że młodzian bardzo szybko odzyskał w naszym towarzystwie swoją chłopięcą pogodę ducha. Był cholernie gadatliwy. Opowiadał nam o swojej matce i młodszej o kilka lat siostrze. Wspominał nie tylko te chwile, które były dla niego ważne, ale także i te, które pchnęły go w ramiona ostateczności. Jego ojczym rzeczywiście musiał być podłym człowiekiem,

któremu wódka wypaliła rozum. Dzieciak sporo się nacierpiał i doznał wielu krzywd. Sporo również dowiedzieliśmy się o tajnikach rusznikarstwa i muszę przyznać, że to był naprawdę ciekawy zawód.

Jednego razu Wolf zadał mu zaskakujące pytanie:

– Masz świadomość tego, że owoce takiej pracy prowadzą do czyjejś śmierci?

– Od pierwszego dnia, kiedy jako czeladnik zacząłem naukę zawodu, nasz mistrz fechtunku wyjaśniał nam, że umiejętnościom, które pozyskujemy, jest bliżej do wielowiekowej sztuki i tradycji niż do zbrodni. Raz zadał nam pytanie, które ja zadam tobie. –



Odważnie spojrzął na Wiliego i rzekł: – Czy za śmierć Syna Bożego mamy obwinić stolarza, który zrobił krzyż?

Pewnej upalnej, lipcowej niedzieli akurat w samo południe, kiedy zaczynał doskwierać największy skwar, Szumski zaprowadził nas na poddasze kaplicy.

– Do obiadu nie chcę tu widzieć ani jednego pyłku kurzu! – rozkazał. – Wiadra, szmaty i szczoty czekają. – Wskazał dłonią. – Naprzód!

Znów wymyślił coś absurdalnego. Postawiłem stopę na dechach, a w powietrze natychmiast wzbiły się sine kłęby, cofnąłem nogę, a na dywanie szarego kurzu został wyraźny odcisk podeszwy. Jeśli dodać do tego ukrop, jaki tutaj panował, promienie słońca

wdzierające się przez potężne, dachowe świetliki i brak przepływu świeżego powietrza, to nietrudno sobie wyobrazić, co za koszmar nas czekał. Wystarczyła chwila, a każdy z nas czuł, jak strumienie potu zaczynają oblewać jego ciało. Młody bezmyślnie złapał za szczotę, machnął nią dwa razy, a przestrzeń natychmiast wypełniła gęsta mgławica kurzu.

– Przestań! – wrzasnął na niego Wolf i zasłonił dłonią usta. Zdjął swoją koszulkę, zamoczył ją w wiadrze z wodą, wykręcił, po czym owinał ją sobie jak maskę wokół ust i nosa i zawiązał w supeł na potylicy. Obaj z Młodym poszliśmy za jego przykładem. – Chłapcie wodą na dechy – powiedział

i pokazał nam, o co chodzi. Zanurzył dłoń w wodzie i obficie kropił nią dookoła.

To był dobry pomysł, ale olbrzymie poddasze mierzone w setkach metrów wymagało wielu gąsiorów wody. Biegaliśmy więc bezustannie, pokonując dziesiątki schodów i korytarzy prowadzących do łaźni. Do obiadu uporaliśmy się z połową roboty. Potem nastąpiło chyba najbardziej koszmarne popołudnie, jakie mogłem sobie tylko wyobrazić. Rozpalone słońce zamieniło poddasze nad więzienną kaplicą w przedsionek piekła. Gorąc, duchota, pot i kurz. Mokre koszulki owinięte wokół naszych twarzy na wysokości ust i nozdrzy miały ciemne plamy. To pył,

który unosił się w powietrzu i przywierał w tym miejscu do wilgotnego materiału przy każdym oddechu. Oczy łzawiły, brud kleił się do spoconych ciał, a my wyglądaliśmy jak trzy umorusane stwory.

Szumski gnębił nas na dziesiątki sposobów. Popuszczał wodze własnego absurdu i dążył do tego, żeby nas złamać. Im wyżej wspinał się na szczyty własnej perfidii, tym bardziej hartował naszą zawziętość i nieustępliwość. Aspirant chyba sądził, że wspólna niedola nas poróżni, skutek jednak był zupełnie odwrotny. Z czasem staliśmy się jednością. Byliśmy jak trzech cholerni muszkieterowie, o których pisał mistrz

opowieści spod znaku płaszcza i szpady, Aleksander Dumas.

Stało się też to, czego się obawiałem i przed czym pragnąłem uciec. Nauczony przeżyciami z przeszłości wiedziałem, że więzienne przyjaźnie nie są mi potrzebne do życia. No cóż, nie udało się. Wolf i Młody z czasem stali dla mnie jak najbliższa rodzina i chociaż nigdy się do tego nie przyznałem, wskoczyłbym za nimi w ogień...

Nasza trójka tak bardzo przywykła do niedzielnych zajęć, że dni zaczęły się zlewać w jedno nieprzerwane pasmo pracy i obowiązków.

W ostatnią niedzielę lata 1931 roku Szumski kazał nam umyć schody i

poręcze, które wspinały się przez pierwsze trzy kondygnacje wieży. Potem były masywne, stalowe drzwi zamknięte na klucz, za którymi znajdował się mechanizm zegara i wejście na dzwonnice. Te schody to było również wyjście ewakuacyjne z naszego bloku, a droga ewentualnej ucieczki w razie jakiegoś zdarzenia losowego prowadziła wprost do wyjścia z głównego budynku. Mogliśmy tutaj miarkować robotę i obijać się w najlepsze, bo nikt nie mógł nas zniecka zaskoczyć. Oczywiście pucowaliśmy wszystko jak należy, ale pośpiech był zupełnie niewskazany. Przyznam się wam, że czasami bardzo szanowaliśmy sobie naszą pracę.

Kiedy zegar na wieży wybijał kwadransy lub pełne godziny, odgłos dzwonu rozlegał się tutaj donośnym, dźwięcznym echem. Właśnie minęło południe, a my od dłuższego czasu siedzieliśmy rozłożeni na schodach.

– Właściwie czasami to nie ma tak źle – powiedziałem. – Bądź co bądź mamy odmianę, a nie tak jak inni ciągle tylko spaceriak i spaceriak – starałem się dostrzec dobre strony naszego utrapienia.

– Fajnie byłoby porobić coś poza murami – skwitował Młody.

– Tobie to się marzy. – Wolf zaśmiał się i trącił go po przyjacielsku w plecy.

– Swojego czasu pracowałem po drugiej stronie – rzekłem, a w duchu

uśmiechnąłem się do swoich wspomnień.

– Tak?! – Młody aż wytrzeszczył ze zdziwienia oczy.

– Pamiętasz naczelnika Wojciechowskiego – zwróciłem się do Wiliego. – To dzięki niemu, a właściwie dzięki jego żonie. – Obaj spojrzeli na mnie zaskoczeni. – Ech, piękne dni – westchnąłem. – A wiesz, że widziałem, kiedy cię przywieźli do Wronek? – zabrzmiało to tak, jakbym po latach zdradzał mu jakąś tajemnicę.

– Nie wierzę. – Spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

– Przysięgam – położyłem dłoń na piersi – i to z okien najważniejszego gabinetu – powiedziałem, po czym



zacząłem snuć opowieść o tym, jak trafiłem na stolarnię, o Dziaduniu, o tym jak naczelnik Wojciechowski spełnił moją prośbę i pozwolił staremu więźniowi na przejażdżkę automobilem, i o meblach zarówno tych służbowych, jak i prywatnych. – Dostaliśmy nawet po szklance kompotu z rabarbaru i tak jak my teraz siedzimy na tych schodach, tak samo ja i Ojczulek siedzieliśmy na stopniach ganku domu naczelnika i wygrzewaliśmy się w promieniach sierpniowego słońca.

– Załatwiłbyś nam wyjście na drugą stronę – powiedział Młody prawie błagalnym tonem.

– Jasne, nie ma problemu – odparłem żartobliwie. – Poczekaj, niech tylko

pojawi się Wszawy Mendziarz, to zaraz z nim pogadam.

Słyszając te słowa, zachichotali.

– Wy to macie dobrze – westchnął Młody – ja to się nigdy nie wyrwę z tej parszywej łodygowni.

– A robisz coś, żeby dopomóc swojemu szczęściu? – zapytałem. – Jak będziesz tylko siedział na dupie i czekał na gwiazdkę z nieba, to możesz się jej nie doczekać.

– To niby co mam zrobić? – zwrócił się do mnie.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami.

– No to dzięki za świetną radę. – Młody z politowaniem pokręcił głową.

Zaczął się kolejny złoty październik – przemknęło mi przez myśl, kiedy w asyście dozorczy Mroczkowskiego opuściliśmy stolarnię po zakończonym dniu pracy. Szliśmy gęsiego wzdłuż siatki spacerniaka, a ja spoglądałem na korony drzew po drugiej stronie ceglatego muru. Wciągnąłem w płuca głęboki haust powietrza. Początek jesieni pachnie tak cudnie, że nie sposób tego porównać do czegokolwiek.

Ile jeszcze takich jesieni przyjdzie mi przeżyć? – zadałem sobie pytanie i nagle zrobiło mi się smutno na duszy.

Wkroczyliśmy do głównego budynku i zmierzaliśmy w kierunku stołówki. Tuż przed wejściem Mroczkowski zatrzymał mnie i powiedział:

- Po obiedzie zgłosisz się do mnie.
- Tak jest, panie dozorczo – odparłem.

Odebrałem swój posiłek z okienka wydawki i dostrzegłem, że przy naszym stole siedzi tylko Wolf.

- Gdzie Młody? – zapytałem.
- Nie mam pojęcia – odparł.

Omiotłem dookoła wzorkiem i dostrzegłem, że chłopaki pracujący na łodygowni są na swoich miejscach. Jeden z nich siedział przy stole obok.

To było trochę zastanawiające.

– Hej ty! Pst! – syknąłem w jego kierunku.

– Co jest? – zapytał, lekko pochyliwszy się w moją stronę.

– Gdzie jest Młody? – Doskonale

wiedział, o kogo pytam.

– Szumski go wziął na spytki i ponoć solidnie poturbował. Jeden z klawiszy powiedział, że zabrali go na izbę chorych.

– Za co oberwał? – zapytałem zaskoczony.

– Bóg jeden raczy wiedzieć. Pewnie za żywota – skwitował i zajął się swoim posiłkiem.

– Słyszałeś? – powiedziałem z lekkim zaskoczeniem do Wiliego.

– No cóż, każdemu czasami zdarzy się oberwać. – Wolf jak zwykle nie przejawiał żadnych emocji.

Zjadałem obiad i wypatrywałem kogoś z lazaretu, kto mógłby mi powiedzieć coś więcej. Niestety

wśród obecnych nie było żadnego dyżurnego z izby chorych.

Dwa przeciągłe sygnały gwizdka ogłosiły zakończenie posiłku dla bloku B.

Tak jak rozkazał mi wcześniej Mroczkowski, po obiedzie zameldowałem się przed jego obliczem.

– Ruszaj przodem! – Delikatnie pchnął mnie przed siebie.

Dotarliśmy pod drzwi z tabliczką SALA ODPRAW.

Dozorca zapukał i kiedy po drugiej stronie rozległo się głośne: „Wejść!”, nacisnął klamkę.

– Czekaaj tu! – rzucił przez ramię i wszedł do środka.

Chwilę później drzwi otworzyły się i

najpierw wyszedł aspirant Szumski, a tuż za nim klawisz z opaską na oku.

– Strażnik zaprowadzi cię na stolarnię i zbijesz dużą skrzynię – powiedział, spoglądając mi w oczy swoimi szurzymi ślepiami. – Wiesz, co mam na myśli, mówiąc „dużą”? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – Długą na dwa metry, szeroką na osiemdziesiąt centymetrów i głęboką na pół metra. – Kiedy usłyszałem te słowa, poczułem jak zimny dreszcz galopuje po moim grzbiecie, a w myślach krzyknąłem: Młody! – Ile czasu potrzebujesz? – zapytał.

– Będzie gotowa za dwie godziny, panie aspirancie – odparłem.

– Dobrze. Skończysz, to siedź tam

grzecznie i czekaj na mnie. – Obrócił się w stronę dozorca i rozkazał: – Zaprowadź go do warsztatu.

– Tak jest, panie aspirancie. – Mroczkowski zasalutował.

W drodze na stolarnię lawina myśli toczyła się przez mój zmasakrowany umysł. Zabił Młodego! – wyrokowałem i byłem tego pewien. I zaraz przypomniały mi się te makabryczne opowieści o tym, że faceci w mundurach są tutaj bezkarni i mogą po prostu wszystko.

Ciąłem deski, zbijałem skrzynię i nie potrafiłem opanować drżenia własnych dłoni. Wszystko wydawało się kompletnie bezsensowne, a zwłaszcza



to, co według moich przypuszczeń spotkało Młodego.

– Kurwa mać! Przecież ten dzieciak miał raptem dziewiętnaście lat! – prawie krzyknąłem i z wściekłością cisnąłem młotkiem przed siebie. Przedmiot pomknął i walnął z hukiem w półkę, na której leżały w metalowych pojemnikach gwoździe różnej długości. Dwie puszki runęły na blat stolarskiego stołu, a ich zawartość niczym stalowy deszcz uderzyła dźwięcznie o kamienną posadzkę.

Czułem wściekłość, która chciała zawyc w moim gardle.

Wybitnie nie szła mi robota z tą cholerną skrzynią. Usiadłem na kaflach kuchni i zapaliłem papierosa.

Wciągnąłem głęboko dym i zerknąłem na podsufitową belkę. Jakaś kusząca, zbrodnicza myśl zazgrzytała w moim umyśle. I nagle zacząłem sobie tłumaczyć, że ta broń znajduje się tam nie bez powodu... Może zostałem wybrany? Jest spluwa, jestem ja i znieawidzony wróg Wszawy Mendziarz pieprzony aspirant Teodor Szumski. Może taki los był nam pisany? Ja kat, on ofiara i narzędzie, które pomoże mi to wszystko zakończyć. Tak samo jak przed laty, mam na myśli Hrabiego, wyobraźnia zaczęła napędzać makabryczne wizje. Wezmę pistolet i owinę w szmatę, żeby nieco zagłuszyć odgłos wystrzału. Przyczaję się za drzwiami, Szumski przekroczy próg, a

ja mu palnę w skroń, potem włożę mu spluwę w dłoń, żeby wyszło na to, że facet sam się załatwił. Może się uda? Może nikt mnie nie posądzi o ten czyn? W pierwszym momencie wydało mi się to genialne, a zaraz potem stwierdziłem, że to najbardziej naiwny pomysł, jaki mógł mi przyjść do łba. Zerknąłem na stół i owoce mojej pracy. Siedziałem i myślałem. Po chwili zacząłem sobie zdawać sprawę, że dumam o czymś niemożliwym, o czymś zupełnie nierealnym. Podniosłem się z miejsca i żeby przepędzić te głupoty, które świtały w mojej głowie, zabrałem się za to, czego jeszcze nie ukończyłem.

Zbiłem skrzynię i pozbierałem gwoździe rozsypane po podłodze.

Pod czaszką panoszył się chaos.

Jeśli to zrobię, to zgładzę potwora i świat będzie nieco lepszy – szukałem kolejnych argumentów, które mogłyby mnie przekonać, że mogę zrobić coś słusznego. Doskonale wiedziałem, że to, o czym myślę, jest durnowate, ale podłe czyny zawsze się rodzą z głupoty.

Wtem drzwi do stolarni rozwarły się z hukiem i ujrzałem w nich Szumskiego w towarzystwie Frantza.

– Skończyłeś? – warknął władcym tonem aspirant w moim kierunku.

Na dźwięk tych słów zacisnąłem mocno dłoń na trzonku stolarskiego młotka.

– Tak jest, panie aspirancie – rzuciłem regulaminową odpowiedź.

A może podejść bliżej i zdzielić go w ten parszywy pysk? Wbiję mu ostrzejszy koniec w środek czoła, jeżeli tylko dobrze wyceluję, to rozłupię mu czaszkę!

Frantz zbliżył się do stołu, obszedł go dookoła, uniósł drewnianą pokrywę i powiedział:

– Wygląda przyzwoicie.

– Zbieraj się, idziemy! – Szumski kiwnął na mnie głową.

Odłożyłem przedmiot, który trzymałem w dłoni, i ruszyłem w stronę wyjścia.

Na zewnątrz królowało późne październikowe popołudnie. Niebo po zachodniej stronie mieniło się wszystkimi odcieniami purpury, złote

liście szeptały coś w delikatnych podmuchach jesiennego wiatru, a ja czułem się tak, jakbym miał za chwilę zwymiotować. Mój żołądek kurczył się do miniaturowych rozmiarów i było mi źle. Było mi źle w trzewiach i w duszy.

Frantz i Szumski szli kilka kroków za mną, rozmawiali o czymś, ale nie byłem w stanie zrozumieć ich słów.

Usiadłem na pryczy i oparłem się plecami o chłodną ścianę. Nagle poczułem w sobie cały bezsens ludzkiego istnienia. Nie potrafiłem zebrać myśli. Miałem wrażenie, że znajduję się w pustce. Tyle zła, tyle niegodziwości, a dookoła tylko podłóść.

Dlaczego?! Jak można było odebrać tak młode życie?! I znowu to znajome uczucie, kiedy milion pytań rozsadza ci duszę i nie ma ani jednej odpowiedzi. Przecież to był jeszcze dzieciak! Nie wiem, ile prawdy czało się w opowieściach Młodego, ale nie sędzę, żeby kłamał lub coś ukrywał. Wierzyłem mu. Może i dopuścił się strasznej zbrodni, lecz wiem, że nie było w nim zwierzęcia. Zrobił co zrobił i musiał z tym żyć, miał na sumieniu czyjeś marne istnienie. W tej chwili grzech, za który pokutował, nie miał znaczenia, liczyło się to, że ktoś go zatłukł i nie poniesie żadnej kary. Naprawdę możesz spokojnie na to wszystko spoglądać?! – spytałem w myślach Boga, w którym

czasami pokładałem ufność. To taka jest ta Twoja sprawiedliwość?!

Bezsilność.

Ponury zmierzch zakradał się do wnętrza celi. Po drugiej stronie krat świat stawał się z każdą minutą coraz ciemniejszy. Podszedłem do okna. Jesienne niebo było podziurawione pierwszymi punkcikami migających gwiazd. Mam nadzieję, że będzie ci tam lepiej – pomyślałem. Wsparłem głowę o kant ściany i wpatrywałem się w czarną linię horyzontu.

Stałem w kolejce do okienka wydawki po wieczorny posiłek i omiatałem wzrokiem po twarzach skazańców. Wolf właśnie podążał



ze swoją tacą w kierunku naszego stołu. Obróciłem się do tyłu i dostrzegłem kołosa, który był sanitariuszem. Zrobiłem kilka kroków w tył, podszedłem do niego i zapytałem:

– Co stało się z Młodym? – Miałem nadzieję, że będzie wiedział, o kogo pytam.

– Masz na myśli tego kruchego młokosa? – odpowiedział pytaniem.

– Tak.

– Chłopak co najmniej przez dwa tygodnie będzie się byczył w lazarecie – odparł.

– Byczył?! – powtórzyłem głosem pełnym zaskoczenia.

– No tak. – Sanitariusz spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem. –

Ma strzaskany obojczyk. Szumski tak mu przyłożył pałą, że pogruchotał jego liche kości. Przywlekli go dziś przed południem z otwartym złamaniem. Kość rozerwała skórę na barku. Paskudny widok! Młodzik wydzierał się, jakby go nabijali na pal.

– Żyje?! – z wrażenia zadałem kolejne idiotyczne pytanie.

– Chłopie, przecież od tego się nie umiera – powiedział i spojrzał na mnie jak na jakieś zjawisko.

– To dobra wiadomość. – Uśmiechnąłem się pełną gębą i klepnąłem go w ramię. Sięgnąłem po papierośnicę, otworzyłem mosiężne wieko. – Pozdrów go ode mnie – powiedziałem i w podzięce za to, żeby

spełnił moją prośbę, poczęstowałem go fajką.

– Nie ma sprawy!

Miałem ochotę zatańczyć z radości i jednocześnie dać sobie w gębę za wybujałą fantazję.

– Ależ ja jestem głupi – rzuciłem radosnym głosem do Wolfa, siadając na swoim miejscu.

Ten spojrział na mnie bez słowa, unosząc w zdziwieniu brwi.

– Przed obiadem Mroczkowski mówi do mnie tak... – streściłem mu całą historię, łącznie z tym, jak na kilka godzin wmówiłem sobie śmierć Młodego, pomijając oczywiście moją kretyńską wizję zabójstwa aspiranta. Na koniec dodałem: – ...bo wiesz, już

trochę takich skrzyń tutaj zrobiłem. – Na moment zawiesiłem głos. – Zawsze służyły za trumny.

– A może zamiast czytać, powinieneś zacząć pisać książki? – zapytał z nutką pochlebstwa, a zarazem kpiny. – Nie przejmuj się, to żadna dolegliwość. Jako chirurg miałem do czynienia z chorymi, którzy wmawiali sobie absurdalne rzeczy. Zadziwiające zawsze dla mnie było to, że tacy osobnicy roztaczali tylko najczarniejsze wizje. Ludzka wyobraźnia w mistrzowski sposób potrafi tworzyć potworne scenariusze. – Przegryzł kromkę chleba i po chwili dodał, zmieniając temat: – Coś mi się wydaje, że Młody jest dla ciebie kimś ważnym.

– Lubię chłopaka. Nawet bardzo, sam wiesz, jaki jest nieporadny.

– Coś ci powiem – spojrzał mi w oczy – kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć najlepiej, nie staraj się być niańką, bo to nie jest dobry pomysł. Chłopak musi się nauczyć zaradności, musi być twardy i silny, musi wiedzieć, że w takim miejscu jak to jest zdany tylko na siebie.

– Co cię ugryzło? – zapytałem z nieukrywaniem wyrzutem.

– Zerknij wstecz, zerknij na swoją przeszłość i przypomnij sobie ludzi, którzy towarzyszyli ci tutaj każdego dnia. Ten stary klecha albo Suchy... który z nich pamięta o tobie? – Odłożył kromkę chleba na talerz i wskazał

na mnie palcem, jakby starał się mi coś wytknąć. – Więzienie i ty jesteście jak jeden organizm. Może będziesz tu żył i może tutaj umrzesz, a wszyscy terminowi, którzy przemkną przez twoje życie, wyjdą i nie będą się później troszczyć o twój los. To po pierwsze, a po drugie, nie ochronisz każdego, a po trzecie, co zrobisz, jeśli ktoś taki cię sprzeda za lepszą posadę albo przysłowiową paczkę fajek? Wtedy prawda może się okazać bardzo bolesna.

– Myślisz, że poznałeś receptę na przetrwanie? – prawie syknąłem przez zęby.

– A kto ci powiedział, że chcę przetrwać? – odparł Wolf i nagle dostrzegłem w jego oczach tę samą

pustkę co kiedyś. – Tymi rękami – uniósł lekko dłonie ponad blat stołu i obrócił je tak, że spoglądałem na ich wewnętrzną stronę – zgładziłem wielu złych ludzi. Jak sądzisz, żałuję swoich czynów? – Spojrzał mi prosto w oczy. Nie miałem pojęcia, czy Rzeźnik z Danzig naprawdę chciał wiedzieć, co o tym sądzę, ale słysząc jego pytanie, poczułem nagle mroczny, przenikliwy chłód. Zimno, które zgasiło we mnie całą radość na wieść o tym, że Młody żyje. – Dla mnie każdy, kto tutaj jest osadzony, nosi w sobie potwora. Ja, ty, oni. – Kiwnął głową przed siebie. – Wszyscy. Bez różnicy. Młody też. Nic nie tłumaczy naszych czynów. Ani poczucie własnej sprawiedliwości, ani

żadne parszywe zrządzenie losu.

– O czym ty mówisz, do ciężkiej cholery? – wpadłem mu w zdanie, bo przestałem cokolwiek rozumieć. To były jakieś brednie.

Wolf opuścił nieco głowę, zgiął łokcie i wsparł brodę w kołyskach dużych dłoni.

– Słyszałeś kiedyś o więzieniu Montelupich w Krakowie? Byłem tam osadzony. Myślałem, że spędzę w nim resztę życia. Tamto miejsce ma zupełnie inny charakter niż to. Dzielilem celę z pewnym młodzikiem i dużo by o tym mówić, w każdym razie roztoczyłem nad nim opiekę. Nadstawiałem za niego karku zarówno przed więźniami, jaki i przed klawiszami. I wiesz, co się stało



tego dnia, kiedy mnie przynosili?

Rozłożyłem lekko ręce i spojrzałem na Wolfa pytającym wzrokiem.

– Chłopak się powiesił.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Jeżeli sądzisz, że pomożesz każdemu, to jesteś w błędzie. A jeśli pewnego dnia klawisze wpadną do twojej celi, zakują cię w kajdany, wrzucą na furgonetkę i powiozą gdzieś w świat do innego więzienia. To co wtedy? – Przyglądał mi się uważnie. – Rozumiesz teraz, o czym mówię? – zapytał tak, jakby chciał powiedzieć, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem. W tej samej chwili rozległy się dwa przeciągłe gwizdki.

Rozmowa z Wolfem podczas kolacji dała mi dużo do myślenia. Bardzo dużo. Resztę wieczoru spędziłem, leżąc na wznak na pryczy, a mój umysł był zatopiony w myślach. Błądziłem. Miałem za sobą kiepski dzień pełen żalonych wrażeń i liznąłem wiedzy, której tak naprawdę chyba nie chciałem poznać. Tępym wzrokiem wpatrywałem się w pomarszczony sufit. Czułem się, jakbym posiadał sztukę zadziwiania samego siebie. Jak to możliwe, że potrafiłem wyobrazić sobie zupełnie nierealne sprawy, a nie dostrzegałem tych oczywistych? Sprowokowany słowami Wiliego zacząłem mimowolnie zastanawiać się nad wieloma rzeczami. Może męczyzna w moim wieku

potrzebuje jakiegoś wyzwania, które będzie się ocierać o ojcowską troskę? Może to zupełnie naturalne? Może rzeczywiście za bardzo zbliżyłem się do Młodego, a tym samym podciąłem mu nieco skrzydełka? A jeśli on był na tyle cwany albo wygodny, że traktował nas jako swój parasol ochronny? Nie potrafiłem znaleźć sensownych odpowiedzi, zaczęła mnie przerażać własna podejrzliwość, a jednocześnie rozumiałem, że nasze relacje muszą wkroczyć na inną drogę. Dla naszego wspólnego dobra.

Podniosłem się z łóżka, podszedłem do okna i zapaliłem szluga.

Zerknąłem w niebo. Pogoda chyba szykowała nam psikusa. Ciemnym

niebem wiatr gnał posępne chmury, które raz po raz przysłaniały rozgwieżdżoną połąć rozpostartą ponad światem.

Zegar na wieży kościelnej uderzył trzykrotnie. Była za kwadrans dziesiąta.

Pora szykować się do snu – szepnąłem w myślach.

Zdjąłem więzienną bluzę, kiedy nagle rozległ się przeraźliwy wrzask. Zamarłem w bezruchu i nadstawiłem uszu. Coś się działo! W dwóch susach doskoczyłem do drzwi. Przytknąłem ucho jak najbliżej futryny. Byłem pewien, że rozpaczliwy krzyk dobiegał z najniższej kondygnacji. Nie sposób było rozróżnić słów, ale ktoś się potwornie wydzierał. Coś się kroilo! Zamieszanie trwało kilka minut, a echo niosło tupot

nóg zbiegających po drewnianych schodach. Od strony sterowni padały jakieś komendy. I nagle wszystko ustało. Cisza.

No to się jutro dowiemy, co to za afera.

Ułożyłem drelich w kostkę i położyłem na krześle, buty wsunąłem pod łóżko i ubrany w bieliznę opatuliłem się wyleniałym kocem.

Łomot do drzwi wyrwał mnie ze snu. Otworzyłem oczy. Nadal królowała noc, a blask żółtych latarni malował się jasną płachtą na przeciwległej ścianie. Nie zdążyłem jeszcze wstać z wyra, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem, a w ich świetle ujrzałem znajomą sylwetkę

Szumskiego.

– Zbieraj się! – warknął. – Robota czeka!

W pośpiechu zacząłem zakładać swój uniform.

– Ruszasz się, Żabikowski, ruszasz zwawo! – ponaglał.

Chwilę później odziany i obuty wyszedłem z celi. Strzeliłem oczami w kierunku sterowni, gdzie panowało jakieś poruszenie, i dostrzegłem tam Wolfa. Aspirant pchnął mnie w kierunku schodów. Zeszliśmy na sam dół, a po chwili dołączył do nas Wolf i czterech dozorców... pod bronią.

W zwartym szyku opuściliśmy blok B, a Szumski idący przodem prowadził nas w kierunku karcerów. Zeszliśmy

schodami. Wszystkie cztery drzwi do ciemnic były na wpół uchylone. W znajomym korytarzu unosił się ten sam stęchły zapach, a mdłe, żółte światło żarówek majaczyło w kloszach uwieczonych za drucianą siatką. Na wprost były stalowe wrota. Szumski podszedł do nich i sięgnął po pęk kluczy, które miał przypięte do pasa. Włożył jeden z nich w czarne oko i przekręcił. Zęby żelaznych zapadek boleśnie zazgrzytały. Prowadzący otworzył na oścież oba pióra, a naszym oczom ukazało się pomieszczenie spowite nieprzeniknionym mrokiem. Szumski sięgnął ręką w prawą stronę i przekręcił włącznik światła. To, co ujrzałem w świetle żarówek, sprawiło, że poczułem,

jak moje kolana robią się wiotkie.

To była dość obszerna sala bez okien. Na jej drugim końcu, dokładnie na wprost wrót, które właśnie minęliśmy, stała okazała konstrukcja. Surowe, solidne drewniane krawędziaki podtrzymujące wysoki podest, a z lewej schody, po których można się było tam dostać. Dokładnie pośrodku podestu były trzy masywne bele tworzące odwróconą literę U, a z prawej wystająca z podłogi długa dźwignia. Mój wzrok przykuł kawałek sznura, który wisiał niczym kikut uwiązany do górnej poprzeczki. Ten gruby kawałek splecionej liny, lekko postrzępiony w miejscu odcięcia, hipnotyzował w porażający sposób.



Odgłos zelówek, którymi były podbite podeszwy butów klawiszy, odbijał się głuchym dudnieniem na kamiennej posadzce. Sunęliśmy przejściem pomiędzy dwoma rzędami masywnych ławek bez oparc.

Szumski zatrzymał się i rzekł z podłym uśmieszkiem:

– Tak oto wygląda wroniecki stryczek. I powiem wam, że niewielu więźniów widziało to miejsce, pomijając oczywiście tych, którzy zostali tutaj straceni.

Pod ścianą, w rogu po lewej, na długim stole twarzą do góry spoczywały zwłoki Długaśnego odziane w szary, więzienny uniform. Obok na podłodze leżała drewniana skrzynia,

a wzdłuż niej oparte wieko.

– Pewnie słyszeliście te wrzaski tuż przed ciszą nocną, prawda? – Aspirant skierował swoje pytanie do mnie i do Wolfa. – Tak to bywa, kiedy ludzkie ścierwo staje w obliczu śmierci. Taki był z niego kozak – rzekł z pogardą. – A jak przyszło co do czego, to kwiczał jak prosię. – Obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku schodów wiodących na podest.

Wszedł na górę i kiwnął w naszą stronę.

– Chodźcie tu!

Ja i Wolf posłusznie wykonaliśmy polecenie.

– Coś wam pokażę. – Szumski podszedł do dźwigni i pochwycił ją w

dłoń. – Tu staje sobie taki sznurowiec – wskazał na podłogę, która w tym miejscu nieco różniła się od reszty podestu – pętla na szyję, sznur luźno mu zwisa na plecach i kiedy przychodzi czas, żeby zapłacić za swoje grzechy... – nie dokończył zdania, lecz energicznie pociągnął za drewniany drąg i w tej samej chwili miejsce w podłodze, które wskazał wcześniej, otworzyło się z trzaskiem. Dwa pióra zapadni poleciały na boki. – ...ciało mknie w dół, ale długość sznura jest tak obliczona, że nim stopy straceńca dosięgną posadzki, pętla zaciska się na gardle. – Uniósł lewą dłoń w górę, jakby trzymał niewidzialny sznur, a na jego twarzy pojawił się absurdalny grymas. Wystawił język z ust,

jakby chciał nam zaprezentować jego długość, zaczął trząść komicznie głową, nienaturalnie wybałuszył ślepią i charczał, jakby mu coś zatkało przełyk. Wśród klawiszy, którzy nam towarzyszyli, rozległ się rechot rozbawienia. – I wisi sobie ścierwo tak długo, zanim członki przestaną się telepać, a widownia patrzy. – Wskazał dłonią na dwa rzędy ławek i niczym aktor na scenie ukłonił się w pas. – Teraz widzicie, jakie was szczęście spotkało, że zostaliście skazani na dożywocie. Mało tego, bo tak właściwie to jesteście z dala od prawdziwych trosk świata, który został po drugiej stronie murów. Nie musicie się martwić o czynsz ani o to,

czy starczy wam pieniędzy na jedzenie. Jeśli się pochorujecie, to i opieka lekarska jest zapewniona. Wszystko macie. Los okazał się dla was łaskawy, więc mam nadzieję, że odpowiednio doceniacie ten nadmiar szczęścia, który wam został zesłany. Jesteście cholernymi władcami życia! Wolf, ty chyba nie przepadałeś za Długaśnym, co? – zapytał mojego kompana. – Wiem, wiem – pokiwał znacząco głową – pewnie wolałbyś sam go załatwić, co? Ty taki szlachetny, który karał tych złych i niedobrych. Tylko spójrz, jaki ci daje wspaniały prezent! I jeszcze pozwalam, żeby tę radość podzielał z tobą twój kumpel Ropuch Żabikowski. Obaj w ramach wdzięczności zapakujcie zwłoki

do skrzyni, potem je załadujecie na furgonetkę i pojedziemy wszyscy razem na cmentarz, gdzie wykopiecie Długaśnemu mogiłę, i tam go pogrzebiemy. Naprzód! – Machnął ręką, dając nam do zrozumienia, że mamy się zabrać do roboty.

Złapaliśmy z Wolfem martwe ciało i włożyliśmy je do skrzyni.

– Nie tak! – warknął Szumski. – Sznurówców kładziemy w trumnie na brzuchu. Obróćcie go twarzą w dół! – rozkazał.

Przekręciliśmy zwłoki, tak jak kazał.

Potem jeden z klawiszy podał mi młotek i garść gwoździ.

Przybiłem wieko.

– No to łapać się za skrzyneczkę –

rzucił w naszą stronę aspirant.

Wolf chwycił prowizoryczną trumnę z przodu, ja za tylny kant i ruszyliśmy za Szumskim. Czterech dozorców było tuż za moimi plecami.

Umordowaliśmy się, dźwigając ciężar po schodach i zanim opuściliśmy budynek więzienia, dwa razy musieliśmy na chwilę odsapnąć. Szumski wyprowadził nas na dziedziniec od strony spacerniaka. Furgonetka czekała nieopodal. Kiedy załadowaliśmy skrzynię, zegar na wieży kościelnej uderzył dwukrotnie. Spojrzałem na jego tarczę i dostrzegłem, że właśnie minęło wpół do pierwszej. Razem z czwórką klawiszy usadowiliśmy się na pace. Aspirant

usiadł za kółkiem w szoferce, odpalił silnik i załączył światła, których jasny snop oświetlił teren przed maską samochodu. Skrzynia biegów zazgrzytała i pojazd wolno potoczył się w przód. Wszystko było zorganizowane z wojskową precyzją. Wyjechaliśmy przez otwartą bramę, którą natychmiast zamknął strażnik mający służbę na głównej dyżurce. Pojazd sunął ulicą oświetloną blaskiem przydrożnych latarni. W niektórych oknach gdzieś płonęły jeszcze światła. Warkot silnika rozrywał nocną ciszę. Gdzieś z lewej strony nagle zaczął ujadać jakiś pies. Minęliśmy ostatnie budynki, a kilkaset metrów przed nami, po prawej, połyskiwały światła



miasteczka.

– Mogę zapalić? – zapytałem dozorcę, który siedział tuż obok mnie.

Ten nic nie odpowiedział, tylko kiwnął przyzwalająco głową.

Furgonetka toczyła się wąskimi uliczkami pośród gęstej zabudowy.

Spojrzałem na Wolfa. Strzelał oczami we wszystkie strony i z zaciekawieniem obserwował świat, którego nie widział od bardzo wielu lat. Ja zresztą robiłem to samo. Witryny sklepów nawet w nocy wydawały się piękne. Po lewej wyłonił się nagle duży szyld z napisem „Piekarnia”, a zaraz za nim kolejny „Szewc”. W pewnym momencie dostrzegłem człowieka, który szedł chwiejnym krokiem po drugiej stronie

ulicy. Przystanął na moment i patrząc na nas, podrapał się w głowę, jakby do końca nie wierzył własnym oczom. Po chwili machnął ręką i zataczając się, podążył w swoim kierunku.

– Środek nocy, a ten załatwiony na cacy – powiedział z rozbawieniem strażnik siedzący obok Wiliego.

– Znam gada – odezwał się jego kompan. – Pracy to nie ma, pieniędzy nie ma, a wiecznie na rauszu. Skąd bierze forszę na wódkę? – zapytał i zaraz sam sobie udzielił odpowiedzi: – To nie mam pojęcia.

– Tak to już jest – do dyskusji włączył się ten, którego pytałem o pozwolenie palenia – ty się urobisz, człowieku, harujesz po nocach, a taki się bawi. Ech,

szkoda gadać.

Nagle zaczęło kropić. Spojrzałem w ciemne niebo. Nie było widać ani jednej gwiazdy.

– Deszczu nam tylko brakuje – skwitował ten, który narzekał na pracę.

– Daleko jeszcze? – zapytałem klawisza.

– A co? Przejazdźka ci nie w smak? – burknął.

– Nie, panie dozorczo, tak tylko pytam z czystej ciekawości – odparłem.

– Koniec podróży za następnym zakrętem – oznajmił jakby od niechcenia.

Szumski zatrzymał się tuż obok cmentarnej bramy z fantazyjnie wygiętymi prętami, pośrodku której był

łańcuch spięty kłódką. A obok wisiała tabliczka z napisem OTWARTE PRZEZ DZIEŃ AŻ DO ZMIERZCHU.

Silnik zamilkł, a aspirant wysiadł z szoferki.

– Z wozu! – rozkazał.

Z prawej strony w naszym kierunku zbliżał się jakiś mężczyzna.

– Dobry wieczór – powiedział. – Służby więzienne jak zwykle punktualne.

– Dobry wieczór, panie Mleczak. – Szumski pstryknął palcami o daszek czapki. – A jakże by inaczej. – Pierwszy raz w życiu usłyszałem w tonie jego głosu wesołą i swobodną nutę.

Mleczak podszedł do bramy i otworzył kłódkę. Owinął łańcuch wokół jednego pręta, spiął na powrót i rozwarł

kute skrzydła.

– Proszę, to dane dla proboszcza. – Szumski podał mężczyźnie kartkę papieru złożoną na cztery.

– A juści, za dnia przekażę księdzu proboszczowi. – Schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki i powiedział: – No to co, chodźmy – machnął ręką – pokażę wam miejsce.

W tym samym czasie, kiedy ci dwaj rozmawiali, jeden z dozorców wyjął spod siedzenia na pace dwa parciane pasy, dwie łopaty i cztery lampy naftowe. Przez moment trzymał się z odpaleniem knotów.

Szumski złapał za jedną lampę i razem z mężczyzną, który otworzył cmentarną bramę, ruszyli przodem. Ja z

Wolfem dźwigaliśmy skrzynię ze zwłokami, a pozostali szli tuż za nami. Żwir rozsypany w alejce chrząścił pod butami.

Nasz żałobny kondukt w milczeniu kroczył przed siebie. Światło lamp tańczyło pośród drewnianych krzyży i łamało się na taflach marmurowych nagrobków. I tylko niebo płakało, roniąc krople drobnych łez, które z szumem rozbijały się o jesienne liście.

Dotarliśmy do odległego miejsca pod cmentarnym murem.

– To wasza kwatery – powiedział Mleczak, wskazując plac, gdzie była wbita mała tabliczka. – To do następnego razu, panie Szumski. – Wyciągnął w jego kierunku dłoń. – A jak

skończycie, to tylko zamknijcie bramę, żeby nie stała nocą otworem. – Obrócił się na pięcie i odszedł w mrok.

Klawisze położyli na ziemi lampy, a ich blask oświetlił miejsce pochówku.

Aspirant chwycił za jedną z łopat i zaznaczył cztery rogi, które określały obszar naszego kopania.

– A teraz będziecie ryć w ziemi na półtora metra. – Cisnął na ziemię szpadel. Wziął od jednego ze strażników karabin, odbezpieczył i przeładował. – Słyszycie ten szum – zwrócił się do mnie i do Wolfa – za tym murem płynie Warta. – Podszedł do nas nieco bliżej. – Gdyby któremuś z was przyszło do łba, że wystarczy tylko przeskoczyć przez ten mur – kiwnął głową w tamtą

stronę – to chcę, żebyście wiedzieli, że swędzi mnie mój palec na spuście. – Wykonał ruch, jakby naciskał cyngiel. – I powiem wam coś jeszcze – szepnął na tyle, żebyśmy tylko my dwaj usłyszeli jego słowa. – Mówię to wam ja, Wszawy Mendziarz – syknął wściekle. – Zróbcie to, a zabiję was obu! – Drugą dłonią pogłaskał czule kolbę karabinu.

W tej samej chwili stało się dla mnie jasne, że Młody nas sprzedał.

Kopaliśmy z Wolfem ponad dwie godziny. Ziemia była miękka i szło nam całkiem sprawnie. Klawisze usiedli na czyimś nagrobku nieco z tyłu. Rozmawiali, ale bezustannie mieli nas na oku. Oczywiście Szumski raz po raz wysiłał się na jakiś komentarz pod



naszym adresem, a ja, chyba podobnie jak Wili, myślałem o Młodym. Trudno było wyrokować, co powiedział aspirantowi, ale na pewno sporo.

– Wiesz co – szepnąłem w pewnym momencie do Wolfa.

– Bądź cicho! – warknął na mnie.

W sumie miał rację, to nie była ani odpowiednia pora, ani miejsce, żeby drażnić naszego prześladowcę.

– Dość – rzucił Szumski, bo chyba ocenił, że dół jest wystarczająco głęboki. – Dawać, panowie – zwrócił się do siedzących dozorców. – Trzeba im pomóc, bo sami tego parszywca nie włożą.

Jeden z klawiszy rozłożył na ziemi parciane pasy, a potem postępowaliśmy

według jego wskazań. Po chwili z pomocą dwóch funkcjonariuszy, opuszczając na pasach skrzynię ze zwłokami, umieściliśmy ją na dnie grobu.

Wystarczyło nam kilkanaście minut, żeby zasypać mogiłę.

– Robota skończona to można zapalić.  
– Aspirant wyjął z kieszeni paczkę fajek i poczęstował mundurowych. – A teraz patrzcie, jak tutaj traktuje się sznurowców – rzucił w naszą stronę.

Podszedł nieco bliżej do kopca, rozpiął rozporek i z petem w zębach wysikał się na stertę ziemi.

– Tak właśnie żegnamy skazanych na śmierć – powiedział, kiedy skończył.

Każdy z obecnych klawiszy poszedł

za przykładem swojego przełożonego.

To, co zrobili, było... tego się nawet nie da opisać.

Stałem obok Wiliego, patrząc, jak pracownicy służby więziennej bezczeszczą miejsce czyjegoś wiecznego spoczynku.

– Wolf! – rzucił w jego kierunku aspirant. – Teraz twoja kolej. Szczyj!

Rzeźnik z Danzig podszedł do świeżej mogiły i zrobił to, czego żądał Szumski.

– Żabikowski, ty też pożegnaj Długaśnego w należyny mu sposób – rozkazał.

Podszedłem bliżej, rozpiąłem rozporek, ale nie mogłem z siebie wycisnąć nawet kropelki. Przez dłuższą chwilę naprawdę starałem się opróżnić

swój pęcherz, ale nie mogłem. Po prostu nie mogłem.

Szumski podszedł do mnie i powiedział:

– Szczyj na ten grób albo Wolf zaraz zacznie kopać drugą kwaterę! – Przeładował broń. Zbliżył swoją twarz do mojego ucha i szepnął: – Chcesz tutaj zginąć podczas próby ucieczki?

Zmusiłem wszystkie zmysły i każdy mięsień mojego ciała, żeby spełnić jego żądanie. Jeszcze nigdy w życiu nie włożyłem tyle wysiłku w to, żeby się wysikać. Lichy strumień mojego moczu zrosił kopiec świeżej ziemi.

– Brawo! A jednak się udało! – wypowiedział swoje słowa tak, jakbym dokonał czegoś niemożliwego. Dozorcy

zachichotali rozbawieni. – Teraz już wiecie, jak grzebie się ludzkie ścierwo – powiedział i splunął przed siebie. – Łapać się za graty. Wracamy.

Tak samo jak w drodze na cmentarz siedzieliśmy na pace w asyście czterech strażników, a Szumski prowadził furgonetkę. Na wschodzie, tuż nad linią horyzontu niebo zaczynało majaczyć delikatną, jasną poświatą.

– Dlaczego nocą? – zapytałem strażnika, który siedział obok mnie.

– Co dlaczego nocą? – chyba nie bardzo rozumiał, co miałem na myśli.

– Dlaczego pochówek robi się nocą? – sprecyzowałem.

– A jak ci się wydaje? – odparł. – Myślisz, że mieszkańcy Wroniek

chcieliby widzieć, jak za dnia na ich cmentarzu chowa się przestępców? I co, może jeszcze msza żałobna w kościele, kolorowe wieńce, kwiaty i salwa honorowa?

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby opowiadać komuś o dzisiejszej nocy – powiedział do mnie Wili podczas śniadania.

– Nie mam takiego zamiaru – odparłem.

Przez kilka minut zjadaliśmy posiłek w milczeniu.

– Co myślisz o Młodym? – zapytał nagle.

– A co tu myśleć? – odparłem. – Pewnie wypowiadał się szczerze

Szumskiemu. Nie wiem, co o tym sądzić, ale mam nadzieję, że nie chciał nam zaszkodzić. Wiem, jak to jest, przeżyłem podobną sytuację, kiedy trafiłem do tego więzienia. – Opowiedziałem Wolfowi historię, jak podczas moich pierwszych świąt Bożego Narodzenia, które przyszło mi doświadczyć w tym podłym miejscu, aspirant namawiał mnie do tego, żebym się skurwił. – Być może Młody postąpił w ten sam sposób? Nie osądzajmy chłopaka, najpierw musimy z nim pogadać.

– Ja nikogo nie osądzam, ale myślę, że skoro uległ raz, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że ulegnie ponownie. Miej się na baczności – skwitował.

– Ja mam się mieć na baczności? – zapytałem zdziwiony.

Razem z Wolfem wolnym krokiem przemierzaliśmy kolejne okrążenia na spacerniku. Towarzystwo, w którym obracał się Długaśny, nie okupowało już znajomej ławki po lewej stronie wybiegu. Rozpadli się.

– Ty wiesz, że od dwóch dni nie potrafię się normalnie odlać – powiedziałem, przypalając kolejnego papierosa. – To jakiś cholerny koszmar! Ciągle przed oczami widzę ten grób i nie mogę wycedzić z siebie nawet kropelki.

– Wrażliwy jesteś – odparł Wolf z lekkim rozbawieniem. – Muszę jednak



przyznać, że podzielałam zdanie Szumskiego, pogrzebaliśmy śmiecia i na tym koniec.

– Śmieć nie śmieć – skwitowałam – ale jakiś szacunek się należy. Może nie temu, który spoczął pod cmentarnym murem, ale majestatowi tamtego miejsca.

– Kto wie ile razy przyjdzie ci jeszcze zrobić to samo – podsumował moje wywody. – Czasami człowiek musi przejść nad podłymi sprawami do porządku dziennego.

– W ogóle cię to nie ruszyło? – zapytałem zaciekawiony.

– Czy ja wiem... – zawiesił na moment głos – mnie już chyba nic nie rusza. Zacznij się lepiej martwić o

Młodego – dodał ni stąd, ni zowąd.

– Co proponujesz?

– Wstrzemięźliwość.

– Wstrzemięźliwość? – powtórzyłem jego słowo niczym zbląkane echo. – W czym?

– We wszystkim, zwłaszcza jeśli idzie o historię z przeszłości. Nigdy mu nie opowiadaj o czymś, co może ci zaszkodzić. Nie zdradzaj sytuacji, jakie tutaj się wydarzyły, nie szczyć się nimi. Hrabia, Prezes, Czarny, Dziuba, Suchy – wymieniał ludzi, którzy przewinęli się przez moje życie. – Nie opowiadaj o nich, bo możesz sobie napytać biedy. – Miałem wrażenie, jakby Wolf znał całą prawdę. – Ile lat już tu jesteś? – nagle zmienił temat.

– W lipcu stuknęło dziewięć.

– Dziewięć lat z dożywocia – westchnął. – A ja dzisiaj mam dwunastą rocznicę.

– Dzisiaj?! – prawie zapałem z zaskoczenia.

– Tak wyszło – odparł. – Dwanaście podłych lat... – wciągnął przez nozdrza głęboki haust powietrza – dwanaście lat przemknęło niczym kilka dni. Wiesz, jak to jest, kiedy nastaje taka parszywa rocznica. Oglądasz się w przeszłość, wystawiasz sobie rachunek i jakkolwiek byś sumował, to i tak wszystko wygląda źle. Jedno jest pewne, szybko zleciało. Ale ty wiesz coś o tym, prawda?

– Oj, wiem, wiem – odparłem, przybierając równie posępny ton głosu

co mój kompan.

– Ani się obejrzyysz, jak będziesz miał ćwierćwiecze.

– A ty to co, może nie? Liczysz, że obejmie cię jakaś amnestia? – zażartowałem.

– Nie wiem, czasami mam wrażenie, że jestem tu od wieków. Kiedy jechaliśmy nocą na cmentarz, czułem się tak, jakbym pierwszy raz w życiu widział normalne budynki i ulice. – W jego głosie czaił się smutek. – Już zapomniałem...

Czekałem, aż dokończy myśl, ale milczał.

– O czym zapomniałeś?

– O tym, że za tymi murami jest inny świat i że kiedyś w nim żyłem. – Gdyby

nie to – sięgnął do kieszeni na piersi, nad którą widniał czterocyfrowy numer, i wyjął pokancerowaną fotografię – nie umiałbym sobie przypomnieć twarzy mojego synka. – Wyraźnie słyszałem, jak głos zaczyna mu drżeć.

– Mogę? – zapytałem i wyciągnąłem dłoń.

Na starym, zniszczonym zdjęciu była dziecięca twarz. Chłopczyk uśmiechał się całym swoim obliczem, a ja miałem wrażenie, że jego duże oczy spoglądają prosto w moje źrenice.

– Jak miał na imię? – zapytałem, oddając mu fotografię, bo wydawało mi się, że chce o nim pogadać.

– Ignaś – spojrzał na zdjęcie syna – zostało mi tylko to zdjęcie. Miał wtedy

osiem lat. – Zauważyłem, że oczy Rzeźnika z Danzig stały się szkliste. – Bardzo za nim tęsknię.

– Kiedyś się spotkacie. – Klepnałem go w ramię, jakbym chciał tym gestem dodać mu nieco otuchy.

Szliśmy w milczeniu. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Wkroczyliśmy na smutny temat.

– Może zaliczymy bibliotekę? – zapytałem, kiedy znaleźliśmy się niedaleko wyjścia ze spacerniaka.

Wolf w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami, jakby mu było obojętne, co będzie robić.

– No to chodźmy – zdecydowałem za nas obu.

Kiedy weszliśmy do budynku, otulił nas znajomy chłód korytarza. Wolnym krokiem szliśmy przed siebie. Wtem zza zakrętu, który prowadził do głównego holu, wyłonił się Szumski.

– O proszę – powiedział przeciągle – jak miło. Cóż to, wybieracie się poczytać aktualną prasę?

– Tak jest, panie aspirancie – odparłem w naszym wspólnym imieniu.

– Chyba nic z tego nie wyjdzie, bo akurat szedłem po was. Mam dla was robotę, żeby, jak to mówią, tradycji stało się zadość. – Spojrzał po naszych twarzach. – Cieszycie się, prawda? – Wpatrywał się w nas wzrokiem oczekującym odpowiedzi. – Cieszycie się, Wolf, prawda? – ponowił swoje

pytanie.

Wili milczał.

– Wolf, ogłuchłeś? – Dłoń aspiranta owinęła się wokół trzonka drewnianej pałki.

– Z moim słuchem, panie aspirancie, wszystko jest w jak najlepszym porządku – odpowiedział zadziornie. Poczuję, jak ogarnia mnie nieprzyjemne ciepło. – Ma pan rację, bardzo się cieszymy, że dzisiaj znowu możemy zrobić coś pożytecznego.

Te słowa chyba na krótką chwilę zbiły z tropu Szumskiego.

– Wolf, nie drażnij mnie, bo nie z takimi cwaniakami miałem do czynienia – znowu był sobą. – Idziemy na wieżę – kiwnął głową w prawo – ruszajcie



przodem!

Maszerowaliśmy pustymi korytarzami w kierunku wyjścia z głównego budynku, gdzie wspinały się schody na szczyt strzelistej wieży.

Dotarliśmy na górę.

Obok stalowych drzwi czekały dwa wiadra, miotła, szufelka i dwie murarskie kielnie.

Szumski sięgnął po klucze u pasa i odszukał ten właściwy. Zerknął na mnie i spostrzegł, że patrzę zaskoczonym wzrokiem na kielnie.

– Nie, nie będziecie niczego murować – powiedział, jakby chciał uprzedzić moje ewentualne pytanie, którego i tak nie miałem zamiaru zadać. Otworzył wrota. – Łapcie się za to i na górę. –

Machnął ręką.

Przed nami były wąskie, drewniane schody biegnące wzdłuż ścian.

Przy wchodzeniu trzeszczały pod naszymi stopami.

Dobrnęliśmy do miejsca, gdzie znajdował się mechanizm zegara. Urządzenie było wkomponowane w obudowę, która do złudzenia przypominała szafę pozbawioną drzwi. Od czoła można było dostrzec mnóstwo zębatach kół, sprężyn i zmyślnych ciągadeł. Maszyneria pracowała w miarowym rytmie: cyk-cyk, cyk-cyk, cyk-cyk... Po prawej stronie były trzy wąskie okna w górnej części wygięte w łuk, których nie dało się otworzyć, a zamiast zwykłych szyb miały proste,

kolorowe witraże. Ponad naszymi głowami był sufit z drewnianych desek, a pomiędzy szczelinami przeciskały się ostre promienie przedpołudniowego słońca. Po lewej kolejne schody i wolna przestrzeń, przez którą dostrzegłem dzwon. Tam też były podłużne otwory okienne, ale zdecydowanie większe od tych, na które teraz spoglądałem.

– Widzicie to? – Szumski wskazał palcem na podłogę. – Te cholerne gołębie obsrały wszystko co się da. – Deski pod naszymi stopami były ufajdane ptasimi odchodami. Mozaika czerni i bieli. – Podłoga – jeszcze raz wskazał palcem – schody – machnął dłonią w ich kierunku – i tam u góry – podniósł palce, wskazując miejsce, o

którym mówił. – Tak więc kielnie w dłoń i zdrapać mi to gówno. Wyskrobać do czystego.

– Tak jest, panie aspirancie – odpowiedziałem w regulaminowy sposób.

Szumski sięgnął do kieszeni po paczkę fajek. Wyjął papierosa i w tym samym momencie, kiedy go przypalał, Wolf rzucił się na niego z impetem. Funkcjonariusz nie spodziewał się ataku. Uderzyli o ścianę. Rzeźnik z Danzig błyskawicznie obrócił Szumskiego i znalazł się za jego plecami. Prawą ręką oplótł szyję aspiranta i mocno zacisnął. Zaatakowany starał się sięgnąć po pałkę, którą miał przypięta z lewej strony, ale Wolf

chwycił jego palce i wygiął w przeciwną stronę. Rozległ się tylko trzask łamanych kości. Czapka funkcjonariusza zsunęła się z głowy i upadła na podłogę. Twarz Wiliego przybrała szatański wyraz. To nie był ten człowiek, którego znałem. To nie mógł być on! Stałem jak sparaliżowany i patrzyłem, jak twarz Szumskiego przybiera kolor purpury.

– Przestań! Co robisz?! – krzyknąłem i zamarłem w przedziwnej pozycji. Stałem na lekko ugiętych nogach, z rękoma wysuniętymi do przodu i pochylonym karkiem.

Nie słyszał moich słów. Na jego obliczu była tylko wściekłość i nieokiełznane szaleństwo. Pomiędzy

uniesionymi wargami wyszczerzył zaciśnięte zęby, a z gardła wydobywał charczący pomruk. Wszystkie zmarszczki na jego twarzy wyglądały tak, jakby w jednej sekundzie zamieniły się w napięte struny. Oczy Szumskiego przybrały makabryczny wygląd, tęczówki uciekły gdzieś pod czaszkę, a pomiędzy powiekami straszyły już tylko białka. Miał szeroko otwarte usta, ale żelazny uścisk Wolfa nie pozwalał im zaczerpnąć powietrza. Ciało aspiranta nagle zrobiło się wiotkie.

– Wolf! – wrzasnąłem po raz kolejny.

Wtem stalowe kowadło trafiło w cztery razy mniejszy dzwon, a zaraz potem odezwał się ten właściwy. Jedenaście dostojnych uderzeń sprawiło,

że w uszach słyszałem tylko szum. Oblicze Wolfa nieco złagodniało, ale nadal w zgięciu łokcia zaciskał gardło klawisza. Wpatrywałem się w pierś aspiranta, która zastygła w bezruchu. Nogi miał zgięte w kolanach, obie ręce wisały mu wzdłuż ciała. Miałem wrażenie, że napastnik trzyma kukłę odzianą w brązowy mundur. Kiedy zwolnił uścisk, ciało Szumskiego bezwładnie osunęło się w dół i padło u stóp Rzeźnika z Danzig.

Wolf spojrzał na mnie i powiedział ochrypłym głosem:

– Zabieraj się stąd! I to już!

– Wili, coś ty narobił – wyszeptałem zdruzgotanym głosem. Nie panowałem nad swoimi odruchami i złapałem się

drżącymi dłońmi za skronie. – Coś ty narobił – powtórzyłem.

– Spieprzaj mi stąd! – warknął przez zaciśnięte zęby.

Nagle doskoczył do mnie i chwycił lewą ręką za moją bluzę tuż pod szyją.

– Głuchy jesteś?! – Pociągnął mnie w stronę schodów. – Wynocha! – Pchnął mnie w tamtym kierunku.

Straciłem równowagę i gdybym nie złapał za poręcz, pewnie runąłbym w dół.

– Co chcesz zrobić?!

Na moment zamarł w kompletnym bezruchu i patrzył prosto w moje źrenice.

– Kończę swoją pokutę i wybieram się na spotkanie z moim synkiem. –



Ponownie zamilkł na chwilę. – Idź, póki jeszcze masz czas. Idź do biblioteki – powiedział, patrząc mi w oczy. – No chyba że szukasz śmierci i chcesz, żeby cię powiesili – dokończył ponurym głosem.

Te słowa podziały na moją wyobraźnię.

Ściskając poręcz i czując drżenie w nogach, ruszyłem w dół schodów.

Stałem na drewnianym półpiętrze i obejrzałem się za siebie.

Wolf obrócił ciało Szumskiego na brzuch, przycisnął swoje lewe kolano do jego pleców pomiędzy łopatkami, złapał obiema dłońmi za czoło i z potwornym wysiłkiem ciągnął jego głowę do siebie. Napierał tak długo, aż

rozległ się ponury gruchot, a kręgosłup ofiary w nienaturalny sposób wygiął się w tył. Napastnik zwolnił swój chwyt, a głowa Szumskiego bezwiednie opadła w przód i uderzyła twarzą o drewniane deski podłogi.

Wolf spojrzał w moim kierunku.

– Bywaj zdrów! – powiedział, uniósł prawą dłoń na pożegnanie i odwrócił wzrok.

– Bywaj, przyjacielu – szepnąłem pod nosem, obróciłem się na pięcie i pokonałem resztę drewnianych schodów.

Zatrzymałem się przed stalowymi drzwiami. Delikatnie nacisnąłem klamkę. Przez chwilę nasłuchiwałem przez szczelinę między drzwiami a futryną, czy na schodach ewakuacyjnych

panuje cisza. Wymknąłem się na drugą stronę i delikatnie, żeby nic nie zazgrzytało, zamknąłem wrota. Serce dudniło mi w piersiach, a skronie miałem zroszone potem. Wziąłem kilka głębokich oddechów i wolno ruszyłem w dół.

Nie wiem, o czym myślałem, ale prawdopodobnie modliłem się w duchu, żeby przypadkiem w drodze do biblioteki nie natknąć się na kogoś niepożądanego.

Dotarłem do przedsionka obok wejścia do głównego holu.

Przetarłem rękawem bluzy spocone czoło.

Nasłuchiwałem.

Przeżegnałem się.

Wychyliłem głowę i zerknąłem na korytarz. Pusto.

Zrobiłem głęboki oddech i starając się nadać nogom zdecydowany krok, ruszyłem przed siebie.

Jestem blisko. Jestem bardzo blisko – powtarzałem w myślach, zbliżając się do zakrętu. Zaraz tam będę, jeszcze tylko parę kroków.

Kiedy dotarłem do drzwi, na których widniała tabliczka BIBLIOTEKA, poczułem ulgę. Omiotłem wzrokiem pomieszczenie. Dyżurny klawisz siedział znudzony za biurkiem i na mój widok tylko kiwnął głową. Przy stołach było kilku więźniów. Ktoś czytał gazetę, tamci książki, jeden chyba kreślił list do domu, dwóch gości z bloku dla

pospolitych grało w szachy. Podeszedłem do regału z prasą, złapałem pierwszą z brzegu gazetę i usiadłem pod ścianą. W głowie rozlegał się tętent potwornych myśli, puls pędził galopem, poczułem uderzenie gorąca. Ukradkiem przetałem rękawem czoło, a po chwili dyskretnie rozpiąłem więzienną bluzę. Dla zachowania pozorów kartkowałem zadrukowane arkusze papieru. Nie mam pojęcia, co tam było napisane. Nie mogłem skupić myśli na tym, co widziałem przed sobą, a w uszach wciąż rozbrzmiewały słowa Wolfa: „Kończę swoją pokutę i wybieram się na spotkanie z moim synkiem”. To było jakieś szaleństwo, a ja znowu zostałem wciągnięty w wir wydarzeń, których nie

chciałem być świadkiem. Co teraz będzie?! Szarża wściekłych pytań pędziła w mojej głowie. Co teraz, kurwa mać, będzie?!

O wpół do trzeciej klawisz dyżurny odprowadził nas na spaceriak. Jeżeli wszystko będzie się toczyć tak jak zwykle, to albo podczas obiadu, albo dopiero po dotarciu na blok wyjdzie na jaw, że brakuje jednego więźnia. Tak czy siak, będzie masakra – wyrokowałem w myślach. To tylko kwestia czasu.

Tradycyjnie powoli i bez pośpiechu ustawialiśmy się w kolumnę. Dozorca otworzył bramkę. Armia więźniów wolnym krokiem sunęła wybrukowaną drogą w kierunku wejścia do głównego

budynku. Wkroczyliśmy na teren dziedzińca. Nerwowym wzrokiem co chwila strzelałem w kierunku dzwonnicy. Zegar na wieży wskazywał pięć minut do trzeciej. Dwóch strażników prowadzących z przodu, reszta klawiszy w regularnych odstępach po obu stronach kolumny i kilku z tyłu.

Ponownie zwróciłem oczy ku górze i zobaczyłem to...

W jednym z podłużnych okien dzwonnicy pojawiła się postać Wolfa. Był wysokim mężczyzną, ale nawet z tej odległości widać było, że od czubka głowy do górnej futryny dzielił go ponad metr wolnej przestrzeni. Opierał się plecami o boczną krawędź, a przed sobą trzymał ciało aspiranta Szumskiego.

Ktoś z tłumu dostrzegł to samo co ja i krzyknął:

– Patrzcie tam! – Wskazał wyciągniętą ręką kierunek.

Pośród skazańców rozległ się gwar. Jeden ze strażników zaczął z całych sił dmuchać w gwizdek. Rozpętał się chaos i wtem... Wolf, trzymając Szumskiego w ramionach... wyskoczył! Ludzkie oko nie jest na tyle szybkie, żeby wyłapać każdy szczegół, a zwłaszcza wtedy, kiedy coś lub ktoś jest w ruchu. Przez moment lecieli w powietrzu razem, ale nagle więzień obejmujący funkcjonariusza rozpostarł szeroko ręce na boki niczym ptak skrzydła. Serce dzwonu z potworną siłą uderzyło w jego wieniec i rozległo się ciężkie baaamm!



Człowiek w brązowym mundurze miał uwiązaną na szyi pętlę z grubej liny, której drugi koniec był przymocowany do jarzma dzwonu. I znowu baaamm! Jego nogi, tuż nad kostkami, również były opasane liną, której drugi koniec obwiązywał gardło Rzeźnika z Danzig. Dwójkę szubieniczników dzieliła odległość kilku metrów. Jeszcze przez moment wszyscy widzieli, jak Wolf swobodnie leci w dół, i nagle potworne szarpnięcie. Zatrzymał się w powietrzu na ułamek sekundy. Ciężar ciała i siła, z jaką opadał, były tak potężne, że zwłokom Szumskiego o mało nie urwało głowy. Dzwon uderzał koszmarnym dźwiękiem, a dwa ludzkie trupy unosiły się z każdym baaamm! w górę i w dół.

Dryfowały i kołysały się w powietrzu niczym łodzie na wzburzonych falach przycumowane do jednego holu. Ciało Wilhelma Wolfa odbijało się od ceglastej ściany i huśtało na boki pod okrągłym witrażem, którego barwne, sakralne oblicze malowało się wewnątrz więziennej kaplicy.

Tłum ludzi stał na dziedzińcu i nikt z obecnych nawet nie śmiał odezwać się słowem. Każdy zadzierał do góry głowę i wodził oczami za dwójką dyndających wisielców.

A dzwon na wieży bił coraz wolniej i ciszej, aż w końcu zamilkł.

*17.07.2014 r. Rybnik, Polska*